

Stephanie Laurens

Czysta
namiętność

Rozdział 1

początek maja
wioska Avening, Gloucestershire

Kwiaty jabłoni na wiosnę.

Julius - Jack - Warnefleet, baron Warnefleet z Minchinbury, zatrzymał konia na wzniesieniu nad doliną Avening i spojrzął w dół, na biało-różowe obłoczki otaczające Avening Manor. Pomyślał, że jego pierwsze spotkanie z domem po siedmiu latach mogłoby być bardziej odpowiednie.

Kwiaty jabłoni zawsze przywodziły mu na myśl panny młode.

Przyglądając się z niechęcią kwitnącym drzewom, szarpnął wodze i puścił klusem swojego siwego wałacha, Challengeera, w dół po długim zboczach. Wydawało się, że wszystko sprzysięgło się, by przypominać mu o jego porażce: o fakcie, że nie znalazł sobie żony.

W Avening Manor nie było pani przez większą część jego życia. Jego matka zmarła, gdy miał sześć lat, ojciec nie ożenił się ponownie.

Jack ostatnie trzynaście lat walczył za króla i kraj, niemal przez cały czas za linią frontu we Francji. Śmierć jego ojca przed siedmiu laty sprowadziła go na krótko do domu, ale tylko na dwa dni, akurat tyle, by wystarczyło na pogrzeb i formalne przekazanie pieczy nad Avening w ręce starego Griggsa, rządcy jego ojca. Potem Jack znów przemknął przez Kanał, z powrotem do rozmaitych ról, które odgrywał, szkodząc morskim i handlowym kontaktom Francji, upuszczając jej krwi i osłabiając siły.

Nie w tego rodzaju bitwach większość ludzi wyobrażała sobie majora Gwardii.

Wraz z elitarną grupą zaprzyjaźnionych oficerów pozostawał do dyspozycji dowództwa, by działać potajemnie pod rozkazami

niejakiego Dalziela odpowiedzialnego za wszelkie angielskie tajne operacje poza granicami kraju. Ani Jack, ani żaden z sześciu kolegów, których poznał, nie wiedział, iloma agentami kierował Dalziel, ani jak szeroki był zakres ich działań. Wiedzieli jednak, że te działania bezpośrednio przyczyniły się do ostatecznej klęski Napoleona, a nawet odegrały w niej kluczową rolę.

Ale wojna już się skończyła. Wraz z kolegami Jack powrócił z ognia walki i skupił się na życiu w cywilu. W październiku zeszłego roku on i jego sześciu kolegów, z których wszyscy byli dżentelmenami obdarzonymi tytułem, majątkiem i wynikającymi stąd powinnościami, i z tej racji rozpaczliwie potrzebującymi żon, zebrali się razem i utworzyli Klub Niezdobytch - swój bastion obrony przeciwko swatkom z wyższych sfer, swoją twierdzę, z której każdy z nich miał robić wypady, toczyć bitwy ze smokami z towarzystwa, by w końcu zdobyć piękną pannę, której potrzebował.

A przynajmniej taki był plan. Jednak sprawy nie całkiem ułożyły się po ich myśli.

Tristan Wemyss natknął się na swoją wybrankę, gdy nadzorował odnawianie domu, który był teraz siedzibą Klubu Niezdobytch. Wkrótce potem Tony Blake swoją ukochaną spotkał przy... zwłokach. Charles St. Austell, umykając ze stolicy od nazbyt pomocnych krewniaczek, znalazł kandydatkę na żonę w domu swych przodków. A teraz Jack także uciekał z Londynu, jednak nie przed rodziną.

Dobiegł go turkot kół. Przez parawan z liści Jack dostrzegł czarny powóz toczący się drogą z Cherington. Minął skrzyżowanie z dróżką z Tetbury, którą Jack właśnie zjeżdżał ze wzgórza, i potoczył się dalej na zachód, w kierunku Nailsworth.

Jack zastanawiał się, do kogo należy powóz, ale tak długo przebywał z dala od domu, że nie mógł tego zgadnąć.

Wracając na stałe do Anglii, musiał zdecydować, którymi ze swych powinności zająć się najpierw. Był jedynym dzieckiem, śmierć ojca sprawiła, że Avening spadło mu na

głowę i nie było nikogo innego, kto by nad nim czuwał, ale Jack znał tę posiadłość od podszewki - tutaj się urodził i wychował, w tej zielonej dolinie na północno-zachodnim stoku Cotswolds. Avening było w dobrych rękach, Jack ufał Griggswowi tak samo jak jego ojciec. O wiele bardziej paląca była potrzeba uporania się z różnymi inwestycjami i odległymi włościami, które zupełnie nieoczekiwanie odziedziczył po swej stryjecznej babce Sophii.

Matka Jacka była córką hrabiego, a jego ojciec wnukiem księcia, stryjeczna babka Sophia, ekscentryczna stara panna, była drobną gałązką gdzieś w drzewie genealogicznym jego rodziny ze strony ojca. Jej ulubionym zajęciem było gromadzenie bogactwa, chociaż Jack przypominał sobie, że spotkał ją przelotnie ledwie dwa razy, stryjeczna babka Sophia, umierając dwa lata temu, zapisała mu znaczną część swego majątku.

Nim Jack powrócił do Anglii, różne decyzje związane z tym spadkiem stały się niezwykle pilne, poznanie nowych dóbr i inwestycji było koniecznością. Jack stłumił głęboko zakorzenione pragnienie powrotu do Avening i upewnienia się, że jest takie, jakim je zapamiętał, że po tych wszystkich latach, które spędził daleko, że po tym wszystkim, co musiał robić, oglądać i wycierpieć, jego dom wciąż tam jest, taki, jakim go nosił w pamięci - a zamiast tego poświęcił ostatnie sześć miesięcy na porządkowanie spuścizny i zestrojenie wszystkiego w jeden sprawnie funkcjonujący organizm.

Chociaż teraz był posiadaczem licznych eleganckich posiadłości na wsi, Avening wciąż było dla niego domem, miejscem, które nosił w sercu.

To dlatego zjawił się tutaj teraz, pozwalając znużonym zmysłom chłonąć aż do bólu znajome widoki i dźwięki, pozwalając im koić napięte nerwy, swój niewesoły nastrój i głuchy, uparty ból głowy.

Nadszarpięte nerwy i zły nastrój wzięły się z niepowodzeń w szukaniu odpowiedniej wybranki. Jack pogodził się z tym, że

powinien dać za wygraną, i tak też zrobił. Kiedy przebywał w Londynie, porządkując sprawy spadkowe, zaangażował się w poszukiwania na tym polu. Zakładał, że gdy rozpocznie się sezon, odpowiednich dam będzie pod dostatkiem, czyż nie o to chodziło w całym tym małżeńskim jarmarku? Zamiast tego odkrył, że choć na trotuarach, w parkach i salach balowych wręcz roiło się od bardziej i mniej uroczych młodych kobiet, nigdzie nie udało mu się spotkać takiej, jaką chciałby poślubić.

Mógłby o sobie rzec, że jest zbyt stary i zbyt wybredny, mimo że miał zaledwie trzydzieści cztery lata - najświetniejszy wiek do ożenku dla dżentelmena - i nie preferował żadnego określonego typu kobiet. Niskie, wysokie, blondynki czy brunetki, wszystkie były w jego oczach takie same, liczył się sam fakt, że były kobietami - delikatna, uperfumowana skóra, kobiece krągłości, a kiedy już znalazły się pod nim, te ciche okrzyki z soczystych, rozchylonych warg.

Ale odkrył, że nie potrafi znieść towarzystwa młodych dam dłużej niż przez pięć minut, później robił się tak znudzony, że miał trudności z zapamiętaniem ich imion. Z powodów, których nie pojmował, nie miały one najmniejszej zdolności zainteresowania go, a co dopiero przykucia jego uwagi. Nieuchronnie po pięciu minutach od zapoznania już szukał możliwości ucieczki.

Był dobry w ucieczkach. A przynajmniej tak sądził, dopóki nie spotkał panny Lydii Cowley i jej ciotki-gorgony.

Panna Cowley była córką bogatego przemysłowca, zaś jej ciotka okazała się daleko skoligaconą z jakimś arystokratą z Midlands. Jack nie uznał panny Cowley za szczególnie interesującą. Jednak on sam był obiektem wielkiego zainteresowania dla panny Cowley i jej ciotki.

Próbowali schwytać go w pułapkę. Zaabsorbowany innymi sprawami, nie spostrzegł zagrożenia, póki nie stanął z nim twarzą w twarz. Jednak w chwili, gdy to nastąpiło, odezwał się jego dobrze wyćwiczony instynkt, ten sam, dzięki któremu zachował życie i nie dal się wykryć przez trzynaście lat

spędzonych u wroga. Myślały, że przyparły go do muru, zostawiając sam na sam z panną Cowley w bawialni na piętrze, ale gdy jej ciotka wkroczyła tam w towarzystwie lady Carmichael w roli mimowolnego świadka, bawialnią była pusta, bez śladu życia.

Zbita z tropu, zmieszana ciotka wycofała się i opuściła pokój, by gdzie indziej szukać swojej zabłąkanej siostrzenicy.

Nie wyrzała na wąski występ za oknem bawialni, nie zobaczyła więc Jacka mocno trzymającego pannę Cowley, której oczy spoglądały z przestachem ponad dłonią Jacka utrzymaną na jej ustach.

Trzymał ją tam, milczący i groźny, ryzykownie balansując dwa piętra nad ziemią, dopóki drzwi bawialni nie zamknęły się i kroki odchodzących nie ucichły. Wtedy Jack otworzył okno, wepchnął ją do środka i puścił.

Jedno przerażone spojrzenie na jego twarz, i pannie zaczęło się bardzo spieszyć, żeby wydostać się z pokoju. Jack nie próbował skrywać, że wie, co zaszło, ani swojej reakcji na ten fakt i na nią samą. Wymamrotała jakąś niewyraźną wymówkę i czmychnęła.

Jack odwołał wszystkie kolejne towarzyskie zobowiązania i wycofał się do swojego klubu, żeby podumać nad sytuacją. Jednak wtedy Dalziel przysłał wiadomość, że Charles potrzebuje pomocy w Kornwalii. Ta informacja wydała się darem niebios, Jack zakończył załatwianie spraw spadkowych i uznał, że zakończył także poszukiwanie żony. W towarzystwie Gervase'a Tregartha, jeszcze jednego członka klubu, wyjechał z Londynu z powrotem do świata, który był dla niego zrozumiały.

Choć akcja w Kornwalii ostatecznie zakończyła się sukcesem, Jack otrzymał cios w głowę gorszy niż jakikolwiek inny do tej pory. Kiedy już pozbyli się złoczyńcy i Charles ponownie znalazł się w swojej własnej twierdzy, Jack wrócił do Londynu, by zbadał go Pringle. Doktor Pringle, doświadczony wojskowy chirurg, u którego członkowie klubu zasięgali porad, poinformował go, że gdyby jego czaszka nie była tak mocna, nie

przeżyłby tego ciosu. Tym razem jednak nie stało się nic poważnego, nie było trwałego urazu, a kuracja ograniczyć się miała do paru tygodni spokojnego wypoczynku.

Jack jeszcze przez kilka dni pozostał w klubie, kończąc interesy, po czym udał się do Kornwalii na ślub Charlesa. To było dwa dni temu. Wyjechawszy z weselnego śniadania, Jack przejechał przez Dartmoor do Exeteru, zaś następnego dnia dojechał do Bristolu, gdzie spędził ostatnią noc. Wczesnym rankiem wyruszył wiejskimi drogami w ostatni etap swojej podróży do domu.

Minęło siedem długich lat, odkąd spoglądał na zbudowaną z wapienia fasadę dworu i patrzył, jak zachodzące słońce maluje ją miodowożłotą barwą. Wiedział dokładnie, gdzie zerkać, by dostrzec szczytowe ściany między drzewami rosnącymi wzdłuż drogi i od czasu do czasu mijanymi sadami. W powietrzu unosił się zapach kwitnących jabłoni, chociaż kojarzył się z narzeczoną, kojarzył się też z domem. Jack nabrał odwagi, jego usta drgnęły w uśmiechu, kiedy dotarł do miejsca, gdzie ścieżka z Tetbury łączyła się z drogą z Nailsworth do Cherragton. Po jego lewej znajdowała się wioska. Jack skierował Challengeera na prawo, podnosząc głowę, dotknął piętami boków wielkiego wierzchowca i pokłusował. Minał zakręt, przepelniony radosnym oczekiwaniem.

Tuż przed nim, na poboczu drogi, leżał przewrócony faeton.

Koń uwięziony w zaprzęgu, przerażony i krnąbrny, próbował stanąć dęba, nie zwracając uwagi na damę kurczowo trzymającą lejce i starającą się go uspokoić.

Jack zorientował się w sytuacji po jednym rzucie oka. Twarz mu stężała i mocno ścisnął Challengeera piętami, zmuszając go do galopu.

W każdej chwili uwięziony koń mógł upaść, wierzgając, prosto na damę.

Ta zaś usłyszała zbliżający się tętent kopyt i przelotnie zerknęła przez ramię. Nie odrywając wzroku od uwięzionego konia, Jack w biegu zsunął się z siodła. Biodrem i ramieniem

odepchnął kobietę na bok i sięgnął po lejce - akurat w chwili, gdy koń szarpnął się wściekle.

- Och! - krzyknęła dama i poleciała w bok, lądując w bujnej trawie za przydrożnym rowem.

Jack uchylił się, ale podkute żelazem kopyto musnęło go w głowę - dokładnie w tym miejscu, gdzie wcześniej otrzymał cios. Zaklął, potem mocno zagryzł wargę. Starając się opanować ból i uniknąć trafienia kopytem, chwycił wodze powyżej wędzidła, użył dość siły, by dać zwierzęciu poczuć, że jest w rękach kogoś, kto zna się na rzeczy, i zaczął do niego przemawiać, przekonując, że całe zagrożenie już minęło. Młody gniadosz uderzał kopytami o ziemię i potrząsał głową, Jack uwiesił się przy nim i nie przestawał mówić. Koń stopniowo się uspokajał.

Jack rzucił okiem na damę. Zbliżając się, widział tylko jej plecy - zobaczył, że miała bujne włosy barwy ciemnego mahoni, uczesane w elegancko spleciony koczek, i miała na sobie suknię spacerową w śliwkowym kolorze, i była nadzwyczaj wysoka.

Rozciągnięta na plecach na pochyłym brzegu rowu, starała się podeprzeć na łokciach. Ich spojrzenia spotkały się.

Twarz kobiety była klasycznie piękna.

Jej chmurne oczy ciskały pioruny.

Jack zamrugał. Dama wyglądała tak, jakby miała ochotę rozerwać go na strzępy, i stanowczo zamierzała to zrobić już za chwilę. Popatrzyłyby na nią jeszcze raz, uważniej, ale narowisty koń wciąż się płoszył, Jack znowu zaczął do niego mówić.

Kątem oka dostrzegł mignięcie halek i smukłych kostek, dama wstawiała. Nie patrzyła w jego stronę, zwinnie przeskoczyła rów i szybko podeszła do przewróconego powozu.

Jack uświadomił sobie, że nigdzie nie widać powożącego.

- Czy on jest przytomny?

- Nie. Jest uwięziony tam w środku. Ma złamaną nogę i zapewne rękę. Kiedy koń dostatecznie się uspokoi, pomoże mi pan go wydostać.

Ku zadowoleniu Jacka w jej głosie nie było słychać ani śladu poruszenia, a tym bardziej hysterii. Słowa były wypowiedane energicznie, władcym tonem, jakby nawykła do tego, że jej polecenia są spełniane.

Jack popatrzył na konia.

- Nie mogę go puścić wolno, jest zbyt zdenerwowany, ale na tyle spokojny, by go pani utrzymała. Proszę podejść i wziąć lejce, a ja wyciągnę powożącego.

Dama wyprostowała się, z dłońmi wspartymi na biodrach okrążyła rozbity faeton i zatrzymała się o pięć stóp dalej, przyglądając się Jackowi ciemnymi, zmrużonymi oczyma, a jej rubinowe usta zacisnęły się w ciekawą kreskę.

Dobrze mu się zdawało - była wysoka. Ledwie o parę cali niższa od niego.

- Niech pan nie będzie osłem. - Jej spojrzenie było taksujące. Oceniające i krytyczne. - Nie może pan podnieść powozu i wyciągnąć go w tym samym czasie.

Ból znowu przeszywał mu czaszkę. On też zdobył się na ton arogancji:

- Proszę tylko wziąć lejce, a wydostanie go pozostawić mnie.

Zebrał wodze i podał jej.

Nie poruszyła się, by je wziąć. Zamiast tego uchwyciła jego spojrzenie.

- Niech pan wyprzęgnie konia. - Jej słowa były suchym rozkazem. - Jeżeli znowu się spłoszy, nie będę w stanie go utrzymać, a jeśli pociągnie powóz, jeszcze bardziej zrani powożącego. - Odwróciła się do faetonu. - Albo, co gorsza, pan opuści powóz na ziemię zaraz po tym, jak go pan uniesie.

Jack ugryzł się w język i mężnie przelknął nie do końca cywilizowaną odpowiedź. Powiedział sobie, że tylko dlatego, iż jego głowa pulsowała z bólu, nie pomyślał sam o wyprzęgnięciu konia.

Przemawiając do konia, poluzował lejce na tyle, by dosięgnąć zapieć uprzęży po jednej stronie. Dama powróciła i

nawet nie rzuciwszy okiem w jego stronę, zabrała się do pracy przy zapięciach po przeciwnej. Wyciągając skórzane paski z klamer, Jack przypatrywał się jej twarzy podobnej do rzeźby z alabastru i kości słoniowej, i rysom wyrażającym obojętność oraz dystans. Łuki brwi i gęste ciemne rzęsy nadawały wyrazistości dużym, ciemnym oczom. Jack nie zbliżył się dotąd na tyle, by określić ich kolor.

Rozpięli uprząż. Koń wyrwał do przodu, dyszle niemal spadły na ziemię. Jack chwycił jeden z nich.

- Proszę wziąć lejce i odejść z nim kawałek. Ja przytrzymam dyszle. Z ich powodu uwięzione koń czyny tego człowieka mogłyby uciepieć jeszcze bardziej.

Chwyciwszy wodze, dama podeszła do łba konia, przyciągnęła jego uwagę, a potem, przemawiając łagodnie, powoli, krok za krokiem, poprowadziła gnadosza do przodu. Pętla uprzęży się zsunęły. Gdy koń był już wolny, dama się rozejrzała. Jack zerknął przez ramię. Challenger wrócił i stał po drugiej stronie drogi, skubiąc trawę.

- Niech go pani uwiąże do żywopłotu obok mojego konia.

Tak zrobiła, chociaż cisnęła mu jeszcze jedno spojrzenie pełne irytacji. Zanim wróciła, Jack znalazł wysokość, na której dyszle były zrównoważone, podtrzymywał je teraz, podpierając obiema dłońmi.

- Niech pani tutaj stanie i podtrzymuje je, póki nie przewrócę powozu. Kiedy to zrobię, może pani puścić i podejść, żeby mi pomóc wyciągnąć powożącego.

Omiotła spojrzeniem jego twarz, po czym spojrzała na dyszle, oceniając jego plan. Później skinęła głową i złapała za dyszle.

Jack ugryzł się w język. Ponownie. Była wyjątkowo denerwującą kobietą, nawet gdy milczała.

Stanął z boku powozu i dostrzegł poszkodowanego. Młody dżentelmen najwyraźniej uczynił wszystko, co mógł, żeby ocalić konia i powóz, i zbyt długo w nim pozostał. Powóz przewrócił się na bok, przygważdżając i miażdżąc mu jedną nogę. Na

szczęście brzeg rowu nie był aż tak stromy, powóz nie przetoczył się kołami do góry.

Jack przykucnął i sprawdził puls mężczyzny. Dostatecznie mocny, dostatecznie stabilny. Noga była złamana, szybkie badanie ujawniło, że jedno ramię wyglądało na zwichnięte, a obojczyk na złamany, podobnie jak ręka. Na domiar złego doznał uderzenia w głowę, które musiało być mocne. Jack skrzywił się, a potem wstał i przyjrzał się rozbitemu powozowi. Cienkie drewno zdobionych boków było strzaskane, ale sam powóz został wykonany solidnie, jego szkielet pozostał nienaruszony.

Krótką chwilę zajęło Jackowi wyszukanie najlepszych punktów ramy, by za nie chwycić i podnieść ciężar. Ustawivszy się plecami do powozu, na wpół przykucnięty, podłożywszy dłonie pod dolną krawędź, Jack zerknął na damę. Patrzyła na niego w milczącym zdumieniu i z niechętną aprobatą.

- Kiedy to uniosę, proszę puścić dyszle. Kiedy będziemy mieć pewność, że powóz trzyma się w jednym kawałku, a nie rozpada na części, proszę tu podejść i pomóc mi go wyciągnąć.

Skinęła głową.

Wyprostował się, unosząc bok powozu na wysokość pasa, po czym zebrał się w sobie, pochylił, dźwignął go wyżej i podparł ramionami. Kawałki płyty odpadły, drewno zatrzeszczało, jęknęło, ale rama wytrzymała. Nie czekając na zachętę, dama przystąpiła do działania. Pochyliwszy się, chwyciła ramiona mężczyzny.

- Nie! Jedno jest przemieszczone. Niech pani złapie go pod pachami i wyciągnie.

Zesztywniała, słysząc jego ton, ale zrobiła tak, jak powiedział.

Chociaż Jack nie mógł teraz widzieć jej twarzy, był w stanie wyobrazić sobie jej minę. Przesunął się i próbował ułożyć ciężar powozu na jednym ramieniu, tak by móc sięgnąć w dół i jej pomóc.

- Nie ruszaj się, idioto! Poradzę sobie.

Jack zeszytniał, jakby uderzyła go w twarz. Spiorunowała go buntowniczym, groźnym spojrzeniem, po czym podreptała do tyłu, wyciągając uwięzionego mężczyznę.

Jack cieszył się doskonałym słuchem, usłyszał, jak mruknęła pod nosem:

- Nie jestem słabowitą, omdlewającą kobietką, ty durniu. Zupełnie niespodziewanie kącki jego warg się uniosły.
- Może pan teraz puścić.

Przeciągnęła mężczyznę na trawę. Jack pomału opuścił powóz, po czym ruszył za nią. Chmurnie spoglądając na twarz mężczyzny, opadła na kolana obok niego.

- Czy pani go zna? - Jack przyklęknął po drugiej stronie. Pokręciła głową.
- On nie jest stąd.

Co znaczyło, że ona była stąd, a to go zaskoczyło. Z pewnością nie mieszkała w okolicy przed siedmiu laty. Jack na pewno by ją zauważył i zapamiętał.

Przystąpił do metodycznego badania poszkodowanego, szukając obrażeń.

Wciąż zachmurzona dama obserwowała jego dłonie.

- Czy pan wie, co robi?
- Tak.

Jej wargi zacisnęły się, ale przyjęła to zapewnienie bez komentarza.

Jego ocena obrażeń mężczyzny była w znacznej mierze trafna. Szybkim, fachowym szarpnięciem nastawił ramię, a później, posługując się kawałkami listwy dekoracyjnej odłamanej z powozu, wykorzystał własny krawat i krawat mężczyzny, żeby ująć złamaną rękę w łubki i przymocować ją do ramienia. Kiedy się z tym uporał, zajął się nogą złamaną w dwóch miejscach. Miał mnóstwo drewna do unieruchomienia kończyn. Zerknął na damę.

- Nie przypuszczam, by wzięła pani pod uwagę poświęcenie falbanki od swojej halki?

Podniosła wzrok, napotykając jego spojrzenie, na jej białych

policzkach zakwitł cień rumieńca.

- Oczywiście, że to zrobię.

Głos przeczył rumieńcowi, nie było miejsca ani przyzwolenia na żadne pensjonarskie sentymenty. Odwróciła się plecami do niego, i usiadła. Za moment Jack usłyszał odgłos rozdzieranego materiału.

Wstał i podszedł do powozu, żeby poszperać za dłuższymi łubkami. Nim wrócił, długi pas delikatnego batystu czekał obok nieprzytomnego mężczyzny.

Jack pochylił się i zabrał do pracy. Dama pomagała w milczeniu, pracując pod jego kierunkiem.

Z doświadczeń Jacka wynikało, że kobiety rzadko bywają ciche.

Jej dłonie, które chwytaly tam, gdzie wskazał, i przytrzymały łubki, były równie delikatne jak jej rysy - były to dłonie o długich palcach, eleganckie, smukłe, o skórze miękkiej i białej.

Arystokratyczne.

Przelotnie rzucił okiem na jej twarz, teraz bliżej niego, gdyż oboje pochyłali się nad mężczyzną. Rysy również były arystokratyczne. Zaś co do reszty...

Spoglądając w dół, zmusił swój umysł do ponownego skupienia na mężczyźnie i jego połamanych kończynach. Nie było to łatwe, wiele rzeczy rozpraszało jego uwagę.

Miała kształty potocznie określane jako bujne.

Natychmiast przysły mu do głowy słowa takie jak „zmysłowa” i określenia typu „hojnie wyposażona przez naturę”.

I wtedy przypomniał sobie jej wcześniejsze karcące spojrzenie, i znalazł idealne określenie. Jak Boudika*.

Także jako: Budyka, Boadicea lub Boudicca (imię oznaczające Zwycięska) - królowa Icenów i Trynobantów zamieszkujących wschodnią Anglię. Około 60 r. n.e. wznieciła powstanie przeciw Rzymianom, w odwecie za terror, jaki spotkał z ich strony Icenów (przyp. tłum.).

Bardzo angielska. Bardzo kobieca. Bardzo zawzięta.

Skończył zawiązywać prowizoryczny bandaż. Boudika usiadła na ziemi z cichym westchnieniem. Jack wstał. Otrzeptał dłonie z kurzu, po czym wyciągnął do niej rękę.

Spoglądała gdzieś za niego, na drogę. Wyraźnie bez zastanowienia, włożyła swoją dłoń w jego rękę i pozwoliła sobie pomóc.

- Dwór to najbliższe domostwo. Jak go tam zabierzemy?

Znowu go zaskoczyła. Zaofiarowała jego własny dom.

Chociaż go kusiło, by zobaczyć, jak rozwiązałyby problem, ulitował się nad nieprzytomnym nieszczęśnikiem.

- Zapewne jest jakiś kawałek powozu, który możemy wykorzystać, by go na nim położyć.

Podszedł, żeby się przyjrzeć. Drzwiczki po jednej stronie były roztrzaskane i całkiem nie do użytku, te po drugiej stronie były nienaruszone, ale i tak zbyt małe.

- Czy to się nada?

Jack odwrócił się i ujrzał Boudikę wskazującą na tył faetonu. Uważnie przyjrzał się długiej, lekko zakrzywionej desce z oparcia, na jednym końcu częściowo oderwanej, ale poza tym nietkniętej.

- Proszę się odsunąć.

Nie poruszyła się, ze splecionymi rękoma patrzyła, jak mocno chwycił drewno, szarpnął i je oderwał.

Powstrzymał chęć, by zobaczyć, czy kobieta przytupuje czubkiem buta.

Zaniósł deskę w poblize nieprzytomnego mężczyzny, dama szła tuż za nim. Wspólnie, bez potrzeby jakichkolwiek pouczeń, przenieśli mężczyznę na deskę. Boudika ułożyła nogi mężczyzny, odwróciła się i znikła za faetonem. Za moment przytaszczyła torbę podróżną. Upuściła ją obok mężczyzny i pochyliła się, by otworzyć.

- Na pewno ma więcej krawatów. Możemy go nimi przywiązać do deski.

Nie czekając na zgodę - i tak na Jacka nie patrzyła -

przystąpiła do poszukiwań. Jack zostawił ją więc, żeby przyprowadzić gniadosza. Kiedy wrócił, mocowała pacjenta do prowizorycznych noszy za pomocą pary krawatów.

- To powinno go przytrzymać.

Jack sprawdził węzły, były idealne. Pochylił się i przełożył pętlę z długich lejców wokół pacjenta, na wierzchu i pod krawatami. Obserwowała każdy jego ruch, kiedy skończył wiązanie, skinęła głową z wyniosłą aprobatą.

- Dobrze. - Otrzeptała spódnice, ułożyła torbę mężczyzny na desce u jego stóp, a potem wskazała na drogę. - Dwór znajduje się niecałe ćwierć mili stąd.

Niecałe ćwierć mili, z czego większość po długim podjeździe. Sprowadzając Challengega, Jack miał nadzieję, że Griggs i jego kamerdyner Howlett zadbali, by podjazd był w dobrym stanie.

Prowadząc Challengega, Jack zrównał się z Boudiką, która nakłaniała gniadosza, by spokojnie ruszył naprzód. Lejce naprężyły się, nosze przesunęły na dróżkę, sunąc dość gładko po suchym i w miarę równym podłożu.

Usatysfakcjonowany, że zrobili dla rannego mężczyzny wszystko, co się dało, Jack przeniósł uwagę na swoją towarzyszkę. Nie miała kapelusza, nie miała rękawiczek. Jej dom musiał się znajdować niedaleko.

- Czy mieszka pani w pobliżu?

Machnięciem ręki wskazała na lewo.

- Na probostwie.

Jack zmarszczył brwi.

- Proboszczem był tam James Altwood.

- Nadal jest.

Jack przypomniał sobie jej dłonie. Żadnej obrączki, żadnego śladu, że kiedykolwiek jakąś nosiła. Zaczekał, aż powie coś więcej. Nie zrobiła tego.

Po chwili więc spytał:

- Jak znalazła się pani na drodze?

Zerknęła na niego, jej oczy były intensywnie

ciemnobrązowe, ciemniejsze nawet niż włosy.

- Byłam na polu, zbierałam grzyby. – Znów wskazała dłonią. - Na pagórku jest stary dąb, tam zawsze są grzyby.

Jack o tym wiedział.

- Usłyszałam odgłos wypadku, upuściłam koszyk i zbiegłam co tchu. - Sięgnęła ręką do włosów i skrzywiła się. - Mój kapelusz gdzieś spadł. - Nie wydawała się tym szczególnie zmartwiona. Za moment spojrzała na niego z ukosa. - Dokąd pan zmierza?

- Do dworu.

Jack patrzył przed siebie i nie powiedział nic więcej. Czuł jej spojrzenie, czuł, jak staje się ostrzejsze, ale - skrywając ponury uśmiech - odmówił spojrzenia na nią. Oboje mogli bawić się w zatajanie informacji, proszę bardzo.

Szli naprzód w ciszy uroczego poranka. Dziwnej ciszy, pełnej napięcia. Dama, jak się zdawało, nie była ani trochę bardziej od Jacka podatna na onieśmienie, jakie wiele osób odczuwałoby w obliczu takiego milczenia.

Oczywiście, Jack mógł się przedstawić, ale wcześniej ona zaofiarowała jego własny dom. Powiedzenie jej, kim był, mogłoby wprowadzić ją w zakłopotanie, chociaż Jack jakoś w to powątpiewał. Nie postępował wedle towarzyskich zasad, ponieważ... ona była inna.

I chciał utrzyć jej tego zadartego nosa.

Po ich prawej stronie wyłoniła się kuta z żelaza brama dworu, otoczona przez wiekowe dęby, jak zawsze otwarta na oścież. Wprowadzili gnidosza w szeroki łuk, nosze sunęły gładko, mijając zakręt, i dalej po długim, wznoszącym się podjeździe.

Jack się rozglądał. Większość pól w promieniu mili należała do niego, ale te akry, spłachetek pomiędzy podjazdem a bystrym strumieniem, dopływem rzeki Frome, oraz ogrody wokół domu stanowiły scenerię większości jego wspomnień z dzieciństwa.

Wspięli się na wzniesienie i ich oczom ukazał się dom. Podniósłszy głowę, Jack przyjrzał się fasadzie, wszystko było w

doskonałym stanie, jednak już sama masywność budynku i jego przyjazna atmosfera chwyciły go za serce. Miał świadomość, że Boudika go obserwuje.

- Czy spodziewają się pana? - spytała.
- Niezupełnie.

Kątem oka dostrzegł jej spojrzenie spod zmrużonych powiek, potem popatrzyła przed siebie i wydłużyła krok, zostawiając go, by poprowadził oba konie.

Pozwolił jej iść przodem. Zbliżyła się do portyku i pociągnęła za dzwonek. Jack zatrzymał konie na podjeździe i czekał.

Howlett otworzył drzwi. Natychmiast się uklonił.

- Lady Clarice.

Lady Clarice?

Potem Howlett zobaczył Jacka. Uśmiech, który zakwitł na twarzy kamerdynera, sam w sobie był powitaniem.

- Milordzie! Witamy w domu!

Boudika cofnęła się, powoli odwracając ku niemu twarz.

Howlett wybiegł z domu, po czym opamiętał się i zawrócił, żeby zawołać na lokaja, Adama, który wystawił głowę zza drzwi.

- Idź i powiedz Griggsowi i pani Connimore! Jego lordowska mość wrócił!

Jack uśmiechnął się do Adama, który wyszczerzył zęby w uśmiechu, nim popędził z powrotem w głąb domu. Howlett uklonił się, rozpromieniony, Jack klepnął go po ramieniu i spytał, czy wszystko w porządku. Lokaj zapewnił go, że tak. Polem chrząst żwiru miażdżonego ciężkimi stopami oznajmił nadejście Crabthorpe'a, głównego stajennego, znanego wszystkim jako Crawler. Okrążając dom, spostrzegł Jacka i się rozpromienił.

- Pomyślałem, że to na pewno pan. Za dużo zamieszania, żeby to był ktoś inny. - Później Crawler zobaczył Howletta oglądającego prowizoryczne nosze. - Co my tutaj mamy?

- Jego powóz przewrócił się do rowu.

Crawler nachylił się nad rannym mężczyzną.

- Jeszcze jeden młodociany hultaj, co to ma więcej na głowie niż w głowie, bez dwóch zdań.

- Po pobieżnym badaniu wyprostował się. – Poślę jednego z moich chłopaków po doktora Willisa.

- Tak.

Howlett przypomniał sobie o Boudice.

- Lady Clarice! - Pospieszył do niej z powrotem.

- Proszę o wybaczenie, milady. Lecz, cóż, jego lordowska mość nareszcie jest w domu, jak pani widzi.

Twarz Boudiki złagodził uśmiech.

- Tak, w rzeczy samej. - Popatrzyła na Jacka, jej spojrzenie stało się ostre jak nóż. - Widzę.

Jego powolny, swobodny uśmiech oczarowywał wcześniej kobiety w całej Anglii i przynajmniej w połowie Francji. Nie wywarł jednak żadnego dostrzegalnego efektu na Boudice.

- Milordzie! Wrócił pan! - Z domu wybiegła pani Connimore, a za nią, nieco wolniej, jego rządca Griggs, ciężko wspierając się na lasce.

W wyniku zamieszaniu Jack stracił z oczu swoją niedawną towarzyszkę. Poddał się szaleńczemu uściskowi pani Connimore i nieustającym okrzykom. Nagle uświadomił sobie, i poważnie zaniepokoił, jak kruchy jest Griggs. Kiedy on tak się postarzał?

W końcu Jack skierował ich zapał na nieznanego, wciąż nieprzytomnego mężczyznę. Pani Connimore i Howlett stanęli na wysokości zadania i szybko zorganizowali przeniesienie nieszczęśnika do środka.

Crawler zajął się końmi i zapewnił Jacka, że już posłał swoich chłopców, żeby uprzątnęli wrak z drogi.

Młody lord posłał Adama po torbę podróżną. Kiedy tłum się przerzedził, Jack był niemal zaskoczony, widząc Boudikę wciąż stojącą przy frontowym wejściu, obserwującą - i - jak przypuszczał, nadal czekającą na stosowną zemstę.

- Niedługo przyjdę, Griggs. - Jack się uśmiechnął i ujął

Griggsa za ramię, by pomóc mu wejść do domu. - Wszystko wydaje się w doskonałym porządku. Wiem, że to tobie powinienem dziękować.

- Och, nie... Cóż, wszyscy tutaj dobrze rozumieli... Ośmielam się powiedzieć, że pańskie nowe obowiązki są całkiem uciążliwe... ale tak się cieszymy, że przyjechał pan do domu.

- Nie mogłem trzymać się z daleka. – Jack uśmiechnął się, gdy to mówił, i to nie tylko swoim wyćwiczonym uśmiechem, lecz takim, w którym było prawdziwe uczucie.

Przystanął przed portykiem i nakłonił Griggsa, by wszedł do domu.

- Muszę porozmawiać z lady Clarice.

- Och, tak. - Kiedy przypominano mu o jej obecności, Griggs zatrzymał się i nisko uklonił.- Proszę nam wybaczyć, milady.

Uśmiechnęła się ciepło i uspokajająco.

- Oczywiście, Griggs. Proszę się nie martwić.

Jej oczy podniosły się, żeby napotkać wzrok Jacka. Ich wyraz bardzo wyraźnie świadczył, że nie ma zamiaru tak łatwo mu przebaczyć.

Jack zaczął, aż Griggs odejdzie, a lokaj zamknie drzwi, nim przeszedł kilka ostatnich kroków w jej stronę.

Otwarcie spotkała jego spojrzenie, w jej ciemnych oczach czaiło się oskarżenie.

- Pan to Warnefleet.

To nie było pytanie. Jack potwierdził skinieniem głowy, ale nie potrafił wytłumaczyć potępienia widocznego zarówno w jej głosie, jak i postawie.

- A pani to lady Clarice...?

Przez znaczącą chwilę wytrzymała jego wzrok, po czym odpowiedziała:

- Altwood.

Jack zmarszczył czoło. Zanim zdołał zapytać, dodała:

- James to mój kuzyn. Mieszkam na probostwie od niemal

siedmiu lat.

Niezameżna. Zagrzebana na wsi. Lady Clarice Altwood. Kim...?

Wydawała się bez problemu podążać za jego tokiem myślenia.

- Moim ojcem był markiz Melton.

Ta informacja jeszcze bardziej go zaintrygowała, ale nie mógł przecież zapytać, dlaczego nie wyszła za mąż i nie zarządzała jakąś księżęcą posiadłością. Potem na nowo skupił się na jej oczach i już znał odpowiedź, ta dama nie była słodkim dziewczęciem, nigdy.

- Dziękuję pani za pomoc przy tym dżentelmenie. Moi ludzie zajmą się wszystkim. Poślę wiadomość na probostwo, kiedy będziemy wiedzieć coś więcej.

Wytrzymała jego wzrok. Przez chwilę przypatrywała mu się niewzruszenie, po czym powiedziała:

- Zdaje mi się, że sobie przypominam... Jeżeli jest pan Warnefleetem, to jest pan też miejscowym sędzią. Czy to się zgadza?

Zmarszczył brwi.

- Tak.

- W takim razie... - Wzięła głęboki wdech, i po raz pierwszy Jack dostrzegł cień słabości, być może odrobinę strachu w ciemnych głębinach jej oczu. - Musi pan zrozumieć, że to, co się przydarzyło temu młodemu człowiekowi, to nie był wypadek. On nie wyrócił swojego faetonu. Został celowo zepchnięty z drogi przez inny powóz.

- Czy jest pani pewna?

- Tak. - Clarice Adele Altwood zaplotła ręce i opanowała dreszcze. Okazywanie słabości nigdy nie było w jej stylu, i niech ją licho, jeżeli pozwoliłaby Warnefleetowi, marnotrawnemu bawidamkowi, zobaczyć, jak jest poruszona. - Nie widziałam samego momentu wywrócenia się powozu, to ten dziwny odgłos mnie skłonił, by przybiec, ale kiedy dotarłam do drogi, ten drugi powóz stał, a powożący mężczyzna wysiadł.

Zbliżał się do faetonu, już miał go okrążyć i podejść do młodzieńca, ale wtedy usłyszał moje kroki i się zatrzymał. Podniósł wzrok i mnie zobaczył. Przypatrywał mi się przez chwilę, po czym się obrócił, podszedł z powrotem do swojego powozu, wsiadł, zaciął konie i odjechał.

Wciąż miała przed oczyma tę scenę. Wciąż czuła zagrożenie emanujące z tej wielkiej, ciężkiej postaci, czuła ciężar jego rozważań, kiedy się namyślał...

- Oświadczę pod przysięgą, że mężczyzna w powozie zamierzał zamordować... uśmiercić... dżentelmena w faetonie.

Rozdział 2

- Wysłałam na drogę tam, przez tę przerwę w żywopłocie. - Clarice wskazała dłonią, a potem spojrzała na wrak leżący o sto jardów dalej. - Zatrzymałam się, zaskoczona, że widzę tu inny powóz, a potem przypomniałam sobie, że usłyszałam krzyk tuż przed wypadkiem. Myślę, że to był ten młody człowiek.

Zerknęła na mężczyznę obok niej, wciąż spodziewała się po nim, że będzie odgrywał autokratycznego samca, poklepie ją po głowce, zapewni, że wszystko jest dobrze, i zlekceważy wszystko, co zobaczyła i - co ważniejsze - czego się domyśliła. Zamiast tego słuchał, tak poważnie, jak sobie tego życzyła. Przyjrzał się jej, a potem poprosił, by mu towarzyszyła z powrotem na miejsce wypadku. Nie próbował wziąć jej pod ramię. Nakazał chłopakom Crabthorpe'a zaczekać u bramy, aż skończy oględziny faetonu, po czym poprosił ją, żeby mu pokazała, jak to było.

- Niech pani opisz tego mężczyznę.

Gdyby to był każdy inny dzień i każdy inny mężczyzna, poczułaby się obrażona tym śmiałym poleceniem, dzisiaj i z nim była po prostu zadowolona, że poświęca jej należyłą uwagę.

- Dość wysoki, wyższy ode mnie. Mniej więcej pańskiego

wzrostu. Mocno zbudowany, o grubych rękach i nogach. Krótko obcięte włosy jasnego koloru, może szpakowate, nie mam pewności. - Zaplatając ręce, przywołała w pamięci tamtą chwilę. - Miał na sobie brązowy płaszcz, dobrze skrojony, ale nierzucający się w oczy. Jego buty były brązowe, dobrej jakości, lecz nie od Hoby'ego i nie heskie. Nosił jasnobrązowe rękawiczki do konnej jazdy. Jego skóra była blada, twarz raczej okrągła. - Zerknęła na Warnefleeta. - To wszystko, co sobie przypominam.

Skinął głową.

- Obchodził faeton, kiedy panią usłyszał, zatrzymał się i spojrzął na panią. - Pochwycił jej wzrok. - Powiedziała pani, że się wpatrywał.

- Tak. Po prostu się wpatrywał... rozmyślając. Zastanawiając się. - Oparła się chęci rozmasowania sobie ramion, żeby odpędzić zapamiętany chłód.

- A potem odwrócił się i odszedł?

- Tak.

- Żadnego ukłonu, w ogóle żadnej reakcji?

Pokręciła głową.

- Po prostu odwrócił się, wsiadł z powrotem do swojego powozu i odjechał.

Skinął na nią, by poszła dalej drogą, ale jej skrajem po przeciwnej stronie. Sam szedł obok niej.

- Jaki to był powóz?

- Mały, czarny, z tyłu tylko tyle mogłam zobaczyć. To mógł być jeden z tych małych pojazdów, które mają na wynajem w zajazdach.

- Nie widziała pani koni?

- Nie.

- Dlaczego pani myśli, że czarny powóz zepchnął faeton z drogi?

Była przekonana, że tak właśnie się stało. Ale skąd wiedziała?

- Trzy rzeczy: po pierwsze, przekleństwo, które usłyszałam

tuż przed wypadkiem. Głos młodego mężczyzny, kłął na kogoś drugiego, nie na swojego konia. Na osobę. I był wystraszony. Przerażony. To też usłyszałam. Nie byłam zaskoczona, słysząc wypadek i znajdując wrak.

Zauważyła, że Jack uważnie słucha każdego jej słowa.

- Jestem pewna, że powożący zmierzał do spowodowania wypadku, a to z powodu usytuowania jego powozu. Zatrzymał się pośrodku drogi, ale na ukos od faetonu, ponieważ znajdował się po tej samej stronie drogi, co on. I na koniec...

Przystanęła. Warnefleet także. Po chwili napotkała jego oczy, była winna rannemu mężczyźnie opowiedzenie wszystkiego, czego była świadkiem.

- Sposób, w jaki człowiek z powozu szedł w kierunku faetonu... Był skupiony. Zdeterminowany. Nie był roztrzęsiony ani zmartwiony. Miał zamiar wyrządzić komuś krzywdę. - Spojrzała na wrak po drugiej stronie drogi. - Zamierzał dokończyć to, co zaczął.

Czekała, aż Warnefleet poczyni jakąś lekceważącą uwagę, aż powie, iż wyobraźnia wymknęła jej się spod kontroli. Spięła się w sobie, by bronić swojego punktu widzenia...

- Gdzie zatrzymał się powóz?

Wskazała miejsce na drodze parę jardów dalej.

- Mniej więcej tam.

Jack skinął głową.

- Proszę tu zaczekać.

Nie łudził się zbyt, że go posłucha, ale przynajmniej pozwoliła mu iść przodem, krocząc kilka jardów za nim, kiedy wyszedł na drogę i szedł nią, badawczo przypatrując się powierzchni w miejscu, które wskazała.

O jard dalej Jack znalazł to, czego szukał. Przykucnął i badał płytkie koleiny pozostawione przez koła powozu, kiedy powożący zahamował. Okręcając się, rzucił okiem na wrak, mierząc odległości i kąty.

Wstał i okrążył miejsce, w którym stał powóz, świadom tego, że Boudika podąża jego śladem mniej lub bardziej

dosłownie. Z oczyma wbitymi w ziemię badał grunt, powoli posuwając się w kierunku faetonu. Sam tamtędy przejeżdżał, dama prowadziła tamtędy gniadosza. Jack nie miał zbyt wielkich nadziei... ale potem los się uśmiechnął i pozwolił mu dostrzec pojedynczy odcisk buta, wszystko, co zostało po nieznanym powożącym.

Spostrzeżenia Boudiki były trafne. Ślad pochodził od zwyczajnego obuwia ze skórzaną podeszwą. Jego rozmiar, niemal tak wielki jak Jacka, zgadzał się z opisem, który podała. Równy odcisk, bez szczególnego nacisku palców czy pięty, sugerował, że człowiek noszący ten but nie był ogarnięty paniką. To celowe, powiedziała, to wyglądało na celowe.

Obserwowała go z przechyloną głową, kiedy się podniósł, uniosła brwi.

- Co może pan z tego wyczytać?

Zerknął na nią i napotkał jej ciemne oczy.

- Że jest pani spostrzegawczym i wiarygodnym świadkiem.

Widok, jak przetyka zdumienie, uczynił wypowiedzenie tego komplementu jeszcze bardziej wartym zachodu.

Prędko się otrząsnęła.

- A więc zgadza się pan, że powożący miał zamiar skrzywdzić... prawdopodobnie zamordować... tego młodego mężczyznę?

Jack poczuł, jak twarz mu tężeje.

- Nie miał zamiaru zaoferować pomocy, to pewne. Gdyby miał, nie odjechałby w taki sposób. - Przeniósł wzrok z rozbitego faetonu na miejsce, gdzie zatrzymał się powóz. - I ma pani rację także w drugiej sprawie, powożący celowo zepchnął faeton z drogi.

To właśnie chciała usłyszeć, a jednak przebiegł ją dreszcz, odwróciła się, by to ukryć. Zanim zdążył pomyśleć, zrobił krok w jej kierunku. Obudził się w nim instynkt samozachowawczy, Jack wiedział, że lepiej jej nie dotykać, nie wyciągać po nią rąk i nie chwytać jej w ramiona... ale chciał to zrobić.

Uświadomienie sobie tego sprawiło, że nachmurzył się w duchu. Jeszcze nigdy nie spotkał kobiety bardziej drażliwej i niezależnej niż Boudika, bardziej skłonnej do odepchnięcia wszelkiej pociechy, jaką mógłby zaoferować, ponieważ takie zaoferowanie oznaczało, że dostrzegł jej słabość... Cierpko uświadomił sobie, że doskonale ją rozumie, po prostu nie spotkał dotąd kobiety, która rozumowałaby w taki sposób.

- Chodźmy. - Musiał się powstrzymać, by nie ująć jej pod ramię, zamieniając odruchowy gest na machnięcie w stronę drogi. - Odprowadzę panią na probostwo.

Zawahała się, a potem zaczęła iść. Po chwili jej głowa podniosła się.

- Nie musi pan. Mało prawdopodobne, że zabłądzę.

- Pomimo wszystko. - Dał znak czekającym chłopcom stajennym, zobaczyli to i ruszyli po faeton. - Pomijając wszystko inne, powinienem złożyć wizytę Jamesowi i dać mu znać, że wróciłem.

- Z pewnością mu powiem.

- To nie byłoby to samo.

Zaczekał, ale dama nie protestowała dalej. Ciemny błysk jej oczu, kiedy dotarli do przerwy w żywopłocie i gdy go tamtędy poprowadziła, powiedział mu, że wie, iż pobiłby każdy wysunięty przez nią argument.

Takie drobne zwycięstwo, a jednak miało ono słodki smak.

Za żywopłotem pole opadało, a potem grunt łagodnie wybrzuszał się w pagórek, na którym stał siary dąb. Clarice się rozejrzała. W końcu wypatrzyła swój kapelusz zwisający na gałęzi pobliskiego drzewa, bez słowa poszła tam, by go zabrać.

Warnefleet podążył za nią.

Zmysły Clarice skupiły się na wysokim, szczupłym, atletycznie zbudowanym mężczyźnie o szerokich ramionach i gładkich mięśniach, podążającym jej śladem. Oczyma duszy łatwo mogła dojrzeć nie tylko jego twarz, mocne rysy z tym cieniem bezwzględności właściwym niektórym mężczyznom z jej klasy, otaczająca go aura przywodziła na myśl

niebezpieczeństwo, była niepokojąco kusząca. Jeszcze bardziej niepokojące i zagadkowe było uczucie, że ujrzał ją wyraźnie - tę prawdziwą a jednak nie znalazł w tym obrazie niczego, co skłoniłoby go do ucieczki.

Jednak żadna z tych rzeczy nie tłumaczyła jej fizycznej reakcji, nagłego przejęcia, które ją pochwyciło, które naprężyło jej nerwy oczekiwaniem.

Dla niej wrażliwość tego rodzaju była czymś zupełnie nowym, słyszała o takiej przypadłości, widziała inne damy padające jej ofiarą, ale ona sama nie była jedną z nich. Nigdy.

Ale też i on nie wydawał się zwyczajnym typem aroganckiego mężczyzny. Clarice nie wierzyła, iż zupełnie pozbawiony jest arogancji, po prostu pomyślała, że wcześniej nie spotkała nikogo jego pokroju.

Dotarła do drzewa i popatrzyła na swój kapelusz, który łagodnie kołysał się na wietrze. Był poza jej zasięgiem. Podskoczyła, lecz chybiła, co najmniej o cal za niska.

Nad jej głową pojawiła się dłoń i zerwała kapelusz z gałęzi.

Zaparło jej dech, nie wiedziała, że on stał tak blisko.

Odwróciła się gwałtownie. Jej buty zaplątały się w długiej trawie i upadła.

Prosto na niego.

Pochwycił ją, oparła się piersiami o jego tors.

Zabrakło jej powietrza, ze zduszonym okrzykiem podniosła wzrok.

Zawstydenie powinno ściąć ją z nóg, tyle tylko, że w jej umyśle nie było na nie miejsca. Doznanie wezbrało i pochłonęło ją, uwięziło jej zmysły w pajęczynie nowego doświadczenia.

Bywała już trzymana w ramionach przez mężczyzn, ale nigdy nie było tak jak teraz. Nigdy do żadnego torsu jej piersi nie przyciskały się tak mocno, nigdy nie objęło jej tak stalowe ramię. Nigdy wielkie dłonie nie trzymały jej tak delikatnie ani tak pewnie. Nigdy jej zmysły nie wzdychały, jakby odnalazła niebo.

Nigdy jej puls nie przyspieszał, nigdy jej skóra nie zaczynała

płonać.

Wpatrywała się w jego oczy, zieleń i złoto stopione w prawdziwie orzechową barwę. I czuła jego siłę, równie potężną jak jej własna, nie tylko mocne mięśnie, ale światły umysł i determinację.

Siłę nie tylko fizyczną, ale przejawiającą się na inne sposoby, w innych obszarach...

Kierunek, w jakim zmierzały jej myśli, wstrząsnął nią.

Uświadomiła sobie, że uważnie się jej przygląda.

Uświadomiła sobie, że się nie poruszył, że wcale i nie próbował tego przerwać.

Wyraz jego oczu był wyraźnie drapieżny i szczerze zainteresowany, nie uczynił najmniejszego wysiłku, by to zataić, zamaskować, by to przed nią ukryć. Wizja, która pojawiła się w jej umyśle, przedstawiała wielką, potężną, czającą się bestię dumającą nad swym następnym posiłkiem.

Ale on nie zrobił żadnego ruchu, by ją złapać. Czekał, żeby zobaczyć, co zrobi ona.

A ona była na tyle mądra, by nie odwrócić się i nie czmychnąć.

Odchrząknąwszy, odkryła, że jej dłonie są przyciśnięte do jego ramion, odepchnęła się, a on puścił ją bez wahania.

Zadzierając podbródek, napotkała jego spojrzenie i sięgnęła po kapelusz, wzrokiem rzucając mu wyzwanie, by niczego sobie nie wyobrażał po tym przypadkowym zdarzeniu.

- Dziękuję.

Zanim zdołała chwycić kapelusz i wyjąć go z jego palców, on go podniósł i umieścił na jej głowie.

I się uśmiechnął. Jakby z namysłem.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Gdyby była słabą kobietką, łatwo tracącą głowę z powodu czyjejs urodziwej twarzy, ciała wojownika i uśmiechu, który

obiecował doświadczenia przekraczające jej najśmielsze wyobrażenia, to po incydencie z kapeluszem bez wątpienia zachowywałyby bezpieczne milczenie przez całą drogę na probostwo.

Lecz ona, aby się upewnić, że Warnefleet zrozumiał, iż nie była na to podatna, czuła się zmuszona prowadzić rozmowę - takiego rodzaju rozmowy, która pokazałaby mu, gdzie jego miejsce i wyraziła jasno jej opinię o nim, opinię, na którą nie miały wpływu ich niedawne kontakty.

- A zatem, milordzie, czy planuje pan długo pozostać w Avening?

Stary dąb stał niedaleko, a jej porzucony koszyk spoczywał w jego cieniu.

Jack nie odpowiedział natychmiast, ale w końcu się odezwał:

- Avening to mój dom. Tutaj dorastałem.

- Tak, wiem. Ale nie było tu pana latami. Jak rozumiem, sprawy trzymają pana w stolicy. - Położyła subtelny nacisk na słowo „sprawy”, wystarczający, by dać mu do zrozumienia, że doskonale się orientuje, co tak naprawdę zatrzymuje w Londynie dżentelmenów takich jak on.

Schyliła się pod czubkami niższych gałęzi dębu, wchodząc w chłodny cień. Jack podążył za nią.

- Niektóre sprawy najlepiej załatwiać w mieście, to rzeczywiście prawda. - Rozleniwiony ton przychodził mu z łatwością, ale kiedy mówił dalej, wyczuła pod nim siłę stali. - Lecz żaden rozsądny człowiek nie pozwoliłby, żeby interesy przywiązały go do Londynu, a większość spraw można przenieść, bo nie wiążą się z żadnym konkretnym miejscem.

On także położył podobnie subtelny nacisk na słowo „sprawy”, wyraźnie było widać, że przejrzał jej bief.

- Doprawdy? - Pochyliła się i podniosła koszyk, po czym napotkała jego wzrok. - Jednak ośmielam się rzec, że byłoby panu trudno przenieść wystarczająco wiele innych pańskich spraw tutaj, do dworu czy do wioski. Z związku z tym domyślam się, że po zajęciu się kwestiami związanymi z

posiadłością, które pana tutaj przywiodły, wyjedzie pan ponownie, stąd moje pytanie. Jak długo planuje pan zostać?

Jack wytrzymał jej spojrzenie. Po chwili spokojnie powiedział:

- Nie wygląda pani na kobietę skłoną do snucia niedorzecznych domysłów.

Jej ciemne oczy rozblęły, a rysy stężały.

- Nie jestem taką osobą!

Przytaknęła. Wziął od niej koszyk, oddała go prawie bez namysłu, zbyt rozkojarzona.

- Tak właśnie myślałem - zgodził się z niewzruszonym spokojem. - To dlatego wysłuchałem wszystkiego, co miała pani do powiedzenia na temat wypadku, który nie był wypadkiem. Miała pani co do tego słusność.

- Naturalnie. - Zmarszczyła brwi. - Nie snuję domysłów.

- Czy rzeczywiście? - Uchwycił jej spojrzenie, i zatrzymał je przez znamienne chwilę, po czym spokojnie zapytał: - A więc dlaczego, lady Clarice, uprzedziła się pani do mnie? Co pani sobie wyobraziła na mój temat?

Dostrzegła pułapkę, zorientowała się, że w nią wpadła, błąd rumieniec zabarwił jej policzki gniew i rozdrażnienie, ale nie zakłopotanie. Najczystszy alabaster jej cery przywiódł mu na myśl gęstą śmietankę, gładką, smakowitą, palce zaswędziały go, by dotknąć, pogłaskać. By poczuć, by sprawić, że zarumieni się z innego powodu niż gniew.

Musiała dostrzec jakiś ślad tych myśli w jego oczach.

- W pańskim przypadku, milordzie, żadne domysły nie były potrzebne. Pańskie postępowanie przez minione lata przemawia wystarczająco wyraźnie.

Miał rację, z jakiejś nieodgadnionej przyczyny żywiła dla niego pogardę, mimo że nigdy się nie spotkali, nigdy nie widzieli się na oczy, nie mówiąc już o jakimkolwiek kontakcie.

- Jakież to postępowanie?

Jego ton ostrzegłby większość mężczyzn, że wkraczają na niezwykle kruchy lód. Był najzupełniej pewien, że usłyszała

ostrzeżenie i odczytała je właściwie, gdy jej oczy rozbliły, był tak samo pewien, że z miejsca je zignorowała.

- Mogę zrozumieć, że dopóki żył pański ojciec, nie było palącej potrzeby, by pan tutaj mieszkał, żadnego powodu, by skracać pan swoją służbę w armii.

- Zwłaszcza wzięwszy pod uwagę, że kraj był w stanie wojny.

Jej wargi zacisnęły się, ale skinęła głową, przyznając mu rację, przynajmniej w tej kwestii.

- Jednakowoż... - Odwróciła się i ruszyła w kierunku probostwa, niskiego, chaotycznie zbudowanego domostwa częściowo zasłoniętego przez wysoki żywopłot odgradzający pole. - Kiedy pański ojciec zmarł, powinien był pan wrócić. Posiadłość taka jak ta, wioska taka jak Avening wymagają kogoś, kto trzymałby wszystko w garści. Lecz nie, pan wolał być nieobecny posiadaczem ziemskim i pozostawił Griggsa, by dźwigał obowiązki, które powinny być pańskimi. On radzi sobie dobrze, ale nie jest młody... te lata dały mu się we znaki.

Jack zmarszczył brwi.

- Przebywałem... z moim pułkiem.

Przebywał we Francji, samotnie, ale nie widział powodu, by jej o tym opowiadać.

- Nie mogłem tak po prostu się wykupić...

- Oczywiście, że pan mógł. Wielu innych tak zrobiło. - Spojrzenie, jakim go obrzuciła, było pełne wzdry. - W naszej sferze starsi synowie, ci którzy będą dziedziczyć, zwykle nie służą w armii, i chociaż rozumiem, że pański ojciec zmarł niespodziewanie, to kiedy to się stało, pańskie miejsce było tutaj, a nie... - pogardliwie machnęła ręką - w Tunbridge Wells czy gdzie tam pan stacjonował, odgrywając dziarskiego oficera.

We Francji. Samotnie. Jack przygryzł język. Co takiego uczynił, że zasłużył na ten wykład? Dlaczego go sprowokował - a zwłaszcza dlaczego go znosił?

Dlaczego po prostu jej ostro nie zbeształ, nie pokazał stanowczo, gdzie jej miejsce, przypominając, że nie ma prawa

wydawać o nim sądów?

Z podniesioną głową i arogancko zadartym nosem kroczyła płynnie i wdzięcznie u jego boku.

Ujarmienie Boudiki nie będzie łatwe, z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Jack poczuł, że nie chciałby spotkać się z nią na żadnym polu bitwy.

Chciałby ją spotkać, ale na zupełnie innym polu, na takim z jedwabnymi prześcieradłami i miękkim materacem, w którym by się zapadła...

- A potem przyszła Tuluza, lecz nawet wtedy nie pofatygował się pan, żeby wrócić. Bez wątpienia byt pan zbyt zajęty świętowaniem obchodów zwycięstwa, by pamiętać tych, którzy poświęcili lata, pracując tu dla pana i utrzymując go.

Jack spędził miesiące fałszywego zwycięstwa we Francji. Samotnie. Nie dowierzając zbyt łatwo osiągniętemu pokojowi, tak jak Dalziel i niektórzy, to właśnie on z daleka miał oko na Elbę, to on wysłał pierwsze wieści o tym, że Napoleon powrócił i znowu stanął w szranki. Jego twarz przybrała zacięty wyraz.

- Co jeszcze gorsze - perorowała młoda dama z potępieniem czającym się w każdej sylabie, to samo uczucie rozpalało jej ciemne oczy, gdy przelotnie spojrzała na Jacka - kiedy wszystko zakończyło się pod Waterloo, pan brnął dalej i pozostał w Londynie, bez wątpienia nadrabiając wszystko, co panu umknęło podczas tych miesięcy za granicą.

Lat. Samotnych. Każdego tygodnia, każdego miesiąca przez trzynaście lat, zupełnie sam, jeśli nie liczyć tych krótkich, niesłychanie niebezpiecznych trzech dni, jakimi było dla niego Waterloo. A później, kiedy odszedł, pojawił się szereg pilnych, bardzo realnych i przytłaczających obowiązków, które już na niego czekały.

Jej ostatnie słowa były przepełnione jadem, a to, co miała na myśli, było jasne jak słońce. Jack nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio folgował sobie w sposób, jaki sugerowała. A niewątpliwie przyczyniało się to do jego obecnego stanu - intensywnego, palącego, niesłychanie silnego

pragnienia, by nasycić swoje długo tłumione cielesne apetyty.

Z Boudiką.

Z żadną inną kobietą. Teraz, kiedy ją poznał, żadna inna by się nie nadawała.

To musiała być ona.

Wyraźnie czekało go trudne zadanie, ale uwielbiał wyzwania, zwłaszcza tego rodzaju.

Wizja Boudiki - lady Clarice - leżącej pod nim nago, rozpalonej, zdesperowanej i błagającej lubieżnie, i tych długich, długich nóg zaciskających Nie wokół jego bioder, gdy się w nią wbija, niezmiernie pomogła mu skupić uwagę. Sprecyzować, dokąd zmierza.

Dotarli do żywopłotu otaczającego probostwo, i Clarice obrzuciła Jacka kolejnym ze swych jadowitych spojrzeń, podchwycił je, wytrzymał jej wzrok. Przystanęli przy wejściu wiodącym do ogrodów probostwa. Czytał w jej twarzy, studiował lekceważącą wzgardę, wypisaną w jej subtelnych rysach, jarzącą się z ożywieniem w jej ślicznych ciemnych oczach.

- A więc... sądzi pani, że powinienem pozostać w Avening i poświęcić się moim obowiązkom?

Uśmiechnęła się, lecz nie słodko - protekcyjnie.

- Nie. Sądzę, że wszystkim nam będzie lepiej, jeżeli powróci pan do Londynu i nadal będzie tam wiódł swoją hedonistyczną egzystencję.

Zmarszczył brwi. Mówiła dalej, odpowiadając bez zawahania na jego niewypowiedziane na głos pytanie:

- Przywykliśmy do radzenia sobie bez pana. Ludzie, którzy tu mieszkają, nie potrzebują już pana na włościach, wybrali kogoś innego na jego miejsce.

Odwróciła się i zamasztyłym krokiem skierowała się ku bocznym drzwiom probostwa. Mocniej marszcząc brwi, Jack patrzył za nią - pozwalał oczom chłonąć kołysanie jej bioder, stanowiące kwintesencję kobiecości, działającą na wyobraźnię linię od karku do talii, obietnicę jej krągłości...

Z pewnością nie miała na myśli tego, o czym pomyślał?
Istniał jeden pewny sposób, żeby się tego dowiedzieć. Tego
oraz wszystkiego, co teraz pragnął wiedzieć na temat Boudiki.
Ocknąwszy się, podążył za nią na probostwo.

* * *

Zastał proboszcza Avening, szlachetnie urodzonego Jamesa
Altwooda, dokładnie w tym samym miejscu, w którym zostawił
go siedem lat temu - na krześle za biurkiem w jego gabinecie,
ślęczącego nad jakimś tomiszczem. Jack dobrze znał zawartość
owego tomiska, oprócz innych zajęć James był znanym
historykiem wojskowości, wykładowcą w Balliol College.
Czuwał nad wieloma parafiami, ale poza nadzorowaniem pracy
swoich wikarych całe dni spędzał na badaniu i analizowaniu
wojskowych kampanii, zarówno starożytnych, jak i
współczesnych.

Boudika, jak łatwo było przewidzieć, pierwsza weszła do
gabinetu.

- Jamesie, lord Warnefleet powrócił. Przyszedł, żeby z
tobą porozmawiać.

- He? - James podniósł wzrok, zerkając znad okularów.
Potem jego oczy odnalazły Jacka, i upuścił książkę na biurko. -
Jack, mój chłopcze! Nareszcie!

W pełni świadom krytycznego spojrzenia Boudiki, wyszedł
naprzeciw, żeby chwycić wyciągniętą dłoń Jamesa i dał się
wciągnąć w energiczny uścisk.

James uściskał go mocno, klepnął po plecach, a potem
puścił. Wciąż trzymając dłoń Jacka, cofnął się, żeby mu się
przyjrzeć.

Będący teraz po pięćdziesiątce James zaczynał wyglądać na
swój wiek, brązowe włosy, które Jack zapamiętał jako gęste i
kręcone, przeredziły się, a jego brzuch urósł. Lecz energia i
entuzjazm w brązowych oczach wciąż były takie same, jeżeli
ktokolwiek był odpowiedzialny za zachęcenie Jacka do

wstąpienia do armii, to właśnie James.

James głęboko odetchnął i wypuścił dłoń Jacka.

- A niech to, Jack, to ulga widzieć cię całym i zdrowym.

Oprócz ojca młodego lorda James był jedną i bardzo niewielu osób, które wiedziały, że Jack nie spędził ostatnich trzynastu lat w żadnych pułkowych koszarach.

Jack się uśmiechnął, przy Jamesie nigdy nie bywał nikim innym niż tylko sobą.

- To ogromna ulga być tu z powrotem. - Nie mógł się powstrzymać, by nie dodać: - Nareszcie, jak to trafnie zauważyłeś.

- W rzeczy samej, w rzeczy samej. Co za ambaras z twoją cioteczną babką i jej majątkiem. Ale proszę, siadaj, siadaj!

Wskazując mu krzesło, James na powrót zajął swoje miejsce, po czym przypomniał sobie o Boudice.

- Ach, dziękuję ci, Clarice. - Przeniósł wzrok z niej na młodzieńca, w którego się teraz wpatrywała, dla Jamesa jej mina była niemożliwa do zinterpretowania, lecz Jack nie miał z tym trudności. Boudika była bystra. Usłyszała wzmiankę Jamesa o jego ciotecznej babce... i teraz się zastanawiała.

Kiedy James na nią spojrział, posłał jej sarkastycznie protekcyjny uśmiech.

- Ach... Jak rozumiem, wy dwoje już się spotkaliście? - James spoglądał to na jedno, to na drugie, wyczuwając napięcie, ale nie będąc w stanie go zinterpretować.

- Tak. - Kiedy Jack uniósł brwi, Clarice przeniosła wzrok na Jamesa. - Zbierałam grzyby, gdy na drodze miał wypadek pewien powóz, akurat tuż za bramą dworu.

- Wielkie nieba! - James wskazał Clarice krzesło, czekając, aż usiądzie, zanim opadł na własne.

- Co się stało?

- Wypadku nie widziałam, ale byłam tam zaraz po zdarzeniu. - Clarice zerknęła w stronę Jacka.

- Potem nadjechała jego lordowska mość.

- Czy ktoś został ranny? - zapytał James.

- Powożący - odparł Jack. - Młody dżentelmen. Jest nieprzytomny. Przenieśliśmy go do dworu i posłaliśmy po doktora Willisa. Pani Connimore się nim opiekuje.

James skinął głową.

- Dobrze, dobrze. - Popatrzył na Clarice. - Czy to ktoś znajomy?

- Nie.

- Ale...? - Podsunął James, zanim zdołał to zrobić Jack.

- Wiem, że nigdy go nie spotkałam, ale wygląda znajomo.

- Ach! - zawołał James.

Jack żałował, że nie wie dlaczego. Clarice tymczasem kontynuowała:

- Wydaje się za młody, by być kimś, kogo znałam w przeszłości, ale zastanawiam się... Może jest czyimś młodszym bratem albo synem, i dlatego zauważam podobieństwo. Wszystko to oznacza, że najpewniej to potomek jakiejś rodziny z wyższych sfer, co niewiele nam daje.

- Hmm... Muszę tam wstąpić. Chociaż jeżeli ty nie potrafisz go rozpoznać, mało prawdopodobne, że poznam go ja.

- James przeniósł wzrok na Jacka. - I jeszcze mniej prawdopodobne, żebyś ty miał na to szansę. Nie sądzę, byś ostatnio bywał w klubach i jaskiniach hazardu, he?

Świadom ostrego jak brzytwa spojrzenia Clarice, Jack odparł:

- Ledwie miałem czas odwiedzić swojego krawca,- pukanie do drzwi zapowiedziało Macimbera, kamerdynera Jamesa. Promiennie uśmiechnął się do Jacka i nisko się uklonił.- Witamy w domu, milordzie.

- Dziękuję, Macimber.

Macimber spojrział na Jamesa.

- Pani Cleever pragnie wiedzieć, czy jego lordowska mość zostanie na lunch, sir.

- Tak, oczywiście! - James popatrzył na Jacka, zostaniesz, nieprawdaż? Ośmielam się twierdzić, że pani Connimore bardzo chciałaby mieć cię z powrotem, ale ja mam większą potrzebę, by

posłuchać twojego głosu i dowiedzieć się, co porabiałeś.

Jack nie spuszczał oczu z Jamesa.

- Z przyjemnością zostanę na lunch. - Odwracając się, napotkał oczy Boudiki. - Jeżeli to nie kłopot.

Jeżeli ona nie ma obiekcji.

Doskonale pojęła jego pytanie.

Jack dostrzegł moment, w którym szala przechyliła się na jego korzyść, a ciekawość wzięła górę nad pogardą.

- Jestem pewna, że to nie będzie kłopot... I rzeczywiście, z pewnością przy tamtym młodzieńcu, którym trzeba się opiekować, pani Connimore ma już dość na głowie. Zwłaszcza że nie wiedziała, iż pan dzisiaj przyjeżdża.

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane z łatwym do przewidzenia jadem, Jack ugryzł się w język i przełknął ripostę w rodzaju, która miałyby brzmieć, iż już dawno temu wyrósł z krótkich spodenek.

Podczas gdy James instruował zachwyconego Macimbera, by nakrył stół dla trojga, Jack skupił i się na planowaniu, jak najlepiej wykorzystać przewagę, którą dawała mu Boudika i jej nieusprawiedliwiona niechęć do niego.

Kiedy ma się do czynienia z wojowniczkami, nie należy lekceważyć nawet chwili przewagi.

Kwestią, która nie dawała mu spokoju, był jej wiek - pierwsza rzecz, którą powinien się zainteresować, dowiedziawszy się, co robi córka markiza na głębokiej wsi. Skandal to jedyne wytłumaczenie, jakie przychodziło mu do głowy, jednak lady Clarice nie wyglądała na taką, która traci głowę dla pierwszego lepszego. Trudno było wyobrazić sobie mniej płochą, mniej lekkomyślną kobietę.

- A więc! - James wpatrywał się w Jacka z pełnym czułości wyczekiwaniem. - Jak znajdujesz Londyn po... ilu? Trzynastu latach?

Jack zrobił kwaśną minę.

- Prawdę mówiąc, niewiele tu zmian. Nazwiska się nie zmieniły, twarze starsze, ale gra wciąż ta sama.

- I wciąż przeważnie cię to nie porusza? - James uśmiechnął się szeroko. - Zawsze powiadałem twojemu ojcu, że nigdy nie musi się martwić, iż uwiodą cię rozkosze stolicy.

- Właśnie - odrzekł Jack oschłym tonem.

Zachowywał ostrożność, by nie zerknąć na Clarice, przekonując się, jak przyjmowała trafny pogląd Jamesa na jego temat...

- Griggs powiedział mi, że ten Ellicot... nazywa się Ellicot, nieprawdaż? Prawnik twojej ciotecznej babki?

Jack przytaknął.

- Prawnik, przedstawiciel i wykonawca testamentu w jednym, a odziedzyczył to stanowisko zaledwie miesiąc przed tym, jak cioteczna babka Sophia opuściła ten ziemski padół, był więc równie zielony jak ja w sprawach jej majątku.

- Kłopotliwe. - James przytaknął ze zrozumieniem. - Jak już mówiłem, Griggs powiedział, że Ellicot był bliski paniki, nie dziwiłem się więc, kiedy pozostałeś w mieście.

- To zabrało miesiące. - Jack pozwolił, by frustracje ostatnich miesięcy dały się zauważyć. Najłatwiejszy sposób, by przekonać Boudikę, że widziała go zupełnie opacznie, to po prostu być sobą.

- Ellicot bronił fortu najlepiej jak potrafił, ale prawdę mówiąc, niektóre decyzje powinny zostać podjęte, niektóre kroki powzięte nawet bez mojej wiedzy i zgody. Jednakże rozumiem, że stąpał po niepewnym gruncie, tym bardziej że wcześniej nawet mnie nie spotkał.

- W rzeczy samej. Niełatwe zadanie do wykonania, zarządzanie posiadłościami w imieniu nieznanego klienta.

Jack zgodził się, opisując niektóre z wielu trudności, które z powodu odziedziczonych włości czekały na niego po powrocie do Anglii. Większość dotyczyła kwestii zarządzania posiadłością, chociaż Boudika była kobietą, dobrze rozumiała konsekwencje, nawet te mniej oczywiste dla niewykształconej osoby. Kątem oka Jack dostrzegł zmarszczkę, stopniowo rysującą się między jej subtelnie wysklepionymi brwiami.

Pół godziny później w dużej mierze uporał się z, ostatnimi wydarzeniami, z pominięciem tych dotyczących jego niefortunnych prób znalezienia odpowiedniej żony, to zachował dla siebie. Boudika słuchała, jak on i James dyskutowali o środkach, które podjął dla lepszego poradzenia sobie z bieżącymi sprawami dotyczącymi swych licznych włości. Uśmiechnął się w duchu na widok niechętnego szacunku, jaki dostrzegł w jej oczach.

Macimber zajął do pokoju, by powiedzieć, że podano lunch.

James zajął w jadalni miejsce u szczytu stołu, Clarice usiadła po jego lewej, Jack po prawej stronie.

- A więc... - James sięgnął po półmisek zimnych mięs. - Wydaje się, że pokonałeś wszystkie przeszkody. Jestem pewien, że twoja cioteczna babka by to zaaprobowała. A zatem teraz możesz cofnąć się o siedem lat. Zdałeś mi relację ze swoich obowiązków, kiedy byłeś w domu ostatnim razem, czy tamten twój przydział bardzo różnił się od Tuluzy?

Jack pokręcił głową.

- Niezbyt. Nadal było w tym sporo sztuczek, odwracania uwagi, i oczywiście, głównym celem było udaremnienie tyłu transakcji, ile się dało, zwłaszcza z Nowym Światem. Niekiedy spędzałem całe tygodnie w portowych tawernach, wyciągając i składając w całość informacje o planowanych transakcjach. Kiedy wojna się przeciągała, coraz mniej robiono za pośrednictwem oficjalnych kanałów, przez co znacznie trudniej było odkrywać, co się dzieje naprawdę: co było przywożone, co wysyłane, kiedy, jak i przez kogo.

- A ty wciąż byłeś pod dowództwem tego dżentelmena w Whitehall?

- Istotnie. On wciąż tam jest, wciąż działa.

James przytaknął, przeżuując. Przełknął kęs, po czym się odezwał:

- A więc co wydarzyło się po Tuluzie? Sytuacja musiała się wtedy zmienić?

Clarice walczyła, by ukryć swoje zainteresowanie. Nie spuszczała wzroku z talerza, usta trzymała mocno zaciśnięte, robiła wszystko, co w jej mocy, żeby stać się przysłowiową muchą na ścianie. Wcześniej zachęcała Warnefleeta, by dołączył do nich podczas lunchu, ponieważ wiedziała, że James będzie go przesłuchiwać, i chciała tam być, żeby patrzeć, jak się męczy i zostaje zmuszony do przyznania się do swoich strasznych przywar.

Zamiast tego to ona się męczyła. Najwyraźniej błędnie wszystko odczytała, mylnie interpretowała komentarze czynione na temat Warnefleeta nie tylko przez Jamesa, ale przez wszystkich dokoła, wliczając w to służbę, lecz zanim mogła stwierdzić, jak dalece chybiła -jak bardzo będzie musiała przeproszać - musiała poskładać w całość prawdę, czytając między wierszami podczas rozmowy Jamesa i Warnefleeta. Irytująco niejasnej - ale nie mogła przecież nalegać, żeby mówili wprost.

- Sytuacja zmieniła się dla większości, ale nie dla mnie. Wielu było w naszej służbie takich, którzy sceptycznie podchodzili do abdykacji. Wszyscy mieliśmy korzenie we francuskiej arystokracji. Żaden z nas nie sądził, że bitwa została naprawdę wygrana.

- Jednak większość wróciła do domów.

Warnefleet przytaknął.

- Ale ja i paru innych pozostaliśmy. Co do mnie, to miałem dobre i wiarygodne łącze z Elbą. Inni zostali w portach, najpewniej, by zauważyć pierwsze podjęte działania. Jak długo zostalibyśmy, trzymając w ten sposób straż, tego nie wiem, ale jak się okazało, nie upłynął rok, a wojna rozpoczęła się na nowo.

- A co było potem?

Clarice zauważyła, że James wstrzymuje oddech, zaryzykowała szybkie zerknięcie na twarz Warnefleeta.

Patrzył na nią, ale jej nie widział.

Miała wrażenie, że spoglądał w przeszłość.

- Szybko nadeszło Waterloo - wyszeptał.

- Byłeś tam, nieprawdaż?
- Ja i inni byliśmy, technicznie rzecz biorąc, zaangażowani w starcie, ale nie zbliżyliśmy się bardziej niż na dziesięć mil do pola bitwy.

Oczy Jamesa zwięzły się.

- Dostawy?

Warnefleet przytaknął.

- Zajęliśmy się najpierw zaopatrzeniem, potem wierzchowcami, a na koniec posiłkami.

- Rozumiem, jak poradziście sobie z dwoma pierwszymi, ale to ostatnie?

- Zamieszanie i chaos. - Wargi Warnefleeta znowu uniosły się w gorzkim uśmiechu. - Musieliśmy być pomysłowi.

Ku przerażeniu Clarice wszedł Macimber i zaczął zbierać talerze. Posiłek się skończył, a ona nie usłyszała jeszcze wszystkiego, co chciała. Dlaczego musiał być pomysłowy? Jak pomysłowy? Co to znaczyło...?

James dopił wino, po czym odstawił kielich i uśmiechnął się zachęcająco do Warnefleeta.

- Cóż, mój chłopcze, chodźmy na spacer, opowiesz mi szczegóły.

Zanim zdołała pomyśleć o jakimś sposobie zatrzymania ich, James wstał i uśmiechnął się do niej uprzejmie.

- Wyśmienity posiłek, moja droga.

Ukryła rozczarowanie za chłodną fasadą.

- Na pewno przekażę twoją pochwałę pani Cleever.

- I moją także, gdyby była pani tak uprzejma.

Podniosła wzrok i napotkała oczy Warnefleeta.

Podniósł się razem z Jamesem i teraz stał, uważnie na nią patrząc. Jego spojrzenie zyskało pewną wymowę, nie miała trudności z interpretacją przekazu.

Wiedział, jak bardzo się myliła, jak niezręczna i nie do utrzymania była teraz jej postawa wobec niego, i nie omieszkał dać jej tego do zrozumienia. Najwyraźniej spodziewał się przeprosin.

Skinęła głową.

- Milordzie. Nie wątpię, że znów się spotkamy.

- Lady Clarice. - Jego piwne oczy jeszcze raz uchwyciły jej wzrok, jego wargi uniosły się w uroczym uśmiechu, zupełnie niezasługującym na zaufanie.

- To była prawdziwa przyjemność poznać panią.

Uklonił się z gracją. Clarice zagryzła wargę, powstrzymując cierpką ripostę, i skinęła głową w wyniosłym geście odprawy. Nie popatrzyła za nim, kiedy opuszczał pokój, idąc za Jamesem.

Może będzie musiała odszczekać, ale nie zamierzała robić tego publicznie. Instynkt ją ostrzegał, ta jakiegokolwiek będzie zmuszona poczynić ustępstwa, by udobruchać Warnefleeta, zdecydowanie lepiej będzie zatrzymać to tylko do ich własnej wiadomości.

Rozdział 3

Jack podążył za Jamesem na zadbany trawnik przed probostwem, spokojne miejsce otoczone ogromnymi drzewami.

- Nadal rozkoszuję się codziennym spacerem po lunchu. - James wskazał na wydeptany ślad na trawie. - A teraz wszystko mi opowiedz.

Jack spełnił jego życzenie, racząc go wcześniej pominiętymi szczegółami, tymi aspektami swoich działań w czasie kampanii pod Waterloo, które najbardziej interesowały Jamesa.

- I to, Bogu dzięki, koniec. Kiedy Napoleon był w drodze na Świętą Helenę, nie istniała potrzeba, by którykolwiek z nas pozostał we Francji.

- A więc wróciłeś do tutejszego zamieszania. Jak rozumiem, jesteś zadowolony, że twoje dziedzictwo jest pod kontrolą?

Jack przytaknął.

- Zajęło to więcej czasu, niż sądziłem, ale cieszę się z nowego systemu, który wdrożyliśmy. Powinien mi pozwolić na kierowanie sprawami z tego miejsca. - Rozejrzał się za dobrze zapamiętanymi widokami, i zauważył, jak bardzo urosły drzewa i krzewy. Spojrzał na Jamesa. - Teraz ty możesz zdać mi relację z tego, co się tutaj wydarzyło.

James uśmiechnął się, pospiesznie opowiadając skróconą historię narodzin, zgonów i małżeństw w okolicy, i o tych, którzy się wyprowadzili, oraz tych, którzy przybyli, by zająć ich miejsce.

- Tak jak Griggs bez wątpienia ci już powiedział, wszyscy twoi dzierżawcy wciąż są na miejscu. Wioska Avening jest w dużym stopniu taka, jak była, ale...

Jack słuchał uważnie, wiele notując w pamięci, wszystko, co mówił James, było bardzo przydatne. W końcu jednak James zakończył opowieść, nie ujawniając tego, czego Jack najbardziej chciał się dowiedzieć. Jack westchnął w duchu i zauważył:

- Zapomniałeś o jednym ważnym wydarzeniu: o lady Clarice. Kiedy przyjechała?

James uśmiechnął się szeroko.

- Dwa miesiące po tym, jak opuścił nas twój ojciec. Jak się okazało, było to całkiem fortunne.

- Fortunne?

- Cóż. Twój ojciec zawsze był filarem tutejszego życia. Jego słowo było prawem, nie tylko w sensie jurysdykcji, ale wszyscy w okolicy polegali na jego radzie i jeszcze bardziej na jego osądzie, wyroku, jeśli wolisz, w dużych i małych sporach. Ludzie w okolicy przyzwyczaili się, że tak powiem, zależeć od niego, a potem nagle go zabrakło. I ciebie także nie było.

- Ale ty byłeś.

James westchnął.

- Obawiam się, drogi chłopcze, że kwalifikacje do uzyskania akademickiego stanowiska w Balliol odbiegają znacznie od tego, co dawałoby umiejętność zastąpienia twojego ojca. Zanim przyjechała Clarice niemal zapanował chaos.

Jack ukrył zdumienie.

- I ona wszystko to... naprawiła?

- Tak. W przeciwieństwie do mnie... - James uśmiechnął się pokornie -...była szkolona do tej roli.

- Wspominała, że jest córką Meltona. Co więc tutaj robi?

- W rzeczy samej. Melton to mój kuzyn. Mój ojciec był młodszym bratem jego ojca.

Jack mocno zacisnął usta i po prostu czekał. W końcu James głośno się zaśmiał.

- Chociaż wszystko to wydaje się teraz starożytną historią, opowiem. Clarice była czwartym dzieckiem Meltona z jego pierwszą żoną, jedyną córką z tego związku. Jej matka, Edith, zdecydowanie liczyła się jako wielka dama, bardzo silna kobieta.

Zapewne stąd siła Boudiki.

- Edith zmarła od gorączki, kiedy Clarice była mała. Miała cztery czy pięć lat, nie pamiętam. Melton ponownie się ożenił i

ze swą drugą żoną spłodził gromadę córek i czwartego syna. Nie wiem o nich wiele. Jednak życie Clarice bez wątplenia podążyłoby utartym torem... Nigdy nie brakowało rodzin chętnych, by związać się z domem markiza... Tyle że w wieku szesnastu lat ona obdarzyła uczuciem syna sąsiada, gwardzistę. Niezupelnie to planował dla niej Melton, ale chłopak był dziedzicem niezgorszej posiadłości, więc ojciec pozwolił Clarice się z nim spotykać. Wszystko szło dobrze, lecz później nadeszła kampania na Półwyspie, ten młody mężczyzna wyjechał do Hiszpanii i zginął tam w potyczce. Clarice była zdruzgotana. Zamiast zostać przedstawiona w towarzystwie i udzielać się podczas sezonu, cicho spędzała następne lata w Rosewood, głównej posiadłości Meltona.

- Co więc sprowadziło ją tutaj?

- Ach, jesteśmy ledwie w połowie opowieści. - James przerwał, porządkując myśli, po czym mówił dalej: - Jak powiedziałem, nigdy nie brakowało dzentelmenów zerkających na szkatuły Meltona, a Clarice jest o sześć lat starsza od swojej kolejnej siostry. Oto na scenę wkroczył pewien łobuz nazwiskiem Jonathon Warwick. Przyjechał do Rosewood i zalecał się do Clarice, lecz był na tyle sprytny, żeby ukryć swoje prawdziwe oblicze.

- Pamiętam Warwicka. - James usłyszał w jego głosie twardy ton. - Spotkaliśmy się dawno, podczas tego roku, który spędziłem w mieście, zanim się zaciągnąłem. Nawet wtedy „łobuz” byłoby łagodnym określeniem.

- W rzeczy samej. Zanim Warwick zabrał się do Clarice, jego posiadłości były zadłużone po ostatnią piędź ziemi, wierzyciele monitowali go na prawo i lewo, ale on wciąż wyglądał i odgrywał rolę nieskazitelnie eleganckiego dzentelmena, całkowicie nadającego się na męża. I miał spore doświadczenie w tym, jak najlepiej sprzedać swoją urodziwą twarz.

Jack zanotował sobie w myślach, że jeżeli kiedykolwiek znów spotka Warwicką, znajdzie sposób, by przefasonować to

urodziwe oblicze.

- Z tego, co słyszałem, Warwick doprowadził sprawę do takiego stanu, że zwrócił się do Meltona o zgodę na ślub, a kiedy ten, co oczywiste, wyrzucił go za drzwi, Warwick przekonał Clarice, żeby z nim uciekła. Oczywiście nie zamierzał narażać na szwank swojego ewentualnego przystąpienia do kręgów elity. A więc zamiast naprawdę porywać pannę, wysłał wiadomość do Meltona wraz z żądaniem i groźbami. Z punktu widzenia Meltona najłatwiej było po prostu go spłacić. Ale ani Warwick, ani Melton nie spodziewali się, że nieoczekiwanie pojawi się Clarice i podsłucha rozmowę o transakcji. Według Meltona wpadła jak burza, zmiażdżyła Warwicką wzrokiem, po czym spoliczkowała go na tyle mocno, że spadł z krzesła. Po wyrażeniu swojej opinii o jego przodkach, wyszła. Melton był z niej dumny.

Jack zmarszczył czoło.

- A więc, żeby uciec przed plotkami, przyjechała aż tutaj?

- Nie. Przestań wybiegać przede mnie, chłopcze - zachnął się James. - W każdym razie, czy potrafisz wyobrazić sobie Clarice przejmującą się plotkami? W rzeczy samej, nie jestem pewien, czy wielu jest takich, którzy poważaliby się o niej plotkować. Niezależnie od tego jej reakcja na incydent z Warwickiem była właśnie taka. Uznała, iż najwyższy czas powrócić do stolicy i znaleźć sobie męża. Miała dwadzieścia lat, nadeszła pora, by opuścić ojcowski dom. Konkluzja godna szacunku, z którą zarówno Melton, jak i jego druga żona zgadzali się z całego serca, zatem z typową dla siebie determinacją w następnym sezonie Clarice ruszyła do boju.

Jack nie miał kłopotu z wyobrazeniem sobie tego.

- Jakkolwiek, i tutaj wyciągam wnioski z tego, co mi opisywano, okazało się, że Clarice trudno zadowolić. Nikt z tabunów chętnych dżentelmenów, którzy padali jej do stóp, nie zyskał jej przychylności. Co gorsza, po dwóch sezonach zyskała sobie reputację góry lodowej, niezdolnej stopnieć dla żadnego mężczyzny.

Jack zamrugał. Zimna jak lód to nie było określenie, jakiego on użyłby wobec Boudiki.

- Co przybliżyła nas do jej trzeciego i ostatniego sezonu. Do samego jego początku, kiedy jej macocha, Moira, i Clarice wróciły do stolicy. Istniała korespondencja między Meltonem a wicehrabią Emsworthem, której Clarice z początku nie była świadoma. Wszystko sprowadzało się do tego, że Emsworth miał tytuł, posiadłości, ale niewiele gotówki, szukał posażnej i dobrze skoligaconej narzeczonej.

- Clarice pasowała do jego założeń, jak rozumiem. - Jack usłyszał własny ponury ton.

Dlaczego poczuł się tak, jak gdyby miał ochotę przyłożyć Emsworthowi w twarz...?

- Co do joty. Emsworth napisał do Meltona, prosząc go o rękę Clarice. Przedstawił swoją ofertę jako odpowiadające wszystkim stronom małżeństwo z rozsądku. Moira była już wtedy zdesperowana, pragnęła wydać Clarice za męża i mieć ją z głowy. Jej najstarsza córka szykowałą się do wprowadzenia do towarzystwa w następnym roku. Ze wszystkich córek Meltona Clarice była jego ulubienicą, miała najlepszy posag, a także dziedziczyła znaczną kwotę po matce, i posiadała bardziej... hmm... imponującą powierzchowność niż jej przyrodnie siostry. W rzeczy samej, gdy ona była w pokoju, tamte wtapiały się w tapetę na ścianie, można więc przynajmniej zrozumieć nastawienie Moiry.

Jack trzymał język za zębami i czekał na dalszy

- Moira naciskała na Meltona, żeby przyjął ofertę Emswortha. Melton chciał skonsultować to z Clarice, ale Moira przekonała go, że pozwolenie Emsworthowi na zalecanie się do Clarice wpłynie na jej decyzję. W końcu Melton się poddał. Jednak na małżeństwo zgodził się pod warunkiem, że Clarice też się zgodzi. Wyszło na jaw - mówił James, a jego ton stawał się twardszy - że Moira i Emsworth również mieli umowę. Moira wiedziała, że Clarice nigdy nie zaakceptuje Emswortha, zarozumiałego tyrana, jak słyszałem. Pomimo jego wyraźnych

starań Clarice nie okazywała żadnych oznak, że zawrócił jej w głowie. Ale Moira nie zamierzała pozwolić, by kapryśne usposobienie Clarice stanęło jej córce na drodze do szczęścia, więc... wraz z Emsworthem wzięli sprawy we własne ręce.

- Jakże to?

- W dużym stopniu tak, jak odgadłeś. Zaaranżowali wszystko w ten sposób, by Clarice i Emsworth zostali nakryci przez dwie wielce znamienite matrony w kompromitującej sytuacji. Skandal wisiał w powietrzu, ale Emsworth bezzwłocznie wkroczył do akcji, by postąpić honorowo, i zaproponował ochronę, jaką dawało jego nazwisko.

- Jak wygodnie.

Ku zaskoczeniu Jacka James uśmiechnął się szeroko, słysząc tę sarkastyczną uwagę.

- Właściwie nie. Moira i Emsworth myśleli, że dopięli wszystko na ostatni guzik, ale nie wzięli pod uwagę... Clarice.

Jack zamrugał. Jego doświadczenia z towarzystwa nie były bogate, ale wystarczyły, by zrozumieć powagę sytuacji, a wszystko przemawiało przeciwko Clarice.

- Odmówiła?

Uśmiech Jamesa stał się szerszy.

- Kategorycznie. Przejrzała całą intrygę w mgnieniu oka i po prostu niezachwianie odmówiła - jak to ujęła - zgody na towarzyski szantaż i zawarcie takiego związku.

Jack zmarszczył brwi.

- Ale to był skandal. Więc dlatego Clarice mieszka teraz tutaj.

- Och, w rzeczy samej! Skandal nad skandalami, za który odpowiedzialna była przede wszystkim Moira, zdeterminowana, by zmusić Clarice do małżeństwa. Zanim Melton o tym usłyszał i przyjechał do miasta, reputacja Clarice została zrujnowana. Albo raczej - jej reputacja wisiała na włosku. Gdyby zgodziła się poślubić Emswortha, wszystko zostałoby wybaczone. Wiesz, jak załatwia się takie wprawy. I tu, niestety, nie najładniejsza strona Meltona wzięła górę. Był pedantem na punkcie

utrzymania dobrego imienia rodziny. Mimo że doskonale pojmował całą sytuację, włącznie z tym, że on sam był manipulowany, i tak się upierał, że sprawy zaszły tak daleko, iż Clarice musi wyjść za Emswortha, by ochronić rodowe nazwisko.

Jack wydał z siebie odgłos oburzenia.

James przytaknął.

- Właśnie, właśnie. Możesz sobie wyobrazić argumenty, tyrady i tak dalej. Jednak pomimo tej całej ciężkiej artylerii wytoczonej przeciwko Clarice, ona nie ustąpiła. Niewzruszenie odmawiała poślubienia Emswortha. Gdyby była mniej stanowczą kobietą, to - ośmielał się twierdzić - zastosowano by jakieś mniej ciekawe metody perswazji, ale kiedy Clarice oznajmi swoją decyzję, nikt, nawet wtedy, nie wątpił, że utrzyma ją aż po grób. A zatem...

- Pat - powiedział Jack.

Jego przydomek dla tej damy okazał się uderzająco trafny.

- W pewnym sensie, ale nie była to sytuacja, która mogła pozostawać bez rozwiązania. Melton naciskał, grożąc wygnaniem Clarice ze swego domu i posiadłości.

Szczęka Jacka mocno się zacisnęła. O co on walczył przez ostatnie trzynaście lat? Żeby bogaci arystokraci mogli tak bezczelnie grozić swoim córkom?

Jego rozczarowanie wyższymi sferami sięgnęło nowego szczytu.

- A zatem ty wkroczyłeś i sprowadziłeś ją tutaj.

Popatrzył na probostwo, do którego znowu się zbliżali.

- Nie bezpośrednio. Jej trzej starsi bracia byli przerażeni decyzją Meltona. Wstawili się za nią i nakłonili go, by pozwolił Clarice wycofać się z towarzystwa i mieszkać ze mną. W rodzinie jestem uważany za czarną owcę, bo zająłem się Kościołem i nawet nie dążyłem do władzy. Badanie strategii wojskowych nigdy nie było uważane za odpowiednie zajęcie dla Altwooda. Z drugiej strony, bywają chwile, kiedy rodzina jest wdzięczna, że posiada w swoim gronie człowieka Kościoła. W

tym przypadku, jako że żyję tak spokojnie, taki odcięty od towarzystwa, mój dom wydawał się idealnym schronieniem. Prawie jak te klasztory, do których zwykło się posyłać krnąbrne młode damy, by dumały nad swoimi wybrykami. - Swobodny uśmiech Jamesa powrócił. - Ku sporemu zaskoczeniu wszystkich Clarice się zgodziła.

Jack szybko spojrział na Jamesa.

- Czy ją wcześniej znałeś? Czy ona знаła ciebie?

- Tak, ale spotkaliśmy się tylko parę razy podczas rodzinnych zgromadzeń. Chociaż raczej nie opisałbym nas jako bratnie dusze, oboje doceniliśmy się nawzajem jako sensowne towarzystwo. Dopasowaliśmy się całkiem nieźle.

Jack nie potrafił sobie tego wyobrazić w swoim przypadku.

- Nie uważasz nieustannego towarzystwa takiej... damy - jędzowatej, zaprawionej w bojach wojowniczką - za irytującą?

- Ani trochę. Chociaż Clarice nie jest zbyt cicha czy spokojna, wiele dobrego można powiedzieć o prowadzeniu przez nią domu, jest wysoce kompetentna w tym względzie. I jak wspomniałem, radzi sobie ze wszystkimi problemami i kwestiami, które przy braku twojego ojca i ciebie przypadły w udziale mojej skromnej osobie. A zatem jej obecność jest dobrodziejstwem.

Jack wiedział dosyć, by czytać między wierszami, James bywał często nieobecny duchem, potrafił na długie godziny całkowicie pogrążyć się w swoich badaniach, nie zdając sobie sprawy, co wokół niego się dzieje.

Znaleźli się na wysokości schodów prowadzących do frontowego ganku. Jack się zatrzymał.

- A więc... mając już za sobą dosyć oświadczeń... trzy próby, wszystkie przygniatające porażki z takiego czy innego powodu... Clarice wycofała się tutaj, rezygnując z typowych romantycznych marzeń młodych dam?

James przystanął obok niego, z wyrazem zatroskanej zadumy na twarzy popatrzył na dom, w którym obiekt ich rozmowy był bez wątpienia zajęty robieniem czegoś bardzo

pożytecznego.

- Tak sądzisz? Wiesz, ja zawsze postrzegalem to w inny sposób. Że Clarice odsunęła od siebie i utraciła świat bez miłości.

Jack zamrugał. Rozmyślał o tym przez chwilę, a potem zerknął na frontowe drzwi.

- Być może. - Upłynęła kolejna chwila, a potem się poruszył. - Lepiej wróć do dworu.

James poklepał go po ramieniu i rozstali się. Wciąż zadumany Jack ruszył po podjeździe.

* * *

Dla Clarice popołudnie płynęło zbyt szybko, wypełnione mnóstwem zadań i obowiązków, które spoczęły na jej barkach. Pani Swithins, matka wikarego, zjawiała się, żeby omówić - znowu - listę dyżurów przy dostarczaniu kwiatów do kościoła. Później wpadł Jed Butler z oberży, by poprosić o radę w sprawie zmian, jakich zamierzał dokonać w szynku.

Dochodziła czwarta, cienie zaczynały malować zakamarki domu tajemniczą liliową barwą. Narzuciwszy na ramiona cienki szal, Clarice wyruszyła pieszo do dworu, żeby sprawdzić, co z młodym dżentelmenem.

I jeżeli Warnefleet był w pobliżu, to żeby przyznać się do pomyłki uznania go za lekkomyślnego pana na włościach, hulakę i nicponia.

Nadal nie wiedziała dokładnie, jaką rolę odegrał w minionych wojnach, ale dostatecznie знаła zainteresowanie Jamesa sprawami wojskowości, by zaryzykować pewne domysły. Warnefleet był jakiegoś rodzaju szpiegiem, nie tylko kimś, kto obserwuje i składa raporty, ale aktywnym... agentem - czy to dobre określenie?

Nie umknęła jej ironia sytuacji, jedyną wymówką dla zaniedbania obowiązków, jaką zaakceptowałyby bez zastrzeżeń, było to, że mężczyzna służy swemu krajowi w niebezpieczny i

wymagający poświęcenia sposób. Jej zdaniem tylko jeden obowiązek przewyższał ten, jaki ona i jej sfera winne były zwykłym ludziom - powinność względem kraju.

Była wychowywana do tego, by zarządzać wielkimi posiadłościami, by poważać i w istocie żyć wedle pewnego kodeksu opartego na pojęciu *noblesse oblige*, ale wywodzącego się z serca, z prawdziwego zrozumienia tego, na jak wielu poziomach ludzie współistnieją w majątku ziemskim. Jak polegają jedni na drugich i jakie to dla wszystkich ważne, by być docenianym, zachęcany, otoczonym bezwzględną opieką.

Los mógł postanowić, że nie odegra roli, do jakiej była wychowywana - roli pani na zamku poprzez małżeństwo, lecz okoliczności postawiły ją w bardzo podobnej roli tutaj, w Avening, gilzie z jednej strony dbała o Jamesa i jego domostwo, z drugiej zaś doglądała dobrobytu szerszej społeczności wioski oraz okolicznych domów i farm.

Była to rola, która ją cieszyła, która dawała jej to, czego jej było trzeba - jakieś zajęcie. Mogła wykorzystać swoje zdolności.

Usłyszała ptasią wrzawę przy skrzydle domu, podniosła wzrok i zobaczyła dwie pikujące jaskółki, zataczające kółka wysoko w górze. Patrzyła za nimi przez chwilę, za niebiesko-czarnymi smugami na tle łagodnego błękitu, po czym poprawiła szal i ruszyła dalej przez pole.

Tak, pomimo sytuacji, która ją tu sprowadziła, Clarice była zadowolona.

Warnefleet. Mijając bramę probostwa, zmarszczyła czoło. Czy on zamierza zakłócić jej spokój? Stanać na jej drodze?

Idąc w kierunku dworu, rozważała, na ile to prawdopodobne, nie istniała przyczyna *per se*, by to zrobił. Może i nie był darmozjadem, za jakiego go przedtem miała, ale był tylko mężczyzną, a co więcej, mężczyzną bez żony.

Skręciła przy bramie dworu i rażnym krokiem przemierzyła podjazd.

Była w połowie drogi do domu, kiedy turkot kół powozu kazał jej spojrzeć przed siebie. W swojej dwukółce przybył

doktor Willis. Uśmiechając się, ustąpiła na pobocze. Willis ściągnął lejce swojego podjezdka, by zatrzymać się obok niej, i uchylił kapelusz.

- Lady Clarice. Właśnie dopiero co opuściłem pani młodzieńca.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Trudno powiedzieć, żeby był mój, ale w istocie jest młody.

- Co do jego stanu... - Z twarzy doktora ulotniło się ożywienie, pozostawiając w zamian chmurny wyraz. - Nadal jest nieprzytomny. Próbowaliśmy zwykłych metod, by go ocucić, ale żadna nie zdała się na nic, ma zatem tyle wygody, ile mogłem mu zapewnić, a Connimore będzie go miała na oku. Poleciłem, żeby posłano po mnie, kiedy tylko nastąpi jakakolwiek zmiana.

- Jakie są obrażenia?

Willis wyrecytował całą listę złamanych kości i stłuczeń. Oboje spotykali się nieustannie przy łóżkach chorych i konających przez ostatnie siedem lat.

- Dopilnuję, by informowano pana o jego stanie.

- Dziękuję, moja droga. - Willis dotknął kapelusza, a potem zebrał lejce. - To ulga wiedzieć, że jesteś w pobliżu. Warnefleet też ma doświadczenie z obrażeniami, w rzeczy samej, musi odczuwać pewną więź z naszym pacjentem, ale ja nie znam go dobrze i zawierzam twojemu osądowi.

Clarice popatrzyła za nim, po czym z uśmiechem odwróciła się i poszła dalej.

Warnefleet miał doświadczenie z obrażeniami... Zapewne odnosił obrażenia w trakcie lat swego... szpiegowania. Zdrowy rozsądek sugerował, że takie zajęcie mogło być bardziej niebezpieczne niż zwykła żołnierka.

Ale co miał na myśli Willis, mówiąc, że Warnefleet będzie czuł więź z rannym mężczyzną? Warnefleet nie miał w tej chwili połamanych kości, tego była całkiem pewna. On sam - jego siła - nie wydawały się ani trochę nadszarpnięte, kiedy

podnosił roztrzaskany powóz, ani gdy ją pochwycił.

Marszcząc brwi, dotarła do rezydencji. Frontowe drzwi był otwarte, jak to często bywało przy ładnej pogodzie. Nie kłopotowała się pukaniem, tylko weszła do środka. W głębi holu zastała lokaja, powiedział jej, w którym pokoju ulokowano młodego mężczyznę. Ruszyła po schodach na górę. Dwór był sporą budowlą, solidną i wygodną, Clarice zawsze podobały się gobeliny w żywych barwach, wiszące na ścianach przy schodach. Takie same kolory niczym klejnoty widniały w sklepionym, trójdzielnym oknie na półpiętrze, słońce przeświecało przez nie promieniami o jaskrawych barwach, nakrapiając starannie wypolerowane drewno.

Weszła na górę i skierowała się w głąb korytarza.

- Gdyby ktoś mnie pytał, to z tym pańskim londyńskim chirurgiem trzeba by pogadać. - Głos pani Connimore wydostawał się z pokoju przez otwarte drzwi w połowie korytarza. - Co za pomysł, mówić panu, że wszystko ot tak samo przejdzie z czasem!

- Ale tak się stanie - Warnefleet odrzekł uspokajająco.

Clarice zwolniła kroku.

- Zapewniam panią, że Pringle to specjalista od takich ran. - Warnefleet mówił z przekonaniem, jednak i z cierpliwą rezygnacją wobec nieufności Connimore. - Kilka miesięcy odpoczynku, to znaczy bez niepotrzebnego nadwyreżania, i będę jak nowo narodzony. Poza tym, jakie inne lekarstwo mógłby zastosować? Nie istnieje eliksir, który by to wyleczył w magiczny sposób, a biorąc pod uwagę umiejscowienie, interwencja chirurgiczna to coś, czego raczej bym sobie nie życzył.

Odpowiedzią Connimore było potępiające mruknięcie.

- Cóż, będziemy musieli po prostu zadbać, żeby niepotrzebnie nie nadwyreżował pan tego miejsca przez kilka najbliższych miesięcy.

Clarice zamrugała, słysząc nacisk w słowach Connimore. Jakaż to część anatomii Warnefleeta została zraniona?

- Możemy tylko mieć nadzieję - odparł Warnefleet z wyraźnym rozbawieniem.

Clarice miała trzech starszych braci i jednego młodszego, w tonie Warnefleeta było coś, co dało jej do myślenia...

Zadarła podbródek i weszła do pokoju.

Przystanąła w otwartych drzwiach. Dzięki chodnikowi w korytarzu ani Warnefleet, ani pani Connimore wcześniej jej nie słyszeli. Oboje skupili się na rannym leżącym na łóżku. Warnefleet pomagał swojej gospodyni przy myciu młodego mężczyzny, oboje byli zajęci naciąganiem czystej nocnej koszuli na jego szczupłe ciało.

- Gotowe!

Connimore wyprostowała się. Sięgnęła po nakrycie, kiedy Warnefleet poprawił wycięcie koszuli na szyi mężczyzny, a potem się odsunął.

- Jak u Pana Boga za piecem. Teraz gdyby tylko się obudził...

W chwili, gdy Jack przestał się skupiać na młodzieńcu, wyczuł obecność innej osoby. Nie... on wyczuł jej obecność, nie był ani trochę zaskoczony, widząc wysoką i władczą Boudikę.

Napotkała jego wzrok i skinęła głową. Pani Connimore zauważyła ją i dygnęła. Boudika uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Spotkałam doktora Willisa. Powiedział mi, że ten dżentelmen nie odzyskał jeszcze świadomości.

Jack zastanawiał się, dlaczego zasłużył na uśmiech.

- Ano tak, to prawda. - Connimore zerknęła mi łóżko i skrzywiła się. - Próbowałam wszystkiego: palonych piór, amoniaku... ale on jest ciągle nieprzytomny.

Spojrzenie Boudiki pomknęło ku Jackowi, jej następne pytanie było adresowane jednocześnie do niego i do Connimore.

- Czy w jego rzeczach było cokolwiek, co by nam powiedziało, kim on jest?

Connimore popatrzyła na Jacka, Boudika zrobiła to samo.

- Płaszcz od Shultza, a buty od Hoby'ego.

Boudika zmarszczyła czoło.

- A zatem osoba z towarzystwa.
- Na to wygląda. Faeton pochodził od jednego z lepszych wytwórców przy Long Acre. - Po chwili Jack zapytał: - Nadal żadnego przebłysku, kim on może być?

Popatrzyła mu w oczy, a potem pokręciła głową.

- Żadnego. - Spojrzała znowu na młodego mężczyznę leżącego w pościeli. - Zdecydowanie wyglądu znajomo. Ja po prostu nie potrafię skojarzyć podobieństwa.

- Proszę przestać się tym martwić. - Jack obszedł łóżko, żeby stanąć obok niej, on również przypatrywał się młodzieńcowi. Brązowe włosy, brązowe brwi, gładko zarysowane czoło... - patrycjuszowskie rysy milcząco świadczyły o arystokratycznym pochodzeniu. - Jeżeli przestanie pani starać się na siłę, powiązanie samo się nasunie.

Zerknęła na niego przelotnie, po czym odwróciła się do pani Connimore.

Jack, nie poruszając się, pozostał u jej boku. I czekał.

Boudika postępowała tak, jak gdyby on nie istniał. Spytała o szczegóły wizyty Willisa, i Connimore je zrelacjonowała. Boudika była wyrozumiała, pomocna i zachęcająca, a Connimore opowiadała nie tylko o tym, co zrobili, ale także o swojej trosce o stan młodego mężczyzny.

Niechętnie i nieoczekiwanie Jack był pod wrażeniem. Dowiedziawszy się, jaką rolę Boudika przyjęła w lokalnej społeczności, oczekiwał, że się pojawi, próbując przejąć stery, nawet pomimo tego, że teraz on tu jest. To do niej należało ramię, na którym Connimore z pewnością by się wsparła. Zanim zakończyły rozmowę, Connimore nabrała otuchy, a Boudika uzyskiwała wszelkie najdrobniejsze okruchy informacji, jakie zebrali na temat młodzieńca i jego obrażeń.

Należały mu się przeprosiny, które sprawiłyby mu szczerą satysfakcję.

Ale wąpił, by Boudika często przepraszała.

W końcu, nie mając innego wyjścia, odwróciła się ku niemu,

stał między nią a drzwiami. Jej ciemne oczy wbiły się w niego lodowato - ostrzegając?

- Czy mogłabym zamienić z panem słowo, milordzie? - Jej głos był spokojny, a ton pogodny.

Uśmiechnął się, cofnął i skinął ręką w stronę drzwi.

- Oczywiście, lady Clarice. - Przesunęła się obok niego, idąc za nią, mruknął tak cicho, że tylko ona mogła to usłyszeć: - Czekałem, by poznać pani zdanie.

Obrzuciła go spojrzeniem dostatecznie ostrym, by przeciąć bryłę lodu, po czym ruszyła korytarzem. On poszedł za nią, przy większości kobiet musiał chadzać powoli, ale żeby dotrzymać kroku Boudice, trzeba było niemal maszerować.

Dotarłszy do schodów, Clarice zatrzymała się. Dołączając do niej, Jack już miał zaproponować, żeby udali się do jego gabinetu.

- Ogród różany - powiedziała, patrząc prosto przed siebie, zaczęła schodzić po schodach. - Powinam się rozejrzeć, skoro już tu jestem.

Ogród różany jego matki? Jack pamiętał go jako dzikie chaszczce. Niegdyś było to szczególne miejsce, po jej śmierci ojciec nakazał, by pozostało nietknięte. Jack nigdy nie zrozumiał tej decyzji, ale wszyscy się podporządkowali, ogród rozkwitał bajecznie przez kilka kolejnych lat, jak żywe i pachnące wspomnienie, lecz zaniedbanie dało w końcu o sobie znać, ścieżki i arkady w obrębie kamiennego muru zarosły, i ogród stał się miejscem, do którego nikt już się nie zapuszczał.

Nie będąc pewien, co go czeka, podązał tuż za Clarice, która poprowadziła ich przez pokój na taras, w dół po schodkach i przez trawnik do małej bramy sklepionej kamiennym łukiem.

Przez krótką chwilę Jack pomyślał, że cofnął się w czasie.

Ogród był dokładnie taki, jaki oglądał oczyma siedmiolatka, mieniące się morze barw i kształtów, jaskrawozielonych liści, ostrych cierni i żywych pąków.

Clarice sunęła naprzód główną ścieżką, kierując się do altanki w odległym krańcu ogrodu, gdzie stała kamienna

ławeczka, a z niej roztaczał się widok na małą sadzawkę i fontannę.

Jego umysł podsuwał obrazy z dzieciństwa - widział siebie samego z blond czupryną opadającą na oczy, biegającego po tych wszystkich ścieżkach całymi godzinami. Wszystkie drogi prowadziły do altanki, w której jego matka czekała roześmiana, a on pędził w jej kierunku, by opowiedzieć o największym pąku w ogrodzie, o ciemnych, czerwonych jak krew różach, które lubił najbardziej, o bogatym, niemal przytłaczającym aromacie dozywającym się falami z jej ulubionego ciemnoróżowego kobierca kwiatów.

Bezwiednie rozejrzał się za nim i znalazł go na dawnym miejscu, pokrytego zdrowymi pączkami.

W końcu dotarł do końca ścieżki. Ominąwszy kamienną ławkę, Boudika przystanąła przy sadzawce, leniwie przypatrując się pączkom na opadającym kaskadą krzewie i cierpliwie czekając, aż Jack do niej dołączy.

Nabierając głęboko powietrza i smakując zapomniane aromaty, które ono niosło, niechętnie oderwał myśli od przeszłości.

- Czy pani to zrobiła?

- Nie osobiście. Zasugerowałam Warrenowi, ogrodnikowi, którego Griggs znalazł po odejściu Hedgemore'a, by oczyścić to miejsce i przywrócić tu porządek.

Jack łatwo to sobie przetłumaczył: „oczyścić i przywrócić porządek” oznaczało ponownie do stosować do najbardziej surowych wymagań - wymagań lady Clarice Altwood. Rozejrzał się, o tak, Warren także ją zrozumiał.

- Czy oni, Griggs i pozostali, powiedzieli pani, dlaczego ogród został zaniedbany? - Jack przeniósł wzrok z powrotem na jej twarz.

Nie zarumieniła się, jak mogłoby to zrobić wiele innych kobiet na jej miejscu.

- Powiedzieli mi, że pański ojciec nakazał go zamknąć, ale wtedy jego już nie było, a szczerze mówiąc, ja nigdy nie

widziałam sensu w celebrowaniu śmierci zamiast celebrowania życia.

Przynajmniej w sprawie ogrodu i jego obecnego stanu była tak spokojna i pewna siebie, jak na to wyglądała.

Nie mogła wiedzieć, że zwróciła mu coś, co oplakiwał, nawet o tym nie wiedząc, i zwyczajnie ujęła to w proste, dojrzałe słowa, dokładnie takie, jakie on, będąc chłopcem, zawsze przeczuwał, ale nie był w stanie wyrazić.

- Jest taki, jakim go zapamiętałem. - To było wszystko, co potrafił wymyślić, wszystko, co mógł powiedzieć bez trudności.

Znowu na nią spojrzął. Ku jego zaskoczeniu teraz jej alabastrowe policzki zabarwił blady rumieniec. Świadoma tego, jak i jego spojrzenia, przyznała:

- Znalazłam notatki pańskiej matki ze szczegółowym planem ogrodu. Nie myślałam, że będzie pan miał coś przeciwko temu, bym z nich skorzystała i przywróciła ogród do stanu, w jakim był niegdyś.

Wpatrywał się w jej twarz, a potem znów się rozejrzał.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Wyczuł, że nieco się odprężyła, jej napięcie zmalowało. Zebrała się w sobie.

- A teraz, milordzie, sądzę, że winna jestem panu przeprosiny.

Słowa były energiczne, ale spokojne. Skutecznie wyrwały go z rozmyślań o minionych czasach, przenosząc do teraźniejszości.

Uśmiechnął się do niej. Z uwagą.

- Zamieniam się w słuch, milady.

Jej spojrzenie stało się ostrzejsze. Rozważała w duchu, czy poinformować go, że napawanie się triumfem jest wyrazem nieokrzesania, po czym uniosła podbródek.

- Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, mylnie pana oceniłam, milordzie. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

Clarice czekała, jakby pragnąc, żeby po prostu przytaknął. Zamiast tego Jack tylko uniosł brwi.

- Mylnie mnie oceniła? A to w jaki sposób, jeśli mógłbym poważyc się na śmiałość i spytać?

Poczuła, że jej spokój się burzy. „Poważyć się na śmiałość”, doprawdy.

- Jak pan doskonale wie, pomyślałam... wydedukowałam z tego, co usłyszałam od innych osób w okolicy... że wcale nie troszczył się pan o swoje ziemie i był całkowicie zaabsorbowany typowymi, frywolnymi i błahymi rozrywkami dżentelmenów. Ten pogład, jak się okazuje, był mylny.

Jego brwi uniosły się wyżej.

- Myślałem, że to moja przedłużająca się nieobecność wywołała pani gniew?

Zacisnęła mocno usta, po czym przytaknęła.

- W rzeczy samej. Ale teraz rozumiem, że ta nieobecność była... wybaczalna. Zrozumiała.

- Być może nawet godna pochwały?

Wstrzymała oddech, po czym znów przytaknęła.

- Nawet i to.

Uśmiechnął się jak zadowolony z siebie samiec.

Wypuściła powietrze, rada, że ma to już za sobą...

- Nie usłyszała pani niczego konkretnego od ludzi z okolicy, ani nie pytała pani, co o mnie myślą. Pochopnie wyciągnęła pani nieuzasadnione wnioski.

Nagle podniosła wzrok na kogoś, czyj honor podała w wątpliwość.

Był jednym z niewielu mężczyzn, jakich w życiu spotkała, którzy sprawiali, że czuła się... taka drobna. I jakaś jej część wiedziała, że on nawet się nie starał, nie próbował celowo jej onieśmielać.

Przyznanie się do błędu nagle wydało się łatwe. Nawet wskazane. Wytrzymując jego surowe spojrzenie, skinęła głową.

- Tak.

Zamrugał. Jego brwi znowu się uniosły, tym razem, kiedy jego oczy napotkały jej wzrok, wyczuła zaskoczenie, prędko zastąpione wątpliwym rozbawieniem, ale zdołał powstrzymać

się od uśmiechu.

- Tak po prostu? Żadnych uników?

Jej oczy zwięzły się w szparki, splatając ręce, wbiła w niego wzrok tylko o ton łagodniejszy od lodowatego.

- Postanowił pan to utrudnić, nieprawdaż?

- Utrudnić? Ja? Każdy w okolicy zapewni panią, że jestem najbardziej wyrozumiałym dżentelmenem, jakiego kiedykolwiek mogłaby pani spotkać.

- Niemądrze z ich strony.

- Byłoby nieroztropnie wyciągać jakiegokolwiek dalsze pochopne wnioski na mój temat, nie sądzi pani?

- Przeoczenie rzeczy oczywistych było bardziej nieroztropne.

Rozbawienie znów zatańczyło na jego wargach, gdyby chodziło o kogokolwiek innego, Clarice rozżościłaby się, w jego przypadku była zaintrygowana...

Niezwykłość tego odczucia gwałtownie sprowadziła ją na ziemię.

- Wybaczyl mi pan. Wiem, że tak. Nie ma sensu ciągnąć tego dalej...

- Nie wybaczyłem pani. - Jack przesunął się i zbliżył do niej, jednym krokiem zamykając ją w pułapce przy brzegu sadzawki. Misa fontanny wznosiła się na wysokość ramienia, powstrzymując ją przed odchyleniem się do tyłu. Jack przypatrywał się jej oczom z bliska, tak intensywnie ciemnym, że trudno było w nich czytać, ale wyczuwał z przyspieszonego oddechu, że udało mu się przykuć całą jej uwagę.

Pozwolił sobie na sarkastyczną minę, lecz oczy rozjaśniły się wyrazem zrozumienia.

- Może gałązka oliwna? To mogłoby na mnie jakoś wpłynąć. Mogłoby mnie udobruchać.

I moje demony.

Musiał walczyć ze sobą, by nie przysunąć się jeszcze bliżej, by nie naciskać na nią jeszcze bardziej... by nie czuć jej ciała zbyt wyraźnie...

Oblizwała wargi. Jack patrzył, jak koniuszek jej języka ślizga się po soczystym łuku dolnej wargi, coś zacisnęło się mu wokół żołądka. Mocno.

- Jaka gałązka oliwna?

Zdołała złapać dosyć oddechu, by mówić spokojnie, ale wyniośle - wystarczająco, by pobudzić jego mniej cywilizowane instynkty.

- Pocałunek.

Nie musiał się nawet zastanawiać. Tego właśnie od niej chciał, teraz, tutaj, w przywróconym przez nią do życia ogrodzie jego matki.

Nie wyglądała na wstrząśniętą. Ani niechętną... Musiał ze sobą walczyć, by trzymać instynkty w ryzach, by dać jej dość czasu na wyrażenie zgody, nim ją pochwyti i nią zawładnie.

Spoglądała na niego nie tyle czujnie, ile raczej oceniająco

Nie był zaskoczony jej reakcją, daleką od pensjonarskiej. Na podstawie tego, co ujawnił James, Jack wyliczył, że miała dwadzieścia dziewięć lat. Była dwukrotnie zaręczona, raz zęgnęła gwardzistę odchodzącego na wojnę, raz znalazła się o krok od ucieczki z mężczyzną. Wielu ją adorowało. Jack znał mężczyzn ze swojej klasy, znał też kobiety. Ona nie była - nie mogła być - całkiem niewinna.

I mieszkała tutaj od siedmiu lat, zaszyta na wsi bez nikogo - żadnego dżentelmena na poziomie i z klasą, z którym mogłaby flirtować. A teraz on wrócił do domu. Żeby zostać.

Mógł niemal dostrzec ciąg faktów sunących przez jej umysł.

Nie był ani trochę zaskoczony, kiedy powiedziała:

- W zamian za pocałunek... jeden pocałunek i nic więcej... zgodzi się pan nigdy więcej nie wspominać ani nie czynić aluzji do mojego wyciągania pochopnych wniosków?

Przytaknął.

Jej ciemne oczy rozbłyły. Dobrze więc, jeden pocałunek.

Uśmiechnął się i wyciągnął ku niej rękę.

Rozdział 4

Jeden pocałunek. Clarice nie była w stanie się temu oprzeć. Musiała wiedzieć, musiała się upewnić, że był taki sam jak wszyscy inni - nieważny. Że gwałtowna reakcja, jaką w niej wzbudzał, była tylko odstępstwem od normy, które nic nie znaczyło, i że mogła je zignorować. A jeden pocałunek - tylko jeden - nie mógł stanowić zagrożenia. Całowano ją już wcześniej, jej zdaniem czynność ta była przeceniana.

W chwili gdy jego dłoń dotknęła jej talii, w chwili gdy jej piersi dotknęły jego torsu uświadomiła sobie, że się pomyliła.

Oddech uwiązał jej w gardle.

Jedna dłoń objęła jej kark.

Przez jedno uderzenie serca jego usta zawisły nad jej ustami - i w tej chwili zdała sobie sprawę, że Jack pragnie, by ten pocałunek był daleki od czegoś, co można łatwo wyrzucić z pamięci.

Potem uwięził jej usta. Nie przemocą, nie siłą, ale pokusą.

Clarice starała się zachować bierność - i przegrała. Oszołomiona stwierdziła, że odpowiada, a wcale tego nie chciała. Na pewno nie zamierzała rozchyłać dla niego warg, aby między nie wślizgnął się jego język i przyjemność rozwinęła się jak kwiat róży.

Została zwabiona.

Jeżeli tak było, to on sam i jego usta nadawały się do tego. Wiedziała, czego chciał, wiedziała, co zamierzał, a jednak wciąż sunęła naprzód, podążając za jego zręcznym, bardzo umiejętnym przewodnictwem. W głąb czegoś fascynującego, intrygującego, pasjonującego - tego wszystkiego, czym pocałunki nigdy dla niej nie były.

Tylko pocałunek, zakłęta w duchu, lecz jej członki nie reagowały na jej wezwanie, kiedy Jack gładko zagarnął ją w ramiona, otoczył ją swoją siłą - siłą, która z tak bliska ogrzewała i koła.

Kusiła i wabiła.

Tego się nie spodziewała. Nie znosiła być więziona,

ograniczana. Kontrolowana. Ale kiedy przyciągnął ją do siebie, do swojego silnego ciała, cały jej opór się ulotnił, musiała walczyć z pragnieniem porzucenia zdrowego rozsądku.

A pocałunek trwał, będąc subtelnym, choć jawnym poszukiwaniem. Jack nie pytał o pozwolenie, porywając ją na głębsze wody. Wody, po których nie pływała nigdy przedtem.

Odległa część jej umysłu była wstrząśnięta odkryciem, że została oskrzydłona, wyprowadzona w pole poza znajome tereny. Zanurzona - nie łagodnie, lecz gwałtownie - w świecie doznań i pragnień, w którym wirowała namiętność, jak dotąd niewyraźna, bardziej jak mgła i obietnica niż jak twarda rzeczywistość, a jednak gorąca, wymagająca i podniecająca. Każdy nacisk jego warg, każde aż nazbyt umiejętne powolne pchnięcie jego języka, powodowały fale pożądania.

Wysyłały w jej ciało żar, osłabiając członki, topiąc jej żelazną stanowczość.

Jack poczuł, że jej dłonie suną w górę po jego piersi, wahają się na jego ramionach, po czym unoszą, by objąć jego twarz. Pojmował, jak bardzo odpowiada jego upodobaniom. Nawet unieruchomiony w pocałunku, zanurzony w doznaniach czuł dotyk jej chłodnych palców na policzkach, na szczęce, znał odpowiedź.

Prawie się ucieszył.

Mocniej zacisnął wokół niej ręce, chciwie przyciągając ją do siebie. Czuł obietnicę w każdym centymetrze jej cudownego ciała. Zachwył w twardości jej piersi.

Wtedy odpowiedziała mu pocałunkiem - nie tylko zareagowała, ale chwyciła jego głowę w dłonie i wycisnęła na nim nienasyconą, spragnioną, wyzywającą namiętną pieśczęotę warg i języka. Sprawiała, że jego zmysły zawirowały, jawnie zachęcała nie tylko jego, ale i samą siebie.

To ostatnie poznał instynktownie, wiedział, że poszukiwała tak samo jak on wcześniej, ale w jej przypadku to nie było tak cielesne jak u niego, lecz całkowicie pogrążało ją w doznaniach i emocjach. Chciała tego, chwyciła chwilę i wszystko, co

ofiarował.

Rozkoszował się tym wszystkim, delektując się obietnicą skrywaną w uderzającym do głowy zaproszeniu. W jej śmiałej i prowokującej odpowiedzi.

I zaczął planować.

Jakaś drobna cząstka jego umysłu gratulowała mu właśnie zdrowego rozsądku w podjęciu decyzji, by jak najszybciej coś zdziałać w tej sprawie, gdy wtem na brukowanej ścieżce rozległy się czyjeś kroki.

Jack podniósł głowę, jak zwykle czujny.

Miał satysfakcjonującą świadomość, że minęła dobra chwila, nim Clarice odzyskała pełnię świadomości.

- W boczną ścieżkę - powiedział cichym głosem. - Nie widzieli nas.

Rozejrzała się, wciąż nieco oszołomiona. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem, żeby sprawdzić, czy to zauważył, udawał, że nie zdaje sobie z niczego sprawy, patrząc gdzieś za nią, w kierunku, z którego nadchodził Crawler

Crawler zobaczył ich, jego podstarzała twarz wygładziła się.

- Howlett powiedział, że mu się zdawało, że państwo poszli w tę stronę.

Jego spojrzenie przeniosło się na Clarice.

- Pani wybaczy, milady, ale gdyby miała pani chwilkę, jak pani skończy z jego lordowską mością...

Clarice zerknęła w stronę Jacka.

- Całkowicie skończyłam z jego lordowską mością. W czym mogę pomóc?

Poruszyła się i podeszła do Crawlera, Jack zdusił w sobie przemożną chęć wyciągnięcia ręki i zawrócenia jej z powrotem, i wyszeptania do ucha, że bardzo jej daleko do skończenia z nim albo jemu do skończenia z nią.

Nie po tym pocałunku.

- Zastanawiałem się - odpowiedział Crawler czy ma pani jakieś pomysły co do tej nowej klaczy, na której jeździ pan Trelliwell. Jemu się chyba zdaje, że klacz nie wytrzyma jego

wagi, i chce ją sprzedać. Podał dobrą cenę, ale zastanawiałem się, czy może słyszała pani jakieś pogłoski... czy był jakiś inny powód...?

Boudika uśmiechnęła się. Znacząco. Oczy Crawlera rozżarzyły się.

- Słyszałam - odparła - że pan Trelliwell ucierpiął w wyniku dosyć krępującego wypadku, kiedy parę tygodni temu uczestniczył w polowaniu na lisa. Słyszałam, że dosiadał gniadej klaczy, a ta klacz jest gniada, czyż nie?

- Przerzuciła go przez ogrodzenie, co nie? No, mnie to pasuje, ja ją chcę do rozplodu. Ma niezłe kształty. - To Crawler skierował do Jacka. - A ja lubię, jak klacz ma charakterek.

- W rzeczy samej. - Jack uśmiechnął się jowialnie, jak mężczyzna do mężczyzny. - Na klaczkach z charakterem jeździ się najlepiej.

Zerkając szybko na Boudikę, Crawler dzielnie przełknął rubaszny śmiech.

Ale Clarice spoglądała w dół, zaabsorbowana poprawianiem spódnic. Kiedy podniosła wzrok, na jej twarzy malował się zwykły wyraz pogodnego spokoju.

- Panowie zechcą mi wybaczyć. Muszę wracać na probostwo.

Crawler natychmiast się uklonił.

- Dziękuję za radę, milady. Pojadę do pan Trelliwella jutro z rana.

Skierowała do Crawlera łaskawy uśmiech, ale kiedy odwróciła się do Jacka, w jej oczach nie było nic prócz mrocznego ostrzeżenia.

- Lordzie Warnefleet. - Dumnie skinęła głową, po czym dodała nieco łagodniej: - Witamy w domu.

Po tych słowach odwróciła się i odpłynęła główną ścieżką.

Jack patrzył za nią, chmurząc się w duchu nie tylko z powodu prostego faktu, że nie chciał, by odchodziła. Stwierdził, że trudno jest mu oderwać wzrok od eleganckiej linii jej pleców, idealnego zarysu jej bioder...

Zmusił się, by popatrzeć na Crawlera.

- A więc powiedz mi o tej klaczy. I co tam jeszcze zdziałałeś w kwestii hodowli, ty stary rozpustniku?

Crawler zarechotał i opowiedział mu o wszystkim, kiedy ruszyli ku stajniom.

Ale większa część umysłu Jacka pozostała w ogrodzie różanym, przy szansie, którą postanowił wykorzystać, mimo bardzo mieszanych uczuć, jakie wzbudzała w nim pewna królowa-wojowniczką. I które on wzbudzał w niej.

Był pewien, że odgadła, iż nie zadowolony go jeden pocałunek, i że tego dotyczyło ostrzeżenie w jej oczach, i że dlatego tak prędko podchwyciła pierwszą okazję do ucieczki. Czy naprawdę myślała, że zdoła go odstraszyć zaledwie jednym surowym spojrzeniem?

Zapewne.

Niestety, oceniła go błędnie - znowu. Miał solenny zamiar ją ściagać, i zrobi to, ale był zbyt mądry, żeby po prostu runąć naprzód do starcia z królową-wojowniczką okopaną w swojej twierdzy. Będzie ją ściagał, ale na własnych warunkach.

W czasie dla niego odpowiednim, na swój własny sposób, w miejscu, które sam wybierze.

Tak, stanowczo w miejscu, które sam wybierze.

Takim, które będzie wykluczało wszelkie ryzyko zakłócenia ich spokoju.

* * *

Jack leniwie spędził wieczór. Obiad, który postawiła przed nim pani Connimore, zadowolony króla, później w bibliotece, tuląc w dłoni kieliszek brandy, Jack myślał, iż wielka to szkoda, że nie było tam z nim pewnej królowej-wojowniczką, by dzielić z nim te chwile.

Siedział i sączył trunek, pozwalając, by przenikały go spokój i cisza domu, senne tykanie szafkowego zegara, kojący trzask polan w kominku, ciepła fala brandy rozplywająca się po ciele,

przypomnienie ognia, jaki wzbudziła Boudika...

Po długiej chwili poruszył się na krześle, a następnie śmiało skierował myśli na kwestię sukcesji. Istniał tylko jeden plan, ale jeżeli sprawy ułożą się po jego myśli, to zupełnie wystarczy.

Z każdą chwilą męczący dzień coraz bardziej dawał o sobie znać, Jack czuł ból w skroniach.

Osuszywszy kieliszek, poszedł na górę, po drodze zauważając rozmaite drobne przedmioty jak przebłyski z przeszłości...

Był w domu.

* * *

Spał dobrze, lepiej niż przez ostatnie trzynaście lat. Obudził się z jasnym umysłem, wstał, umył się i ubrał, uczucie oczekiwania dodawało mu otuchy.

Przechodząc przez galerię, zobaczył panią Connimore wychodzącą z sypialni, w której leżał młody mężczyzna. Przystanąwszy u szczytu schodów, Jack zaczął, aż dołączy do niego gospodyni.

- Dzień dobry, milordzie. - Pani Connimore rozpromieniła się. - I miło jest móc to powiedzieć, zapewniam pana.

- Dziękuję pani, i dzień dobry. Jak pacjent?

Pani Connimore posmutniała.

- Jeszcze nie wśród nas.

Jack skinął głową i ruszył po schodach w dół. Connimore poszła za nim.

Posłę wiadomość do doktora Willisa i do lady Clarice.

Jack przystanął, po czym otrząsnął się z chęci spytania, dlaczego lady Clarice Altwood miałyby by informowana, to by tylko wzburzyło panią Connimore, a Boudika, bądź co bądź, odegrała istotną rolę w ratowaniu tego dżentelmena.

Jack skierował się do pokoju śniadaniowego. Nie chciał, by cokolwiek zaciemniało jego radosny nastrój.

Po rozprawieniu się z talerzem szynki, jajek i naleśników, popitych kubkiem mocnej kawy przy przeglądaniu najświeższych wiadomości, udał się do gabinetu, do Griggsa. Spodziewał się, że jego lojalny przedstawiciel chętnie zapozna się ze wszystkim, co zostało zrobione podczas nieobecności Jacka, i zapozna go z obecnym stanem posiadłości. Nie rozczarował się, Griggs, z rumieńcem zadowolenia na starczych policzkach, z niemalą dumą rozłożył księgi rachunkowe.

Duma była uzasadniona, posiadłość znajdowała się w lepszym stanie, niż Jack sobie wyobrażał.

Czymś czego także się nie spodziewał, była częstotliwość, z jaką imię Clarice pojawiało się w wyjaśnieniach Griggsa dotyczących ulepszeń w majątku.

- Następnie... - z binoklami uczezionymi nosa Griggs rozłożył przed Jackiem kolejną księgę rachunkową -...udało nam się zwiększyć plon z południowych pól.

Jack nie mógł się powstrzymać przed pytaniem:

- Lady Clarice...?

- Zasugerowała... och, już kilka lat temu... że Hidgson mógłby uprawiać na przemian koniczynę i zboże. Wydawało się, że nie zaszkodzi spróbować, więc tak zrobił. - Griggs wskazał schludny rząd cyfr. - Zbiory wzrosły o dziesięć procent w pierwszym roku, potem o kolejne pięć procent w kolejnym. Teraz stosujemy ten sam system na polach od wschodu, i tam też daje to dobre wyniki. Jeśli zechce pan tu spojrzeć...

Jack spojrział, zaabsorbowany, i sam sobie zadał pytanie, dlaczego mu to przeszkadza.

Jego tu nie było. Była ona.

Spacer do stajni przed lunchem powinien był przywrócić mu dobry humor, zamiast tego, słuchając, jak Crawler odświeża jego informacje na temat koni i stanu bydła, dowiedział się, że Clarice miała o koniach, bydło i owcach niezwykłą wiedzę. A przynajmniej wystarczającą, żeby zyskać szacunek Crawlera, zatwardziałego mizogina, za którego Jack zawsze go uważał.

Nadeszła pora lunchu, kiedy później Jack złożył wizytę pani Connimore w kuchni, odkrył, że z przepisem na zupełną szparagową, która tak mu smakowała, jego służbę zapoznała... lady Clarice.

Zmusił się do czarującego uśmiechu i spytał o młodego dżentelmena.

- Żadnych zmian. - Connimore pokręciła głową. - Lady Clarice przysłała wiadomość, że wstąpi tu dziś po południu.

Uśmiech Jacka stężał.

- Obawiam się, że się z nią rozminę. Zamierzam objechać posiadłość.

Skinąwszy głową, opuścił kuchnię, pomaszerował do stajni, kazał osiodłać Challengeera, a potem wskoczył na konia i pognął na przelaj przez pola. Jego pola. Jego ziemię.

Modlił się, żeby jego dzierżawcy nie zasypywali go opowieściami o lady Clarice i jej sugestiach.

Oczywiście, tak właśnie zrobili.

Zanim zwrócił łeb Challengeera w kierunku domu, miał już bardzo wyraźny obraz tego, jak Boudika spędzała czas. I chociaż jakaś cząstka jego umysłu mówiła mu, że jego instynktowna reakcja na jej działania była nieracjonalna - ona nie starała się wtrącać, ani nie uzurpowała sobie praw do jego pozycji - to jednak nadal czuł się dotknięty, słusznie czy nie.

A nawet... zlekceważony, w jakiś nieokreślony sposób.

Nielogiczne, irracjonalne i wzięwszy pod uwagę Boudikę, zapewne idiotyczne, ale nie mógł się otrząsnąć z tego wrażenia, nie mógł uwolnić się od tych emocji.

Skreślił w większą drogę i spoglądając przed siebie, dostrzegł ją rozmawiającą z oberżystą, Jedem Butlerem, a potem, kiedy zobaczył ich, jak wchodzi do szynku, nie mógł się powstrzymać.

Pozostawiając Challengeera z synkiem Jeda na podwórzu za oberżą, cicho wśliznął się do szynku przez boczne drzwi. Ani Clarice, ani Jed go nie usłyszeli, stali zwrócenii twarzami do pokiereszowanego barowego kontuaru. Skryty w cieniu za ich

plecami, Jack nasłuchiwał.

- Pomyślałem sobie, że jakbyśmy zburzyli tę ścianę tutaj, to można by otworzyć to pomieszczenie z tyłu. Prawie się go nie używa, a Betsy mówi, że można tam podawać chłopcom więcej jedzenia. Oni nie będą wchodzić do jadalni, rzecz jasna, z tymi ich buciarami i w ogóle to byśmy ich tam nic chcieli, a latem oni lubią stoły na zewnątrz, ale w zimie zrobilibyśmy z tego naprawdę przytulny kąt, i oni by mieli trochę miejsca przy barze, żeby zjeść i wypić.

Boudika przez cały czas kiwała głową.

- Sądzę, że to doskonały pomysł, ale...

- Lady Clarice. - Jack usłyszał we własnym głosie twardą komendę, złagodził ton, kiedy Clarice i Jed odwrócili się ku niemu. Dobrotliwie skinął głową obojgu. - Jed.

Jed zamrugał, a potem się uklonił.

- Milordzie.

Clarice przestudiowała jego twarz. Zanim zdołała się odezwać, Jack chwycił jej dłoń.

- Wybacz nam, Jed, chcę zamienić kilka słów z lady Clarice. - Przelotnie napotkał jej wzrok. - Na zewnątrz.

Pociągnąłby ją za sobą - wywłókłby - lecz po tej ulotnej wymianie spojrzeń poszła z nim ochoczo, jeśli nawet nie skwapliwie, nie dając mu nawet tej drobnej satysfakcji. Trzymając jej dłoń w swojej, wyprowadził ją przez boczne drzwi na tylne podwórze i skierował się do sadu za oberżą. Podeszedł do furki w murze. Zauważył, że Boudika zupełnie bez wysiłku dotrzymuje mu kroku.

Ta myśl tylko dołała oliwy do ognia.

Trzy kamienne stopnie prowadziły do sadu, Jack zszedł po nich i dotarł pod drzewa. Boudika zatrzymała się bez ostrzeżenia, zaparła się i cofnęła.

- Lordzie Warnefleet!

- Jack. - Krótko i zwięźle rzucił jej przez ramię swoje imię i szarpnął nią, by szła dalej.

Zmuszona została do pójścia za nim, chciał być dostatecznie

daleko od drogi, by nie usłyszał ich żaden przechodzień.

- Jeżeli zamierzasz być mną, mogłabyś przynajmniej używać mojego imienia!

- Co... co takiego?

- Nie udawaj niewiniątka, to do ciebie nie pasuje.

Upłynęła chwila, nim się odezwała:

- Pan wybaczy?

Jej głos zmienił się w lód, mroząc zimnym ostrzeżeniem.

Zignorował to.

- Mogłabyś o to poprosić.

- Czy pan postradał zmysły?

Znajdowali się pośrodku sadu, gdzie za całe towarzystwo mieli tylko drzewka i kwiaty jabłoni. Jack zatrzymał się i gwałtownie odwrócił ją twarzą do siebie.

- Jeszcze nie.

Nadal trzymał jej dłoń, dzieliło ich ledwie pół kroku.

Czytała w jego oczach.

- Może cię to zainteresuje, że gdy zapoznawałem się na nowo z moją posiadłością, ze wszystkimi licznymi aspektami jej funkcjonowania, ciągle rozbrzmiewał jeden refren: „Lady Clarice zasugerowała”. Lady Clarice zasugerowała to, lady Clarice zasugerowała tamto... wydaje się, że bardzo niewiele jest moich spraw, madam, do których nie przyłożyłabyś ręki!

Clarice wstrzymała oddech, wyprostowała się i zeszywniała. W dole brzucha narastało odrętwiające uczucie, była całkiem pewna, że wie, co się stanie. Walczyła ze sobą, by zachować obojętny wyraz twarzy, by ukryć reakcję na jego raniące słowa.

Irytacja - bardzo gwałtowna, pełna napięcia wprost się z niego wylewała.

- A teraz, po całym dniu słuchania, jaka byłaś zajęta w ciągu tych lat, kiedy mnie nie było, odkrywam, że udzielasz konsultacji w sprawie znaczącej przebudowy oberży. - Umilkł na moment, przygważdżając ją wzrokiem.

- Może cię zainteresuje, że oberża należy do mnie. - Jego ton był ostry jak brzytwa. - Żadne zmiany nie mogą być

dokonywane bez mojej wyraźnej zgody...

- W rzeczy samej. - Utrzymała spokojny ton, gdyby obojgu puściły nerwy, rozpełtałoby się piekło. - I gdybyś pozwolił mi dokończyć to, co miałam powiedzieć Jedowi, usłyszałbyś, jak mówię, że oberża jest własnością dworu, że zanim dokona jakichkolwiek zmian, musi postarać się o zgodę we dworze, i że ponieważ teraz jesteś już w domu, powinien zwrócić się bezpośrednio do ciebie.

Jack zamknął usta. Ale nie dało się cofnąć tego, co już powiedział. Co już ujawnił. Wiedzieli o tym oboje.

Zastanawiała się, co on teraz zrobi z tym fantem.

W końcu Jack głęboko nabrał powietrza w płuca, puszczając dłoń Clarice, ale przepelniające go napięcie nie zelżało ani na jotę.

- Lady Clarice. - Ton jego głosu nadal był uszczypliwy. - Gdyby któryś z moich ludzi zwrócił się do pani w jakiegokolwiek sprawie, która dotyczy terenów należących do Avening Manor, zechciej go skierować bezpośrednio do mnie. Byłbym niezmiernie wdzięczny.

Zanim zdążył dodać coś jeszcze, przytaknęła, równie ostro jak on.

- Jak pan sobie życzy, lordzie Warnefleet. Przykro mi, że moje doradzanie pańskim ludziom wprowadziło pana w zakłopotanie. Na moją obronę mam to, że oni naprawdę potrzebowali pomocy, pana tutaj nie było, ale ja byłam. Działo się tak przez siedem lat, więc pytanie mnie o różne sprawy stało się ich nawykiem. To oczywiste, że będą potrzebowali nieco czasu, zanim uświadomią sobie, że jest tu teraz pan, i że mogą zwracać się do pana. Nie potrafię udawać, iż żałuję, że im pomagałam, mogę jednak zapewnić, że od tej pory będę odsyłać wszystkie ich prośby do pana.

Odwróciła się do niego plecami.

- Życzę panu miłego dnia, lordzie Warnefleet.

Uszła dwa kroki, po czym się zatrzymała. Unosząc głowę, spytała, nie odwracając się:

- A nawiasem mówiąc, czy odkrył pan jakikolwiek przypadek, by moja porada spowodowała jakkolwiek szkodę ludziom lub ich posiadłościom?

Po dłuższej chwili Jack odparł:

- Nie.

Clarice skinęła głową.

- No właśnie.

Nie oglądając się za siebie, spokojnie odeszła w stronę oberży.

Jack pozostał w sadzie pod tą przeklętą jabłonią, patrzył za nią. Patrzył, jak odchodziła, jej plecy były sztywno wyprostowane, ruchy wdzięcznie opanowane, a jednak coś aż krzyczało, że została zraniona.

Ale zrobił to, co należało. Był teraz w domu, był dla swoich ludzi, by się go radzili. Ich zależność od niej musiała się skończyć, i faktycznie istniał tylko jeden sposób, by to osiągnąć...

Wypuścił powietrze, opierając dłonie na biodrach, spojrzał w górę, na obłoki różowych i białych płatków, i zaklął w duchu. Być może powinien być bardziej taktowny. Być może nie powinien był stracić... nie był nawet pewien, czy kierował nim temperament, czy raczej coś bardziej prymitywnego, jakaś potrzeba terytorialnej dominacji.

Lecz względu na wszystko, miał prawo tak postąpić ale... było mu przykro, kiedy zobaczył jej plecy, kiedy widział ją odchodzącą od niego w taki sposób.

Było mu przykro, gdy słyszał lekko pogardliwe, zdecydowanie zimne słowa: „Lordzie Warnefleet”.

* * *

Stanowczo zrobił to, co należało. Powtarzał sobie to jak refren, kiedy następnego dnia po śniadaniu usadowił się w gabinecie, żeby przejrzeć plany inwestycji. Właśnie dodawał kolumny cyfr, kiedy do drzwi zapukał Howlett. Wyglądał na

zakłopotanego.

- Milordzie... Jest tu pani Swithins... Życzy sobie listę dyżurów przy dostarczaniu kwiatów do kościoła. Lady Clarice zazwyczaj...

- Nie, nie. - Jack odłożył pióro. - Wprowadź.

Howlett wykonał polecenie. Pani Swithins okazała się potężną damą o ostrych rysach, ubraną w stylu zarówno bardziej surowym, jak i bardziej oficjalnym niż na ogół preferowany przez prowincjonalne damy o jej pozycji. Wełniany płaszcz miał futrzany kołnierz, sterczący do przodu czepek mocowała szeroka wstążka zawiązana na wielką kokardę pod podwójnym podbródkiem.

Wstając, Jack uśmiechnął się swoim najbardziej czarującym uśmiechem, naprędce weryfikując domysły, kimże też jest owa pani Swithins. Słyszał wcześniej, że nowym wikarym Jamesa, z którym dopiero miał się spotkać, został niejaki pan Swithins, Jack założył, że pani Swithins będzie żoną wikarego. Jednak ta kobieta musiała być raczej jego matką.

- Pani Swithins.

Wskazał jej krzesło.

- Lordzie Warnefleet. - Dama dygnęła i majestatycznie podeszła, by przycupnąć na skraju krzesła, sztywno wyprostowana. - Jestem niezmiernie zadowolona, że pan powrócił, sir, cały i zdrowy, i gotów podjąć obowiązki, które słusznie do pana należą.

Uśmiechnęła się do niego, ale nie zdołało to złagodzić jej kamiennego spojrzenia. Jack poczuł ochotę, by temu zaprzeczyć albo przynajmniej odpowiedzieć wymijająco.

- Rozumiem, że ma pani jakieś pytania dotyczące jakiejś listy prac na rzecz kościoła. - Ponownie zajmując miejsce, Jack przybrał przepaszający wyraz twarzy, który gwarantował mu zdobycie sympatii największych zatwardziałców. - Obawiam się, że ma pani nade mną przewagę. Dopiero co powróciwszy, nie jestem świadom, jaką listę ma pani na myśli.

- Cóż! - Piers pani Swithins uwypukliła się imponująco. -

W tym mogę panu pomóc. Chodzi u dostarczanie kwiatów na niedzielne i środowe nabożeństwa.

Jack rozsiadł się i słuchał, jak pani Swithins opisuje harmonogram wprowadzony w życie przez Clarice, zgodnie z którym ta właśnie pani Swithins dostarczała kwiaty w co drugą niedzielę i środę.

- To by znacznie uprościło sprawę, milordzie, gdyby lista została zmieniona w ten sposób, bym dostarczała kwiatowe dekoracje w każdą niedzielę, a pozostałe panie podzieliły się między sobą wszystkimi środami. - Pani Swithins przerwała, przypatrując mu się, po czym dodała: - O wiele łatwiej by nam było, gdybyśmy nie musieli starać się pamiętać, który tydzień jest który.

Jack uniósł brwi.

- To wydaje się całkiem rozsądne. - Cichutki głosik szeptał mu, że Clarice nie wprowadziłaby skomplikowanego harmonogramu, gdyby wystarczył prosty, zignorował to jednak. - Nie widzę powodu, by nie udoskonalić listy tak, jak pani proponuje. Zaraz. - Przysunął sobie arkusik papieru.

- Kim są pozostałe zaangażowane w to damy?

Pani Swithins się rozpromieniła.

- Och, nie musi się pan kłopotać powiadamianiem ich milordzie. - Niemal puchła z dumy

- Z radością roześlę wiadomość.

Instykt zaiskrzył ostrzegawczo. Wstając, by odprowadzić panią Swithins do drzwi, Jack postarał się go zignorować. Na miłość boską, to tylko kwiaty do kościoła, a nie jakaś sprawa życia lub śmierci

Gdy pani Swithins wyszła, wyraźnie zadowolona ze swojego pierwszego spotkania z nowym lordem Warnefleetem, ten ponownie zasiadł na swoim krześle i powrócił do projektów.

Nadal zmagał się z dochodami z upraw - był tam jakiś element przyczyniający się do wzrostu łącznych kwot z ostatnich lat, którego nie potrafił rozpoznać.

Zajrzał Howlett, żeby zapowiedzieć lunch.

Jack podniósł się i przeciągnął, rozkoszując się, w myślach poczuciem zatopienia na powrót w jakże znajomym, choć długo odsuwanym rytmie życia na wsi. Wychodząc za Howlettem z gabinetu, dotarł do frontowego holu akurat w chwili, gdy przy drzwiach rozległ się dzwonek.

Howlett pospieszył, żeby otworzyć. Zaciekawiony Jack poszedł za nim.

- Chcę się widzieć z jego lordowską mością! - zażądał poruszony kobiecy głos. - To ważne, Howlett!

Jack trzymał się z tyłu, zasłaniany przez drzwi. W głosie młodej kobiety usłyszał nadciągającą rozpacz i to go zmroziło. Łzawe sceny nigdy nie były jego mocną stroną.

- O co chodzi, Betsy? - Howlett odezwał się z troską, życzliwie i uspokajająco.

- O kwiaty do kościoła! - lamentowała Betsy. Ta stara wiedźma Swithins powiedziała, że jego lordowska mość „zupełnie się z nią zgodził”, że powinna mieć wszystkie niedziele! To nie w porządku, jak on mógł tak postąpić?

Jack zamrugał. Howlett posłał mu z ukosa pytające spojrzenie.

Lord, szykując się do walki, wyszedł zza Howlett na korytarz.

Betsy go zobaczyła i zadrżała.

- Milordzie, ja...

- Wejdz do środka. - Jack uśmiechnął się wyćwiczonym uśmiechem i miał nadzieję, że uda mu się oczarować żonę oberżysty. - Rozumiem, że jest jakiś problem z kwiatami. Nie całkiem to ogarniam... Może wejdziesz i mi to wyjaśnisz?

Betsy łypnęła na niego dosyć ostrożnie, ale przytaknęła i weszła do środka. Jack wprowadził ją do gabinetu, gdzie przycupnęła, jeszcze bardziej nerwowo, na tym samym krześle, które wcześniej zajmowała pani Swithins.

Jack zajął miejsce za biurkiem, kiedy Howlett znów zajrzał do pokoju.

- Pani Candlewick i Martha Skegs właśnie idą w stronę

dworu, milordzie.

Pani Candlewick była żoną bednarza, a Martha pomagała w oberży.

Betsy odzyskała nieco pewności siebie.

- One tu przyjdą w sprawie kwiatów, tak samo jak ja.

Jack westchnął w duchu. Spojrzał na Howletta.

- Wprowadź panie.

Słuchanie trzech kobiet jednocześnie, skarżących się na tupet matki wikarego - to najbardziej pochlebne słowo, jakiego użyły na to, co ich zdaniem było targnięciem się przez panią Swithins, na ich prawa i przywileje - sprawiło, że Jack był gotów rwać sobie włosy z głowy.

Głowa mu pękała, kiedy podniósł rękę, ucinając trzy monologi.

- Drogie panie, obawiam się, że moja dzisiejsza decyzja w sprawie harmonogramu była oparta na niedostatecznej wiedzy. Przemyślę tę decyzję, ale najpierw chcę się naradzić z innymi, żeby się upewnić, iż to, co postanowię, jest sprawiedliwe dla wszystkich. Nie chciałbym popełnić kolejnego nieświadomego *faux pas*.

Kobiety wydawały się ułagodzone jego wypowiedzią. Skinęły głowami z aprobatą, a ich wzburzenie osłabło.

Pospiesznie rozważając dostępne możliwości, spytał:

- Wedle poprzedniej listy, kto układałby kwiaty w najbliższą niedzielę?

Kobiety wymieniły spojrzenia.

- Ona - odparła Betsy. - Swithins.

- A zatem, bez względu na to, której listy przestrzegamy, faktycznie nic się nie zmienia aż do przyszłego tygodnia. Ponownie przejrzę listę i prześle ją wszystkim paniom oraz pani Swithins do poniedziałku. Czy to wystarczy?

- Tak, dziękujemy, milordzie - odezwały się chórem.

- O ile tylko Swithins nie dostanie więcej niż te niedziele, które się jej należą. - W oczach pani Candlewick ciągle płonęły wojownicze błyski.

Jack podniósł się, kiedy wstały.

- Dopilnuję, żeby ostateczna lista była sprawiedliwa i godziwa.

Wszystkie zaakceptowały to zapewnienie. Betsy nawet uśmiechnęła się, kiedy nieśmiało ucisnęła dłoń Jacka, i wyszła razem z pozostałymi starszymi kobietami.

Jack patrzył za nimi, gdy oddalały się po podjeździe, po czym w końcu udał się na lunch.

Zapewne sądziły, iż naradzi się z Clarice, mimo że nie wymienił jej imienia. A jednak musi być ktoś inny, kto także może mu doradzić.

Po lunchu zwrócił się do Connimore.

- Ja na pewno nie potrafiłabym powiedzieć, milordzie. Cóż, prawda jest taka, że nie chciałabym nic mówić. Ta pani Swithins to stara dziwaczka, ale bądź co bądź jest matką biednego wikarego, i co innego ma do roboty? Ale z drugiej strony Betsy, Clare Candlewick, i Martha dostały po nosie... Cóż, cieszę się, że nie jestem na pana miejscu i nie muszę rozstrzygać, co tu jest dobre, a co złe.

Jack także nie był pewien, czy chce być na własnym miejscu, nie w tej sprawie, ale... do niedzieli były jeszcze trzy dni. Do tej pory coś wymyśli.

Młody dżentelmen nie odzyskał jeszcze świadomości. Connimore powiedziała, że Willis przyjdzie później. -I bez wątplenia lady Clarice też zajrzy.

Jack szczerze w to powątpiewał. Zastanawiał się, czy powinien wyprowadzać Connimore z błędu, Jednak zamiast tego zostawił ją liczącą poszewki i skierował się z powrotem do swojego gabinetu. Do dochodów z upraw, które, jak się wydawało, w jakiś sposób powinny być wyższe, niż po trafił przewidzieć. To był jedyny sposób, w jaki liczby z poprzednich lat pasowałyby do jego przewidywań na obecny rok. Musiał być jakiś czynnik, który mu umykał.

Brał pod uwagę zapytanie Griggsa, ale nie po trafił dokładnie stwierdzić, o co chce zapytać, bez prześledzenia

zysków z całej posiadłości, część po części. Z głową ukrytą w dłoniach, na próżno starając się stłumić łupanie w skroniach, ponownie dodawał liczby.

Do pokoju zajrzał Howlett.

Jack podniósł wzrok, wdzięczny za przerwę.

- To Wallace, milordzie. Chciałby na słowo.

Wallace, jeden z jego dzierżawców, był powolnym, sumiennym rolnikiem, którego Jack znał przez całe swoje życie.

- Wprowadź go.

Wallace wkroczył ociężale. Jack podniósł się, wciąż się uśmiechając, i uściśnął mu dłoń.

- Od razu mi lżej na sercu, że znowu pana widzę milordzie, i że pan tak zdrowo wygląda. – Wallace skinął głową do Jacka, siadając. - I jest tak jak powinno być, kiedy pana widzę za biurkiem należącym niegdyś do pańskiego ojca, i w ogóle.

Jack się odprężył. Spokojny wiejski humor Wallace'a był po ciężkim poranku jak balsam.

Kiedy już wymienili uprzejmości, zaznajamiające Jacka z aktualnymi wieściami o rodzinie Wallace'a i o jego akrach, Jack zapytał:

- Wydaje się, że wszystko toczy się gładko jak zawsze. W czym mogę pomóc?

- Ano, cóż. - Wallace potarł zarośnięty podbródek. - Nad jednymi rzeczami się panuje, a inne... - Nabrał powietrza. - Chodzi o moją córkę, Mary. Spotyka się z chłopcem Johna Hawkinsa, Rogerem. Myślą o założeniu rodziny, a ja się zastanawiam, co byłoby dobre na wiano dla Mary. Nie chcę być skąpy, a John to stary przyjaciel, więc się wszyscy cieszymy ze ślubu, ale mam jeszcze dwie inne dziewczyny, no i oczywiście jest mój chłopak, Joe, który dostanie najwięcej. - Wallace napotkał wzrok Jacka. - Zastanawiałem się, czy by mi pan coś poradził, jaka duża powinna być część Mary?

Jack zamrugał. Nie miał bladego pojęcia, jaka część byłaby odpowiednim wianem dla Mary Wallace. Żadnego przypuszczenia, żadnej wskazówki. Ale Wallace patrzył na

niego tak, jakby właśnie on powinien to wiedzieć.

- Ach... zostaw to mnie.

Musiał być ktoś, kogo można zapytać, ktoś inny niż, pewna dama, która, jak był tego absolutnie pewien, oczywiście znalazłyby odpowiedź. - Rozpytam się po cichu. Będziesz w niedzielę w kościele? Wtedy dam ci znać, co wymyśliłem.

Wallace się rozpromienił.

- Będę bardzo wdzięczny za każdą pomoc, milordzie.

Odszedł z wyraźną ulgą.

Jack opadł na krzesło, zastanawiając się, jak sprostać tym oczekiwaniom.

Ledwie na nowo skupił się na wciąż nierozszyfrowanych arkuszach z liczbami, kiedy znowu rozległ się dzwonek. Jack rozsiadł się i czekał. Howlett pojawił się po dłuższym czasie, zamykając za sobą drzwi - co wiele mówiło.

- Niejaki pan Jones, milordzie. To handlarz jabłkami z Bristolu, zaopatruje wytwórców jabłecznika.

Brwi Jacka uniosły się. Zbiory jabłek z doliny zwyczajowo trafiały do kupców z Gloucester.

- Wprowadź pana Jonesa, wysłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Dżentelmen nazwiskiem Jones był niski, pulchny i jowialny, i trochę przypominał jabłko. Ale kiedy Jack leniwie podniósł się i wyciągnął rękę, zauważył srogość w oczach Jonesa i zaciętą linię ust.

- Panie Jones. Jak rozumiem, jest pan zainteresowany naszymi jabłkami?

Jones uściśnął jego dłoń.

- W rzeczy samej, milordzie. Właśnie tak.

- Proszę, niech pan usiądzie. - Jack wskazał krzesło przy biurku i sam usiadł. - A teraz, w czym mogę pomóc?

- Ach, cóż, milordzie, myślę sobie raczej, że jest odwrotnie. Jeżeli ma pan chwilkę, chciałbym wyjaśnić, jak moim zdaniem to ja mogę pomóc panu.

Jack skinął głową, gestem wskazując Jonesowi, by mówił

dalej i powstrzymał się od osądów. Jones usadowił się na krześle.

- Muszę powiedzieć, milordzie, że cieszę się, iż jest pan tu z powrotem w siodle.

- Prowadził pan wcześniej interesy z majątkiem?

Jones skrzywił się.

- Próbowałem. Składałem wizyty przez ostatnie pięć lat. Przez dwa pierwsze lata spotykałem się z pewnym starszym dżentelmenem... niejakim panem Griggim, jak mi się zdaje. Potem przez ostatnie trzy lata była ta... dama.

Jack był pewien, że Jones miał na końcu języka „baba”, ale zmienił zdanie. Jones popatrzył na niego pytająco.

- Czyżby to była pańska siostra?

- Jak pan powiada, ster spoczywa teraz w moich rękach. Zakładam, że chce pan złożyć ofertę?

Jones wyglądał na nieco zbitego z pantałyku, ale prędko przyszedł do siebie.

- To całkiem proste, milordzie. Mogę wziąć całe pańskie zbiory za szylinga więcej za buszel* niż dostanie pan od kogokolwiek innego.

- Rozumiem. - Ale Jack nie był pewien, czy rozumie. - Zwykle dostarczamy zbiory do kupców w Gloucester.

Jones szeroko otworzył oczy.

- Ale to jest interes, milordzie. Pan ma zbiory do sprzedania, a ja oferuję najlepsze warunki. Nie ma powodu, by czuł się pan zobligowany do godzeniu się na niższą cenę ze względu na przeszłość. Kupcy z Gloucester poradzą sobie, bez wątpienia. Jest mnóstwo innych sadów, ale moi klienci są najbardziej wybredni co do jakości jabłek, które trafiają do ich kadzi.

W umyśle Jacka pojawił się cień podejrzenia, liczby, z którymi zmagal się przez cały dzień... Jeżeli premia była elementem jabłkowych zbiorów, to zbilansowałyby jego przewidywania z poprzednimi dochodami.

Na nowo skupił się na Jonesie, czekającym z nadzieją na

odpowieź.

- Pańska oferta jest kusząca, panie Jones, ale będę musiał starannie ją rozważyć. - Pomijając wszystko inne, dwór prowadził pertraktacje w imieniu całej doliny, jego decyzja dotyczyłaby nie tylko zbioru z samego majątku, ale i od jego dzierżawców oraz od kilku niezależnych właścicieli ziemskich z okolicy. - Czy był pan już w Nailsworth?

- Nie, nie, dopiero zacząłem od tej części lasu. Avening zajmuje wysoką pozycję na naszej liście jakości zbiorów, więc zawsze tutaj zaczynam.

- Rozumiem. - Jack zanotował w pamięci subtelny nacisk na wspomnienie o udziale, był skłonny odrzucić ofertę, ale nie znał jeszcze całej historii. - W takim przypadku, jak sądzę, jako że Avening w rzeczy samej posiada zbiory najwyższej jakości, zechce pan odwiedzić nas za dwa dni, by poznać moją decyzję. Muszę skonsultować się z innymi plantatorami i określić, na czym stoimy w kwestii spodziewanych plonów.

- Tak, oczywiście. - Jones uśmiechnął się, wstał i wyciągnął rękę. - Jesteśmy gotowi wziąć wszystko, co pan ma, za cenę o jednego szylinga wyższą niż najlepsza oferta, jaką pan otrzymał od kogokolwiek innego. Ile tylko dolina może dostarczyć, jesteśmy chętni wziąć wszystko, do ostatniego buszla.

Jack skinął głową i odprowadził Jonesa do drzwi. Zamknąwszy za nim drzwi gabinetu, wrócił do biurka. Kiepsko skrywana radość Jonesa, gdy usłyszał, że Jack skonsultuje się z innymi plantatorami, wciąż nie dawała mu spokoju, ten mężczyzna wyraźnie myślał, że połakomienie się na tego dodatkowego szylinga za buszel zaowocuje ubiciem z nim interesu, ale musiał tu być haczyk. Robak w rumianym i lśniącym jabłku Jonesa.

Albo, być może, trucizna?

Jack wiedział, co podpowiadał mu instynkt, ale nie potrafił jeszcze dostrzec, co naprawdę zamierza Jones. Opadając na krzesło, przysunął do siebie arkusz z liczbami. Dziesięć minut

doliczania premii do ceny zbioru jabłek i na dłuższą metę liczby się zgadzały.

Ale to tylko zrodziło kolejne pytanie. Skoro Jonesowi, jak sam wyznał, nie udało się kupić zbioru jabłek z Avening przez ostatnie pięć lat, skąd brała się systematycznie wypłacana premia?

Jack odsunął krzesło, wstał i poszedł poszukać Griggsa. Przynajmniej teraz wiedział, jakie zadać pytania.

Rozdział 5

Później tego wieczoru Jack siedział w fotelu w swojej bibliotece, ze szklaneczką brandy i z bolącą głową. Rozpoczął ten dzień, czując się całkiem dobrze. Przeświadczony, że zrobił to, co należało, i że wszystko szybko samo się ułoży.

Kończył dzień nie tylko z poczuciem niepewności, ale także stojąc przed bardzo realną perspektywą konieczności zwrócenia się po radę do Clarice właśnie w tych kwestiach, w jakich - jak jej oznajmił - nie życzył sobie jej ingerencji.

Zamknawszy oczy, próbował zwalczyć uporczywy ból usytuowany w samym środku głowy. Naprawdę nie chciał roztrząsać tego, jak trudno będzie oczarować tę kobietę i przekonać do pomocy, ale jak się wydawało nikt inny nie mógł jej zastąpić. Ani Howlett, ani Connimore, ani Griggs. Jack wiedział, że lepiej nie kłopotać się zasięgnięciem rady u Jamesa.

Wcześniej znalazł Griggsa i zapytał go o odpowiedni posag dla Mary Wallace, ale Griggs, kawaler, który przez całe swoje życie pracował na rzecz posiadłości, nigdy nie miał do czynienia z takim problemem.

Odkładając to na bok, Jack przeszedł do bardziej konkretnego pytania o Jonesa i jego ofertę. Griggs potwierdził, że Jones składał wizyty przez pięć ostatnich lat, uważał tego człowieka za aroganckiego i trudnego w rozmowie. Clarice pomogła Griggsowi odprawić Jonesa, ale ostatnio rozmawiała z Jonesem sama, w imieniu Griggsa. Potwierdził, że jak dotąd

żadne jabłka z Avening, nie trafiły do Jonesa. Premie płacone za zbiory pochodziły od kupców z Gloucester, z którymi Clarice korespondowała za pośrednictwem Griggsa, targując się w imieniu plantatorów z Avening. Griggs jednakowoż nie znał szczegółów porozumienia między Clarice a kupcami z Gloucester.

Sytuacja przypominała pole bitwy, na którym jeden krok w złym kierunku może okazać się fatalny w skutkach.

Jack nie mógł się wypowiedzieć w żadnej z kwestii, przed którymi stanął, bez wglądu w sprawy, a ten miała tylko Clarice. Przywołując w myślach ich rozmowę w sadzie, przypominając sobie nie tylko własne słowa, ale i swój ton, Jack zamknął oczy i jęknął.

Będzie musiał się czołgać na kolanach.

Kiedy obudził się następnego ranka, natychmiast skierował myśli na to, jak tego dokonać. Przy jak najmniejszym uszczerbku na honorze. Gdyby chodziło o jakąkolwiek inną kobietę, nie martwiłby się, polegałby na swoim niezawodnym uroku, który jak dotąd nigdy go nie zawiódł, ale z Boudiką... Nie nadał jej tego przydomku bez powodu.

Popijał kawę i dumiał, kiedy ma tego dokonać, gdy wszedł lokaj, by uprzątnąć podgrzewacze do potraw. Jack spoglądał na tę scenę prawie niewidzącym wzrokiem - póki lokaj nie wsunął do kieszeni srebrnej łyżki do nakładania potraw.

Jack wyprostował się na krześle. Mężczyzna się odwrócił, żeby wyjść ze stertą naczyń w rękach.

- Chwileczkę.

Mężczyzna był nowy wśród służby, Jack nie znał jego nazwiska.

Lokaj usłużnie odwrócił się przodem do swego pana, jego twarz przypominała obojętną maskę, maskę wiernego służącego.

- Milordzie?

Jack wskazał na koniec stołu.

- Odstaw to.

Lokaj spełnił polecenie.

- Jak się nazywasz?
- Edward, milordzie.
- Wywróć kieszenie, Edwardzie.

Edward zamrugał i - z ociąganiem - usłuchał. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie, wyciągnął srebrną łyżkę i wpatrywał się w nią, jakby to był jadowity wąż.

- Zadzwoń na Howletta.

Głos Jacka pozbawiony był emocji. Patrzył, jak Edward ciągnie za szarfę dzwonka.

Po chwili pojawił się Howlett.

- Tak, milordzie?

Ledwie zerknął w stronę Edwarda, ale widząc twarz Jacka, spojrział nań ponownie.

Edward zwiesił głowę.

- Właśnie odkryłem, że Edward miał zamiar stąd wyjść ze srebrną łyżką w kieszeni. Sugeruję, byś mu towarzyszył w jego pokoju, podczas gdy on będzie się pakował, a następnie wyprowadzisz go z domu. - Jack wstał i minął Edwarda w drodze do drzwi, zatrzymał się obok Howletta. - Od Griggsa weź pobory, jakie mu się należą, i niech sobie idzie.

Oczy Howletta rozszerzyły się.

- Ach... tak, milordzie.

Wyglądał na wstrząśniętego, nawet porażonego.

Jack skinął głową i wyszedł na korytarz. Spochmurniał. Czy Howlett myślał, że Jack obwini go za przyjęcie lokaja niezashługującego na zaufanie? Na pewno nie. Akcent Edwarda wskazywał, że to londyńczyk, dosyć łatwo jest ukryć nikczemną przeszłość, kiedy przebywa się z dala od rodzinnych stron.

Wciąż niepewny, jak najlepiej podejść Clarice, skierował się na taras, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Za schludnie przystrzyżonym trawnikiem wabił ogród różany, ulegając pokusie, wiedząc, że przez to będzie się czuł jeszcze bardziej winny, poszedł tam, by rozprostować nogi.

Wrócił pół godziny później i zastał czekających na niego Howletta i Connimore.

- Czy moglibyśmy prosić na chwilę, milordzie? - odezwał się Howlett

Weszli za Jackiem do gabinetu. Jack stał za biurkiem, przypatrując się im uważnie.

- O co chodzi?

- Chodzi o Edwarda, milordzie. - Connimore wymieniła spojrzenia z Howllettem, następnie głęboko zaczerpnęła powietrza i spojrzała Jackowi prosto w oczy. - W tej chwili on jest w swoim pokoju, ale... Zanim go odeślemy, jak pan kazał, czy mógłby pan... - Connimore zaczęła nerwowo wyłamywać palce, aż wreszcie wyrzuciła z siebie jednym tchem: - Proszę, czy mógłby pan porozmawiać o nim z lady Clarice?

Howlett odchrząknął, równie zakłopotany. Powinien pan coś wiedzieć o Edwardzie, ale to nie nam o tym mówić.

Jack spoglądał to na jedno, to na drugie. Oboje znali go od urodzenia. Oboje nakłaniali go, żeby skonsultował się z Clarice, zanim popełni jakiś błąd...

Zapłonęła w nim irytacja, ale szybko zgasła. Ani Howlett, ani Connimore nie byli skłonni do bezsensownych zachowań, i ani oni, ani nikt inny nie wiedział o sytuacji, w jakiej znaleźli się Jack i Clarice. Sytuacji, która - jak czuł się zmuszony przyznać po półgodzinie spokojnego namysłu w ogrodzie różanym - była w dużej mierze zawiniona przez niego. Wywołała ją jego przesadna reakcja, i był na tyle uczciwy, żeby przyznać się sam przed sobą (nawet jeśli przed nikim innym), że gdyby chodziło o mniej silną kobietę, nie zareagowałby tak mocno.

- Dobrze więc. Porozmawiam z lady Clarice, a potem przyjrę się ponownie sytuacji Edwarda.

Connimore westchnęła z ulgą.

- Dziękuję, milordzie. Nie pożałuje pan tego, daję słowo.

- W rzeczy samej, milordzie. - Howlett uśmiechnął się, uspokojony.

Oboje odeszli do swoich zajęć, a Jack zaczął się zastanawiać, o co tu, do licha, chodzi - dlaczego jego zazwyczaj niezawodni, najzupełniej zdrowi na umyśle kamerdyner i gospodyni sądzą,

że wyrzucenie ze służby złodzieja to coś nieoczywistego.

Istniał tylko jeden sposób, by poznać odpowiedź na to pytanie i na wszystkie inne, które dręczyły go w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. I nie było sensu tego odwlekać. Jack nie wymyślił jeszcze żadnej cudownej taktyki, być może ta ostatnia sprawa będzie jego wybawieniem? Wytłumaczenie, dlaczego wśród służby miał złodzieja, mogło postawić Boudikę w mniej korzystnej sytuacji niż dotąd i dać mu trochę atutów do ręki.

Gdy o nią szło, przyjąłby pomoc choćby od diabła.

Wyruszył spacerem na probostwo. Zamiast trzymać się drogi, przeciął ją i przecisnął się przez przesmyk w żywopłocie, zastanawiając się od niechcenia, czy Clarice domyślała się, skąd ów przesmyk się wziął.

Jako chłopiec Jack miał bzika na punkcie militariów, a James był, jeśli nie jego bożyszczem, to z pewnością natchnieniem. Z błogosławieństwem ojca spędzał niezliczone popołudnia, przesiadując u stóp Jamesa, dowiadując się, a to o jakiejś bitwie, a to o jakiejś kampanii. Strategii nauczył się od Jamesa, takie cechy jego charakteru, jak wnikliwość i cierpliwość, które umożliwiły mu przetrwanie ostatnich trzynastu lat, w dużym stopniu tu wzięły swój początek.

Minał dąb i pomaszerował na przelaj przez pole, zaabsorbowany pytaniami, które miał zadać. Podszedł do furtki w żywopłocie probostwa i podniósł wzrok.

Jakiś ruch po lewej kazał mu zerknąć w tamtą stronę. Dom znajdował się po przeciwnej stronie, ogrody na tyłach ciągnęły się do końca rozległego warzywnika. Pomiedzy nim a ocienionymi trawnikami w głębi znajdował się otwarty pas trawy, wzdłuż którego rozciągnięto sznury na bieliznę. Ruch, który dostrzegł Jack, to było mignięcie prześcieradła, które zdejmowano właśnie i składano.

A konkretnie robiła to Boudika.

Widok córki markiza zbierającej pranie zaintrygował go, Jack skierował się w tamtą stronę, zanim zdążył pomyśleć.

Potem pomyślał. I szedł dalej.

Usłyszała odgłos jego butów na ścieżce i podniosła wzrok. Ich spojrzenia spotkały się. Twarz kobiety wygładziła się natychmiast jak marmur, jej mina była nie do odczytania. Boudika sięgnęła po kolejną klamerkę do bielizny, po czym wytrzepała poszewkę.

Jack westchnął i obszedł sznury aż do miejsca, gdzie niski kamienny murek oddzielał trawiasty kawałek gruntu od warzyw.

- Dzień dobry, lady Clarice.

- Dzień dobry, lordzie Warnefleet. James jest w swoim gabinecie, jak zwykle.

Tłumiąc chłodną reakcję na jej lodowate powitanie i pożegnanie w jednym, przysiadł na murku o pięć kroków od niej.

- To z panią przyszedłem się zobaczyć.

Nie odpowiedziała.

Przyglądał się jej, jak składa poszewkę i umieszcza ją w koszu stojącym u jej stóp. Sznur można było przesuwac, kiedy pociągnęła go i sięgnęła do następnej klamerki, Jack zapytał:

- Czy zechciałaby pani mi powiedzieć, dlaczego mam na służbie Edwarda, lokaja z Londynu, który jest także złodziejem?

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem, ciemnym i niezgłębionym.

- To siostrzeniec Griggsa.

Jack zamrugał. Zdecydowanie była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć.

- Siostrzeniec Griggsa?

Griggs był nieskazitelnie uczciwy.

- Jego jedyny żyjący krewny. - Zmusiwszy prześcieradło do posłuszeństwa, Clarice mówiła dalej: - Jakies dwa lata temu Griggs otrzymał wiadomość, że jego jedyna siostra zmarła. Martwił się o jej syna, jej jedyne dziecko. Ojciec gdzieś przepadł. - Westchnęła. - Griggs jest stary. Trapił się i robił się tak niespokojny, że martwiliśmy się o jego zdrowie. Poprzez Jamesa i Kościół odnaleźliśmy chłopca, Edwarda, i zdołaliśmy

go tutaj sprowadzić. Potem zdaliśmy sobie sprawę, że jest złodziejem, ale... - Urwała, zaciskając wargi, po czym kontynuowała: - Jest nałogowym złodziejem. Wydaje się, że nie może się powstrzymać, i w rzeczy samej, nie jesteśmy nawet pewni, czy on zdaje sobie sprawę, że zabiera te różne rzeczy.

Jack przypomniał sobie wyraz zmieszania na twarzy Edwarda, kiedy wyciągnął łyżkę z kieszeni.

- Ale... - Zmarszczył czoło. - On mimo to jest złodziejem.

- Tak, ale to cała rodzina, jaką ma Griggs. My wszyscy, dosłownie wszyscy w Avening oprócz Griggsa, wiemy, że Edward zabiera różne rzeczy. Co tydzień Connimore i Howlett przeszukują jego pokój i zwracają wszystko, co znajdują. Edward jest we dworze od ponad osiemnastu miesięcy, i w tym czasie nic nie zginęło na dobre.

Jack roztrząsał tę kwestię w myślach, rozważał, szukał innych wyjść... i niechętnie doszedł do wniosku, że będzie musiał pozwolić Edwardowi nadal być lokajem. Griggs znaczył zbyt wiele dla całego domu, a zwłaszcza dla Jacka, żeby coś miało naruszać jego spokój i zdrowie.

- Co zamierza pan z nim zrobić? Z Edwardem?

Jack spojrział na Clarice pracownicę składającą serwetki.

- Nic - mruknął pod nosem. - Co innego mogę?

Pomyślał, że chyba się uśmiechnęła – bardzo przelotnie.

- Czy jest jakiś problem z pokojówkami Jamesa? Popatrzyła na niego.

- Dlaczego pan pyta? Ponieważ to robię?

Przytaknął.

- Chociaż słabo orientuję się w życiu dam z towarzystwa, to jestem pewien, że składanie prania nie jest powszechnie przyjętym zajęciem arystokratek.

- Ta arystokratka uważa to zajęcie za relaksujące. Kiedy pracuję fizycznie, mogę pomyśleć.

Zaprzagnął zapytać, o czym myślała teraz. Stwierdził, że miała rację. W tym prostym domowym zajęciu było coś kojącego.

- Jest kilka spraw, co do których muszę się z panią skonsultować.

Te słowa przysły mu bez wysiłku i bez namysłu. Przecież powiedział prawdę. Takie były fakty.

Zerknęła na niego przelotnie, ale nie mógł niczego wyczytać z jej miny.

- Na przykład...?

- Jedna to kwiaty do kościoła.

Jego ton zabarwiło rozdrażnienie. Na jej wargach zabłąkał się leciutki uśmiech.

Na ten widok przeszło go niespodziewane poddanie.

Pamiętał aż za dobrze, jakie były w dotyku, jak smakowały. Frustracja przydała ostrości jego głosowi.

- Czy może mi pani wytłumaczyć, co za diabeł kryje się w tej liście dyżurów?

Clarice westchnęła i potrząsnęła przecieradłem, jej spojrzenie powędrowało przez ogród w stronę domu.

- Obawiam się, że tu chodzi tylko o status.

Zwięźle wyjaśniła, co kryło się za pragnieniem pani Swithins, by dominować.

- Biedny Swithins... jego matka spodziewała się po nim czegoś znacznie lepszego, ale chociaż jest tylko wikarym, ona jest zdecydowana wykorzystać to najlepiej, jak można, w istocie wykorzystywać pozycję, jaką daje jej jego stanowisko. Układaniu kwiatowych dekoracji na nabożeństwa niedzielne, jako coś innego od tych mniej prestiżowych na środę, to tylko jeszcze jedno piórko, którym koniecznie chce się przystroić.

- Tym samym ucierając nosa Betsy, pani Candlewick i Marcie.

Zerknęła na Jacka.

- Nie tylko im. Odkryje pan, że pani Swithins ma na pieńku, w taki czy inny sposób, z większością pań w parafii.

Jęknął.

- O ile tylko nie będę musiał ich rozsądzać.

Nie odpowiedziała na to. Jego obecność odbierała całą sobą.

- A co z panią? - zapytał. - Czy pani Swithins przypuszcza, że może tyranizować i panią?

Napotkała jego oczy, potem głośno strzepnęła serwetkę.

- Nawet Swithins nie jest tak głupia. Nie, wobec mnie jest przymilna, co uważam za równie wstrętne. - Zerknęła na niego, raptownie zdając sobie sprawę, że jego spojrzenie przesunęło się na jej piersi, częściowo odkryte przez dekolt. - Czy tak samo zachowywała się wobec pana?

Znów spojrzał na jej twarz.

- Tak, teraz skoro pani o tym wspomniała. Podlizywała się jak mało kto.

Znowu chwyciła za sznur do bielizny i przesunęła go tak, by swobodnie sięgnąć po kolejną serwetkę.

- A więc co powinienem zrobić w sprawie listy?

- Powiedzieć im wszystkim, że po namyśle postanowił pan przywrócić dawny harmonogram. Swithins ma co drugą niedzielę i środę, a pozostałe trzy dzielą się między sobą resztą niedziel i śród. Pani Cleever i nasze pokojówki w międzyczasie odświeżają bukiety, a na wszystkie główne święta pani Connimore i pokojówki, i w rzeczy samej wszyscy oprócz Swithins, korzystają z kwiatów ze dworu do dekorowania kościoła.

Nie patrząc w jego stronę, włożyła serwetkę do kosza i sięgnęła po obrus.

- Dobrze. A teraz, ile powinien wynosić ślubny posag Mary Wallace?

Spojrzała na niego, nie dostrzegła żadnych oznak irytacji, choć przed chwilą został zmuszony do poparcia jej decyzji dotyczących listy dyżurów.

- Wallace mówi mi, że jego Mary i Roger Hawkins mają się pobrać. Zakładam, że pani powiedział?

- Wszyscy o tym wiedzą, ale nie pytałam, jakiej i chciał porady.

- Próbuje podjąć decyzję co do wielkości posagu dla Mary, biorąc pod uwagę związek, jego pozostałe córki i spadek dla

syna, ale ja nie mam pojęcia, jaka kwota byłaby odpowiednia.

Popatrzyła gdzieś obok niego, licząc w myślach.

- Trzydzieści gwinei. Godziwa suma, na jaką Wallace może sobie pozwolić, nie tylko dla Mary, ale później także dla jej siostr. Ładny początek dla młodej pary, i taki, który Hawkins może wyrównać, czy to w gotówce, czy w naturze. To ważne, żeby żadna rodzina nie była postrzegana jako uboższa.

Jego brwi uniosły się.

- O tym nie pomyślałem.

Blask w jego oczach, kiedy spotkały się z jej oczami, sprawił, że poczuła się dziwnie zadowolona, jakby docenił jej wnikliwość, a nawet uznał jej wyższość.

- A teraz, co z Jonesem skupującym jabłka dla wytwórców jabłeczniaka?

- Jones? - Umilkła na chwilę. - Tak, przypuszczałam, że się teraz pojawi.

- A więc co to za historia? Griggs powiedział, że negocjowała pani z tym człowiekiem przez ostatnie trzy lata.

Clarice ułożyła obrus w koszu i powoli wygładziła go, gorączkowo rozmyślając. Jack mógł zaakceptować jej radę w sprawie kościelnej listy dyżurów i posagu dla Mary, ale to - istotnie jej bezpośrednie przejęcie jego uprawnień - było dużo bardziej drażliwym tematem. Mógł zagrozić jego męskiej dumie.

Dlaczego miałyby się tym przejmować? Mężczyźni, szczególnie dżentelmeni jego pokroju, nigdy nie dbali o jej dumę.

Nabrała powietrza w płuca. Jego wzrok nie opuszczał jej twarzy.

- Pierwszą rzeczą, jaką powinien pan wiedzieć o Jonesie, jest to, że to ordynarny zbir, przynajmniej wobec tych, których, jak sądzi, może zastraszyć.

Jego oczy zwęziły się.

- Nie wobec pani, to oczywiście. Griggs?

Skinęła głową i odwróciła się do sznura z bielizną.

- Pierwszego roku, gdy pojawił się Jones, pięć lat temu, Griggs przyszedł do mnie kompletnie rozhisteryzowany. Był bliski paniki i przekazania całego zbioru w ręce Jonesa, wierząc, że nie ma innego wyjścia. Wkroczyłam i kazałam Jonesowi jeszcze raz całą rzecz wyjaśnić. Nie trzeba dodawać, że cała sytuacja oraz oferta Jonesa nie były całkiem takie, jak je przedstawił Griggswi.

- Jaka więc dokładnie była ta oferta? Tym razem to jest szyling powyżej ogólnej ceny rynkowej za buszel. Skinęła głową.

- Tamtego roku osiem pensów. Oczywiście, to swego rodzaju oszustwo. Nie, żeby Jones i jego mocodawcy nie zapłacili tego, co obiecali, ale ich zamiarem jest przerwanie wieloletniego porozumienia plantatorów z Avening i kupców z Gloucester. Avening zaopatruje ponad dwadzieścia procent rynku w Gloucester. Gdyby zamiast tego zbiory zostały sprzedane Jonesowi, kupcy z Gloucester byłiby zmuszeni zwrócić się do innych dostawców, po prostu nie byłiby w stanie przetrwać niedoboru. Ale kiedy nawiązałyby nowe umowy z innymi plantatorami, to w następnym roku Avening musiałoby sprzedać Jonesowi, ponieważ kupcy z Gloucester nie potrzebowaliby zbiorów z Avening.

- A wtedy Jones i jego panowie mogliby zaoferować dowolną cenę, jaka by im się spodobała, a Avening musiałoby sprzedać za cenę nawet i o szylinga niższą niż cena rynkowa.

- Właśnie. - Strzepnęła kolejną poszewkę, - Kupcy z Gloucester zawsze zawierali umowę w dobrej wierze. To wielki konglomerat, i nierozsądne targowanie się nie przyniosłoby im korzyści zwłaszcza że Avening to jedno z ich bardziej rzetelnych dostawców, zarówno pod względem jakości, jak i ilości.

Milczał przez chwilę, a później się podniósł Zerknęła na niego, podchodził bliżej.

- Plantatorzy z Avening otrzymywali premię przez ostatnie cztery lata. Griggs powiedział, że pochodziła od kupców z

Gloucester. Skąd to się wzięło?

Sytuacja się komplikowała. Kobieta wzięła głęboki oddech i odpowiedziała spokojnie:

- Kiedy Jones pojawił się drugi rok z rzędu uświadomiłam sobie, że on nie zamierza odejść. Napisałam więc do kupców z Gloucester, i nie podając dokładnych kwot, wyjaśniłam, jak rozdarci są plantatorzy z Avening, że oczywiście wolelibyśmy nadal sprzedawać w Gloucester, ale musimy dokonać ulepszeń w naszych sadach, i tak dalej.

- A oni wyłożyli coś ekstra.

- I tak, i nie. - Napotkała jego wzrok. - Oni wypłacali coraz mniejsze premie przez ostatnie cztery lata, ale w ciągu tych lat całość zbiorów z Avening zwiększyła się. Zasadzono więcej drzewek. Dzieliśmy premię na podstawie plonów, a potem doradzaliśmy wszystkim plantatorom zainwestowanie w zwiększanie areалу pod drzewka. Wszyscy tak zrobili.

Jack pomyślał o liczbach, na których analizowaniu spędził cały wczorajszy dzień.

- A teraz...?

- A teraz, w tym roku, będziemy mogli sprzedać nasze zwykłe zbiory kupcom z Gloucester po aktualnej cenie rynkowej, jednocześnie sprzedając plon niemal takiej samej wielkości Jonesowi po jego zawyżonej cenie.

Nie trzeba było wielkiej matematyki, żeby uwiadomić sobie, jaki niespodziewany napływ gotówki będzie to oznaczało dla miejscowych plantatorów.

- A w następnym roku?

- Jeżeli Jones spróbuje zaniżyć swoje kwoty, nie musimy mu sprzedawać. Kupcy z Gloucester wezmą wszystko po cenie rynkowej.

- To genialne. - Jack stwierdził to spontanicznie, ale to rzeczywiście była prawda. - Podejrzewam, że Avening poradzi sobie lepiej, jeżeli powrócę nie tylko do kościelnej listy dyżurów. - Nabrał powietrza, zaskoczony, że coś go ściska w piersi, i zmusił się, by mówić dalej: - Być może zrobilibyśmy

najlepiej, wracając do tego, co było, zanim wróciłem. Tak dobrze sobie pani z tym radziła, najwyraźniej mogę zostawić wszystko w pani rękach.

Jej dłonie o delikatnej skórze, smukłych palcach, aż do tej chwili cierpliwie zajęte składaniem serwetek, zadrżały i zastygły. Jack stał z nią niemal ramię przy ramieniu, ale ona nie podniosła wzroku, z jej profilu - bo tyle tylko widział z jej twarzy nie mógł odczytać niczego, żadnej reakcji na jego słowa.

Udało mu się utrzymać równy i spokojny ton, udało mu się sprawić, by jego stwierdzenia brzmiały jak proste fakty, a nie jak coś, co go głęboko nękało i trapiło.

Clarice pozwoliła, by cisza się przedłużała, wiedziała, że gdyby myślała tylko o sobie, jego oferta byłaby godna uwagi. Życie stałoby się znacznie prostsze, wygodniejsze, tak jak przedtem... Ale co z nim?

- Wyjeżdża pan?

- Nie.

Skinęła głową, odwróciła się do trzymanej w dłoni serwetki... a potem zmusiła się, by obejrzeć się na niego i pewnie spojrzeć mu w oczy.

- Nie chcę pańskiej pozycji. Nie mam ambicji absolutnie żadnej, by rządzić w posiadłości.

Zamrugał nerwowo.

- Ja także nie chcę pani pozycji. - Jego wargi, te wargi, na których starała się nie skupiać, drgnęły, - W rzeczy samej, po wplątaniu się w krótką przygodę z damami z parafii, podejrzewam, że zajęcie pani miejsca doprowadziłoby mnie w ciągu tygodnia do obłędu.

Nie potrafiła powstrzymać własnych ust przed uśmiechem.

- Być może... - W jego głosie nie zabrzmiało wahanie, ale nieśmiałość, niepewność... Niepewność, jak ona zareaguje. - W interesie całego Avening my, pani i ja, moglibyśmy dojść do jakiegoś porozumienia.

Jego oczy powiedziały jej, że mówił z przekonaniem, ale podobnie jak ona, ani trochę nie był pewien, jak takie

porozumienie - między ludźmi takimi jak oni - mogłoby się sprawdzić. A jednak wypowiedział na głos jej własne myśli, być może, gdyby oboje tego pragnęli, zdołaliby się dopasować... jakoś.

- Co pan miał na myśli?

Nie, nie był aroganckim, nawykłym do wydawania rozkazów dżentelmenem z jej klasy, nie był aż tak zły, jak inni jego pokroju, no i zaproponował ugodę jako pierwszy. Clarice nie należała do tych osób, które odmroziłyby sobie uszy, żeby tylko zrobić na złość mamie.

Przypatrywał się jej, było coś w zarysie jego ust, w chłodnej stanowczości jego spojrzenia, co upewniało ją, że wcześniejsze podejrzenie, iż dostrzegł jej prawdziwe oblicze, nie było pomyłką. On wiedział - i doceniał - to, jaka była silna, jak stalowa potrafiła być jej wola.

Chyba po raz pierwszy w życiu poczuła się nieco słabo.

Jego brwi uniosły się ostrożnie.

- Wszystko, co potrafię zasugerować, to to, żebyśmy improwizowali. Nie należy pani do osób, które by cierpiały w milczeniu. - Błysnął nieszczerym uśmiechem. - Ja także nie. Może po prostu się za to zabierzemy, i będziemy sobie radzić ze sprawami w miarę ich pojawiania się, zgoda?

Jedyne rozsądne rozwiązanie. Skinęła głową, energicznie i rzeczowo, i wyciągnęła rękę.

- Zgoda.

Jego dłoń... pochłonęła jej dłoń, a potem zręcznym ruchem przesunęła jej rękę i własną za jej plecy i mocno przytrzymała.

Zanim zdążyła zamrużyć, już była w jego ramionach, pierś przy piersi.

- Zgoda - potwierdził.

Jego wargi wygięły się w uśmiechu, a potem uwięziły jej usta.

Uwięziły ją. Nie rozumiała, jak to się stało, jak on to zrobił, ale w chwili, gdy tylko jego ramiona zamknęły się wokół niej, w chwili, gdy jego wargi dotknęły jej warg, grunt, na którym stali,

zafalował.

Zaczęła ten dzień nieco zraniona, przypominając sobie, że jego postawa wobec niej nie była wcale inna, niż tego oczekiwała. Dżentelmeni z jej klasy nie lubili dam, które zarządzały, nieważne, jak dobrze wykonywały swoje zadanie. Po części spodziewała się, że poczuje się urażony rolą, jaką przyjęła podczas jego nieobecności.

To jej niemądre „ja” zrywało się właśnie z uwięzi. I tańczyło jak szalone.

To coś... ta zmysłowa zmiana... nie miała nic wspólnego z umową, którą zawarli, a jednak ta umowa była dla niej zarówno intrygująca, jak i fascynująco kusząca.

Coś nieoczekiwanego.

Tak jak i on.

Tak jak i to.

Jego ramiona zamknęły się wokół niej i zacisnęły powoli. Znalazła się bardzo blisko. Bez żadnego pensjonarskiego zawahania, ale świadomie i celowo nie opierała się temu. Podniosła ramiona, owinęła je wokół niego i śmiało odpowiedziała pocałunkiem. Potem jej usta rozchyliły się i pozwoliła mu brać, pozwoliła mu prowadzić ją tam, dokąd chciał

W obietnicę, która mówiła o głodzie i potrzebie, która przyrzekała przyjemność dla obojga.

Przyjemność takiego rodzaju, który - jak sądziła - już ją ominął, który dawno temu wymknął jej się z rąk. Przyjemność takiego rodzaju, który - choć go nigdy nie doświadczyła - to jednak rozumiała całkiem dobrze.

Niczego nie skrywał, niczego nie udawał, pozwolił jej dostrzec jego potrzebę, poczuć jego głód. Pozwolił, by jego pożądanie wzmagało się nieskrępowane i pieściło ją ognistymi palcami. Rozbudzając jej pragnienie. Wznecając je tak, jak nie zdarzyło się to nigdy przedtem. Wcześniej nigdy nie odczuwała fizycznego pożądania, uświadomienie sobie tego zdumiało ją. A potem wyzwanie - nacisk jego warg na jej ustach, subtelna

drwina jego błędzącego języka - stało się silniejsze, i to ona, nie tylko jej niemądre „ja”, ale jej świadomość zadecydowała, by zareagować.

Dlaczego nie miałyby tego poznać, doświadczyć? Dlaczego nie miałyby tego wziąć?

Przysunęła się do niego, celowo przytykając pierś do piersi, biodra do bioder, uda do ud. Fascynujące. Jej dopiero co odkryte zainteresowanie fizycznym pożądaniem narastało. Objęła go rękoma za szyję i przystąpiła do odwzajemniania palących pieścizot, którymi ją obsypywał.

Jack wyszedł jej naprzeciw, stawiał jej czoło, pojedynkował się z nią o przewagę w tym przeciąganiu liny, w którym żadne nie mogło tak naprawdę wygrać.

Ta wymiana, i ona, pochłoneły jego uwagę bez reszty, tak całkowicie, że aż go to przeraziło, nie był w stanie myśleć. Z nią w ramionach, z ustami zaaferowanymi otwarcie w palącej, instynktownie duszącej wymianie - instynktownym spotkaniu, warg, języków i gorących oddechów - żądza zaćmiła mu umysł. Znalazła się w nim tylko jedna myśl, myśl o znalezieniu się w niej.

O tym, by mieć ją pod sobą, kiedy będzie go przyjmować głęboko w swoje jędrne, krągłe ciało, W swój kobiecy żar.

Pragnął jej nagiej i zatraconej. Pragnął jej z potrzebą, pierwotnym głodem, który nim wstrząsnął. To pochwyciło go w sidła tak głęboko, że nie chciał przyglądać się ze zbyt bliska, badać, dlaczego tak miałyby być, dlaczego ze wszystkich dam, z którymi romansował albo z którymi mógł to robić, to ona - wyniosła megiera, z którą zamierzał ostrożnie współpracować na co dzień - była jedyną, która roznieciła w nim taki ogień.

Wiedział jedynie, że to z nią, to dla niej płonął.

A ona nie cofała się ani o krok. Zachęcała go, nie z ochoczą pilnością młodszej kobiety, ale z dojrzałym, pewnym siebie, niemal jawnym zaproszeniem damy, która wiedziała, czego chce, która wiedziała, że go pragnie.

Tak jak on pragnął jej. Jej potrzeba idealnie odpowiadała

jego własnej, idealnie wpasowywała się w jego głód.

Chęć, by pozwolić dłoniom wędrować, by zrobić kolejny krok, którego oboje wyraźnie pragnęli, dojrzewała i rosła... Ale znajdowali się na otwartej przestrzeni, ze stertą prania obok. Każdy, kto wszedłby do ogrodu, mijając drzewa na skraju trawnika, zobaczyłby ich. Jakaś pokojówka mogła przyjść sprawdzić, czy Clarice nie potrzebuje pomocy...

Przerwanie, raptowne zatrzymanie się, wycofanie z głębin jej soczystych ust było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakich kiedykolwiek dokonał.

Udało mu się podnieść głowę o cal i natychmiast boleśnie odczuł utratę. Jego umysł wciąż był zamknięty, wciąż skupiony tylko na niej. Jej rzęsy zatrzepotały, a potem się uniosły. Jej ciemne, jakże ciemne oczy spojrzały na niego.

- Nie podziękowałem ci za przywrócenie do życia ogrodu mojej matki.

Wymówka wystarczająca, by na nowo zanurzyć się w jej usta, by raz, przez długą chwilę zakosztować jej smaku, tkwiącej w niej namiętności, wrzącej, bardzo kobiecej, idealnej mieszanki dumnej woli i uderzającej do głowy obietnicy zaspokojenia go.

Ale... cofnął się od płomieni, od jej parzącej pokusy. Odsunął ją, odsunął się sam, aż rozdzieliło ich nieco przestrzeni. Musiał zmuszać palce, by ją puściły, by pozwoliły jej odejść.

Nabrała powietrza, cofnęła się, otworzyła oczy, wydawała się równie zdziwiona, jak on, a pod tym kryła się ciekawość.

Poczuł się... nie tak pewny, jak zazwyczaj bywał w takich sytuacjach.

Zapewne dlatego, że była tym, kim była - Boudiką. Nie powinien o tym zapominać.

Jego spojrzenie padło na kosz, pełen poskładanej bielizny. Nachylił się i dźwignął go.

- Zaniosę ci to do domu.

Dołączyła do niego, z łatwością dotrzymywała mu kroku, weszli pod drzewa i przecięli trawnik.

Nim dotarli na ganek na tyłach domu, ponownie wcielili się

w swoje role, powrócił uprzejmy dystans. Jack postawił kosz na stole przy tylnym wejściu, następnie zwrócił się do swej towarzyszki:

- Jones. Powiedziałem mu, żeby wrócił jutro po południu. Myślę, że byłoby najlepiej, gdybyś była obecna, kiedy się z nim spotkam. Może gdybyś przyłączyła się do mnie jutro podczas lunchu, moglibyśmy pomówić, jak najlepiej z nim postępować?

Wytrzymała jego spojrzenie, sama spoglądając spokojnie i otwarcie, po czym przytaknęła.

- Dobrze więc. - Zawahała się, a potem dodała:

- Jak zwykle, pozostali plantatorzy zgodzili się, żeby dwór ustalił cenę dla całej doliny. Griggs powinien już mieć szacunki z innych sadów. Obliczy spodziewane zbiory.

Jack przytaknął ze spokojem.

- Dowiem się od niego szczegółów.

Zawahała się znowu, a potem spytała:

- A młody mężczyzna z powozu?

- Nadal nieprzytomny. - Nie dopowiedział, że im dłużej pozostaje w takim stanie, tym bardziej staje się on niepokojący.

- Nie przypuszczam, że byś miała jakieś nowe pomysły, dlaczego wydaje ci się znajomy?

Pokręciła głową. Zmarszczyła czoło.

- Ja... przyjrę mu się jutro.

Jack podejrzewał, że zamierzała przyjrzeć się ich pacjentowi dziś po południu, ale to by oznaczało wstąpienie do dworu, a tym samym możliwość kolejnego spotkania z nim...

To byłoby zbyt prędko.

Zbyt prędko dla niej, zbyt prędko dla niego.

Opuścił ją z wdzięcznym ukłonem. Odszedł, czując jej spojrzenie na plecach.

* * *

Następnego dnia Clarice spędziła tyle czasu na ubieraniu się przed pójściem na lunch do dworu, że normalnie uznałaby to za

przesadne. Powiedziała sobie, że jej przejrzysty jabłkowiezielony muślin z dekoltem w kształcie serca rozproszy uwagę Jonesa, i zastanawiała się nad takim podstępem.

Wiedziała dobrze, czyją uwagę pragnie przyciągnąć i dlaczego. Była zdumiona własnym zainteresowaniem, pragnieniem, które wzbudziła w Jacku, i swoją reakcją.

- Czysta ciekawość - powiedziała do lusterka, kiedy poprawiała spleciony koczek. Spoczywał ciężko na karku, pomyślała o silnych palcach Jacka wsuwających się pod ciężkie włosy, sunących po jej wrażliwej skórze... i zadrżała.

- Chwilowe szaleństwo, bez wątplenia to minie.

Po tym twardo ogłoszonym werdykcie wstała i skierowała się do drzwi sypialni.

Oślaniając białą skórę kapeluszem o szerokim rondzie, z lekkim szalem udrapowanym na łokciach, wyszła z podjazdu wiodącego do probostwa i skręciła na drogę.

To jakaś forma szaleństwa. Nie dało się zaprzeczyć jej ocenie ich stanu, stąpali po cienkiej linii i oboje o tym wiedzieli. To ostatnie wydawało się tylko wzmagać ożywienie.

Niebezpieczeństwo.

Ani ona, ani on - jak była tego najzupełniej pewna - nie wiedzieli, dokąd zmierzają. Jak sprawdzi się umowa, można było tylko zgadywać, żadne z nich nie przywykło do tego rodzaju partnerstwa, i żadne z nich nie było cierpliwe czy łatwe w konfliktach. Oboje mieli w sobie po trosze arogancji i lubili dowodzić.

Zaś co do tego pierwszego... to była całkowita niewiadoma.

Upłynęło sporo czasu, odkąd cokolwiek tak zaprzętnęło jej uwagę jak to. Jak on, kiedy była w jego ramionach.

Nie wiedziała, co ma myśleć, nie wyrobiła sobie jeszcze zdania na temat tej czynności, na temat tego, co robiła, czego chciała.

Taka sytuacja powinna wytrącić ją z równowagi. Kiedy skręciła na podjazd prowadzący do dworu, nie pojawiła się żadna oznaka trwogi, żaden ślad ostrzeżenia nie zaciemniały jej

oczekiwania. Chciałaby znowu się z nim zobaczyć, była pełna zapału, by się dowiedzieć, dokąd zawędrują, i żeby obserwować, jaki mają na siebie wpływ.

Wstrząsające.

Miała dwadzieścia dziewięć lat, nie dbała już o nic.

Życie przeszło obok już dawno temu. O ile ich relacje nie zraniły ani jego, ani jej, co w tym złego?

Pewna siebie, uspokojona, zadzwoniła do drzwi Howlett otworzył i się rozpromienił. Clarice uśmiechnęła się w odpowiedzi i dostrzegła w holu Jacka, niepewnie kryjącego się za plecami kamerdynera.

Jakby czekał na dźwięk dzwonka.

Howlett cofnął się i Clarice weszła do środka. Wyraz jej twarzy był idealnie stonowany - spokój, pogoda z odrobiną ciepła, podeszła i podała Jackowi rękę, w pełni świadoma, że kiedy się uklonił, jego spojrzenie prześlizgnęło się w dół po jej sylwetce.

Uśmiechnął się, z szatańskim wyrazem uznania.

- Wyglądasz zachwycająco. Jak sądzę, pani Connimore przygotowuje małą ucztę...

Przerwał, a jego spojrzenie przeniosło się na drzwi. Ona także się odwróciła, kiedy dobiegł ich odgłos kół powozu turkoczających na dziedzińcu,

- Ciekaw jestem, kto to taki...?

Jack posmutniał. Przytrzymując dłoń Clarice, pociągając ją za sobą, przeszedł w miejsce, skąd mógł wyrzeć zza Howletta, ponownie otwierającego drzwi.

Widok, który ujrzały jego oczy, na chwilę wprowadził go w zakłopotanie, przed dwór zajechał czarny powóz, najwyraźniej dylizans.

Boudika, która także na to patrzyła, ubrała jego myśli w słowa.

- Może się zgubili?

Drzwi powozu otworzyły się i wysiadł z niego młody dżentelmen. Był średniego wzrostu i raczej drobnej budowy, o

milej twarzy i jasnobrązowych włosach, trzymał kapelusz w ręku i z ciekawością się rozglądał, aż w końcu dostrzegł Howletta i podszedł do drzwi.

- Czy mogę w czymś pomóc, sir? - zagał Howlett.

- Mam taką nadzieję - odparł dżentelmen. - Szukam lorda Warnefleeta.

Jack wysunął się dwa kroki do przodu, z dłonią uwięzioną w jego dłoni Boudika uczyniła to samo.

- Ja jestem Warnefleet.

- Och! - Dżentelmen podniósł wzrok, na jego szczerej twarzy pojawił się wyraz czujności. - Ja... ach, jestem Percy Warnefleet. Posłałeś po mnie.

Jack nagle uświadomił sobie, kim jest ten dżentelmen.

Uśmiechając się nieco nerwowo, Percy potwierdził.

- Jak rozumiem, jestem twoim spadkobiercą.

Rozdział 6

- O co ci chodzi, u licha?

Jack siedział za biurkiem i patrzył, jak Boudika maszeruje tam i z powrotem po pokoju. Splotła ręce pod bujnymi piersiami, jej mina pozostawała groźna. To by było na tyle, jeśli chodzi o udobruchanie jej słodyczami i winem.

Nie przeszli jeszcze nawet do lunchu, po prezentacji Jack kazał Howlettowi zaprowadzić Percy'ego na górę, żeby się rozpakował i odświeżył, nim dołączy do nich w jadalni.

Boudika nie była pod wrażeniem.

- Wystarczy na niego spojrzeć. To oferma, ma mleko pod nosem i jest naiwny jak dziecko. Nie możesz myśleć poważnie o pozostawieniu Avening, i jeśli dobrze rozumiem to, o czym mówiłeś z Jamesem, całej reszty. - Zatrzymała się i łypnęła na nie go bardzo groźnie. - A poza tym on nie może być młodszy od ciebie o, powiedzmy, dziesięć lat.

- Osiem. Ale nie w tym rzecz. Percy może się, ożenić i

mieć synów, którzy po nim odziedziczą.

Jej gniewne spojrzenie przeszło w osłupiałe. Jack pospieszył się z dalszym ciągiem, zanim mogła zadać pytanie, dojrzewające jej w myślach.

- Ja nie mam zamiaru się żenić, więc pomyślałem, że roztropnie będzie sprowadzić tutaj Percy'ego i pokierować jego edukacją w sprawie posiadłości. Zanim Griggs i ja z nim skończymy, będzie świecił przykładem pod każdym względem.

Boudika prychnęła. Odwróciła się, ale usłyszała, jak mruczy pod nosem:

- To on może wykończyć Griggsa.

I to był fakt... ale przecież miał kogoś jeszcze, kto może podzielić z nim trudy wyprowadzeniu Percy'ego na ludzi i z pewnością to zrobi.

Spoglądał na nią, odsiewając w myślach możliwe sposoby pozyskania jej pomocy.

- Właściwie... - podchwycił jej spojrzenie, gdy na niego zerknęła - myślałem, że to zaaprobujesz jeżeli nawet nie samego Percy'ego, to przynajmniej to, że go tutaj sprowadzam. Jest wysoce prawdopodobne, że w pewnym momencie odziedziczy mój majątek. A biorąc pod uwagę rozmiary, do jakich się ów majątek rozrósł, będzie musiał się dowiedzieć, jak nim kierować, bo to nie takie proste.

Przez długą chwilę przypatrywała mu się w zamyśleniu. Nie potrafił zrozumieć wyrazu jej oczu. Potem cicho prychnęła i spojrzała w bok, za okno.

Zostawiwszy ją poprzedniego dnia, wrócił do dworu i przedyskutował z Howllettem i panią Connimore trudną kwestię Edwarda. Zgodził się, by Edward pozostał na warunkach takich jak do tej pory. Rozstrzygnąwszy tę sprawę, rano złożył wizytę Swithinsowi, wikaremu Jamesa. Po należytym zastanowieniu przekazał Swithinsowi swoją decyzję dotyczącą listy dyżurów przy ukwiecaniu kościoła i poprosił, by dołączono ją do ogłoszeń parafialnych pod koniec nabożeństwa w najbliższą niedzielę. To sprawi, że Swithins będzie postrzegany jako

sojusznik Jacka przy powściągnięciu ambicji swojej matki.

Wallace otrzymał wiadomość, a pół godziny spędzone w szynku z Jedem Butlerem zamknęło wszystkie zaległe sprawy. Jack wrócił na czas, żeby wypatrywać Boudiki, mając świadomość niewielkiego, ale przyjemnego sukcesu, którą to satysfakcję zawdzięczał w znacznej części Clarice, jej rada ułatwiła mu powrót na pozycję, która mu się należała.

Przyglądał się jej, kiedy tak stała przy oknie, z uniesioną głową, sztywno wyprostowana.

Rozległo się pukanie, a potem drzwi się otworzyły i do środka zajązrał Howlett.

- Pan Warnefleet zszedł na dół, milordzie. Wprowadziłem go do jadalni. Griggs też tam jest.

- Doskonale. - Jack wstał. Wyszedłszy zza biurka, podał ramię Boudice. - Pójdziemy?

Spotkała jego spojrzenie, omiotła go prędko chmurnym wzrokiem, a potem jej twarz się wygładziła.

Kiedy odeszli na tyle, by Howlett ich nie usłyszał, mruknęła:

- Byłeś szpiegiem na terytorium wroga przez siedem lat po śmierci ojca, nie troszcząc się nazbyt o swoją sukcesję. A jednak wracasz do Anglii i w ciągu kilku miesięcy postanawiasz wyszykować swojego następcę. Dlaczego? Teraz jest o wiele mniej prawdopodobne, że zginiesz. Chyba nie spodziewasz się bliskiego zgonu? Co się więc wydarzyło w ciągu tych kilku miesięcy, że cię przekonało, iż nigdy nie będziesz miał syna?

Choć jej pytanie było impertynenckie, zacisnął szczęki i zwięźle odparł:

- Wydarzył się sezon.

Nie spuszczała go oczu.

- Chyba nie zamierzasz mi powiedzieć, że w ciągu zaledwie kilku miesięcy nabrałeś aż takiej niechęci do całej żeńskiej populacji?

- Nie do całej, tylko do części gotowej do małżeństwa. Bywałaś na salonach, widziałaś młode damy wystawione na ten małżeński targ. Powiedz mi czy gdybyś była na moim miejscu,

poślubiłaby, którąś z nich?

Zmarszczyła czoło, a potem popatrzyła przed siebie. I nie odezwała się więcej.

Jack stłumił uśmiech i wprowadził ją do jadalni. Zauważył, jak złagodniała twarz Griggsa, kiedy tylko zobaczył Boudikę, zauważył też jej wdzięczne skinienie głową do Percy'ego. Usiadła obok niego.

Gdy mieli to za sobą, Jack przeszedł do szczytu stołu. Kiedy usiadł, a Griggs i Percy poszli w jego ślady, było wyraźnie widoczne, że obecność Clarice robi różnicę. Może i nie myślała zbyt dobrze o Percym, ale nie dała tego po sobie poznać, natychmiast wdała się z nim w konwersację, która prędko sprawiła, że poczuł się swobodnie. Co do Griggsa zaś, to było oczywiste, iż uważał, że jest cudowna.

Nałożono potrawy. Uwolniony od konieczności prowadzenia rozmowy samemu, Jack rozsiadł się wygodniej i słuchał, coraz bardziej pełen podziwu, gdyż wciąż jaśniej zdawał sobie sprawę, jak szeroki był zakres śledztwa Clarice. Maskowała je znakomicie pod płaszczykiem zwyczajnej towarzyskiej pogawędki, i chociaż wydawało się, że w zamian dzieliła się informacjami o tym, co działo się na miejscu, to Percy ujawniał najwięcej, i to zaskakująco ochoczo, uspioony pełnym wdzięku zainteresowaniem ze strony pięknej kobiety i spokojną pogodą jej ciemnych oczu.

- Nieco mnie zaskoczyło - powiedziała w końcu, że stawił się pan w Avening tak prędko. Bądź co bądź, mamy kwiecień, i sezon jest w pełni... - Jej brwi podniosły się pytająco. - Czyżby pobyt na wsi był mniejszym złem?

To pytanie przyszło do głowy także Jackowi. Wystosował swoje zaproszenie, czy raczej wezwanie dla Percy'ego przez swojego prawnika w dniu, w którym zakończył sprawy w stolicy, nie spodziewał się zobaczyć Percy'ego w ciągu kilku najbliższych miesięcy.

Rozpierając się na krześle, patrzył, jak wyraz twarzy Percy'ego, dalekiego od ujawniania jakichkolwiek oznak

skrępowania, pozostaje otwarty i szczerzy. Zawahawszy się tylko przez ułamek chwili, by dobrać najodpowiedniejsze słowa, odparł:

- Muszę przyznać, że wezwanie od lorda Warnfleeta nadeszło w szczęśliwej chwili. Nie, żeby kiepsko mi szło, ale brylowanie w mieście przy ograniczonych funduszach jest nieco trudne... chyba że ktoś celuje w grze w karty, ale ja nie...

- Czy salony gry przy Pall Mail nadal są najlepsze w swojej klasie?

Clarice zadała to pytanie tak, jakby je знаła i jakby nie było gafą przyznać się w obecności córki markiza do uczęszczania do takich przybytków.

Jack zdołał nie jęknąć, słysząc jej śmiały gambit. Griggs, oczywiście, nic nie wiedział o przybytkach przy Pall Mail. Percy zaczął się odrobinę wiercić na krześle, Clarice udawała, że nie zauważa, pozornie zajęta wybieraniem daktyla. W końcu Percy odpowiedział:

- Byłem tam raz czy dwa, ale... Uznałem, że tak naprawdę hazard nie jest dla mnie.

Jackowi zdawało się, że Clarice spojrziała na Percy'ego z nieznacznie większą aprobatą.

- Hazardziści nigdy nie wygrywają, nie na dalszą metę. A zatem nie możesz się doczekać, żeby poznać posiadłość?

Percy popatrzył na Jacka z dozą niepewności.

- Być może - mówił dalej Jack - po południu chciałbyś się przejechać i rozejrzeć po okolicy, a później... - Przerwał, zbity z tropu przerażoną miną Percy'ego, który umilkł, a potem wyrzucił z siebie: - Niestety, ja nie jeżdżę konno.

Clarice zamrugwała.

- Nie jeździ pan konno?

Było jasne, że Percy stracił tych parę punktów, które wcześniej sobie u niej zarobił. Jack poczuł odrobinę współczucia. Odezwał się łagodnie:

- Możesz się nauczyć. Crawler, mój główny stajenny, z radością cię nauczy.

Griggs odchrząknął.

- Tymczasem mógłbym pokazać panu mapy posiadłości. W ten sposób mógłby się pan zapoznać z dzierżawami.

- Doskonały pomysł. - Jack oparł się wygodniej i uśmiechnął zachęcająco. - Czemu nie zabierzesz Percy'ego do biura i nie opiszesz mu posiadłości, nie opowiesz o polach i farmach? Lady Clarice i ja musimy się zająć czymś innym. Później po południu mamy spotkanie z Jonesem.

- Tak, w rzeczy samej. - Griggs przytaknął i wstał. Percy odsunął krzesło i także się podniósł. Ach... - Jego - spojrzenie przesunęło się na Clarice, po czym wróciło do Jacka, który rzekł wesoło:

- Idź z Griggsem. Porozmawiamy przy obiedzie.

Percy przyglądał mu się przez chwilę, następnie skinął głową.

- Dziękuję. - Odwracając się, sztywno uklonił się Clarice. - Lady Clarice.

Złagodniała na tyle, by obdarzyć go łaskawym uśmiechem. Percy dał drapaką.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim i za Griggsem, Clarice spojrzała Jackowi prosto w oczy.

- On się nigdy nie nada.

Jack tylko się uśmiechnął.

- Jones. Jak się do niego zabierzemy?

Clarice przyglądała mu się przez chwilę, zastanawiając się, czy dać mu kuksańca. Czy może przekonywać, że naprawdę byłoby lepiej, gdyby się ożenił, niż przekazywał posiadłość Percy'emu - młodzieńcowi dosyć miłemu i uczciwemu, ale też komuś, komu brakuje niezbędnej siły. Postanowiwszy na razie zostawić ten temat - bądź co bądź, ta sprawa nie była pilna - skupiła się na jego pytaniu.

- Jones mnie nie lubi, nie lubi mieć ze mną do czynienia. - Mówiąc, pozwalała oczom chłonąć prostą elegancję, z jaką Jack ubierał się na co dzień - białą płócienną koszulę, osłaniającą muskularną pierś, nieskazitelny krawat zawiązany na klasyczny

węzeł, dobrze skrojony surdut otulający szerokie bary, bryczesy z koziej skóry przylegające do długich, mocnych nóg, błyszczące buty z wysokimi cholewami. Wyglądał dokładnie na kogoś, kim był - bogatego dżentelmena mieszkającego na wsi. Jej wargi drgnęły. - Zapewne się ucieszył, zastając cię w domu.

- Rzeczywiście.

- Zatem cóż, jeżeli naszym celem jest uzyskanie od niego najwyższej ceny...? - Pytająco uniosła brwi.

Jack przytaknął.

- Tak.

Uśmiechnęła się.

- A więc sugeruję...

Następne dwadzieścia minut spędzili na wymyślaniu i udoskonalaniu taktyki, a następnie Clarice, świadoma, że napięcie jej nerwów nie ma nic wspólnego z wizytą Jonesa, uznała, że w tych okolicznościach wskazana będzie ostrożność, przynajmniej dopóki nie zatriumfują nad Jonesem. Przeprosiła Jacka i udała się na górę, żeby zajrzeć do wciąż nieprzytomnego młodego mężczyzny.

* * *

- Panie Jones. - Jack podniósł się ze swego miejsca za biurkiem i wyciągnął rękę.

Jones podszedł, żeby ją uścisnąć, a w jego oczach lśniła pewność zwycięstwa.

- Milordzie. Tuszę, że moja oferta przypadła do gustu innym plantatorom?

- W rzeczy samej. - Jack wskazał Jonesowi krzesło, które wcześniej ustawił dokładnie przed swoim biurkiem. - Nie ma wątpliwości, że pańska oferta jest atrakcyjna.

- Jest bardzo hojna, ale też i jakoś zbiorów w Avening jest pierwszorzędną.

Jack uśmiechnął się, jego maska uprzejmości była nieskazitelna.

- Właśnie. To nie pańska oferta wzbudziła niepokój.
- Niepokój? - Jones wyprostował się na krześle. - Jakież to może być niepokój?

Jack spuścił wzrok. Bawił się piórem, ze wzrokiem utkwionym w stalówce.

- Plantatorzy z doliny przywykli sprzedawać kupcom z Gloucester. Większość odczuwa niechęć do zmieniania przyzwyczajzeń.

- Co?! Nawet za szylinga powyżej rynkowej stawki?

- Oczywiście, jeżeli zadowoli się pan połową naszych zbiorów, to mogłoby ich ugłaskać.

- Hmm... - Jones zmarszczył czoło, jakby się zastanawiał. Jack był najzupełniej pewien, że ten wyraz twarzy jest fałszywy.

- Ja naprawdę nie sądzę, że połowa zbiorów to uczciwe rozwiązanie, kiedy oferuję dodatkowego szylinga za buszel... - Nie. - Jones wyprostował się, zaciskając zęby. - Obawiam się, milordzie, że mogą być całe zbiory albo nic.

- Rozumiem. - Jack postukał suchą stalówką o bibularz, po czym podniósł wzrok na Jonesa - Jeśli o mnie chodzi, to jestem skłonny się zgodzić. Bądź co bądź, jak sam pan powiedział, to interes. Nasz kłopot polega na przekonaniu innych. Zastanawiam się... - Urwał, jakby uderzyła go jakaś myśl, spojrzął na drzwi, a potem z powrotem na Jonesa. - Jest jedna osoba, której opinia przeważa zdanie innych plantatorów. Jeżeli uda nam się ich przekonać, wówczas może pan być pewien pełnych ośmiuset buszli, a tak się składa, że wstąpili do mnie dziś po południu. Jeżeli poproszę ich, żeby do nas dołączyli, czy zechce pan współpracować ze mną, by ich przekonać?

Wygląd Jonesa przywodził na myśl wyczekującą łasicę.

- Proszę ich tylko wprowadzić, a będziemy mieli zawartą umowę, obiecuję panu.

Jack uśmiechnął się, wstał i zadzwonił na służbę

- Czy zechciałby pan czymś się pokrzepić - Wskazał oszklony barek.

Oczy Jonesa zabłyśły.

- Dziękuję, milordzie. To wielce uprzejme z pana strony.

Jack nalał mu kieliszek brandy i kropelkę dla siebie. Podał kieliszek Jonesowi, po czym, słysząc kroki nadchodzącego Howletta, spotkał się ze swym kamerdynerem przy drzwiach. Otrzymał polecenia, Howlett odszedł, Jack odwrócił się i zobaczył, jak Jones, zupełnie nieświadomy, rozkoszuje się brandy, coraz bardziej odprężony. Skrywając pełen wyczekiwania uśmiech, Jack wrócił na swoje krzesło.

Po chwili otworzyły się drzwi i weszła Clarice. Krzesło Jonesa było ustawione tak, że nie mógł jej widzieć.

Jack uśmiechnął się, prostodusznie jowialny.

- Jesteś, moja droga. - Nie podniósł się, ale skinął na Jonesa. - Panie Jones. Jak mniemam, spotkał pan już lady Clarice.

Jones w jednej chwili odwrócił głowę, zagapił się, a potem spróbował głęboko nabrać powietrza ale krztusił się brandy.

Clarice przystanąła obok jego krzesła i obojętnie spojrzała w dół, na jego roztrzęsioną postać. Kiedy przestał kasłać, powiedziała:

- Dzień dobry, Jones.

Jeżeli Jack miał jakiegokolwiek wątpliwości co do natury poprzednich spotkań Jonesa z Boudiką, i co do tego, kto wychodził z nich zwycięsko, to reakcja Jonesa na nią ostatecznie je rozwiązała. Zgroza była najłagodniejszym z uczuć, jakie odmalowały się na jego twarzy.

Ze skinieniem głowy, które zgasiłoby roszczenia księcia, Clarice kroczyła, tak jak się umówili, naprzód, a potem skrzyła za biurko. Przystanąła przy krześle Jacka, kładąc smukłą dłoń na rzeźbionym oparciu i wciąż przyglądała się nieszczęsnemu Jonesowi.

Jack nie widział już jej twarzy. Wystarczająco odczuwał lodowaty chłód, żeby być wdzięcznym, iż nie był on skierowany przeciw niemu. Nie widział jej dotąd w takim nastroju, w pełnych barwach wojennych. Poznał niektóre z najpotężniejszych wielkich dam z towarzystwa, ale żadna z nich

nie mogła się mierzyć z Boudiką.

To nie była siła, której jakkolwiek zdrowy na umyśle mężczyzna dobrowolnie rzucałby wyzwanie.

- Zakładam, panie Jones - Clarice okrzyknęła jego krzesło, a jej ton był chłodny i zniechęcający - że przyszedł pan ze swoją coroczną propozycją?

Jones bohatercko przełknął ślinę i wykrztusił:

- W tym roku szyling powyżej ceny rynkowej.

Brwi Clarice uniosły się.

- Szyling? - Z gracją opadła na krzesło obok biurka, po lewej ręce Jacka.

Każdy element jej wejścia został starannie zaaranżowany, żeby sprawić na Jonesie wrażenie, iż ona i Jack są ze sobą blisko.

- Moja droga. - Jack się nachylił, a Clarice przeniosła spojrzenie z Jonesa na niego. - Propozycja pana Jonesa jest naprawdę bardzo dobra. Sądzę, że ja i wszyscy pozostali plantatorzy powinniśmy poważnie ją rozważyć.

- Rozważyć, być może, ale to tradycja, że zbiory z Avening trafiają do Gloucester.

- Być może, moja droga - odparł Jack - ale to nowe czasy, a tradycje nie mogą trwać wiecznie.

- W rzeczy samej, milady. - Jones wysunął się do przodu, wbijając w nią wzrok. - Jest tak, jak mówi jego lordowska mość, musimy iść naprzód Nowe przedsięwzięcia, nowe transakcje. Tak wygląda przeszłość.

Przez następne dziesięć minut Clarice pozwalała im się przekonywać. Jones robił się coraz bardziej zdesperowany, co było dokładnie tym, czego sobie życzyli. Zaś co do Jacka, odgrywał swoją rolę niefrasobliwego dżentelmena doskonale, nigdy się nie zająknawszy, gdyby Clarice nie znała go lepiej, uwierzyłaby - tak jak wyraźnie zrobił to Jones - że był on może nie tyle słaby, co łatwo dawał sobą manipulować.

Kiedy argumenty padały jeden za drugim, Clarice pozwoliła sobie na dramatyczną uwagę:

- Po prostu czuję, jakbyśmy popełniali jakiś grzech, jakąś zdradę, odwracając się od kupców z Gloucester...

Jej ton sugerował, że słabła, że mogła być podatna na perswazję, gdyby zdołali uśmierzyć jej wątpliwości. Jones wychylił się tak daleko do przodu, że niemal spadł z krzesła.

- Ależ... Ależ, milady, widzi pani, to jest interes. Nie należy nigdy pozwalać, żeby serce rządziło głową, nie w interesach.

- Być może... - Jack posłał Jonesowi porozumiewawcze spojrzenie - gdyby zaistniało jakieś wyrównanie, żeby pomóc plantatorom przełamać ich upory... - Wyglądał na leciutko zakłopotanego.

- Myślę, mówiąc prosto z mostu, że aby podziałać na nich jakąś zachętą, by odwrócili się od kupców z Gloucester i zamiast tego podpisali umowę z panem.

- Zachętą? Ależ... - Jones wyprostował się na krześle, otwierając szeroko oczy. - A co z dodatkowym szylingiem za buszel?

Clarice przypatrywała mu się niewzruszenie.

- Ale to jest cena, jaką pan oferuje. Nie ma w tym dodatkowej zachęty. Niczego w uznaniu trudności tego, o co prosi pan plantatorów. Niczego, by odnieść się do ich moralnego dylematu.

Mina Jonesa świadczyła, że nigdy wcześniej nie natknął się na dylemat moralny, przynajmniej nie w interesach.

- Ach... - Otworzył i zamknął usta, po czym spojrzął na Jacka. - Nie jestem pewien, czy nadażam.

- Mówmy poważnie, Jones. - Jack wyglądał na lekko poirytowanego, jak słaby mężczyzna wobec wahającego się konspiratora. - Mówił pan, że zależy mu na zawarciu umowy, ma pan swoją szansę. Jakiś dowód szacunku, docenienia, że plantatorzy z Avening sprzedają panu swoje zbiory, a osiemset buszli jabłek najlepszej jakości będzie pańskie.

Oczy Jacka rozszerzyły się, gdy spojrzął na Jonesa, nakłaniając go, żeby chwycił dogodną chwilę...

I przynęte.

Lecz Jones nagle zamrugał.

- Osiemset? - Zerknął na Clarice. - Myślałem, że zeszyłem razem to był tysiąc.

- Zbiory różnią się znacznie. - Nieporuszona Clarice zerknęła na Jacka. - Rozumiem, że w tym roku osiemset buszli to ilość, której sprzedaż możemy panu zagwarantować.

Jej ton był chłodny, zniechęcający. Jones wyraźnie rozważał wypytywanie ich dalej, ale przyjrząwszy się jej wyniosłej, nieprzejednanej minie, opadł z powrotem na krzesło.

Dogodna chwila umykała. Jones patrzył chmurnie na resztki brandy w kieliszku.

Clarice znacząco przeniosła wzrok na zegar nad kominkiem, a potem z powrotem na Jonesa

- Panie Jones, jeżeli nie ma pan nic więcej do dodania, mam sprawy, które wymagają mojej uwagi.

- Nie, nie! Proszę... -Popatrzył na Clarice, później na Jacka. - Właśnie zastanawiałem się, co mógłbym zrobić... - Przełknął ślinę. - W ramach zachęty.

Wyraźnie ta myśl była dla niego trudna do przełknięcia. Clarice nie ruszała się z krzesła, lekko postukując paznokciami o drewnianą poręcz.

- Ilu plantatorów tu jest? - spytał Jones.

- Nie jestem pewien.

- Siedemnastu. - Clarice pospieszyła z pomocą.- Czemu pan pyta?

- Myślałem, powiedzmy, o dwóch funtach na osobę dla każdego plantatora w... hmm, uznaniu za sprzedanie mi zbiorów?

- Trzy funty - odparła Clarice.

Jones utkwiał w niej lodowaty wzrok. Ona i Jack patrzyli, jak dokonuje szybkich obliczeń w pamięci.

- Trzy funty dla każdego plantatora plus po szylingu za buszel powyżej ceny rynkowej, i będzie pan miał osiemset buszli jabłek z Avening. - Clarice wytrzymała spojrzenie Jonesa,

następnie z arogancją uniosła brew. - Czy jesteśmy umówieni, panie Jones?

Jones przełknął ślinę, a potem przytaknął. Pociesznie.

- Tak. Umówieni.

- Doskonale. - Jack rozparł się na krześle, a na twarzy pojawił mu się jowialny uśmiech.

- Proszę, kazałem swojemu człowiekowi wypisać umowę sprzedaży. Musi pan tylko wpisać liczby i ją podpisać, o tutaj...

Nie mieli pojęcia, czy zdołaliby więcej wycisnąć z Jonesa, satysfakcja z odniesienia sukcesu była słodka.

Gdy umowa została należycie podpisana i poświadczona, Jones wstał. Wpatrywał się w dokument, jakby nie potrafił do końca pojąć, jak do tego doszło.

- Cóż, Jones, w porze zbiorów dostarczymy osiemset buszli do pańskiego magazynu w Bristolu. - Jack poklepał go po ramieniu i obrócił go, bezwolnego, w stronę drzwi. - Kiedy przyśle mi pan szkic umowy na premię, transakcja będzie zapięta na ostatni guzik. Moje gratulacje!

Jack podał mu rękę. Wyglądało na to, że Jones wychodzi z zamroczenia, sięgnął po dłoń Jacka, a jego twarz się rozjaśniała.

- Dziękuję, milordzie. - Nawet się uśmiechnął. - To przyjemność robić z panem interesy.

Jones nisko się uklonił.

- Lady Clarice.

Nawet z daleka Clarice mogła wyczytać w oczach Jonesa zadowolenie, myślał, że nareszcie ją pokonał. Skłoniła głowę jak królowa.

- Do następnego razu, Jones.

Jego uśmiech osłabł na chwilę, lecz potem znowu stał się szeroki.

Z niemal głośnym śmiechem triumfu, Jones wyszedł.

Jack odprowadził go do holu i zostawił z Howlettem, żeby go wyprowadził. Wróciwszy do gabinetu, zastał Clarice nadal przy biurku. Zamknął drzwi. Zatrzymał się przed nią i wyciągnął obie ręce.

Podniosła na niego wzrok, po czym położyła dłonie na jego dłoniach i pozwoliła, by pomógł jej wstać. Ich spojrzenia się splotły.

- Zwycięstwo należy do nas. - Uśmiech, który wygiął jego wargi, nie miał nic wspólnego z urokiem, za to wiele wspólnego z jego zamiarami.

Odpowiedziała jednym ze swoich ulotnych, subtelnie kpiących półuśmiezków.

Puścił jej palce, lekko przesuając dłonie w górę po jej ramionach.

Usłyszeli pospieszne kroki za drzwiami, a potem ktoś zapukał.

Przełykając przekleństwo, Jack przeszedł na koniec biurka, a Clarice przesunęła się, by oprzeć się o krzesło.

- Wejść.

Jedna z pokojówek wetknęła głowę do pokoju.

- Pani Connimore mnie przysłała, milordzie. Kazała mi powiedzieć panu i lady Clarice, że ten miody pan się rusza. Pomyślała, że może państwo zechcecie przyjść, na wypadek gdyby mu wróciła świadomość.

- Tak, oczywiście. - Clarice się wyprostowała.

Tłumiąc westchnienie zawodu i rozczarowania, Jack zaklął pod nosem i poszedł za nią.

* * *

Griggs wyjrzał z biura posiadłości, żeby zadać mu jakieś pytanie, Jack dogonił Clarice, która weszła do pokoju chorego i zbliżała się do jego łóżka. Młody mężczyzna leżał na nim bez życia i nieruchomo, tak jak przez ostatnie dwa dni. Miał zamknięte oczy, jego twarz była bez wyrazu.

Pani Connimore wydała z siebie głębokie westchnienie.

- Był niespokojny, wiercił się... Przez chwilę myślałam, że mnie słyszy, a potem... znowu nic.

Jack zerknął na Clarice. Wpatrywała się w bladą twarz

młodzieńca, a jej własna była wyraźnie zachmurzona. Jack znów spojrzął na panią Connimore.

- Przynajmniej widać, że jeszcze nie jest gotów odzyskać świadomości. Przy zranieniach ciało postanawia, że sen to właśnie to, czego mu trzeba, i nie pozwala na nic innego. Jego odrętwienie może mu wyjść na dobre. Nawet jeśli tylko po to, żeby kości mu się zrosły.

Pani Connimore przyjęła jego słowa skinieniem głowy. Clarice wydawała się ledwie je słyszeć.

Jack pochylił głowę, żeby lepiej widzieć jej twarz, podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy.

- O co chodzi? Czy go rozpoznajesz?

Pokręciła głową.

- Im więcej traci na wadze, im bardziej wychudzoną ma twarz, tym bardziej jestem pewna, że powinnam wiedzieć, z jakiej rodziny się wywodzi. Lecz nie potrafię.

Oboje jeszcze przez chwilę wpatrywali się w młodego człowieka, po czym Jack trącił ją w łokieć.

- Stanie tutaj i zmuszanie pamięci do współpracy nie przyniesie efektów. Chodź, odprowadzę cię na probostwo.

Westchnęła i odwróciła się. Sprowadził ją na dół, zaczekał, aż weźmie kapelusz ze stolika w holu, a potem otworzył frontowe drzwi i wyszli na wysypany żwirem podjazd. Jack dotknął jej ramienia i wskazał bujny trawnik opadający ku strumykowi.

- Chodźmy tamtędy. - Spojrzął w górę, na niebo, jego czysty błękit nieskażony ani jedną chmurką. - To przyjemniejsza droga, zwłaszcza w taki dzień jak dziś.

Clarice zgodziła się, kiwając głową. Wydawała się błędzić gdzieś myślami, zapewne wciąż rozmyślając o nieprzytomnym młodzieńcu.

Idąc obok niej spokojnym krokiem, Jack powziął sobie za cel skierować jej myśli na inny tor.

- Ostatni raz, kiedy spędziłem tu więcej czasu, to było ponad trzynaście lat temu. - Spojrzął na nią. - Czy pod

względem towarzyskim nadal panuje tu cisza, czy też przybycie córki markiza do tego sennego zaścianka rozpętało szal balów i przyjęć?

Podniosła wzrok, patrząc przed siebie, tam gdzie wartko płynął strumień i szemrał między zarośniętymi brzegami, minę miała dość kwaśną.

- Z początku. Lecz... prawda jest taka, że przybyłam tutaj dzięki łaskowości śmietanki towarzyskiej. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyłam, było pogrążenie się w wirze balów i przyjęć i bycie przedstawianą każdemu zdątnemu do małżeństwa mężczyźnie w promieniu dwudziestu mil. Oczywiście... - jej ton nabrał odcienia rezygnacji - nie dało się nic na to poradzić, lecz kiedy pierwsza fala gorączki z powodu nowości opadła, a ja nie wykazywałam oznak chęci, by stać się centrum jakiegokolwiek towarzyskiego kręgu, i okazało się, że interesuje mnie coś wręcz przeciwnego, tempo opadło do tego, co jest tutaj normalnym rytmem, a mnie w zasadzie zostawiono w spokoju.

- Organizowanie i kierowanie, zwłaszcza moją posiadłością. Wiem, wiem... - uchwycił jej spojrzenie i się uśmiechnął, żeby pozbyć swoje słowa ciężaru - ty tu byłaś, a ja nie. - Przez chwilę szli milczeniu, a później Jack dodał mniej nonszalanckim tonem: - Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczny.

Przelotne spojrzenie, którym go obrzuciła, powiedziało mu, że jest najzupełniej świadoma, iż Jack ma wszelkie powody do wdzięczności.

- Niechętnie, lecz szczerze?

Skinął głową.

- Właśnie.

Dotarli do wąskiej ścieżki biegnącej wzdłuż wijącego się strumienia, miała ich prowadzić przez należące do dworu pola i dalej na posiadłości przylegające do probostwa.

Jack wpatrywał się w jej profil. Szli w równym tempie, ani się spiesząc, ani ociągając. Jak miał się dowiedzieć tego, czego chciał?

- A więc po tej pierwszej fali gorączki żyjesz tutaj

spokojnie?

- Wątpię, żeby wiele się zmieniło w ciągu tych lat, gdy byłeś poza domem. Miejscowa społeczność jest cicha i mało wymagająca.

- Być może, lecz trudno mi przyjąć fakt, że wszyscy miejscowi dżentelmeni są tacy mało rozgarnięci. Z pewnością składają wizyty?

Zmrużyła oczy.

- Niestety, tak. Nazbyt często. Można by pomyśleć, że po siedmiu latach zdali sobie sprawę iż...

Umilkła. Kiedy nie odezwała się ponownie, Jack spokojnie odpowiedział:

- Że nie masz zamiaru poślubić żadnego z nich.

- Właśnie.

Jej oczy zabłyśły, ton jej głosu wydał mu się dość ostry.

Jack się uśmiechnął, gdyby chciała odczytać wyraz jego twarzy, byłoby to łagodne rozbawienie, skryty za tą maską gratulował sam sobie, że wyciągnął z tej kobiety odpowiedź na najważniejsze pytanie.

- Będziesz musiała im wybaczyć, to tylko mężczyźni.

Jej ciche prychnięcie było bardzo wymowne. Jego uśmiech stał się szerszy.

A zatem nie miała obecnie żadnego zalotnika ani nie życzyła sobie takowego, a jeśli Jack mógł to osądzać, to w ogóle nie była oczarowana żadnymi dżentelmenami, w każdym razie nie tymi, którzy starali się o jej rękę. Wziąwszy pod uwagę jej życiorys, nie był tym zaskoczony. Żadna dama jej pokroju, bogata i atrakcyjna w każdym calu, nie osiągała wieku lat dwudziestu dziewięciu, pozostając niezamężna, nie tylko wypadając z grona „dobrych partii”, lecz idąc wręcz w zapomnienie.

A jednak, chociaż mogła odwrócić się plecami do małżeństwa, nie oznaczało to, iż nie miała jakiegoś kochanka w okolicy, jakiegoś dżentelmena, który postrzegał ją taką, jaka była naprawdę, przyjeżdżał co kilka dni, żeby się z nią spotkać.

Z ukosa rzucił na nią okiem, przypominając sobie, jak go całowała.

Pożądliwie, a nawet łapczywie. Jeżeli miała miejscowego kochanka, to wzięwszy pod uwagę jej zachowanie, czy chciał to wiedzieć?

- Skoro rozmawiamy o towarzystwie i jego stosunku do kwestii małżeństwa, co takiego się stało, że wyгнаło cię z miasta?

Jej pytanie, wypowiedziane zwyczajnym spokojem tonem, wyrwało Jacka z zamyślenia. W jej oczach kryło się mnóstwo przenikliwości i zdolności do dostrzegania pozorów i fałszów.

- Najwyraźniej miałeś jakieś ciężkie przejścia z matronami i ich podopiecznymi. - Clarice uniosła brwi, w jej głosie czaiło się wyzwanie i rozbawienie. - Przyznaję, że trudno mi sobie wyobrazić, by tak skutecznie cię pokonały.

Pomimo pozornej swobody Jacka stan jego umysłu odzwierciedlający się w wyrazie oczu, zdradzał ogromne skupienie. Zbył jej dociekania:

- Byłem gotowy zwinąć obóz. – Popatrzył przed siebie, a potem mówił dalej: - To, co oferowano, nie przypadło mi do gustu. Inna sprawa, jak to oferowano... - Zaciśnął szczęki. - To była ostatnia kropla, która przepelniła czarę goryczy.

- Rozumiem.

Powiedziała to swobodnym tonem, ale naprawdę potrafiła zrozumieć jego słowa. Po trzech własnych sezonach, a do tego jako osoba obracająca się w tych kręgach towarzyskich od urodzenia, dobrze wiedziała, jak zachowuje się arystokracja i z czym Jack się zetknął, być może w jego przypadku matrony mogły pomylić się w osądzie i zastosować błędną taktykę wobec jego osoby. A on z tego powodu zniechęcił się do, jak to ujął, gotowej do małżeństwa części żeńskiej populacji, wydawał się postrzegać taką postawę, jako coś przypisanego do tej klasy społecznej.

A teraz nie tylko przebywał na wsi, mimo iż sezon był w pełni, lecz posłał po Percy'ego i szykował go na swojego

spadkobiercę.

Uznała jego decyzję nie tylko za interesującą i wiele mówiącą, ale także odczuła ulgę. Nie zamierzała angażować się w relacje z tego typu dżentelmenem, który w dodatku rozgląda się za narzeczoną.

Nigdy więcej.

A jednak, po odłożeniu na bok myśli o małżeństwie oraz kwestii, jak sobie z tą sprawą poradziła nadal pozostawało intrygujące pytanie o powód tak intensywnej jej reakcji na Jacka. Nie była pewna, co taka reakcja zapowiada i czy podążanie za nią było mądre, czy szalone. Jednak z pewnością kazała jej się zastanowić, dokąd może ich zaprowadzić.

Co mogło okazać się jak najbardziej możliwe między nimi? Między nią a lordem z Avening Manor.

Spojrzała na niego kątem oka. Szedł z naturalną, niewymuszoną gracją. Wykorzystała tę chwilę by mu się dokładniej przyjrzeć. Emanowała z niego jakaś siła, która nie musiała się przejawiać w żadnym konkretnym działaniu, by przykuć uwagę, ona po prostu istniała.

Będąc tak blisko, Clarice była aż do bólu świadoma jego obecności, fizycznej obecności samca, który drażnił jej zmysły niczym dłoń delikatnie mierzwiąca kocie futro. Nie był to wyraźny dotyk, a bardziej sugestia pieczyoty.

Pod jej wpływem jej zmysły mruczały i chciały więcej.

O wiele więcej.

I tu właśnie wkraczała na niezbadane terytorium. Miała aż nadto dużo doświadczeń związanych z tym, co dżentelmeni uważali za „więcej”. A to, o czym nie wiedziała, było tym, czego naprawdę pragnęła, nigdy przedtem nie chciała więcej. Od żadnego mężczyzny. Nigdy wcześniej jej zmysły nie były tak rozedrgane, a tym bardziej jej pożądanie w żadnej formie nie było tak pobudzone.

Odnosił sukces tam, gdzie wszyscy inni zawiedli. Aż do teraz nie wiedziała nawet, że to możliwe, podobnie jak większość towarzystwa zastanawiała się, czy po trzech niezbyt

satysfakcjonujących zaręczynach stała się jedną z tych kobiet, które nigdy więcej nie będą zainteresowane związkiem z mężczyzną.

Ale teraz, dzięki Jackowi, była zainteresowana. I w głębi umysłu tkwiła niepokojąca myśl, że ten pociąg, który czuła, nie bierze się wyłącznie z podziwu dla jego powierzchowności.

Cieszyła się dzisiaj, że mogła przyłączyć się do niego, by przechytryć Jonesa i ofiarować najwięcej miejscowym plantatorom, którzy na nich polegali i im ufali. Dobra robota, bez dwóch zdań, lecz to nie tylko zwycięstwo wprawiło ją w dobry nastrój, cieszyło ją zarówno planowanie, jak i to, że dokonała o wiele więcej, niż gdyby działała sama. Nigdy wcześniej nie współpracowała z nikim w taki sposób, nie mówiąc już o zaznaniu radości dzielenia się osiągnięciem z kimś, kto myśli tak jak ona, kto rozumie jej pomysły i tak swobodnie podąża za jej tokiem rozumowania.

Szkoda, że Connimore posłała po nich właśnie wtedy, gdy...

Ta myśl przywołała kwestię obrażeń Jacka, które wydawał się lekceważyć albo przynajmniej umniejszać. Zerknęła w jego stronę. Gdyby nie podsłuchiwała wyznania, że został ranny, mogłaby przysiąc, że jest krzepki i zdrow jak ryba. Nawet teraz pojawiła się myśl o tym, że Jack cierpi na jakieś śmiertelne schorzenie, które zabiłoby go, nim zdołałby się ożenić i splodzić dziedzica - stąd Percy.

Co kazało jej się zastanawiać, czy jego rana nie dotyczyła tamtego wrażliwego miejsca - to sugerował w rozmowie z Connimore - i czy istnienie owej rany nie wiązało się z jego determinacją, by wyszykować Percy'ego na swojego następcę i, być może, z jego porzuceniem myśli o małżeństwie.

Zatrzymał się. Wyrwana z rozmyślań, przystanąła i popatrzyła na niego. Odwrócił się, by spojrzeć, na strumień, powędrowała za jego wzrokiem i uświadomiła sobie, że stoją obok głębokiej sadzawki w zagajniku, który oddzielał ostatnie z dworskich pól od drogi i mostu. Drzewa właśnie obsypały się liśćmi, zasłaniając okolicę wiosenną zielenią nakrapianą

słonecznymi plamami wpadającego przez nią światła.

Śpiew ptaków stał się głośniejszy, bardziej skupiony, pomiędzy drzew dobiegał trzepot skrzydeł Szmer strumyka zmieniał się w westchnienie, kiedy woda wpływała do głębokiej sadzawki, a potem spokojnie płynęła dalej.

- To było moje ulubione miejsce, kiedy byłem chłopcem. Kiedy tylko mogłem, przychodziłem tu żeby łowić ryby.

- Całkiem sam?

- Zazwyczaj. - Jack spojrział na drugi brzeg, gdzie drzewa i krzewy tłoczyły się do samej wody.

- Wioska jest dosyć daleko, a w pobliżu nie ma żadnych innych farm. Żeby się tu dostać, każdy z miejscowych chłopaków musiał przeciąć spory kawał dworskiej ziemi, a bali się Cruikshanksa, naszego gajowego.

Obok niego Boudika wpatrywała się w gładką powierzchnię sadzawki.

- Rzadko ktoś tu bywa. - Podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie. - Ja często tędy chodzę. To śliczne miejsce i prawie zawsze opuszczone.

Właśnie dlatego ją tutaj przyprowadził.

- Łowisz?

- Nie tutaj, lecz tak się składa, że łowię ryby.

Zamrugał.

- Kolejna czynność, która nie znajduje się na liście zajęć zalecanych dla córki markiza.

Zaśmiała się.

- Mam trzech starszych braci. Gdy byliśmy dziećmi, znikali ze swoimi wędkami, kiedy tylko mogli.

- A mała siostrzyczka szła za nimi?

Skinęła głową.

- Ilekroć mogłam. Co zdarzało się znacznie częściej, niż moja macocha by sobie życzyła, lecz to ona była jednym z głównych powodów, dla których się wymykałam.

- Nie układało ci się z nią?

- Nie, lecz moje wyprawy na ryby nie brały się tylko z

tego. Ku jej wielkiemu rozczarowaniu nigdy nie byłam szczególnie zainteresowana byciem „grzeczną małą damą”. Nigdy nie byłam małą, zacznijmy od tego, no i oczywiście, zawsze mi powtarzano, że łowienie ryb jest dla chłopców, co tylko sprawiało, że jeszcze bardziej chciałam się tym nacieszyć.

Jack się uśmiechnął. Nie było trudno wyobrazić sobie znacznie młodszą Boudikę, z determinacją wykuwającą własną ścieżkę przez życie. Upór i determinacja najwyraźniej były głęboko zakorzenionymi cechami jej charakteru.

Sunęła ścieżką bez pośpiechu, nie tak szybko jak przedtem, mimo to wciąż parla do przodu. Jack szedł za nią niemal bezgłośnie. Promień słońca przebił się przez baldachim gałęzi i dał się złapać jej włosom, zajaśniały intensywnie, fasety krwisto czerwonego granatu zapłonęły w ciemnej gęstwinie jej koka.

Palce go świerzbiły, żeby wsunąć się w tę jedwabistą masę. Paliły go, by pogłodzić delikatną satynę jej karku.

Pokonał dzielącą ich odległość, pochwycił jej ramiona, odwrócił ją twarzą ku sobie.

Zamrugła.

- Nie uczciliśmy jeszcze naszego zwycięstwa nad Jonesem - powiedział.

Nie cofnęła się, nawet nie była spięta, nie było w niej niechęci ani oporu. Oczy poszukały jego oczu, a potem jej brwi lekko się uniosły.

- Nie, nie uczciliśmy.

Była nieco zdyszana, lecz w jej ślicznych oczach nie dostrzegł obawy. To otwarte spojrzenie sprawiało, że przeszło go ostrze pożądania, czekała, zgadzając się bez słów na to, co zamierzał zrobić...

- Myślę, że powinniśmy.

Pochylił głowę.

Uniosła usta.

- Ja również.

Rozdział 7

Pocałunek zaczął się niewinnie, lekkim muśnięciem warg, trwało to może sekundę. Potem eksplodował głód - niespodziewany, bezprzykładny - i wyrwał się z nich obojga jednocześnie. Ich usta się, stopiły, napierała mocniej, a on przygarnął ją do siebie ze wszystkich sił.

Jej wargi rozchyliły się pod jego ustami, zapraszając, nęcąc, zanurzył się w nie, pochwycił i dostrzegł jej zachwyty.

Przycisnął ją do siebie, ponaglany płomieniem jej pocałunku, bezgłośnym, lecz wymownym zaproszeniem, które tak jawnie wyrażała. Chciała tego tak samo jak on, z taką samą niecierpliwością, z taką samą potrzebą.

Potrzebą, której on sam do końca nie rozumiał, która opanowała ich po ledwie jednym pocałunku, która zbyt łatwo - bez wysiłku - zmiotła ich wprost w pożogę grożącą i domagającą się tylko jednego zakończenia. Zakończenia, którego oboje jawnie pożąдали.

Clarice zaplotła mu ręce na szyi, wplątując palec w jego włosy, by go przytrzymać, by go uwięzić, by ochoczo mu się poddać.

Jej życzenie dawało się wyczytać w każdym ruchu, kuszącym otarciem bujnego ciała o jego ciało. W każdym dzielonym westchnieniu, kiedy się całowali, w każdym prowokującym muśnięciu języka o język. Pożądanie odpowiedziało, rycząc mu w żyłach, dudniąc w opuszkach palców.

Tutaj. Teraz.

Wyraźnie słyszał to żądanie, wyczuwał je nie tylko w pulsującej twardości własnego, lecz i w rozgrzanej miękkości jej ciała.

Lecz... te same instynkty, które utrzymywały go przy życiu przez trzynaście długich lat, nadal działały. Było mało prawdopodobne, że ktoś będzie tędy przechodził, jednak byli na otwartej przestrzeni. Wziąć ją tutaj, teraz... nie.

Taki seks, chociaż namiętny i satysfakcjonujący z

konieczności byłby ograniczony przez ubrania, a chciał, żeby Boudika była pod nim naga, kiedy po raz pierwszy się w nią zatopi. Sam też chciał by nagi, czuć jej skórę przy swojej, czuć jedwabistą gładkość jej ud ściskających mu boki, gdy jej dosiędzie...

Nie tutaj, nie teraz.

Strategia i taktyka od dawna były jego drugą naturą, nie musiał o tym myśleć, bo po prostu wiedział, kiedy strącał jej kapelusz z głowy i układał ją na gęstej trawie, co będzie wystarczające na tę, chwilę i przygotowuje grunt na później.

Clarice opadła na trawę i poczuła orzeźwiający zapach i chłód ziemi - tylko przez moment, nim ta rozgrzała się pod nią. I pod nim. Był rozpalony, twardą muskulaturą, siłą i męskością, z tak bliska wydawał się niszczycielską siłą. Nie potrafiła myśleć o niczym innym niż potrzeba położenia dłoni na jego nagiej piersi.

Lecz tak nie miało się stać, jeszcze nie tym razem.

Leżał obok niej, podparty na łokciu, jedną mocną dłonią obejmując jej twarz i, pochylając się, nad nią, rozgniatał pocałunkami jej usta. Jego ciało było blisko, a jednak nie dość blisko.

Przesunął dłoń z jej twarzy na pierś.

Przyjemność, czysta i przenikliwa, przebiegła ją całą, skradła oddech, kazała jej się naprężyć, mocniej wciskając pierś w jego dłoń w jawnym zaproszeniu. Jego długie palce głąskały, pieściły, kusiły, przekomarzały się, a potem ścisnęły mocniej.

Zapomniała o oddychaniu, nie wydawało się już konieczne. Doznania, które w niej wzbudzał, zawładnęły jej umysłem, zawładnęły jej zmysłami. Wprawiły w wirujące omdlenie jej myśli, zadowalane tak umiejętnie jak jeszcze nigdy dotąd.

A więc to jest zmysłowa rozkosz.

Nareszcie.

Jej ciało odpowiedziało, rozwijając się jak różany pączek w promieniach słońca, a przynajmniej tak się jej zdawało. On był ciepłem, a ona była tęsknotą, on dawał, ona brała. A

przynajmniej tak się jej zdawało.

Poczuła łagodne szarpnięcia na boku i że stanik jej sukni staje się luźniejszy.

Poczuła, jak jego palce odsuwają na bok muślin i delikatny batyst jej halki, by wsunąć się pod nie i objąć jej pierś. Skóra przy skórze, jej wrażliwa jedwabista pierś przy jego twardej dłoni. Zadrżała, nagle pojmując, z oczekiwania i zdumienia.

Gdzieś głęboko poruszyła się jakaś emocja, jakiś pierwotny, uśpiony aż do teraz, przymus. Uświadamiając je sobie jak przez mgłę, pozwoliła mu powstać, beztraska i zaciekawiona.

Potem jego wargi się oddaliły. Zanim zdołała zdobyć się na otwarcie oczu, poczuła delikatne muśnięcie włosów na nagiej skórze, po którym natychmiast przyszedł gorący odcisk jego ust.

Jego wargi wędrowały po jej piersi, zabrakło jej w płucach powietrza.

Później pochylił głowę, parzący żar zamknął się, wokół jej sutka, ciężko westchnęła, wygięła się, bardziej poczuła, niż usłyszała pomruk samczej satysfakcji i zajaśniała w duchu własnym zadowoleniem, takim, którego nigdy nie spodziewała się poczuć.

Pozwoliła swoim palcom zacisnąć się na jego głowie, zachęcając go do uctowania, z okrzykiem wstrzymała oddech, gdy to zrobił, przeżyła błogie ukłucie rozkoszy, a później pozwoliła, by pędzące w ślad za nią pożądanie poniosło ją i nią kierowało.

Poruszyła się, uniosła pod nim, mogła być niedoświadczona, niewprawna, ale wiedziała dosyć, dosyć potrafiła odgadnąć. Kusila go, wabiła swoim ciałem. W jej głowie nie istniała żadna inna myśl poza tym, żeby zobaczyć, o ile dalej może sięgać przyjemność, czym jeszcze on może się z nią podzielić.

Odpowiedział jej reakcją nie wykalkulowana lecz instynktowną, z drżącym okrzykiem, którego nie zdołał stłumić, z nagłym napięciem mięśni już i tak naprzężonych.

Jego erekcja sunęła wzdłuż jej uda, okazała i imponująca, nie tyle grożąc, ile kusząc. Pragnęła sięgnąć w dół i go pieścić, ująć

tę twardość w dłoń i nauczyć się jej tak, jak on uczył się jej, lecz nie udało się wcisnąć między nich ręki.

Uniosła powieki i zerknęła w dół. Poczowała, jak i ogarnia ją pożądanie, gdy patrzyła, jak Jack troskliwie zajmuje się jej piersią.

Z jej ust wyrwał się jęk, odgłos, którego nie wydała z siebie nigdy w życiu. Odgłos kobiecego pragnienia, kobiecego błagania. Usłyszał, lecz nie odpowiedział, wszystko, co zrobił, to skupienie się na drugiej piersi i sprawienie, że jęknęła raz jeszcze.

Pragnęła, pulsowała potrzebą, jakiej nie zaznała nigdy wcześniej, a jednak ją rozpoznała. Wiedziała, czego chce, była pewna, że może to mieć, jeśli się ośmieli. Jeśli jasno pokaże swoje życzenia.

Przysunęła do niego jedno udo, pozwoliła, by jej biodro i udo go pieściły, i natychmiast została nagrodzona. W napięciu wstrzymał oddech, a potem podniósł głowę, objął jej podbródek i przytrzymał twarz nieruchomo, jego wargi nakryły jej wargi, język zanurzył się w jej usta.

Zawrotnie wirującymi zmysłami odczuła dotyk wiosennego powietrza na nogach, gdyż unióś jej liczne spódnice i wsunął pod nie dłoń. Długie palce brnęły ku górze, nad odziane w pończochę kolano, prześlizgnęły się po jej podwiązce, by lekko ścisnąć nagą skórę. Przez moment delectował się tym, a potem sięgnął wyżej, śmiało dotknął jej kędziorków, pogładził je, przedostał się przez nie i ją rozchylił.

Wsunął w nią jeden palec.

Udało jej się nie krzyknąć, nie zadrzeć w odpowiedzi na tę niespodziewaną inwazję. Na chwilę rozproszyła ją walka o to, by stłumić wszelką głośną reakcję, która pokazałaby, jak nienawykła jest do tak swobodnej intymności.

Jej umysł rozpadł się na kawałki, zmysły zawirowały, a potem raptownie skupiły się na nowo, kiedy powtórzył to, co zrobił przed chwilą.

Znowu i znowu.

Nagle nie liczyło się nic innego. Nic, prócz przenikającego ją żaru, pożerających ją płomieni. Pożoga narastała z każdą chwilą. Chociaż jego wargi wciąż były na jej ustach, a jego ciało osłaniało ją, kiedy zaspokajał jej pragnienia, kiedy dawał jej odrobinę tego, czego sobie życzyła, to jakaś część jego umysłu obserwowała, rejestrowała i dawała jej możliwość robienia tego samego.

Przyjemność.

On wiedział, co robi, ani przez moment w to nie wątpił. Nie spieszył się, tylko doprowadzał ją w równym rytmie do jakiegoś szczytu doznań, trzymał ją tam, żeby oboje mogli delektować się chwilą, a potem chłodno, spokojnie wypchnął ją poza krawędź.

W zmysłowe zatracenie, w stan, w którym jej zmysły rozpadły się w zachwyceniu, pozostawiając ją unoszącą się na falach rozkoszy.

Jack pozwolił jej się osunąć w blask. Oderwał się od jej ust, podniósł głowę, żeby patrzeć. Wpatrywał się w jej twarz - błogo promieniejącą, rozluźnioną - i poczuł się usprawiedliwiony. Oboje tego chcieli, oboje dostali.

Na razie wystarczy.

Jego umysł, chwilowo uwolniony, błędził. Jack tego nie przewidział, inicjując ich „świętowanie”. Podążał za własnym, starannie przemyślanym planem, zapomniał, że Boudika będzie miała własny plan. Na szczęście ich zamiary w dużym stopniu były ze sobą zbieżne. Kiedy skierował ją w dół strumienia, nie miał na myśli niczego tak konkretnego i nie wyobrażał sobie, że razem, kierowani wspólnym zamiarem, za obopólną zgodą obędą się bez wstępów i wyczarują... wystarczającą ilość żaru, by spopielić wszelki rozsądek.

Ten żar ich pochłoniął, rozniecając pożądanie wlewając je w ich żyły, kierując nimi, domagając się więcej, dręcząc ich zmysły oczekiwaniem i obietnicą ekstatycznej rozkoszy.

Oczekiwanie i obietnica nadal przywoływały, nadal czekały niecierpliwie na nich oboje.

Jej rzęsy zatrzepotały, uniosły się, by odsłonić ciemne i błyszczące namiętnością oczy. Jej dłonie, miękko spoczywające na jego barkach, napięły się, zacisnęły. Przywarła do niego, podała mu usta.

Nigdy żadne zaproszenie do intymności nie było tak wyraźne, poczuł je przenikające na wskroś, poczuł jego moc. Walczył, żeby się oprzeć.

Nie tutaj, nie teraz.

Ona nie miała takich zastrzeżeń. Odsunęła się tylko na tyle, by wyszeptać wprost w jego usta:

- Chodź... teraz.

To ostatnie słowo prześlizgnęło się po jego wargach jak pokusa. Poczuł, jak twardnieje, mięśnie tężały mu od wysiłku, by się powstrzymać. Delektował się jej wargami, lecz utrzymywał psychiczny dystans, a później odsunął się i wymruczał:

- Nie tutaj. Nie teraz.

Otworzyła oczy i spojrzała w jego własne, badając je. Potem spytała:

- Kiedy zatem? I gdzie?

Te proste, bezpośrednie, tak rzeczowe pytania wywołały w nim wirującą falę żądz, żadnej dwuznaczności, żadnego maskowania, żadnego fałszu. Ona pragnęła jego, a on pragnął jej. Przesunął się w daremnej próbie złagodzenia bólu w lędźwiach.

- Wkrótce. - Napięcie w tym słowie sprawiło, że uśmiech zatańczył na jej wargach. Przez moment wytrzymał jej spojrzenie, po czym zaproponował:

- Dziś w nocy?

Nie skinęła głową, lecz jej oczy, wyraz jej twarzy świadczyły o tym, że zgadza się całym sercem.

- Gdzie?

To było trudniejsze. Ledwie mógł pozbierać myśli.

- Hmm... - Niechętnie wycofał palce z rozgrzanej przystani między jej udami.

- Nie na probostwie i także nie we dworze - stwierdziła to, co oczywiste.

- Pawilon na wzgórzu... czy nadal nadaje się, do użytku?

- Tak. Świetnie się nada.

Wpatrywał się w jej uśmiech, kusilo go, by zapytać, dlaczego „świetnie się nada”, ale wkrótce i tak pozna odpowiedź.

- Dziś w nocy w pawilonie, po zmroku.

Uśmiechnęła się szerzej. Wytrzymała jego spojrzenie, jej własne było tajemnicze, mimo to otwarte i bezpośrednie. Po chwili jej wzrok przesunął się, na jego wargi.

- Czy zamierzasz pozwolić mi wstać?

Jej ton sugerował, że nie wiedziała, jaką odpowiedź chce usłyszeć.

Dał jej zatem taką, którą woleli oboje.

- Kiedyś.

Potem pochylił głowę i znowu dotknął wargami jej ust.

Zmierzch zanikał na niebie, ustępując miejsca intensywnej barwie indygo przetykanej błyszczącymi gwiazdami, kiedy Clarice wymknęła się z probostwa. Przystanąła na ganku, żeby głębiej zaczerpnąć powietrza i podelektować się zapachami rozkwitających w nocy kwiatów, a potem cicho zarzuciła szal na ramiona i zeszła po podjeździe.

Wiosenna noc zamknęła się wokół niej, znajoma, a jednak dzisiaj nieco egzotyczna, przyprawiona subtelnym dreszczem nadciągającej przygody. Często wychodziła wieczorami, nikomu nie było jej brak aż do rana, a wracała dużo wcześniej.

Jej oczekiwania wobec nadchodzących godzin szarpały napięte nerwy i sprawiały, że podniecenie buzowało w żyłach. Zazwyczaj przechadzała się tylko po to, by dać upust rozpierającej ją energii, tej nocy pomyślała, że kiedy wróci, może być zupełnie wyczerpana.

Tak naprawdę nie wiedziała, czego się spodziewać. Nie wiedziała nawet, czy spodoba się jej ten eksperyment, ale musiała się dowiedzieć.

Z Jackiem Warnefleetem mogła to zrobić. Z nim pozna w końcu te strony samej siebie i kobiecej osobowości, które -jak sądziła - u niej miały pozostać na zawsze nietknięte.

Rozstała się z nim, kiedy dotarli na probostwo, Jack poszedł porozmawiać z Jamesem, podczas gdy ona zajęła się licznymi domowymi sprawami czekającymi na jej decyzję. W ciągu następnych godzin nieskończoną ilość razy pytała samą siebie, czy oszalała albo czy to jej nierozważna, hedonistyczna skłonność, nad którą tak ubolewała jej macocha, przyćmiła zdrowy rozsądek.

Beznamyślnie roztrząsając to pytanie, pomyślała, że właściwie to drugie wyjaśnienie było prawdziwe. Lecz nie potrafiła pojąć, dlaczego - po tych latach jej bądź co bądź cichej, wręcz pustelnicznej egzystencji - Jackowi Warnefleetowi zabrakło mniej niż dwadzieścia cztery godziny nie tylko wydobyć tej długo skrywanej cząstki jej osobowości na powierzchnię, ale wydobyć z całą mocą.

Poczuła impuls do działania, do schwywania i wyrwania zyciu tego, czego pragnęła, z o wiele większą siłą niż przedtem, siedem długich lat temu.

Przekroczyła strumień po kamiennym mostku, po czym zeszła z drogi. Wspinając się, nieomylnie podążyła ścieżką przez łąkę i na łagodny pagórek, który dominował nad tą częścią doliny, pawilon, zbudowany wysoko na palach, ulokowano w niedużym zagajniku. Od strony doliny był niewidoczny, ale z jedyne go pokoju wysoko pod dachem widok był rozległy, sielankowa panorama spokojnej doliny i szmerzący strumień w oddali, lasy i sady i zielone pastwiska.

Pawilon należał do dworu, stał na dworskich gruntach, lecz nikt stamtąd już go nie odwiedzał. Clarice odkryła go w pierwszym miesiącu pobytu w Avening, podczas nocnego spaceru. Mocno podupadł, więc wzięła go w posiadanie jako swoje miejsce, czego nikt zarówno ze dworu, jak i z probostwa nie uznał za dziwne ani nie kwestionował. Wydała własne pieniądze na reperację gontów i załatwienie ciekącego dachu,

wstawienie na nowo okien i odnowienie podłogi. Howlett zaofiarował meble ze strychu we dworze. Connimore podjęła się wysłać co parę tygodni dwie pokojówki, żeby poodkurzały i pozamiatały, zaś Clarice sprowadziła z probostwa to, czego potrzebowała dla wygody - dywan, książki, poduszki i trochę przydatnych drobiazgów.

Wkraczając w chłodniejsze, ciemniejsze cienie drzew otaczających pawilon, popatrzyła przed siebie, wyteżając zmysły, ponaglana oczekiwaniem.

Musiał nadejść inną ścieżką, tą, która prowadziła bezpośrednio od dworu. Obie ścieżki przecinały lasek, żeby spotkać się przed pawilonem, kiedy wyszła na małą polankę, zauważyła, że drzwi pawilonu są otwarte na oścież.

Nie paliła się żadna świeca, żaden cień nie poruszał się za szerokim oknem pokoju, lecz skoro ona była jedyną osobą, która tu przychodziła, więc to był on i czekał.

Wspięła się po schodach, wciąż trzeszczały - dziwnie kojący odgłos. Drzwi na górze otwierały się bezpośrednio na jedyny pokój w pawilonie, weszła do środka, i w mroku zobaczyła Jacka. Czekał, tak jak przypuszczała.

Siedział w jednym z trzciniowych foteli, z ramionami na szerokim oparciu, założywszy nogę na nogę i podpierając brodę pięścią, ze wzrokiem utkwionym w otwartych drzwiach. W niej.

Piękny dzień przeszedł w łagodny wieczór, więc zdjął płaszcz i rozpiął kamizelkę. Biel jego koszuli przyciągała resztkę światła, przyciągnęła też jej spojrzenie.

Nieruchomy, jeszcze bardziej emanował aurą okiełznanej siły, a cała prawda o nim jaśniała tym wyraźniej.

Przez chwilę zadumała się nad obrazem, jaki sobą przedstawiał, zanotowała go w pamięci, a potem sięgnęła za siebie i zamknęła drzwi.

Obserwował ją, a raczej taksował wzrokiem. W tej chwili inicjatywa należała do niej, rozsądek podpowiadał jej, by to wykorzystać.

Dzięki szerokim oknom wypełniającym frontową ścianę

pawilonu, stanowiącym ramy dla pięknego widoku, było dosyć światła, by coś widzieć. Podeszła do toaletki i pozwoliła szalowi ześlizgnąć się z ramion, złapała go i odłożyła na blat.

Minęła szeroki szezlong pod oknem, okryty grubym materacem i przybrany kolorowymi narzutami, zapraszająco obsypany jaskrawymi poduszkami. Jedno z okien było uchylone, otwierając je na oścież, wyjrzała i odetchnęła świeżym powietrzem. Jej płuca przeniknęły zapachy lasu przemieszane z wonią jabłoni kwitnących w sadach.

- Pomówmy. - Jej głos był spokojny, mocny. Odwracając się, napotkała w mroku jego spojrzenie. - Zanim przejdziemy dalej, chcę wyjaśnić pewną sprawę.

Widząc, jaki jest pewny siebie, arogancki, mimo, że dobrze to skrywał, uświadomiła sobie, jak wielkim zagrożeniem był - mógł być - dla jej osoby, i jaką formę mogło to zagrożenie przyjąć. Był ucieleśnieniem dżentelmena z jej klasy, nie miała chęci paść ofiarą kogoś takiego. Nie znowu.

Nigdy więcej.

- Chcę, żebyś wiedział i się zgodził, iż bez względu na to, co między nami zajdzie, co wydarzy się tutaj albo gdzieś indziej, nie będzie to nic więcej niż chwilowy romans. - Odeszła od okna. - To tylko chwilowy związek, taki, który będzie trwał dopóty, dopóki oboje sobie tego zażyczymy, lecz w końcu wygaśnie i przestanie istnieć. - Zatrzymała się obok jego fotela. - Chcę, by to było jasne, że oboje uznajemy, iż to się skończy, i to bez żadnych następstw. Żadnych zobowiązań, żadnego sugerowanego porozumienia, żadnych oczekiwań.

- Chwila i nic więcej?

- Właśnie. - Wytrzymała jego spojrzenie przez dwa uderzenia serca. - Taka jest moja cena. Czy jesteś skłonny ją przyjąć?

Podniósł się i w jednej chwili znalazł w odległości stopy od niej.

Nagle stwierdziła, że czuje się mała.

Jack spoglądał w dół na jej twarz, świadomy pociągu,

przymusu, który tak łatwo w nim wzbudziła samą swoją obecnością, byciem w zasięgu jego ramion. Podana cena była marzeniem rozpustnika - brak jakichkolwiek konsekwencji. Czysta gra, gdyby zapytano go o preferowane przez niego zasady związku kobiety i mężczyzny, powiedziałby to samo.

Dlaczego więc jej słowa, ustalenie dokładnie takich reguł, wedle jakich zazwyczaj sam wolał grać - wywołało w nim mieszane uczucia?

Dlaczego był przygotowany na to, by otrzymać od niej więcej, wziąć więcej?

To musiało być jakieś chwilowe szaleństwo. Odsunął je na bok i wyciągnął do niej rękę.

- Tak.

Przyciągnął ją do siebie, pochylił głowę, zatrzymał się akurat na tyle, by popatrzeć, jak jej powieki opadają, by zobaczyć, jak jej wargi rozchylają się, a później ją pocałował.

Zatonął w jej ustach, nie tylko pewien ciepłego przyjęcia, ale przekonany o tym wyraźnie przez sposób, w jaki padła w jego objęcia, sama starając się być bliżej.

Ich usta stopiły się, języki spotkały. Rozłożyła dłonie na jego piersi, wbijając opuszki w jego mięśnie w bezgłośnym żądaniu. Przycisnął ją do siebie, po czym przesunął ręce w dół, ku jej talii, po biodrach, żeby śmiało objąć jej pośladki.

Była na tyle wysoka, że jego erekcja przycisnęła się do jej łona, przygiął ją ku sobie, sugestywnie ocierając się o nią, i poczuł nagły dreszcz, który przebiegł jej po plecach.

Oboje byli dorośli, oboje dojrzały, oboje wystarczająco doświadczeni, nie było pośpiechu, nie było też potrzeby czynienia żadnego powolnego wstępu, zwłaszcza teraz, za pierwszym razem. Potrzeba, która w nich wzrosła, była potężna i dojrzała

Głód, który miał swoją głębię i wymiar, i pazury. Poddali się bez walki - co więcej, powitali go chętnie, pozwolili mu sobą pokierować. Porwać ich. Jack wyczuwał jej zaangażowanie, tę chwilę, kiedy odrzuciła wszelkie opory i oddała się namiętności,

podążył za nią bez zastanowienia.

Podnosząc głowę, odrywając się od pocałunku, który już przyspieszył im tętno, popchnął ją w stronę szezlonga. Pozwoliła mu na to, a jej dłonie, cała jej uwaga skupiły się na guzikach jego koszuli. Potem rozchyliła poły materiału, przytrzymała na jedno uderzenie serca, gdy jej oczy delektowały się ujrzanym widokiem, a potem przyłożyła dłonie do jego skóry.

Dotyk żadnej innej kobiety nigdy nie sprawił, by Jack poczuł się taki słaby. Jej paznokcie zadrapały go lekko, i pożądanie wróciło ze zdwojoną mocą

Sięgnął do tasiemek przy jej sukni.

Stali przy szezlongu, wymieniając sporadycznie pocałunki i pomagali sobie nawzajem wydostać się z ubrań. Dłonie sięgały, dotykały, chwytaly, palce gładziły, a potem ścisnęły i szarpały.

Otoczyły ich przyjazne, osłaniające cienie. Clarice wyprawiła niegdyś jednego narzeczonego na wojnę, była gotowa uciec z kolejnym, i Jack nawet nie wiedział, przez ilu mężczyzn jego pokroju była uwodziona i adorowana. Wiedział za to, jakiego typu mężczyzn przyciągnęłaby: takich jak on. Mężczyzn, którzy nie zadowoliliby się tylko pocałunkiem, lecz chcieliby więcej i na to nalegali. Nie był zatem zaskoczony jej spokojem, jej śmiałością w sięganiu po to, czego wyraźnie pragnęła, nie był zaskoczony, że nie okazuje ani śladu skromności, wahania, kiedy ściągnęła halkę przez głowę. Byłby bardziej zaskoczony, gdyby tego nie zrobiła.

Stała otoczona jego ramionami i zachwycała się nim... Tego się nie spodziewał.

Halka wypadła mu z palców, porzucona na podłozce, podczas gdy on napawał się widokiem Clarice upajającej się... jego widokiem.

Był nagi, pomogła mu pozbyć się butów i bryczesów, nieco natarczywie. Stali teraz blisko siebie nadzy, w łagodnej ciemności, lecz z oczyma na tyle przystosowanymi do mroku, żeby całkiem dobrze się widzieć.

Wyciągnęła do niego ręce, by dotykać, by pieścić. Rządziła. Wyraz jej twarzy nie był beznamiętny, tylko opanowany, nie chłodny, lecz pod kontrolą. Do bólu chciał to zburzyć, przedrzeć się przez jej barykady, do kobiety zmysłowej, która -jak wiedział - była gdzieś tam, chciał zetrzeć to opanowanie i doprowadzić ją do czystej rozkoszy.

Żeby ostatecznie uczynić ją swoją.

Taka zaborcza skłonność była mu nieznana, nie była czymś, co przepełniałoby go wcześniej.

Przyglądała mu się przez krótką chwilę, po czym śmiało przysunęła się do niego, w jego ramiona, które zamknęły się wokół niej i ją uwięziły, pochylił głowę i ją pocałował.

Nie było potrzeby pytać, czego pragnęła.

Przycisnął ją do szezlonga, położył na atlasowych narzutach, i podążył za nią. Nakrył ją sobą. Rozchylił jej uda i ułożył się między nimi, zamknął jej dłonie we własnych i unieruchomił je na poduszkach po obu stronach jej głowy. Zanurzył się w jej usta i wziął je w posiadanie, porzucił wszelkie opory i brał od niej to, czego pragnął, czego chciał prawdziwy mężczyzna, wojownik, któremu daleko było do cywilizowanego człowieka.

Czego potrzebował.

Jego instynkty drapieżcy były w pełni obudzone, śledząc jej reakcje, odnotowując z rosnącą satysfakcją, jak nieopanowaną się staje.

Wtedy wydawało się, że zebrała siły, jej palce zawinęły się wokół jego palców, i odpowiedziała mu pocałunkiem.

Wyszła mu na spotkanie, dorównała mu, rzuciła wyzwanie.

Pocałunek okazał się zapalającą iskrą, płomienie rozszalały mu się w głowie, w ciele, lizały jego duszę.

Jej biodra uniosły się ku niemu, przechylając się, naprowadzając go, kierując...

Z głośnym westchnieniem cofnął się, podniósł na łokciach, żeby spojrzeć w dół, na jej piersi, a potem pochylił głowę i ucztował.

Łapczywie.

Clarice krzyknęła. Nie myślała, nie troszczyła się o nic, nie czuła niczego prócz tego doznania. Doznania, które przez nią przepływało, które wraz z każdym ostrym ruchem jego ust na jej ciele wnikało w nią głębiej, które wraz z każdym poruszeniem jego twardego, umięśnionego ciała na jej ciele przeszywało ją i paliło.

Chłonęła je, objęła, otworzyła przed nim swoje serce i duszę. Czuła je w kościach i szczyciła się nim

Chlubiała się swoją kobiecością, byciem sobą w pełni, całkowicie, do końca.

Potem on znów się poruszył, uwalniając jedną z jej dłoni, sięgnął w dół, pomiędzy nich, i ją znalazł. Dotykał, gładził, naciskał tam, gdzie była gorąca śliska i wilgotna. Zebrała siły, zebrała myśli, zebrała się w sobie, by wytrzymać wstrząsające doznania.

Puścił jej pierś, przesuwając się wyżej wzdłuż ciała, znowu odnalazł jej usta, i chwycił tuż nad kolanem udo i odchylił je w bok, otwierając ją bardziej, a potem poruszył biodrami, przycisnął, i poczuła, jak jego twarda męskość przyciska się do niej.

Wślizguje się w nią.

Próbowała oddychać, starała się odprężyć i pozwolić, by to się działo, wpuścić go. Przytłoczył ją szturm doznań, nowych, ostrych, gorących i przeszywająco ekscytujących. Całkowicie wziął ją w niewolę, cała jej istota skupiła się na powolnym, silnym, nieubłaganym wnikanii jego ciała w jej ciało.

Na powolnym, silnym, nieubłaganym braniu w posiadanie.

Świadomość tego przepłynęła przez nią z ogromną mocą, przebiegła dreszczem po plecach, kazała jej palcom się zacisnąć, jej paznokciom zatopić w jego ramiona.

Jego dłoń przesunęła się w górę po jej udzie, zacisnęła się pod nią i objęła pośladek, chwyciła i przechyliła biodra, przytrzymując ją nieruchomo, przygotowując na tę powolną inwazję.

A później jednym ostatnim pchnięciem znalazł się tam,

głęboko w niej, i zabrakło jej tchu. Poczwała tylko ostre ukłucie, nie spodziewała się więcej, lecz wstrzymała oddech. Ta odrobina powietrza, którą złapała, pochodziła z jego pocałunku, który nagle wydał się jej jedyną realnością w tej odmienionej rzeczywistości. W świecie, w którym rządziło doznanie, w którym władcą była przyjemność, w którym krążyły i wirowały emocje.

W świecie, który istniał tylko dla niej i dla niego, połączonych w świetle księżycy.

Wydawał się twardy i ciężki, silny i... tak obcy w jej ciele. Z zamkniętymi oczyma przyłgnęła do niego, a on wycofywał się powoli, a potem mocno pchnął, zatapiając się i napierając jeszcze głębiej. Z ust wyrwał jej się jęk rozkoszy. Powtórzył swoje działania z jeszcze większą siłą i znowu krzyknęła, głośniej.

Czuła jego satysfakcję, czuła jego determinację, by zaprowadzić ją dalej, jakby było to coś namacalnego, czego mogłaby dotknąć.

Trzymała się jego ramion mocno, bez tchu, a doznanie przybierało na sile, piętzyło się, aż w końcu tama pękła i porwała ją namiętność. Pochłonęła Clarice całą, poprowadziła jej ciało naprzeciw jego ciała w pierwotnym tańcu, unosząc ich znowu i znowu w narastającym rytmie.

Rzeczywistość rozpadła się na kawałki. Nie istniało inne życie poza oddechami, które dzielili, poza tańcem pchnięć i ucieczek, akceptacji i wyzwolenia, potrzeby i ognia, i płomieni namiętności, które rozgorzały i stopiły ich w jedno.

Pasowali do siebie, mimo że w obecności jego siły czuła się słabsza, i mimo całej fizycznej przewagi, którą nad nią miał, ona także miała swoje mocne strony.

Jej potęga odzwierciedlała się w jego dotyku, nic tyle pełnym czci, ile raczej chciwym, w głodzie, który go prowadził, który wydawał się wylewać z jego duszy. Pragnął tam być, głęboko w środku, i to nie była potrzeba czysto fizyczna.

Posiadała tę wiedzę, instynktowną i pewną, lecz zrozumienie

było poza jej zasięgiem. Płomienie rosły, buzowały. Gorąco, a potem jeszcze goręcej. A później kalejdoskop namiętności i pragnienia zawirował wokół nich, spadł na nich i ich pochwyił, wystrzeliwując wysoko na szczyt ziemskiej rozkoszy, przytrzymał ich tam przez jedną barwną, nieopisanie intensywną chwilę, po czym cisnął nimi o ziemię.

Uwolnił ich.

Wydrążył.

Oczyścił z myśli, z woli, z uczucia.

Mała śmierć, tak ją nazywają, teraz wiedziała dlaczego. Lecz w przeciwieństwie do śmierci nadciągnęło po niej ciepłe morze emocji, zatapiając ją, wypełniając, unosząc.

Na ślepo przesunęła dłoń w jego stronę, odnalazła jego głowę na swoim ramieniu i zmierzwiła mu włosy.

Wgniatał ją w łóżko, całkowicie unieruchamiając. To nie miało znaczenia, nie mogła się poruszyć, a jego ciężar wydawał się jak najbardziej upragniony.

Tak jak wszystko, co miało tu miejsce, jakby tak właśnie miało być.

To było takie łatwe.

Takie... zdumiewające.

Bezwiednie się uśmiechnęła. Nie otwierając oczu, pozwoliła, żeby ukoilo ją poczucie spokoju i spełnienia, by jedno i drugie przesączyło się do jej duszy.

* * *

Jack się poruszył. Nareszcie. Nie dlatego, że chciał, szczęśliwy leżałby tak godzinami, czując ją pod sobą ciepłą i zaspokojoną, czując od czasu do czasu jej gorące i wilgotne ciało na swojej skórze. Lecz martwił się, że ją zgniata, a ponieważ miał zamiar namówić ją na powtórzenie tego doświadczenia w niedalekiej przyszłości, choć nie tej nocy, pragnął okazać nieco umiarkowania.

A poza tym...

Przetoczył się na plecy, na wpeł unosząc ją ze sobą, tuląc ją, wciąż bezwładną, w pierścieniu swoich ramion.

Tam, gdzie było jej miejsce.

Nie zamierzał tej myśli roztrząsać, ale nie mógł zaprzeczyć temu, co czuł.

To była niepokojąca zagadka, która dała o sobie znać na skutek tego, co ich połączyło.

Patrzył na sufit, na plamy cienia przesuwające się wraz z bryzą igrającą z wierzchołkami drzew za oknem. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w zmieniające się wzory, układając sobie w głowie to, co wiedział, i czego jeszcze nie rozumiał.

Mijały minuty.

Przez długą chwilę leżała w kołysce jego ramienia, a potem, kładąc dłoń na jego piersi, podparła się i usiadła.

A po chwili wstała.

Musiał zmagać się ze sobą, by zdusić chęć za trzymania jej w łóżku. Patrzył, jak podchodzi do okna. Księżyc był już na niebie, widoczny do połowy, wysyłał łagodne światło, które oblewało jej białą skórę niezmierną poświatą, sprawiając że delikatnie połyskiwało perłową jasnością. Jej włosy... teraz spoczywały na karku ciężkim węzłem, z którego uwolniły się pojedyncze ciemne pasma, gdy się kochali.

Pozostawała majestatycznie wyprostowana, jej postawa zdradzała, że czuje się swobodnie w swojej nagości. Poruszała się po pokoju z gracją i lekkością.

Podpierając się na łokciu, powiedział:

- Byłaś dziewczcą.

Clarice odwróciła głowę i spojrzała na niego. Przyglądała się ciału, które tak niedawno było po łączone w jej własnym.

- „Byłam” to właściwe słowo. - Przewidziała tę uwagę. - Byłam, teraz nie jestem. To wszystko.

Nie mogła dostrzec niezadowolenia w jego oczach, ale wiedziała, że tak właśnie się poczuł.

- Powinnaś była mi powiedzieć. Mogłem cię zranić.

Uniosła brwi.

- Mam dwadzieścia dziewięć lat. Przez całe życie jeździę konno. To mało prawdopodobne, że ból ukazałby się duży. - Tylko najłżejsze ukłucie, gdy to się stało, miała nadzieję, że tego nie zauważył. Nic spuszczała wzroku z jego twarzy. - Moje dziewczęctwo nie miało dla mnie szczególnej wartości. Już dawno powinno było zniknąć. Przyjmij moje podziękowania za jego zlikwidowanie.

- Twoje podziękowania... - Jego głos brzmiał cicho, nie zauważyła wcześniej, jaki stał się chropawy. Teraz poczuła, jak ją przenika, i z trudem powstrzymała dreszcz.

Jego spojrzenie nie opuszczało jej ani na chwilę, czuła je niczym płomień. Nie spiesząc się, pozwolił, by prześlizgiwało się w dół po jej ciele jak pieśczoła, intymna i zaborecza.

Och, tak, miała słuszność, ustanawiając swoje warunki i wyraźnie je oznajmiając.

- Być może powinnaś okazać swoją wdzięczność jakoś inaczej niż tylko słowami?

Nie mogła nie usłyszeć wyzwania w jego głosie, w jego pozie. Nie mogła go nie podjąć. Beznamiętnie uniosła brwi.

Powoli, powściągliwie wyciągnął rękę.

- Chodź.

Popatrzyła na niego. A potem odsunęła się od okna, bez pospiechu przeszła przez pokój i podała mu dłoń.

* * *

Idąc przed świtem do domu przez pola, Jack skręcił do ogrodu różanego. Usiadł na chłodnej kamiennej ławce w altance i wpatrywał się w nieruchomą sadzawkę, dając swojej głowie, myślom, ciału czas na odzyskanie harmonii.

Nie tylko wytrąciła go z równowagi, ale pchnęła w jakąś nieuporządkowaną rzeczywistość, i nie był całkiem pewien, która droga jest dobra, która jest bezpieczna.

Rozpoczynając ten wieczór, był pewien, że panuje nad sytuacją, że kieruje ich romansiem żelazną ręką. Nawet kiedy

zaskoczyła go swoim nieoczekiwanie niedwuznacznym poglądem w tej kwestii, wierzył, że choć sprawy mają się może nie tak, jak przewidział, tylko nieznacznie zboczyły z drogi. Zakładał, że jedyną jego reakcją jest pragnienie, by się jej przeciwstawić, by się sprzeciwić i zmienić zasady - nawet jeżeli dotąd nie należał do tego typu mężczyzn, którzy na sugestie kobiet reagują bezmyślnym, instynktownym sprzeciwem.

Teraz nie był już taki pewien, czy to prawda.

Nie po tym, jak niemile zaskoczyła go swoim zdaniem o dziewictwie, spokojnie zwalniając go z wszelkiej odpowiedzialności za odebranie jej wianka.

Nie po tym, co nastąpiło później.

Nawet teraz nie rozumiał własnej reakcji. Widział jedynie, że jest prawdziwa, że to fundamentalna częśćka jego osoby, nie jakiś bezmyślny impuls lecz coś zakorzenionego w istocie tego, kim jest naprawdę, w mężczyźnie, którym jest. Odebranie jej dziewictwa mogło nic nie znaczyć dla niej, ale znaczyło wtedy, i nadal bardzo wiele znaczy dla niego.

Potraktowanie własnego dziewictwa jako czegoś bez wartości, jej przyzwolenie, by je wziął jak coś co się nie liczy, sprowokowało w nim tę reakcję.

Namiętność, jaką w nim wyzwoliła, była przerażająca. Popchnęła go do zabrania jej w obszary zupełnie jej nieznanne, do królestwa zmysłowości, które powinno ją zaszokować i skłonić do odwrotu,

Zamiast tego wyszła mu naprzeciw, stawiała czoło, sprostowała każdemu wyzwaniu, każdemu jego żądaniu.

Jedno było jasne: dżentelmeni, którzy określili ją mianem góry lodowej, nie mieli pojęcia, jaka była naprawdę. Fakt, nie była kobietą, która topniałaby w ramionach mężczyzny. Boudika nie topniała

W porywach namiętności była jak płonąca stal, gorąca, parząca, podatna, poddająca się, lecz nie słaba. Nigdy nie słaba.

Chciał ją zdobyć, i w końcu poddała mu się przynajmniej na tyle, żeby go zaspokoić.

W głowie wciąż miał zamęt - reakcja, jakiej mógł się spodziewać, odkrywając jedyną damę, która potrafiła oddziaływać na niego do tego stopnia, choć nie było to jej zamiarem.

Nie planowała tego, nie była zainteresowana żadnym trwałym związkiem. Nie było trudno zrozumieć dlaczego. Chociaż denerwowało go jej naleganie, by ich przygoda była tylko chwilowa, rozumiał, dlaczego przyjęła taką postawę i zadeklarowała to tak wyraźnie.

Ale to było, zanim wtargnął w nią i poczuł ostrzegawczy opór, tak nieznaczny, że gdyby nie skupiał się na reakcjach jej ciała, nie zauważyłby tej krótkiej chwili bólu. Większość mężczyzn by nie zauważyła, on zauważył. On wiedział.

I ta wiedza sprawiała, że czuł się... jak zdobywca, który znalazł swoją królową.

Chowając głowę w dłoniach, jęknął.

Zniechęcił się do małżeństwa, więc los zesłał mu kochankę, która posiadała dar zadowolenia go, i to w pełni, tak jak żadna inna dotąd, i która nie pragnęła małżeństwa ani trochę bardziej niż on sam...

To powinien być idealny układ. Jack powinien być obłądnie szczęśliwy.

Zamiast tego tkwił tam, siedząc na zimnej i twardej ławce i starał się nie myśleć o tym, że całe jego życie w ciągu jednej nocy stanęło na głowie, i że jego przyszłość - jakiegokolwiek zadowolenie - zależała teraz od tego, czy powiedzie się jego plan, tak bliski niemożliwości, że właściwie bez szans.

Musiał sprawić, by Boudika zmieniła zdanie.

Rozdział 8

Oczarowywał setki kobiet, całe mnóstwo dam. Teraz musiał tylko oczarować Boudikę.

Stał przy oknie w salonie we dworze i patrzył na Clarice,

energicznie przemierzającą podjazd. Czyniła to tak, że wydawało się, iż zamierza przypościć szturm na jego zamek, sądząc po wyrazie jej twarzy, bladej i poważnej, Jack wątpił, by osobisty urok zaprowadził go dzisiaj daleko. Ale najbardziej zaniepokoił go widok osoby starającej się do trzymać jej kroku. Jamesa. Była od niego niższa zaledwie o cal, miała dłuższe nogi. Jack patrzył jak się zatrzymuje, czekając, by James ją dogonił, a potem pędzi dalej.

James nie wyglądał na zdenerwowanego, raczej na zatroskanego, ale Jack mógłby przysiąc, że nie chodziło o Clarice. Nie marnował czasu na zastanawianie się, co też mogło się stać, tylko skierował się do frontowych drzwi.

Odezwał się dzwonek. W holu pojawił się Howlett Jack dogonił go i poszedł za nim. Zaczekał, aż lokaj otworzy drzwi, po czym wyszedł naprzód, by powitać Clarice, kiedy ta wkroczyła do środka.

Sięgnął po jej dłoń, uściśnął i napotkał jej wzrok.

- Co się stało?

Tak blisko, trzymając jej dłoń, mógł wyczuć jej poruszenie.

Zaczerpnęła powietrza i powiedziała:

- Dziś rano przy śniadaniu uświadomiłam sobie, kogo przypomina mi ten nieszczęsny młody człowiek. - Odwróciwszy się, skinęła na Jamesa, który, sapiąc, wszedł za nią. - Ten młodzieniec przypomina mi Jamesa.

Jack zamrugał, młody mężczyzna nie wyglądał ani trochę jak James.

Clarice prychnęła z lekceważeniem.

- Nie takiego Jamesa, jak teraz, lecz w rodzinnej kolekcji znajduje się portret Jamesa, kiedy miał szesnaście lat. - Spojrzała na Jamesa krytycznie.

- Teraz jest bardziej podobny do Altwoodów, ale wtedy bardziej był podobny do rodziny swojej matki, Sissingbourne'ów.

James napotkał wzrok Jacka.

- Jeżeli Clarice ma rację, to wielce się obawiam, że ten

młody człowiek może być jednym z moich krewnych. - Twarz Jamesa zachmurzyła się. - Powinienem być przyjsć wcześniej, postąpić jak należy i odłożyć na bok książki...

- Nic się nie stało. - Clarice wzięła go pod ramię. - Jesteś tu teraz, więc chodźmy na górę i zobaczmy...

Tupot stóp przykuł ich uwagę do schodów. To schodziła w pośpiechu pokojówka. Zobaczywszy ich, zaczerwieniła się, zwolniła kroku i dygnęła.

- Najmocniej przepraszam, milordzie, milady, wielbny, ale pani Connimore mówi, że ten młodzieniec znów się poruszył. Ona sądzi, że tym razem może się obudzić.

Clarice przytaknęła.

- Właśnie idziemy na górę. - Zdecydowanie pokierowała Jamesa w stronę schodów.

James wymruczał pod nosem:

- Zastanawiam się, czy to nie Teddy. Clarice spojrzała nań lodowato.

- Oczekiwałeś go?

Pokręcił głową.

- Ale to najbardziej prawdopodobne, z nich wszystkich to on by przyjechał najpewniej. - I dodał: - Teddy to kanonik przy biskupie Londynu.

Jack się skrzywił.

- Niewielu kanoników jeździ faetonami z wysokim kozłem.

Twarz Jamesa się rozpozodziła.

- To prawda.

Potem jego zaszepienie powróciło.

- A więc...

Clarice wyszła na galerię.

- Chodź, a sam zobaczysz, kto to jest, i potem możemy się głowić nad tym, dlaczego tu jest.

Podeszli do otwartych drzwi pokoju chorego. Clarice weszła pierwsza, po czym odsunęła się na bok. James wszedł za nią, od razu spoglądają na młodego mężczyznę leżącego w łóżku.

- To nie Teddy. - James zmarszczył brwi, a potem jego twarz się rozjaśniła. - Anthony. To jest Anthony. Młodszy brat Teddy'ego.

Na dźwięk swojego imienia mężczyzna znieruchomiał, a następnie z wyraźnym wysiłkiem uniósł powieki. James stał przy nogach łóżka, bezpośrednio na linii jego wzroku.

- James? - Młodzieniec zamrugnął, usiłując się skupić. - Czy to ty?

- Tak, w rzeczy samej, mój chłopcze. - James obszedł łóżko, tak by Anthony mógł lepiej widzieć jego twarz. - Ale co ciebie tutaj sprowadza? I co się stało?

Anthony oblizał wyschnięte wargi. Clarice natychmiast była u jego boku ze szklanką wody. Jack podtrzymał barki Anthony'ego. Ten z wdzięcznością wypił wodę małymi łydkami, po czym Jack ułożył go z powrotem na poduszkach, które poprawiła pani Connimore, z ulgą dostrzegając nieco rumieńca na jego twarzy.

- Przyjechałem cię ostrzec. Teddy mnie wysłał. Anthony spojrział na Jamesa. - Dowiedział się, że w Kościele istnieje jakiś raport dotyczący ostatniej dekady, który wymienia ciebie jako wojskowego szpiega. Prowadzone jest dochodzenie w twojej sprawie.

- Co takiego? - James wyglądał na oszołomionego. - To nonsens. - Clarice popatrzyła na Anthony'ego ze zgrozą.

- My wszyscy to wiemy, lecz cóż... Coś w tym jest. - Wydawało się, że zbiera siły, po czym wskazała na łóżko. - To oczywiste. Jak inaczej bym się tu znalazł?

Twarz Jacka stężała. Przyciągnąwszy fotel z drugiego końca pokoju, ustawił go obok łóżka i usadowił w nim Jamesa, nadal zszokowanego i sztywnego z osłupienia. Po drugiej stronie łóżka pani Connimore przysunęła krzesło dla Clarice, Jack także zajął wygodne miejsce.

Clarice odwróciła się do pani Connimore.

- Może trochę rosółu z kurczęciami?

Pani Connimore skinęła głową.

- Właśnie o tym samym pomyślałam. Każę go postawić na ogniu.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- A teraz - odezwał się Jack - opowiedz nam najpierw o wypadku na drodze.

Wargi Anthony'ego drgnęły.

- To żaden wypadek. Nie jestem takim niezdarnym tępakiem, żeby wjechać koniem do rowu, i przysięgam, że byłem trzeźwy jak dziecko.

- Był drugi powóz - podsunęła mu Clarice - Wiemy, że był Anthony, z na wpół przymkniętymi powiekami, przytaknął.

- Zepchnął mnie z drogi.

- Czy potrafisz go opisać?

Anthony zmarszczył czoło.

- Dość wysoki, blada twarz, raczej tęgi. Dżentelmen... coś w tym rodzaju.

Opis Clarice był bardziej szczegółowy, jednak wyraźnie opisywali tego samego mężczyznę.

- Czy spotkałeś go już wcześniej? - spytał Jack

- Nie. Ale... tuż przed tym, jak to się stało, zanim powóz się przewrócił, wiedziałem... wiedziałem, że on ma zamiar zepchnąć mnie z drogi. Wpatrywał się we mnie, patrzył mi prosto w twarz.

Spojrzenie Anthony'ego odszukało Jacka.

- On to zrobił celowo.

Jack skinął głową z posepną miną.

- Na to wygląda.

Anthony się skrzywił.

- Kiedy już wiedziałem, że nie da się tego uniknąć, wyskoczyłem, ale powóz przetoczył się po mnie. - Popatrzył w dół, na swoje nogi.

- Jedna złamana, lecz dobrze się goi, tak jak twoje ramię. Poza tym to tylko sińce i potłuczenia. - Jack uchwycił spojrzenie Anthony'ego. Za parę miesięcy będziesz jak nowy.

Na twarzy Anthony'ego pojawiła się ulga, co sprawiło, że

wyglądał o wiele młodziej.

- A teraz - odezwała się Clarice - o co chodzi z tym dochodzeniem w sprawie Jamesa?

- Zanim dojdiesz do tej wiadomości - gładko wtrącił Jack - wypełnij najpierw lukę czasową od chwili opuszczenia brata po przyjazd tutaj.

Anthony uśmiechnął się do Clarice nieco przepraszająco, po czym odwrócił się do Jacka.

- Teddy posłał po mnie. Spotkałem się z nim w kaplicy w Lambeth. Byłem zdziwiony, że kazał mi się tam udać, lecz jak się okazało, nie chciał, by ktokolwiek widział, że ze mną rozmawia.

Clarice, zaciskając usta, podniosła wzrok i ponad Anthonym napotkała oczy Jacka. Wyraźnie, pomimo ostrożności Teddy'ego, ktoś zobaczył rozmawiających braci.

- Teddy opowiedział mi o zarzutach przeciwko Jamesowi i poprosił mnie, żebym przyjechał prosto tutaj i was ostrzegł. - Anthony popatrzył na Jamesa z pewnym zakłopotaniem. - Tego wieczoru miałem być na obiedzie, lecz wyjechałem następnego dnia zaraz z samego rana.

- Zatrzymywałeś się gdzieś po drodze? - Jack wychylił się do przodu. - Swindon?

Anthony przytaknął.

- Wyjechałem ze Swindon zaraz po śniadaniu, lecz nie byłem całkiem pewien drogi, więc najpierw pojechałem do Stroud. To dalej, ale przynajmniej się nie zgubiłem.

W jego głosie było mniej siły, Anthony wyraźnie się męczył.

- Dobrze, a teraz opowiedz nam o tych zarzutach. Albo jeszcze lepiej: postaraj się powiedzieć nam dokładnie to, co mówił Teddy.

Anthony westchnął, zamknął oczy.

- Teddy podsłuchał rozmowę między biskupem i dziekanem. Przechodził obok gabinetu biskupa i drzwi były uchylone... Teddy usłyszał nazwisko Jamesa, więc się zatrzymał... Słyszał, że pojawił się zarzut, iż James był za pan

brat z Francuzami, nie tylko ostatnio, lecz przez całe dziesięć lat. Oskarżono Jamesa o przekazywanie strategicznych analiz kampanii Wellingtona, a także informacji o siłach i ruchach wojsk, które zbierał od przepytanych żołnierzy. Kiedy z początku jeden z diakonów w pałacu biskupim ostrzegł o tym biskupa, ten zlekceważył to wszystko jako obelżywe plotki, lecz później diakon wrócił z nowymi szczegółami i... W rozmowie, którą podsłuchał Teddy, biskup mówił dziekanowi, że będą musieli potraktować sprawę poważnie, że to rzeczywiście wydaje się naprawdę ważne, i że będą musieli przesłuchać Jamesa.

Anthony przerwał i otworzył oczy.

- To wszystko, co Teddy usłyszał, bo diakon Humphries... to ten, który zwrócił uwagę biskupa na zarzuty... wyszedł na korytarz i Teddy musiał iść dalej. Teddy zobaczył, jak Humphries wchodzi do gabinetu, przypuszczalnie po to, żeby przekazać biskupowi wszystkie informacje, które miał.

James zeszywniał, słysząc nazwisko Humphries. Wpatrując się w twarz Jamesa, Clarice stwierdziła, że jest nieprzenikniona jak nigdy.

- Kim jest Humphries?

James zamrugał.

- To uczony... cóż, niedoszły uczony. On także specjalizuje się w strategii wojskowej, chociaż w jego przypadku to taktyka czysto bitewna.

- A więc jest swego rodzaju konkurentem - powiedziała Clarice.

James zerknął na Jacka.

- Przed laty Humphries i ja byliśmy głównymi kandydatami do stypendium, które nadal posiadam.

- Zatem - odparł Jack - to nie tylko konkurent, ale i rywal.

James westchnął.

- Niestety, Humphries tak to widzi.

- Nadal? - spytała Clarice. - Dostałeś stypendium ponad dwadzieścia lat temu.

James przytaknął, jego mina wyrażała bardziej smutek niż gniew.

- Kiedy jeżdżę do miasta, żeby prowadzić badania, zatrzymuję się w pałacu. Biskup zawsze interesował się moją pracą, co oczywiście oznacza, że Humphries także o niej słyszy. Nigdy nie ościagał się z okazywaniem, że moje powodzenie jest mu solą w oku, wtedy i teraz. Widzicie, bez stypendium i bez środków, które posiadam, musi utrzymywać się sam, a więc mało ma czasu na własne badania.

- Zatem żywi do ciebie urazę - powiedziała Clarice.

- Obawiam się, że tak. - James wyglądał na zmartwionego. Jack się wyprostował.

- Bez względu na to, jeżeli ma być dochodzenie, to musimy poznać treść zarzutów Humphriesa.

- Teddy mógł się do tej pory czegoś dowiedzieć. Jestem pewien, że by próbował... - Powieki Anthony'ego opadły, jego głos był coraz słabszy.

Clarice wymieniła stanowcze spojrzenia z Jackiem i Jamesem, a potem poklepała dłoń Anthony'ego leżącą na pościeli.

- Śmiem tak twierdzić, ale teraz nie musisz się tym martwić. Dostarczyłeś swoją wiadomość i resztę możesz pozostawić nam. Powinieneś odpoczywać. Za jakąś godzinę pani Connimore przyniesie ci rosół.

Odsunęła krzesło i wstała, zmuszając Jacka i Jamesa, by poszli w jej ślady.

Anthony uniósł powieki na tyle, by na nią spojrzeć, i uśmiechnął się ciepło.

- Ty jesteś Clarice. Teddy mówił, że tutaj będziesz. Zapewne mnie nie pamiętasz. Byłem jeszcze w szkole, kiedy ty... wyjechałaś, ale Teddy powiedział, żeby ci go przypomnieć.

Clarice była zaskoczona - jeżeli James uchodził w rodzinie za czarną owcę, to ona była... obsydianem. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Dziękuję. Powinieneś teraz spać.

Odwróciła się i wyszła z pokoju, zerkając, by się, upewnić, że James i Jack idą za nią, a potem skierowała się ku schodom.

Skinąwszy głową Anthony'emu, Jack opuścił pokój w ślad za Jamesem i zamknął za sobą drzwi. Zastanawiał się, czy właściwie odczytał tę ostatnią wymianę zdań między Clarice i Anthonyem.

Obaj, Teddy i Anthony, ciepło myśleli o Clarice, czego się nie spodziewała. Jack nie mógł się nie zadumać, jak głębokie było jej zerwanie z rodziną, jak pełne goryczy. Dla niej najwyraźniej wystarczające by nie mieć nadziei, że inni członkowie rodziny myślą o niej przychylnie.

Clarice sunęła już przez frontowy hol w kierunku salonu, zapewne spodziewając się poważnej rozmowy na temat nowin, gdy ktoś z wyraźnym impetem zadzwonił do frontowych drzwi.

Oboje przystanęli. Pojawił się Howlett i dostojnie podszedł do wejścia.

To był Dickens, stajenny Jamesa.

- Mam wiadomość dla pana i dla lady Clarice. To pilne - powiedział.

Clarice, James i Jack przybiegli do drzwi. Clarice dotarła tam pierwsza.

- Dickens. Co to za wiadomość?

- Dickens uklonił się jej, Jamesowi i Jackowi stojącemu za nią.

- Milady, milordzie, sir, Macimber mnie wysłał.

Spojrzenie Dickensa spoczęło na Jamesie.

- Przyjechał dziekan z Gloucester i czeka, żeby się z panem zobaczyć, sir. Nie zostaje, tylko ma pilne wieści od biskupa i musi zobaczyć się z panem natychmiast.

James westchnął z rezygnacją.

- Dziękuję. Zaraz przyjdę.

Clarice poprawiła szal na ramionach.

- Ja też pójdę, oczywiście.

Jack ukrył słaby uśmiech i ruszył zaraz za Jamesem.

- Wszyscy pójdziemy. - Napotkał oczy Clarice. -

Oczywiście.

Zawahala się przez mgnienie oka, a potem przytaknęła i odwróciła się, by pójść w ślad za Dickensem.

* * *

- Obawiam się, Jamesie, że muszę nalegać, byś dostosował się do wyraźnych życzeń biskupa - Dziekan Halliwell, reprezentujący biskupa Londynu, robił, co w jego mocy, by unikać patrzenia Clarice w oczy. - Musisz pozostać w swojej parafii w Avening do czasu zakończenia dochodzenia w sprawie tych zarzutów.

- Te zarzuty są absurdalne - oznajmiła Clarice jej ton zabarwiło wyraźne potępienie. - Ale jeżeli biskup jest tak nierozważny, by dawać im posłuch to najlepszą osobą do ich obalenia jest sam James.

Siedząc na jednym z foteli w jego gabinecie, splótłszy przed sobą palce w obronnym geście, dziekan Halliwell ostrożnie przechylił głowę w jej strony

- W tej sytuacji...

- Sugerowanie czegokolwiek innego byłoby, jestem o tym przekonana, równoznaczne z pomyłką sprawiedliwości. - Siedząc majestatycznie na innym fotelu, Clarice przeszła nieszczęsnego dziekana zimnym wzrokiem. - Trudno zinterpretować to jako uczciwe wobec mojego kuzyna, że nie wiedział o wniesionych przeciwko niemu zarzutach, ani nie otrzymał możliwości obrony. I

Dziekan Halliwell nerwowo nabrał powietrza

- Kościół ma własne procedury w takich sprawach, lady Clarice.

Twarz Clarice stawała się coraz bardziej kamienna. Zanim zdążyła wypowiedzieć kąśliwą ripostę, którą miała na końcu języka, w rozmowę, wkroczył Jack.

- Być może - odezwał się tonem spokojnym i niezawierającym groźby - mógłby pan wyjaśnić te procedury.

Tak jak na to liczył, dziekan Halliwell ochoczo zaoferował, co tylko mógł, w nadziei ugłaskania rozsierdzonej damy.

- Sądzę, że sprawa zostanie wysłuchana przez samego biskupa w pierwszej instancji, w samym pałacu, rozumieją państwo. - Halliwell pospiesznie dodał: - Niezależnie od tego, procedura jest taka sama jak w samym sądzie kościelnym. Będzie wyznaczony oskarżyciel i obrońca.

- A kimże będą owi osobnicy? - spytała Clarice.

Jej głos był jak biegun północny, dziekan Halliwell starał się nie przestraszyć.

- Jak rozumiem, oskarżycielem będzie diakon, który jako pierwszy wniósł zarzuty pod uwagę biskupa.

Clarice otworzyła usta, niewątpliwie z zamiarem wygłoszenia miażdżącego potępienia diakona Humphriesa, Jack wtrącił się zrećnie:

- A obrońca?

Zignorował piorunujące spojrzenie Clarice.

- Inny diakon nazwiskiem Olsen. - Dziekan Halliwell wydawał się wdzięczny za interwencję Jacka, popatrzył na Jamesa. - Rozumiem, że sam dziekan Samuels chciał cię bronić, ale biskup postanowił, że taki jawny udział jego głównego doradcy byłby nieroztropny.

Kątem oka Jack dostrzegł, jak oczy Clarice zamieniają się w dwie wąskie szparki. Bez wątpienia zinterpretowała ten ostatni komentarz tak samo jak on, nieroztropny dla Kościoła, nie dla Jamesa. Poczł ulgę, że usta trzymała tym razem zamknięte.

Po początkowym niedowierzaniu w edykt biskupa skutecznie zamykający go w Avening, James stawał się coraz bardziej przygaszony, pozostawiając wszelkie dalsze pytania Clarice i Jackowi. Jack nadal badał grunt, zbierając wszystkie możliwe wiadomości, zrećnie wspomagany przez Clarice, chociaż jej wkład był głównie milczący.

W końcu Halliwell pożegnał się pod jakimś pretekstem i czmychnął, odprowadzony ostrym jak brzytwa spojrzeniem Clarice utkwionym w jego plecach. Kiedy powóz zaturkotał na

podjeździe, wszyscy troje wrócili do gabinetu.

James powoli osunął się na krzesło za biurkiem, jakby nadal nie mógł do końca uwierzyć w rozwój wypadków. Jego spojrzenie było jakby nieobecne, utkwione w ścianie, myślami był gdzieś daleko.

Chociaż Jack z pewnością mógł mu współczuć - dwie godziny temu James nie miał pojęcia, że nad jego głową gromadzą się jakieś chmury, nie mówiąc już o burzy takich rozmiarów - to reakcja Jacka była bardziej zbieżna z reakcją Clarice.

Chodziła tam i z powrotem, z rękoma splecionymi na piersiach, a jej spódnice przy każdym kroku głośno szeleściły. Widoczna zmarszczka ściągnęła jej delikatne brwi, wyraźnie zmagala się z problemem, jak postąpić, żeby oczyścić nazwisko Jamesa.

- Cóż! - James wypuścił powietrze.

Jack uchwycił wzrok Clarice, która lekceważąco machnęła ręką.

- Och, siadaj, na miłość boską. To nie pora, żeby stać, jak nakazywałyby maniery.

Oczywiście, co do joty trzymała się tego, co nakazywałyby maniery, kiedy był tutaj biedny dziekan Halliwell, tłumiąc uśmiech, Jack usiadł w jednym z foteli. Przypatrywał się Jamesowi.

To była bitwa Jamesa, chociaż Jack miał solenny zamiar uczynić wszystko, co w jego mocy, żeby pomóc, musiał znać zdanie Jamesa.

- Będę musiała pojechać do Londynu i udać się do rodziny.

Stwierdzenie Clarice, wypowiedziane tonem, który nie dopuszczał sprzeciwu, a co dopiero sporów, kazało Jamesowi podnieść głowę.

- Och, nie, moja droga. Naprawdę nie ma potrzeby... Biskup dostrzeże prawdę, jestem pewien.

James popatrzył na Jacka.

- Nie sądzisz, mój chłopcze?

Jack nie sądził, lecz Clarice oszczędziła mu wyjaśniania.

- Jeżeli biskup jest gotów marnować czas swój i wielu innych na zwoływanie prywatnego sądu, żeby rozpatrywać tę sprawę, to nie ma podstaw, by przypuszczać, że nie da się zwieść jakimś zmyślonym argumentom, które mu przedstawiono na samym początku.

- No właśnie. Myślę - powiedział Jack, znów wdzięczny, że udaje mu się mówić spokojnym, kojącym tonem, łagodząc żądło prawdy, jaką Clarice tak nieubłaganie oznajmiała - że musimy na to odpowiedzieć, James.

James po długiej chwili wydawał się otrząsać z zamyślenia.

- Nie. - Odchylił się do tyłu, żeby spojrzeć na nich oboje. - To burza w szklance wody, bez wątplenia wywołana godną pożałowania zawiścią Humphriesa. Najwłaściwszą odpowiedzią będzie to zignorować. Im mniej zostanie powiedziane, tym szybciej wszystko się zmieni na lepsze.

- Nie, Jamesie. Nie w takiej sprawie. - Głos Jacka nie brzmiał już kojąco. - Jeżeli nie podważysz i nie obalisz tych zarzutów, a biskup stwierdzi, że masz za co odpowiadać, wówczas oskarżenie wniesione przed jakikolwiek świecki sąd będzie dotyczyło zdrady. James się uśmiechnął.

- Ale to o to chodzi, drogi chłopcze. Nikt przy zdrowych zmysłach nie oskarżyłby Altwooda o zdradę.

Prychnięcie Clarice było wymowne.

- Na miłość boską, James! Jedyne powód, dla którego biskup zwołał prywatny sąd, to rodzina. A on i tak zwołał ten sąd. On nadal bada te zarzuty.

- Lecz zarzuty są fałszywe.

- Biskup tego nie wie. W rzeczy samej, jest jasne, że on nie wie, w co ma wierzyć, i bez ciebie czy kogoś innego działającego w twoim interesie może nigdy nie dostrzec, że dowody na poparcie zarzutów są fałszywe; tylko że są dowody, które stawiają pod znakiem zapytania twoją prawość.

- Twój honor, Jamesie. - Jack uchwycił spojrzenie Jamesa, które przesunęło się w jego stronę, - Clarice ma rację.

Potrzebujesz kogoś bardziej oddanego twojej sprawie niż wyznaczony duchowny, zajmujący się tym w twoim imieniu. Czy znasz tego człowieka, Olsena?

W oczach Jamesa mignęło światełko niepewności. Spuścił wzrok, wyciągnął rękę i podniósł przycisk do papieru.

- Poznałem go.

Czekali, Clarice obok krzesła Jacka, wpatrując się w Jamesa. Wreszcie zachęciła go tonem, w którym zabrzmiał wyraźny rozkaz:

- No i?

James westchnął.

- On jest młody. Otrzymał funkcję dopiero w zeszłym roku. Był kapelanem w wojsku, w jednym z regimentów. Biskup go przyjął, kiedy powrócił po Waterloo.

Jack poczuł, jak rozpała się gniew Clarice.

- A więc twoja obrona spoczywa w rękach jakiegoś nieopierzonego młokosa...

-Tak właściwie Olsen mógłby być przydatny - odezwał się Jack i zerknął na Clarice. - Człowiek z doświadczeniem z pola bitwy, to w tym przypadku lepiej niż ktoś, kto nie ma żadnego.

Przytaknęła.

- To prawda. - Znowu zaczęła chodzić po pokoju - Niezależnie od tego, jako że ty sam nie możesz już brać w tym udziału, James, potrzebujesz wspierających cię ludzi, którzy dopilnują, żeby ten Olsen miał wszystkie właściwe argumenty i wszelkie dowody, których mu potrzeba do zdemaskowania tych zarzutów jako czystych wymysłów. - Po chwili dodała: - Rano wyjeżdżam do Londynu.

- Moja droga! - James wyglądał na strapionego. Doprawdy, nie ma potrzeby.

- Owszem, jest potrzeba. Bez względu na to, jak prywatny jest sąd biskupa, historia się wyda, tego możesz być pewien. Rodzina będzie przerażona. - Spojrzała na Jamesa. - Jestem najzupełniej świadoma, jakiego rodzaju powitania mogę się spodziewać od rodziny, gdybym zwróciła się do nich w własnej

sprawie. W twoim imieniu, w celu zduszenia w zarodku potencjalnego skandalu... W takim wypadku nie tylko wysłuchają, lecz i zadziałają w każdy konieczny sposób.

- Nie. - James zaczął się upierać. - Nie wystawię cię, na...
- Ona ma rację - wtrącił się Jack.
- Właśnie. - Clarice przytaknęła zdecydowanie.

Wyjeżdżam o pierwszym brzasku...

- Jednakże - Jack znów jej przerwał, nie podnosząc głosu - zanim ja wyjadę do Londynu, chcę poznać wszystkie fakty. Daty, Jamesie, i listę wszystkich referatów, które opublikowałeś w ciągu ostatniej dekady. Właściwie to podsumowanie całych twoich badań z tego okresu, z kim korespondowałeś i kiedy, kiedy podróżowałeś i dokąd, i z kim tam rozmawiałeś, wszystkich żołnierzy, których przepytywałeś... Kiedy będę to miał, pojedę do Londynu, Nie był zaskoczony, słysząc oświadczenie Clarice

- Zaczekam i pojedę z tobą.

Podniósłszy wzrok, napotkał jej ciemne oczy.

- Jak powiedział James, naprawdę nie ma potrzeby, a ja mam odpowiednie kontakty, żeby zdobić to, co trzeba zrobić.

Clarice widziała w jego oczach spokojną pewność poświęciła chwilę, by naradzić się ze swoim instynktem, jak jej często mawiano, aż nazbyt nierozważnym. Ale nigdy nie była w stanie siedzieć i czekać,

- Bez wątpienia. Mimo to będę ci towarzyszyć do Londynu.

Spojrzała ostrzegawczo na Jamesa, jej decyzja była wyraźnie wypisana na jej twarzy. Nie posłucha żadnych argumentów. Była panią samej siebie, ani James, ani nikt inny nie miał nad nią władzy.

- Rodzina będzie musiała się dowiedzieć. - Popatrzyła na Jacka. - Oni cię nie znają, ale, pomimo moich grzechów, z pewnością znają mnie.

Jack ledwie skłonił głowę - nie wiedziała, czy to na znak, że zgadza się z jej decyzją.

Wiedziała, co robi. W obu kwestiach.

* * *

Clarice cicho wędrowała przez nocny mrok, minęła most i wspięła się na wzniesienie, a potem poszła przez łąkę w kierunku wzgórza i pawilonu.

I Jacka. Jego ramion, jego ciała.

Nie była pewna, czy drugiego dnia - a dokładniej drugiej nocy - będzie tak samo, równie pasjonująco, lecz bardzo chciała się tego dowiedzieć.

Jack wymówił się niedługo po jej oświadczeniu, że pojedzie z nim do Londynu. Odprowadziła go do frontowych drzwi, idąc tuż za nią, szeptał jej do ucha. Musiała przemóc wywołany tym dreszcz, ale cicho znowu zgodziła się spotkać z nim tej nocy.

Pawilon wyrósł przed nią, jeszcze raz drzwi zostawiono kusząco otwarte. Oczekiwanie wezbrało w jej żyłach, uśmiechając się sama do siebie, przyspieszyła kroku i ochoczo pomaszerowała na górę.

Zza szerokich okien pawilonu Jack spoglądał w dół, przyglądając się, jak Clarice wychodzi z cienia drzew i swobodnym, pewnym krokiem zbliża się, do schodów. I biegnie na górę, do niego.

Ogarniało go oczekiwanie, wyraźne i wyjątkowo potężne, dziwnie nieodparte. Nie zwyczajne oczekiwanie na zmysłową przyjemność, ale na szansę zbliżenia się do niej w pełni, kolejną możliwość, jaką wykorzysta, żeby o nią zabiegać, kolejny krok w jego kampanii, by ją zdobyć.

Wiedział, czego chce, tym, czego naprawdę nie rozumiał, było „dlaczego”. To, co czuł, nie pozostawiało wątpliwości, czego chciał i potrzebował - i co musiał mieć - było jasne jak słońce. Ale zobaczył ją wyraźnie i dobrze znał samego siebie, nie mógł pojąć, co przyczyniło się do powstania więzi, która już istniała, która już była tak silna, przynajmniej według niego.

Na tyle silna, by go związać.

Odwrócił się, kiedy przeszła przez drzwi. Zobaczyła go, uśmiechnęła się ze zwykłą pewnością siebie, a potem zamknęła drzwi i przeszła przez pokój, prosto do niego.

Czekał. Jej suknia, jasna i delikatna, tańczyła wokół jej długich nóg. Pozwoliła, by szal zsunął jej się z ramion. Z lekko przechyloną głową, przypatrując się jego twarzy w słabym świetle, zbliżała się miarowym krokiem. Aż przystanąła tuż przed nim

Zamknął dłonie wokół jej talii, kiedy ona uniosła ręce i ułożyła je na jego ramionach.

Z bliska wpatrywała się w jego twarz.

- Czy chciałeś porozmawiać o Jamesie?

- Nie. Nie chcę rozmawiać, nawet o Jamesie... przynajmniej jeszcze nie teraz.

Jego głos był cichy, chropawy, szorstki od obietnicy namiętności.

- Dobrze.

Wtedy go pocałowała. A on pocałował ją.

Przez długą chwilę zmagali się o przewagę, a potem, z cichym westchnieniem, które przeniknęło go aż do szpiku kości, poddała się, chętnie ustępując mu prawa do reżyserowania ich gry.

Tak jak ostatniej nocy.

To właśnie ta gotowość, nie by się poddać, lecz zaufać, uderzyła go, sprowokowała w nim taką pierwotną reakcję, dała mu bodziec, by brać wszystko, co oferowała, pochłonać to, chcieć i żądać więcej.

Łatwo mogło się to stać jego nałogiem.

I wiedział, że już przegrał.

Nie było sensu próbować z tym walczyć, z nią czy z potężną falą uczucia, jakie w nim wzbudziła.

On także skapitulował, po prostu poddał się namiętności, która tak łatwo między nimi wyrosła. Stali przy oknie i prędko, choć bez pośpiechu zrzucili ubrania. Nadzy stali zamknięci nawzajem w swoich ramionach, rozpalając i pieszcząc skórę,

dotykając się, badając.

Nie było w niej ani odrobiny niezdecydowania i skromności kobiety, dla której ta gra była czymś nowym. Jej pewność siebie, jej śmiałość w dążeniu naprzód, w podejmowaniu wyzwania i przyjmowaniu intymności z taką niezachwianą chęcią maskowały jej brak doświadczenia. Nawet teraz widział w niej osobę, która dałaby mu się prowadzić, ale gdyby przekazał jej kontrolę, przejęłaby dowodzenie bez wahania...

Ostatniej nocy, rządzonej pierwotnymi odruchami, których nie zamierzał zanadto roztrząsać, miał ją pod sobą, uwięzioną wśród poduszek, i wypełniał ją, trzykrotnie doprowadzał do ekstazy. Łkała, jęczała, w końcu wykrzykiwała kapitulację, a jednak nie została zwyciężona, czuł się bardziej tak, jakby to on dał się zwyciężyć, jak gdyby biorąc ją tak zaborczo, uznał ją za swoją królową - tę, która mogła nim władać.

Teraz wyszła mu naprzeciw i ponaglała go. Bezwstydnie, otwarcie posługiwała się swoim ciałem, żeby go rozpalić. Nie potrafił myśleć, tylko reagował. Robił to, co wydawało mu się odpowiednie, co zadowoliłoby jego i ją.

Chwycił ją w talii tak, że stanęła do niego tyłem, przyciągnął ją z powrotem do siebie, mocno, poczuł, jak dopasowuje się do jego torsu, sięgając rękoma w dół i do tyłu, układając długie, smukłe palce na napiętych mięśniach jego ud, żeby pieścić. Śmiało posłużyła się łukiem swojego biodra, by się przycisnąć, a potem otrzeć o jego lędźwie, użyła pośladków, by pieścić jego twardą męskość, która wślizgnęła się między jej uda. Niemal natychmiast odnalazł wejście, już wilgotne, przyjazne. Napał, opuszczając ją w dół, wypełniając ją cał za całem Zamknęła się wokół niego z wielką siłą, skłaniając głowę do jej głowy, nie zdołał powstrzymać pomruku przyjemności.

W odpowiedzi przebiegł jej po kręgosłupie dreszcz rozkoszy, wygięła się ku niemu, lekko dysząc. Przyciągnął ją w dół jeszcze trochę, zanurzając się w jej ciało do końca. Jej palce stóp dotknęły podłogi.

Wstrzymał oddech i otoczył ją ramieniem, nakierowując ku

sobie jej biodra, mocno zaciskając drugą dłoń i przytrzymując ją nieruchomo, aby z jeszcze większą siłą runąć naprzód.

Clarice zgubiła oddech w drżącym westchnieniu. Odchylając głowę do tyłu, z zamkniętymi oczyma delectowała się jego siłą. Dała się mu prowadzić zamiast dążyć do przejęcia kontroli.

Wciąż coraz wyżej, dalej. Głębiej. Coraz szybciej.

Aż wreszcie przeszył ich żar, rozlewając się płomieniami pod skórą, zapłonął w nich ogień. Wraz z każdym pewnym pchnięciem, każdym poruszeniem jego ud przy jej pośladkach, wraz z każdym zanurzeniem, każdym rozkołysanym wtargnięciem jego ciała w jej własne.

Jego dłoń puściła jej biodro, podniosła się i zamknęła na jednej z piersi. Mocno. Ściskając ją zaborczo. I wtargnął w Clarice jeszcze głębiej.

Przeszyło ją doznanie jasne jak błyskawica. Wydała stłumiony okrzyk, który odbił się echem w cichym pokoju.

Potem jego palce zamknęły się znów, mocno jeszcze mocniej. Dłoń na jej brzuchu napięła się unosząc ją o pół cala, odrobinę bardziej nakierowując jej biodra. Pchnął głębiej, mocniej, znów głębiej.

Jej zmysły rozpadły się na kawałki. Roztrzaskały się niczym szkło, gwałtowne doznania przepływały wzdłuż jej nerwów, pozostawiając każdy z nich zraniony, odarty, obolały i nagi. Skóra ją paliła, wrażliwa ponad miarę, całe jej ciało wyczuło się na każdy dotyk, każde muśnięcie. Wszelkie doznania stały się podniętą, wyrazistymi, kryształowo przejrzystymi beładnymi elementami kalejdoskopowej całości, która wirowała wyżej, szybciej.

Aż zawładnęło nią spełnienie. A on do niej dołączył i wypełnił ją jeszcze jeden, ostatni raz.

Poczuła, jak zalewa ją jego ciepło, poczuła żar jego oddechu na szyi.

Zapadła się w niego, w przystań jego ramion.

* * *

Ani trochę nie była pewna, jak dotarli do szezlongu, lecz kiedy otworzyła oczy, już tam byli. Jej policzek spoczywał na mocnej, umięśnionej piersi. Jego skóra była ciepła, tak jak cała reszta, nadal czuła intensywny dotyk jego skóry na swojej własnej.

Leżał na plecach, mając ją na sobie, swobodnie tuląc w ramionach. Jej biodra spoczywały między jego rozchylonymi udami, jego długie nogi po bokach jej nóg.

Uniesienie głowy wymagało od niej więcej wysiłku niż to, na co mogła się zdobyć, poruszyła się spod zmrużonych powiek zerknęła na jego twarz.

Jedną ręką zasłaniał sobie oczy, ale wyczuł jej wzrok i podniósł rękę. Spod ciężkich powiek jego spojrzenie napotkało jej oczy. Wpatrywał się w nie przez chwilę, po czym opuścił rękę.

- Doprowadziłem nas aż dotąd. Nie myśl, żeby się wkrótce stąd ruszać.

Uśmiechnęła się i obróciła głowę tam, gdzie wygodnie spoczywała przed chwilą. Tym także się delektowała, tymi spokojnymi chwilami po wszystkim, kiedy otuleni jaśniejącym ciepłem, wyciszeni i nieruchomi, oboje wydawali się tacy wolni, dalecy od tego, do czego wyznaczył ich świat - bycia lordem i lady. W takich chwilach byli po prostu sobą. Bez osłony.

Ta myśl ją zaintrygowała, kazała jej pomyśleć, jak blisko, jak swobodnie się z nim czuła. Jaka była nieograniczona. To, co sprawiało, że tak się czuła, to nie była po prostu fizyczna zażyłość, to był objaw, rezultat, a nie przyczyna. Przyczyna, powód, dla którego czuła się przy nim tak inaczej wydawała się bardziej złożona.

Albo być może prostsza.

On ją rozumiał, albo wydawał się rozumieć, a ona, w znacznej mierze, rozumiała jego.

Z tego właśnie powodu był jedynym mężczyzną z jej klasy, którego kiedykolwiek brała pod uwagę, o którym kiedykolwiek

pomyślała jako o kimś, kogo może poprosić o radę. Jedyńm, którego radę, uważała za mającą jakąś wartość.

Jej skóra stygła, lekki powiew wpadł przez otwarte okno i przebiegł chłodnymi palcami wzdłuż jej ciała. Stłumiła dreszcz, nie chciała, by jego ramię znów się wokół niej zamknęło, jeszcze nie teraz.

Usiadła. Ignorując spojrzenie, jakim ją obrzucił, sięgnęła po szal. Rozłożyła go sobie na ramionach i wstała. Nie oglądając się za siebie, podeszła do okna, kiedy żar pod jej skórą ostygł, nocne powietrze wydawało się mniej chłodne. Zatrzymała się przy oknie i wyjrzała na zewnątrz. Noc była mieszaniną cienia i słabego światła księżyca, odległych, stłumionych szelestów i kojącej bryzy.

Odwróciła się, popatrzyła na Jacka, w mroku napotykając jego oczy.

- Martwię się o Jamesa.

Rozdział 9

Szal ani trochę nie ukrywał hipnotyzujących kształtów jej ciała. Otulone tylko w perłową poświatę księżycowego blasku emanowały magiczną mocą, która usidliła jego umysł. Potrzeba było wysiłku, żeby przenieść spojrzenie na jej twarz i żeby tam pozostało.

- Co cię martwi?
- On nie wydaje się reagować na zagrożenie tak, jak powinien.

Jack pomyślał o tym, że reakcja Jamesa bardzo różniła się od jego własnej i od reakcji Clarice.

- On zdaje się nie pojmować... - zrobiła zamaszysty gest - że nie wystarczy tylko nosić rodowe nazwisko. Że to go nie osłoni.

Zdziwiło go, że dostrzegła to tak wyraźnie, i znów przydomek, który jej nadał, okazał się zaskakująco trafny.

- James nie pojmuje istoty władzy. Nigdy naprawdę nie

pojmował. Urodził się w moźnej rodzinie i zakłada, że ta władza będzie po jego stronie, albo przynajmniej będzie mu służyć, wyłącznie z racji noszenia przez niego nazwiska.

Mocniej otuliwszy się szalem, oparła się plecami o ramę okna i przypatrywała się Jackowi.

- Ty i ja wiemy, że on się myli. Władza nie istnieje, dopóki jej nie dźierzysz.

Mówiła jak ktoś, kto dużo o tym wie. Jack skinął głową.

- James się nie zmienia. On nie widzi potrzeby, i po prawdzie to wątpię, czy on ma... zdolność dźierzenia władzy, jaką nazwisko Altwood by mu dało, gdyby postanowił jej użyć...

- O to chodzi. - Wróciła na szezlong. - Dlatego muszę jechać do Londynu, żeby dźerzyć rodzinną władzę w jego imieniu.

Przystanęła obok leżanki, przy jego boku, i spojrzała na niego, w jego oczy.

- Ty to rozumiesz.

Stwierdzenie, bez śladu pytania.

Jack poczuł, jak jego twarz tężeje. Sięgnął po jej dłoń.

- Rozumiem, dlaczego tak się czujesz.

Pociągnął ją w dół, na łóżko, w swoje ramiona, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Po sposobie, w jaki tak chętnie odłożyła na bok ich dyskusję, i zareagowała, żarliwa i ochocza, by doświadczyć więcej, poznał, że wyobraziła sobie, iż dyskusja została zakończona.

Tak nie było, ale on nie był gotów dźerzyć tematu jej podróży do Londynu w obronie Jamesa.

Miała rację, on pojmował, czym jest władza i jak, ją dźerzyć. A skoro tak, nie było tak naprawdę powodu jej powrotu do stolicy, zwłaszcza jeżeli wiązałoby się to z jakimiś przykrościami. Ale... należało rozważyć inne kwestie, takie jak ta, czy ona zgodzi się na pozostanie w Avening.

To był jednak spór na następny dzień. Tej nory... podążył za jej przewodnictwem, odłożył sprawę na bok i poświęcił się komuś znacznie mu bliższemu.

Chwila ekstazy, nieskończonej rozkoszy, która nadeszła wiele minut potem, uwięziła ich w swojej błogości na czas niedający się zmierzyć... a później upuściła ich i uwolniła. Pozwoliła im opaść z niebios w słodkie zapomnienie.

Upadli, zaspokojeni. On opadł na plecy, zamknął ją w ramionach, ona oparła głowę na jego piersi. Leżeli nieruchomo, czujni, niedowierzający. Jack przytknął policzek do jej ciemnych włosów, poczuł je niczym jedwab na swojej nieogolonej brodzie.

Moc była czymś, co oboje doskonale rozumieli. Nie istniała, dopóki się jej nie dzierżyło.

Teraz ją mieli... i będą mieli znowu. To po prostu była ich natura, fascynacja, którą dzielali. Wojownik-władca i królowa-wojowniczką. Dobrana para.

Cienie powoli się wydłużały, w miarę jak księżyc wędrował po niebie. Jack nie czuł potrzeby, by się poruszać, wydawało się, że ona także nie. Żadne nie spało, krążące w ich żyłach rozleniwienie nie było tym razem fizycznym wyczerpaniem. To było właściwe drapieżnikom - poczucie, że w powietrzu unosi się jakaś dziwna moc.

Moc, której znaczenia żadne z nich nie było do końca pewne.

Był świadomy żaru stygnącego między nimi, pragnienia nasyconego tylko na chwilę. Biorąc pod uwagę wszystko, co czuł, wszystko, co teraz wiedział, trudno było mu zrozumieć, dlaczego była wolna, tak jak on. Nie pojmował, dlaczego równi mu statusem społecznym byli tacy ślepi.

Dla niego była uosobieniem zmysłowego wyzwania...

Przerwał sam sobie, po czym cicho przyznał, że być może to właśnie dlatego nikomu innemu się z nią nie powiodło, tamci nie byli skłonni, nie byli dość silni, by pozwolić jej postępować tak, jak chciała. By pozwolić jej być taką, jaka jest naprawdę.

To zabrzmiało jak możliwa do przyjęcia, bardzo prawdopodobna teza, a jednak Jack nie potrafił dostrzec w niej wskazówki, co miałby uczynić, żeby Clarice się z nim związała.

Nie tylko na jedną noc czy nawet na rok, lecz na zawsze.

Otulił ich spokój nocy, ukołysał.

Popatrzył na nią, na w pół leżącą na nim, z głową wspartą na jego piersi. Przyciskając ją mocniej do swojego boku, zerknął z ukosa na jej ciemne włosy.

- Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś?

Nie udawała, że nie rozumie. Spojrzała na niego przelotnie, po czym odwróciła wzrok. Delikatnie, z roztargnieniem, wodziła palcem po jego piersi.

- W bibliotece w Rosewood, w siedzibie rodu. Był tam zbiór, od stuleci wzbogacany przez kolejne pokolenia. Niektóre tomy były bardzo kształcące, z mnóstwem szczegółów.

- Jak rozumiem, byłaś zapaloną uczennicą.

Musiał zmagać się ze sobą, żeby leżeć nieruchomo pod jej wędrującymi palcami.

- Byłam zaintrygowana... zaintrygowana. I mam znakomitą pamięć, przynajmniej do ilustracji - Popatrzyła mu w twarz, a jej dłoń zabłądziła niżej. - Skoro musisz wiedzieć, czekałam lata, żeby wypróbować w praktyce to, czego się nauczyłam.

Jej głos był więcej niż zmysłowy, był jak pomruk, niski i łagodny, skradający się wokół niego jak kot.

Patrzył w jej ciemne, otwarcie prowokujące oczy, a jego umysł pracował na najwyższych obrotach.

- W takim razie... - przełknął ślinę - być może chciałabyś spróbować... - Nachylając się blisko, wyszeptał jej resztę do ucha.

Potem położył się na plecach i spojrzał na nią.

Przez długą chwilę wytrzymywała jego spojrzenie, po czym się uśmiechnęła.

- Czemu nie?

Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął do niej rękę, i ochoczo padła w jego ramiona.

* * *

Następnego ranka Jack obudził się ze znajomym poczuciem, że powinien działać. To było takie samo poczucie uciekającego czasu, jakie odczuwał zawsze, ilekroć wyruszał z misją, najpierw musiał zrobić pewne rzeczy, poczynić ustalenia, bo inaczej potrzeba działania nadejdzie i zastanie go nieprzygotowanym.

W tym przypadku musiał wydobyć od Jamesa wszystko, czego potrzebował, zanim Clarice postanowi sama ostro ruszyć mu na odsiecz.

Zszedł na śniadanie z głową pełną planów. Clarice miała rację, James potrzebował pomocy, więc musieli działać. Jak? To dopiero musiał ustalić.

W pokoju śniadaniowym Percy zjadał szynkę i jajka. Jack skinął mu głową i podszedł prosto do pomocnika. Dzięki Clarice jego apetyt zdecydowanie się poprawił, gdy jego talerz zapełnił się po brzegi porcjami wszystkiego, co przysłała kucharka, zajął miejsce u szczytu stołu.

Po wczorajszym obiedzie uprzedził Percy'ego, że będzie musiał wyjechać na parę tygodni do Londynu, uzgodnili, że w ciągu kilku dni przed wyjazdem Jack zapozna Percy'ego z miejscowymi i oprowadzi go po posiadłości, by móc przekazać sprawy zarządzania posiadłością w kompetentne ręce Griggsa. Griggs mógł być stary, ale wiedział wszystko, co trzeba było wiedzieć o tym majątku.

- A więc? - Percy odsunął pusty talerz i spojrzał na Jacka z nadzieją. - Od czego zaczynamy?

Jack przeżuł kęs i sięgnął po filiżankę kawy.

- Są pewne sprawy niezwiązane z posiadłością, którymi muszę zająć się najpierw, ale ty możesz mi w tym pomóc.

Zapał Percy'ego nie ostygł. Jack zdał sobie sprawę, że jego młody krewniak należy do osób, które przedkładają jakiegokolwiek działanie nad brak tegoż, Clarice powinna to zaaprobować.

- Co chcesz, bym zrobił?

- Młody Anthony na górze.

Poprzedniego wieczoru Jack przedstawił sobie tych dwóch. Byli rówieśnikami, Percy współczuł Anthony'emu, że jest przykuty do łóżka, i zaoferował się zagrać z nim w szachy. Zaglądając do nich przed wyjściem do pawilonu, Jack zastał ich pochłoniętych grą.

- Chcę mieć listę jego krewnych, którzy mogą przebywać w Londynie albo w miejscu oddalonym o pół dnia drogi, i opis, w jaki sposób każdy z nich powiązany jest z Jamesem i jak może mu pomóc. Oprócz tego chcę mieć nazwiska i wskazówki dotyczące wszystkich pozostałych, którzy zdaniem Anthony'ego mogą się przydać.

Percy przytaknął, słyszał już w zarysie o problemie, przed którym stanął James.

- Coś jeszcze?

Jack pomyślał, że to przyjemna odmiana mieć kogoś tak pomocnego.

- Nie, to wszystko. - Odsunął krzesło. - Muszę napisać list, później idę na probostwo. Wrócę przed lunchem. - Dołączył do Percy'ego, wyszli do holu. - Jeżeli będziesz miał czas, zanim wrócę, spróbuj zapamiętać rozkład pól i chat na wschodzie. Zabiorę cię tam dziś po południu, zapoznam z dzierżawcami, powiem, jak mają się sprawy.

- Uhm... - Percy spojrzał na niego rozszerzonymi oczyma.

Jack szeroko się uśmiechnął.

- Możesz wziąć dwukólkę. Są tam odpowiednie dróżki.

Percy nie starał się ukryć ulgi.

- Dobrze. - Spojrzał na schody. - Pójdę i zajmę się Anthony'm.

Jack rozstał się z nim, skinąwszy mu głową. Poszedł do biblioteki, usiadł przy biurku i prędko skreślił list do jedyne go człowieka, do którego spodziewał się nigdy więcej nie pisać. Zapieczętował pismo i ruszył poszukać Howletta, zostawiwszy mu pismo z poleceniem pilnego wysłania do Londynu, zajrzał do Griggsa, sprawdził, czy nie ma pilnych spraw wymagających jego uwagi, porozmawiał z Griggsem o jego opinii na temat

Percy'ego - zaskakująco pozytywnej, wydawało się, że Percy ma głowę do liczb i potem zszedł po podjeździe i przeciął żywoplot, obierając najkrótszą drogę na probostwo.

Przy sznurach na bieliznę nie było dzisiaj królowej wojowniczkii. Uśmiechając się na tę myśl, Jack wspiął się po schodach na ganek probostwa, przeszedł do bocznych drzwi i dalej przez hol do gabinetu Jamesa. Zapukał i usłyszał głos Jamesa, jak zawsze roztargniony:

- Wejść.

Jack otworzył drzwi i wszedł do środka, zastając znużonego Jamesa siedzącego za biurkiem i stojącą nad nim Clarice.

Miała skrzyżowane ręce, co - jak zaczynał dostrzegać - rzadko wróżyło coś dobrego.

Uśmiechnął się z wdziękiem.

- Dzień dobry.

Zadresował powitanie do obojga. Clarice uraczyła go królewskim skinieniem głowy i znowu po patrzyła na Jamesa.

Na twarzy Jamesa zaczęła malować się ulga, ulotniła się, kiedy spojrzał na Jacka.

- Ach... dzień dobry. - Znów spojrzał w dół, na arkusz papieru na swoim bibularzu. - Przypuszczam, że jesteś tutaj, żeby także domagać się informacji.

Wargi Clarice się zacisnęły.

- Wyjaśniłam ci, James. Musimy wiedzieć wszystko, co możesz nam powiedzieć, nim wyjedziemy do Londynu.

Jack wzruszył ramionami.

- Ona ma słuszość.

- Ale... - Ton Jamesa stał się płaczliwy - ja naprawdę nie widzę potrzeby...

- To poważna sprawa, James.

Mówili tak samo, bardzo podobnym głosem, tyle że jej był nieco bardziej zniecierpliwiony.

- Nie możemy być beczynni, Jamesie. Nie możesz tego od nas oczekiwać.

To dało Jamesowi do myślenia, po chwili skrzywił się i

machnął piórem w stronę arkusza przed sobą.

- Clarice powiedziała, że będziecie potrzebowali tylu szczegółów, ile zdołam sobie przypomnieć...

Clarice sięgnęła obok Jamesa i wyszarpnęła czystą kartę papieru.

- Myślę, że byłoby najlepiej, gdyby Jack spisał wszystkie informacje, których potrzebuje. - Rozłożyła papier na biurku przed Jamesem, razem z piórem, które wyciągnęła mu z ręki. - Wtedy możesz się postarać zebrać to, co należy.

Pod jej przytłaczającym spojrzeniem Jack przysunął sobie krzesło i usiadł przed czystą kartką. Podniósł pióro i sprawdził stalówkę.

- To może chwilę potrwać.

Napotkał wzrok Clarice. Nigdy nie była spokojną kobietką, ale w tej chwili wprost emanowała energią -jakby chciała zaatakować wroga, którego jeszcze nie było widać - co było w pewnym sensie kojące, chociaż poza tym także rozpraszające. Współczuł Jamesowi, nigdy nie będzie w stanie skupić myśli, jeżeli Clarice pozostanie w pokoju w takim stanie jak teraz.

Jeżeli w ogóle pozostanie w pokoju.

Napotkała jego oczy i wyraźnie usłyszała jego sugestię. Rozważyła ją, po czym spytała:

- Jak się miewa Anthony?

- Lepiej i stale mu się poprawia. - Jack zanurzył stalówkę w kałamarzu. - Zaczyna się niecierpliwić, że jest przykuty do łóżka.

- Odwiedzę go dziś po południu.

- To byłoby rozsądnie. - Jack pochylił się nad kartką. - Po południu będę poza domem, i zabiorę Percy'ego ze sobą. Anthony zapewne doceni towarzystwo.

James podniósł wzrok.

- Ja także pójdę. Muszę zrobić wszystko, co mogę, wzięwszy pod uwagę, że to ze mną przyjechał porozmawiać...

- Najlepszy sposób, w jaki możesz odplacić mu za jego odwagę i za wszystko, co wycierpiał, przywołując wiadomość od

Teddy'ego, to zebranie wszystkich informacji, których Jack ma właśnie od ciebie zażądać.

Clarice nie podnosiła głosu, a jednak była w nim nuta, która nie dopuszczała żadnych sprzeciwów. Jack zacisnął usta, powstrzymując chęć złagodzenia jej słów, w tym przypadku miała całkowitą rację, a Jack znał Jamesa aż nadto dobrze, by wiedzieć, że uchwyci się każdej sposobności, by się ociągać.

Upór Jamesa - raczej słaby z natury - i upór Clarice, zaprawionej w bojach... Ten ostatni może nie być wygodny, w tym wypadku był jednak konieczny.

James westchnął, z nieco zawziętą miną przytaknął.

- Dobrze więc. - Zerknął ponad biurkiem
- Czego potrzebujesz?

Jack mu odpowiedział, kiedy James zaczął tworzyć listę wszystkich swoich podróży w ciągu ostatniej dekady, Jack zabrał się do zapisywania innych pytań dotyczących pracy Jamesa, na które chciał uzyskać odpowiedź.

Clarice powoli przechadzała się za nim, obserwując ich obu, od czasu do czasu przysuwała się, bliżej i czytała mu listę przez ramię. Jack po prostu grał na czas.

Tak samo jak James. Kiedy Macimber wetknął głowę do pokoju i wezwał Clarice, by zajęła się jakimiś domowymi sprawami, James odczekał tylko aż drzwi się zamkną, ucinając ostatnie spojrzenie Clarice rzucone spod przymrużonych powiek, żeby odłożyć pióro i zwrócić się do Jacka.

- Mój chłopcze, musisz mi pomóc. Ja naprawdę nie życzę sobie, żeby Clarice jechała do Londynu w moim imieniu.

- Dlaczego? - było to pierwsze słowo, które przyszło Jackowi na myśl, ale się zawahał... Zamiast tego poczuł, że powinien uzmysłwić Jamesowi coś, co wyraźnie mu umykało.

- To nie takie proste, Jamesie. Na początek, Clarice nie podlega władzy żadnego mężczyzny, jeżeli postanowi jechać do Londynu, ani ja, ani ty nie możemy jej przed tym powstrzymać. W rzeczy samej wątpię, czy wystarczyłyby ogień albo powódź.

James westchnął.

- Jak sądzę, nakłonienie jej to jedyne wyjście. Moja siła perswazji jest znaczna, lecz nie aż tak. - Jack starannie dobierał słowa. - Nie jestem pewien, czy w tej sprawie ona nie ma racji. Podczas gdy ty jesteś zamknięty tutaj, ktoś z twojej rodziny musi zaalarmować pozostałych jej członków, bardziej stanowczo niż listownie, żeby im wyjaśnić, jak wygląda sytuacja, a Clarice, bez względu na swoją przeszłość, to córka zmarłego markiza i siostra obecnego. Rodzina jej wysłucha.

- Być może. - James wyglądał na niezbyt przekonanego, dziwnie niepewnego.

Zaintrygowany Jack uniósł brwi.

James smętnie westchnął.

- Bardzo proszę, przyznaję, że najprawdopodobniej jej wysłuchają, ponieważ ona ich do tego musi. Zaaranżuje sobie publiczność i przekaże, co ma do przekazania, ale jakim kosztem?

Jack zamrugał.

- Nie rozumiem.

- Wiem. W rodzinie nie rozmawia się o Clarice, Została odrzucona przez ojca, wydziedziczona.

Jack zmarszczył czoło.

- Wyznałeś mi to, lecz nie wyobrażałem sobie...

- Nie, dlaczego miałbyś? - James pokręcił głową. - Nie wyjaśniłem tego tak wyraźnie, jak bym mógł. Melton, jej ojciec, nie był jedynym członkiem rodziny, który był wściekły na Clarice i na jej nieprzejednanie. Ciotki, siostry Meltona, były przerażone. Uparcie odmawiając poślubienia Emswortha, Clarice w oczach rodziny przekroczyła granice przyzwoitości.

Jack patrzył Jamesowi w oczy, odczytując jego spojrzenie.

- Mogłaby nie zostać nawet uznana przez rodzinę, która nadal, po siedmiu latach, skłonna jest traktować ją jak wyrzutka?

- Tak. - James przytaknął bardzo zdecydowanie. - Altwoodowie nie słyną z wyrozumiałości. Ogromnie się obawiam, że ich postawa głęboko zraniła Clarice. Powrót na

łono rodziny niechybnie rozjątrzy długo skrywane rany. Co gorsza, niektórzy członkowie rodu mogliby wykorzystać fakt, że znajdzie się na ich łasce, w tym sensie, że musiała by błagać o pomoc dla mnie, by...

Wyobrażając sobie, jaką mściwość jego i jej rodzina mogłaby okazać Clarice, James aż stracił wątek.

- Cóż - przyznał w końcu - nie wiem, co mogłoby im przyjść do tych ich twardych głów, lecz cokolwiek by to było. - James utkwił w Jacku wojownicze i stanowcze spojrzenie. - Nie chcę, żeby Clarice znalazła się w takiej sytuacji z mojego powodu

Upłynęła długa chwila, nim Jack wypuścił powietrze.

- Rozumiem.

- W rzeczy samej. - James pochylił się nad biurkiem. - A więc pomożesz mi, drogi chłopcze, w odwiedzeniu jej od wyjazdu do Londynu?

Jack wyczytał w oczach Jamesa szczerą. Wiedział, że sprawa nie jest taka prosta, jak to odmalował James. Ale...

- Najlepsze, co mogę zrobić, to obiecać, że o tym pomyślę, tak jak o każdym innym rozwiązaniu.

James się uśmiechnął.

- Dobrze, dobrze.

Wyjaśnwszy swój problem i przekazawszy sprawę do rozwiązania Jackowi, powrócił do zadania czekającego na biurku. Umoczył pióro w kałamarzu i zmarszczył czoło nad arkuszem.

- Zatem lepiej zabiorę się do tych listów. To mi zajmie ładnych parę dni.

* * *

Jack dokończył swoją listę i zostawił ją Jamesowi do uzupełnienia. Opuścił probostwo, nie spotykając się z Clarice, myślał o tym, lecz nie postarał się o to. Wybrawszy dłuższą drogę do domu, wetknął ręce do kieszeni spodni, spokojnym

krokiem ruszył w dół po podjeździe, i zrobił to, co obiecał Jamesowi.

Pomyślał o odwiedzeniu Clarice od wyjazdu do Londynu.

W przeciwieństwie do Jamesa potrafił dostrzec także pewne wyraźne korzyści obok - teraz, po usłyszeniu całej opowieści o przeszłości Clarice, oczywistych - minusów.

Nie dało się zaprzeczyć, że kiedy znajdzie się w Londynie, natychmiast przyciągnie uwagę rodziny. Co więcej, zaakceptują to, że nie pozwoli im stać z boku i nie wesprzeć Jamesa, jeżeli będą chcieli, by zostawiła ich w spokoju, będą musieli stanąć w obronie Jamesa.

Bardziej niepokojące było to, że nie mógł zapomnieć o pewnym wątpliwym dżentelmenie o okrągłej twarzy. Gdyby nakłonił Clarice do pozostania tutaj i pozostawienia londyńskiej misji jemu, przez, wywołanie szumu w Londynie mogłoby sprowokować jakieś działania przeciwko Jamesowi tu, na miejscu.

Niezbyt uspokajający scenariusz. W takiej sytuacji nieustannie zastanawiałby się nad każdym krokiem, mając związane ręce przy prowadzeniu obrony Jamesa w Londynie.

Gdyby odmówił zabrania jej ze sobą, pojechałaby do Londynu sama. Nie tylko naraziłoby ją na przykrości, których James pragnął uniknąć, ale działałaby niezależnie od niego, pozostając po za jego zasięgiem.

W Londynie.

Jeśli mężczyźni o okrągłej twarzy, zaalarmowanemu jej działaniami w obronie Jamesa, przyszłoby do głowy, żeby ją uciszyć... Londyn był o wiele bardziej niebezpiecznym miejscem, trudniej było stać się celem ataku tutaj, w sennej wiosce, gdzie otaczali ją ludzie, których znała i szanowała.

Jack wiedział wszystko o takich sprawach, nie musiał się nad nimi zastanawiać. Skręcając za furtką probostwa, zaczął myśleć o powitaniu, jakie zdaniem Jamesa czekało na Clarice w Londynie.

Czy James miał rację? Mógł mieć rację siedem lat temu, ale

czy sprawy nadal miały się tak samo w klanie Altwoodów? Z pewnością Anthony i jego brat, kleryk, nie postrzegali Clarice jako persona non grata, jako kobiety wykluczonej przez rodzinę. Przechodząc przez bramę dworu, Jack podniósł wzrok na swój dom i zanotował w pamięci, żeby tego wieczoru zobaczyć, czego się Percy'emu uda dowiedzieć.

Jednakże...

Spuścił oczy, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w zwirowy podjazd, i wspinał się po długim wzniesieniu w stronę frontowych drzwi. Nawet jeśli James miał rację i Clarice czekało w Londynie nieprzyjazne przyjęcie, bez względu na to, jaki ból mogłoby jej to sprawić, czy on albo James mieli prawo wtrącać się, dokonywać osądu i decydować za nią, że nie powinna narażać się na ten ból?

W pamięci odtworzył tę chwilę, kiedy Clarice jako pierwsza oświadczyła, że pojedzie do Londynu w imieniu Jamesa. Nie podjęła tej decyzji pochopnie, w pośpiechu, bez rozważenia za i przeciw. Wiedziała lepiej niż James, co spotka ją w mieście, wiedziała, co robi, decydując się na wyjazd.

James nie prosił, to ona nalegała, żeby dokonać tego poświęcenia dla dobra Jamesa. Czy to słuszne, by je odrzucił jako rzecz bez znaczenia? Proponowanie samych siebie w ofierze było tym, co czynili wojownicy... a ona była królową-wojowniczką.

Jack kopnął jakiś większy kamień z podjazdu, i potem przystanął, żeby popatrzeć w dal, na łąki i strumień za nimi. Żałował, że tak dobrze ją rozumie, pod pewnymi względami życie stało się przez to trudniejsze.

Opiekuńczość, zwłaszcza wobec kobiet, zwłaszcza kobiet z jego sfery, była jego drugą naturą, czymś, co mu wpojono. Jeżeli rzeczoną damą byłaby jakakolwiek inna osoba, a nie Clarice... Jako że w przeciwieństwie do Jamesa on ją rozumiał, musiał zastanowić się przed podjęciem jakichkolwiek kroków, ponieważ dla niej - dla królowej-wojowniczkki - chronienie jej mogło nie być czymś tak oczywistym

Działanie w jej najlepszym interesie mogło w rzeczywistości oznaczać zabranie jej ze sobą do Londynu. Pozwolenie jej, by stawiała czoło oburzeniu swej rodziny i zmierzyła się z upiorami przeszłości i z odrzuceniem, a wszystko to w czasie, gdy on będzie u jej boku, żeby ją wspierać. To, że miała prawo toczyć takie bitwy, jakie chciała, było w zgodzie z jej naturą. Miał prawo stawać u jej boku, ale nie na jej drodze.

Plusk strumienia koił mu zmysły.

W końcu odwrócił się i poszedł dalej.

Były i inne, dla niego wysoce pożądane rezultaty, którym przysłużyłoby się zabranie Clarice ze sobą.

Jack nie lekcewał trudności, jednak trudno było oprzeć się szansie znalezienia się wraz z nią w sytuacji jakby stworzonej po to, by nieść pomoc. I żeby skłonić Clarice do spojrzenia na niego bardziej wnikliwie. Jak na przyszłego małżonka. W Londynie, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę ich misję, zobaczyłaby takie aspekty jego osobowości, jakie niewielu mogło oglądać, a wszystko to na tle środowiska właściwego im obojgu - śmietanki towarzyskiej Londynu.

W pewnym momencie zmusi ją do spojrzenia na niego jak na kogoś więcej niż tylko przelotnego partnera - jak na kochanka na wszystkie sezony, nie tylko na jeden. Spędzenie jakiegoś czasu razem, niekoniecznie na osobności, lecz bez nieustannej obecności innych ludzi, którzy na nich polegali i domagali się ich uwagi, będzie kluczowe, ta szansa wydawała się darem niebios.

W głębi jego umysłu kryło się przeświadczenie, że aby odnieść sukces, aby zmienić jej zdanie i przekonać ją do ponownego rozważenia małżeństwa, będzie musiał wypędzić duchy, które - jak przypuszczał - musiały istnieć, wzięwszy pod uwagę jej doświadczenia z mężczyznami i małżeństwem. Pozbycie się takich demonów będzie o wiele łatwiejsze, jeżeli zdoła je zobaczyć. A to właśnie Londyn był ich siedliskiem i przyczyną.

Wyrosły przed nim frontowe drzwi. Zatrzymał się przed

schodami. I jeszcze jedna myśl przeniknęła mu przez głowę.

Co jeszcze powinien był wziąć pod uwagę?

Siebie samego.

Zabranie Clarice ze sobą do Londynu oznaczało, że będzie wiedział, iż jest bezpieczna. Bez względu na wszystko inne, aby działać skutecznie, aby osiągnąć to wszystko, co by pomogło Jamesowi, Jack będzie tej pewności potrzebował. Robienie wokół Clarice zamieszania, osaczanie jej, czy tutaj, czy tam, być może zbyt wcześnie ujawniłoby nazbyt wiele z jego zamiarów.

Biorąc głęboki wdech i wyjmując ręce z kieszeni, wspiął się po schodach.

James będzie musiał poradzić sobie ze swoimi obawami, on nie zamierzał zrobić fałszywego kroku w pogoni za swoją królową-wojowniczką.

Rozdział 10

Jack dołączył do Griggsa i Percy'ego w biurze posiadłości. Percy wyjął fachowo sporządzoną listę, którą wydobył od Anthony'ego, Jack przeczytał ją, a następnie pochwalili rozpromienionego Percy'ego.

Howlett pojawił się, żeby oznajmić, iż podano lunch. W jadalni zastali Anthony'ego rozpartego w dużym fotelu na kółkach, bladego, lecz zdeterminowanego.

- Jeśli mogę być zmuszany do przypominania sobie całej rodziny - powiedział w odpowiedzi na uniesioną brew Jacka - w całej okazałości, z wszelkimi przyległościami, to mogę siedzieć.

Jack uśmiechnął się i zajął miejsce.

- Lepiej uważaj, żeby niczego sobie nie uszkodzić, bo Connimore będzie nie do zniesienia.

Anthony pytająco uniósł brew.

- Mówisz z doświadczenia?

- Właśnie - potwierdził Jack.

Posiłek minął przyjemnie. Jack, Griggs i Percy rozmawiali o

farmach, które Percy miał zobaczyć tego popołudnia. Anthony droczył się, lecz przeważnie po prostu słuchał. Mimo jego dzielnej postawy połamane kości nadal sprawiały mu ból.

Po skończonym posiłku wyszli do frontowego holu, Percy pchał fotel Anthony'ego.

- Na twoim miejscu wypoczywałbym, ile się da. Clarice powiedziała, że przyjdzie dziś po południu żeby dotrzymać ci towarzystwa.

Twarz Anthony'ego rozjaśniła się radosnym, niemal dziecięcym entuzjazmem.

- Doskonale!

Percy był mniej przekonany.

- Może grywa w szachy?

Anthony uniósł brwi. Obaj z Percym pytająco spojrzeli na Jacka. Co oni sobie myśleli?

- Nie byłbym zaskoczony, ale niech wam nie będzie zbyt przykro, jeśli was pobije.

Anthony zachichotał. Dwaj lokaje wnieśli jego fotel na górę, Anthony pomachał wesoło, kiedy wieźli go przez galerię z powrotem do jego pokoju.

Jack udał się do biura posiadłości wraz z Griggsem i Percym. Po naradzie, wraz z Percym uzbrojonym w szczegółową mapę posiadłości, Jack wyruszył na objazd, Percy w dwukółce zaprzężonej w spokojną i dostojną klacz, a Jack na Challengerze.

Jack nie dosiadał siwego wałacha od dwóch dni. Percy z wyraźną nieufnością przyglądał się parszającemu i brykającemu Challengerowi.

Jack uśmiechnął się szeroko, ściągając wodze, kazał wyniosłemu i hardemu Challengerowi dreptać obok dwukółki.

- Jak twoje lekcje jazdy konnej?

Percy rzucił okiem na Challengego, a potem wskazał na klacz.

Wczoraj Crawler uczył mnie na tej tutaj, Matildzie.

- I?

Percy wzruszył ramionami.

- Szło dosyć dobrze, ale nie wyszliśmy poza kłus.

Znowu zerknął na Challengego.

- Nigdy nie zdołam opanować konia takiego jak ten.

Kiedy skręcili z podjazdu, Jack uśmiechnął się i popatrzył przed siebie.

- Nie musisz. Na Matildzie z powodzeniem dotrzesz wszędzie na terenie posiadłości. Nie musisz pędzić jak wicher.

Rozległ się stukot kopyt na kamiennym moście. Przeczuwając za nim otwarte pola, Challenge i szarpnął się, niespokojny, nie rozumiejąc, dlaczego Jack nie chce pojechać galopem.

- A propos... - Jack bezwzględnie przytrzymał wałacha.

- Jedną z konsekwencji dosiadania takich koni jest to, że one muszą biegać. - Skinieniem głowy wskazał pola na północ od drogi - Wiesz, że jedziemy na farmę Delanceyów. Jeżeli cię tutaj zostawię, trafisz tam? Pozwolę Challengegowi rozprostować nogi i spotkam się z tobą na ścieżce przed furtką farmy.

Percy przytaknął.

- Nie zabłądź. Mam mapę, a Griggs powiedział, że jest dokładna.

Jack mu zasalutował i odjechał.

Dwie minuty później gnał przez pole jeszcze obsiane na letnie zbiory. Challengego zgniatał kopytami ściernisko ozimej pszenicy, zapach suchych źdźbeł i woń nagiej ziemi rozgrzewającej się w słońcu wznosiły się i ich opływały.

Jack zatracił się w tej chwili, w pędzie, który nie był wyścigiem, lecz po prostu przyjemnością i sprawiał, że w żyłach buzowała mu radość nieskażona żadnym ryzykiem, żadnymi konsekwencjami. On i Challengego pędzili przez jego ziemie po prostu dlatego, że mogli i chcieli.

Być może potrzebowali.

Świeciło słońce, wiatr był ledwie wyczuwalnym powiewem. Przez jedną chwilę Jack rozumiał, co to znaczy, że serce śpiewa.

W tej samej chwili uświadomił sobie także, co to naprawdę

znaczy być w domu.

* * *

To dziwne, jak niekiedy różne rzeczy są ze sobą powiązane, a dokładniej jak wiążą się w umyśle. Jadąc swobodnie na grzbiecie Challengera, gnając na przełaj przez swoje ziemie, swoje pola, Jack doznał uczucia, że jest tak, jak być powinno, że dom i wszystko, co on dla niego oznacza - nie kiedyś, lecz teraz - trafia na swoje miejsce jak w układance. Jakby fakt, że tu jest, było ostatnim niezbędnym fragmentem, aby jego życie stało się całością...

Przedostatnim.

Z Percym u boku odwiedzał swoich dzierżawców. Kiedy popołudnie miało się ku końcowi, wrócili do dworu. Jack był zadowolony ze stanu rzeczy. Poślawszy Percy'ego, żeby zgłosił się do Griggsa, zabrał Challengera do stajni, miło spędził pół godziny na pogawędce z Crawlerem, który także apróbował Percy'ego, mimo że był niewyrobionym młokosem z miasta. Na tym froncie wszystko rozwijało się jak należy.

Wracając do domu przez drzwi od strony ogrodu Jack wszedł do frontowego holu, stukając obcasami po kamiennych płytach. Zatrzymał się, gdyż nagle zaalarmowały go zmysły. Podniósł wzrok - i zobaczył na półpiętrze Clarice. Właśnie schodziła na dół, usłyszała jego kroki i przystanąła. Ich spojrzenia spotkały się, a potem spokojnie majestatycznie ruszyła dalej.

Jack patrzył na subtelne kołysanie jej bioder pod delikatnym muślinem sukni o barwie ciemnego burgunda, która podkreślała krągłości jej pełnych piersi, długie linie ud przelotnie rysujące się, przy każdym kroku. Upajał się jej królewską pewnością siebie, pogodą jej misternych rysów, ciemnymi włosami zwiniętymi w lśniącą koronę, na szczycie głowy.

Czuł w kościach jej siłę, tę głęboką studnię spokoju, pierwotną moc, która wołała do niego, chwytiała go, zakotwiczała. Oto czym był ostatni kawałek jego układanki.

Musiał tylko go sobie zapewnić, wpasować ją w swój obraz, by obraz stał się cały.

Kompletny.

Sięgnął po jej dłoń, kiedy się zbliżyła. Oddała mu ją, niewątpliwie spodziewając się, że się nad nią pochyli. Zamiast tego zamknął swoją dłoń wokół jej dłoni.

- Chodź ze mną.

Odwrócił się i skierował do biblioteki, maszerując niespiesznie, ale zdecydowanie. Pociągnął ją za sobą. Zaskoczona, pomyślała o oporze.

Uchylił drzwi biblioteki, wciągnął ją do środka chwycił krawędź drzwi jedną ręką i zatrzaskał je. Okręcił ją tak, że stanęła plecami do drzwi, i podszedł bliżej. Zmuszał ją do cofania się, aż przyłgnęła do drzwi, a potem podszedł jeszcze bliżej, aż bujne krągłości jej piersi, brzuch, biodra i uda zostały unieruchomione jego ciałem.

Doznanie to wzbudziło w nim falę zaborczego pożądania, opanował ją, lecz jej nie ukrywał, kiedy spoglądał w jej oczy, coraz ciemniejsze, rozszerzające się nie tyle ze zdumienia, ile raczej z ciekawości, chcąc po prostu wiedzieć, co on zamyśla. Nawet najmniejszy cień lęku nie kładł się chmurą na tych wspaniałych oczach.

Wstrzymał oddech, pochylił głowę, odszukał jej wargi i pozwolił jej poczuć, czego chce.

Jej.

Nie w żaden cywilizowany sposób, lecz w każdy możliwy do wyobrażenia.

Nie był ani trochę zaskoczony, kiedy wyszła naprzeciw jego inwazji, stawiając własne wyzwanie, nie wiedziała, że jej akceptacja jego niepohamowanego żaru, tak jakby on po prostu jej się należał, sama w sobie była potężnym wyzwaniem. Mogła się nauczyć technik zbliżenia z uczonych ksiązek, lecz nie nauczyła się tych niuansów.

Pod tym względem przy niej nawet on wciąż się uczył.

Jej ramiona były uwięzione pomiędzy nimi, jej dłonie

chwytały jego boki, gdy pragnienia rozgorzały i zapłonął pocałunek, puściła go, przesunęła ręce w górę, po jego piersi, po barkach, a potem sięgnęła wyżej i wbiła palce w jego włosy, przytrzymując go przy sobie.

Nigdzie się nie wybierał.

Pocałunek szalał, połączyła ich zmysłowa bitwa...

Kroki w holu - przechodzący lokaj - wyrwały ich z mocy zakłęcia, kazały im obojgu zawahać się, zastanowić, oceniać.

Clarice odepchnęła się, przerwała pocałunek. Jej oddech był szybki i płytki, spod nagle ciężkich powiek spojrziała w jego oczy, zielone i złote, zabarwione pożądaniem.

Pożądaniem, które rozbudziło w niej jej własne pragnienie. On jej pragnął, tutaj, teraz, i ona pragnęła jego.

- Jak? - Oblizwała wyschnięte wargi, przytrzymała jego spojrzenie, pozwoliła mu dostrzec, że mówi poważnie.

Wpatrywał się w jej oczy, a potem sięgnął w bok. Usłyszała głuchy trzask, zamknął drzwi na klucz.

Jego dłoń powróciła do jej boku, potem prześlizgnęła się w dół, na udo. Nie spuszczał z niej oczu.

- O tak.

Palce zagięły się, spódnice podjechały do góry. Wysoko, jeszcze wyżej. Podciągnął je do bioder, a potem wsunął pod nie dłoń, sięgając w dół, pomiędzy ich ciała, odnalazł jej czułe miejsce.

Nie pocałował jej znowu, tylko obserwował, pozostawiając ją w pełni świadomą, całkowicie nierozproszoną przez fizyczne doznania. Aż do szpiku kości świadomą intymności. Poruszył dłonią między jej udami i wsunął w nią jeden mocny palec.

Jej płuca ścisnęły się, okrzyk uwiązał jej w gardle. Zacisnęła ręce na jego barkach, a on naciskał głębiej i mocniej.

Odsunął się odrobinę, poczuła, jak jego druga dłoń wkrada się między nich, i zdała sobie sprawę, że Jack rozpina sobie guziki u spodni. A potem uniósł ją w silnych ramionach, zarazem opierając o drzwi. Rozchylił jej uda i stanął między nimi.

Westchnęła głośno i chwyciła go za barki. Objął ją, wciskając się między jej uda, poczuła, jak szuka wejścia, znajduje je i zanurza się. Tylko odrobinę.

I nagle runął w nią mocno.

Aż poczuła go wysoko, tuż przy sercu. Później, powoli i z rozmysłem, wycofał się i wypełniał ją powoli, cał po calu, jeszcze raz.

I powtarzał tę zmysłową torturę, która wydobyła z jej ust westchnienia i - nazbyt prędko - delikatny jęk. Zaciskając się wokół niego, zamykając nogi wokół jego bioder, starała się go nakłonić do pośpiechu, lecz on utrzymywał wolny, celowy rytm, który rozniecał jej zmysły, który wysyłał przepływające przez nią fale mrocznej, zakazanej rozkoszy, który miarowo, nieubłaganie, a jednak niespiesznie budował w nich znajomy płomień, lecz nie pozwalał mu się wypalić.

Nie całował jej, oboje byli prawie ubrani. A jednak stali przyciśnięci do drzwi w jego bibliotece, połączeni, i nie było niczego, co odwracałoby jej uwagę od czystej, niezmaconej cielesności tej chwili, nie tylko potężnego pragnienia, które nimi kierowało, ale realnego odczuwania jego ciała wewnątrz.

Tego, że ją brał, wypełniał, posiadał.

Rozpadła się na cząstki ze zdławionym okrzykiem, w implodującej jasności, przyjemności otulającej, pochłaniającej, buzującej w żyłach, uwalniającej.

Jego ciało było zbyt długo trzymane w ryzach. Runął w nią potężnie, raz, dwa, trzy razy, a potem dołączył do niej ze stłumionym jękiem. Poczul, jak jego nasienie głęboko się w niej uwalnia, poczul w najgłębszych zakamarkach duszy, że jest w domu.

- Spotkamy się dziś w nocy w pawilonie.

Odpoczywali przez pół godziny, zdołali nawet wypić dzbanek herbaty i zjeść talerz ciasteczek. Jack nie miał ochoty patrzeć, jak Clarice wychodzi, a przynajmniej nie tak prędko po tym, jak oboje śniali się na nogach.

Ale ona, jak zwykle, zniosła to dobrze. Odprowadził ją do

frontowych drzwi, stali teraz ramię przy ramieniu na schodach.

Słyszając jego słowa, obrzuciła go jednym ze swoich bezpośrednich, nieco karcących spojrzeń.

- Jesteś zachłanny.

Odparł, nawet nie mrugnawszy okiem:

- A ty nie?

Mruknęła pod nosem i spojrzała przed siebie. Po chwili ustąpiła.

- Dobrze. - Zeszła na dół. - Ale mogę się spóźnić.

Nie obejrzała się, lecz pomachała mu ręką na pożegnanie.

Jack uśmiechnął się szeroko i rozkoszował się jej widokiem oraz świadomością, że Clarice nie będzie w pawilonie ani minuty później niż zwykle. Po tym interludium w bibliotece mógłby na to postawić własne życie.

Pochyłość podjazdu ukryła ją przed jego wzrokiem. Jack wszedł do domu, a jego uśmiech zbladł, gdy sobie uświadomił, jak prawdziwa była jego wcześniejsza myśl. Rozgrywka z Clarice toczyła się o jego życie. Przystanął w holu, instynktownie szukając sposobów, jak przechylić szalę na swoją korzyść, bo nie była to gra, w której dopuszczałby jakąkolwiek możliwość spasowania. A skoro tak, to -jak zawsze -jego najlepszą bronią będzie wiedza.

Spoglądając na schody, zadumał się, a potem udał się do pokoju Anthony'ego.

Jego krnąbrny gość robił się coraz bardziej niespokojny, lecz Connimore oznajmiła, że jeżeli życzy sobie zasiadać przy stole w jadalni podczas obiadu, musi odpoczywać aż do pierwszego gongu. W konsekwencji Anthony cieszył się z każdego zajęcia, nawet jeśli wiązało się z dyskutowaniem o jego rodzinie.

- Nie przebywałem wiele w domu, kiedy to się wydarzyło. Byłem w szkole, i nawet kiedy przyjeżdżałem, tak naprawdę nigdy nie rozmawiano na ten temat. Tylko jakaś uwaga od czasu do czasu ze strony kogoś ze starszyny, sam wiesz, jak to jest.

Jack przytaknął.

- Jak opisałbyś opinię twoich rodziców o Clarice?

Anthony wykrzywił twarz.

- Powiedziałbym, że chociaż wtedy byli niepomiernie wstrząśnięci, to było piekielnie dawno, i na miłość boską, to nie tak, jakby ona popełniła jakąś zbrodnię. Było mnóstwo skandali znacznie gorszych niż to, że Clarice odmówiła poślubienia tego ofermy Emswortha. Wiem, że Melton, jej ojciec, zrobił z tego wielką aferę, ale przynajmniej w mojej gałęzi rodziny nigdy nie wyczułem żadnego zgorszenia, które utrudniłoby Clarice powrót do miasta.

- A inni krewni?

Anthony zmarszczył czoło.

- Słyszałem, że kiedy to się wydarzyło, sytuacja była straszna. Starszyzna w większości była kompletnie wstrząśnięta. Siostry Meltona, hrabina Camleigh i lady Bentwood, były wściekłe. Ciotki i wujowie ze strony matki Clarice także szaleli. Możesz sobie wyobrazić, co powtarzali: że zszargała nazwisko rodziny, że obraziła pamięć matki, i tak dalej. - Anthony wyglądał na przygnębionego. - Same okropności.

Jack odczekał chwilę, po czym go zachęcił:

- Ale...?

- Ale, chociaż nie mogę mówić za najbliższą rodzinę, to o ile wiem, wśród dalszej rodziny cała sprawa rozwiązała się dawno temu. Ja naprawdę nie sądzę, żeby starszyzna z dalszej rodziny odcięła się od Clarice, czy postarałaby się odciąć od niej, gdyby teraz wróciła do miasta. - Uśmiechnął się. - Wiem, że młodsze pokolenie by tego nie zrobiło.

Jack uśmiechnął się szeroko.

- Rozumiem, że Teddy i ty również nie postrzegacie jej w niekorzystnym świetle.

- Dobry Boże, nie! - Anthony spojrzał mu prosto w oczy. - Gdybyś kiedykolwiek poznał Meltona, jej ojca, zrozumiałbyś. Każdy, kto mu się przeciwstawił i odszedł niepokonany... Cóż, to wyczyn, który z miejsca zapewnia status bohatera, a Clarice jest kobietą, więc tym bardziej.

Jack wpatrywał się badawczo w szczerą twarz Anthony'ego.

- A więc ze strony dalszej rodziny powrót Clarice do miasta nie nastęca żadnych trudności.

Anthony przytaknął.

- Jedyną grupą osób, co do których nie mam pewności, są jej najbliżsi krewni. Ostatnimi czasy trzymają się na uboczu, głównie dzięki Moirze, macosze Clarice. Owszem, ojciec Clarice nie żyje, lecz Moira nadal twardo rządzi jako markiza. Obecny Melton, brat Clarice, pozwala Moirze wpływać na wszystko wedle jej zachcianek. Cóż, nie jest jeszcze żonaty, więc Moira jest jego markizą i najstarszą damą w domu.

Jack zastanowił się. Po chwili zapytał:

- A zatem nie możesz mi powiedzieć, jak zareaguje najbliższa rodzina Clarice, Melton, jej pozostali bracia i przyrodnie rodzeństwo, jeżeli ona na nowo pojawi się w mieście.

Anthony skrzywił się i pokręcił głową.

- Być może Teddy... ale nie. On widuje ich jeszcze rzadziej niż ja. - Zmarszczył czoło. Upłynęła chwila, nim powiedział: - Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby ci opowiedzieć, jak jej najbliższa rodzina teraz zapatruje się na Clarice. Jej ojciec zmarł dwa lata temu, a dopóki żył, nikt nie śmiał wspominać jej imienia w jego domu albo w jego obecności. Tyle wiem.

- Ale jakie teraz są prawdziwe uczucia, tego nie potrafisz powiedzieć?

- Poza Moirą. - Anthony napotkał wzrok Jacka. - Moira zawsze była zazdrosna o Clarice. Można by rzec, że nienawidzi Clarice, z pewnością tak postępuje, lecz jest to nienawiść powodowana zazdrością.

- Zazdrością słabego wobec silnego?

- Właśnie. Nigdy nie słyszałem, żeby Clarice zrobiła cokolwiek, aby zasłużyć sobie na nienawiść Moiry.

- Poza tym, że Clarice to Clarice?

Anthony się uśmiechnął.

- Poza tym. - Po chwili żałośnie wyznał: - Ona nie pobiła

mnie w szachach. Ona mnie zmiotła z szachownicy, i nawet nie jestem pewien, czy aż tak się przykładała.

Jack uśmiechnął się i wstał.

- Ostrzegałem cię. - Pożegnał się i odwrócił do drzwi. -
Dziękuję za informacje. Zobaczymy się przy obiedzie.

Skierował się na dół i wrócił do biblioteki. Zapadł za biurkiem, opierając się wygodnie, utkwił wzrok w odległej ścianie i w myślach dokonał przeglądu wszystkiego, co opowiedział mu Anthony, budując sobie obraz tego, czego może się spodziewać, gdy wraz z Clarice pojedą do Londynu.

Nim rozległ się gong wzywający na obiad i Jack udał się do drzwi, miał już lepsze wyobrażenie na temat tego, z czym ona - oni razem - będą mieli do czynienia.

Luki, puste miejsca, nadal przesłaniały kluczowe obszary, lecz Jack potrafił dostrzec dosyć, żeby pojmować i doceniać odwagę Clarice, gdy bez zawahania nalegała, żeby dla dobra Jamesa pojechać do Londynu.

Mimo, że wiedziała, iż będzie to oznaczało zmierzenie się z upiorami przeszłości. Mimo że powrót niemal na pewno będzie oznaczał, iż będzie miała do czynienia z kobietą, która jej nienawidzi i która najprawdopodobniej nadal posiada środki, by głęboko ją zranić.

* * *

Znacznie później tej samej nocy Clarice stała w oknie pawilonu, spoglądając na senną okolicę. Jack, rozciągnięty na leżance, zaspokojony w każdym calu, przyglądał się swojej kochance. Nie była zadumana - rzadko oddawała się zadumie, ona obmyślała, planowała.

Odwróciła się i spojrzała na niego poprzez gęsty mrok. Po chwili spytała:

- Jak sądzisz, kiedy powinniśmy wyjechać do Londynu?

Zastanowił się, po czym spokojnie odparł:

- Pojutrze.

Wpatrywała się w niego, nieporuszona, przez, długą chwilę, po czym odsunęła się od okna. Boso, naga, podeszła bliżej, zatrzymała się przy leżance. W jej oczach widział niezadowolenie.

- Powiedziałam „my”, słyszałeś.

To nie było pytanie, więc nie odpowiedział, leżał tylko, spoglądając na nią - na jej smukłe, krągłe, bujne ciało.

Spojrzenie zamieniło się w chmurną minę.

- Nie zamierzasz się spierać?

Podnosząc wzrok na jej twarz, wygodniej ułożył głowę na leżance.

- Czy to ma jakiś sens?

Przypatrywała mu się, uśmiech stopniowo zastąpił srogą minę.

- Dziwny z siebie mężczyzna, Jacku Warnefflecie.

Jej głos przeszedł w ten intymny ton, który zawsze niezawodnie go pobudzał, który przywoływał na myśl zmysłowy, bardziej gardłowy pomruk, działający na jego libido niczym naostrzona ostroga.

Nie odpowiedział, tylko wyciągnął do niej rękę.

Przyciągnął ją w objęcia i przestawił myśli na podbój, mimo że znał prawdę. Był uzależniony. Od jej smaku, od jej zapachu, od jej ciepła.

Chciał mieć to wszystko po kres swoich dni.

* * *

Dwa wieczory później Jack pomagał Clarice wysiąść z podróżnego powozu Jamesa.

- Mówiłam ci, że zwykle zatrzymuję się „Pod Koroną i Kotwicą” w Reading.

- A ja zwykle zatrzymuję się „Pod Pelikanem”, także w Reading. - Jack, niewzruszony, rozejrzał się wokół.

Clarice podniosła wzrok na szyld kołyszący się nad bocznymi drzwiami zajazdu.

Widniał na nim schludny napis: „Pod Panną i Mieczem”.

Reading było o pół godziny drogi za nimi. Nadrobili drogi jadąc z Avening i Jack zaproponował, żeby jechali nadal, tylko po to, by zatrzymać się odrobinę dalej, w małej mieścinie Twyford.

Ujmując ją pod ramię, skierował w stronę drzwi zajazdu.

- Wydaje mi się, że w tym miejscu będzie nam bardziej wygodnie. - Dostrzegł jej spojrzenie i pytająco uniesioną brew.

Zrozumiała.

- Och. - Popatrzyła przed siebie i pozwoliła mu wprowadzić się po schodach.

- W rzeczy samej. - Jego głos był przyciszony, tak by tylko ona go usłyszała. - Im mniej ludzi nas widzi, tym mniejsza szansa, że zostaniemy rozpoznani.

Zapomniała, że wedle standardów wyższych sfer niezamężna kobieta o jej pozycji, podróżująca sama z dżentelmenem byłaby pożywką dla skandalu. Naprawdę nie przejmowała się porzuceniem życia śmietanki towarzyskiej, lecz wzięwszy pod uwagę jej zamiar zaapelowania do rodziny, unikanie w tym momencie dalszych skandali bezsprzecznie było roztropne.

Niebywanie w towarzystwie sprawiło, że jej maniery „zardzewiały”, zanotowała sobie w pamięci, by zachowywać większą ostrożność.

Stajenni wyprzęgali konie. Dwaj chłopcy pospieszyli, żeby wnieść bagaże. Właściciel zajazdu, rozpromieniony, otworzył drzwi na oścież i nisko się uklonił. Clarice wkroczyła do środka, obróciła się żeby odezwać się do oberżysty - i usłyszała Jacka który z wdziękiem i swobodą zwrócił się do mężczyzny:

- Jestem Warnefleet. Moja żona i ja chcemy wynająć najlepszy pokój.

Udało jej się powstrzymać przed rozdziawieniem ust. Jack nawet nie rzucił okiem w jej strony, tylko nie spuszczał spojrzenia z oberżysty.

- Oczywiście, milordzie. - Niski, pulchny i niezaprzeczalnie sympatyczny oberżysta uklonił się im obojgu. -

Milady. Nasz najlepszy pokój jest zawsze przygotowany i przewietrzony, a moja żona z przyjemnością poda państwu obiad. Mamy prywatny salonik, jeśli sobie państwo życzą.

Clarice pomyślała o braku jakiegokolwiek obrączki na swojej dłoni, ale przypomniała sobie, że ma na sobie rękawiczki. Skinęła głową i odzyskała głos.

- Wybornie. Pragnę się odświeżyć po trudach podróży. Będziemy gotowi do obiadu za godzinę.

- Doskonale! - Właściciel zajazdu wskazał ręką wypolerowane schody. - Państwo pozwolą tędy.

Zajazd stał przy bocznej ulicy w pobliżu trasy do Londynu, chociaż wielki pokój, do którego wprowadził ich oberżysta, znajdował się nad frontowym wejściem, a szerokie okna wychodziły na brukowaną ulicę, dalej były tylko drzewa i pola, i pokój był cichy.

Był wygodnie umeblowany, z toaletką, serwantką, umywalką, szafą i wielkim łóżkiem z czterema kolumnkami.

Clarice przepłynęła przez pokój i odłożyła podróżną torebkę na toaletkę. Dzbanek i miednica były nieskazitelnie czyste, tak jak ręczniki, porządnie poskładane na serwantce. Rozwiązując wstążki przytrzymujące kapelusz, Clarice odwróciła się do oberżysty.

- Znakomicie. Gdyby mógł pan kazać, by przysłano na górę trochę gorącej wody?

- Oczywiście, milady. - Oberżysta uklonił się nisko. - W tej chwili! - Odwrócił się do Jacka.

- Obiad w prywatnym saloniku za godzinę.

- Oczywiście, sir. Każę natychmiast wnieść państwa bagaże. - Uradowany oberżysta wycofał się za drzwi, zamykając je za sobą.

Clarice uchwyciła wzrok Jacka.

- Żona? - odezwała się przyciszonym głosem.

Wzruszył ramionami z pełną wdzięku elegancją, kiedy szedł przez pokój.

- Masz lepszy pomysł?

Nie miała żadnego. Odkładając kapelusz na toaletkę, usiadła przed lustrem, żeby poutykać niesforne kosmyki włosów, które wymknęły się z koka w ciągu długiego dnia.

Pukanie do drzwi poprzedziło chłopców z jej kufrem podróżnym i z wielką torbą Jacka. Jack ich wpuścił, a potem dokładnie zamknął za nimi drzwi. Zrzuciwszy z siebie palto, upuścił je na krzesło stojące pod ścianą, podszedł do fotela ustawionego pod kątem przy oknie i z westchnieniem zapadł się w niego, wyciągając przed siebie długie nogi w wysokich butach.

Clarice podeszła do kufra, odpięła paski i otworzyła wieko.

- Nie przebieramy się do obiadu.

Obrzuciła go karcącym spojrzeniem.

- Oczywiście, że nie. Nikt nie przebiera się, do obiadu w zajeździe. Ale potrzebuję swoich szczotek i paru innych rzeczy.

Wcześniej zawinęła sobie szczotki i grzebień w nocną koszulę, wyciągnęła zawiniątko i ułożyła je na toaletce.

- Nie ma też sensu przebierać się do spania.

Spojrzała na swoją koszulę nocną.

- Być może.

Pukanie do drzwi oznajmiło przybycie pokojówki z dzbanem wrzątku. Clarice uwolniła ją od niego i zapewniła, że nie potrzebuje żadnej asysty, ani teraz, ani później.

Zamknęła drzwi biodrem i zaniósła dzban do umywalki. Ignorując postać leniwie rozciągniętą w fotelu, napełniła wodą miednicę, obmyła twarz i dłonie, i wytarła je do sucha. I poczuła się znacznie lepiej.

Opuszczając ręcznik, spojrzała na Jacka. Miał zamknięte oczy. Wydawało się, że zasnął. Jego pierś unosiła się i opadała w powolnym, regularnym rytmie, a dłonie spoczywały swobodnie na szerokich poręczach fotela.

Zerknęła na łóżko. Pokryta muslinem kołdra leżała na świeżych, białych prześcieradłach. Poduszki były krągłe i nabite. Zasłony przy łóżku, zebrane przy każdej kolumience szeroką wstążką, pasowały do kołdry, wiedziała, że kiedy się je

spuści, niczym kokon otulą łóżko wiosennymi obłokami maleńkich kwiatuszków.

Zupełnie jak kwiaty jabłoni w sadach Avening.

Myśl o wturlaniu się w tę miękką przestrzeń, nago, z Jackiem, wypełniła jej umysł bez reszty, obraz, który sobie stworzyła, odebrał jej dech.

- Po prostu pomyśl o tym jak o wyjątkowo szerokiej leżance.

Zawahała się na ułamek sekundy, a potem, podnosząc podbródek, podeszła do łóżka. Szeleszcząc spódnicami, obróciła się i usiadła na jego brzegu.

- Co zrobimy, kiedy dojedziemy do Londynu? Co powinniśmy zrobić najpierw?

Zauważył jej buntowniczą pozę. Przewidział, że będą musieli dzielić pokój, udawać, że są mężem i żoną.

- Najpierw powinnaś wyjaśnić sytuację swojej rodzinie i zobaczyć, jakiego wsparcia są gotowi udzielić, jakie powiązania i kontakty mogą wykorzystać. Ja tymczasem uruchomię własne i sprawdzę, czego zdołam się dowiedzieć, co wiadomo na zewnątrz Kościoła. - Zawahał się, po czym dodał: - Kilka dni temu wysłałem list do kogoś, kto powinien wiedzieć, co się dzieje.

Przyglądała mu się.

- Do człowieka, dla którego niegdyś pracowałeś, owego „pewnego dżentelmena w Whitehall”?

Przypomniał sobie, że była obecna, kiedy James użył tego określenia - ich prywatnego kryptonimu dla Dalziela.

- Tak. Przez lata dowodził tajnymi operacjami armii Jego Królewskiej Mości na obcej ziemi. Nadal pełni tę funkcję, lecz teraz raczej zamykając niezakończone sprawy.

- Niezakończone sprawy, takie jak na przykład nieujawnieni zdrajcy?

Usłyszał w jej głosie narastający niepokój.

- Opowiedziałem mu o Jamesie, ponieważ istnieje pewien fakt, który bardziej niż cokolwiek innego dowodzi, że James nie

jest zdrajcą. Fakt, którego mój były dowódca nie przeoczy.

Spojrzała na niego pytająco. Uśmiechnęła się.

- Ja. Sam fakt, że jestem tutaj, żywy, dowodzi bez cienia wątpliwości, że James nie jest zdrajcą.

- Wiedział, czym się zajmujesz?

- Nie tylko, czym się zajmuję, lecz gdzie przebywam. I założyłbym się, że mój były dowódca wiedział, iż James posiada te informacje. Bardzo niewiele mu umyka.

Zmarszczyła czoło.

- Ale to przecież znaczy, że Jamesowi nie grozi prawdziwe niebezpieczeństwo?

- Nie skazanie za zdradę, co to, to nie. Ale ani ty, twoja rodzina, ani ja, ani mój były dowódca, a tym bardziej rząd, nie chcielibyśmy, żeby ta sprawa trafiła przed sąd cywilny. Obecnie zarzuty przeciwko Jamesowi są tajne, wyłącznie w obrębie Kościoła. Jeżeli zostaną rozpatrzone i oddalone na tym forum, wszystko będzie dobrze. Ale niestety, skoro sprawa dotyczy Kościoła, świeckie władze nie mogą po prostu interweniować i jej anulować. Wszystko, co możemy zrobić, to dostarczyć informacji i dowodów obrońcy Jamesa. Jednakże...

Przerwał, wiedziony nagłą potrzebą zachowania najniebezpieczniejszych aspektów sprawy w tajemnicy.

Za późno. Lekko marszcząc brwi, przypatrywała mu się, aż wreszcie powiedziała:

- Wiemy, że James nie jest winny, co oznacza, że ktoś zadaje sobie немало trudu, żeby sfabrykować te zarzuty. Dlaczego? Musi istnieć jakaś przyczyna.

Jack zrobił kwaśną minę.

- To właśnie, jak się domyślam, najbardziej zainteresuje mojego byłego dowódcę.

Pukanie do drzwi oznaczało zaproszenie na obiad.

- Ach, tak. - Clarice zwolniła pokojówkę skinieniem ręki. - Zejdziemy za moment.

Zaintrygowany Jack zamknął drzwi. Patrzył, jak Clarice podchodzi do otwartego kufra, pochyliwszy się nad nim,

poszperała pod warstwami ubrań, po czym podniosła się ze szkatułką na biżuterię w ręku. Ustawiła ją na toaletce i otworzyła. Jack podszedł bliżej, mrużąc oczy od poblasku odsłoniętych klejnotów.

- Ach, tutaj jest - zawołała.

Wyjęła prosty złoty pierścionek z trzema małymi szmaragdami. Wystawiła rękę i nasunęła klejnot na serdeczny palec lewej dłoni. Odwróciwszy go szmaragdami do dołu, wyprostowała palec. Przyjrzała się pierścionkowi, teraz udającemu ślubną obrączkę.

- To powinno wystarczyć.

Zamknęła szkatułkę i odłożyła ją do kufra. Wyprostowała się i utkwiała w Jacku wyniosłe spojrzenie.

- Jeżeli ma się zamiar przekonująco prowadzić szaradę, należy myśleć o takich drobiazgach.

Podał jej ramię. Przyjęła ofertę. Poprowadził ja do drzwi i szepnął, kiedy przechodziła:

- Będę o tym pamiętał następnym razem, kiedy będziemy odgrywali męża i żonę.

Obiad był przyjemny, jedzenie znakomite, wino bardziej niż znośne. Nieskrepowana i bezpieczna w małym prywatnym saloniku, Clarice kierowała rozmową, zdecydowana nie dawać Jackowi więcej okazji do wprawiania jej w zakłopotanie.

Następnym razem, kiedy będą odgrywali męża i żonę, dobre sobie!

Zajęli się omawianiem różnych kwestii, które odkryli przeglądając informacje, jakich dostarczył im James. Większą część podróży spędzili na porównywaniu jednej listy z drugą, łączeniu dat, miejsc i osób, z którymi rozmawiał James. Kusiło ich, żeby spekulować o tym, na jakich właściwie faktach opierały się zarzuty.

- Tak naprawdę nie da się tego stwierdzić, dopóki nie zobaczymy szczegółów przedstawionych przez biskupa.

Clarice musiała przyznać, że Jack ma słuszość. Nadal trudno jednak było tak po prostu czekać i nie snuć żadnych

planów.

- Bowiem dzięki cierpliwości waszej ocalicie w ciszy dusze.

Łypnęła na niego ponad stołem, napotkała jego rozbawione, lecz pełne zrozumienia spojrzenie, i mruknęła pod nosem.

Weszła pokojówka, żeby pozbierać talerze, a za nią oberżysta z butelką porto. Clarice skorzystała z okazji, by dokonać strategicznego odwrotu, odsuwając krzesło, skinęła głową oberżystcie.

- Proszę przekazać żonie moje wyrazy uznania. Posiłek był znakomity.

Wstając, spojrzała na Jacka i przypomniała sobie, że rzekomo są małżeństwem. Uśmiechnęła się lekko.

- Zostawię cię z twoim porto.

Ku jej zaskoczeniu zmienił zdanie i także się podniósł. Wskazał ręką na drzwi.

- Wypiję kieliszek przy barze.

Oberżysta rozpromienił się i żwawo odszedł. Clarice skierowała się do drzwi, Jack poszedł za nią.

- Niedługo przyjdę na górę. Nie zamykaj drzwi na klucz. Jeden z tych drobiazgow, o których należy pamiętać.

Odwróciła się w stronę schodów, i - jak rzadko w swoim życiu - oddaliła się bez lodowatego spojrzenia na odchodne.

Niekiedy dyskrecja bywa roztropniejsza.

Zwłaszcza że Jack stał w holu i patrzył za nią, dopóki górna galeria nie zakryła jej przed jego wzrokiem. Chociaż Clarice nie mogła go dłużej widzieć, mogłaby postawić swoje perły na to, że stał tam, nasłuchując, póki nie zamknęła drzwi do ich pokoju. Dopiero wtedy skierował się do baru.

Podjeżdżała, że zamierzał się dowiedzieć, kto leszcze zatrzymywał się tego wieczoru w oberży, czy był tam ktoś, czyich oczu muszą unikać, wyjeżdżając rano.

Tak zrobiłaby na jego miejscu.

Gdy stała przed toaletką i rozpuszczała długie włosy, przemknęła jej przez głowę myśl, że ufa mu tak samo, jak

ufałaby sobie samej.

Z pewnością to dziwne. Zdecydowanie nie zdarzyło się jej to z nikim innym.

I w osobliwy sposób sprawiło, że była bardziej zdeterminowana, by rozebrać się i znaleźć w łóżku, zanim on przyjdzie na górę. Niedorzeczne poczucie wstydu, wzięwszy pod uwagę wszystko to, co zaszło między nimi w pawilonie. A jednak było coś zupełnie innego w rozbieraniu się przed nim w jasno oświetlonym pokoju.

Zastanawiała się nad tym, szybko szcztokując włosy. Rzadko bywała nielogiczna, dlaczego więc teraz, w tej sprawie...?

Odpowiedź nasunęła się jej, kiedy schludnie układała suknię na kufrze, a potem sięgała po rąbek halki. To dająca się odczuć domowa atmosfera, która nigdy nie będzie dotyczyć ich dwojga.

Zamyśliwszy się nad tym, ściągnęła halkę, upuściła ją na suknię, sięgnęła po nocną koszulę. Zawahała się.

I naga podeszła do łóżka.

Rozdział 11

Jack wspinał się po schodach, gratulując sobie w duchu wyboru tego miejsca „Pod Panną i Mieczem”. Nie tylko zajazd był wygodny, lecz z taką lokalizacją, od strony Londynu przy dużym węźle komunikacyjnym w Reading, był na ogół omijany przez wytworne towarzystwo. Tej nocy nie zatrzymali się tu żadni przedstawiciele arystokracji. Paru zamożnych kupców, przedsiębiorcy i ich żony, klientela, która bez wątpienia zaliczała się tu do najlepszej, lecz nikt z tych ludzi nie mógł rozpoznać ani Clarice, ani jego.

Otworzył drzwi do ich pokoju pograżonego w ciemności. Rozejrzał się, Clarice pogasiła wszystkie świece i zostawiła zaciągnięte zasłony na oknach. Wszystko, co mógł zobaczyć, to pagórek pod nakryciami na łóżku od strony okna. Rozwiązała zasłony przy łóżku, lecz nie zaciągnęła ich szczelnie. Jack

zamknął drzwi, odcinając resztkę światła z korytarza, cicho podszedł do okna i odsunął zasłony.

Blade światło księżycy wlało się przez okno i teraz mógł coś widzieć. Usiadł w fotelu i ściągnął buły, po czym bez pośpiechu rozebrał się, wieszając surdut w szafie i przewieszając koszulę i kamizelkę przez oparcie krzesła.

W końcu, nagi, podszedł do łóżka, podniósł nakrycia i wsunął się pod nie. W chwili, gdy jego ciężar spoczął na materacu, Clarice mimowolnie sturlała się w jego stronę.

Nie spodziewał się tego, ona także nie.

Stłumiła pisk, a on roztropnie zdusił chichot, pochwyciwszy ją, sprawił, że znaleźli się twarzą w twarz.

Spojrzała mu w oczy. W tej samej chwili zauważył, że jest naga, tak jak i on. Czuł jej bujne krągłości.

Sięgnęła po niego, kiedy zamknął ją w ramionach. Nie było jasne, kto kogo pocałował pierwszy.

To, co nastąpiło potem, było, jak zwykle, zmaganiem się o palmę pierwszeństwa. Ostatecznie Clarice poddała się w pocałunku, pozwoliła mu penetrować usta tak, jak sobie tego życzył, jak tego pragnął. Ale nawet dostosowując się do niego, zarazem go odpychała.

Leżąc na plecach, obserwował ją, jak unosi się nad nim w ciemności zroszonej światłem księżycu, patrzył, jak się prostuje, jak się wygina, kiedy powoli, zwinnie, z pełną kontrolą nasuwa się na niego, gdy chowa go w upajającym żarze własnego ciała.

A potem to ona narzuciła rytm, niespiesznie, celowo prowadząc zarówno siebie, jak i jego nieubłaganie coraz dalej, mocniej, szybciej, aż szczyt spełnienia przywołał ich ku sobie.

Jack chwycił ją za biodra i przeturlał, przewracając ją, a potem więżąc pod sobą. Ułożył się między jej udami i rozchylił je bardziej, nakłaniając ją, by oplotła jego nogi swoimi. Wciskając ją głęboko w miękki materac, pchnął mocno.

Clarice nie była w stanie myśleć, mogła tylko reagować i cieszyć się chwilą. Spijała doznania - znajome, kojące, wyzwalające osłabienie, przenikający ich żar, zachwycający

plomień, kiedy ją brał w po siadanie, kiedy tańczyli zamknięci w świetle namiętności i pragnienia.

Gożącej namiętności, dzikiego pragnienia.

Na długą chwilę uczyli się szczytu, uwięziem i pochłonięci przez jasność, a potem stracili grunt pod nogami i spadli w błogosławione zapomnienie.

Opadł na nią. Czując, że ma nogi jak z waty, trzymała go, powoli głaszcząc mięśnie na jego plecach. Słuchała, jak jego serce łomocze, a później zwalnia. Odczuwała w sobie jego tętno, czuła swoje własne w skórze, w koniuszkach palców, coraz spokojniejsze.

W końcu przetoczył się na swoje miejsce. Wsunął pod nią rękę i przyciągnął ją do siebie.

Bezwładna, pozwoliła mu na to, a kładąc głowę na jego piersi, szepnęła:

- To nie tak miało być.

Zamierzała zachować panowanie, wykorzystać swoje ciało, żeby go zdominować, żeby patrzeć, jak sama go zaspokaja. Wciąż była zaintrygowana, zafascynowana faktem, że to potrafi.

Odpnęła się, zatapiając się głębiej w łóżko.

- Nie zawsze dostaje się to, czego się chce.

Jej powieki były zbyt ciężkie, by mogła je podnieść i jakoś zareagować na jego ton, sugerujący, że zrozumiał jej zamiar, lecz nie miał ochoty jej ulegać.

Gdyby miała siłę, zapłaciłby za taką arogancję, lecz przyjemność rozlewała się w jej żyłach jak olów.

Kiedyś, innym razem.

W tej chwili najważniejszą kwestią zaprzatającą jej umysł było to, jak kontynuować ich romans w Londynie. O tym właśnie rozmyślała przez jakiś czas, czekając na niego w ciemności. Choć było to sprzeczne z jej oczekiwaniami, nieśpiesznie jej było do zakończenia ich związku. Tyle jeszcze miała do poznania, a on tak wiele mógł ją nauczyć.

Niech sobie będzie aroganckim lordem - z pewnością był pożyteczny.

Oparła się plecami o jego ramię. Ciężki kosmyk włosów - w kolorze jasnego brązu przetykanego odcieniem blond - opadł mu swobodnie na czoło. Sięgnęła w górę i odgarnęła je na bok, akurat kiedy odwracał głowę, by na nią popatrzeć. Grzbiet jej dłoni dotknął mu skroni.

Nawet w słabym świetle dostrzegła grymas na twarzy Jacka. Niemal poczuła przeszywające go ostrze bólu.

- Co to takiego?

Usłyszała zaniepokojenie we własnym głosie, zdała sobie sprawę, że wzięło się stąd, iż postrzegala go jako niezwykłego, a teraz wiedziała, że taki nie jest. Był tylko człowiekiem z krwi i kości, a krew i kości tak łatwo zamieniają się w proch.

Spodziewała się, że odpowie: „To nic”, lecz usłyszała:

- Niedawna rana.

- Niedawna? - Postarała się lepiej usiąść i do wiedzieć się czegoś więcej. - Jak niedawna?

- Sprzed paru tygodni.

Zamrugła.

- A więc to jest ta rana...

Kiedy nie powiedziała nic więcej, uniósł brwi i czekał.

- Kiedy po raz pierwszy przyszedłem do dworu, żeby zobaczyć Anthony'ego, ty i Connimore rozmawialiście o jakiejś wolno gojącej się ranie.

Milczał przez chwilę, sądząc po jego minie, odtwarzał w pamięci słowa wypowiedziane do Connimore.

- Rozumiem. Myślałaś, że jakiego rodzaju ranę odniosłem?

Jego ton wskazywał na szczere zaciekawienie Korciło ją, by oświadczyć, że wcale o tym nie myślała, lecz wyraz jego oczu ostrzegł ją, że Jack nic da się zwieść, co więcej, że zaczyna podejrzewać, co dokładnie pomyślała. Poruszyła ramieniem.

- Mam trzech starszych braci. No i wezwał Percy'ego...

Urwała, kiedy na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Jego pierś, pod jej ręką, zaczęła się trząść. Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek

- A potem oświadczyłeś, że nie będziesz miał dzieci. Co, u diabła, miałam pomyśleć?

Odrzucił głowę do tyłu i śmiał się, na próżno starając się nie robić zbyt wiele hałasu. Clarice czekała z wielką cierpliwością. Zauważył to i szeroko się do niej uśmiechnął.

- Że nie będę miał, a nie, że nie mogę. Nie pomyślałbym, że coś takiego przyjdzie ci do głowy.

- Śmiem twierdzić, że przyszłoby, gdybym ostatnio w ogóle się nad tym zastanawiała.

Jeżeli chmurna mina mogła wpłynąć na ton głosu, to Clarice się to udało.

- Jak się goi? Skąd się właściwie wzięła? Czy bardzo boli?

Wyczytała w jego oczach typową męską reakcję na kobiecą troskę.

- Czasami boli, lecz ostatnio nie tak bardzo. To było tylko paskudne łupnięcie w głowę.

Łupnięcie w głowę, które nadal bolało? Po kilku tygodniach?

- Coś ty, u licha, robił, że otrzymałeś taki cios?

Odpowiedział. Słuchała, na przemian zaintrygowana, wstrząśnięta i zdumiona. Nie czyniła żadnych uwag, kiedy opisywał, jak został pokonany i ogłuszony przez szpiega, którego miał pilnować. Chociaż wyraźnie uważał to za porażkę, która ciągle go dręczyła, przyznawał to i zostawiał za sobą, nie roztrząsał swojego błędu ani nie starał się z niego tłumaczyć. Clarice doświadczyła w życiu dosyć zmienności losu, by docenić dojrzałość takiego podejścia.

Kiedy Jack zakończył swoją opowieść, zachmurzyła się.

- A więc chociaż odszedłeś ze służby, wciąż jesteś na każde skinienie rządu?

Pokręcił przecząco głową.

- Jesteśmy zobligowani do występowania w słusznej sprawie. Ci spośród nas, którzy służyli, wykonując konkretne zadania, są lepiej wyszkoleni, by prawidłowo reagować na pewne sytuacje. A w tym ostatnim przypadku pomagaliśmy

przyjacielowi, byłemu towarzyszowi broni, że tak powiem.

- A zatem mam prawo zakładać, że te kontakty, z którymi zamierzasz rozmawiać w Londynie, to twoi byli towarzysze oraz wasz były dowódca?

- W rzeczy samej. - Kryjąc ziewnięcie, zapadł głębiej w łóżko. - Pomówię z tymi spośród drużyny, którzy nadal są w mieście. - Jego głos stawał się coraz bardziej senny. - I tak, oni nam pomogą.

Jego zmęczenie było zaraźliwe, jej powieki także robiły się coraz cięższe. Przytuliła się do jego piersi. Dłoń Jacka podniosła się, żeby pogłaskać ją po głowie, jego palce delikatnie wplątały się w jej włosy, a potem wygładzały pojedyncze pasma.

Ogarnął ich spokój, ciepły, nieruchomy, niewymagający. Nie dzielili wcześniej łóżka, a jednak odczuwali tę bliskość jako coś słusznego. Clarice nieoczekiwanie poczuła się bezpieczna.

Pewność Jacka, że jego przyjaciele pomogą, że przybędą na pomoc Jamesowi, uspokoiła tę część, jej umysłu, która ciągle była w szoku na samą myśl o Jamesie oskarżanym o zdradzieckie postęпки. Ale bardziej intrygujące było ujście Jacka takim, jakim ukazała go jego opowieść: jak postrzegali go jego przyjaciele, i że był członkiem takiej grupy dżentelmenów, lojalnych obrońców nawet w czasach pokoju, których nie wahali się wzywać ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo królestwa.

Przypomniawszy jej się dawny obraz Jacka - rozpuszczonego darmozjada. Jakże bardzo się wtedy myliła.

Im więcej dowiadywała się o nim, tym bardziej go aprobowała, tym bardziej doceniała. Na Boga, była w połowie drogi, by myśleć o nim jako o kimś godnym podziwu. Niewielu było mężczyzn, którym przyznawała taki status, tak naprawdę, kiedy sen powoli zaciemniał jej umysł, nie mogła przypomnieć sobie żadnego.

Poczuła, jak resztki jego czujnego napięcia zanikają, i jak osuwa się w sen. Nasłuchiwała jego wolnego, miarowego oddechu. Jego serce biło pod jej policzkiem - stłumiony, mocny dźwięk, regularny i niezawodny, jego ramiona obejmowały ją,

nie ciasno, lecz bezpiecznie. Nie ograniczając jej. Chroniły, nie więziły.

Sen przywołał ją do siebie i Clarice pozwoliła sobie odpłynąć, pozwoliła odprężyć.

Odgrywanie z Jackiem męża i żony nie było wcale takie złe.

Ta zabłąkana myśl wytrąciła ją ze spokojnego osuwania się w drzemkę, kazała jej się zdziwić, lecz potem Clarice uśmiechnęła się, pozwoliła myśli podryfować dalej, i zapadła w sen.

* * *

Po raz pierwszy w życiu Jack obudził się o świcie z, kobietą w ramionach.

Sypiał z mnóstwem dam, lecz nigdy przedtem z żadną nie dzielił łóżka przez całą noc.

Ale ta jedna, jego królowa-wojowniczka, była inna pod tyłoma względami. Obudzenie się, żeby poczuć ciepłe, miękkie, krągłości prowokująco przyciśnięte do jego boku, wydawało się najwyższą nagrodą wojownika.

Nawet się nie zastanawiał, kiedy uniosł dłoń i przesunął nią lekko po ramieniu Clarice, po pagórku jej piersi. W dół po łuku jej biodra do długiej linii jej uda.

Nie potrzeba było myślenia, żeby podziwiać, uwielbiać. By łagodnie ją podniecać, rozbudzać jej ciało, wrażliwe i rozpalone. Rozwinęła się niczym kwiat pod jego dotykiem, jej umysł wciąż dryfował w królestwie snu.

Kiedy uniosł się nad nią i ulokował między jej udami, jej powieki rozchyliły się lekko.

Rozchyliły się całkiem, kiedy ją wypełnił, podniosła wzrok, spoglądając na niego rozszerzonymi oczyma, a wtedy on runął w głąb. Wargi Clarice ułożyły się w łagodne „O”, a powieki znowu opadły, przysłaniając oczy, teraz jaśniejące namiętnością.

Namiętnością, którą on rozbudził.

Bez pośpiechu, powoli wędrowali na przełaj przez okolicę,

którą dobrze znali, przystając, ze ściśniętym gardłem, delektując się to tym, to owym. Pozwalając swoim zmysłom chłonać żarliwie piękno każdego etapu, każdego kroku w dążeniu do spełnienia.

A żadne nie wątpiło, że spełnienie nadejdzie, że jest już zawarte w poruszeniach ich ciał, w powtarzającym się ruchu, który trzymał ich oboje związanych, zaabsorbowanych, nieświadomych prawie niczego poza rozgrzaną wilgocią skóry, urywanymi oddechami, poza pragnieniami i potrzebami.

Prawdziwe zjednoczenie i ciał, i umysłów. A w końcu wspięli się na szczyt i wspólnie się poddali

Później leżeli spleceni w swoich ramionach. Żadne z nich się nie odzywało. Każde uznawało rosnącą między nimi dziwną moc, wiedziało, że to drugie także ją wyczuje, lecz dla obojga było to czymś zbyt nowym, by to nazwać i opisać.

Jack złożył delikatny pocałunek na jej ramieniu. Po chwili poczuł, że dłoń Clarice głaszcze jego głowę, łagodnie mierzwiąc mu włosy.

I był zadowolony.

Chwilowo.

Jednak jego ostateczny cel, cel, którego pragnął, potrzebował i o który był gotów walczyć, teraz jawił się wyraźnie i jasno. Jack chciał budzić się w taki sposób, właśnie tak, każdego ranka przez resztę swego życia.

* * *

Dotarli do Londynu wczesnym popołudniem. Ponieważ Clarice miała zatrzymać powóz dla siebie, Jack dał stangretowi wskazówki, jak jechać na Montrose Place.

Clarice, skupiona na ich kampanii oczyszczenia Jamesa z zarzutów, ledwie zwracała uwagę na widoki za oknem. Ale kiedy powóz zatrzymał się przed domem nr 12 przy Montrose Place, zaprzestała wyliczania faktów, które już znali, żeby zerknąć na budynek.

- To twój klub?
- Klub Niezdobytych. - Jack wyjaśnił, że to prywatny klub założony przez niego i jego sześciu byłych towarzyszy jako ich osobisty bastion przeciwko swatającym matronom. - Zaczekaj tutaj. Tylko odstawię torbę Gasthorpe'owi, to nasz majordomus, i zaraz wracam.

Lokaj wyłonił się już z klubu i wyciągał podróżną torbę Jacka z powozu. Clarice skinęła głową, uważnie przyglądając się fasadzie budynku.

Gasthorpe spotkał się z Jackiem przy drzwiach. Przekazał torbę pod opiekę Gasthorpe'a, poinformował go, że zostanie na czas na razie nieokreślony.

- Cieszymy się, że pan wrócił, milordzie. Oczywiście, wszystko tutaj będzie w gotowości. Jeżeli życzy pan sobie czegoś jeszcze, proszę mnie powiadomić.

Jack uśmiechnął się czarująco. Już miał się odwrócić, kiedy przyszło mu do głowy, by spytać:

- Kto jeszcze tu teraz przebywa? Crowhurst?
- Żałuję, lecz hrabia wczoraj powrócił do Kornwalii, milordzie. Ale wicehrabia Paignton wrócił do nas w zeszłym tygodniu. Jak sądzę, zamierza pozostać przez parę tygodni. I markiz jest w mieście. Często odwiedza nas wieczorami.

Jack pożegnał się i odwrócił. A więc Deverell jest w pobliżu, i Christian Allardyce, markiz Dearne, także. Doskonałe wsparcie, gdyby takowego potrzebował, a Jack z pewnością skorzysta z ich rozumu i kontaktów.

Wciąż się uśmiechał, kiedy wrócił do powozu. Clarice siedziała, wpatrując się w jego twarz, kiedy wspinał się i rozsiadał naprzeciwko niej.

- Wyglądasz... jakbyś czegoś wyczekiwał.

Jego uśmiech się nasilił.

- To tylko zapach zdobyczy niesiony wiatrem.

Prychnął pod nosem i wyjrzał przez okno, gdyż powóz ponownie się zakołysał. Jack zauważył, że Clarice spogląda teraz na fasady, niezaabsorbowana już dłużej kłopotliwym

położeniem Jamesa. Lekka zmarszczka przecięła jej brew.

- A zatem dokąd się udajemy? - spytał Jack.

- Dałam stangretowi instrukcje. - Po chwili uświadomiła sobie, że nie odpowiedziała na jego pytanie. - Do Hotelu Benedict's przy Brook Street.

Jack zamrugał. Zakładał, że kiedy wcześniej wspomniała o zatrzymaniu się w hotelu, miała na myśli Grillons, ten bastion wszelkiej stosowności, Jack nie mógłby ryzykować odwiedzania jej tam. Benedict's to było zupełnie coś innego. Z tego, co słyszał, był to niesłychanie luksusowy hotel goszczący tylko samą śmietankę arystokracji. Tam nie było pokoi, tam mieściły się apartamenty.

Kiedy powóz zatrzymał się przed elegancką fasadą przy Brook Street i Jack odprowadził Clarice do środka, po subtelnym, lecz uniżonym powitaniu natychmiast stało się jasne, że była tam znanym i szanowanym gościem.

- Zatrzymaliśmy dla pani te same pokoje co zwykle, milady. - Wytorny konsjerż przekazał swoje biurko podwładnemu i wyszedł, żeby osobiście zaprowadzić Clarice na górę. - Naturalnie, wszystko, absolutnie wszystko, co ja albo mój personel możemy dla pani uczynić podczas jej pobytu, zrobimy z największą przyjemnością.

Prowadząc ich w górę głównymi schodami, szerokimi niczym w książęcej rezydencji, konsjerż podszedł do drzwi przy wspaniałej galerii i otworzył je na oścież. Ukłonem zaprosił Clarice do środka.

Jack, który szedł o krok za nią, przystanął, żeby się rozejrzeć, i zanotował w pamięci obecność bocznych schodów u wylotu jednego z korytarzy. Jego spojrzenie powróciło na obojętną twarz konsjerża, personel hotelu Benedict's wyraźnie wiedział, kto im płaci. Jack skinął głową i wszedł do pokoju.

To był luksusowy apartament. Pierwszy pokój okazał się wielką, dobrze urządzonej bawialnią, łączącą się z sypialnią ozdobnym łukiem. Ścianę nad marmurowym kominkiem zajmowało lustro w złożonych ramach, na ścianach zwisały

pozłacane kinkiety w kształcie amorków. Zachwycała delikatna tkanina obić, szeszlony i fotele wyglądały na miękkie i przyjazne, a wszystkie drewniane elementy mebli wprost lśniły.

Dwa wysokie okna wychodziły na Brook Street Jack podszedł, żeby wyrzeć na zewnątrz, podczas gdy Clarice ruszyła do sypialni, instruując lokajów, którzy zjawili się z jej kufrem.

Niczym dobrze wyszkolony kamerdyner, konsjerż popędził ich do wyjścia, po czym uklonił się i oddalił. Clarice podeszła do okien i także wyjrzała na ulicę.

- Jesteśmy na miejscu, co dalej?

Podążył za jej spojrzeniem. Było popołudnie, i Brook Street roiała się od powozów wiozących matrony z jednej popołudniowej herbatki na ko lejną.

- Dzisiaj niewiele już możemy zdziałać. Chyba że chcesz udać się do rodziny.

- Późne popołudnie to niezbyt dobra pora na nieoczekiwane wizyty, nie podczas sezonu. Każdy będzie się spieszył, szykując się na wieczorne spotkania.

Przytaknął.

- Liczę na wiadomość od mojego byłego dowódcy. Powiedziałem mu, że dziś wieczorem będę w klubie. Powinienem, na wypadek gdyby się ze mną skontaktował.

Spotkałby się tam też z Deverellem i uprzedził go, że jego usługi zapewne będą potrzebne.

- Najlepiej więc będzie wcześniej się położyć.

Jack wpatrywał się w jej ciemne oczy, zastanawiając się, czy ona, tak jak i on, rozważa środki i sposoby... lecz musiał jeszcze zrobić rozpoznanie terenu, potwierdzić, że będzie mógł wchodzić i wychodzić z jej pokoju bez ryzykowania skandalu, i że hotel jest tak przyjazny, na jaki wygląda.

- Zapewne tak będzie najlepiej.

- A więc dobrze. - Zawahała się, a potem położyła dłoń na jego piersi. Zamierzała pocałować go w policzek, lecz Jack odwrócił głowę i jego usta spotkały się z jej ustami.

Przytulił ją do siebie i pozwolił, by pocałunek osunął ich w tę krainę rozpalonej zmysłowości, za którą oboje tęsknili.

Odsunęła się i wydobyła z jego objęć.

- Ja... - Ku jego uciesze najwyraźniej musiała pozbierać myśli. - Ja złożę rano wizytę bratu. Zanim wyjdzie.

- Przyjdę tu w południe. Możemy przy lunchu omówić nasze dotychczasowe rezultaty i zaplanować następny krok.

Łaskawie skinęła głową, uśmiechając się łagodnie.

- A zatem jutro.

Cofnął się, elegancko uklonił i wyszedł, dopóki jeszcze mógł.

Okrążywszy galerię, zszedł na dół drugimi schodami i potwierdził, że prowadzą do małego *foyer* wychodzącego na boczną uliczkę. Sprawdził zamek, nie stanowił bariery dla kogoś takiego jak on. Z rękoma w kieszeniach palta przeszedł przez parter, zapamiętując rozkład, a następnie wyszedł z budynku frontowymi drzwiami, skinąwszy głową konsjerżowi.

Rzeczywiście, Benedict's to doskonały hotel.

Na chodniku Jack zatrzymał się i podsumował sytuację. Nie wątpił, że Dalziel zinterpretuje dotychczasowe wydarzenia tak samo jak on. Jego były dowódca skontaktuje się tak szybko, jak to będzie możliwe, Jack nie musiał go ponaglać. Jednak stawienie czoła biskupowi Londynu musi poczekać, dopóki Dalziel i Jack nie omówią sprawy. Wcześniej Jack niewiele mógł zdziałać.

Zastanowił go pulsujący ból stopniowo narastający w czasie. Wytrwale ignorował go przez ostatnią godzinę. Doświadczenie podpowiadało, że to nie minie, przynajmniej nie przed końcem dnia, a najpewniej zmieni się w jeszcze dokuczliwszy. Najbardziej Jacka niepokoiło to, że ból nie był aż taki silny od tygodni.

Gabinet Pringle'a znajdował się przy Wigmore Street, zaledwie dwie ulice dalej. Jack skierował się w tamtą stronę. Uznał, że dobrze mu zrobi, jeśli się nieco uspokoji.

* * *

- Uczynił pan znakomite postępy! - Pringle odwrócił się od Jacka, który przysiadł na skraju biurka i nadal mrugał jak sowa na skutek rozbłysku magnezji, której Pringle użył do zbadania jego źrenic.

- Naprawdę jestem pod wielkim wrażeniem. - Pringle zaczął odkładać liczne instrumenty, którymi się posługiwał, by poznać reakcje Jacka. - Cokolwiek pan robił, to właśnie było to. Nigdy bym nie pomyślał, że pana stan tak bardzo się poprawi w ciągu, ilu...? Zaledwie dwóch tygodni?

Jack przytaknął i pomasaował sobie skroń.

- Ale to wraca. Dlaczego?

- Dopiero co przyjechał pan do miasta. Jechał pan konno?

- Powozem. Dwa dni w drodze.

- Cóż, oto przyczyna. - Pringle zaczął polerować inne narzędzia, przyjął Jacka natychmiast po tym, jak wyszedł jego ostatni pacjent. - Trzęsący się powóz na tak długim dystansie każdego przyprawiłby u ból głowy, a coś dopiero pana. Tylko niech pan znowu tego nie robi, dopóki w pełni nie wydobrzeje, Aby złagodzić ból, sugerowałbym robić to, co porabiał pan ostatnio. To jasne, że w pana przypadku to się sprawdza.

Jack zmarszczył czoło.

- Niczego szczególnego nie robiłem, a przynajmniej nie jestem tego świadom.

- Ach, tak. - Pringle zerknął z ukosa na polerowany skalpel. - Niech mi pan wierzy, z pewnością coś pan robił, lecz zgadzam się, że mógł pan sobie nic zdawać sprawy, jak skuteczne mogą być te działania. Na przykład łaźnia turecka albo pewne ziołowe maści, albo nawet perfumy, chociaż zapewne tego pan nie stosował. - Uśmiechając się, Pringle kontynuował wyliczanie czynności, które znane były z łagodzenia bólów głowy.

Jack słuchał i zastanawiał się. Aż wreszcie Pringle zakończył jakby od niechcienia:

- I jest jeszcze stary sprawdzony środek - seks.

Jack zamrugał.

- Doprawdy?

- Starożytne lekarstwo, nie działa przy każdym bólu głowy, i sprawdza się najlepiej, kiedy pofolguje się sobie, zanim ból rzeczywiście zaatakuje. Zawsze przypuszczałem, że działa na zasadzie uwolnienia się od napięcia.

Jack pospiesznie sięgał pamięcią wstecz, łącząc swoje schadzki z Boudiką i brak bólu.

- Fascynujące.

Uświadomił sobie, że Pringle przygląda mu się z błyskiem rozbawienia w oku. Jack uśmiechnął się, wstał z biurka i jęknął, gdyż ból zadudnił mu w głowie z nową siłą.

- Dziękuję. - Wyciągnął rękę do Pringle'a. - Za pańską doskonałą poradę.

W odpowiedzi Pringle uśmiechnął się szeroko i uścisnął dłoń Jacka.

- Jeszcze parę tygodni odpoczynku urozmaicanego pańskim ostatnim lekarstwem, a przewiduje, że bóle głowy staną się przeszłością.

Jack opuścił gabinet i udał się w kierunku Montrose Place. Ponieważ tego wieczora nie uciekał się do swojego sprawdzonego lekarstwa, będzie musiało mu wystarczyć świeże powietrze. Zastanawiał się, co by powiedziała Clarice na zakwalifikowanie ich schadzek jako działań leczniczych.

Myśl o jej reakcji wywołała uśmiech na jego twarzy i pozwoliła mu zapomnieć o pulsującej głowie na tę krótką chwilę, którą zajęło mu dotarcie do klubu.

* * *

Ból głowy uderzył mściwie wczesnym wieczorem. Poddając się doznaniom przyprowadzającym o mdłości za każdym najdrobniejszym ruchem i rozdzierającej agonii, Jack wycofał się do swojego pokoju i do łóżka, zanim wrócił Deverell.

Ważniejsze było, żeby rano pozostać czujnym i sprawnym, naradzenie się z Deverellem mogło poczekać.

Kiedy Jack wpełzł pod chłodną kołdrę i ułożył głowę na poduszce, pomodlił się, by Dalziel nie posłał po niego tego wieczoru.

Nie zrobił tego. Jednak następnego ranka pojawił się na dole, zanim Jack zjadł śniadanie. Pomimo wygodnego łóżka i najlepszych intencji Jack nie spał dobrze, lecz przynajmniej jego ból głowy zmalął do poziomu, przy którym mógł słuchać i mówić. Zzymając się pod nosem na wczesną porę - nie było jeszcze dziewiątej - podążył za Gasthorpe'em na dół, Gasthorpe wprowadził jego niepokojącego gościa do biblioteki. Jack zatrzymał się, spoglądając na drzwi.

- Przynieś kawę. Najszybciej jak zdołasz.
- Natychmiast, milordzie.

Jack wszedł do środka i poświęcił chwilę na przypatrzenie się wysokiej postaci stojącej przy oknie. Dalziel - wciąż jeszcze nie odkryli jego prawdziwego nazwiska - miał wiele cech tych mężczyzn, którymi dowodził. Był mniej więcej tego samego wzrostu co Jack, i podobnej, odrobinę szczuplejszej budowy. Jednak jako zagrożenie Dalziel górował nad nimi wszystkimi. W jego obecności każdy, kto choćby w najmniejszym stopniu umiał wyczuwać niebezpieczeństwo, nieuchronnie miał się na baczności.

Jack patrzył, jak Dalziel odwraca się od okna w jego stronę. Jakby aż do tej chwili nie był świadomy, że Jack tam jest.

Mówiąc wprost, Dalziel był najbardziej niebezpiecznym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek Jack spotkał. Jego były dowódca stanowił uosobienie wojowniczych władców, którzy rozproszyli się po całej Anglii po czasach Normanów.

- Dzień dobry. Nie spytam, co cię tutaj sprowadza. - Jack gestem wskazał Dalzielowi fotel i sam opadł na drugi od kompletu, zmagając się ze sobą, by ukryć oznaki bólu głowy.

- W rzeczy samej. - Ton Dalziela stwierdzał, że nie jest on ani trochę zadowolony z omawianej kwestii. Jego ciemne oczy

badawczo wpatrywały się w twarz Jacka. - Wielce się obawiam, że twój przyjaciel, James Altwood, został wplątany, całkowicie niewinnie, w intrygę zmierzającą do zdyskredytowania mnie.

- Ciebie? - Jack zmarszczył czoło. To był Dalziel, podważanie jego stwierdzenia byłoby stratą czasu. Skoro powiedział, że tak jest, to tak było. - Jaką intrygę? I jak to się stało, że wciągnięto w to Jamesa.

Dalziel zetknął palce, utkwiał wzrok gdzieś poza Jackiem.

- W tej chwili mogę tylko spekulować, lecz domyślam się, że intryga pojawiła się dlatego, gdyż poszukuję ostatniego zdrajcy. Moim zdaniem, z rozmaitych powodów, z których żaden, niestety, nie da się określić jako niepodważalny fakt, pozostaje on niewykryty, nieskruszony i nieukarany, skryty wśród wyższych szczebli władzy.

Pukanie do drzwi poprzedziło Gasthorpe'a niosącego tacę.

Dalziel zaczął, aż kawa zostanie nalana i służący wyjdzie, po czym napotkał spojrzenie Jacka.

- Jakie powiązania ten człowiek może posiadać i jakiego rodzaju władzę dzierży, czy to po prostu pieniądze, czy może pozycję lub stanowisko w rządzie, tego nie wiem. Jednak natknąłem się na zbyt wiele niezgodności na przestrzeni ostatnich lat, żeby nie podejrzewać jego istnienia. Niestety, jak do tej pory wszystko, co mam, to moje podejrzania

Jack zmrużył oczy.

- A zatem sądzisz, że ta intryga wynikła, ponieważ on, kimkolwiek jest, niepokoi się, że snujesz takie podejrzania?

Dalziel przytaknął.

- Dość trafnie ujęte.

- Ale obecnie ta intryga, fakt, że ona istnieje, tak samo jak istnienie twojego ostatniego zdrajcy, to czyste przypuszczenie?

Wargi Dalziela wygięły się w bardzo kwaśnym grymasie.

- Tak. Sądzę, że przynajmniej z początku było tak, iż wiedząc, że nadal go szukam, prawdziwy zdrajca postanowił dać mi kozła ofiarnego, kogoś, kogo mógłbym wziąć za niego, usunąć i w ten sposób uznać, że moja praca została wykonana.

- I wycofać się?

Dalziel skinął głową.

- Dla nas wszystkich wojna to przeszłość, i pora, byśmy powrócili do cywilnego życia i czekających nas tam obowiązków. Ten zdrajca myśli, że zadowoli mnie, podsuwając inną ofiarę zamiast siebie.

- A więc rozglądał się, szukając kozła ofiarnego... i znalazł Jamesa.

Jack od razu wiedział, dlaczego James został wybrany.

- W rzeczy samej. James Altwood jest idealnym kandydatem. Miał dostęp, gromadził i badał informacje potencjalnie kompromitujące armię, informacje, za które Napoleon i jego generałowie rzeczywiście zapłaciliby majątek. Nie widziałem treści zarzutów, jednak, jak obaj wiemy... – Dalziel uśmiechnął się do Jacka, ale uśmiech nie sięgnął jego oczu. - James Altwood nie jest zdrajcą. - Przerwał, po czym mówił dalej: - Nigdy nie pytałem, czy wbrew moim rozkazom wyjawieś Altwoodowi twoją pozycję i misję. Ale kiedy zmarł twój ojciec i Altwood przyjechał prosto do mnie, żeby przekazać wiadomość dla ciebie, było zupełnie jasne, że wiedział aż nadto, żeby postarać się o twoje zniknięcie, gdyby był szpiegiem. - Dalziel wzruszył ramionami. - Jako że jesteś tutaj zdrow i cały, Altwood nie jest zdrajcą, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę twoje czuwanie nad Elbą. Spośród wszystkich moich agentów ty byłbyś pierwszy do usunięcia, kiedy Napoleon planował swój powrót. Nadal żyjesz, ponieważ nigdy się nie dowiedzieli, że istniejesz, gdyż James Altwood nie jest zdrajcą. Żaden zdrajca, bez względu na to, jak ci przychylny, nie omieszkałby wspomnieć o tobie w takich okolicznościach. Zbijano fortuny na mniejszych sprawach

Odstawiając filiżankę, Dalziel kontynuował:

- To jednak była seria wymownych faktów, których prawdziwy zdrajca nie znał. Jeżeli to on za tym stoi, to odkrył Altwooda, a potem zdał sobie sprawę z potencjału, z tego, jaką sensacją byłoby oskarżenie Altwooda o zdradę, i że jeszcze

większą sensacją byłaby porażka na takim procesie, i że taki rezultat odbiłby się na każdym, kto byłby tak nierozważny, by wnieść oskarżenie przeciwko Altwoodowi.

- Na tobie. - Jack podążył za tą argumentacją - Prawdziwy zdrajca myślał, że rzucisz się na Jamesa, skoczysz mu do gardła i zawleciesz go przed sąd, a potem...

- Kiedy sprawa by padła, a prawdziwy zdrajca dopilnowałby, żeby tak się stało, wówczas wszelkie zarzuty, jakie mógłbym postawić w przyszłości komukolwiek, byłyby nie tylko nieskuteczne, ale i śmieszne.

- Istotnie, unieszkodliwiłby cię, przynajmniej jeśli chodzi o postawienie zdrajcy przed obliczem sprawiedliwości.

- W rzeczy samej. - Dalziel ściągnął brwi. - Jednak, zanim nazbyt wybiegniemy naprzód, nic z tego, co właśnie ci powiedziałem, nie jest faktem, który da się udowodnić. Jeżeli chodzi o Jamesa Altwooda przekazującego sekrety Francuzom, mogę złożyć raport, że nie istnieją żadne dowody, choćby śladowe, na poparcie takiego twierdzenia, nic poza kompletnie przypadkowym faktem, że Altwood ma dostęp do istotnych informacji i zdolność rozumienia takich danych.

Dalziel popatrzył Jackowi prosto w oczy.

- To, oczywiście, byłoby wiadome wielu ludziom. W tej sytuacji nic nie przemawia za tym, że ten zarzut przeciwko Altwoodowi nie wynikał z jakiejś małostkowej zazdrości albo chęci spowodowania kłopotów. Może ona nawet nie być skierowana przeciw Altwoodowi, tylko przeciw jego przełożonym albo duchownym w ogóle. Sytuacja musi być wynikiem intrygi jakiegoś zdrajcy. A jednak moje przeczucia kierują mnie w tę stronę dlatego, że to po prostu zbyt dogodne, iż chodzi o Altwooda. Nie tylko jest on szanowanym uczonym, wieloletnim współpracownikiem Balliol, lecz uczonym duchownym, cenionym przez swojego biskupa i przez kościelną hierarchię. Dość kiepsko, gdybym ja miał się w to wmieszać, lecz na dokładkę to Altwood, aczkolwiek, jak słyszałem, jest poniekąd czarną owcą. To tak nawiasem mówiąc. Wszystko to

są wyższe sfery, wszystko kręgi rządowe, a on nadal jest Altwoodem. Jeżeli rodzina udzieli mu wsparcia, jak w pełni się spodziewam, to każdy, kto chciałby go oskarżyć przed sądem, miałby przed sobą bardzo nieprzyjemną bitwę.

Jack mógł się tylko zgodzić. Wyrachowane kalkulacje stojące za taką intrygą, jeśli rzeczywiście była to robota ostatniego zdrajcy w celu zdyskredytowania Dalziela, zdumiewały. Tony Blake i Charles St. Austell informowali innych członków Klubu Niezdobytych o kontynuowanym przez Dalziela poszukiwaniu głęboko ukrytego zdrajcy. Ktoś mógłby uznać taką wytrwałość za niezdrową obsesję, lecz Jack nie zaliczał się do takich osób, tak jak i inni członkowie klubu. Wszyscy znali Dalziela, jego instynkt, jego zdolność odczytywania informacji oraz wynikające z niej rozkazy, niekiedy wyraźnie kłóące się z bezpieczeństwem, które jednak zachowały ich wszystkich przy życiu przez długie lata za liniami wroga. Jeżeli Dalziel uważał, że zdrajca nadal znajduje się na wolności, to oni popierali je go opinię.

- A zatem zarzuty przeciwko Jamesowi mogłyby być intrygą zdrajcy, żeby cię zdyskredytować, albo czymś bardziej niewinnym, na przykład knowaniem zazdrosnego konkurenta.

Dalziel przytaknął, wpatrując się w twarz Jacka.

- Czy jest w to wmieszany jakiś rywal?

- Na to wygląda. To ten, który przedstawił zarzuty biskupowi, a w przeszłości przegrał z Jamesem w sprawie stypendium.

- To czyniłoby z niego idealnego pionka do wykorzystania przez prawdziwego zdrajcę.

- Zajmuje pierwsze miejsce na mojej liście osób do przepytania. - Jack spojrzął na Dalziela i uniósł brew w niemym zapytaniu.

Dalziel westchnął.

- Tak, zdaję sobie sprawę, że twoja obecność tutaj to dar niebios. Bez twojego powiązania z Altwoodem w ogóle nie mógłbym bezpośrednio prowadzić śledztwa. A więc proszę

bardzo, draż temat, zadawaj pytania, prowadź śledztwo i rób wszystko, co konieczne, żeby odeprzeć zarzuty przeciwko Altwoodowi. Tylko informuj mnie na bieżąco o wszystkim, czego się dowiesz.

- A w zamian? - Jack potrzebował Dalziela do otworzenia pewnych drzwi, ale nie miał pojęcia, do których jego były dowódca posiadał klucze.

- W zamian ja poinformuję cię o wszystkim, co związane z tą sprawą i co trafi na moje biurko, i napiszę do biskupa Londynu, powiadamiając go o dwóch rzeczach. Jedna to ta, że usłyszawszy o zarzutach, które mają zostać zbadane przed jego sądem, przyjrzałem się sprawie i nie potrafię znaleźć żadnych dowodów na to, jakoby James Altwood sprzedawał sekrety wrogowi. Oczywiście, jego lordowska mość będzie musiał podjąć własną decyzję na podstawie przedstawionych mu faktów. - Dalziel wytrzymał spojrzenie Jacka. - Nie mogę wydawać oświadczeń, które wyglądałyby tak, jakbym uprzedzał osąd Kościoła.

Jack przytaknął.

- Druga rzecz - powiem biskupowi, że jesteś osobą w służbie rządu, doświadczoną w takich sprawach, i że bez względu na twoje powiązanie z Altwoodem może ci zaufać tak jak mnie.

Jack pozwolił sobie na okazanie zaskoczenia. Nie spodziewał się, że Dalziel otworzy mu drzwi pałacu Lambeth, liczenie na to wydawało się zbytnim optymizmem. Od dawna przypuszczali, że Dalziel pochodził z bardzo starego rodu, który miał swoich członków i powinowatych na różnych szczeblach elity rządzącej.

Jack dostrzegł rozbawienie czające się w ciemnych oczach Dalziela. Oczach bardzo podobnych do innych, które teraz tak dobrze znał...

- Jak rozumiem, to wystarczy?

- Na razie.

Jack wyciągnął przed siebie rękę. Dalziel uściśnął ją i ruszył

do drzwi.

- Jeżeli odkryjesz, kto dokładnie stoi za zarzutami przeciwko Jamesowi Altwoodowi, ja oraz kraj będziemy mieli u ciebie kolejny dług. - Przed drzwiami Dalziel przystanął. - I Altwoodowie także, oczywiście.

Spojrzenie przyjaciela upewniło Jacka, że w kwestii długu Altwoodów Dalziel dokładnie wie, czego Jack mógłby od nich zażądać. Dalziel wiedział już o jego związku z Clarice, pozostawało tylko pytanie, jak wiele wiedział. A to skąd - jak zawsze było tajemnicą.

Zrezygnowany Jack uśmiechnął się blado i sięgnął do klamki. Drzwi otworzyły się, zanim zdążył ją złapać. W progu stał Gasthorpe, który się cofnął, gdy tylko napotkał spojrzenie Jacka.

- Pewna... osoba przyszła, żeby się z panem zobaczyć, milordzie. Czeka w saloniku.

Jack od razu wiedział, kto przyszedł. Dalziel, oczywiście, nie, nie miał bowiem pojęcia, że salonik był małym pokojem obok frontowego wejścia, zarezerwowanym do... zabawiania dam.

Uśmiechając się, Jack skinął głową.

- Odprowadzę pana Dalziela, a później spotkam się z gościem.

Gestem ustąpił Dalzielowi pierwszeństwa na schodach. Idąc bez pośpiechu za swoim byłym dowódcą, spostrzegł nagle - zbyt jednak późno - że drzwi do saloniku są szeroko otwarte. Gasthorpe tak by ich nie zostawił, lecz wzięwszy pod uwagę, kto czekał w pokoju, nie było trudno sobie wyobrazić, jak to się stało.

Dalziel przeciął tymczasem hol, wchodząc w pole widzenia osoby przebywającej w saloniku.

To będzie interesujące - pomyślał Jack.

Rozdział 12

Nie tylko interesujące, lecz i odkrywczе.

Dalziel dotarł do drzwi frontowych i przystanął, jakby czując czyjąś obecność. Odwrócił się w kierunku saloniku, z miejsca, gdzie stał, pokój widział bardzo wyraźnie.

Ponieważ Jack szedł za nim, spostrzegł niemal niezauważalną sztywność barków Dalziela, dobrze skrywaną pod świetnie skrojonym płaszczem.

Nagle Dalziel się odwrócił.

Jack zachował obojętną minę, spokojny, pozornie nieświadomy tego drobnego incydentu i jego implikacji, otworzył drzwi i odprowadził Dalziela na zewnątrz. Kiedy tylko wysokie buty jego byłego dowódcy zachrzęściły na żwirze, zaintrygowany poszedł do saloniku.

Clarice stała przy oknie, zerkając przez zasłony na plecy oddalającego się Dalziela. Jack zamknął drzwi saloniku. Odwróciła się ku niemu i zauważył znajomą zmarszczkę rysującą się jej między brwiami.

- Kto to jest?

Clarice podniosła na niego wzrok.

- Nie wiesz?

- Mówiłem ci, że znamy go tylko jako Dalziela.

- To twój były dowódca?

- Tak. Rozpoznałaś go, prawda? On z pewnością rozpoznał ciebie.

- Do licha! - Zmarszczyła czoło. - Nie znoszę tego.

- Czego?

- Tego, że on wie, kim ja jestem, lecz ja nie potrafię podać jego nazwiska.

- Ale go znasz?

- Niezupełnie. Spotkałam go, ale to było przed wielu laty, na przyjęciu urodzinowym Mirandy Folliot. Miałam... - przerwała, żeby policzyć - ...dziewięć lat. To było jedno z tych przyjęć, na których trzeba być. On... kimkolwiek jest... miał przynajmniej piętnaście lat. Był w Eton z najstarszym bratem

Mirandy, jak sądzę, chociaż to nie dlatego się tam znalazł. Wszyscy goście, choć jeszcze dzieci, zostali zaproszeni z myślą o tym samym, co zwykle.

- Swatanie od kołyski?
- Uważano za roztropne, by zachęcać nas do zapoznawania się ze sobą od najmłodszych lat.
- Uśmiechnęła się kwaśno. - To był krąg osób, spośród których mieliśmy kiedyś wybierać naszych małżonków.
- Co tutaj robisz?
- Przyszłam, żeby zaplanować, co powinniśmy zrobić.
- Myślałam, że zamierzałaś uprzedzić brata.
- Uznałam, że bezcelowe jest poruszanie tego tematu z rodziną, póki nie będziemy wiedzieli, jakie właściwie są zarzuty. Nie chcę wyglądać na histeryczkę, jakbym reagowała na jakąś wymyśloną sytuację, o której pomyślałam, że nie może być prawdziwa.

Ku jej uldze Jack przytaknął.

- Dalziel także nie znał szczegółów zarzutów, chociaż potwierdził, że twierdzenia, jakoby James przekazywał informacje wrogowi, są rozpatrywane przez sąd biskupi.

Clarice widziała, że Jack ma znacznie więcej do zrehabilitowania. Podeszła do jednego z foteli, usiadła i wskazała ręką drugi, naprzeciwko.

- Co jeszcze powiedział twój były dowódca?

Siadając, Jack zastanawiał się, ile jej powiedzieć.

Słuchając go w napięciu, zadawała pytania, a on odpowiadał, szczegółowo opisując krucjatę swojego byłego dowódcy zmierzającą do ujawnienia ostatniego zdrajcy i przyczynę, dla której to może być głównym źródłem tarapatów Jamesa.

- Jakież to... - szukała właściwego słowa - diaboliczne! To, że James, jego reputacja, nawet reputacja rodziny miałyby tak niefrasobliwie zostać wystawiona na niebezpieczeństwo. Kimkolwiek jest ta osoba, nie ma absolutnie żadnych skrupułów.

- Myślę, że to możemy przyjąć za pewnik.

Ton Jacka zabrzmiał oschle.

- Czy zawsze tak jest przy szpiegowaniu? Że zakładasz, iż druga strona nie ma żadnej moralności?

Zadumał się, a potem odpowiedział:

- Bezpieczniej jest działać na takiej podstawie.

Zachmurzyła się, rozpatrując, jak by to było działać nieustannie w takich warunkach, gdy nie można ufać nikomu i niczemu. „Samotnie” - tylko to słowo przyszło jej do głowy.

Ale takie myśli rozpraszały. Zerkając na Jacka, już miała zapytać, co powinni zrobić, kiedy dostrzegła cierpienie w jego oczach. Ale po chwili zniknęło.

- Boli cię głowa? - spytała.

Zawahał się.

- Tak. - Odrzucając wszelkie udawanie, podniósł ręce i pomasaował sobie skronie. - Jazda powozem...

Przeszył ją niepokój, jakiego dotąd nie знаła.

- Musisz się zobaczyć z lekarzem. - Wstała i podeszła do dzwonka, by przywołać służbę. - Jak on się nazywa?

- Nie, nie. - Jack skinął dłonią, żeby usiadła. - Już się z nim widziałem. Wczoraj, po wyjściu od ciebie.

Teraz, kiedy został zmuszony do przyznania się do bólu, wydawał się bardziej skłonny do rozmowy o swoim stanie. Clarice naciskała.

- Co powiedział?

Jack nie przestawał masować skroni.

- Właściwie to był pod wielkim wrażeniem moich postępów.

Prychnęła lekceważąco.

- Teraz cierpisz bardziej niż przez cały czas, odkąd wróciłeś do Avening.

- Pringle powiedział, że to z powodu wielu godzin jazdy powozem w połączeniu z nieuprawianiem...

Grymas, jaki przemknął mu przez twarz, kiedy zamilkł, był bliski zakłopotaniu, niczym u małego chłopca, któremu wymknął się jakiś sekret. Clarice spojrzała na niego spod

zmruczonych powiek.

- Nieuprawianiem czego?

Zerknął na nią, lecz nie spoglądał jej w oczy.

- Chodzi o swego rodzaju ćwiczenia. Najwyraźniej zmniejszają one częstość i nasilenie bólów głowy.

- Cóż więc! - Wyprostowała się. - Najwyraźniej musisz zająć się tymi ćwiczeniami, zanim zabierzemy się za cokolwiek innego.

Jego wargi drgnęły, lecz Clarice nie była pewna, czy Jack tylko się skrzywił, czy też stara się nie roześmiać.

- Co to za ćwiczenia?

- Nie przejmuj się tym, to nie przejażdżka po parku ani spacer po ogrodzie. Skoro musisz wiedzieć, planuję zająć się tym dzisiaj w nocy. Po prostu będę musiał pocierpieć do tej pory.

- Nie mów głupstw! Jesteś cierpiący, wyglądasz, jakby pękała ci głowa. Nie możesz jasno myśleć, a my, James, ja, Altwoodowie i rząd, potrzebujemy cię w pełni sił. A więc, co to za ćwiczenia? Czy można je wykonać w dowolnej chwili, a jeśli tak, to czemu nie teraz?

Kiedy po prostu na nią patrzył - tym upartym spojrzeniem, które oznaczało, że nie zamierza poddać się jej żądaniom - mogła tylko westchnąć.

- A więc dobrze. - Wstając, sięgnęła po swoją torebkę. - Będę po prostu musiała odwiedzić tego doktora... Pringle'a, tak chyba mówiłeś?... i zapytać go, jakiego rodzaju ćwiczeń ci potrzeba.

Wyraz jego twarzy był mieszanką zgrozy i niedowierzania.

- Nie możesz tego zrobić.

Uniosła brwi.

- Oczywiście, że mogę. I zrobię to.

Fakt, że naprawdę widziała ból zasnuwający mgłą jego oczy, martwił ją bardziej, niż chciałaby to przyznać, wstrząsał nią w sposób, którego w pełni nie pojmowała. Mówiła sobie, że to dlatego, iż długa podróż powozem została podjęta dla dobra

Jamesa, u zatem zapewnienie Jackowi szybkiego wyzdrowienia ze wszelkich dolegliwości, jakie mogła wywołać, było zachowaniem właściwym i honorowym.

Jego pierś uniosła się, a potem Jack powiedział:

- Chodzi o uprawianie miłości.

Zamrugła. Przez chwilę nie była całkiem pewna tego, co usłyszała: najpewniej było to oszołomienie.

- To jest ćwiczenie, które pomaga ci na głowę? - wyjąkała.

- Najwyraźniej. - Zaciskając zęby, gestem wskazał jej fotel. - Zatem będę musiał po prostu znosić mój ból głowy aż do wieczora, a później możemy się nim zająć. Jestem pewien, że do jutra znowu będę zdrowy.

Clarice nie rezygnowała.

- Są chwile, kiedy twoje procesy myślowe nie mieszczą mi się w głowie. Nie ma powodu, byśmy musieli czekać, żeby złagodzić twój ból. - Z szelestem spódnic obróciła się i usiadła mu na kolanach

Zesztywniał, lecz jego ramiona instynktownie się do niej wyciągnęły.

- Clarice...

Wydawał się wstrząśnięty. Obejmując jego twarz, odparła zwięźle:

- Zamknij się i pozwól mi działać.

I go pocałowała.

Mocno.

Rozkazująco, władczo, niczym wezwanie, któremu nie miał siły odmówić. Jego wargi rozchyliły się pod jej atakiem, przez chwilę starał się zachować dystans, lecz wkrótce się poddał, położył jedną dłoń na jej karku, wdarł się w jej usta i przejął panowanie.

Uśmiechnęła się w trakcie pocałunku, zadowolona z siebie. Myśl, że może go tym uleczyć, że poprzez flirtowanie z nim może wygnać cierpienie z jego pięknych oczu, wspomóc go i złagodzić jego ból, wydawała się niemal cudowna. Musiała spróbować. Z pewnością nie zamierzała czekać aż do nocy.

Żar rozkwitał, a potem buzował w ich żyłach, pulsował im pod skórą. Jack przerwał pocałunek, oddychał z trudem, opanowanie wymykało mu się zbyt szybko spod kontroli.

- Do licha, kobieto! - warknął. - W tych drzwiach nie ma zamka.

Spokojnie odchyliła się i sięgnęła do jego pasa.

- Twój nadzwyczaj sztywny majordomus jest zbyt dobrze wyszkolony, żeby nam przerywać.

- A teraz... - wsunęła mu dłoń do spodni - jak się do tego zabierzemy? Pokaż mi.

Poddał się i zrobił, co chciała, po prostu nie miał siły z tym walczyć i walczyć z nią, z jej delikatnymi dłońmi i bujnymi krągłościami ciała, które tak wyraźnie teraz odczuwał na swych kolanach i swym torsie, jej sprytnie palce nakłaniały go do działania. Nie chciał tego powstrzymywać - nie w swoim obecnym stanie.

Kiedy uniósł jej biodra, a potem opuścił ją, wsuwając się w śliską przystań jej rozpalonego ciała, nawet kiedy zmagął się, żeby stłumić jęk czystej zmysłowej przyjemności, zdał sobie sprawę, że pulsowanie w jego skroniach ustało.

Teraz pulsowało coś innego.

Najwyraźniej jego ciało nie potrafiło pulsować w dwóch miejscach jednocześnie.

Notując sobie w pamięci, by powiedzieć Pringle'owi, że miał rację, Jack opadł na fotel, zamykając dłonie wokół jej bioder pod podkasanymi spodnicami i halkami.

Nawet nie chciał zastanawiać się nad sobą głębiej, analizować siły wypełniającej go radości.

Odsuwając jego ból, zastępując go sięgającą szpiku kości przyjemnością.

Kiedy w końcu opadła na niego bezwładna jak szmaciana lalka, i gdy oboje czekali, aż ich serca się uspokoją, aż oddechy się wyrównają, aż zaniknie błogie echo, Jack pochylił głowę i wycisnął długi pocałunek na jej skroni.

- Dziękuję ci.

Sięgnęła w górę i łagodnie zmierzwiła mu włosy,

- Myślę, że teraz moja kolej, by powiedzieć, że cała przyjemność po mojej stronie. - Mógł dosłyszeć śmiech w jej głosie. - Czy głowa ma się lepiej?

- Zdumiewające, ale tak.

Ostry jak szabla ból zmniejszył się do mglistego cienia. Różnica była uderzająca, mógł myśleć jasno i logicznie.

Jego pierwszą myślą pozostawało niedowierzanie, że Clarice zachowała się w taki sposób. Nie potrafił sobie wyobrazić żadnej innej damy o jej pozycji postępującej w ten sposób. Tak to najwyraźniej bywało z królowymi-wojowniczkami, które nie mrugnawszy okiem, poświęcały towarzyskie reguły, by koić rany swoich partnerów.

Ta myśl sprawiła, że się uśmiechnął.

Wtedy Clarice się poruszyła, a on wstrzymał oddech. Na jej ciepły, bezwładny ciężar jego ciało zareagowało w sposób możliwy do przewidzenia.

Kuszenie losu nigdy nie jest rozsądne.

Dźwignęła się z jego kolan. Wróciła do życia, otrzepała spódnice, poprawiła stanik sukni, podczas gdy on wygładzał ubranie. Potem znowu usiadła w fotelu naprzeciw niego, popatrzyła pytająco

- W porządku. Co powinniśmy zrobić najpierw? Sadzę, że musimy złożyć wizytę biskupowi.

Zgodził się, nieco rozbawiony jej nagłą zmianą nastroju i tematu.

Następny kwadrans spędzili na omawianiu, z kim muszą porozmawiać i w jakiej kolejności najlepiej to zrobić, a później pukanie do drzwi zapowiedziało Gasthorpe'a z tacą.

- Pozwoliłem sobie, milordzie, przynieść panu pańskie zwykłe śniadanie.

Spoglądając na wybór potraw, które Gasthorpe rozłożył na niskim stole, Jack przypomniał sobie, że jeszcze niczego nie jadł.

Służący przyniósł też dzbanek herbaty dla Clarice i talerz

delikatnych ciasteczek. Kiedy je ustawił, spojrzał na Jacka.

- W rzeczy samej, milordzie, musimy pamiętać, że musi pan nabrać sił.

Ujmująco poprawny Gasthorpe uklonił się Clarice i Jackowi, i wyszedł.

Clarice napotkała spojrzenie Jacka i uniosła brwi.

Jack wzruszył ramionami i sięgnął po dzbanek z kawą.

- Interpretuj to, jak sobie chcesz.

Podczas jedzenia skupili się na tym, jak najlepiej podejść do biskupa Londynu. Nie tylko jego aprobata była niezbędna, by umożliwić im spotkanie obrońcy Jamesa, lecz bez wyraźnej zgody biskupa było mało prawdopodobne, że poznają szczegóły zarzutów.

- A bez tych szczegółów nie zajdziemy daleko.

Clarice upiła łyk herbaty.

Jack zastanawiał się, czy zauważyła, jak bardzo swobodne było ich zachowanie w tej chwili. Pogawędka przy śniadaniu, omawianie spraw rodzinnych... Jej ciemne włosy, gdy już znowu znalazły się w koczku (Jack zastanawiał się, który z członków klubu pomyślał o zawieszeniu lustra w salonie), zaśniły, gdy przez zasłony przedarł się promień słońca. Clarice pochyliła się, by postawić pustą filiżankę na stole. Gdy się wyprostowała, Jack skupił uwagę na pięknym kształcie jej głowy i delikatnej linii karku.

Pomijając wszystko inne, w ciągu ostatniej godziny jeden aspekt ich londyńskiej przygody wyraźnie się w umyśle Jacka wyklarował. Razem, on i Clarice, będą znaczącą siłą w odpieraniu zagrożeń, a jeśli instynkt Dalziela podpowiadał mu prawdę, w ujawnieniu odwracającej uwagę intrygi ostatniego zdrajcy - i potencjalnym ujawnieniu samego zdrajcy.

Będą zagrożeniem dla niego.

A to będzie niebezpieczne.

Instynkt Jacka odzywał się już wcześniej, teraz, cicho przeszedł w stan pełnej gotowości. Bez względu na wszystko inne, Jack zamierzał mieć oczy szeroko otwarte i zwrócone

głównie na Clarice.

- Cóż, pójdziemy? - spytała w końcu.

Minęły prawie dwie godziny od wyjścia Dalziela

Jack wiedział, jak szybko działa jego były dowódca, do tej pory biskup powinien otrzymać od niego pismo.

- Tak, zaczynamy.

* * *

Londyńska rezydencja arcybiskupa Canterbury, Pałac Lambeth, usytuowana w rozległych ogrodach, znajdowała się zaraz przy moście Lambeth. Obecnie zamieszkiwał tam biskup Londynu wraz ze swoją administracją i służbą. Jack i Clarice podjechali dorożką pod imponującą frontową bramę, a następnie przeszli kilkanaście metrów po żwirowym podjeździe. Przy wejściu ozdobionym portykiem lokaj przyjął od nich nazwiska i wprowadził do małej poczekalni.

Nie musieli długo czekać. Dziekan Samuels, którego James wspomniał jako prawą rękę biskupa, pojawił się po niecałych pięciu minutach.

Siwowłosa staruszek o okrągłej, dosyć zatroskanej twarzy, uśmiechnął się, przedstawił, po czym wyprowadził ich z pokoju w kierunku wysokich schodów.

- Niezmiernie się cieszę, że państwo przyjechali. Biskup otrzymał list z Whitehall. Muszę powiedzieć, z mojej własnej perspektywy, że to uspokajające mieć kogoś z tak profesjonalnym doświadczeniem.

Jack skinął głową. Zanim zdołał zadać pytanie, dziekan mówił dalej:

- Być może powinienem państwa uprzedzić, że biskup nie jest pewien, czy pozwolić, by na tym etapie szczegóły zarzutów przeciwko Jamesowi wyszły poza kościelne mury. - Dziekan wydał z siebie ciche westchnienie. - Mam nadzieję, że kiedy spotka się z panem, zmieni zdanie.

Uprzedzeni w ten sposób, zostali wprowadzeni do długiego

pokoju, w którego dalekim końcu i ta niewielkim podwyższeniu znajdował się biskupi tron, zasiadał tam prałat, cały w czerwonych szatach i wyszywanej złotą nicią tkaninie barwy kości słoniowej.

Clarice wkroczyła do środka z wysoko podniesioną głową, szeleszcząc jedwabnymi spódnicami. Dziesięć stóp od tronu zatrzymała się i dygnęła w głębokim ukłonie. Jack, przystanąwszy tuż obok niej, nisko się uklonił, a dziekan Samuels ich w tym samym czasie zapowiedział.

Na znak biskupa zbliżyli się do podwyższenia. Byli jedynymi osobami w sali audiencyjnej.

Biskup nie był tak stary jak dziekan Samuels, raczej zbliżał się do wieku Jamesa. Przypatrywały im się, chłodne, bładniebieskie oczy - najpierw spoczęły na Clarice, potem na Jacku, a następnie biskup powiedział płaczliwie:

- To wszystko jest wielce niezgodne z przepisami i w rzeczy samej wielce frapujące. Jestem naprawdę bardzo zaniepokojony. Miałem nadzieję utrzymać te zarzuty wyłącznie w obrębie Kościoła. Ja naprawdę nie potrafię uwierzyć, że James Altwood jest winien jakiegokolwiek wykroczenia, ale oczywiście jestem zobowiązany rozpatrzyć sprawę wniesioną przeciwko niemu.

Jack dosłyszał nutę irytacji w głosie biskupa. Spotykał już wcześniej takich mężczyzn, dzierżyli stanowiska dzięki koneksjom, a sprawne działanie ich urzędów odbywało się niemal wyłącznie dzięki wysiłkom ich podwładnych. Takich jak dziekan Samuels.

Na obronę biskupa, Jack mógł z łatwością zrozumieć, że skandal na miarę zarzutów przeciwko Jamesowi nie byłby w smak żadnemu człowiekowi na wysokim stanowisku, świeckim czy kościelnym.

Podnosząc kartkę z kolan, biskup przebiegł ją wzrokiem, po czym z pewną irytacją spojrzął na Jacka.

- Whitehall zachwyca się panem i sugeruje, w obliczu wagi tych zarzutów i ich delikatnej natury, że najlepiej przysłużyć

się sprawiedliwości, pozwalając na pański wkład raczej na tym etapie, w moim sądzie, zamiast pozwalać, by poglądy, które profesjonalista taki jak pan uznałby za nieuzasadnione lub błędne, negatywnie zabarwiły nasze wnioski i potencjalnie przyczyniły się do bardziej poważnego, publicznego problemu. - Biskup przerwał, utkwivszy spojrzenie w Jacku, po czym spokojnie dodał: - Jak na razie nie jestem przekonany, że to dla nas najlepsze rozwiązanie.

Jack wytrzymał to cierpkie spojrzenie, lecz zanim zdołał logicznie odpowiedzieć, przemówiła Clarice:

- Lordzie biskupie, jeśli mogę coś powiedzieć...

Spojrzenie biskupa przeniosło się na nią, podchwyciła je i zatrzymała.

- Co do dopuszczenia mnie i lorda Warnefleeta do poufności sądu waszej ekscelencji. Jak wasza ekscelencja daje do zrozumienia, zarzuty przeciwko mojemu kuzynowi, wielmożnemu Jamesowi Altwoodowi, są w rzeczy samej poważne, lecz co więcej, dotyczą działalności niezbyt rozumiałej dla laika, także dla urzędników kościelnych. Aby właściwie sprawdzić te zarzuty, kluczową sprawą będzie wiedza o zagadnieniu, którego dotyczą, a ja powiedziałabym, że w niczym interesie nie leży, by z powodu niezrozumienia utrzymywać w mocy te zarzuty, tym samym przekazując je niepotrzebnie do sądu cywilnego tylko po to, by następnie wykazano ich bezpodstawność. Lord Warnefleet posiada wybitne kwalifikacje, by wspierać twoich urzędników przy określaniu prawdziwości tych zarzutów - wskazała skinieniem głowy na kartkę, którą biskup wciąż trzymał w palcach - jak to potwierdzają jego przełożeni w Whitehall. Fakt, że jest znajomym Jamesa, nie może zaćmić jego osądu, wzięwszy pod uwagę jego służbę dla Korony. W rzeczy samej, sam byłby jedną z najbardziej narażonych osób, gdyby zarzuty były prawdziwe.

Przerwała. Biskup marszczył brwi, podążając za jej swobodnie płynącymi słowami, wyraźnie poruszony.

- Co do mnie, to oczywiście, będę reprezentować rodzinę w tej sprawie i składać sprawozdania z, wyników mojemu bratu, Meltonowi. Mam nadzieję, że po wyjściu stąd dzisiaj będę w stanie wyjaśnić mu dokładnie, jakie zarzuty wniesiono przeciwko naszemu kuzynowi. Rodzina będzie zadowolona, wiedząc, że ten atak na nasze nazwisko jest rozpatrywany tak prędko i tak odpowiednio, jak to tylko możliwe.

Pochmurna mina biskupa zmieniła się w nieco udręczoną.

- Rozumiem.

Było kryształowo jasne, że usłyszał i trafnie zinterpretował „bojowy okrzyk” Boudiki.

Łypnął znów na pismo w swojej dłoni, potem na Jacka i w końcu na dziekana Samuela.

- Sądzę - powiedział - że biorąc wszystko pod uwagę, być może jest to właściwe - skłonił głowę w kierunku Clarice - jak to wykazałaś, moja droga, abyście oboje mieli dostęp do sądu, lord Warnefleet udzielając profesjonalnej porady przy tych nietypowych zarzutach, a ty, lady Clarice, jako przedstawicielka rodziny.

Nie wypowiedział tego pytającym tonem, lecz dziekan Samuels szybko zareagował.

- W rzeczy samej, milordzie. To wydaje się wielce rozsądne.

Jack uśmiechnął się czarująco. Boudika uśmiechnęła się także.

Po złożeniu swoich podziękowań za dyspensę biskupa i wymianie zwyczajowych formułek ukłonili się, szykując się do odejścia.

- Zapoznam lady Clarice i lorda Warnefleet z Olsenem, milordzie - odezwał się dziekan Samuels.

- W rzeczy samej, w rzeczy samej. – Biskup uśmiechnął się do Clarice. - Proszę wspomnieć o mnie swojej ciotce, moja droga.

Clarice odpowiedziała na jego uśmiech dyplomatycznym skinieniem głowy. Dziekan Samuels wyprowadził ich z sali

audiencyjnej w głąb pałacu.

- Olsen to diakon wyznaczony do obrony Jamesa. - Dziekan Samuels prowadził ich dalej. - Jest młody, lecz sędzę, że doskonale się spisze. Będzie w swoim gabinecie.

Im dalej szli, tym bardziej pałac stawał się labiryntem, w końcu dziekan poprowadził ich korytarzem z wieloma drzwiami. Zatrzymał się przy jednym z nich, zastukał i otworzył.

- Olsen? Pozwól, że ci przedstawię dwie osoby, które, jak sędzę, będą ci ogromnie pomocne przy podważeniu tych niedorzecznych zarzutów przeciwko Jamesowi Altwoodowi.

Trudno byłoby wyobrazić sobie wyraźniejszą deklarację poparcia.

Pokój miał ściany z kamienia i był akurat takiej wielkości, żeby pomieścić biurko i krzesło, trzy inne krzesła o prostych oparciach i trzy sterty oprawnych w skórę tomów oraz diakona Olsena, duchownego pod trzydziestkę, który na widok gości wstał szczerze zdumiony.

Dziekan Samuels przedstawił ich, opisując Jacka jako eksperta przysłanego przez Whitehall do pomocy biskupowi. Olsen wyjąkał coś miłego, pochylając się nad dłonią Clarice, i pospieszył, by ustawić dla niej krzesło. Raczyła usiąść. Widząc, że Jack i dziekan Samuels sami radzą sobie z pozostałymi krzesłami, znowu czmychnął za swoje biurko.

- Muszę powiedzieć, że niezmiernie się cieszę, widząc państwa. - Skinął ręką na papiery rozsypane na blacie. - Może i wiem coś tam o wojnie, ale to mnie przerasta. I chociaż wiele słyszałem o Jamesie Altwoodzie i jego badaniach, to spotkałem go tylko raz.

Jack uśmiechnął się i przejął wodze, zanim Boudika zdołała to zrobić.

- W jakim był pan regimencie?

Pytanie okazało się początkiem przydatnej przyjaźni, Olsen był rozsądny, bezpośredni, a w tym przypadku wiedział, że sprawa go przerasta. Był bardzo chętny, nawet gorliwy, by podzielić się z nimi szczegółami zarzutów.

Upewniwszy się, że dobrze im się rozmawia, dziekan Samuels wyszedł.

Kiedy drzwi zamknęły się za dziekanem, Clarice spojrzała na Jacka.

- Jakie są szanse, że idzie prosto do biskupa, by mu przekazać, że wszystko jest na dobrej drodze?

Jack uśmiechnął się szeroko.

- Nie zakładam się.

Z rozpromienionym wzrokiem Olsen spoglądał to na jedno, to na drugie.

- Biskup musi wydawać się bezstronny - powiedział. - W rzeczy samej, nawet więcej, musi się wydawać, że dochodzi tych zarzutów z całą mocą. Humphries o to zadbał. Narobił niezłego poruszenia swoimi roszczeniami.

Jack rozparł się wygodniej na krześle.

- Proszę mi opowiedzieć o Humphriesie.

Twarz Olsena skrzywił grymas.

- Spotkacie się z nim państwo, gdy zbierze się sąd albo, co bardziej prawdopodobne, wcześniej, gdy tylko usłyszycie, że pozwolono państwu mi pomagać. - Olsen zastanowił się, po czym ciągnął: - Humphries jest członkiem personelu biskupa od dziesięcioleci. To samotnik, surowy, pobożny raczej w pompatyczny sposób, nieskłonny do uśmiechu i jakiegokolwiek wesołości. Wydaje się całkowicie szczerzy w przekonaniu, że James Altwood był zamieszany co najmniej w sprzedawanie Francuzom swoich ustaleń na temat angielskiej strategii wojskowej.

Poszperawszy wśród papierów na biurku, Olsen wyciągnął trzy kartki.

- Chociaż część zarzutów jest natury ogólnej, bardziej wyciągnięte wnioski niż fakty, i przyczyniła się do tego pewna zazdrość ze strony Humphriesa, to najbardziej szkodliwe i potencjalnie obciążające spośród zarzutów są te. - Wręczając papiery Jackowi, Olsen wychylił się do przodu, żeby wskazać niektóre zapisy. - Trzy daty, pory i miejsca, gdzie Altwood

rzekomo spotykał się ze swoim kurierem, oraz lista niektórych informacji przekazanych na przestrzeni lat.

Trzymając kartki tak, żeby Clarice też mogła je przeczytać, Jack zbadał sedno zarzutów Humphriesa. Jeżeli byłyby prawdziwe, rzeczywiście stanowiłyby obciążający akt oskarżenia Jamesa.

- Jak Humphries zdobył takie informacje?

- Od kuriera. - Olsen oparł się, wzdychając. - I zanim pan spyta, on odmawia ujawnienia na tym etapie nazwiska tego mężczyzny.

Jack znów popatrzył na spis szczegółów.

- Bez kuriera, poświadczającego dokładność tych twierdzeń, materiał dowodowy będzie się opierał wyłącznie na świadkach.

Olsen przytaknął.

- W rzeczy samej. Na każdy incydent Humphries ma przynajmniej dwóch świadków, którzy mogą powiązać Altwooda - w danym miejscu, w danym czasie - z innym mężczyzną.

Jack przez chwilę wpatrywał się w Olsena niewidzącym wzrokiem, po czym rzekł:

- Czy możemy dostać kopie tych... trzech dat, pór i miejsc, i czy ma pan dostęp do listy świadków?

- Tak, tak.

Olsen wyjął czystą kartkę.

- Zrobię państwu kopię, ale uprzedzam, że rozmawiałem już ze wszystkimi świadkami, i oni potwierdzają, że wszystko, co twierdzi Humphries, jest prawdą.

Jack się uśmiechnął, Olsen dostrzegł to, przyjrzał się uważniej i zamrugał.

- Istnieje znacząca różnica między proszeniem przez pana świadków o potwierdzenie a proszeniem przeze mnie, żeby zrelacjonowali, co dokładnie widzieli. Poza tym ja nie noszę koloratki.

Dłoń Olsena zastygła, pióro zawisło nad papierem.

- Lista, diakonie Olsen. - Sądząc z tonu Clarice, zdolności Jacka nie zrobiły na niej wrażenia, raczej uważała je za oczywiste. - Im wcześniej ją dostaniemy, tym wcześniej lord Warnfleet może rozpocząć odpieranie zarzutów i tym wcześniej ja mogę uspokoić rodzinę co do zaistniałej sytuacji.

Olsen zaczerwienił się i szybko ponownie umoczył stalówkę w atramencie.

- Oczywiście, lady Clarice. W tej chwili.

Piętnaście minut później odprowadził ich z powrotem do głównych schodów. Rozstał się z Jackiem niczym z towarzyszem broni, lecz Clarice traktował z wyraźną ostrożnością i przesadnym szacunkiem.

Z listą w kieszeni płaszcza Jack schodził z Clarice na parter. Odgłos kroków Olsena ucichł za nimi w oddali. Jack uśmiechnął się szeroko.

- Instykt Olsena wydaje się dobry.

Clarice obrzuciła go karcącym spojrzeniem. Wiedziała, do czego nawiązuje - do reakcji Olsena na jej osobę.

- Nonsens. - Spojrzała przed siebie. - Wszystko to pokazuje, że on potrafi całkiem nieźle rozpoznać, co dla niego dobre.

Jack głośno się zaśmiał.

Przeszli do ogromnego westybulu, skinęli głowami odzwrotnemu i wyszli przez potężne frontowe drzwi. Powitało ich jasne słońce, Jack zmrużył oczy. Clarice zerknęła na niego.

- Dobrze się czujesz?

Przystanął.

- Skutki twoich zabiegów wydają się trwałe.

- To dobrze.

Jack mógłby się założyć, że teraz oboje dumali nad odwiecznym pytaniem: co dalej?

Podjazd skręcał w kierunku bramy, wysoki żywo płot zasłaniał ostatnie jardy jednej strony podjazdu przed widokiem z pałacu. W tym miejscu, pod osłoną żywopłotu, czekała postać w duchownej szacie.

Kiedy podeszli bliżej, niecierpliwy wyraz twarzy i wyraźne podobieństwo do Anthony'ego podpowiedziały im, kim jest ten mężczyzna. Clarice to potwierdziła.

- Teddy.

- Clarice. - Teddy uśmiechnął się ujmująco, kiedy dołączyli do niego w cieniu, ciepło uściśnął dłoń Clarice, a potem pocałował ją w policzek. - Nie mogę wprost wyrazić, jaką czuję radość i ulgę, że cię widzę.

- To lord Warnefleet. - Cofając się, Clarice zaczęła, aż uściśną sobie dłonie, po czym spytała:

- Słyszałeś o Anthony'm?

Teddy spoważniał.

- Owszem. Dziękuję ci za list. Anthony także napisał. Zaczynałem się zastanawiać, lecz potem pomyślałem, że być może gałgan dostarczył moją wiadomość, a później pojechał do kogoś na przyjęcie.

- Żadnych przyjęć - szepnął Jack. - Miał szczęście, że wyszedł z wypadku w tak znośnym stanie.

- Och? - Teddy spojrział na Clarice.

Skinęła głową.

- Ale kiedy go opuszczaliśmy, był na dobrej drodze do wyzdrowienia. Całkiem niedługo wróci do Londynu.

Teddy przyjął jej zapewnienie, lecz nadal wyglądał na zmartwionego.

- Chodzi o Jamesa. - Przeniósł wzrok z Clarice na Jacka.

- Rozmawialiśmy z biskupem i otrzymaliśmy dostęp do poufnych prac sądu. Właśnie byliśmy u Olsena, podał nam szczegóły zarzutów albo raczej tych zarzutów, które nie są wymysłami. - Jack przyglądał się Teddy'emu, duchowny wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat, i na osobę wrażliwą i solidną. - Co możesz nam powiedzieć o diakonie Humphriesie? Wiemy o stypendium, które przegrał z Jamesem.

Teddy się skrzywił.

- Humphries to teraz najstarszy diakon biskupa, dlatego był w stanie przepchnąć te zarzuty. Najwyraźniej zawsze był

zazdrosny o Jamesa, nawet przed przyznaniem tego starego stypendium, a od tamtej pory jest... cóż, powiedzieć, że jest zaślepiony w swojej niechęci, to byłoby niedopowiedzenie. Kiedykolwiek James przyjeżdża do Londynu, biskup i dziekan Samuels robią wszystko, co mogą, żeby trzymać Humphriesa i Jamesa z dala od siebie. Ostatnim razem wysłali Humphriesa z wizytą na wieś do dziekana w Southampton z jakąś wymyśloną misją. W ciągu pięciu lat, odkąd jestem u biskupa, nigdy nie słyszałem, żeby Humphries powiedział jedno dobre słowo na temat Jamesa.

Jack zmarszczył czoło.

- Pomijając obecny incydent, czy w przeszłości Humphries szczególnie starał się atakować Jamesa?

Teddy zastanowił się, a następnie pokręcił głową.

- Nie. Właściwie to normalnie Humphries szczególnie stara się unikać jakichkolwiek wzmianek o Jamesie, jakiegokolwiek podnoszenia tematu Jamesa w ogóle.

- A zatem - Jack wsunął ręce do kieszeni - to niezwykle zwrot u Humphriesa, zmiana w jego normalnym zachowaniu w stosunku do Jamesa.

- Tak. - Teddy popatrzył na niego, zaintrygowany.

- Moje następne pytania będą następujące: co takiego się stało, że zmieniło to zachowanie Humphriesa, dlaczego to coś miało miejsce i dlaczego teraz?

- Ten kurier-informator. To musiał być on - stwierdziła Clarice. - Pojawił się z informacjami, informacjami, które jeszcze pogłębiły niechęć Humphriesa do Jamesa. Humphries czuł się zobowiązany do przedłożenia ich biskupowi.

Jack przytaknął.

- Jednak, gdy to zrobił, niechęć Humphriesa do Jamesa była gwarancją, że będzie naciskał, domagając się, aby zarzuty zostały zbadane.

Jack i Clarice wymienili spojrzenia, po czym oboje popatrzyli na Teddy'ego.

- Czy masz jakieś pojęcie, kim jest informator

Humphriesa? - spytał Jack.

Zdumiony Teddy pokręcił głową.

- Dopóki o nim nie wspomniałeś, nie wiedziałem, że istniał.

Clarice pokrótce wyłożyła mu, czego dowiedzieli się od Olsena.

- Chociaż możemy zająć się szczegółami doniesień informatora, a tak zrobimy, to w końcu będziemy musieli porozmawiać z tym mężczyzną osobiście, lecz jak na razie Humphries odmawia ujawnienia jego nazwiska.

Przypatrując się Teddy'emu, Jack zobaczył, że jego podobieństwo do Anthony'ego wyraźniej rzuca się w oczy.

- Będę obserwował Humphriesa i zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć. Oczywiście, on wie o moim pokrewieństwie z Jamesem, więc muszę być dyskretny. - Teddy spojrział w oczy Clarice i uśmiechnął się. - Poleciał mi nie rozmawiać z Jamesem o zarzutach, lecz ja wcześniej wysłałem Anthony'ego.

- Czy powiedziałeś o tym Humphriesowi? - zapytał Jack.

- Nie, lecz... Portierzy składają raporty Humphriesowi, a oni wiedzieli, że posłałem po Anthony'ego i że on przyjechał, i że rozmawialiśmy.

Jack przez długą chwilę przyglądał się Teddy'emu, a potem powiedział tonem, który sprawił, że słowa zabrzmiały jak rozkaz:

- Nie śledź Humphriesa poza tym terenem. W żadnych okolicznościach. To, co możesz zrobić, to wypróbować każdą możliwą ścieżkę, żeby poznać tożsamość informatora Humphriesa. Zjednaj sobie portierów, zobacz, co oni wiedzą. Pytaj osoby, które sprzątają pokoje Humphriesa, czy widziały zapiski z nazwiskiem lub adresem. Czy on kiedykolwiek jeździ konno, czy tylko spaceruje? Wszystko, co mogłoby nam podsunąć jakąś myśl, kim jest ten informator i gdzie go można znaleźć.

Teddy skinął głową.

- Zrobię to. - Popatrzył na Clarice. - Jak James to

przyjmuje?

Clarice zapewniła go, że w typowy dla Jamesa sposób był nieco mniej zaniepokojony niż oni.

Teddy się uśmiechnął.

- On zawsze celował w ignorowaniu tego, czym nie chciał zaprzętać sobie głowy.

Rozstawszy się z Teddym, wyszli przez bramę i skręcili w kierunku mostu Lambeth, żeby znaleźć dorożkę.

- Dlaczego ostrzegłeś Teddy'ego, żeby nie śledził Humphriesa poza terenem pałacu?

- Ponieważ mamy już jednego Altwooda z prawie rozbitym głową.

Jack się rozejrzył. Okolica pałacu i jego ogrody były eleganckie i emanowały spokojem, ale zaledwie parę domów dalej znajdowały się domy publiczne i nędzne czynszówki, gdzie nawet duchowni nie mogli czuć się bezpieczni.

- Nawet nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby Teddy spotkał twojego wątpliwego dżentelmena o okrągłej twarzy, i nie było tam ciebie i mnie.

Clarice podniosła głowę, jej zaciśnięte wargi zdradzały determinację.

- W takim razie sugeruję, żebyśmy udali się do Benedict's i przy lunchu wszystko spokojnie omówili.

Nadjechała dorożka, turkocząc na moście, Jack skinął na nią, po czym z zamaszystym ukłonem zaprosił Clarice, by wsiadła.

- Twój rydwan czeka. Prowadź.

Spojrzenie, jakim go obrzuciła, gdy wsiadała do powozu, było pełne niezmiętej wyższości.

- Czy jesteś pewien, że nie masz jakichś poważniejszych problemów z głową?

Jack zaśmiał się i wsiadł w ślad za nią.

Rozdział 13

Następnego ranka Clarice siedziała przy małym stoliku przy oknie w swoim apartamencie, popijała herbatę, chrupała grzanekę i zastanawiała się nad złożeniem wizyty bratu.

Naprawdę powinna odwiedzić modniarkę. Jeśli miała wkroczyć pomiędzy wyższe sfery w szczycie sezonu, potrzebowała przynajmniej jednej nowej sukni lub nawet dwóch.

Dochodziła dziesiąta. Clarice wstała późno, długo po tym, jak Jack zostawił ją tuż przed świtem zaspokojoną i wtuloną w zmięte prześcieradła.

Wczoraj wrócili z audjencji u biskupa i natychmiast zabrali się do pracy, skubiąc potrawy podczas lunchu i jednocześnie wiążąc ze sobą szczegóły trzech spotkań wymienionych w zarzutach z listami podróży i wywiadów Jamesa. Na pierwszą przeszkodę natrafili, odkrywając, że daty trzech incydentów rzeczywiście pokrywają się z trzema wizytami Jamesa w stolicy - trzema wizytami, podczas których rozmawiał z różnymi żołnierzami i dowódcami.

Clarice na chwilę zamarło serce, lecz Jack, odczytując wyraz jej twarzy, stwierdził, że byłoby bardziej zaskakujące, gdyby odparcie zarzutów okazało się łatwe.

Odparła cierpko, że byłaby uszczęśliwiona, będąc tak zaskoczona.

Ustaliwszy, ile się tylko dało w kwestii spotkań, skupili uwagę na zamieszanych w nie ludziach, zarówno świadkach, jak i tych, których przepytował James. Związek między informacjami, które uzyskał w trakcie spotkań, i tymi, które rzekomo przekazał, był niewielki.

- Będziemy musieli to sprawdzić - powiedział Jack - lecz nawet jeśli treść wywiadów nie pasuje do rzekomo przekazanych informacji, to i tak naprawdę nie pomoże. James mógł zebrać te informacje jakąś inną drogą albo podczas wcześniejszych wywiadów.

- Ale przecież musi istnieć jakiś rozsądny powód pozwalający przypuszczać, że znał informacje, które

przekazywał?

- To prawda. A zatem będziemy badać oba aspekty: świadków i przekazane informacje. Będziemy musieli się dowiedzieć, jakie konkretnie fakty rzekomo przekazano podczas tych trzech spotkań. Jak dotąd Humphries tego nie ujawnił, lecz to będzie kluczowa sprawa dla obrońcy Jamesa.

Czas do obiadu zajęło im podjęcie decyzji, jak właściwie zamierzają obalić zarzuty, oraz spisanie wszystkich punktów, które mogli podważyć, a polem określenie każdej ścieżki mogącej doprowadzić do dowodów podważających zarzuty. I uwzględnwszy wszystko razem, możliwości były rozległe, lecz Jack ostrzegał, że będzie im potrzebny więcej niż jeden fakt zaprzeczający dowodom, a może więcej też niż dwa na każdy z trzech incydentów, by mieć pewność, że ich racje zwyciężą.

O ósmej ogłosili przerwę i zeszli na dół, by zjeść w hotelowej jadalni, w atmosferze, którą łatwiej było spotkać w najbardziej dostojnych klubach dla dżentelmenów. Cicha rozmowa i całkowite ignorowanie innych gości były tu niepisaną zasadą, nawet Jack musiał przyznać, że to było bezpieczne miejsce.

Wróciwszy do apartamentu, przejrzeni swoją pracę i zgodzili się, że Jack najpierw poświęci się odnalezieniu świadków i porozmawianiu z nimi. Tym czasem Clarice powiadomi rodzinę, zmobilizuje ją do pomocy Jamesowi i ustali, czy krewni mają koneksje, które mogą posłużyć do wywarcia wpływu na biskupa, wyśledzenia kuriera oraz zweryfikowania ruchów Jamesa. I w taki czy inny sposób wydobędą od Humphriesa potrzebne szczegóły.

Podjąwszy decyzję, Jack wstał i wszystko wskazywało na to, że zamierza wyjść. Clarice szybko dała mu więc jasno do zrozumienia, w możliwie najbardziej skuteczny sposób, że oczekuje, iż Jack pozostanie i będzie dzielił z nią łóżko. Dla dobra Jamesa należało uczynić wszystko co w jej mocy, by mózg Jacka funkcjonował tak sprawnie, jak to tylko możliwe. Nie chciała, by w jasnym myśleniu przeszkodził mu ból głowy.

Roześmiał się i wyszeptał jej do ucha, że choć teraz solennie zamierzał opuścić ją i jej pokój i demonstracyjnie wyjść z hotelu frontowymi drzwiami, przechodząc obok konsjerża, który zauważył jego przybycie kilka godzin wcześniej, równie solennie zamierzał wrócić bocznym wejściem i po bocznych schodach do jej pokoju i do niej.

Pozwoliła mu wyjść i czekała zniecierpliwiona.

Jack wrócił, tak jak obiecał, niecałe piętnaście minut później, a ona wzięła go za rękę i poprowadziła do łóżka.

Wziąwszy pod uwagę wszystko, co zaszło między jego powrotem a rankiem, Clarice była całkiem pewna, że jeżeli jakaś część jego ciała będzie obolała, to nie będzie to jego głowa.

Uśmiechając się leciutko, odstawiła filiżankę z herbatą i poświęciła chwilę na rozkoszowanie się dziwnym uczuciem osiągnięcia czegoś, swoją zdolnością skutecznego łagodzenia jego obrażeń, zdolnością do opiekowania się nim w taki sposób... I korzyściami, jakie wiązały się z jego podziękowaniami.

Jego mistrzowskimi zalotami.

Pukanie do drzwi wyrwało ją z zadumy i zmusiło do zmazania z twarzy niemądrego uśmiešku. Weszła pokojówka i uprzątnęła tacę ze śniadaniem.

Clarice usiadła przed toaletką i poprawiła włosy.

Jej brat Melton czy modniarka?

Zegary w apartamencie wybiły dziesięć razy.

Modni dżentelmeni podczas sezonu rzadko wstawali z łóżek przed południem, nie było sensu układać Meltonowi wizyty o zbyt wczesnej porze.

Rozwiązawszy dylemat, Clarice sięgnęła po kapelusz.

* * *

Celestine była jej modniarką przez ostatnie dziewięć lat. Początkowo nowa przy Bruton Street, z biegiem lat stała się

marką związaną z haute couture, Clarice dzieliła się teraz wiadomościami o jej usługach ze śmietanką towarzystwa.

I wyłącznie ze śmietanką towarzystwa, nikt inny nie mógł sobie obecnie pozwolić nawet na najskromniejszą z kreacji tej modniarki.

Bywało za czasów najbardziej skandalicznych, że Clarice wślizgiwała się do salonu o niemodnej godzinie dziewiątej rano, by uniknąć cenzurujących spojrzeń. Teraz, stojąc za parawanem w rogu salonu i pozwalając jednej z asystentek modniarki na pomoc przy wkładaniu dosyć śmiałej sukni w Clarice ulubionym śliwkowym kolorze, przypomniła sobie, że tamte dni są już dawno za nią.

Dochodziła jedenasta i wytworne matrony w towarzystwie córek właśnie będą wsuwały rękawiczki, szykując się do pierwszych tego ranka wypadów do miasta, porannych herbatek, modnych odwiedzin albo wizyty na Bruton Street. Mimo że Clarice przez lata przebywała z dala tego wszystkiego nadal czuła upływające godziny i nie zastanawiając się, wiedziała, co by robiła o każdej z nich, gdyby nadal była światową damą.

Ale nie była, więc mogła robić to, na co miała ochotę.

Clarice przedefilowała przed długim lustrem, przyglądając się opadaniu spódnic i temu, jak jedwab przylega do jej figury.

Wyobrażała sobie, co zobaczy Jack i jak zareaguje.

Uśmiechając się, już miała poprosić asystentkę żeby sprowadziła Celestine, kiedy otworzyły się główne drzwi do salonu, wpuszczając, jak się okazało, rozplotkowaną parę. Clarice usłyszała, jak Celestine chłodno wita nowo przybyłe, lady Grimwade i panią Raleigh - słynące z rozległych koneksji stare megiery, które od wieków rywalizowały o tytuł najbardziej zażartej plotkarki w towarzystwie.

- Mówię ci, Henrietto, to prawda. - Lady Grim wadę przerwała, żeby gwałtownie nabrać powietrza. - Tylko pomyśl! - Za parawanem, Clarice mogła z łatwością wyobrazić sobie błysk w czarnych, paciorkowatych oczach jej lordowskiej mości. - Cóż za upokorzenie dla tej okropnej kobiety, mieć zdrajcę w

rodzinie.

Po barkach Clarice przebiegł nagły chłód.

- Naprawdę trudno mi w to uwierzyć, Annabelle. Spokojniejszy ton pani Raleigh brzmiał nieco karcąco. - To Altwoodowie, bądź co bądź. Chciałoby się mieć absolutną pewność, zanim ktoś usłyszy, że opowiada się takie historie.

- W rzeczy samej, Henrietto, lecz możesz być pewna, że mam rację. Najwyraźniej biskup Londynu przekazał już tę sprawę władzom.

Clarice nie chciała czekać dłużej. Wiedziała najlepiej, jak słuszne będzie zdławienie nadciągającego skandalu w zarodku, tego właśnie nie zdołała zrobić siedem lat temu.

Z gracją wyszła zza parawanu.

- Celestine? Czy mogłabyś...

Stała twarzą w twarz z Annabelle Grimwade i Henriettą Raleigh. Nic w postawie czy zachowaniu Clarice nie sugerowało, że usłyszała ich paplanie. Stała odprężona, z wdziękiem wyciągając ręce, jakby czekała na Celestine, zastygła, by podziwiać kształt sukni. Lady Grimwade i pani Raleigh z początku wpatrywały się, jak podejrzewała Clarice, w śmiałą i wystawną kreację z głębokim dekoltem, nastąpiła długa chwila milczenia, zanim ją rozpoznały.

Wiedziała, kiedy to się stało, ich oczy zrobiły się okrągłe i rozszerzały się coraz bardziej. Usatysfakcjonowana spojrzała na Celestine.

- Myślę, że ta suknia się nada. - Okręciła się tak, że śmiało odsłonięte plecy zaprezentowały się jej widowni w pełnej krasie, zdawało się, że słyszy cichy okrzyk.

Celestine sprostowała wyzwaniu.

- Pasuje do pani *parfaitement*. A teraz, jeśli pani zechce, skoro tu jest, może przymierzy pani tę zieloną atlasową. - Wskazała miejsce za parawanem.

Clarice poruszyła się, jakby chciała się cofnąć, ale spojrzała do tyłu, na dwie harpie.

- Nawiasem mówiąc, może zechcecie się panie

dowiedzieć, że co do kwestii, o której tak niedawno dyskutowałyście, to zaledwie wczoraj rozmawiałam z biskupem Londynu. Jego pojmowanie spraw dziwnie stoi w sprzeczności z waszym

- Przerwała, wytrzymując ich zaskoczone spojrzenia, po czym dodała tonem ociekającym lodową wyniosłością: - Choć może i jesteście, panie, specjalistkami w dziedzinie skandali, to niewiele osób zna kulisy tej historii lepiej ode mnie.

Rzuciwszy im ostatnie spojrzenie, wkroczyła za parawan.

Celestine poszła za nią.

- *Cherie*, tak mi przykro.

- Niepotrzebnie. To dobrze, że usłyszałam plotki tak szybko. - Machnięciem ręki Clarice ponagliła asystentkę, żeby się pospieszyła i rozwiązała tasiemki sukni. - Nawiasem mówiąc, biorę ją. Proszę ją wysłać do Benedict's. Wrócę jutro rano, żeby zobaczyć, co masz jeszcze.

Celestine westchnęła.

- Nie za to przepraszałam, że usłyszała pani te dwie jędze.

Clarice napotkała spojrzenie Celestine w lustrze.

- A więc za co?

- Za to, że wspomniałam o zielonej atlasowej.

Celestine przesunęła się, żeby wyjrzeć na salon.

- Te dwie sobie poszły, lecz jest tu sześć innych, które widziały i słyszały. Jeżeli pragnie pani zdusić plotkę, to musi pani ją przymierzyć, czyż nie?

- Tak, masz rację. - Opuściła barki, śliwkowa jedwabna suknia zsunęła się, tworząc miękkie wzniesienie u jej stóp. - Przynies zielony atlas, u później naprawdę muszę iść.

* * *

Jak to się zwykle działo z każdą suknią, którą Celestine szczególnie polecała, zielony atlas pasował Clarice znakomicie, więc czasu spędzonego na przymierzaniu nie można było zaliczyć do straconego.

Ale Clarice mówiła prawdę, wiedziała wszystko, co można było wiedzieć o plotce w obrębie wyższych sfer. Może i chwilowo uciszyła dwie z czołowych plotkarek, ale na tym się nie skończy. Jeśli Grimwade i Raleigh usłyszały tę nowinę, inni słyszeli ją także. Nikt nie zasiewa plotki tylko w jednym uchu. Sytuacja wymagała natychmiastowego i zdecydowanego działania.

Co więcej, napawanie się przez Grimwade upokorzeniem „tej okropnej kobiety” mocno sugerowało, że jej macocha, Moira, z upływem lat nie stała się bardziej lubiana ani bardziej szanowana.

Obrona rodziny mogła spaść na Clarice. Ona zdecydowanie zamierzała odegrać swoją rolę i wyjść do towarzystwa z podniesioną głową, co oznaczało, że jej nowe suknie będą równie ważne jak zbroja na polu bitwy.

Tak szybko, jak to wypadło, opuściła salon.

Żadnych więcej wymówek, żadnego ociągania. Nawet jeśli Melton nadal jest w łóżku, to po prostu każe go z niego wyciągnąć i zmusi do słuchania.

Miała szczerą nadzieję, że nie cierpiał z powodu skutków nocy spędzonej na mieście.

Jedna z asystryjek pospieszyła, żeby przytrzymać dla niej drzwi, uśmiechając się z roztargnieniem, Clarice wyszła na ulicę. Przystanąła na moment, jej oczy przystosowywały się do blasku słońca.

- Tu jesteś, kotku. Czekaliśmy na ciebie.

Prawie się cofnęła, lecz tuż za nią były drzwi,

Przed nią, po obu stronach, niemal ją osaczając, stali dwaj potężni mężczyźni. Ich ubrania zdradzały, że byli robotnikami, a nie dżentelmenami. Co, u licha, robili na Bruton Street? I dlaczego myśleli, że czekają na nią?

- Obawiam się, że panowie się pomylili. Jeden z mężczyzn uśmiechnął się i otworzył usta...

- Clarice?

Odwracając głowę, zobaczyła Jacka wychodzącego zza rogu.

Skupił wzrok na mężczyznach, nie wyglądał na zadowolonego.

Clarice uśmiechnęła się uspokajająco i skinęła ręką. Odwróciła się na czas, żeby zobaczyć, jak tamci dwaj wymieniają pospiesznie spojrzenia. Potem ten, który wcześniej już prawie miał się odezwać, dotknął brzegu czapki.

- Ma pani rację, panienko. Chyba się pomyliliśmy. Panienska wybaczy.

Drugi też dotknął czapki i szybko odeszli w stronę przeciwną do tej, z której nadchodził Jack. Dotarli do rogu ulicy i skręcili za budynek.

Jack groźnie patrzył za mężczyznami.

- Kim oni byli, do diabła?

- Nie mam pojęcia. Czekali na jakąś kobietę i pomylili mnie z nią... - Słyszac swoje własne słowa, uświadomiła sobie, jakie to nieprawdopodobne albo raczej niemożliwe. Podniosła wzrok na Jacka.

Spojrzenie, które jej posłał, było pełne niedowierzania.

- Nieważne, nie mamy na to czasu. - Chwyciła go za ramię. - Jak rozumiem, dostałeś moją wiadomość, dokąd się udaje. Niestety, sytuacja uległa zmianie. Plotki już się szerzą. - Zadarła podbródek. - Muszę spotkać się z bratem.

Jack przelknął cierpkie słowa palące go w język, teraz nie była pora na pouczanie jej o zagrożeniach czyhających nawet na najbardziej wytwornych ulicach. Później mógł ją wypytać o tych dwóch mężczyzn i sprawdzić wraz z Deverellem, czy porywanie kobiet stało się w ostatnich latach bardziej rozpowszechnione. Jednak teraz...

- Pójdę z tobą.

Posłała mu spojrzenie z ukosa, a potem ruszyła naprzód.

Jack mógł niemal usłyszeć argumenty przemykające jej przez głowę. Gdyby próbowała odmówić, on by nalegał, lecz wolałby, żeby przyjęła jego wsparcie. Najchętniej w takim duchu, w jakim je zaoferował jako przyszły mąż, chociaż był całkiem pewien, że nie zdawała sobie sprawy z jego intencji. Szli energicznym krokiem, kierując się do serca Mayfair.

- Gdzie mieszka twój brat?
- W Melton House. To przy Grosvenor Street. Okrążyli Berkeley Square i skręcili w Mount Street.

- A więc jakie plotki słyszałaś? Gdzie i od kogo?

Opowiedziała mu. Zrelacjonowała też swoje podejrzenia dotyczące macochy.

- Moira była postrzegana jako swego rodzaju parweniuszka, kiedy poślubiła papę, jednak sięgając pamięcią wstecz, nie potrafię sobie przypomnieć żadnego nieprzychylnego zachowania wobec niej, kiedy ja z nią bywałam.

- Kiedy z nią bywałaś, ty byłaś przy niej. Ci, którzy mogli przyjmować twoją macochę ozięble, może nie czynili tego w twojej obecności.

Jej pochmurna mina stała się jeszcze bardziej smutna.

- Masz rację, oczywiście. Zastanawiam się, co się tu działo, jak Moira radziła sobie w tej kwestii, odkąd wyjechałam.

- Niezbyt dobrze, jak się zdaje.

Dotarli na Grosvenor Street, i Clarice wskazała ogromną rezydencję po drugiej stronie ulicy, niedaleko placu.

- To tutaj. - Przystanąła. - Chodźmy.

Ujął ją pod ramię, razem przeszli przez ulice i wspięli się po schodach do wąskiego portyku Jack szarpnął za dzwonek przy drzwiach. Z głębi domu dobiegł głośny brzęk.

Clarice stała przed drzwiami - drzwiami jej ojca, chociaż teraz już go nie było i to jej najstarszy brat Alton rządził jego schedą.

Wydawało się niesłychanie dziwne, tak stać na schodach przed domem ojca z dżentelmenem u boku takim jak Jack.

Po drugiej stronie drzwi zbliżyły się ciężkie kroki, a potem dobiegł ich odgłos otwieranej zasuw.

Drzwi stanęły otworem.

- Tak?

Z wysoko podniesioną głową Clarice spojrzała w twarz kamerdynerowi swego ojca i widziała, jak jego mina zmienia się

z tak wyniosłej, że mogłaby konkurować z jej własną, w radosną.

- Lady Clarice! Milady, proszę wejść! – Edward zgiął starczą sylwetkę w unizonym ukłonie, rozpromienił się, kiedy Clarice przekroczyła próg. - To balsam dla moich starych oczu, milady, widzieć panią znowu.

- Dziękuję, Edwards. To jest lord Warnefleet - Przerwała, gdy kłaniał się Jackowi. - Czy Alton jest w domu?

- W rzeczy samej, milady, i będzie poruszony, widząc panią po tych wszystkich latach. Jest w bibliotece.

Alton w bibliotece o tej porze? O jakiegokolwiek porze? Wyraźnie sprawy nie miały się tak jak dawniej.

Nie postawiła stopy w tym domu przez siedem lat, od czasu, kiedy go opuściła w drodze na ustanowione przez rodzinę wygnanie do Avening. Z biegiem lat weszło jej w nawyk nie zbliżać się do rodziny, nawet do własnych braci, chociaż zapewne mogła to zrobić, kiedy jej ojciec zmarł, a wraz z nim przestała obowiązywać jego decyzja zabraniająca jakichkolwiek wzmianek o niej. Jednak po pięciu latach milczenia Clarice przywykła do braku kontaktu.

Zapewne oni także, bo nigdy nie napisali ani nie przyjechali, żeby się z nią zobaczyć, nawet po odejściu ojca. Podczas swoich wizyt w mieście Clarice nie czyniła więc żadnych wysiłków, żeby odnowić kontakty.

Zatrzymała się przed drzwiami biblioteki i poczuła zaskoczenie, stwierdziwszy, że nie ma dla niej niczego bardziej stresującego niż nieco krępująca ciekawość, co też kryje się dla niej i dla Jamesa za tymi ciemnymi drzwiami. Alton, zawsze dobroduszny, zawsze był też nieco lekkomyślny, beztroski, z niefrasobliwym uśmiechem, który trafnie odzwierciedlał jego pogląd na świat. A był on chyba najpoważniejszym z braci Clarice. Trzech synów jej ojca z pierwszego małżeństwa od urodzenia hołubiono i rozpieszczano, chociaż cechowali się dobrym zdrowiem i spokojnym usposobieniem, rezultat i tak był łatwy do przewidzenia.

Edwards poprzedał ich w korytarzu. Clarice pozwoliła mu otworzyć drzwi na oścież i zaanonsować ich przybycie, Edwards byłby dotknięty, gdyby kazała mu odejść. W chwili, gdy zaintonował: „Lady Clarice, milordzie, i lord Warnefleet”, wkroczyła do pokoju.

I zobaczyła Altona, siedzącego za ogromnym biurkiem, bardziej zmizerowanego niż kiedykolwiek. Podniósł głowę, którą ścisnął w dłoniach, najwyraźniej bliski rozpacz. Kiedy skupił wzrok na Clarice, na jego twarzy pojawił się wyraz osłupienia. Przeniósł spojrzenie na Jacka, ale niemal od razu powrócił do Clarice.

Siedem lat zniknęło jak sen.

- Dobry Jezu, Altonie! Chyba nie jesteś wstawiony o tej porze?

Nie sądziła, że to możliwe, ale jego aż nazbyt blada twarz pobleadła jeszcze bardziej.

- Nie! Oczywiście, że nie! Od wczoraj nie tknąłem ani kropelki. Przysięgam... - Umilkł, przez chwilę wpatrywał się w nią, po czym poderwał się na równe nogi i wyszedł zza biurka. - Clary! Wielkie nieba, jak dobrze cię widzieć!

Wciągnięta w miazdzący uścisk, pochwycona tak mocno, jakby była jakąś liną ratowniczą, Clarice poczuła się kompletnie zdezorientowana. Odwzajemniła uścisk, chociaż słabiej, i poklepała Altona po ramieniu.

- Ja... wróciłam na krótko.

Alton puścił ją i się cofnął, ale natychmiast pochwyił jej dłonie i przypatrywał się jej, z zachwytem się uśmiechając. W jego ciemnych oczach, nie aż tak ciemnych jak jej własne, wprost płonęła nie skrywana radość i równie wyraźna ogromna ulga.

Zanim zdążyła przemówić, Alton, wciąż uśmiechnięty od ucha do ucha, zwrócił się do Edwardsa:

- Świętujemy! Przynieś coś, ale nie szampana.

Jego spojrzenie pomknęło do Clarice.

- Jest za wcześnie, nieprawdaż? Jakąś ratafię albo orszadę,

czy może teraz damy lubią sherry? Nie znam się na tym.

Był jak dziecko, ochocze i pragnące zaimponować.

- Być może herbata i ciastka, milordzie? - zaproponował Edwards.

Niczym pełen nadziei psiak, Alton spojrzął pytająco na Clarice.

- Dziękuję, Edwards. Herbata i ciastka w zupełności wystarczą. - Ogarnęło ją nagłe przeczucie, że będzie jej potrzebne pokrzepienie.

- Co się tutaj dzieje?

- Och, i Edwards? - Alton spojrzął w oczy starego kamerdynera. - Nie ma potrzeby mówić jej lordowskiej mości, że lady Clarice jest tutaj.

- Nie, w rzeczy samej, milordzie. - Między panem i sługą zaistniało milczące porozumienie, a potem Edwards dostojnie uklonił się Clarice.

- Milady, pozwoli pani, że powitam ją w imieniu całej służby i powiem, jak bardzo się cieszymy, widząc panią znowu pod tym dachem.

Clarice skłoniła głowę jak królowa.

- Dziękuję. Proszę przypomnieć mnie tym wszystkim, których znałam kiedyś.

Zaczekali, aż Edwards wyjdzie, kiedy zamknął drzwi, Clarice przedstawiła Jacka.

- Lord Warnefleet był uprzejmy towarzyszyć mi do miasta. To bliski przyjaciel Jamesa.

Wyraźnie szczęśliwy, mogąc powitać każdego, kto okazał zyczliwość jego siostrze, Alton ochoczo uściśnął dłoń Jacka, ale niemal od razu jego uwaga na nowo skupiła się na Clarice.

- Każemy przygotować twój stary pokój, jak za dawnych czasów. Nikt tam nie przebywał, odkąd wyjechałaś. Roger usłyszał, jak Hilda i Mildred planowały wykraść stamtąd rzeczy, dlatego zamknął drzwi na klucz. Spodziewam się więc, że zebrało się tam trochę kurzu, ale pani Hendry będzie taka poruszona, znowu mając cię w domu, że...

- Altonie - Clarice przerwała mu gwałtownie.
- Zatrzymałam się w hotelu Benedict's, tak jak zawsze. Zamrugał, najwyraźniej nieco urażony.
- Jak zawsze? A więc często przyjeżdżasz?

Jego ton sprawił, że posmutniała.

- Przynajmniej dwa razy do roku. Może i mieszkam na wsi, ale nadal potrzebuję sukien. Zresztą pisałam ci o tym. Nigdy nie odpowiedziałeś, ani żaden z was nigdy nie przyjechał, żeby się ze mną zobaczyć...

- Ja nigdy nie dostałem od ciebie żadnego listu - Głuchy ton w głosie Altona nie pozostawiał wątpliwości, że mówi prawdę. - W ogóle nie wiedziałem, że przyjeżdżałaś do miasta. Roger i Nigel także nie.

Clarice pozwoliła, żeby jej chmurny nastrój uwidocznił się na twarzy, a w jej głosie dała się słyszeć nuta niesmaku.

- Papa, jak przypuszczam. Zastanawiałam się.. Ale napisałam ponownie po jego śmierci.

Alton pokręcił głową.

- Tego także nie dostaliście?

- Nie mieliśmy pojęcia, że w ogóle bywałaś w mieście. Myśleliśmy, że zakopałaś się na wsi, zaczęłaś nowe życie i zapomniałaś o nas. Byłaś taka oburzona na nas wszystkich, kiedy wyjeżdżałaś...

Poklepała go po ręce, a potem podeszła do fotela.

- Nie na was. Pamiętaj, że wiedziałam, jaki jest papa. Was nigdy nie obwiniałam.

Zatapiając się w fotelu, rozsiadła się wygodnie i podniosła wzrok na Altona.

- Ale wy też nigdy nie przyjechaliście do Avening, żeby się ze mną spotkać.

Alton machnął ręką.

- Kiedy nie odpowiadałaś na nasze listy...

Urwał, a potem spojrział na Clarice, która pokręciła głową.

- Nigdy ich nie dostałaś?

- Zakładam, że zostawialiście je na tacy w holu, żeby papa

je ofrankował?

Alton zaklął pod nosem, okrążył biurko i ciężko opadł na krzesło.

- Nie sądziłem, że ten stary cap posunie się tak daleko. Nie pozwolił nikomu wspomnieć twojego imienia, ale nigdy nie mówił nic o pisaniu przez nas listów do ciebie.

- Nie zawracał sobie głowy mówieniem, po prostu działał.

Alton podparł się na łokciach i ściągnął brwi. Jack, cicho sadowiac się w drugim fotelu naprzeciwko biurka, zobaczył coś, czego nie dostrzegł aż do tej chwili - przelotny cień twardego jak stal spojrzenia typowego dla Clarice - w zamysłonych oczach jej brata.

- Napisałem znowu, kiedy już nie żył – odezwał się Alton.

Brat i siostra wymienili długie spojrzenia, po czym Clarice szepnęła:

- Rozumiem.

Jack przypuszczał, że miała na myśli to, iż ktoś inny - stawiał na macochę - dopilnował, by łączność między braćmi a siostrą pozostała zerwana. Od razu nasuwało się pytanie: dlaczego?

To samo pytanie pojawiło się w ciemnych oczach Clarice. Jack nabierał wprawy w odczytywaniu ich wyrazu, w wyczuwaniu jej emocji, jej myśli. Od chwili, kiedy weszła do biblioteki, była niepewna, zbита z tropu powitaniem, tak bardzo różnym od tego, którego się spodziewała. Jack zaczynał rozumieć, że oczekiwała co najmniej chłodu, nawet ze strony braci, zaczynał pojmować dlaczego, i zaczynał doceniać, jak głęboką ranę nosiła przez tak długi czas.

Ale Clarice, tak jak i on, zaczynała wyczuwać, jak daleka od spodziewanej była rzeczywistość.

- Altonie... - Wytrzymała spojrzenie ciemnych oczu brata.

- Przyszłam tutaj, żeby prosić cię o pomoc dla Jamesa w sprawie, która dotyczy całej rodziny. Myślę jednak, że zanim o tym pomówimy, lepiej by było, gdybyś opowiedział mi dokładnie, co się tutaj dzieje.

Alton głośno westchnął, potarł twarz obiema dłońmi i przecesał włosy palcami, tak jak wtedy, gdy wchodzili do biblioteki. Potem popatrzył na Clarice.

- Oto dlaczego tak się ucieszyłem na twój widok. To, co się tutaj dzieje, jest bardzo proste. Moira rządzi. Ona pociąga za sznurki, a my, my wszyscy, tańczymy tak, jak nam zagra.

Clarice zmarszczyła czoło. Zanim zdołała zadać następne pytanie, pukanie do drzwi oznajmiło przybycie Edwardsa z tacą, a za nim szła gospodyni niosąca dzbanek z herbatą. Musieli poczekać podczas gdy Clarice przywitała się z panią Hendry, uśmiechnęła się, przyjęła powitanie ze strony gospodyni i łagodnie, lecz stanowczo rozwiała wszelkie nadzieje, że zatrzyma się w Melton House. Kiedy w końcu drzwi za kamerdynerem i gosposią się zamknęły, Alton przypomniał sobie o obecności Jacka. Odchrząknął.

- Być może powinniśmy odłożyć tę dyskusję do chwili, gdy lord Warnefleet nas opuści.

Jack uchwycił spojrzenie - ostrzeżenie - jakie Clarice posłała mu, nim odezwała się swobodnie:

- Lord Warnefleet nas nie opuści, w każdym razie nie beze mnie. - Ignorując zmarszczone brwi Altona, spokojnie ciągnęła dalej, jednocześnie napełniając filiżanki herbatą. - Powiedziałam ci, że to bliski przyjaciel Jamesa. To także i mój bliski przyjaciel. Jack wie wszystko o rodzinie. Jego asysta będzie kluczowa w pomaganiu Jamesowi, co równa się pomaganiu wszystkim Altwoodom. Jeżeli nie usłyszysz osobiście tego, co zamierzasz powiedzieć, to i tak mu będę musiała mu to przekazać. A zatem przestań się wykręcać i wyjaśnij mi to - Podawała Altonowi filiżankę, Jack obsłużył się sam.

Clarice wbiła w Altona niemal inkwizytorskie spojrzenie.

- Jesteś Meltonem, teraz to ty zarządzasz dobrami, tym domem i wszystkim innym również. Co Moira ma tu do powiedzenia?

Alton zerknął na Jacka, a później spojrzął na Clarice.

- Mówiąc w przenośni, trzyma nas krótko przy pysku.

Spojrzenie, jakim obrzuciła go Clarice, karcilo go za brak oglady i jednocześnie zachęcało, żeby mówił dalej.

- Ja mam trzydzieści cztery lata, Roger trzydzieści trzy, a Nigel trzydzieści jeden. - Alton podniósł rękę, powstrzymując Clarice, kiedy ta otworzyła usta, by mu przypomnieć, że o tym wie. – Jeszcze przed śmiercią papy każdy z nas znalazł sobie damę, którą chciał poślubić. Wszystko najzupełniej uczciwie i tak dalej. Ale... Moira wiedziała, oczywiście. Mówiła nam, że nie ma pośpiechu, że, wzięwszy pod uwagę to, kim jesteśmy, pozostaje mnóstwo czasu na zadeklarowanie naszego wyboru. I że powinniśmy poczekać, by się upewnić, że wybraliśmy właściwie... - Blade policzki Altona zabarwił lekki rumieniec. - Patrząc wstecz, widzę, że grała na naszej niepewności, ale... Tak czy owak, wszyscy wstrzymywaliśmy się ze wspomnianiem o całej sprawie papie, a później on zmarł, zanim cokolwiek zostało powiedziane albo cokolwiek oficjalnie ogłoszono.

- Ale potem to ty zostałeś głową rodziny. Nie potrzebowałeś niczyjej aprobaty.

Wargi Altona wygięły się w grymasie odrazy.

- Niestety, w tym właśnie sęk. Po śmierci papy Moira przejęła władzę. To jej aprobaty teraz potrzebuję, a ona nie jest skłonna jej udzielić. Jak przypuszczam, nie w najbliższym czasie.

Clarice wpatrywała się w jego twarz, a potem zapytała cicho:

- Co ona na was ma?

- Naszą przeszłość, oczywiście. - Alton zerknął przelotnie na Clarice, po czym przystąpił do uważnego badania napoju w filiżance. - Wiesz, jacy byliśmy... Jaki był papa. Wręcz zachęcano nas do figlowania z każdą, która wpadła nam w oko, zwłaszcza w Rosewood.

Clarice spytała spokojnym głosem, bez osądzania:

- Mówisz o pokojówkach, praczkach, mleczarkach?

Alton przytaknął, nie podnosząc wzroku.

- To zawsze było takie łatwe i nawet kiedy zdarzało się nieuniknione, jak to się oczywiście przydarzyło nam wszystkim

trzem, papa nigdy nie powiedział słowa, tylko po prostu aranżował wszystko tak, żeby dziewczyna miała opiekę, a dziecko trafiło na wychowanie do którejś z pracujących dla nas rodzin... Wiesz, jak to się załatwia. - Zaciśnął wargi. - Ale tym, czego żaden z nas nie wiedział, jak podejrzewam nawet papa, był fakt, że Moira nie tylko dowiadywała się o każdym incydencie, ona je śledziła. Co więcej, kiedy ja, Roger i Nigel przyjeżdżaliśmy do miasta, ona jakoś śledziła nas także i tutaj. - Alton podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Clarice. - Na każdego z nas ma listę wszystkich schadzek, wszystkich romansów. Każdy ma za sobą co najmniej jeden związek, jeden romans, który gdyby wyszedł na jaw... pokrzyżowałby nasze plany ożenku albo przynajmniej poślubienia tych dam, które wybraliśmy.

Wytrzymując jego spojrzenie, Clarice mruknęła:

- Obracamy się w bardzo małym kręgu...

Alton przytaknął.

- Właśnie. Rozumiesz, co mogłoby z tego wynikać.

Jack zmarszczył czoło. Kiedy ani Clarice, ani Alton nie odezwali się więcej, spytał:

- A więc w jakim celu Moira wykorzystuje te informacje? Żeby wyciągać od was pieniądze?

W krawacie Altona połyskiwał wielki diament, mniejszy kamień tkwił w ciężkim złotym sygnecie na jego prawej dłoni. Miał surdut od Schultza, a koszula była nieskazitelna. Pomimo mizernego wyglądu ubrany był doskonale... i kosztownie.

Twarz Altona odprężyła się, zaśmiał się, ale nie był to wesoły śmiech.

- Och, nie. Jej wcale nie chodzi o to. Faktycznie to ona pierwsza nas zachęcała, żeby wydawać więcej, wywoływać jeszcze większe wrażenie. Nigdy nie chciałyby, abyśmy wyglądali na choćby odrobinę mniej bogatych, niż jesteśmy. Rozkoszuje się swoją rolą markizy Melton. Wciąż przyjmuje gości jako pani mojego domu. Zawsze musimy być widziani na samym szczycie drabiny. - Alton przerwał, gorycz jego tonu

odbiła się na jego twarzy

- Nie, jej nie chodzi o pieniądze. Chodzi o władzę. - Zerknął na Jacka. - O to, byśmy tak tańczyli, jak nam zagra. Moira starała się zapanować nad tobą i to jej nie wyszło, ale i tak się ciebie pozbyła. Z nami trzema była znacznie bardziej ostrożna. Zanim zdaliśmy sobie z tego sprawę po śmierci papy, ona już miała nas w garści. Co gorsza, sami tam wskoczyliśmy, mówiąc o naszych małżeńskich zamiarach. Ona czerpie piekielną radość ze świadomości, że może się z nami drażnić, sprawiać, że jesteśmy jej posłuszni i że nasza przyszłość, przeszłość i szczęście każdego z nas, będą zależały wyłącznie od jej kaprysu.

Clarice nie odezwała się, jednak jej oburzenie na Moirę było wręcz namacalne.

- Co zrobiliście w tej sprawie? Czy któryś z was rzucił jej wyzwanie, wypróbował jej determinację, czy też po prostu przyjęliście jej groźby za prawdziwe?

- Roger próbował. Powiedział, że opowie Alice... Alice Comberville, córce Carlisle'a... że opowie jej wszystko i zda się na jej łaskę, i tak właśnie zrobił. Z początku wydawało się, że zatriumfował Alice rozżłościła się grą Moiry i przysięgała, że jej to nie obchodzi... Ale dwa dni później Roger dostał liścik zrywający ich ustalenia. Próbował zobaczyć się z Alice, dowiedzieć się, dlaczego zmieniła zdanie, przekonać ją... - Alton wyglądał, jakby było mu trochę słabo. - To się działo w listopadzie. Nadal nie udało mu się z nią porozmawiać.

- Wciąż próbuje?

- Tak! Co innego może zrobić? To go doprowadza do szaleństwa. Alice tańczyła z Throgmortonem i Dawlishem. Jest przerażony, że może przyjąć kogoś z nich, a wtedy będzie po wszystkim...

Clarice poważnie przyjrzała się Altonowi, a potem spokojnie odparła:

- Powiedz Rogerowi, że musi pomówić z Alice, choćby nawet miał ją porwać, żeby to zrobić. Musi zapytać, co Moira jej

opowiedziała.

Alton zmarszczył czoło.

- To nie Moira, ale sam Roger jej powiedział.

Clarice wydała z siebie lekceważące mruknięcie i odstawiła filiżankę.

- Powiedz Rogerowi, że się z nim założę, iż po tym, jak rozmawiał z Alice, ta, oburzona, zwróciła się do Moiry i ją zganiła. A Moira odplącała się czymś, jakimś zmyśleniem, czymś naprawdę okropnym, czego Alice nie mogła zignorować. Oto dlaczego zmieniła zdanie i zerwała z Rogerem.

Spojrzenie, które posłała Altonowi, wyrażało czułość i irytację.

- Naprawdę zbyt łatwo dajecie sobą manipulować.

Poprawiła się w fotelu.

- A co z Nigelem?

- On i Emily... Emily Hollingworth... Cóż, można powiedzieć, że w typowy dla siebie sposób Nigel stoi z boku, mając nadzieję, że wszystko jakoś samo się rozwiąże. To znaczy, że albo Roger, albo ja odkryjemy jakiś sposób na Moirę.

- Alton się skrzywił.

Emily ma dopiero dwadzieścia lat. Oni mają czas.

Clarice uniosła brwi.

- A ty nie masz?

Alton podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie,

- Nie. - Zrobił nieokreślony gest. - Z tym się zmagalem, kiedy weszłaś. - Z trudem nabrał powietrza. - Nie mam pojęcia, co robić.

- Kto to? - spytała Clarice.

- Sarah Haverling, najstarsza córka starego Connistona.

Clarice z namysłem przytaknęła.

- Doskonały wybór. Doszliście do porozumienia, lecz jeszcze nie oświadczyłeś się oficjalnie?

- Nawet nie sugerowałem niczego takiego, nie wobec jej ojca.

- Jak rozumiem, coś sprawia, że rzecz jest nagląca?

- Tak! Sarah ma dwadzieścia trzy lata, prawie dwadzieścia cztery. To będzie jej ostatni sezon Rozmawialiśmy o ślubie w zeszłym roku, ale z tym co Moira na mnie ma... - Wyraz beznadziei pogłębił linie na twarzy Altona. - Jej ojciec i macocha zachęcają ją do zamążpójścia, trudno się dziwić. Stawiają na Farleigha i Bicknella, obaj wydają się coraz bardziej zadurzeni. Jeżeli któryś się oświadczy... i jeśli ja nie będę mógł złożyć kontrpropozycji, Sarah będzie zmuszona do przyjęcia innego.

Jack dostrzegł, że Clarice zeszywniała, najbliższa przyszłość Sarah Haverling nadzwyczaj przypominała przeszłość Clarice.

- Najgorsze jest to - Alton mówił dalej przyciszonym głosem, ze wzrokiem utkwionym w swoich zaciśniętych dłoniach - że Sarah nie rozumie, dlaczego ja się nie odzywam. Nie jest oczarowana żadnym z tamtych. Ona wciąż liczy na mnie, a ja ciągle mam jakieś wymówki... - Jego głos się zachwiał. - Nie spałem od wielu dni. Nie wiem, co robić.

Upłynęła chwila, aż wreszcie Clarice zapytała łagodnie:

- Co takiego Moira ma na ciebie? Jeżeli mi nie powiesz, nie będę mogła ci pomóc.

Alton wpatrywał się w nią przez moment, a potem jego wzrok przesunął się na Jacka.

- Nie przejmuj się Jackiem. - Ton Clarice był szorstki. - Jego dyskrecja jest pewna, i w rzeczy samej, masz większe szanse na uzyskanie zrozumienia z jego strony niż z mojej.

- Miałem romans z macochą Sarah, Claire.

Clarice uniosła brwi.

- Jakże niemądre. Ale to było, zanim związałeś się z Sarah?

Alton wyglądał na zirytowanego.

- Lata wcześniej.

- W takim razie radzę ci się przyznać. Jeżeli Claire nie zmieniła się jakoś znacznie w ciągu ostatnich siedmiu lat, to poważnie wątpię, aby robiła trudności.

Alton popatrzył prosto na Clarice, nagle Jack mógł dostrzec wyraźniejsze podobieństwo.

- Nie mogę się przyznać. Po tym, jak Roger próbował, Moira powiedziała, że jeśli to zrobię, ona porozmawia nie z Sarah, ale z samym Connistonem. Co prawda wszyscy wiemy, że Claire od lat bierze sobie kochanków, ale Moira przekona Connistona, że jeżeli pozwoli mi poślubić Sarah, to ona dopilnuje, by opowieść o tym, jak Conniston potulnie oddaje córkę mężczyźnie, który go wystrychnął na dudka, rozniosła się szeroko po salonach.

Clarice wytrzymała mroczne spojrzenie Altona, i potem zrobiła kwaśną minę.

- Och.

Jack pomyślał, że to doskonale podsumowuje sprawę. Zaczynał być bardzo poważnie zainteresowany spotkaniem dawnej Nemezis - Clarice, jak się wydawało, teraz także Nemezis jej braci Chciałby po prostu zobaczyć, jakiego pokroju kobieta potrafiła i zdołała narzucić pęta na ludzi formatu Clarice i Altona. Pomimo stanu tego drugiego Jack widział dość przeblisków stalowej woli i twardej arogancji, by zgadywać, że w lepszych czasach Alton nie był słabeuszem. Jego silna wola mogła nie być jeszcze ukuta w takie samo twarde ostrze jak u Clarice, ale wyglądało na to, że Moira nad tym pracuje.

To mogło się okazać bardzo niebezpieczna gra Zwłaszcza dla Moiry. Ta kobieta musiała być ślepa, żeby nie widzieć, z jakiego rodzaju ludźmi ma do czynienia.

Ledwie Jack dokończył tę myśl, kiedy drzwi biblioteki otworzyły się z hukiem.

Stała w nich jasnowłosa harpia, jej niebieskie oczy płonęły, a ciężkie piersi falowały w nieopanowanej furii.

- Alton! - zawołała piskliwie. - Jak śmiesz przyjmować tę... - Oczy harpii wbiły się w Clarice, ciskając gromy. - Tę kobietę w domu twojego ojca?

Rozdział 14

Alton się nie podniósł, właściwie wcale się nie poruszył, a jednak mogło się wydawać, że urósł. Jego twarz stężała, odarta z wszelkiego spokoju, a ciemne oczy płonęły. Kiedy przemówił, w jego słowach zadudnił ledwie hamowany gniew.

- Zostaw nas, Moiro.

Na twarzy harpii przez moment zamajaczył wstrząs, niemal jak po uderzeniu. Potem głęboko nabrała powietrza i przekroczyła próg.

- Ja z całą pewnością nie pozwolę! Jak śmiesz wpuszczać tę kobietę.

Podchodząc, wycelowała palcem w Clarice.

Z początku rzuciwszy okiem, Clarice najwyraźniej uznała, że swojej rozjuszonej macosze nie musi więcej okazywać uwagi. Spokojnie poczęstowała się kolejnym ciastkiem i teraz siedziała w fotelu, niczym żywy obraz nienagannyh manier damy jedzącej ciastko z talerza. Na pozór głuchej i ślepej na rozgrywającą się przed nią groźną scenę.

Moira znów głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Ta niemoralna kobieta w tym domu! Twój ojciec tego zakazał.

Jack przypuszczał, że powinien wziąć przykład z Clarice, ale pokusa była zbyt wielka. Rozsiadł się obserwując Moirę i Altona.

Moira z furią zatrzymała się przy biurku. Była kobietą po czterdziestce, na jej zbyt jasnej twarzy zaczynały się ukazywać pierwsze zmarszczki. Była dość niska i krągła, jej włosy miały miedziany odcień, w jej wzburzonych niebieskich oczach błyskały iskry zawziętości. Cała aż dygotała z wściekłości, łypiąc na Clarice.

Jack zmrzył oczy, gdy jego zmysły mu podpowiedziały, że za gniewną fasadą Moiry kryje się sporo strachu.

Przerażająco opanowany Alton oznajmił:

- Mój ojciec nie żyje. To teraz mój dom. W nim będę przyjmować kogo tylko mi się spodoba.

Przez chwilę się wydawało, że Moira zaniemówiła.

- Zdaje się, Altonie, że zapomniałeś...
- Niczego nie zapomniałem, lecz także przypomniałem sobie to i owo. Ja jestem tutaj panem i sugeruję, żebyś opuściła ten pokój.

Moira rozdziawiła usta, po czym gwałtownie je zamknęła.

- Jeżeli myślisz...
- Edwards!
- Tak, milordzie? - Kamerdyner odpowiedział tak prędko, że było oczywiste, iż stał za drzwiami

- Proszę odprowadzić jej lordowską mość do jej pokoju. Wydaje mi się, że musi poleżeć aż do obiadu. - Wzrok Altona, zawzięty i bardziej niż wściekły, utkwił w Moirze jak stal. - Jeżeli napotkasz na jakieś trudności, wezwij lokaja albo dwóch, żeby pomogli.

- Naturalnie, sir.

Moira zeszywniała, trzęsąc się z oburzenia.

- Jeżeli myślisz, że pozwolę ci na to – wysyczała - to lepiej przemyśl to jeszcze raz.

Edwards dotknął jej ramienia, a ona pisnęła jak szalona. Odskakując, spiorunowała kamerdynera wzrokiem, po czym okręciła się wokół własnej osi o sto osiemdziesiąt stopni i wypadła z pokoju. Kamerdyner ruszył za nią.

- W sypialni, milordzie?

Alton przytaknął.

- Edwards. - Clarice odezwała się, nie podnosząc wzroku. - Jeśli będą przy tym jakieś nieprzyjemności, powiadom Altona.

Edwards uklonił się nisko.

- Naturalnie, milady.

Kiedy drzwi się zamknęły, Alton ciężko wypuścił powietrze z płuc, napięcie jego barków i ramion wyraźnie zelżało.

- Proszę. - Clarice odstawiła pusty talerz po ciastkach. - Widzisz, jak łatwe może być odzyskanie własnego życia?

- Nigdy wcześniej nie pomyślałem, żeby na nią krzyknąć.
- Cóż, papa zawsze krzyczał i wymyślał dosyć za nas

wszystkich.

- Właśnie. A więc jeżeli chcesz, żeby Moira pojęła, iż teraz to ty zajmujesz jego miejsce...

Alton zmarszczył brwi.

- Nigdy tak o tym nie myślałem. Byłaś jedyną spośród nas, nie tylko nas czworga, ale ze wszystkich, która mu się przeciwstawiła. Aż do śmierci nie oszczędzał nikogo z nas, ilekroć przyszła mu na to ochota. - Zaśmiał się krótko. - Co do Rogera, Nigela i mnie, to ojciec nigdy nie pozwolił nam zapomnieć o jego tak zwanym pobłażaniu nam, że tylko wysłał cię do Jamesa.

Policzki Altona oblał kłopotliwy rumieniec.

- Nie powiedziałem tego, byś czuła, że jesteś temu cokolwiek winna. Tak nie jest. Powinniśmy byli lepiej cię chronić... w jakiś sposób.

- Nie jestem pewna, czy moglibyście ani czy ja bym wam pozwoliła - spokojnie odparła Clarice.

- Ale bez względu na wszystko, to już przeszłość.

- Musimy się zmierzyć z terażniejszością i ochronić przyszłość. Oto dlaczego Jack i ja tu jesteśmy.

Pospiesznie poinformowała Altona o zarzutach przeciwko Jamesowi, zwięźle zarysowując konsekwencje dla rodziny. Odwołała się do Jacka, on potwierdził powagę zarzutów. Alton był bystry, nie musieli mu wyklądać, jaki możliwy wpływ na małżeńskie nadzieje jego samego i jego braci miałyby oskarżenie Altwooda o zdradę.

Alton spoglądał to na Jacka, to na Clarice.

- Co chcecie, żebym zrobił?

- Czy jest jakiś sposób, byś wpłynął na biskupa Londynu?
- spytała Clarice.

Alton zastanowił się, a potem przytaknął.

- Znam jego starszego brata. Jest członkiem klubu White'a i był serdecznym przyjacielem papy. Mógłbym się do niego udać.

- Dobrze - odpowiedział Jack. - To, czego nam potrzeba, to

zezwoleń dla mnie jako przedstawiciela rodziny na przepytanie diakona Humphriesa nie jako oskarżyciela w sprawie, lecz jako osoby, która wniosła pierwsze zarzuty. Mamy już dostęp do informacji przedstawionych do tej pory sądowi biskupiemu, ale to z całą pewnością nie jest wszystko, co wie Humphries. Musimy wypytać go o szczegóły pominięte do czasu, aż przedstawi je na przesłuchaniu, tak żebyśmy wiedzieli, jakich dowodów nam trzeba do obalenia zarzutów w całości. Nie tylko podważenia tego i owego i zasiania wątpliwości, ale do wyeliminowania wszystkiego

- To pilne - dodała Clarice.

Alton przytaknął, skrzętnie robiąc notatki.

- Zobaczę, co uda mi się zrobić. – Przerwał po czym dodał ponurym tonem: - Bóg jeden wie, że pewnie osiągnę niewiele więcej.

Clarice przypatrywała mu się przez chwilę, a potem wstała i obesza biurko. Przystanąwszy obok krzesła Altona, położyła mu dłoń na ramieniu, pochyliła się i pocałowała go w policzek.

Jack zobaczył wyraz twarzy Altona, kiedy ten spojrzał w górę - zaskoczenie zmieszane z boleśnie słodkimi wspomnieniami. Clarice poklepała brata po ramieniu.

- Ja pomyślę o waszym problemie z Moirą. Musi być jakiś sposób. Pozdrów ode mnie Rogera i Nigela, i nie zapomnij przekazać Rogerowi wiadomości ode mnie.

Zostawiła Altona i skierowała się do drzwi, Jack ruszył za nią.

- Nawiasem mówiąc... - Clarice przystanąła tuż przed drzwiami, żeby spojrzeć na Altona raz jeszcze. - Mógłbyś spróbować powiedzieć Sarah, że kochasz ją do szaleństwa i że masz solenny zamiar poruszyć niebo i ziemię, aby ją poślubić. Potem powiedz jej o groźbie Moiry. Powierzenie jej prawdy może uczynić ją bardziej skłonną do zrobienia wszystkiego, co w jej mocy, żeby unikać oświadczyć kogoś innego.

Gdy Jack, wychodząc, ostatni raz spojrzał na Altona Altwooda, markiza Meltona, ten siedział za biurkiem nieco

oszołomiony, ale ze światełkiem nadziei w oczach.

* * *

Wrócili do Benedict's i zjedli lunch w apartamencie Clarice. Posiłek upłynął w niezwyklej ciszy.

Clarice rozważała wszystko, czego się dowiedziała w Melton House, i ani trochę się jej to nie podobało.

Jack obserwował jej twarz, doceniając to, że nie stara się ukrywać zaniepokojenia. Czuł, że fakt, iż nie dąży już do skrywania przed nim emocji, to dobry znak.

Kiedy skończyli lunch i uprzątnięto nakrycia, Clarice rozsiadła się w fotelu, napotkała spojrzenie Jacka, który zasiadł w fotelu naprzeciwko, i zrobiła kwaśną minę.

- Obawiam się, że będę musiała powrócić do towarzystwa w znacznie bardziej znaczący sposób, niż to planowałam.

Przypatrywał się jej.

- Myślałem, że byłaś gotowa wyruszyć na ratunek Jamesowi.

- Byłam. Jestem. I będę. Ale wygląda na to, że będę musiała orędować, a także działać na rzecz moich braci. - Poruszyła dłonią. - Widziałeś Moirę. To krętaczka. I dobrze nas zna, wszystkich czworo.

- Nie sądzisz, że przy twojej pomocy Alton potrafi sam dać sobie radę? Dziś rano się wydawało, jakby powrócił do życia, po prostu dlatego, że ty tam byłaś.

- Masz rację, poniekąd. Alton jest zdolny, by rządzić tak, jak powinien. Wiem, że tak. Niestety wcześniej zawsze przebywając w cieniu papy i będąc manipulowanym przez Moirę, Alton nie uświadamiał sobie w pełni, że pozycja papy należy teraz do niego, że może ją zająć i przejąć rządu -Upłynęła chwila, nim Clarice mruknęła: - To nie tyle moja obecność, ile raczej fakt, że Moira mnie zaatakowała, pobudził Altona do działania.

Jack podniósł rękę, przerywając jej.

- Jeżeli myślisz o służeniu za cel dla tej okropnej kobiety, byle tylko pobudzić swoich braci do działania, to usilnie doradzam, żebyś to przemyślała jeszcze raz.

Clarice spojrzała mu w oczy i wyczytała w nich ostrzeżenie, prychnęła lekceważąco.

- Nie miałam zamiaru sugerować niczego takiego. Poświęcanie się nie jest w moim stylu. Jednak najwyraźniej będę musiała pojawiać się w towarzystwie w znacznie większym stopniu. Nie chodzi wyłącznie o obronę Jamesa. To mogę osiągnąć, kontaktując się z zaledwie paroma najważniejszymi osobami. Przekreślenie manipulacji Moiry będzie wymagało o wiele więcej wysiłku. Na początek zamierzam spotkać się z wybrankami moich braci i jak mam nadzieję, złagodzić napięcie między nimi. Spotkania z samym Connistonem, a może z Claire... Znam ją z dawnych lat... To mogłoby być pomocne...

Splotła palce i oparła na nich podbródek, patrząc w głąb pokoju.

- Zasadnicza trudność to „jak”. Jak mogę, prędko i w możliwy do przyjęcia sposób, wkroczyć z powrotem w kręgi, od których tak stanowczo odwróciłam się plecami siedem lat temu?

Po chwili milczenia Jack zapytał:

- A właściwie jak bardzo stanowczo pożegnałaś towarzystwo?

- Ostatecznie. Byłam zdegustowana nimi wszystkimi i nie robiłam z tego tajemnicy.

- Jednak jesteś z rodu Altwoodów.

- W rzeczy samej. Jeżeli po siedmiu latach życzę sobie powrócić jak gdyby nigdy nic - wzruszyła ramionami - to wątpię, by wiele osób próbowało mnie ignorować.

Zauważyła przelotny uśmiech Jacka i mogła sobie wyobrazić myśli przemykające mu przez głowę - o niej, dławiącej próby w tym kierunku każdego, kto takowe by podjął. Ucierpiała już z powodu bycia córką markizy, teraz nie miała zamiaru odmawiać sobie korzystania z należnych przywilejów.

- Mogę powrócić do towarzystwa i zrobię to, ale potrzebuję pomocy.

Upłynęła minuta, aż wreszcie Jack poruszył się, przyciągając jej uwagę. Napotkał jej wzrok.

- Mam dwie ciotki. One pomogą, jeśli je poproszę.

Clarice uniosła brwi, to była pierwsza wzmianka, jaką usłyszała o jakiegokolwiek rodzinie Jacka po za jego ojcem.

- A te damy to...? .

- Lady Cowper i lady Davenport.

Wytrzeszczyła na niego oczy. , I

- Tak po prostu możesz wezwać na pomoc dwie spośród najbardziej znaczących dam z towarzystwa?

Uśmiechnął się szeroko.

- „Wezwać” to może nieco zbyt mocne określenie, ale one wiedzą, że umknąłem z miasta niedawno, w szczycie sezonu. Będą nad wyraz zadowolone, pomagając ci, kiedy tylko się dowiedzą, że to ty sprowadziłaś mnie z powrotem.

Przyglądała mu się uważnie, ale nie potrafiłaby powiedzieć, czy w jego gładkich słowach kryło się cokolwiek więcej, niż by się wydawało, jakakolwiek dwuznaczność. Ostrożnie skinęła głową.

- Lady Cowper i lady Davenport byłyby niezmiernie przydatnymi sojuszniczkami w wojnie z Moirą. Zaś co do Jamesa...

Jack zrobił kwaśną minę.

- Moje ciotki mają bliską przyjaciółkę, pewną damę, której ja wolę unikać. Jest dość przerażająca. Jednak jeśli idzie o wpływy, to wątpię, by wielu mogło się z nią równać. Jest szansa na to, że jeżeli pošlę wiadomość moim ciotkom, to kiedy je odwiedzimy, ona też tam będzie.

- Kto to taki?

- Lady Osbaldestone.

Clarice wyprostowała się w fotelu.

- Therese Osbaldestone?

Potwierdził skinieniem głowy.

Zamrugła.

- Ona była bliską przyjaciółką mamy, tak mi powiedziały siostry papy, ale ja spotkałam lady Osbaldestone dopiero w dniu, kiedy przedstawiono mnie w towarzystwie. Była tam i rozmawiała ze mną życzliwie, ale potem podeszła Moira. Lady i Osbaldestone spojrzała na nią z góry i opuściła nas.

Jack uniósł brwi.

- Może mogłaby nas wspomóc w... odrywaniu łap Moiry od gardeł twoich braci.

Clarice uśmiechnęła się szeroko.

- Cóż za metafora.

Pukanie do drzwi sprawiło, że oboje się odwrócili.

- Proszę! - zawołała Clarice.

Do pokoju wkroczył lokaj ze srebrną tacą. Podszedł i podsunął ją Clarice. Podniosła trzy leżące na niej bileciki, przeczytała je, a potem uśmiechnęła się z nutą smutku.

- Moi bracia. Wszyscy trzej.

Opuszczając bileciki na tacę, spojrzała na lokaja.

- Wprowadź panów.

Kiedy za lokajem zamknęły się drzwi, Clarice popatrzyła na Jacka.

- Zastanawiam się...

Nie musiała się długo zastanawiać. Upłynęła ledwie minuta i jej bracia, prowadzeni przez Altona wkroczyli do pokoju. Roger i Nigel, wyraźnie promieniejąc z radości, porwali ją z fotela i uściskali wylewnie, beztrąsko ignorując ostrzeżenia, by nie pognietli jej sukni.

Przez krótką chwilę niemal mogła uwierzyć, że nic się nie zmieniło, że tych lat w ogóle nie było i że znowu są starszymi braćmi, których zawsze musiała trzymać w ryzach, prowadzić i w pewien sposób chronić. Ale potem zobaczyła, jak zerkają na Jacka, i dostrzegła reakcję jego i ich, i wiedziała, że już nigdy nie będzie tak jak niegdyś.

- Lord Warnefleet towarzyszył mi do Londynu. Jest bliskim przyjacielem Jamesa. – Przedstawiła ich sobie, zrećnie

odwodząc rozmowę z dala od tematu własnej osoby i Jacka, tak swobodnie siedzącego w jej apartamencie. Nieskrywane podejrzenia jej braci wydawały się wywoływać w nim jawnie zaborczą postawę, jeszcze bardziej zaborczą niż zazwyczaj.

Zapragnęła dać im wszystkim porządnego kopniaka. Z całych sił.

- Altonie, czy zrobiłeś już coś w kwestii wywarcia wpływu na biskupa?

- Tak. - Uśmiechnął się do niej szeroko, nagle tak bardzo przypominając Altona z jej wspomnień - Przypomniałem sobie, że stary Fotheringham często ucina sobie drzemkę po lunchu w bibliotece u White'a. Pomyślałem, że to dobre miejsce, żeby go przydybać, i okazało się, że miałem rację. On zawsze narzeka na swojego brata, biskupa, że Kościół wynosi się ponad innych, i tak dalej. Był bardzo skory do napisania listu do brata, podkreślając, jak to ujął, roztropność przychylenia się do całkowicie uzasadnionej prośby Altwoodów. To rozsądne bowiem mieć osobistego przedstawiciela do sprawy zbadania dowodów przedstawionych sądowi biskupiemu przed oficjalnym przesłuchaniem.

Alton rzucił okiem na Jacka.

- Sam wysłałem list przez jednego z lokajów od White'a. Byłbym zdziwiony, gdyby biskup się nie przychylił. Jest uważany za bardzo bystrego w ocenianiu, skąd wieje wiatr, i ma łatwe do przewidzenia ambicje. Podejrzewam, że podchwyci okazję, żeby...

- Przypochlebić się? - podsunął Jack.

Alton uśmiechnął się cynicznie.

- Właśnie. A teraz, kiedy zrobiłem dla Jamesa, co w mojej mocy, my... -jego gest objął jego samego, Rogera i Nigela - przyszliśmy zdać się na twoją łaskę. Mamy po dziurki w nosie Moiry i jej intryg. Jesteśmy zdecydowani się uwolnić, ale potrzebujemy twojej pomocy.

- Zanim powiesz „tak” albo „nie” - Roger przysunął sobie krzesło i usiadł obok Clarice - możemy zaoferować coś w

zamian. Ty chcesz oczyścić Jamesa z zarzutów, i do tego potrzebna ci nasza pomoc. - Roger zerknął na Jacka oceniająco, ale bez wrogości. - Będziesz potrzebowała „piechoty”, i my jesteśmy dobrzy w wykonywaniu rozkazów. Czegokolwiek będziesz od nas chciała w sprawie Jamesa, my zrobimy to z radością. Ale...

- W zamian, droga siostró... - Nigel zwinął się u stóp Clarice i uśmiechnął się do niej z uwielbieniem chcemy, żebyś pomogła nam dotrzeć do ołtarza.

- To znaczy nie do jednego ołtarza - sprecyzował Roger. - Do trzech ołtarzy, po jednym dla każdego z nas. Różne daty, różne damy.

Clarice posłała mu miazdzące spojrzenie.

Alton przesunął się w stronę kominka. Podchwycił jej spojrzenie i wycedził:

- Proszę.

Obserwując Clarice, Jack wyczuwał część jej wewnętrznych zmagania. Miała solenny zamiar zrobić wszystko, co tylko się da, żeby pomóc braciom, ale zobowiązywać się do tego... To było coś innego, coś wiążącego.

Kiedy jej spojrzenie zsunęło się z twarzy Altona na twarz Jacka, ten siedział nieruchomo i z kamiennym obliczem. Co prawda nie mógł jej doradzać w tej sprawie, ona знаła swoich braci, znała ich potencjał, o wiele lepiej niż on wiedziała, czy rzeczywiście mogą skutecznie pomóc w oczyszczeniu dobrego imienia Jamesa. Cokolwiek postanowi, on ją w tym wesprze.

Jej pochmurne spojrzenie powoli się rozjaśniało, znów podniosła wzrok na Altona.

- Jeżeli skutecznie pomogę wam uwolnić się od Moiry...

- I zdobyć nasze wybranki - wtrącił Nigel.

Clarice zerknęła na niego z góry.

- I oczyszczę wam drogę do zdobycia waszych dam... Ale odmawiam ponoszenia odpowiedzialności za rezultat jakichkolwiek niezdarnych prób zalotów... Jeżeli to dla was zrobię, to wy zaangażujecie się w pomoc przy oczyszczaniu

Jamesa z zarzutów w sposób, jakiego Jack i ja będziemy wymagać.

Bracia jak jeden mąż obrzucili Jacka szybkim spojrzeniem, które zniósł z kamienną twarzą, po czym we trzech popatrzyli po sobie, ważąc słowa Clarice i porozumiewając się bezgłośnie. Jack zauważył to zjawisko z ukłuciem z sercu, i uświadomił sobie, że Clarice także uczestniczy w tej wymianie spojrzeń. Sam nigdy nie miał rodzeństwa, ani nawet bliskich przyjaciół. Nigdy nie dzielił z nikim tego rodzaju porozumienia.

Widział tę jej pewność, że pomoc braci będzie warta jej wysiłku, i że im pomoże.

- Jeśli to jakoś pomoże wam w podjęciu decyzji - Clarice popatrzyła na Rogera, później na Nigela i w końcu na Altona - rozważcie, co posiadanie w rodzinie kogoś podejrzanego o zdradę uczyni z waszymi małżeńskimi aspiracjami.

Wargi Altona zacisnęły się. Szczęka Rogera zeszytywniała, jego oczy sposepniały. Nigel zaklął pod nosem.

- Cóż - odezwał się żałośnie - to prawda. W każdym razie... Ty wiesz, że i tak ci pomożemy, a ty nie będziesz w stanie się oprzeć przed pomocą nam, więc całe to targowanie się nic nie znaczy. A więc! - Przeniósł wzrok z Clarice na Altona i z powrotem. - Od czego mamy zacząć?

Clarice przyjrzała się ożywionej twarzy Nigela, potem zerknęła na Altona, zanim napotkała spojrzenie Jacka.

- Jack i jego przyjaciele sprawdzają fakty związane z trzema spotkaniami, które James rzekomo odbył z francuskim kurierem. Oni mają lepsze kwalifikacje niż my, by to zrobić. My... - Podniosła wzrok na Altona. - My musimy uporać się z inną stroną tego zagrożenia: z plotkami i z oszczercami. Pierwsza rzecz to się dowiedzieć, jak daleko dotarły plotki. Kiedy się tego dowiemy, będziemy mogli zdecydować, jak najlepiej się im przeciwstawić. ..., Alton zmarszczył czoło.

- Ja nie słyszałem żadnej plotki.

- I nie usłyszysz. - Jack spojrzał Altonowi prosto w oczy. - Nikt nie powie niczego w obecności członków rodziny. Wy

będziecie ostatnimi, którzy się dowiedzą.

- Ja słyszałam tylko dlatego - powiedziała Clarice - że stałam za parawanem u swojej modniarki, a te stare wiedźmy, lady Grimwade i pani Raleigh, nie wiedziały, że tam jestem. Jednak wygląda na to, że plotka jest świeża.

- Grimwade i Raleigh? - Roger uniósł brew - Jeżeli ktoś chce rozsiewać złośliwe plotki, to te dwie kwoki byłyby oczywistym punktem wyjścia.

- W rzeczy samej. Ktoś wyraźnie szepnął o tym Grimwade. Raleigh wtedy jeszcze o tym nie słyszała. Jednak nie wierzę, że któraś z nich powie jeszcze choć słowo, dopóki nie usłyszą więcej. - Clarice zerknęła na braci. - Jest środek popołudnia. Wielu dżentelmenów wstąpi do swoich klubów. Jeżeli zrobicie rundkę, to powinniście mieć jakieś pojęcie o tym, jak rozpowszechnione są te pogłoski.

- Będziecie musieli poprosić przyjaciół o pomoc - powiedział Jack. - Wy nie usłyszycie niczego wprost...

- I cokolwiek usłyszycie, nie reagujcie, powtarzam, nie reagujcie. Jeszcze nie. - Clarice surowo popatrzyła w oczy każdego z braci. - Musimy mieć jakieś pojęcie o skali problemu, z którym mamy do czynienia, a dopiero później możemy wymyślić najbardziej skuteczny sposób, by mu przeciwdziałać. Jeżeli ktokolwiek zrobi rzecz nie do pomyślenia i zagadnie was o tę sprawę, upierajcie się przy całkowitej niewiedzy. Udawajcie, że nie macie pojęcia, o czym mowa. - Przerwała, a po chwili mówiła dalej: - Jeśli spotkamy się dziś wieczorem...

- Och, stanowczo spotkajmy się dziś wieczorem - Alton rzucił okiem na braci, a potem znów na Clarice. - Chcemy, żebyś poznała nasze, jak dotąd niedosłże, narzeczone. Postarałem się, by przysłano tutaj zaproszenia na bale, w których weźmiemy udział tego wieczora. Spotkamy się u Fortescue. Zgodziliśmy się, że sprawa Rogera jest najpilniejsza, a potem moja. Nigel... - Alton trącił najmłodszego brata czubkiem buta - może poczekać na swoją kolej.

Clarice podniosła wzrok na Altona, jej mina była

niezdecydowaną mieszanką wyniosłej urazy i chłodnej kalkulacji.

Jack zdołał ukryć uśmiech, którego - jak wiedział - ona by nie zrozumiała. Clarice chciała, żeby Alton przejął kontrolę nad własnym życiem i tytułem, ale Jack wątpił, by wyobrażała go sobie przejmującego kontrolę także nad nią.

Ale kalkulacje zwyciężyły i skinęła głową.

- A więc dobrze. Spotkamy się z wami u Fortescue o dziesiątej.

Jack nie odpowiedział, wiedziała, że będzie jej towarzyszył na każdym balu i przyjęciu, na które ona zdecyduje się pójść.

Obserwował jej braci i ich reakcję na słowa „Spotkamy się z wami”. Wcale nie byli pewni, jak to przyjąć, ani czy to aprobują.

Jack odniósł wrażenie, że Alton szykuje się do bitwy.

- Jest jeszcze jedna rzecz, Clary. Chcemy, żebyś wróciła do domu. Wróciła i znów zamieszkała z nami w Melton House.

Podniosła nieobecny wzrok, na jej twarzy widać było zaskoczenie. A potem nadeszła chwila wahania, wejrzenia w głąb siebie. Serce zakotało mu mocniej. Ona ani trochę się tego nie spodziewała, nie wiedziała, że jej bracia tęsknili za nią tak boleśnie, że tak ciepło ją powitają. Być może spodziewała się, że jej rodzina, daleka od nienawiści, przygarnie ją, ale czuć się potrzebną i docenianą to był prawdziwy balsam dla damy takiej jak ona.

Nie istniało nic, co mogłoby zachwiać jej decyzją, nie wtedy, gdy bracia patrzyli na nią, gotowi rzucić się w jej obronie na każdego. W mgnieniu oka wkroczyliby pomiędzy Jacka i nią, gdyby im na to pozwoliła.

Obrzucił ich przelotnym spojrzeniem, upewniając się, że patrzą nie na nią, lecz na niego. Bez względu na ich obecny stan, żaden z nich nie był nierozgarnięty ani tak naprawdę słaby. Było tak, jak powiedziała Clarice: nie uświadomili sobie jeszcze własnego potencjału, swoich możliwości. I kochali ją, to rzucało się w oczy. Wszyscy trzej zobaczyli dosyć, by zdawać

sobie sprawę, że istnieje jakaś relacja, jakiegoś rodzaju związek między nią i nim. Od tej chwili będą go czujnie obserwować. Nie dbał o to. Nie zobaczą niczego, co by doprowadziło ich do furii, ponieważ jego zamiary były dokładnie takie, jakich mogliby sobie życzyć...

Przyszła mu do głowy myśl o wciągnięciu ich do pomocy w jego kampanii zdobywania Clarice.

Nie. Bez względu na to, jak kuszący był to pomysł, bez względu na to, jak pomocni mogliby się okazać, dowiedziałyby się o każdym spisku i byłyby wściekła. Niezbyt mądry sposób zabiegania o względy Boudiki.

Z chmurnych spojrzeń braci wyraźnie wynikało, że znają ją i rozumieją tak jak on. Wszyscy czterej wiedzieli, że podejmie własną decyzję co do niego i relacji między nimi, i biada temu, kto starałby się wtrącać.

Jej milczenie nie trwało dłużej niż dwa oddechy.

Bez względu na przeszłość, rodzina była dla niej bardzo ważna, powrót na jej łono mógł być czymś, za czym naprawdę tęskniła...

- Dziękuję, ale nie. Wolę zostać tutaj.

Clarice stłumiła chęć popatrzenia na Jacka, upewnienia go i zobaczenia jego reakcji. Alton zmarszczył czoło i otworzył usta, by się spierać, Clarice powstrzymała go ruchem ręki. - Nie. Ostatnim razem, kiedy byłam w Melton House... Wspomnienia są zbyt bolesne. Zostawiłam je za sobą, wyjeżdżając, i zaczęłam od nowa. Nie ma powodu wracać, żadnego powodu w obecnych okolicznościach, żebyśmy musiała mieszkać pod twoim dachem. Tutaj jest mi najzupełniej wygodnie. - Przelotnie zerknęła na Jacka, pomimo usilnych starań, żeby wydawać się chłodną, jej oczy rozjaśnił słaby uśmiech. - A zatem zostaną.

Alton, Roger i Nigel wydali z siebie pomruki niezadowolenia, ale żaden z nich nie próbował dłużej się sprzeczać.

- A poza tym... - Wyprostowała się w fotelu. - Chociaż możecie sądzić, że to dobry pomysł mieć mnie w domu, bym

was chroniła przed Moirą, w rzeczywistości moje przebywanie z nią pod jednym dachem, zwłaszcza pod tym dachem, to propozycja nie do przyjęcia. - Spojrzała na nich ostro. - Zamęt byłby znaczny, nie tylko dla was, ale i dla służby. Taki układ po prostu by się nie sprawdził.

Westchnęli zrezygnowani, ale zaakceptowali jej wyrok. Wszyscy wstali. Zaczekała, aż uścisną dłoń Jackowi, po czym zostawiła go przy kominku i skierowała ich do drzwi, nim zaczęli robić trudności. Alton, który był ostatni, rzucił pochmurne spojrzenie na Jacka, ale powtórzywszy, że niezbędne zaproszenia wkrótce nadejdą, także i on wyszedł.

Jack patrzył, jak Clarice wraca.

- Czują się za ciebie odpowiedzialni, jak można było się zresztą spodziewać. Nie ułatwiasz im sprawy.

- Moje życie to już nie ich zmartwienie, jak sami dobrze wiedzą. - Szeleszcząc spódnicami, zatopiła się w fotelu i patrzyła, jak Jack osuwa się na drugi, - A teraz? Co dalej?

Zgodzili się, że oczywisty podział pracy będzie -zapewne najbardziej skuteczny. Jack, za pośrednictwem swoich kontaktów, zbada trzy rzekome spotkania i poszuka takich faktów, żeby wszystkiemu zadać kłam. Tymczasem Clarice, przy wsparciu braci, zrobi to, co konieczne dla zduszenia wszelkich plotek krążących po salonach, i dzięki wpływom rodziny otworzy drzwi, które początkowo były dla nich zamknięte. W międzyczasie uczyni co tylko w jej mocy, żeby zniweczyć wpływ Moiry i wyprostować małżeńskie ścieżki swoich braci.

- Jednak absolutnie odmawiam oświadczania się za nich. To muszą zrobić sami.

Jack ukrył uśmiezek z powodu jej srogości. W ogóle miał ochotę uśmiechać się beztrudnie, nie szukając powodów - jego serce promieniało, że wybrała pozostanie w hotelu Benedict's. Pomimo tego, co powiedziała braciom, w jakiejś części jej decyzja musiała mieć związek z nim. Ten przelotny uśmiech, który posłała w jego stronę, upewnił go, że tak właśnie było.

- Nie chciałem nic mówić, kiedy oni tu byli, ale twoja decyzja, żeby nie stawać jako żywa tarcza między twoimi braćmi i waszą macochą, wydała mi się wyjątkowo roztropna. Oni, a zwłaszcza Alton, mogą sobie z nią poradzić, ale gdybyś ty tam była...

- Właśnie. - Skinęła głową. - To byłby regres.

Obiecane zaproszenia przybyły. Przeczytali je z kwaśnymi minami i uzgodnili, że spotkają się w hotelu Benedict's o wpół do dziesiątej, żeby wyruszyć do Fortescue House.

Jack skradł jednego szybkiego całusa... który trwał pięć minut, a następnie wyszedł, wciąż uśmiechając się szeroko. Lekki wietrzyk wiał mu w twarz, gdy wracał pieszo do Montrose Place, wdzięczny za okazję do rozprostowania nóg.

Jego głowa miała się dobrze, bez śladu bólu.

Deverell i Christian zjawili się w klubie niedługo po Jacku i przyprowadzili ze sobą Tristana Wemyssa, hrabiego Trentham, jeszcze jednego członka klubu. We trzech dołączyli do Jacka w bibliotece, sadowiąc się w wielkich, wygodnych fotelach i z wdzięcznością przyjmując kufle jasnego piwa, które podał im Gasthorpe, wymieniali dowcipne uwagi, zjadliwie komentując swoją dalekowzroczność przy zakładaniu tej swojej londyńskiej kryjówki.

- Przysięgam ci - powiedział Tristan. - Towarzystwo w tych czasach jest takie, że zawsze będziemy potrzebowali miejsca, w którym można zniknąć. Myślałem, że po ślubie będę bezpieczny, ale nie. Teraz dybią na mnie zamężne, lecz niezadowolone z życia matrony.

- Pomyślałbym, że Leonora będzie miała w tej sprawie coś do powiedzenia. - Oczy Christiana się zaiskrzyły. Leonora, teraz żona Tristana, dama niegdyś mieszkająca w domu obok klubu, nie była potulną i łagodną panną.

- Och, w rzeczy samej. - Tristan przytaknął. - Ale mogę znieść chowanie się za jej spódnicą tylko do pewnego momentu. Piekielnie demoralizujące po tym, jak przetrwaliśmy najgorsze z Napoleonem.

Roześmiali się i odświeżyli wiadomości o innych towarzyszach broni. Charles St. Austell, który ożenił się najpóźniej, sadowi się w domowych pieleszach w Kornwalii, Tony Blake, teraz także żonaty, uczy się radzić sobie z rodziną w swojej siedzibie w Devon, a Gervase Tregarth, hrabia Crowhurst, obecnie przebywa poza miastem, prowadząc rodzinne interesy.

- Co do Christiana i mnie - Deverell wyciągnął długie nogi - to czailiśmy się na obrzeżach towarzystwa, przeprowadzając zwiad.

- Stając na głowie, żeby nas nie zauważono. Nie najłatwiejsza misja. Właściwie to jestem niepomiernie zadowolony, że chwilowo mam coś innego na głowie, czym mogę zająć czas. Nie widziałem żadnej perspektywy wartej zachodu, ganiając po salach balowych. Już wolałbym raczej poganiać za jakimś łobuzem. - Posłał porozumiewawcze spojrzenie Deverellowi. - A co u ciebie?

- To samo - westchnął Deverell. - Wicie, miałem takie miłe przeświadczenie, kiedy zakładaliśmy ten klub, że znalezienie właściwej damy będzie... no cóż, pestką w porównaniu z infiltrowaniem francuskiej gospodarki i udawaniem przez ponad dziesięć lat, że jest się jednym z nich.

Christian przytaknął.

- A więc, porzucając demoralizujący temat na szych małżeńskich dążeń, czego mamy się dowiedzieć?

- Po pierwsze - odezwał się Tristan - powiedz mi, co to za gra. Chcę mieć w niej swój udział. To jest mi o wiele bardziej w smak niż brylowanie na salonach.

Jack zwięźle opowiedział o zagrożeniu dla Jamesa Altwooda, o tym, skąd wiedzieli, że jest niewinny, i o podejrzeniach Dalziela oraz ich obecnych planach odparcia zarzutów.

- Zanim magicznie przemienią się w bezpośrednie zarzuty zdrady. Dzięki Altwoodom zapewne jutro będę mógł pomówić z człowiekiem, który stoi za tymi zarzutami, diakonem

Humphriesem. Mamy już daty, pory i miejsca trzech ostatnich spotkań, które kurier rzekomo odbył z Jamesem. Deverell i Christian zajęli się nimi. Potwierdziliśmy, że James był w Londynie podczas wszystkich trzech, więc teoretycznie te spotkania mogły mieć miejsce.

- Właśnie - przytaknął Deverell. – Wszystkie trzy miejsca to tawerny w Southwark, kilka minut piechotą od pałacu Lambeth, gdzie James Altwood zatrzymuje się, przebywając w Londynie. A te tawerny to dokładnie to, czego można się spodziewać po takich miejscach. Jedyne sposoby, żeby się czegoś dowiedzieć, to obserwować, cicho i nie rzucając się w oczy, dopóki czegoś nie wybadamy. Nie ma sensu wypytywać świadków, póki nie będziemy wiedzieli, jak się sprawy mają, i póki nie mamy szansy ich przyłapać. Musiano im zapłacić za ich opowieści, ale gdybyśmy mogli je podważyć, to większość zapewne się wycofa. Ale by to zrobić, będziemy musieli mieć lepsze rozpoznanie każdej tawerny. Obawiam się, że nie ma drogi na skróty.

- Zgadza się. - Christian popatrzył na Jacka. - Poprowadzimy konieczną obserwację. Informacje, które wyciągniesz z zacnego diakona, mogłyby nam pomóc zawęzić krąg poszukiwań.

- Mam propozycję. - Tristan odstawił kufel. Rzucił okiem na Christiana i Deverella. - Wszyscy trzej przebywamy obecnie stale w Londynie. Wszyscy trzej mamy tutaj przydatne kontakty. Ale nasze kontakty wolą pracować tylko z ludźmi, których znają. - Spojrzał na Jacka. - Do podważenia są trzy incydenty. Sugeruję, żeby każdy z nas wziął jedną tawernę i posłał naszych ludzi tropem tego jednego spotkania.

Christian potakiwał.

- Doskonała myśl. Każdy z nas będzie mógł naciskać mocniej. „Łańcuch dowodzenia” będzie prostszy.

- Zgadza się. - Deverell odstawił kufel i pogrzebał w kieszeni surduta, wyciągając kartkę, na której Jack uprzednio zapisał adresy trzech miejsc spotkań. - A więc zobaczymy...

* * *

Później, zanim Jack przebrał się na wieczór z Clarice, usiadł przy biurku w bibliotece klubu i ułożył liścik do swojej ciotki, lady Davenport, prosząc, by podzieliła się jego treścią z lady Cowper.

Włożył niemało wysiłku w dobór słów, w przypadku takich dam aluzja bywa bardziej intrygująca niż oświadczenie. Niemniej, kiedy uważnie przeczytał ukończony list, zauważył, że wyraźnie biła z niego natura jego życzenia - chciał mianowicie, żeby panie pomogły lady Clarice Altwood powrócić do towarzystwa na poziomie, do jakiego uprawniało ją jej urodzenie.

Napomknął o przyczynach stojących za jej potrzebą powrotu: poważnym, lecz bezpodstawnym zagrożeniu dla bliskiego krewnego i chęci okazania pomocy braciom. Nie było potrzeby wdawać się w szczegóły, jego ciotki - może *grandes dames* - z pewnością będą oczekiwały z wypiekami na twarzach okazji, żeby się dowiedzieć, czego potrzebuje Clarice.

O swoich własnych powodach, dla których jej pomaga, nie wspomniał ani słowem. Oszaleją z ciekawości. Jeżeli następnego ranka przyjmą jego i Clarice na rozmowę, jak o to prosił, z pewnością będą rozgorączkowane.

Uśmiechając się, złożył podpis. Po chwili coś sobie przypomniał i dodał postscriptum, wspominając, że jeśli znają jakąś damę, której mogłyby zaufać, iż ta ma jakieś wpływy w sferze polityki, to byłby wdzięczny za przedstawienie go jej.

Uśmiechał się od ucha do ucha, kiedy osuszał list piaskiem, a potem go pieczętował. Mógł się założyć o każde pieniądze, że kiedy on i Clarice spotkają się z jego ciotkami, lady Osbaldestone też tam będzie.

Rozdział 15

Clarice, u boku Jacka, wkroczyła do frontowego holu rodziny Fortescue i dołączyła do szeregu gości, powoli sunącego w górę po głównych schodach. Gdyby to zależało od niej, wybrałaby inne miejsce na swoje ponowne pojawienie się w towarzystwie. Lord i lady Fortescue mieli dwie córki na wydaniu, ich bal będzie zatem typowym zbiegowiskiem wytwornego towarzystwa podczas sezonu.

Rozglądając się wkoło po innych gościach tłoczących się na schodach, mruknęła:

- Niewielka szansa, by coś tutaj zdziałać w obronie Jamesa. - W tym celu wybrałaby jedno z bardziej kameralnych spotkań możnej elity.

Jack wzruszył ramionami. Jego dłoń lekko gładziła jej palce, spoczywające na jego rękawie.

- Będziemy mogli się dowiedzieć od twoich braci, czy krążą już jakieś plotki. Dopóki tego nie wiemy, niewiele możesz zrobić.

Przyznała mu rację, załując, że nie jest inaczej Charakter pchał ją do działania, ale w obronie Jamesa rzeczywiście musieli postępować ostrożnie.

- Posłałam liściki do moich ciotek, dwóch sióstr ojca i do siostry matki oraz do mojego wuja. Powiadomiłam ich, że jestem w Londynie i że na życzenie Altona będę pojawiać się w towarzystwie, głównie po to, by zapewnić, iż te nieszczęsne zarzuty przeciwko Jamesowi nie staną się niepotrzebną sensacją.

Jack uśmiechnął się z aprobatą.

- Jak rozumiem, twoje ciotki i wuj nie są wielbicielami „niepotrzebnych sensacji”?

- Nie wtedy, kiedy to dotyczy ich rodziny. - Clarice zauważała liczne szybkie spojrzenia rzucane w ich stronę. Nachylając się bliżej do Jacka, ściszyła głos. - Przynajmniej my przyciągamy zadowolająco wiele uwagi.

- Trudno się dziwić, wzięwszy pod uwagę tę suknię.

Nuta stanowczości w jego głosie sprawiła, że Clarice się zachnęła.

- To najnowsza moda.

Jego mina była bardziej groźna niż pochwalna.

- Dla damy w twoim wieku, o twoim statusie, majątku i figurze, bez wątplenia. Niestety, taka suknia służy tylko podkreśleniu, jak niewiele jest wśród wyższych sfer dam w twoim wieku, o twoim statusie, majątku i... figurze.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, powiedział to tak zrędliwie, że nie wiedziała, czy się roześmiać, czy rozgniewać.

- Nie podoba ci się?

Wybrała zieloną atlasową, w bardzo ciemnej zieleni tylko nielicznym damom było do twarzy. Z ozdobionym koralikami wycięciem w kształcie serca i wytwornie spływającą spódnicą, ta suknia idealnie się nadawała do zwracania na siebie uwagi. Kiedy dzięki temu towarzystwo już sobie uświadomi, że Clarice rzeczywiście wróciła, przyjdzie pora na szokowanie ich innymi kreacjami.

Jack obejrzał ją prędko, po czym znów popatrzył jej w oczy.

- Suknia mi się podoba, jak doskonale wiesz. Nie jestem tylko zachwycony tym, że ktoś jeszcze mógłby uznać ją za... zbyt kuszącą.

Uśmiechnęła się, poruszona, gdy pojęła prawdę. To, że Jack aprobował suknię, było oczywiste. Jednak Clarice nigdy wcześniej nie była w bliskich stosunkach z żadnym dżentelmenem zazdrośnym o uwagę innych mężczyzn. To było dosyć oszałamiające uczucie. Uciekła wzrokiem w bok.

Jeszcze jeden stopień w górę i Jack pospieszył powitać gospodarza i gospodynię przyjęcia.

Oczy lady Fortescue rozszerzyły się z radości i żarliwej ciekawości.

- Lady Clarice. - Dotknęła jej palców. - Jak miło znowu panią widzieć. Byłam zupełnie zaskoczona, kiedy pani brat przekazał mi nowinę.

Clarice ledwie się uśmiechnęła i nic nie odpowiedziała.

Wyciągając dłoń, lady Fortescue zwróciła promienną twarz do Jacka.

- I lord Warnefleet! To podwójna przyjemność. Słyszałam, że zaszył się pan na wsi, milordzie.

Jack uśmiechnął się z wdziękiem.

- Wróciłem, żeby towarzyszyć lady Clarice w mieście.

Clarice stłumiła chęć wyniosłego uniesienia brwi. Kiedy lady Fortescue, zaintrygowana, odwróciła się do niej, Clarice delikatnie machnęła ręką.

- Jesteśmy sąsiadami na wsi.

- Ach... - Jej lordowska mość nie była pewna, jak to rozumieć.

Nie mając zamiaru jej w tym wspomóc, Clarice odwróciła się, by powitać lorda Fortescue, tak samo jak Jack, a następnie oboje żwawo przeszli do sali balowej.

- Moi bracia powinni gdzieś tu być.

Oboje byli wysocy, oboje przeszukiwali wzrokiem salę. Bez powodzenia. Ale kiedy Clarice znów odwróciła się do Jacka, zobaczyła wiele zaciekawionych twarzy, przyglądając się Jackowi, bez trudu dostrzegła, dlaczego tak jest. Mogła być w najwyższym stopniu elegancka, ale on jej dorównywał, ona prezentowała się majestatycznie i wdzięcznie, on ujmował urokiem. Pod względem fizycznym dobrze do siebie pasowali, oboje imponujący, smukli i pełni wdzięku, tworzyli razem uderzająco urodziwą parę.

Wiele patrzących na nich osób tak pomyślało, to rzucało się w oczy, w spojrzeniach rzucanych w ich kierunku była nuta podziwu.

Niewielu jednak rozpoznawało Clarice, nie pojawiała się w tych kręgach przez siedem lat. Ale już zaczęto zadawać szeptem pytania i szeptem udzielać odpowiedzi. Do jutra cały Londyn będzie wiedział, że lady Clarice Altwood powróciła.

- Chodź. Przejdźmy się. - Jack ułożył jej dłoń na swoim ramieniu i ruszyli przez długą salę.

Clarice dotrzymywała mu kroku. Jej wrodzona wyniosłość osłaniała ją jak płaszcz, sprawiając, że wyglądała niczym członkini królewskiego rodu. Co, jak pomyślał Jack, nie było

znowu aż tak dalekie od prawdy.

Niektóre z mijanych starszych dam rozpoznawały ją i szeroko otwierały oczy na jej widok, ale kiedy Clarice, spokojna i pogodna, kłaniała im się z godnością i spokojem, dość chętnie odpowiadały tym samym.

Nagle zacisnęła dłoń na jego ramieniu i skinęła głową w kierunku okien.

- Oto i oni, Alton i Roger.

- Czego dowiedzieliście się w klubach? - spytała Clarice, kiedy do nich dołączyli.

- Niezbyt wiele - odparł Roger.

- Wygląda na to - powiedział Alton - że niektórzy słyszeli pogłoski, ale byli nimi zdziwieni i zachowują ostrożność, dopóki nie dowiedzą się więcej.

- Dobrze. - Wargi Clarice zastygły w wyrazie cynicznej satysfakcji.

- Mamy dosyć czasu, żeby wymyślić odpowiednie środki zaradcze. - Napotkał wzrok Altona. - Poważnie wątpię, by ktoś, kto za tym stoi, pozwolił, żeby pogłoski ucichły i poszły w zapomnienie. Planuje wywołać tak wielką sensację, jak tylko zdoła, ale oczyszczenie Jamesa z zarzutów to zniweczy.

Roger szybko spojrzął na Clarice.

- Teraz, skoro tu jesteś, mogłabyś pomyśleć, jak mi pomóc z Alice, a byłbym twoim niewolnikiem na resztę życia.

Jego ton zdradzał rozpacz. Clarice uniosła brwi.

- Dobrze. Jack może być moim świadkiem. Od razu! - Odwróciwszy się, przyjrzała się tłumowi. - Gdzie ona jest?

Roger wskazał młodą damę stojącą obok szezlonga, na którym zasiadała obwieszona klejnotami matrona, rozmawiająca z dwiema innymi. Młoda dama uparcie patrzyła w inną stronę. Chociaż obok kręciło się dwóch dżentelmenów, wydawało się, że żaden nie przykuł uwagi Alice Comberville.

Clarice uśmiechnęła się, mrużąc oczy.

- To powinno być łatwe. - Clarice rozumiała, że uwaga Alice, jej zmysły, jej umysł, były mocno skupione na ich

grupce, na Rogerze. - Zaczekaj tutaj.

Zostawiła ich i płynnym ruchem ominęła szeszlą.

- Panna Comberville?

Alice drgnęła i odwróciła się do Clarice. Ściągnęła brwi, zaintrygowana, nie miała pojęcia, kim ona jest.

Podobnie zaintrygowani dwaj dżentelmeni przysunęli się bliżej. Clarice odwróciła się do nich i uśmiechnęła łaskawie. Była pewna, że żaden jej nie poznał, i sądząc z wyrazu ich oczu tak samo pewna, że gdyby tego chciała, mogłaby podbić ich serca.

- Harry Throgmorton, piękna pani. - Harry ujął dłoń, którą mu podała, i uklonił się przesadnie szarmancko.

- Miles Dawlish, madam. - Pan Dawlish, nie dając się przelicytować, był wyszukanie grzeczny.

Clarice ukryła uśmiech, obaj byli dla niej o wiele za młodzi. Zbyt niedoświadczeni, zbyt przeciętni, by myśleć sobie to, co pomyśleli.

- Panowie, jeśli pozwolicie, chciałabym zamienić słówko na osobności z panną Comberville.

Nie podała im swojego nazwiska, nie podała żadnego wyjaśnienia. Postawieni w niezręcznej sytuacji, obaj odprawieni i wyraźnie rozczarowani, przywołali jednak na twarz uśmiechy, mruknęli „oczywiście” i odeszli.

- Jestem lady Clarice Altwood, siostra Rogera.

Alice zamruwała, zmarszczka na jej czole pogłębiła się.

- Jego przyrodnia siostra...? - Przyjrzała się twarzy Clarice.
- Nie.

Uśmiech Clarice stał się smutniejszy.

- Nie, w rzeczy samej. Moira nie jest moją matką. Jednak nie ma powodu, byś miała mnie pamiętać. Nie pokazywałam się w towarzystwie przez wiele lat. Obecnie jestem w mieście w interesach, i wobec zainteresowania Rogera twoją osobą, pomyślałam, że może zawrzemy znajomość.

Alice, panna o lśniących brązowych włosach i brązowych oczach, które powinny być błyszczące, lecz były zgaszone i

zmęczone, popatrzyła na Clarice ze zdumieniem. Wyglądała na tak samo pogrążoną w rozpacz jak Roger.

- Ja... Roger...

Clarice podniosła rękę.

- Po prostu posłuchaj, jeśli łaska, i zobaczmy, czy dobrze wszystko rozumiem. Roger opowiedział ci o swoich młodzieńczych występkach, których Moira chciała użyć przeciwko niemu, żeby powstrzymać go przed poproszeniem o twoją rękę. Czy to się zgadza?

Wargi Alice zamarły. Skinęła głową.

- Roger myślał, że rozumiesz, iż jesteś tak samo jak on zdecydowana sformalizować wasze zaręczyny. Potem jednak... Popraw mnie, proszę, jeżeli się mylę... Rozmawiałaś z Moirą, żeby zganić ją za jej usiłowanie szantażowania Rogera, by tańczył tak, jak ona mu zagra.

Twarz Alice posmutniała. Nie zaprzeczyła słowom Clarice, po prostu stała, a jej wielkie oczy utkwione były w twarzy rozmówczynie.

Clarice poczuła, jak jej rysy twardnieją, i starała się, by jej głos nie zabrzmiał zbyt szorstko, kiedy powiedziała:

- Moja droga, myślę, że lepiej będzie, jeżeli mi opowiesz, co mówiła Moira i co jeszcze powiedziała ci na temat Rogera, ponieważ jestem najzupełniej pewna, że cokolwiek to było, ona cię okłamała.

W Alice obudziła się nadzieja, pokazało się to w jej oczach, ale nie wiedziała, czy ma zaufać, czy też nie. Wpatrywała się w twarz Clarice z bolesnym napięciem. Później zerknęła na matkę, sięgnęła po dłoń Clarice i odciągnęła ją kilka kroków od szezlonga.

- Mówiłaś, że nie byłaś w Londynie od lat. Skoro tak, jak możesz tak naprawdę i dobrze znać Rogera?

Clarice uśmiechnęła się uspokajająco.

- Po części dlatego nie zaszczytam dłużej towarzystwa swoją osobą, że dorastając, byłam bliżej z braćmi, niż zapewne należało. Aż do szesnastego roku życia spędzałam z nimi każdą

wolną chwilę. Zatem znam ich wszystkich trzech naprawdę dobrze.

Pozwoliła, by jej wspomnienia i miłość do braci pokazały się w jej oczach.

Alice zobaczyła to i odczytała prawdę. Zawahała się, raz jeszcze wpatrując się badawczo w Clarice, a potem wzięła głęboki wdech i wyrzuciła z siebie zduszonym szeptem:

- Moira powiedziała, że on preferuje chłopców.

- Co takiego? - Clarice zdołała stłumić okrzyk. Odwróciła się plecami do sali i ścisnęła dłoń Alice. - Przepraszam. Ja... - Oszołomiona, pokręciła głową, potem zacisnęła zęby i spojrzała w rozszerzone, niemal błagające oczy Alice. - Moira wszystko to wymyśliła. Nie ma w tym ani krzty prawdy. Cóż... - Odwróciła się i poprosiła Alice, żeby popatrzyła na Rogera stojącego po drugiej stronie sali z Altonem i Jackiem. - Roger przeżywa piekło, myśląc, że cię stracił, i próbując cię odzyskać nie od tygodni, lecz od miesięcy. Alice, tak nie zachowuje się mężczyzna, który preferuje chłopców.

Nawet wypowiadając te słowa, czuła się słabo. Jak Moira ważyła się wymyślić coś takiego?

Twarz Alice się rozjaśniła. Jej zaufanie rosło, pojawiło się uczucie szczęścia.

Zaś sama Clarice poczuła się rozdarta. Czy powinna powiedzieć braciom, jaką trucizną szerzy Moira, czy lepiej zachować milczenie?

Alice potrząsnęła dłonią Clarice, żeby odzyskać jej uwagę.

- Ja... jestem taka szczęśliwa... - Przełknęła ślinę. - Prawie. Tak bardzo kocham Rogera, i byłam taka przygnębiona, ale... Jak mogę teraz spojrzeć mu w twarz, nie mówiąc, w co uwierzyłam?

- Ja mu powiem. Wytłumaczę, jak się czułaś, i dopilnuję, żeby zrozumiał... Bądź co bądź, nie jest to coś, o co dama może zapytać dżentelmena.

Spojrzała w oczy Alice i zobaczyła budzącą się radość, zapalającą się niczym latarnia morska.

- Zaraz z nim pomówię, a później przyślę go do ciebie. A potem... Jego serce naprawdę spoczywa w twoich rękach. Nie rozczaruj mnie.

Alice zaczęła się uśmiechać, mruganiem powiek powstrzymując łzy.

- Och, nie zrobię tego, lady Clarice. Przyrzekam, że zawsze będę go kochać.

- Po prostu Clarice, jeśli mamy być rodziną. - Spoglądając na Rogera, poklepała dłoń Alice, raz jeszcze na nią popatrzyła, uśmiechnęła się i odwróciła, żeby odejść. - Och! - zawołała.

- Jeszcze jedno. Bądź szczególnie ostrożna przy Moirze. Ona nie przyjmie tego dobrze. Kiedy już Roger oficjalnie poprosi o twoją rękę i zostanie przyjęty, a lepiej, by to się stało jak najszybciej, postąpiłabyś roztropnie, zwracając się rodzicom w kwestii sztuczek Moiry. Jej nie można ufać w żadnej sprawie.

Oczy Alice zwęziły się, wargi zadrżały.

- Kiedy Roger mnie poślubi, będę trzymała Moirę na dystans.

Pod bardzo kobiecą, łagodną powierzchownością Alice kryła się stal.

Clarice, całkowicie usatysfakcjonowana wyborem Rogera, przemierzyła z powrotem salę balową, żeby go powiadomić, iż jego przyszłość znowu spoczywa w jego rękach.

Powiedzenie Altonowi i Rogerowi o kłamstwie Moiry nie było najłatwiejszą rzeczą, jaką przyszło jej zrobić w życiu, ale uczyniła to, nie mrugnawszy okiem, a następnie - tak jak się tego spodziewała - spędziła kolejne dziesięć minut, łagodząc oburzenie braci.

- Moira nie może wiedzieć, że odzyskujecie panowanie nad swoim życiem, dopóki nie dźwierzycie sterów mocno w garści. - Surowo spojrzała na Altona i Rogera. - Chociaż to szokujące, ciskanie na nią za to gromów nie przyniesie nam korzyści. No już! - Zwróciła się do Rogera. - Ja wykonałam swoją część. Co dalej, zależy do ciebie. Jeżeli masz chociaż odrobinę rozumu, to uspokoisz biedną Alice, że dobrze

rozumiesz, jak to było, a potem razem możecie potępić działania Moiry i najszybciej jak się da skorzystasz z okazji, by poprosić Alice o rękę. Kiedy zostaniesz przyjęty, wyjaśnisz sprawę Moiry. Nie staraj się jej chronić. Jeżeli to zrobisz, ona zwyczajnie wykorzysta szansę, by ponownie zniszczyć twoje szczęście. Tylko wstrzymaj wszelkie oficjalne zapowiedzi do czasu, aż załatwimy też sprawy Nigela i Altona.

Nieco oszołomiony Roger przytaknął. Jego spojrzenie powędrowało przez salę do miejsca, gdzie stała, nerwowo oczekująca, Alice.

Clarice wydała z siebie zirytowane mruknięcie, chwyciła Rogera za ramiona, odwróciła go w stronę Alice i popchnęła.

- Idź.

Roger poszedł z nadzieją w oczach.

Clarice wypuściła powietrze i odwróciła się do Altona.

- A teraz dokąd? Do Hendersonów?

Rozdzielili się, Alton ruszył przodem na ostatni bal z listy, u lady Hartford, by porozmawiać ze swoją Sarah.

Clarice i Jack mieli się z nim tam spotkać po tym, jak pojawią się w sali balowej u Hendersonów i spotkają z Nigelem i jego Emily.

Nigel nabrał otuchy, słysząc o sukcesie Clarice w oczyszczeniu Rogerowi ścieżki ku szczęściu. Niezmiernie zachęcony, przedstawił ich Emily, która okazała się młodą damą o miłym usposobieniu, ale też nie żadną potulną panienką. Dosyć uważnie przyjrzała się twarzy Clarice, po czym uściśniła jej dłoń i mruknęła:

- Zawsze uważałam, że uszczypliwe uwagi czynione przez twoje przyrodnie siostry nie mogą być prawdziwe.

Uśmiech, który towarzyszył temu stwierdzeniu, wywołał odpowiedź ze strony Clarice. Pomimo różnicy wieku i doświadczenia obie znalazły wspólny grunt, dyskutując o Nigelu i jego rozlicznych brakach.

- Ależ! - zaprotestował. - Myślałem, że miałaś mi pomóc zdobyć rękę Em, a nie opowiadać jej wszystkiego o moich

słabostkach.

Clarice przewróciła oczami.

- Jestem najzupełniej pewna, że Emily już o nich wie. My tylko zabijamy czas.

Jack stłumił śmiech na widok miny Nigela.

Ale ocena Altona okazała się prawdziwa, przypadek Nigela był najmniej nagłący. Po okazaniu wyraźnej aprobaty Clarice i Jack oddalili się. Pokierował ją wzdłuż długiej sali balowej, podobnie jak ona zauważając zainteresowanie, jakie wywołali, pospieszne spojrzenia, pytania szeptane za ich plecami.

Z podium w końcu sali dobiegła ich muzyka, skoczne dźwięki walca. Zatrzymawszy się, Jack spojrzał Clarice w oczy.

- Podobno jesteśmy tutaj, żeby cieszyć się balem. Nie powinniśmy zatańczyć?

Rozważała to, co właśnie zasugerował: że ich pojawienie się na trzech balach z rzędu bez najmniejszej próby cieszenia się zaoferowaną rozrywką niechybnie wywoła spekulacje co do ich zamiarów i przyciągnie uwagę do tego, z kim się spotykali, z kim rozmawiali.

Clarice się uśmiechnęła.

- Tak. Zatańczmy. - Kiedy Jack wkroczył na parkiet i porwał ją w ramiona, mruknęła: - Ostrzegam cię, że minęły lata, odkąd ostatni raz tańczyłam walca.

- Po prostu się odpręż. - Przesunął palcami wzdłuż jej kręgosłupa, a szeroka dłoń spoczęła na jej plecach. - Myślę, że odkryjesz, iż jest to coś, czego się nie zapomina.

Przyciągnął ją do siebie i obrócił, natychmiast przypominając sobie, jak dobrze do siebie pasują, jakie to rozkoszne, że Clarice jest tak wysoka, że jej nogi są takie długie. Z nią w ramionach walc nabrał nowego wymiaru, stając się głębszą, bardziej wyjątkową przyjemnością.

Wiedział, że Clarice to poczuła. Jej umysł upajał się doznaniem płynącymi z faktu, że Jack trzymał ją tak wprawnie, że była więźniem siły znacznie większej niż jej własna, że została przez nią otoczona, ale nic jej nie groziło.

Wirowali, a pozostali tancerze rozstępowali się wokół nich. Zastanawiała się, dlaczego z nim było tak inaczej. Tak dobrze.

Gdyby tylko tego zapragnął, jego siła mogłaby ją unieruchomić, uwięzić, zamknąć, a jednak Clarice nie żywiła nawet najlżejszej obawy, że on kiedykolwiek tak postąpi. Ten taniec, to radosne wirowanie w walcu, stały się jeszcze jednym elementem ich miłości, kolejną płaszczyzną, na której mogli zgłębiać swoją fizyczną i zmysłową więź. Więź objawiającą się w ciepłe dłoni, opiekuńczo dotykającej jej pleców. W sile palców, które ją trzymały i kierowały ich ruchami. W swobodnej kontroli, która prowadziła ich nieomylnie przez roztańczony tłum. Ich uda ocierały się o siebie, zielony atlas sukni miękko szemrał, a spódnica raz go muskała, raz się oddalała.

Clarice czuła się pełna życia w jego ramionach, jak jeszcze nigdy dotąd, bardziej świadoma własnego ciała.

Żaru, który wzbierał i wzrastał w obojgu.

Muzyka ucichła. Razem z innymi tancerzami zatrzymali się w końcu. Clarice nie musiała nic mówić, po prostu się uśmiechnęła.

Podniósł jej dłoń do ust i pocałował.

Ta chwila trwała w nieskończoność.

Oboje czuli, że są jedynymi ludźmi na sali.

A potem rzeczywistość powróciła wraz z falą dźwięków.

- Sądzę, że to pierwszy walc, który tak naprawdę zatańczyłem - szepnął Jack.

Nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się, zadowolona. Czuła to samo.

Podjęli znów wędrówkę ku drzwiom - i zobaczyli Moirę, z ustami rozchyłonymi w zdumieniu i oszołomieniu, stała z dwiema młodszymi damami z boku sali, one także wpatrywały się w Jacka i Clarice wręcz osłupiały.

Clarice skinęła im głową chłodno i wyniośle, nie zwalniając kroku. Jack pospiesznie obejrzał sobie trzy damy, po czym ruszył za nią. Kiedy już wtopili się w tłum, spytał cicho:

- Kim były tamte dwie?
- To moje przyrodnie siostry. Ciemnowłosa to Hilda, ta druga to Mildred.
- Wyraźnie nie spodziewały się zobaczyć cię w takim otoczeniu.

- Nie. - Dotarli do schodów. - Biorąc pod uwagę, że Moira przechwytywała moje listy do Altona, musiała wiedzieć, że co roku przyjeżdżam do Londynu, ale nigdy wcześniej nie ośmieliłam się pójść na jakikolwiek bal.

- Czy sądzisz, że ona się domyśli, dlaczego dziś wieczorem postanowiłaś inaczej?

- Możliwe, ale możliwe też, że nie. Ona i jej córki są żarliwymi uczestniczkami balów, wystawnych obiadów i przyjęć, zwłaszcza podczas sezonu. Może nie od razu przyjdzie im do głowy, że mój powrót nie wynika po prostu z „towarzyskiego wyposzczenia”.

- Ona najwyraźniej zobaczyła cię dopiero teraz, więc nie widziała cię z Nigelem i Emily.

- Ani wcześniej u Fortescue - potwierdziła Clarice. - To dobrze. Chodźmy do lady Hartford.

Tak zrobili. Podobnie jak lady Fortescue, lady Hartford była poruszona, mogąc powitać Clarice. Nie mając córki na wydaniu, nie spotkała dotąd Jacka, ale uśmiechnęła się i powitała go wylewnie.

- Twoja ciotka Cowper była tu wcześniej, ale wydaje mi się, że już wyszła. Wspominała, że jest niezmiernie zadowolona z twojego powrotu do miasta.

Jack posłużył się swoim czarującym uśmiechem, żeby umknąć. Prowadząc Clarice do zatłoczonej sali, mruknął:

- Posłałem liścik mojej ciotce Davenport. Musiała przekazać wiadomość ciotce Emily. Poprosiłem o spotkanie jutro rano, jeśli to możliwe. Nie wątpię, że w klubie będzie czekał list, kiedy tam wrócę.

Clarice spojrzała na niego wymownie.

- Co za traf, że Amelia Hartford pomyślała, by wspomnieć

o lady Cowper.

Nieskruszony Jack wzruszył ramionami.

- Poradziłabyś sobie i tak.

Clarice prychnęła i przeniosła uwagę na zgromadzony tłum. Sala balowa u lady Hartford była niewielka, ale tłoczyło się w niej więcej gości niż zazwyczaj.

- Mało prawdopodobne, byśmy coś tutaj osiągnęli. - Jack ostrożnie prowadził ją przez tłum. - Rozmowa na osobności będzie niemożliwa.

Dotarłszy na środek sali balowej, przystanęli, żeby poszukać Altona.

Jack pochylił głowę i mruknął:

- Przy oknach. Właśnie weszli.

Clarice odwróciła się i spojrzała. Alton zamykał drzwi prowadzące na zewnątrz, na taras. U jego boku, wpatrzona tylko w niego, stała młoda jasnowłosa dama, elegancko uczesana i ubrana, smukła i pełna wdzięku.

Clarice wstrzymała oddech ze współczuciem. Czy miłość zawsze sprawia tyle bólu?

- Chodź. - Chwytnąc rękaw Jacka, pociągnęła go w kierunku Altona.

Jack wziął ją pod ramię i dzięki szerokim barom i groźnej determinacji utorował im drogę wśród gości.

Sarah z początku obawiała się spotkania z władczą siostrą Altona, ale pozbyła się wszelkiej powściągliwości, kiedy Clarice wspomniała o Moirze. Na policzki Sarah wrócił rumieniec, a w jej pięknych niebieskich oczach rozbłysły iskry. Niestety, zbyt wiele ciekawskich uszu było o wiele za blisko i musieli rozmawiać, posługując się subtelnymi aluzjami, otwarte omawianie zajmującej ich kwestii po prostu nie było możliwe.

Clarice ujęła dłoń Sarah i ścisnęła ją wymownie

- Wkrótce znowu się spotkamy w bardziej sprzyjającym otoczeniu. Tymczasem, jeśli mogę... - Clarice przerwała, przypatrując się damie, którą wcześniej dostrzegła między dwoma dżentelmenami. - To Claire, czyż nie? O, tam?

Sarah jej nie widziała, ale Alton spojrział ponad głowami gości i przytaknął.

- Tak.

Clarice zerknęła na Jacka.

- Zostańcie tutaj wszyscy. Chcę sama pomówić z Claire. - Z niechęcią popatrzyła na tłum. - Jeżeli mi się uda.

Przemykała przez ciżbę ludzi, świadoma, że Jack i Alton ją obserwują. Tylko piętnaście stóp dzieliło ją od miejsca, w którym stała Claire, gawędząc z jakimś dżentelmenem, przebycie tej odległości zajęło jej całe dziesięć minut. Wyłaniając się z tłumu, Clarice pochwyciła spojrzenie dziewczyny i zatrzymała je na sobie. Claire zamrugła, rozpoznała ją, umilkła, a potem, uświadomiwszy sobie, dlaczego Clarice stoi z tyłu, uśmiechnęła się do rozmówcy i prędko go zostawiła samego.

Claire podeszła do Clarice.

Wymieniły uprzejme skinienia głowy. Claire potoczyła wzrokiem po ciasno otaczających je osobach.

- To nie jest odpowiednie miejsce na omawianie tego, o czym, jak przypuszczam, chcesz porozmawiać.

- Istotnie. Może bawialnia?

Claire zawahała się, a potem odparła:

- Wiem, że jest tu mały salonik. Możemy tam spróbować.

Clarice skinęła ręką.

- Prowadź. Wymknęły się z sali. Pokoik był pusty.

- Mamy szczęście. - Claire opadła na jeden z foteli. Zaczekała, aż Clarice zasiądzie w drugim i odezwała się: - Rozumiem, że chcesz pomówić o życzeniu Altona, by poślubić Sarah. Wygląda mi to na wyjątkowo odpowiedni związek. Ja na pewno tak powiem Connistonowi, kiedy zapyta.

Clarice wytrzymała spojrzenie Claire, pospiesznie zastanawiając się, jak wiele ujawnić. Claire była od niej starsza o kilka lat, bardziej w wieku Altona, jednak dawno temu wiele je łączyło. Nie były przyjaciółkami, być może nawet w wirze „salonowego swatania” były rywalkami, ale miały ze sobą dużo

wspólnego, Claire, posażna córka wicehrabiny, była na tyle piękna, żeby przyciągnąć uwagę wielu dżentelmenów, oraz na tyle zmysłowa i bystra, by mieć własne zdanie. I podejmować niezależne decyzje.

Clarice skinęła głową, zasiadając w fotelu.

- Chociaż jestem szczęśliwa, wiedząc, że poprzecz ten związek... I owszem, choć ledwie miałam czas, by poznać Sarah, to się zgadzam, że to pod każdym względem doskonały wybór... Tak naprawdę jestem tutaj po to, by pomówić o Moirze. - Kiedy brwi Claire się uniosły, Clarice uśmiechnęła się ponuro. - O Moirze i jej szantażu. Zwięźle opisała zasłyszane groźby.

Rysy Claire stwardniały.

- A to suka.

Clarice przytaknęła.

- W rzeczy samej. Powód, dla którego chciałam z tobą pomówić, jest taki, że masz najlepszą możliwość oceny, jak ta sytuacja mogłaby się rozwinąć. Jak zareaguje Conniston? Czy tobie także coś grozi?

Claire pokręciła głową.

- Ja naprawdę bardzo lubię Sarah. Nie jak córkę, oczywiście, bardziej jak młodszą siostrę. - Napotkała wzrok Clarice. - Conniston i ja mamy umowę, od samego początku. Zawsze mówię mu, kim są moi kochankowie. To go nie obchodzi, ale sytuacja jest mniej niezręczna. On wie, że Alton i ja... Ale to było prawie dziesięć lat temu!

- Zatem Conniston nie będzie miał nic przeciwko?

- Nie przeciwko Altonowi *per se*, ale nie zniesie tego, czym grozi Moira. Cóż, jakież dżentelmen by to zniósł?

- A więc musimy zamknąć Moirze usta.

- Potrafisz?

- Tak. Ale to będzie zniżanie się do jej poziomu, więc nic, do czego się palę.

Clarice mogłaby powiedzieć, że spośród wszystkich dam z towarzystwa Claire rozumiała ją najlepiej.

W końcu Claire przytaknęła.

- A zatem mała rada, jeżeli ją przyjmiesz od kogoś, kto pozostał w towarzystwie, podczas gdy ty z niego uciekłaś. Damy takie jak my nie pozwalają, by nurt życia ciskał nimi, gdzie popadnie. Podejmujemy własne decyzje i same obieramy swój kurs. Ty i ja wybrałyśmy różne drogi, ale wybrałyśmy je samodzielnie. Same sobie pościeliłyśmy, a kiedy to już się stało, tak też musimy się wysypiać. W tym przypadku oznacza to, że cokolwiek musisz zrobić, aby powstrzymać Moirę, faktycznie to zrobisz, ponieważ taka właśnie jesteś. Jednak w trakcie zmierzania do celu nie zapomnij, że ty jeszcze nie skończyłaś sobie... ścielić.

Clarice nie nadążała za jej tokiem rozumowania. Claire uśmiechnęła się łagodnie i wstała.

- Przed laty wybrałam odwrócenie się plecami do miłości i zgodziłam się na małżeństwo z rozsądku z Connistonem. Dla mnie to był słuszny wybór i ani trochę tego nie żałuję. Ty, z drugiej strony, wybrałaś odwrócenie się plecami do towarzystwa i zostawiłaś otwarte drzwi dla tego, co mogłoby nadejść... Jeszcze nie dokonałaś wyboru, nie pościeliłaś sobie na resztę życia.

- Mówisz, że ja nadal mam... ale nie. Pod tym względem wszystkie ważne decyzje podjęłam dawno temu.

Claire odwróciła się do drzwi.

- Nie, nie podjęłaś. Masz za sobą pierwszą część podejmowania decyzji składającej się z kilku etapów. Teraz, kiedy wracasz do towarzystwa, zaufaj mi, że nie będzie ci dane pozostawić tę drugą decyzję bez rozstrzygnięcia, jak to uparcie czyniłaś przez te wszystkie lata.

Z dłonią na kłamce Claire popatrzyła na Clarice i uśmiechnęła się.

- Wiesz, czekam z niecierpliwością, by zobaczyć, jak będzie wyglądało twoje łóżko, kiedy w końcu ułożysz ostatnie prześcieradło...

Clarice westchnęła i obie wyszły z pokoju.

* * *

Clarice zastała Jacka i dwóch pozostałych czekających na nią tam, gdzie ich zostawiła. Potwierdziwszy, że Claire jest po ich stronie, ostrzegła, żeby postępowali ostrożnie. Dopóki nie postanowi, jak wytrącić Moirze broń z ręki, muszą się przyzaić. Wprowadzając to postanowienie w życie, Clarice i Jack wyszli.

- Cóż! - Clarice oparła się wygodnie na siedzeniu powozu.
- Muszę przyznać, że jestem zdumiona, iż wszyscy, Alton, Roger i Nigel, wybrali tak mądrze. Sarah, Alice i Emily wyglądają na urocze, ale bystre, z kręgosłupem niezbędnym do poruszania się w naszych kręgach.

Poprzez cienie, co chwilę rozświetlane przez uliczne lampy, Jack wpatrywał się w jej twarz wyrażając zadowolenie.

- Mężczyźni z twojej rodziny wydają się mieć skłonność do wybierania silnych kobiet. Bądź co bądź twój ojciec poślubił twoją matkę.

Clarice wyglądała na zaskoczoną.

- Nawet Moira. Trudno byłoby opisać ją jako słabą.

Jack przytaknął, a jego twarz jakby stężała.

- Pozbawioną skrupułów, ale nie słabą.

Prawie nie odzywali się więcej. Miejski powóz Altona pożyczony na ten wieczór w końcu się zatrzymał, a kiedy z niego wysiedli, Jack dał znak stangretowi, by odjechał bez niego. Zaprowadził Clarice do foyer hotelu Benedict's, ucałował jej dłoń, po czym ukłonił się i odszedł.

Piętnaście minut później, zwolniwszy czekającą na nią pokojówkę, Clarice otworzyła mu drzwi swojego apartamentu. Nie był zaskoczony, kiedy bez słowa zaprowadziła go do sypialni. Wyciągnął do niej ręce, przytulił ją i pocałował.

Łapczywie. Nie ukrywając, jak bardzo jej pragnie.

Odpowiedziała żarliwie i świadomie, żądając i dyktując własne warunki. Ale tej nocy Jack nie był w nastroju na to, by jej pozwolić na odebranie mu inicjatywy.

Nadal miała na sobie suknię z zielonego aksamitu. W chwili, gdy pierwszy raz zobaczył ją na Clarice, nawiedziła go płomienna fantazja, by zrywać ją z niej powoli, cał po calu. By odsłonić każdą krągłość, każdą kończynę jak z kości słoniowej, a w końcu pozwolić sukni opaść, pozostawiając Clarice ubraną tylko w lśniącą mgiełkę halki.

Kiedy zielona suknia naprawdę spłynęła na podłogę, ku jego bezbrzeżnej satysfakcji Clarice była rozpalona i ochocza. Owijając mu ramiona wokół szyi, przycisnęła się do niego w bezwstydnym błaganu.

Nie odrywając od niej ust, poruszył ramionami i zsunął płaszcz i kamizelkę. Clarice uniosła długie nogi i owinęła je wokół jego bioder.

Pokusa nie odzywała się szeptem, o nie. Krzyczała - o wiele za głośno, by ją zignorować.

W jednej chwili znaleźli się na łóżku.

Przytrzymał jej biodra, i wsunął się w nią. Jej piersi wznosiły się i opadały przed jego oczyma. Uśmiechnął się szeroko, uważny i skupiony, jedną dłonią chwycił delikatną tkaninę jej halki i podsunął ją, ściągając ją kochance przez głowę. Musiała puścić jego ramiona, żeby wyplątać ręce z materiału.

Usiadła na Jacku okrakiem, tylko w jedwabnych pończochach i podwiązkach, podczas gdy on wciąż był częściowo ubrany, chwytając oddech niemal z desperacją, zaczęła się rytmicznie poruszać. Unosić się, a potem opadać, sunąc rozpalonym ciałem po jego naprężonej męskości, zaciskając i zwalnając uścisk, a później stykając się z nim biodrami.

Kiedy nadeszła pora, podniósł się na kolana i pchnął Clarice do tyłu, chwycił i wyprostował jej długie nogi, ściągnął z niej pończochy i podwiązki, a następnie owinał sobie jej nagie nogi wokół talii.

Instynktownie zaplotła kostki za jego plecami. Dotarło do niej, jak bezbronna - bezradna - jest w tej pozycji. Zanim zdołała zareagować i się podnieść, znowu przyciągnął jej biodra do

swoich, unosząc ją i wciągając na siebie.

Próbowała poruszać się wraz z nim, na przekór niemu, kierować, naciskać, lecz odkryła jedynie, że nie mogąc się podeprzeć nogami nie może zrobić niczego, tylko przyjmować każde jego pchnięcie.

W końcu opuścił jej biodra na łóżko, mocno opierając się nad nią, by wsunąć się głęboko w palący żar jej ciała, całkowicie przed nim otwartego, oddanego mu, by je wziął.

Wypełnił, dopełnił. Aż do druzgoczącej kulminacji. Jack dołączył do niej ledwie parę sekund później. Spletli się ze sobą, płonąc, gdy oszalały blask ich ogarnął, a potem przygasł, pozostawiając bezwładnych, wyczerpanych i wyzutych z sił, ciśniętych jak szmaciane lalki na olbrzymie łóżko.

Nieco później Clarice odzyskała siły na tyle, by się uśmiechnąć z powodu zachwyty, teraz już znajomego. Rozkosznego. Pożądanego.

Burząc palcami włosy Jacka, leżała pod nim, w myślach chichocząc właściwie bez powodu, a jej nagie ciało stygło pod jego twardym i ciepłym ciałem.

Podniósł się w końcu i zdjął ubranie. Nareszcie nagi, wstał i zgasił lampę na toaletce. Wróciwszy, by ukłęknąć obok niej, podniósł ją na poduszki, wyciągnął nakrycie spod nich obojga i przykrył ją i siebie, przytulając ją w skłębionych falach łóżka.

Odprężył się, Clarice poczuła, jak z jego mięśni znika całe napięcie. Później jego oddech stał się głębszy, i Jack usnął.

Wciąż bezwładna w uścisku zaspokojenia i ocieężałości, uśmiechnęła się, czując, jak jej wargi ocierają się przy tym o skórę na jego piersi.

Kochała to, kochała jego, kochała sposób, w jaki wszystkim się dzielił, sposób, w jaki pozwalał jej prowadzić, a potem sam przejmował wodze, przekazując ją i odbierając...

Ostrożnie, żeby go nie obudzić, odprężyla się, oparta na ramieniu, które nawet teraz trzymało ją mocno, i przeturlała się na plecy. Wpatrując się w ciemny sufit, starała się skoncentrować, poukładać wszystko, zobaczyć, dokąd tak

naprawdę prowadzi ścieżka, którą aż do teraz tak niefrasobliwie kroczyła.

Wydawało się, że ścieżka skręciła w nieoczekiwaną stronę... A może po prostu Clarice zaszła o krok dalej w swojej podróży w głąb zakazanej okolicy, niż to wcześniej przewidziała? Z pewnością zapuściła się na nieznanne tereny.

Przemknęły jej przez głowę słowa Claire - i ta jej pewność, że wbrew własnym oczekiwaniom Clarice nie zamknęła jeszcze pewnych aspektów swojego życia. Myślała, że wygnanie na wieś determinowało całą jej przyszłość, że nie będzie więcej nowych możliwości, żadnych innych dróg.

Ale...

Zerknęła na śpiącego obok mężczyznę.

Poczuła drgnienie w głębi serca, a po nim bolesny skurcz na myśl, że to - ta nieoczekiwana pociecha i spokój - mogłyby nie być dalej jej udziałem.

Może jeszcze nie umiała określić, dokąd zmierzało jej życie, ale jedno było jasne jak słońce.

Coś się zmieniło.

Ona się zmieniła.

Rozdział 16

Powróciwszy do Klubu Niezdobytych przed nastaniem świtu, Jack wyruszył zaraz po śniadaniu, czując się kwitnąco. Zatrzymał dorożkę i pospieszył na Brook Street, do hotelu Benedict's i do Boudiki.

Zastał ją w jej apartamencie, z braćmi przy śniadaniu. Uśmiechnął się do nich wszystkich z sympatią. Alton podejrzliwie obserwował jego wyraźne zadowolenie. Clarice nałała mu filiżankę kawy i podała ją z ostrzegawczym spojrzeniem.

- Właśnie mieliśmy rozważyć, jak najlepiej przeciwdziałać plotkom i dopilnować, by nie dać im żadnej szansy, by się rozprzestrzeniały.

Jack przysunął sobie krzesło obok niej.

- Sądzę - zerknęła na Jacka - że odniesienie się do tej sprawy przez nas samych, zanim jakiegokolwiek pogłoski zdołają się utrwalić, i stwierdzenie stanowczo, że taka oburzająca myśl jest nieprawdą, to chyba najlepsze podejście. Co o tym myślisz?

Jack zastanowił się, po czym przytaknął. Ponad stołem zastawionym do śniadania napotkał wzrok Altona.

- W większości przypadków uważałbym takie postępowanie za nierozważne, ale jeśli chodzi o was... Wy macie nazwisko, status. Wygląda na to, że nie miałyby sensu, by tego nie wykorzystać.

- Właśnie. - Clarice zdecydowanie przytaknęła. - Zwłaszcza że wiemy, iż James jest całkowicie niewinny. Nie ma żadnego ryzyka w tym, by wspierała go rodzina.

- A fakt, że otwarcie za nim stoimy, sprawi, że nawet najbardziej niepoprawni plotkarze umilkną - dodał Alton.

- To z pewnością podziałało na lady Grimwade i panią Raleigh. - Clarice odstawiła filiżankę.

- Widziałam je zeszłego wieczoru, i jeśli ich miny mogły być jakimś wyznacznikiem, nadal wydawały się niezwykle ostrożne.

Nigel odsunął na bok pusty talerz.

- Wydaje mi się, że stary James będzie w miarę, bezpieczny, przynajmniej przez mniej więcej najbliższy tydzień. - Zerknął na Altona. - Z tego, co widziałem i słyszałem zeszłego wieczoru, towarzystwo znalazło sobie inną osobę z Altwoodów, żeby snuć o niej domysły.

- Altona? - Clarice zmarszczyła czoło.

- Nie. - Nigel popatrzył na nią. - Ciebie.

- Mnie?! - Clarice wyprostowała się na krześle.

- Ależ jakim cudem... - Jej słowa ucichły, ale zdziwiona mina pozostała. Clarice wpatrywała się w Nigela. - Co mówią?

- Nie mówią, oni spekulują. Wszyscy się zastanawiają, dlaczego wróciłaś, a poza tym, jako że wielu tak to widzi, kto podejmie wyzwanie.

- Jakie wyzwanie? - spytała Clarice groźniejszym tonem.
- To, które rzuciłaś wczorajszego wieczoru - odparł Nigel.
- Kiedy z obecnym tu Warnfleetem tańczyłaś walca w sali balowej u pani Henderson.

Clarice wyglądała na oszołomioną, Nigel prychnął.

- Dobry Boże, nie przebywałaś poza stolicą aż tak długo. Wiesz, jaki temat jest najbliższy sercu starych kwok. Francuscy szpiedzy i zdrajcy to ciekawostka, ale daj im widoki na wysoko urodzoną starą pannę, wciąż urodziwą i zdatną do zameścia, o nadal wyraźnie znaczącej pozycji i stanowiącą dobrą partię, a nie będą zaprzętać sobie głów zdradą. Clarice najwyraźniej oniemiała. Nigel szeroko się uśmiechnął.

- Przynajmniej rozwiązałaś problem plotek o Jamesie.

Clarice jęknęła, zamknęła oczy i opadła bezwładnie na oparcie.

- Nie wierzę!

Ale jednak wierzyła. Jak powiedział Nigel, jej powrót do towarzystwa po siedmiu latach, a potem walc w ramionach przystojnego lorda, który sam był świetną partią, gwarantowało przyciągnięcie uwagi towarzystwa.

- Mniejsza z tym. - Clarice nagle wyprostowała się, otwierając oczy. Nie miała zamiaru tego roztrząsać. - Co się stało, to się stało, i jak powiedzieliście, to pomoże osłonić Jamesa.

- Tak długo - odezwał się Alton - dopóki będziesz dostarczać pożywki dla plotek.

Clarice popatrzyła na niego, przyłapując go na wymianie spojrzenia z siedzącym obok niej Jackiem. Nie potrafiła tego zinterpretować.

- Co masz na myśli?

Alton wzruszył ramionami.

- Tylko to, że dla dobra Jamesa przydałoby się, żebyś w dalszym ciągu wieczorami pokazywała się w towarzystwie, ogólnie była widywana, nic nadzwyczajnego. Gdy skupią uwagę na tobie, nie będą rozmyślać o Jamesie.

Clarice wyraziła głęboką niechęć do tego pomysłu zdeglustowanym i lekceważącym prychnięciem. Jack odstawił filiżankę z kawą.

- Myśl o tym jako o realizowaniu celu, o który ci chodziło, tylko inną drogą. To, że ty tego nie zaplanowałaś, nie oznacza, że to się nie sprawdzi, a jak powiedział Melton, skupianie na sobie uwagi towarzystwa nie będzie wymagało wielkiego wysiłku.

Jack nie był zaskoczony, kiedy w jej oczach pojawił się namysł. Nie otwierał ust, rzucił też ostre spojrzenie na Altona, żeby się upewnić, iż tamten postąpi tak samo. Nieco zbity z tropu milczącym poleceniem Alton posłuchał i został nagrodzony, kiedy Clarice przechyliła głowę z boku na bok, rozważając tę kwestię, a potem niechętnie ustąpiła.

- Dobrze. Ale tylko wtedy, jeśli nie będzie nic konkretnego, by posunąć naprzód obronę Jamesa. Nawiasem mówiąc... - spojrzała na Altona. – Za nim zapomnę. Chociaż nie wyobrażam sobie, żeby Moira zrobiła cokolwiek naprawdę drastycznego, jak otrucie kogoś, to rozmyślając nad jej walką o władzę nad wami, wciąż się zastanawiałam, dlaczego tak postępuje? Jest wystarczająco bogata, jak mówiłeś, tu nie chodzi o pieniądze. A zatem o co?

Roger popatrzył na braci, po czym odparł:

- Nie wiemy. To kobieta. Czy musi być jakieś „coś”?

Clarice spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

- Tak. Musi. A ja chyba wiem co, a raczej kto to jest. Carlton.

Jej bracia popatrzyli na nią zdumieni. Jack nie miał pojęcia, kim jest Carlton. Alton zmarszczył brwi.

- Dziedziczenie tytułu?

Jack przypomniał sobie, że słyszał, iż Moira urodziła najmłodszego z czterech synów poprzedniego markiza.

- Nie całkiem. - Clarice poprawiła się na krześle. - Wedle wszelkich kryteriów byłoby zdumiewające, gdyby on miał dziedziczyć, skoro wy trzej jesteście przed nim, cali i zdrowi.

Jednakowoż, skoro żaden z was nie jest żonaty i pokoje dziecinne stoją puste, to... Cóż, Carlton ma pewne podstawy. Bądź co bądź jest trzeci w kolejce i o dziesięć lat młodszy od Nigela. Gdybyście wszyscy zeszli z tego świata jako kawalerowie, wówczas Carlton będzie dziedziczył, bez względu na to, ile lat mógłby wtedy mieć. A zatem dopóki pozostanie tajemnicą fakt, że wszyscy trzej macie wkrótce się ożenić, perspektywa, iż Carlton ma pewne szanse na zostanie markizem, pozostaje w powszechnym mniemaniu niezagrożona.

- A więc chodzi o pieniądze. Lichwiarze... - Alton urwał, marszcząc brwi. - Nie, to nie ma sensu, Gdyby był zadłużony po uszy, usłyszałbym o tym.

Clarice prychnęła.

- Mówiłam wam, że tu nie chodzi o pieniądze. Nie w tym rzecz. Chodzi o zaślubiny, i to na wszystkich frontach, wliczając Carltona. Dopóki wy pozostajecie kawalerami, Carlton może szukać wysoko urodzonej narzeczonej. Ale gdy jeden z was się ożeni, małżeńskie widoki Carltona zmaleją. Jeśli ożenicie się wszyscy trzej, Carlton spadnie do pozycji zaledwie młodszego syna bez żadnych prawdziwych perspektyw. Moira chce, by rodzina jej synowej była tak bogata i wpływowa, jak to tylko możliwe, więc ostatecznie, czego pragnie, to wasz ożenek... a dokładniej, uświadomienie sobie przez towarzystwo, że wszyscy macie się wkrótce ożenić, zanim ona zdoła ożenić Carltona.

Jej bracia wyglądali na wstrząśniętych.

- On ma dopiero dwadzieścia jeden lat! - zaprotestował Roger.

- Sądzisz, że to Moirę powstrzyma? Zwłaszcza teraz, gdy wie, że wy wszyscy jesteście o krok od oświadczyń, które, oczywiście, zostaną przyjęte?

- Dobry Boże! Nigdy nie przypuszczałem, że będzie mi żal tego małego durnia. - Nigel wyglądał na przerażonego. - Tylko pomyślcie, mieć kulę u nogi w wieku dwudziestu jeden lat.

Clarice, co było do przewidzenia, nie była tym zdumiona.

- Nie przejmuj się Carltonem. Jeżeli nie zmienił się wielce,

to założę się, że nie ma zamiaru oświadczać się żadnej dobrze urodzonej pannie, którą wybierze Moira. On tylko nie powie jej o tym aż do ostatniej chwili. Nigdy na należał do osób, które trują się niepotrzebnie.

- To prawda. - Roger spojrział chmurnie na Clarice. - A zatem Moira tak naprawdę nie dba o to, kogo poślubimy, tylko żebyśmy jeszcze nie oznajmiali publicznie o naszych zamiarach?

- Najprawdopodobniej, więc daję wam to czas na poukładanie spraw. Jeżeli oświadczycie się, wszyscy jednocześnie lub raczej jeśli wszystkie zapowiedzi pojawią się w „Gazette” tego samego dnia i Moira aż do tej pory nie usłyszy o niczym z innego źródła, wówczas wszystko powinno być w porządku.

Alton uchwycił wzrok Rogera.

- Będziemy musieli zachowywać ostrożność w tym, co mówimy, robimy czy nawet piszemy w Melton House. Ta pokojówka Moiry to prawdziwa diablica, węszy po całym domu, wtykając nos w nie swoje sprawy.

- Ale to powinno być możliwe - powiedział Nigel. - Musimy tylko złożyć formalne oświadczenia i zostać przyjęci.

Clarice przytaknęła.

- W rzeczy samej. Dokładnie tak powinniście postąpić, a tymczasem ja zrobię, co w mojej mocy, żeby odwrócić uwagę towarzystwa od Jamesa. Jednak bez względu na wszystko nadal musimy dokonać tego, po co przyjechałam do Londynu, czyli oczyścić Jamesa z tych absurdalnych zarzutów.

- Tak, oczywiście - odpowiedział Alton. - Co możemy zrobić?

Clarice popatrzyła na Jacka, jej bracia poszli za jej przykładem. Jack był przygotowany.

- Są trzy konkretne spotkania, na których, jak chcemy udowodnić, James nie był obecny. - Wyciągnawszy z kieszeni kartkę papieru, podał ją Altonowi. - Gdybyście mogli sprawdzić wśród członków rodziny i wszystkich przyjaciół Jamesa, w jego

klubach, wszędzie, gdzie mógł przebywać, i dowiedzieć się, czy ktoś pamięta, że widział go w te dni, w tych godzinach, to zdobędziemy pierwszy gwóźdź do trumny, w której pochowamy te zarzuty.

Alton przeczytał listę, a następnie skinął głową.

- Dobrze. Zabierzemy się do tego.

- Kiedy wy będziecie to robić, ja zobaczę, co zdołam wymyślić, żeby uwolnić ciebie i Sarah z sieci Moiry. Tylko nie rób niczego więcej, dopóki ci nie powiem. - Clarice popatrzyła na Rogera i Nigela. - W międzyczasie wy dwaj, rozpustnicy, macie wolną drogę, by zrobić jak najlepszy użytek ze swojej zdolności przekonywania i uzyskać formalne przyjęcie oświadczyn wobec Alice i Emily.

Obaj Roger i Nigel wyglądali na zadowolonych.

- Ale dopiero kiedy pomożecie Altonowi przy zbieraniu informacji potrzebnych do obrony Jamesa.

Mrucząc zapewnienia, bracia wstali, ucałowali Clarice w policzek i zerknęli spode łba na Jacka, kiedy nie patrzyła, ale wyszli, nie kwestionując jego obecności.

Było mu ich żal, ale...

Kiedy Clarice zamknęła za nimi drzwi i odwróciła się z powrotem do niego, trzymał w ręku podłużny liścik.

- Lady Davenport i lady Cowper wymagają naszego stawienia się w Davenport House.

Clarice zastygła, szeroko otwierając oczy.

- Kiedy? - Zerknęła na zegar nad kominkiem.

- Za pół godziny.

- Aaach! - Łypnęła na niego groźnie. - Dlaczego tak jest, że dżentelmeni nigdy nie rozumieją, jak wiele czasu potrzeba damie na przygotowanie się do wyjścia?

Zważywszy, że okręciła się na pięcie i pomaszerowała do sypialni, Jack przypuszczał, że pytanie było retoryczne. Podążył za nią wolniejszym krokiem, oparłszy się ramieniem o futrynę, patrzył, jak Clarice zdejmuje suknię poranną, a później szpera w szafie, która wyglądała na nader dobrze zaopatrzoną.

Wyciągnęła jedwabną suknię w kolorze brązu i kości słoniowej, włożyła ją, po czym zażądała, by związał jej tasiemki. Z uśmiechem na ustach spełnił polecenie, a później patrzył, jak Clarice na nowo układa włosy.

Nigdy wcześniej nie uważał obserwowania takich czynności za rzecz interesującą, ale obserwowanie Clarice... Każdy pełen wdzięku ruch, każdy jej gest fascynowały go. Prawie hipnotyzowały. Patrzył, jak szczotkuje długie włosy, a jednocześnie inna, bardziej przyziemna część jego umysłu podążała poważniejszym tropem.

Był coraz bardziej pewien, że nie chce, aby poruszała się po mieście sama, nawet w środku dnia. Nie zapomniał o incydencie z dwoma dziwnymi mężczyznami na Bruton Street, ani o stałym zagrożeniu ze strony człowieka o okrągłej twarzy. A teraz, jak się wydawało, jej macocha miała dobry powód, by sobie życzyć, aby Clarice trzymała się z daleka od jej intrygi.

W przeciwieństwie do Clarice, on nie był tak skłonny uwolnić się od podejrzewania Moiry o zbrodnicze zamiary, harpia, którą widział, wydrapałaby Clarice oczy, gdyby tylko miała po temu okazję. A utrata gruntu pod nogami, gruntu, który zapewne uważała za bezpieczny, w kwestii Altona, jego braci i ogólnie tytułu markiza, będzie dotkliwa. Zwłaszcza jeżeli wraz z taką stratą idzie w parze obniżenie statusu w towarzystwie. A to zdecydowanie nastąpi, jeżeli Clarice na stałe powróci do kręgów elity.

Nie planowała tego, ale Moira o tym nie wiedziała. Z jej punktu widzenia przyjemności życia w Avening nawet nie mogły się równać z tymi dostępnymi w Londynie.

Clarice związała modny kapelusik na ciemnych włosach.

Żachnęłaby się na każde ostrzeżenie o zagrożeniu, na każdą prośbę, by zachowała większą ostrożność. By brała ze sobą lokaja lub dwóch jako eskortę.

Jack uśmiechnął się czarująco i podał jej ramię. Nie było sensu się sprzeczać, odprowadzi ją osobiście.

- Lady Clarice, to przyjemność móc panią powitać. - Wysoka i imponująca, obdarzona surową, elegancką urodą, lady Davenport z aprobatą skinęła głową i czubkami palców dotknęła dłoni Clarice, po czym jej spojrzenie pomknęło do Jacka stojącego u jej boku. - I ciebie także, Warnefleet. Jako że to dzięki lady Clarice tutaj jesteś, mogę tylko być jej wdzięczna.

Jack przywołał na twarz swój najbardziej czarujący uśmiech i obdarował nim ciotkę. Chrząknęła i odwróciła się, by przedstawić Clarice pulchnej damie stojącej obok.

- Jak sądzę, pamięta pani moją siostrę?

- Rzeczywiście. - Clarice, z pogodną pewnością siebie, uśmiechnęła się i dygnęła w wyważonym ukłonie. Pomimo wiodącej roli Emily, lady Cowper, wśród dam z towarzystwa, Clarice przewyższała ją urodzeniem.

Emily bardziej otwarcie wyrażała emocje niż jej siostra, była bardziej skłonna przyjąć Clarice i wszystko, co obiecywała jej obecność, Jack z łatwością odczytywał jej entuzjazm.

- Moja droga lady Clarice, cieszę się, że znów się spotykamy. - Uśmiechając się promiennie, Emily uściśliła dłoń Clarice, po czym skinęła dłonią w stronę trzeciej wielkiej damy szaszczycającej obecnością elegancki salon. - Nie wątpię, że pamięta pani także lady Osbaldestone.

- Madam. - Clarice nieco powściągliwie i dosyć ostrożnie dygnęła przed onieśmielającą ją starszą panią, która przypatrzyła się jej, a potem Jackowi, przenikliwym spojrzeniem czarnych oczu.

Po chwili brwi lady Osbaldestone uniosły się, wyraz jej twarzy złagodniał.

- Podejdz i usiądź obok mnie, dziewczyno, żebym mogła lepiej cię widzieć. - Zatapiając się na powrót w szeslongu, lady Osbaldestone zaczęła, aż lady Davenport i lady Cowper zajmą miejsca, a Clarice usłucha i usiądzie obok niej, zanim - rzuciwszy jeszcze ostre jak nóż spojrzenie na Jacka - lekko

stuknęła łaską w wypolerowaną podłogę, jakby oficjalnie rozpoczęła jakieś zebranie.

- A teraz - odezwała się - co to ja słyszę o twoim kuzynie Jamesie i zdradzie?

Clarice nabrała powietrza, szybko zerknęła na Jacka, i zaczęła opisywać w bardzo skrótowej formie kłopoty Jamesa, a przy okazji swojej rodziny. Unikała wszelkich wzmianek o pewnych faktach, między innymi o tym, skąd wiedzieli, że James jest niewinny, wyznając jedynie, że pracują nad udowodnieniem tego i że są pewni sukcesu.

W trakcie jej opowieści lady Osbaldestone i ciotki Jacka wymieniły szereg znaczących spojrzeń, takich, które uczuliły instynkty Jacka i sprawiły, że stał się czujny. On i Clarice uzgodnili wcześniej, że jeśli trzy damy słyszały plotki - jak dotąd nieskutecznie zdementowane - to zaspokoją ich ciekawość, skoro potrzebują ich pomocy w poradzeniu sobie z Moirą.

Clarice zręcznie przeszła od nieusprawiedliwionego zagrożenia dla rodowego nazwiska do problemów, na jakie natrafili jej bracia w swoich małżeńskich dążeniach. I znów nie wyjaśniała wszystkiego, pozostawiając wyobraźni dam wypełnienie luk między szczegółami, które pominęła, takimi jak podstawy gróźb Moiry. Nie było wątpliwości, że wyciągną trafne wnioski.

Nic dziwnego, że wszystkie trzy damy były nawet bardziej zainteresowane tym tematem, gdy Clarice opowiedziała swoją historię, ich oczy błyszczały rozbudzonym zapalem.

- I tak - zakończyła Clarice, zerkając na twarze trzech kobiet. - Mam nadzieję, że mogę przekonać panie, byście udzieliły mi pomocy we wspieraniu moich braci i ich planów. Przebywałam z dala od towarzystwa przez tak długi czas, a wzięwszy pod uwagę okoliczności mojego wyjazdu, mam pełną świadomość, że będę potrzebować wsparcia, by wyprostować ścieżki dla moich braci. Czy mogę liczyć na waszą pomoc?

Trzy damy wymieniły spojrzenia w milczącym

porozumieniu. Dało się zauważyć ich podniecenie zaistniałą sytuacją.

Kiedy zapadła decyzja bez słów, przekazała ją lady Osbaldestone.

- Moja droga, bardzo się cieszymy, że powróciłaś do towarzystwa, bez względu na przyczynę. Oczywiście, okażemy ci pomoc w każdy sposób, jaki wyda się najlepszy, ale są dwie kwestie, które chciałybyśmy wyjaśnić. Po pierwsze, jak rozumiemy, ze względu na treść zarzutów o zdradę nie tylko Altwoodowie, ale, jeżeli sprawa stanie się przedmiotem procesu, ostatecznie także Whitehall i rząd będą... by tak rzec, w „kłopotliwej sytuacji”?

Kiedy Clarice zamruła i nie odpowiedziała, lady Osbaldestone popatrzyła na Jacka.

- Dalziel, jak rozumiem? Prawdziwy postrach, ale przydaje się na coś.

Twarz Jacka nie wyrażała absolutnie niczego. Sądząc po spokojnie pytających spojrzeniach dwóch pozostałych dam, słowa lady Osbaldestone nie były dla nich niespodzianką. Skąd, do diabła, wiedziały o Dalzielu? I jeżeli wiedziały o nim, to o czym jeszcze?

Uśmiech lady Osbaldestone wyraźnie przybrał złośliwe zabarwienie.

- Chyba sobie nie wyobrażaliście, że byliśmy nieświadome takich spraw?

Jack pospiesznie rozważał możliwości, zachowanie milczenia wydawało się najrozsądniejszym wyjściem.

Mina lady Osbaldestone stała się jeszcze bardziej cyniczna.

- Być może sam poczujesz ulgę, wiedząc, że w przeciwieństwie do niektórych naszych naszych mężczyzn padających ofiarą zawilych dylematów związanych z kwestiami honoru, większość dam o naszej pozycji z ulgą przyjmuje fakt, że ci, którym powierzono obronność kraju, nie są tak wyczuleni na słowo „szpieg”.

Jej ostatnie słowa były zabarwione wyraźnym krytycyzmem.

Jack nie miał pewności, czy ta uwaga odnosi się do wszystkich ogólnie, jak się zdawało, czy do jakiegoś konkretnego mężczyzny. W każdym razie przyznał:

- Whitehall, w rzeczy samej, wolałby, aby zarzuty przeciwko Jamesowi Altwoodowi zostały odparte raczej przed sądem biskupim niż publicznym, w którym szczegóły przedłożone w ramach dowodów stałyby się powszechnie wiadome.

Lady Osbaldestone przytaknęła.

- Właśnie. - Znowu spojrzała na Clarice. - Nasze drugie pytanie brzmi, czy w kwestii swoich braci zamierzasz wpływy macochy zredukować do zera i raz na zawsze, czy chcesz po prostu pomóc braciom stanąć przed ołtarzem, pozostawiając im pokierowanie pozostałymi sprawami?

Clarice popatrzyła w czarne oczy lady Osbaldestone i nie potrafiła stwierdzić, której odpowiedzi oczekiwały starsze damy, jednak wydawało się, że jej odpowiedź wpłynie na zakres pomocy, jakiej udzielą. Wszystkie one sprawowały władzę absolutną w obrębie swoich domów i rodzin, czy okażą dezaprobatę, jeśli powie im prawdę?

Chwyciła byka za rogi.

- Nie widzę żadnej możliwości uwolnienia mych braci bez wyeliminowania wpływów Moiry. Nie tylko w kwestii ich małżeństw. Nie byłoby to ani realistyczne, ani uczciwe, by oczekiwać od moich przyszłych bratowych, że będą z Moirą toczyć nieustające walki o zakres wpływów i praw. Ja mam pełny obraz sytuacji i znacznie lepszą pozycję oraz doświadczenie, by sobie z tym poradzić.

Dopiero kiedy Clarice wypowiedziała ostatnie słowo, lady Osbaldestone uśmiechnęła się - z zadowoleniem.

- Wyśmienicie! Ty musisz być osobą, która pokaże tej parweniuszce, gdzie jest jej miejsce... lub raczej pozbawi ją pozycji, której nadużywała przez tak długi czas.

Zerkając na lady Davenport i lady Cowper, Clarice zobaczyła w ich oczach błysk podobnej aprobaty i determinacji.

Podbródek lady Cowper zdradzał niezwykłą stanowczość, skinęła głową.

- W rzeczy samej, moja droga. Therese jak najbardziej ma słuszość. Nie tylko my tutaj, ale także cała reszta, wszystkie znaczniejsze damy i ci z nas, którzy nadają ton towarzystwu, mamy dosyć tej kobiety. Pozbycie się jej nie leży w naszej mocy. Osiągnięcie czegoś w tej kwestii będzie znaczną ulgą.

Błysk w oku lady Cowper i twarde ton jej zazwyczaj łagodnego głosu potwierdzały, że niepohamowane wykorzystywanie władzy przez Moirę sięgało znacznie dalej niż tylko do kręgu rodziny.

- W istocie. - Mina lady Davenport sugerowała, że dama chętnie usłyszałaby wezwanie do boju i była bardzo ochocza, aby na nie odpowiedzieć.

- Tak się cieszymy, moja droga Clarice, że postrzegasz to tak jak my, że rozumiesz i doceniasz rolę, w której potrzebuje cię teraz twoja rodzina.

Pozostałą część wizyty wypełniły dyskusje o tym, jak najlepiej na trwałe pokrzyżować szyki Moirze. Tak jak Jack się spodziewał, trzy starsze i słynące z roztropności damy wzięły sobie Clarice i jej misję do serca. W kwestii władania zbiorowym umysłem towarzystwa przemawiały niczym generałowie rozstawiający wojska na polu bitwy. Sądząc z miny, Clarice była oczarowana, jej uwagi świadczyły, że prędko się uczy.

Mimo wszystko Jack odczuwał pewien niepokój, nieznaczne, lecz uparte sygnały intuicji. Ale czego dotyczyło to ostrzeżenie, tego Jack nie potrafił powiedzieć. Przy pierwszej sposobności wy mówił się pod pretekstem, że w południe mają być w pałacu Lambeth, i wyciągnął Clarice na zewnątrz. Kiedy opuścili dom jego ciotki, niepokój minął.

Dotarli do pałacu, by się dowiedzieć, że pomimo wstawiennictwa brata biskupa rozmowa z diakonem Humphriesem nie jest możliwa.

- Przynajmniej nie teraz - wyjaśnił Olsen. - Wyszedł dziś

rano, zanim biskup mógł z nim pomówić, i wróci dopiero późnym popołudniem.

Clarice była rozczarowana. Spotkanie z ciotkami Jacka i z lady Osbaldestone poszło tak dobrze, że czuła się podniesiona na duchu i gotowa, by się zmierzyć z całym światem, także z Humphriesem.

- Może powinniśmy omówić szczegóły zarzutów z diakonem Olsenem i wyjaśnić, jak naszym zdaniem mogą zostać podważone?

Jack spojrział na Teddy'ego, który do nich dołączył, Clarice będzie bezpieczna z nim i Olsenem.

- Czemu nie wyjaśnisz naszego podejścia diakonowi i Teddy'emu, jeżeli oczywiście ma czas?

Teddy twierdząco skinął głową.

- Chciałbym usłyszeć, co się dzieje.

- A tymczasem - powiedział Jack - ja sprawdziłbym, co u tych, którzy pracują nad zbieraniem dla nas dowodów. Im szybciej zdołamy zgromadzić wszystko, czego nam potrzeba, tym lepiej.

Clarice przytaknęła.

- Dobrze. Rozumiem, że będziesz w swoim klubie, gdyby Humphries wrócił wcześniej, niż się spodziewamy.

- Tak. - Jack uchwycił jej spojrzenie. - Ale nie rozmawiaj z nim beze mnie.

Clarice się uśmiechnęła, słuchał z cynizmem, nalegał, żeby obiecała, a później pochylił się nad jej dłonią i opuścił zebranych. Popatrzyła za nim, gdy odchodził zdecydowanym krokiem, prężąc szerokie barki, a następnie pozwoliła diakonowi Olsenowi i Teddy'emu odprowadzić się do gabinetu Olsena.

* * *

Dwie godziny później Jack ociężałym krokiem wszedł do tawerny za pałacem Lambeth. Z ulgą opadł na krzesło, a kiedy niespiesznie podeszła do niego barmanka, zamówił kufel portera i zaczął się rozglądać, na pozór leniwie, a w rzeczywistości

pospiesznie taksując klientów tawerny.

Byli tak prości i nieokrzesani, na jakiego sam starał się wyglądać. Wątpił, by Clarice rozpoznała go w zgrzebnym ubraniu robotnika, sukiennej czapce i znoszonych butach, a tym bardziej jego ciotki i lady Osbaldestone - bez względu na to, jak wiele ich własnym zdaniem wiedziały o takich sprawach.

Podczas gdy Deverell, Christian i Tristan szukali świadków do złożenia relacji zaprzeczającej rzekomemu faktowi trzech spotkań, on wybrał kilka takich spotkań, które nie występowały w zarzutach, jednak znacząco na nie wpływały.

Humphries musiał gdzieś widywać się ze swoim byłym kurierem-informatorem - chyba poza pałacem Lambeth. Teddy dowiedział się, że odźwierni nigdy nie wpuszczali żadnych gości do Humphriesa, ale przekazywali wiadomości dostarczane mu przez przypadkowo wybranych małych uliczników. Nigdy dwa razy przez tego samego dzieciaka, co potwierdzało, że były kurier informator to człowiek, który zna się na rzeczy. Dla odźwiernych wszyscy ulicznicy byli do siebie podobni jak dwie krople wody, nie potrafili żadnego zidentyfikować. Szanse na natknięcie się szczęśliwym trafem na kogoś z nich gdzieś w mieście były nieskończenie małe.

Po otrzymaniu wiadomości Humphries opuszczał pałac, zawsze pieszo. Miejsce spotkania najpewniej znajdowało się niedaleko. Jack zbadał otoczenie, przechadzając się tam i z powrotem ulicami wokół pałacu. W tej okolicy nie było kawiarni czy większych oberży. Stawiając się na miejscu byłego kuriera, Jack sporządził krótką listę spelunek, które spełniały oczywiste kryteria - niezbyt odległe od pałacu, niezbyt zatłoczone, niezbyt dobrze prosperujące, nie takie, w jakich można spotkać hałaśliwy tłum ludzi, którzy mogliby zapamiętać duchownego i osobę, z którą się spotykał.

Jack odwiedził już dwie inne tawerny, obie pasowały do jego listy, ale w żadnej nie było nikogo odpowiedniego. Knajpa „Pod Biskupią Mitrą”, gdzie teraz siedział, kryła się w wąskiej alejce w pobliżu Royal Street, i była oddalona od pałacu jakies

dziesięć minut drogi, której większa część przebiegała przez rozległe ogrody.

Spśród trzech tawern, które odwiedził, ta wydawała się najbardziej obiecująca. Wnętrze było słabo oświetlone i pełne cieni nawet wczesnym popołudniem, cała klientela wyglądała na ospałą i nie wykazywała zainteresowania sąsiadami. Ale znajdowały się tu też dwie pary bystrych i uważnych oczu - barmanki, bardziej czujnej niż zazwyczaj, i staruchy nad kuflem piwa w kącie przy kominku.

Obie dostrzegły go od razu, kiedy wszedł, barmanka zaakceptowała go jako robotnika, na którego wyglądał, ale starucha nadal patrzyła czujnym wzrokiem.

Jack wstał i podniósł szklanicę portera. Upił spory łyk i podszedł do małego kominka, w którym ogień walczył o przetrwanie pod kupką torfu. Przystanął, jakby zapatrzony w słabnące płomienie, po chwili milczenia szybko rzucił okiem na staruchę i dostrzegł pospieszny błysk jej oczu, kiedy odwraca wzrok.

Upił kolejny łyk, po czym odezwał się głosem tak cichym, że tylko ona mogła go usłyszeć:

- Szukam kogoś, kto może mi opowiedzieć o mężczyźnie, który w ciągu ostatnich paru miesięcy spotkał się tutaj i rozmawiał z duchownym. Jestem gotów hojnie zapłacić każdemu, kto może opisać tego mężczyznę. Nie duchownego, tylko tego drugiego.

Czekał cierpliwie, aż upłynęła cała minuta, a później starucha cicho zachichotała.

- A skąd będziesz wiedział, że opisuję twojego człowieka? Mogłabym ci powiedzieć cokolwiek. Ty niczego byś się nie dowiedział, a ja miałabym grosz, żeby się ogrzać.

Jack znów dostrzegł jasny błysk jej oczu.

- Jeśli potrafisz opisać mężczyznę, którego szukam, to będziesz także potrafiła opisać duchownego.

Jasne oczy rozszerzyły się, a potem kobieta przytaknęła.

- Spryciarz z ciebie. Skoro tak ma być, no to duchowny

jest dosyć wysoki, ale nie taki wysoki jak ty. Zostało mu niewiele włosów, ale te, co ma, są jak brązowe strąki. To nerwowy człek, ciągle marszczy brwi, nie taki pogodny pocziwina, jak to niektórzy z nich potrafią być. Nie jest gruby ani chudy, a wargi ma wydęte jak u kobiety.

Tłumiąc falę spodziewanej radości - jej opis Humphriesa był zbyt szczegółowy, by się okazał fałszywy - Jack uśmiechnął się z zachętą.

- Zgadza się. A teraz, co z tym drugim? – Jeśli będzie potrafiła opisać byłego kuriera z taką samą dokładnością, będzie warta każdego pensa, który Jack miał przy sobie.

Starucha wykrzywiła twarz, spojrzała w głąb sali.

- Podobnego wzrostu, może trochę wyższy, ale mocarniejszej budowy. Jak baryłka. Wyglądał jak pięściarz, chociaż jak na takiego był za dobrze ubrany. Znaczy się, to nie był dżentelmen, ale służący też nie. - Przerwała, a później dodała: - Ani też nie jeden z tych przedsiębiorców, zupełnie na takiego nie wyglądał.

Wnętrznosci Jacka ścisnęły się, dreszcz przebiegł mu po barkach.

- A co z jego twarzą?

- Jasna, skóra bielsza niż u większości, blada, można powiedzieć. I okrągła twarz, ciężka i okrągła. Oczy też okrągłe i jasne, raczej małe, szeroki nos. I mówił z akcentem, nie jednym z naszych. Coś cudzoziemskiego. Nie słyszałam dosyć, żeby coś więcej powiedzieć. - Starucha podniosła wzrok na Jacka. - Wystarczy?

Jack przytaknął. Sięgnął do kieszeni, ominął pensy i wyszukał suwerena. Wyciągnął go i podał.

Oczy staruchy rozbłysły. Ostrożnie wzięła monetę, przyjrzała się jej, po czym podniosła wzrok na Jacka, a jej dłoń z monetą zniknęła pod podartym ubraniem.

- Za to - powiedziała, mrużąc oczy, jakby dokonywała poprawki swojej opinii o Jacku - dostaniesz jeszcze ostrzeżenie.

- Ostrzeżenie?

- Typ, którego szukasz, ten drugi, jest niebezpieczny. Spotkali się tutaj dwa razy. Za każdym razem duchowny wychodził pierwszy. Widziałam twarz tego drugiego, kiedy ksiądz był za drzwiami. On coś planował, i to nie było nic dobrego. Niebezpiecznie wyglądał, złowrogo. Jeśli myślisz, żeby go znaleźć, to się strzeż.

Jack uśmiechnął się triumfalnie. Potem zdjął czapkę, uklonił się przesadnie i zostawił staruchę, zarumienioną z zadowolenia.

Ale kiedy wyszedł z tawerny, jego uśmiech zbladł. Było zbyt wiele podobieństw do tego rysopisu którym Clarice scharakteryzowała mężczyznę odpowiedzialnego za zepchnięcie Anthony'ego z drogi, by można było wątpić, że jest to ta sama osoba. Oznaczało to, że stara kobieta doskonale osądzała charaktery i że ten mężczyzna zdecydowanie był niebezpieczny.

* * *

Szczyście, jak często zauważał Jack, chadzało parami. Kierując się do klubu, udał się w stronę Mostu Westminsterkiego z zamiarem zatrzymania którejś z dorożek, nieustannie jeżdżących tam i z powrotem. Dotarłszy do drogi prowadzącej na most, skręcił i ruszył przed siebie, mijając trójkę uliczników. Przystanął. Zawrócił i spokojnie podszedł do chłopców. Wyłowiwszy z kieszeni trzy pensy, zaczął się nimi bawić. Kiedy zatrzymał się przed dziećmi, ich cała uwaga skupiła się na nim niepodzielnie.

Spojrzał na ich ożywione miny i ostrożnie sformułował pytanie:

- Pewien człowiek najmował chłopaków takich jak wy do dostarczania w okolicy wiadomości. Jest dosyć wysoki, prawie takki jak ja, i ma okrągłą, jasną twarz. I jest cudzoziemcem. - Nasączył to słowo wyraźną pogardą. - Te pensy są dla chłopca, który może mi powiedzieć, dokąd zaniósł wiadomość od tego człowieka.

Chłopcy wymienili spojrzenia. Jack nagle zrozumiał. Na

chwilę przestał bawić się monetami, wyciągnął kolejne trzy pency i dorzucił je do poprzednich. Znowu zaczął się nimi bawić i popatrzył na twarze dzieciaków.

Nadal nie wyglądali na przekonanych. Jack przerwał i dodał następne trzy pency, dopiero wtedy się uśmiechnęli.

On też się uśmiechnął. Trzy odpowiedzi. Los mu sprzyjał.

- Do pałacu biskupa, do głównej bramy - powiedział jeden.

- Ja tak samo.

- Mnie posłał do stróżówki na tyłach, nic od frontu.

Jack popatrzył na nich, po czym rzucił im po trzy monety. Wszyscy chwycili je w powietrzu, szybko i pewnie.

- Jeszcze jedno. - Nie ma sensu pozostawiać jakiegś możliwości, nawet nie spróbawwszy. - Czy któryś z was umie czytać? Czy wiecie, dla kogo była ta wiadomość?

Znowu wymienili spojrzenia. Jack westchnął i sięgnął do kieszeni, uważając, by wyciągnąć tylko pency. Przeliczył je.

- Dwa pency ekstra, jeśli któryś z was może mi powiedzieć, do kogo była zaadresowana wiadomość, którą zaniósł.

- Do jakiegoś diakona. - Jeden z chłopców próbował chwycić monety, ale Jack był szybszy, zamknął je garści i podniósł ją wysoko.

- Aj... no jak to, psze pana.

Jack pokręcił głową.

- Postaraj się bardziej. Jakiego diakona? Pierwszy list...

Wtedy oczy chłopca otworzyły się raptownie.

- Na literę „H”, to pamiętam. I nazwisko było dość długie, z „em” i „pe” i jeszcze jednym „ha”, ale małym.

Jack uśmiechnął się.

- To wystarczy. Nadstawcie ręce.

Natychmiast podsunęli dłonie, a on dał każdemu obiecaną dodatkową dwupensówkę. Zatańczyli z radości, kiedy Jack pożegnał się i odwrócił, odpowiedzieli chórem i pomachali mu.

Jack dotarł do mostu, przywołał dorożkę i pojechał z powrotem do klubu.

* * *

- A zatem mężczyzna, który wysyłał wiadomości do Humphriesa, i mężczyzna, z którym Humphries spotkał się w tawernie więcej niż raz, miał okrągłą twarz, jasną skórę, był dość wysoki, silnie zbudowany i miał cudzoziemski akcent? - Deverell spojrział na Jacka.

Jack przytaknął.

- I dobrze ubrany, ale to nie dżentelmen. Co więcej, to ten sam mężczyzna, który zepchnął z drogi Anthony'ego, kuzyna Jamesa, gdy ten jechał do Avening, żeby ostrzec Jamesa o zarzutach, i najpewniej uciszyłyby go na dobre, gdyby nie pojawiła się Clarice.

Ta myśl go zmroziła. Gdyby ten mężczyzna nie uznał, że uciszenie także Clarice nie było warte ryzyka...

Co by wtedy znalazł na ostatnim zakręcie swojej długiej drogi do domu?

Wszyscy spędzili dzień w różnych przebraniach, wróciwszy do klubu, wykorzystali pokoje na górze, by osiągnąć swój zwyczajny wygląd dżentelmenów, a następnie zebrali się w bibliotece, by podzielić się tym, czego się dowiedzieli.

- Ja skłaniam się ku temu - odezwał się Tristan, kiedy już zrelacjonowali swoje nowiny - żeby skupić się na ustaleniu, że te spotkania nigdy nie miały miejsca. Choć oczywiście istnieją tacy, którzy są gotowi przysiąc, że widzieli, jak Altwood spotyka się tam ze swoim kurierem, to wszyscy znaleźliśmy także innych, równie gotowych zeznać pod przysięgą, że stopa Altwooda nigdy tam nie powstała.

Deverell przytaknął.

- Kiedy będziemy mieć dowody, łatwiej będzie potrząsnąć tymi, którzy kłamali. Obejrzałem sobie szybko trzech tak zwanych świadków spotkania, które badam, i wszyscy są znani jako wiecznie rozpaczliwie potrzebujący gotówki.

- Będzie musiał im zapłacić, co do tego nie ma

wątpliwości. - Jack uśmiechnął się szeroko, wyszczerzając wszystkie zęby. - Ale tam, gdzie za złoto można kupić kłamstwo, za więcej złota można kupić prawdę.

- To prawda, ale jak rozumiem, są niechętni do zdradzenia tego kuriera. Zrobiliby to w mgnieniu oka, gdyby myśleli, że zostali odkryci, ale skoro wzięli jego pieniądze, potrzebują wymówki, by zmienić swoje opowieści.

Wszyscy rozumieli, jak działa nie całkiem honorowy umysł.

- A więc - powiedział Jack - najpierw przystąpimy do zdobycia naszych własnych, bardziej wiarygodnych świadków.

- W istocie. - Christian spojrzał na Jacka. - Czy James Altwood zawsze nosi koloratkę?

Jack przytaknął.

- Ubiera się lepiej niż przeciętny duchowny, nosi dobrze skrojone płaszcze i spodnie, dobre buty i zawsze ma koloratkę.

Deverell uśmiechnął się z nadzieją.

- Czyli można powiedzieć, że gdyby kiedykolwiek był w tych tawernach, zrobiłby tam spore wrażenie.

- A tym samym zostałyby zapamiętany. - Tristan popatrzył na Jacka. - Rzekłbym, że jesteśmy na dobrej drodze do uzyskania dowodów nie tylko po to, by podważyć, ale by odrzucić te trzy incydenty, które są osiã zarzutów. A kiedy to się stanie... być może byłoby roztropnie wytłumaczyć diakonowi Humphriesowi, na jakich kruchych podstawach stoją teraz jego zarzuty?

Jack znów przytaknął.

- To wydawałoby się najszybszą i najprostszą drogą doprowadzenia tej szarady do cichego zakończenia. Musimy się jeszcze spotkać z diakonem Humphriesem, ale mam nadzieję, że ta przyjemność nie będzie nam długo wzbraniana...

Wszedł Gasthorpe. Jack domyślił się po niepewnym wyrazie twarzy majordomusa, co ten ma zamiar powiedzieć.

- Milordzie. - Gasthorpe zwrócił się do Jacka.

- Dama, która wcześniej złożyła tu panu wizytę, powróciła. Zostawiłem ją w saloniku.

Jack skinął głową i podniósł się.

- Zejdę tam. To lady Clarice Altwood.

Wszyscy trzej w mgnieniu oka poderwali się na równe nogi.

- My także zejdziemy - odpowiedział Deverell.

- Tylko żeby okazać ci poparcie. - Figlarny błysk rozjaśnił oczy Christiana.

Jack nie potrafił wymyślić żadnego dobrego - żadnego usprawiedliwionego - powodu, by się sprzeciwić. Istotnie, to rozsądne, by Clarice i jego trzej koledzy się spotkali.

Jej ciemne oczy od razu pomknęły ku jego eskorcie. Jack przedstawił ich sobie, opanowana jak zwykle, podała im dłoń, odpowiedziała na ukłony i podziękowała za pomoc przy oczyszczaniu Jamesa z zarzutów.

Potem jej uwaga na nowo skupiła się na nim, wyłącznie na nim.

- Przyszłam, żeby powiedzieć, iż nie będziemy mogli dzisiaj porozmawiać z Humphriesem. - Jej mina stała się chłodniejsza. - Najwyraźniej spiera się z biskupem w kwestii naszego zaangażowania.

Niewzruszony Jack uniósł brwi.

- Niewiele wskóra.

- Nie, ale opóźnia nas. Dziekan powiedział, że sądzi, iż sprawa zostanie rozstrzygnięta na naszą korzyść do jutrzejszego ranka. Zaproponował, żebyśmy wtedy wrócili.

Clarice spojrzała na czterech dżentelmenów, którzy zasiadali przed nią. Jeden rzut oka wystarczył, by potwierdzić, że chociaż mogli się wydawać układni i wyrafinowani, w głębi duszy byli bardzo podobni do Jacka.

- Jack wspominał, że pomagacie, panowie, w odparciu dowodów dotyczących trzech incydentów kluczowych dla zarzutów. Czy dowiedzieliście się czegoś?

Tylko się uśmiechnęli i popatrzyli na Jacka. Tłumiąc westchnienie, ona także na niego spojrzała. W kilku zwięzłych słowach Jack przedstawił, co uzyskali do tej pory i co zamierzają.

- Wziąwszy pod uwagę, że niczego więcej nie osiągniemy w pałacu, skorzystałam z okazji, by się pokazać z Sarah Haverling na popołudniowej herbacie. Później jest obiad, w którym powinniśmy wziąć udział, a po nim dwa bale.

Jack przez chwilę patrzył na Clarice w milczeniu a potem skinął głową.

- Przyjadę po ciebie o ósmej.

Majestatycznie skinęła głową, a później zerknęła na pozostałych panów, milczących świadków ich usilnych starań, by zachowywać się w sposób niezdradzający tego, co między nimi zaszło. Ta chwila jeszcze raz stanęła jej przed oczyma, Clarice zastanawiała się, jak to odebrali, a później odsunęła na bok niepewność, która pojawiła się w ślad za tą myślą.

Z wdziękiem pożegnała się z nimi, a Jack odprowadził ją do czekającej dorożki.

Przystanęli na trotuarze. Jack podniósł dłoń Clarice do warg i pocałował.

- W hotelu Benedict's o ósmej - szepnął.

Skinieniem głowy pozwoliła mu na asystowanie przy wsiadaniu do powozu.

Jack patrzył, jak powóz z turkotem odjeżdża ulicą, kierując się z powrotem do Mayfair i zabiera ją na nowo do zakłętego kręgu, w którym przyszła na świat i do którego należała...

Wrócił do klubu, do biblioteki. Wszedł do środka, akurat by usłyszeć, jak Tristan pyta Christiana:

- Czy wszystkie córki markizów są takie?

Jack dołączył do nich. Christian uniósł brwi.

- Moje siostry otacza podobna... aura. Jednak nie w takim stopniu jak lady Clarice. Wyobrażam sobie, że zawrócenie jej z tej ścieżki nie będzie łatwe.

Jack prychnął.

- Powiedz „niemożliwe”, a lepiej trafisz.

- Bardziej prawdopodobne, że będę musiał powstrzymać ją przed wymierzeniem zbyt ostatecznej kary temu typkowi.

- Zbyt ostatecznej? - Deverell wyglądał na zaskoczonego. -
Bądź co bądź, on jest zdrajcą.

Jack zmarszczył czoło. Podczas gdy oni gawędzili, jego umysł analizował wszystko, czego się dowiedzieli.

- Właściwie to sądzę, że nie jest. To nie jest nasz człowiek, ostatni zdrajca Dalziela, lecz tylko jego pacholek. I jest cudzoziemcem. Lojalnym wobec drugiej strony.

Christian przytaknął.

- Subtelne, ale znaczące rozróżnienie.

- Złapanie go to jedna sprawa – powiedział Jack. -
Utrzymanie go przy życiu może okazać się użyteczne.

Nadal stojąc, przedyskutowali kilka dalszych domysłów, a później Christian z Tristanem oddalili się, na odchodnym życząc Jackowi powodzenia na balu wieczorem. I wyszli. Jack rzucił za nimi znaczące spojrzenie, po czym zapadł się w jednym z miękko wyściełanych skórzanych foteli.

Deverell podszedł do barku i nalał dwa kieliszki brandy, gdy wrócił, jeden podał Jackowi, a potem usiadł naprzeciwko, po drugiej stronie małego stoliczka. Wzniósł kieliszek i upił łyk, Jack powtórzył ten gest.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział Deverell, w jego oczach lśniła nie tyle przekora, ile pochwała.

- Jak rozumiem, to w tę stronę wieje teraz wiatr?

Jack pomyślał, że zaprzeczy, ale uznał, że nie ma sensu.

- Tak, ale na miłość boską, nie zrób niczego, żeby dać jej to do zrozumienia.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ... Jej zdanie o dżentelmenach z naszej sfery, ogólnie rzecz ujmując, nie jest przychylne. Unikać, chyba że istnieją zasadne przyczyny, by postępować inaczej, to jego podsumowanie. Jeżeli dodasz słowo „małżeństwo” do „dżentelmeni z naszej sfery”, sprawy poważnie się komplikują.

- Ach. - Ton Deverella wyrażał zrozumienie. - Złe doświadczenia?

Jack przytaknął. Po chwili mówił dalej:

- Czekam na ciężką przeprosinę, żeby przekonać ją do zmiany zdania.

Deverell uśmiechnął się szeroko. Jack zauważył to kątem oka.

- Co takiego?

- Zauważyłem, że nie powiedziałaś „przepraszam, żeby zmienić jej zdanie”. Nie sądzisz, że możesz. Jeszcze jedno subtelne, ale znaczące rozróżnienie.

- Sądzić inaczej to przegrana z góry. Przy niej nie mogę wydawać rozporządzeń. Mogę tylko przedstawić, o co mi chodzi, i modlić się, żeby w to uwierzyła i żeby ostatecznie łaskawie spojrzęła na moje zaloty.

Podniósł kieliszek i upił łyk.

- Wszelka rozsądna rada będzie mile widziana. To nie jest pole bitwy, na którym miałbym jakiejkolwiek doświadczenie.

Deverell skrzywił się.

- Ani ja.

Zapadło milczenie, które się przedłużało.

- Zaskoczenie. - Deverell spojrzął Jackowi w oczy. - Obranie kursu, którego nie będzie się spodziewała albo jeszcze lepiej, nigdy by się nie spodziewała, może być pomocne. Wydaje się należeć do tego rodzaju kobiet, które trzeba wytrącić z równowagi, jeżeli chce się mieć przewagę. Albo nawet nimi pokierować.

Jack prychnął cicho.

- Och tak, to Boudika.

Deverell wyglądał na zdezorientowanego, słysząc to, ale później zrozumiał i się zaśmiał. Jack opróżnił kieliszek.

Deverell miał rację. A zatem... co byłoby ostatnią rzeczą, ostatnim postępkim, ostatnim podejściem, którego Boudika by się po nim spodziewała?

Rozdział 17

- Dobry wieczór, lady Clarice. - Lady Winterwhistle, dama co najmniej po siedemdziesiątce, przyjrzała się kobiecie nieprzyjaznymi oczyma przypominającymi paciorki. - To niemała niespodzianka, widzieć panią znowu. - Jej lordowska mość zerknęła na lady Davenport, którą Clarice i Jack dopiero co zostawili. - I to w takim towarzystwie.

Jack nastroszył się, słysząc pierwszą pełną jadu sylabę, ale Clarice tylko uniosła brwi, niewypowiedzianie majestatyczna, łagodnie odpowiadając na powitanie, przedstawiła go, po czym zapytała o zdrowie córki jej lordowskiej mości.

Lady Winterwhistle wyglądała na niezadowoloną - harpia, którą pozbawiono ofiary. Ku zdumieniu Jacka spojrzenie jej paciorkowatych oczu utkwilo najpierw w nim, a następnie znów pomknęło ku lady Davenport.

- Ach! Rozumiem.

Jack wątpił w to, ale wyraz twarzy lady Winterwhistle sugerował, że dama przeprowadza mnóstwo myślowych operacji.

Jej lordowska mość prawie z rozkoszą wbiła wzrok w jego twarz.

- Pańskie ciotki zdają się myśleć, że mogą dokonać niemożliwego. Śmiej się twierdzić, że to Davenport pana do tego zmusiła. - Szturchnąwszy go palcem, lady Winterwhistle odwróciła się z lekceważącą pogardą. - Tym większy z pana głupiec.

Zagotowało się w nim.

Palce Clarice wbiły się w jego ramię.

- Nie reaguj.

Jack spojrzał na przyglądającą mu się Clarice. Zdawało się, że jest dziwnie obojętna. Westchnęła i odwróciła wzrok i powiedziała:

- W towarzystwie jest wielu takich jak ona. Po ostatnim wieczorze rozeszła się plotka i był czas, by ją doszlifować. - Wzruszyła ramionami. - Najlepszy sposób, by sobie z nimi radzić, to po prostu ich ignorować.

Odeszli w głąb zatłoczonej sali. Na obiedzie u lady Mott zgromadziło się bardziej doborowe towarzystwo, chociaż niektórzy z pewnością byli zaskoczeni, widząc w swoim gronie Clarice, nikt jej nie unikał ani nie zareagował w nieprzyjazny sposób. Ogólnie rzecz biorąc, goście byli serdeczni, nieco zaintrygowani, lecz nienachalni.

Ale Jack i Clarice znaleźli się teraz na szerszych wodach, Jack rozglądał się bardziej uważnie, starannie oceniając, co kryje się za ukłonami, których byli adresatami - większość gości była wyszukanie uprzejma, niektóre osoby ostrożne, a tylko nieliczne szczerze przyjazne.

W istocie, pewne starsze damy na widok Clarice zamarły. Żadna jednak nie ośmieliła się do niej odwrócić plecami, uczynienie tego wobec kogoś z Altwoodów pod nosem elit równałoby się towarzyskiemu samobójstwu. Skoro Clarice była obecna, oznaczało, że została zaproszona: w dodatku zapewne na polecenie którejś z dam o niezwykle wysokiej pozycji. Jednak to wszystko nie mogło sprawić, by w ślad za tym dwojgiem nie podążały jawnie niechętnie czy otwarcie zjadliwe spojrzenia.

Po chwili Jack mruknął:

- Wygląda na to, że bardzo nie w swoim stylu nadstawiasz drugi policzek.

Na moment w jej oczach zabłysło rozbawienie.

- Ich zdolność do uprawiania mnie w zakłopotanie... nie działa na mnie już od wielu lat. Siedmiu, mówiąc ściśle. - Spoglądając przed siebie, kroczyła naprzód. A później mruknęła tak cicho, że tylko on mógł to usłyszeć: - Nawet wtedy zdawałam sobie sprawę, że po części tym, co nimi kierowało... tymi, którzy byli gotowi mnie ukrzyżować, był fakt, że ośmieliłam się zrobić to, na co oni nigdy się nie zdobyli. To cena za uświadomienie innym, co mogliby osiągnąć, gdyby tylko byli dość silni. Moja obecność tutaj, przechadzanie się raz jeszcze pośród nich, zaakceptowanie mnie w kręgach, z których pochodzę... Części z nich wydaje się to świętokradztwem, nawet

teraz. Dla nich moje wygnanie było należną karą. Nie znieśliby, gdybym nie została zmuszona do zapłacenia za nieposłuszeństwo. - Zamyśliła się, a potem uśmiechnęła. - Ale jeżeli sądzisz, że moja reakcja jest dziwnie łagodna, to pomyśl tylko, jak czują się oni. Ich potępienie w żaden sposób nie jest w stanie mnie dotknąć, bo nie pozwolę, by cokolwiek mieli do powiedzenia w kwestii mojego życia -w ten sposób pozbawiam ich całej siły... Dla nich to ostateczne fiasko.

Potrzebował chwili, żeby dostrzec nie tylko sens, ale i pełny obraz tej strategii. Ścisnął jej palce i znów się uśmiechnął.

- Proszę o wybaczenie. Nie powinienem był w ciebie wątpić.

Spojrzenie, jakim go obrzuciła, było godne prawdziwej Boudiki.

- Myślę, że w tej kwestii nie powinienes.

Dostrzegli Altona i Sarah, i spędzili dziesięć minut w ich towarzystwie, po czym Roger odciągnął ich na bok, by poznali ciotkę Alice. Ponieważ Moira nie była obecna, skorzystali z okazji, żeby zacieśnić relacje.

Jack i Clarice następane minuty spędzili na pogawędkach - to tu, to tam, ale tylko z tymi osobami, które same do nich podchodziły. Większość z nich kierowała się czystą ciekawością, jedynie kilkoro gości miało szczere intencje. Niemniej Jack łatwo wyłowił dominujący wątek w ich komentarzach, zwłaszcza tych pochodzących od nieprzychylnych osób. Kiedy uświadamiano sobie, że Clarice jest poza zasięgiem złośliwości i potępienia, zamiast tego sugerowano - w nader pokrętny sposób - iż fakt, że nadal jest niezamężna, dowodzi, jak mało się zmieniła.

Znając ją tak dobrze i będąc mężczyzną, potrzebował dobrych piętnastu minut, nim to pojął.

Ci ludzie, w jego obecności, oskarżali ją o to, że jest dżentelmenom całkowicie obojętna, i że mężczyźni się nią nie interesują.

Jack był tak dotknięty, że nie zwlekając odprowadził ją do

powozu, który Alton oddał jej do dyspozycji.

Byli już w drodze na drugi bal, gdy gniew Jacka opadł na tyle, by zdołał zebrać myśli.

Zanim wkroczyli na przyjęcie u lady Courtland i spotkali się z podobną reakcją ze strony niektórych osób, Jack zdecydował, jaka będzie ich odpowiedź - jego, i w konsekwencji także jej. Jeden rzut oka na wyraz jej twarzy - na chłodną, nieco zdystansowaną wyniosłość, którą posługiwała się jak tarczą - podpowiedział mu, że tłumaczenie jego strategii byłoby stratą czasu. Najpewniej odmówiłaby, trzymając się swojej niewzruszonej postawy pełnej lekceważenia i obojętności.

Jej strategia sprawdzała się dobrze w obliczu jawnej dezaprobaty, jednak Jack miał pewność, że jego plan skuteczniej rozprawi się z pozostałymi, nie tak jawnie niechętnymi postawami.

U lady Maxwell nie zawracali sobie głowy tańcami, parkiet był zatłoczony przez obojętne młode damy i ich partnerów. Ale gdy tylko nad tłumem uniosły się tony walca, Jack pochwycił Clarice za rękę, z wdziękiem uwolnił ich od towarzystwa dwóch dam, z którymi gawędzili, i poprowadził ją na parkiet.

Clarice zachmurzyła się, ale uznawszy, że Jack jest po prostu znudzony i być może chce rozprostować nogi, nie protestowała.

Przytulił ją delikatnie i zawirowali, spódnice szeleściły i muskały jego czarne spodnie, jej uda przelotnie pieściły jego uda, odsuwały się, powracały...

Prowadził ją silną ręką, zdecydowanie. Wykonywali płynne obroty.

Ożywienie narastało, ściskając płuca Clarice, przyprawiając ją o zawrót głowy, chociaż z powodu tłoku na parkiecie ich ruchy były ograniczone, a w coraz szybszych obrotach było mniej energii i rozmachu. Jej zmysły zadrżały, westchnęła, rozkoszując się bliskością, subtelną zmysłową empatią.

Upajała się tym, na moment pozwalając, by wszystko inne uleciało i by jej oczy oraz umysł skupiły się tylko na nim, na nich i na magnetycznym przyciąganiu, które między nimi wręcz

pulsowało. Ciepłe, żywe, dziwnie uspokajające. Kojące.

Był tu z nią, byli razem, i nie liczyło się nic innego.

Muzyka ucichła, Clarice stłumiła westchnienie i wróciła do realnego świata. Do sali balowej lady Courtland i do wścibskiego tłumu, tylko czekającego, by ją o wszystko wypytać.

Z chłodnym uśmiechem i z Jackiem u boku znowu pozwoliła im się na siebie napatrzeć. Moira była gdzieś w tłumie, który sprawiał, że Clarice czuła jeszcze większą determinację, by przetrwać ten wieczór zgodnie z oczekiwaniami - także tu obecnej - lady Cowper: z godnością i pewnością siebie.

Clarice wdała się w pogawędkę z lady Constable, trzecią damą, która zagadnęła ją po walcu, zanim do niej dotarło, jak znaczący musiał być ten taniec. Oczy lady Constable przemykały od niej do Jacka i z powrotem. Jej mina zdradzała konkretny domysł.

Wyuczony uśmiech nie zbladł ani na chwilę, ale gdy tylko uwolnili się od lady Constable i Clarice znowu spacerowała wsparta na ramieniu Jacka, szepnęła:

- Wcale nie jestem pewna, czy to było mądre.

Wszelkie podejrzenia, że Jack tego nie zaplanował, że nie przyzwolił świadomie, by wyszły na jaw jakieś oznaki świadczące o naturze ich przyjaźni, zostały zgaszone przez wyraz jego oczu, twarde i bezkompromisowy.

- Zaufaj mi. - Jego głos był cichy, mówił bardzo wyraźnie.

- Naprawienie tego mylnego osądu zdecydowanie było konieczne.

Mówił bardziej niż pewnie... Jak miała rozumieć jego ton? Ale zanim zdążyła o to spytać, dodał:

- Nie mogę ci pomóc z resztą spraw, nie bezpośrednio, ale jedną mogę się zająć osobiście. I myślę, że uznasz, iż to w najmniejszym stopniu nie zaszkodzi twojej pozycji.

Popatrzyła badawczo w jego oczy, dostrzegła w nich zadowolenie i postanowiła o nic więcej im pytać. Wzruszając ramionami, spojrzała przed siebie.

- Śmiem twierdzić, że masz rację.

Miał. Jeżeli Jack mógłby coś z radością przysiąc w jakiejś sprawie, to byłby to fakt, że towarzystwo będzie ją traktować ze znacznie większym szacunkiem, jeśli pojmie, że on jest nią poważnie zainteresowany. I że głęboko go oczarowała. Oczarowanie dżentelmena było pewną miarą „potęgi” damy, poręczeniem bardziej przekonującym niż cokolwiek innego.

Przyznać się, że został oczarowany... Oczywiście nie taki był jego wcześniejszy zamiar, ale Jack nie przewidział biegu zdarzeń. Ale jeżeli pokazanie jak został zniewolony, miało ulżyć jej w trudnej drodze, to niech tak będzie. Co ciekawe, Jack był zadowolony. Bez względu na to, czego sobie życzył, nie mógł rozprawić się z jej demonami przeszłości - jak roztropnie zauważyła lady Osbaldestone, to należało do niej i tylko do niej - ale mógł oczyścić jej ścieżkę.

Z ponurą satysfakcją przyglądał się rezultatowi ich publicznego pokazu. Wielu patrzącym na nich plotkarkom oczy wychodziły teraz z orbit, a w ich spojrzeniach pojawiała się zrozumienie. To, że lady Clarice Altwood dokonała przynajmniej jednego znakomitego podboju, będzie najświeższą pożywką soczystej plotki przekazywanej w towarzystwie przy jutrzejszej filiżance herbaty.

Nic skandalicznego, ale to wystarczy, by uciąć opinie, że jest skazana na los wędnącej starej panny, i że jej zainteresowania, jej zdolności nie obejmują „złapania męża” i założenia rodziny.

A wzięwszy pod uwagę, kim jest - założenia dynastii.

Umysł Jacka znajdował satysfakcję w zgłębianiu tej myśli i w znacznym stopniu zostawiał rozmowę Clarice, sam nie zwracając uwagi na nic innego prócz obserwowania reakcji otoczenia.

Jakiś dobrze ubrany dżentelmen przepchnął się przez tłum w ich kierunku, z wyraźną niecierpliwością, aż rozmawiający z Clarice dama i dżentelmen odejdą, po czym podszedł bliżej i rzekł:

- Moja droga Clarice.

Clarice zawahała się na mgnienie oka, zanim majestatycznie podała mu rękę.

- Emsworth.

Chłód jej tonu zaalarmowałby Jacka, nawet gdyby nie rozpoznał nazwiska. A więc to był ten łobuz, który spowodował tyle jej cierpień.

Clarice cofnęła dłoń i wskazała na Jacka.

- Pozwól, że przedstawię lorda Warnefleeta. Wicehrabia Emsworth, milordzie.

Wypowiedziała to ostatnie słowo w subtelny, ale prowokujący sposób. Jack uściśnął dłoń Emswortha, który spojrzał na niego z ledwie skrywaną niechęcią.

Coś z myśli Jacka musiało znaleźć wyraz w jego wzroku, gdyż oczy Emswortha rozszerzyły się i wicehrabia raptownie uciekł nimi do Clarice. Sztywność jego uśmiechu zdradziła, że Emsworth nie należał do ludzi, którzy często przywołują go na oblicze.

- Moja droga Clarice, cieszę się, widząc cię z powrotem w towarzystwie. Czy zaszczycisz mnie tańcem?

Jack zaklął w duchu. Emsworth dobrze wymierzył w czasie swoje podejście, ale kiedy tony muzyki uniosły się nad tłumem, Jack się odprężył. Kadryl. Jack zerknął na Clarice i wyczuł, jak w duchu wrzusza ramionami. Z rezygnacją pogodził się z myślą, by pozwolić jej na taniec z Emsworthem.

- Jeśli sobie życzysz.

Clarice podała Emsworthowi rękę. Być może to nie było złe posunięcie, by widziano, że porozumiewa się z nim w cywilizowany sposób. Należał do jej przeszłości, którą pogrzebała dawno temu. Odkryła, jak do niego niewiele czuje, nawet nie był to gniew, tylko łagodne rozdrażnienie, iż zażyczył sobie zabierać jej czas.

Ale będzie łaskawa i poświęci mu kilka minut. To pozwoli, by przeszłość ostatecznie odeszła w spokoju.

Emsworth poprowadził ją na parkiet pomiędzy innych tancerzy. Muzyka narastała i wszyscy zawirowali. Emsworth

starał się uchwycić jej wzrok, Clarice rozkoszowała się odmawianiem mu nawet takiej odrobiny uwagi. Figury skomplikowanego układu przypomniały jej się bezwiednie. Była zadowolona, że wszyscy ją widzą nonszalancko tańczącą z Emsworthem.

Kiedy muzyka ucichła, Emsworth mocniej ścisnął jej dłoń.

- Moja droga Clarice, jest pewna sprawa, którą chcę z tobą omówić. Tak się składa, że dotyczy naszej wspólnej przeszłości.

Spojrzała w szare oczy Emswortha i próbowała się domyślić, o co mu chodzi.

Emsworth rozejrzał się ponad głowami zebranych.

- Chodź na taras. Tam możemy porozmawiać.

Nie czekając na żadne przyzwolenie, pokierował ją w stronę przeszklonych drzwi biegnących wzdłuż jednej ze ścian sali. Zrezygnowana Clarice poszła z nim, nigdy nie zaaprobowała tego, jak ją traktował, ale chciała usłyszeć, co miał do powiedzenia. Mogło jej to dać ostateczny argument do zagwoźdżenia armaty, którą Moira wycelowała w Altona i Sarah - a to zdecydowanie było warte jeszcze odrobiny jej czasu.

Dotarłszy do drzwi, Emsworth wyprowadził ją na zewnątrz, na moment przed przekroczeniem progu Clarice zerknęła za siebie i dojrzała lśniącego włosa Jacka, zdecydowanym krokiem sunącego przez tłum w ich kierunku. Ten widok był kojący.

Kiedy znaleźli się na tarasie, Emsworth rozejrzał się dokoła, a następnie, trzymając ją za łokieć, pociągnął dalej od gromadki gości rozmawiających tuż przy drzwiach. Przeszli w miejsce, w którym cienie pobliskich drzew migotały na kamiennej posadzce, i gdzie nie było nikogo, kto mógłby ich usłyszeć.

Emsworth puścił jej rękę. Zaplatając dłonie za plecami, przyjął postawę, którą Clarice rozpoznała jako sygnał, że ma zamiar wygłosić jakieś pompatyczne oświadczenie, a jednocześnie udawał, że spogląda na pogrążone w mroku ogrody.

Trochę się spodziewała, że Emsworth powie coś uwłaczającego na temat jej kontaktów z Jackiem i ich

niepotrzebnie czułym walcu...

- Naprawdę bardzo się cieszę, widząc cię znowu w mieście, moja droga. Zapłaciłaś wysoką cenę za swoje lekkomyślne zachowanie i za odrzucenie mnie. Najwyraźniej damy, które się liczą w towarzystwie, uznały, że ten incydent może już teraz odejść w zapomnienie.

Zauważył poparcie, jakiego udzieliły jej ciotki Jacka i lady Osbaldestone. To dobrze...

- Oczywiście, pozostaje faktem, że nie możesz mieć żadnych nadziei na odpowiednie zamążpójście, jednak wyraźnie... brakuje ci przyjemności małżeńskiego łoża. Gdyby to było możliwe, ponowiłbym swoją poprzednią propozycję, ale jako że jestem teraz żonaty... - Odwracając się, Emsworth napotkał zdumione spojrzenie Clarice. - Sugeruję, że będzie dla ciebie najlepiej, jeżeli zostaniesz moją kochanką. Dysponuję niemałymi dochodami... Nie jestem skąpy. - Przerwał, jakby konsultując się ze swoim poczuciem ważności, a potem, zadzierając chudy nos, ponownie skupił wzrok na Clarice.

- Jeżeli przyjmiesz moją propozycję, będzie cię to chroniło od mężczyzn takich jak Warnefleet i inni jego pokroju.

Gdy tylko zrozumiała, o co mu chodzi, zmusiła się do surowej kontroli wyrazu twarzy. Teraz pozwoliła, by w jej oczach zapłonęła skrajna pogarda, a jej rysy zabarwiła wściekłość.

Podeszła do Emswortha, przygważdżając go do balustrady i stając z nim oko w oko.

- Jesteś typem, który wzbudza mdłości, Emsworth - Bez względu na to, jakich to przyjemności może mi brakować, nie zgodzę się być dla ciebie kimkolwiek, nawet gdybyś okazał się ostatnim mężczyzną na tej ziemi.

Jego oczy rozszerzyły się, odchylił się do tyłu przed jej furią. Zanim zdążył zareagować, Clarice szybko uniosła kolano.

Jego wargi wykręciły się w grymasie.

Cofnęła się i patrzyła, jak Emsworth pada na kolana, a kiedy zwinął się przed nią wpół, zdrowo obila mu uszy, maskując ten

czyn rzekomo uprzejmym wyciągnięciem rąk w geście pomocy.

Wyczuwając za sobą czyjąś obecność, zerknęła przez ramię i zobaczyła Jacka, który z posępną miną, ale i z pełną satysfakcją obserwował, jak Emsworth pada na kamienną posadzkę.

- Wygląda na to, że wicehrabia zaniemógł. - Podchwyciła spojrzenie Jacka.

Uśmiechnął się przelotnie, po czym wyciągnął do niej rękę.

- Słabe zdrowie i brak szczęścia wydają się wprost prześladować rodzinę wicehrabiego.

Dłonie Jacka pozostały na jej barkach, wpływając na nią kojąco. We dwoje zasłonili upadającego Emswortha przed wzrokiem osób obecnych na tarasie.

- Na przykład pierwsza żona wicehrabiego skrzyła kark, spadając ze schodów w jego domu. Służba nie miała pojęcia, jak to się mogło stać. A jego druga żona często miewa się tak kiepsko, że całymi dniami nie wychodzi z pokoju. Jakaś niewyjaśniona choroba zostawia ją całą w siniakach.

Jack pochylił się nad Emsworthem. Mówił cicho i przybrał ostry ton.

- Słowo ostrzeżenia, Emsworth. Jeśli nie chcesz, żebym ja i inni mojego pokroju wymierzili ci zasłużoną karę, to lepiej nie pokazuj się znowu w Londynie, a najlepiej w towarzystwie w ogóle.

Emsworth dygotał, ciekło mu z nosa, otworzył usta, usiłując złapać dech. Jack spojrzał w jego rozszerzone oczy.

- Ufam, że wyraziłem się jasno?

Emsworth popatrzył na twarz Jacka, odrobina koloru, jaka jeszcze pozostała w jego twarzy, zniknęła.

Jack uśmiechnął się, ale nie przyjaźnie, wyprostował się i sięgnął do ramienia Clarice.

- Chodź, powinniśmy wrócić do sali balowej.

Możemy wysłać dwóch lokajów, żeby pomogli wicehrabiemu wsiąść do jego powozu.

Clarice rzuciła okiem na Emswortha. Prawie chlipał, nadal nie mogąc porządnie nabrać powietrza. W pełni

usatysfakcjonowana, pozwoliła Jackowi, by zaprowadził ją z powrotem na salę.

- Zawsze chciałam to zrobić, zobaczyć, czy to naprawdę działa.

- Działa. A ponieważ jesteś taka wysoka, to działa podwójnie skutecznie.

W kwestii dalszej podróży Emswortha - przeniesienia go przez dwóch lokajów naokoło domu i ulokowania w powozie - Clarice trzymała się z tyłu, pozwalając Jackowi, by sam wszystko zorganizował. Jego opowiedziana bez zająknięcia historyjka o tym, że Emsworth zaniemógł, ogólnie została przyjęta w całości. Ale wielu gości widziało Emswortha tańczącego z Clarice, a potem prowadzącego ją na taras, i jej późniejszy spokojny powrót pod rękę z lordem Warnefleetem. Czekano także na powrót Emswortha, kiedy się nie pojawił, rozgorzały domysły.

Clarice, wspierana przez Jacka, odnosiła niebywałe sukcesy w odciąganiu uwagi towarzystwa od zarzutów przeciwko Jamesowi.

Spędzili pół godziny na krążeniu wśród gości, wyraźnie zaintrygowanych, po czym wyszli, zostawiając wszystkie palące pytania bez odpowiedzi.

Nigdy wcześniej nie pozwalała, by ktokolwiek pomagał jej w radzeniu sobie z problemem takim jak Emsworth, jednak dzielenie takiego doświadczenia z Jackiem wydawało się czymś dziwnie właściwym.

Jeszcze jedna rzecz, która się zmieniała.

Zerkając na Jacka siedzącego obok niej w powozie, odprężonego i pewnego siebie, zastanawiała się, jak dowiedział się o Emsworthie. Żeby wiedzieć, musiałby zapytać, a nie był w Londynie, w towarzystwie, przez ponad trzynaście lat. Była pewna, że nie wymieniała nazwiska Emswortha. A więc jak...? James?

Znała opinię Jamesa o Emsworthie i tym epizodzie w jej życiu. Gdyby Jack zapytał, James by mu powiedział. Co

znaczyło, że Jack zapytał. I że nie tylko był na tyle zainteresowany, by spytać, ale zależało mu, by dowiedzieć się więcej.

Poprzez migoczące cienie wpatrywała się w jego profil. Potem uśmiechnęła się, popatrzyła na wprost i pomyślała o tym, co ich czeka. O tym, jak spędzą resztę nocy w jej apartamencie w hotelu Benedict's.

* * *

- Jestem całkowicie pewien, że moje informacje są prawdziwe. - Diakon Humphries, po drugiej stronie wąskiego stolika, prawie piorunował Jacka wzrokiem.

Jack przypatrywał się diakonowi z uwagą. Opis, który uzyskał, był dokładny, jego usta przypominały usta kobiety, a kiedy sznurował wargi, jak to często robił, rzeczywiście wyglądało to jak kobiecy dąs.

Było południe, Humphries opierał się przed rozmową z nimi na tyle, na ile się odważył, ale w końcu przychylił się do polecenia biskupa i spotkał się z Jackiem, Clarice i Olsenem w małym, przypominającym celę biurze w głębi pałacu.

- Rozumiemy, diakonie, że wierzy pan, iż pańskie informacje to prawda, ale samo stwierdzenie tego nie stanowi dowodu - oznajmiła Clarice.

Wcześniej wszyscy zajęli miejsca przy stole, ona obok Jacka, ale potem, najwyraźniej zbyt niecierpliwa, by usiedzieć nieruchomo, wstała i zaczęła się przechadzać. Ku wielkiemu zaniepokojeniu Humphriasa.

Kiedy podniósł na nią wzrok, na jego twarzy wyraźnie malowała się zarozumiała niechęć do przyjmowania wykładów od kobiety.

- Przedstawię moje dowody biskupowi we właściwym czasie.

Zanim Clarice zdołała odezwać się z miażdżącą ripostą, wtrącił się Jack.

- Jak diakon słyszał, sam biskup, w interesie szybkiego, ale pewnego wymierzenia sprawiedliwości, życzy sobie, byś wyjaśnił nam szczegóły swojej sprawy. Whitehall także pragnie wiedzieć dokładnie, jakie posiadasz, panie, dowody. Poza zeznaniami świadków, które zdaniem diakona stanowią rozstrzygające dowody na to, że James Altwood przekazywał sekrety wrogowi.

Humphries utkwiał spojrzenie w twarzy Jacka, wyraźnie starając się zignorować Clarice. Raz jeszcze Jack był wdzięczny za jej drażniącą, nieco przytłaczającą osobowość, rzadko się zdarzało, że ktoś, kogo przesłuchiwał, postrzegał go jako osobę łagodniejszą. Humphries uważnie mu się przyglądał.

- Jak rozumiem, od dawna zna pan wielbnego Altwooda.

Jack skinął głową. Zanim zdążył zareagować na niewypowiedziane wyzwanie, zrobiła to Clarice.

- Skoro Whitehall, wiedząc o znajomości Warnefleeta z Jamesem, mimo to uważa za bezpieczne powierzenie interesów rządu w jego ręce, to nie sądzę, by jego lojalność mogła być podawana w wątpliwość przez kogokolwiek. - Jej ton stwierdzał, że ten wątek dyskusji zostaje zamknięty.

Wargi Humphriesa ścisnęły się, skinął głową. Do Jacka zaś powiedział:

- Opowieści świadków są spójne. Wzięte razem, przedstawiają przekonujący obraz spotkań Altwooda z kurierem.

Jack zastanawiał się, jak wiele może ujawnić, zachowując bezstronność wobec Humphriesa, czuł się w obowiązku powiedzieć:

- Otrzymałem już dowody, że wielu świadków diakona jest niewiarygodnych. Są inni, bardziej wiarygodni, którzy chcą przysiąc, że noga Jamesa Altwooda nigdy nie postąpiła w tych tawernach. I wreszcie, wygląda na to, że chyba udało nam się zgromadzić niepodważalne dowody, iż w te dni, w podanych godzinach, on przebywał gdzie indziej.

Warga Humphriesa podwinęła się, wyraz jego twarzy świadczył, że nie daje wiary takim zapewnieniom.

Jack mówił dalej jednostajnym tonem:

- Jednak odkładając to wszystko na bok, zarzuty muszą opierać się nie na dowodach, jakimi są spotkania, bo te są w najlepszym razie poszlakami, ale na dowodach w postaci faktycznie przekazanych tajemnic. Moje pytanie, konkretnie pochodzące z Whitehall, brzmi: jaki to dowód? – Jack zerknął na stertę papierów, które Olsen położył na stole. - Do tej chwili diakon nie przedstawił żadnych szczegółów prócz zapewniania, że takie dowody istnieją.

Humphriesowi nie podobało się, że jest naciskany. Jego wąski podbródek naprężył się, duchowny mocniej zaplótł przed sobą dłonie oparte na blacie biurka.

- Moje dowody w postaci faktycznych tajemnic pochodzą z jedyne go wiarygodnego źródła, które może istnieć. Od osoby, której Altwood przekazywał te tajemnice.

- A tą osobą jest...?

Wargi Humphriesa ściągnęły się w cienką kreskę.

- Nie jestem gotowy ujawnić tożsamości tej osoby przed przesłuchaniem. Jednak skoro Whitehall żąda... Przekazane informacje obejmowały rozmieszczenie i wielkość naszych sił przed oblężeniem Badajoz, to samo przed klęską pod La Coruña, i - niedawno - szczegóły rozwinięcia frontu w Belgii na kilka tygodni przed Waterloo.

Jack zachował kamienną twarz i rzucił szybkie spojrzenie na Clarice, by ją ostrzec, aby milczała. Chociaż dwie z wynikłych z tego bitew zostały wygrane, rezultatem każdego z trzech wymienionych starć były ciężkie straty. Jako badacz wojskowości, Humphries wiedział o tym lepiej niż większość ludzi.

- Te trzy niedawne spotkania, które pan wymienił... Co zostało w ich trakcie przekazane? Rzekomo miały mieć miejsce w pierwszych miesiącach 1815 roku.

Humphries zawahał się, a później odparł:

- W trakcie tych spotkań Altwood przekazał informacje, kolejno, o szczegółach demobilizacji, o sile naszych

pozostałych oddziałów i o naszej zdolności do ponownej mobilizacji. Takie informacje byłyby kluczowe wobec planów powrotu Napoleona.

Jack skinął głową.

- Czy osobiście widział pan jakieś dowody: listy w ręku Altwooda, mapy, które przekazywał temu kurierowi?

Humphries wydał wargi.

- Nie widziałem ich osobiście, ale zostałem zapewniony, że istnieją. Kurier posiada kopie.

- Kopie. - Jack zamarł. - Nie oryginały?

- Musiał wręczyć oryginały swoim mocodawcom.

Clarice nie potrafiła się powstrzymać.

- Jakież to wygodne.

Humphries uparcie nie patrzył jej w oczy.

Jack znowu naciskał, by padło nazwisko kuriera, ale Humphries był nieugięty, Jack przerwał, zanim Clarice zdołała się odezwać, by nie zostawić na nim suchej nitki. Spotkanie zakończyło się, Humphries odszedł. Po potwierdzeniu Olsenowi, że to, co Jack powiedział o zaprzeczających dowodach, to prawda, i poprosiwszy go, by z naciskiem powtórzył Humphriesowi, że istotnie tak jest, Jack z Clarice u boku opuścili pałac. Na podejździe Jack obejrzał się na potężny gmach.

- On szczerze wierzy, że czyni słusznie i że został powołany, by nieść miecz najjaśniejszej Sprawiedliwości.

Clarice skinęła głową.

- Musi pamiętać, że ona trzyma w drugiej ręce wagę. I że to kobieta.

- Ktokolwiek to uknuł, mocno omotał Humphriesa. Wiedziony zazdrością o Jamesa i z dowodami, które z początku wyglądały na idealnie wiarygodne, zabrnął w ślepy zaułek. Teraz, mimo że podważamy dowody, on nie ma zamiaru ustąpić, przynajmniej nie przed przesłuchaniem przed sądem biskupim.

- Czy będziemy mieli do tego czasu dosyć dowodów?

Olsen powiedział im już wcześniej, że biskup, pragnąc jak najszybciej wyjaśnić drażliwą sprawę, wyznaczył przesłuchanie za pięć dni.

Jack się skrzywił.

- To nie będzie łatwe, ale jest możliwe. - Dotarli do bramy i przystanęli. - A propos, muszę wrócić do klubu i do pozostałych towarzyszy. Musimy rozważyć porządek naszego natarcia.

Clarice ukryła uśmiech, widząc nieobecny wyraz jego oczu. Po chwili Jack znowu skupił się na niej, poczuła, jak jej serce trzepocze, ale zaraz wróciło do normalnego, pewnego rytmu.

- Muszę wziąć udział w kilku popołudniowych herbatkach. Twoje ciotki kazały mi to obiecać. To będzie okropne, ale... - Clarice wzruszyła ramionami - ..zapewne konieczne. Musimy jasno pokazać wszystkim, wliczając w to Moirę, że wróciłam. Ona ma być na dwóch z tych spotkań.

Jack uśmiechnął się szeroko, ujął jej dłoń, podniósł do ust i pocałował.

- W każdej bitwie stawiałbym na ciebie, nie na Moirę.

Zaśmiała się. Dorozka podjechała w ich kierunku, Jack ją zatrzymał, a kiedy Clarice wsiadła, polecił dorożkarzowi, by odwiózł ją do hotelu Benedict's. Clarice wyobraziła sobie czekające ją popołudnie pełne zamieszania, żałowała, że zamiast tego nie może zostać z Jackiem.

* * *

W ciągu następnych trzech dni Jack, Deverell, Christian i Tristan sumiennie pracowali nad podważeniem zarzutów Humphriesa.

Najpierw zebrali oświadczenia, zaprzysiężone w obecności Jacka i jednego z pozostałych, od trzech świadków z każdej wymienionej tawerny - barmana i dwóch stałych bywalców, w każdym przypadku uznawanych niemal za stałych lokatorów. Każdy przysiągł, że nigdy nie widział, żeby jakiś duchowny

postawił stopę w ich przybytku, biorąc pod uwagę daty i pory rzekomych spotkań, byłiby obecni i widzieliby Jamesa, gdyby rzeczywiście tam był.

Mając to za sobą, czterej członkowie klubu skierowali swoje zdolności perswazji na mniej szanowanych delikwentów, którzy za kilka groszy zgodzili się przysiąc, że James Altwood był obecny na tych samych trzech spotkaniach. Skonfrontowani z zaprzysiężonymi oświadczeniami innych, zwłaszcza barmanów, i zapewnieni, że zostaną zwolnieni z konieczności stawiania się przed jakimkolwiek sądem, jeżeli teraz postanowią powiedzieć prawdę, wszyscy wyparli się swoich słów. I podpisali odpowiednie oświadczenia.

Jack i jego trzech kamratów świętowali swój sukces w bibliotece klubu, kiedy zjawił się Alton. Wprowadzony na górę przez Gasthorpe'a, zaintrygowany rozejrzał się i poinformował, że on i jego bracia znaleźli przynajmniej po jednym przyjęciu, w którym James uczestniczył w wieczór każdego ze spotkań. Odszukali też damy prowadzące pamiętniki, które mogły poświadczyć, że James był obecny na wszystkich trzech przyjęciach.

- Wziąwszy pod uwagę godziny... - Alton podał swoją listę Jackowi - trudno sobie wyobrazić, jak James mógłby jeść obiad z tymi ludźmi, a jednocześnie być w jakiejś tawernie w Southwark.

Alton został zaproszony do wspólnego świętowania.

Dziesięć minut później Gasthorpe wywołał Jacka, przybył posłaniec z Whitehall. Jack zszedł na dół, przyjął pakunek, szybko przejrzał papiery, które się w nim znajdowały, a potem - uśmiechając się szeroko - wrócił do biblioteki.

Pomachał kartkami.

- To nie tylko ostatni gwóźdź do trumny, ale od razu i młotek. Jesteśmy gotowi zagrzebać te zarzuty.

- Co to jest? - spytał Alton. Pozostali chcieli zadać to samo pytanie.

Jack opadł z powrotem na krzesło.

- Kiedy rozmawialiśmy z Humphriesem, zdołaliśmy wyciągnąć z niego konkretne fakty, które wedle słów kuriera James przekazał podczas tych trzech spotkań. Wiele z nich James mógłby znać, bo liczebność oddziałów i rozwinięcie frontu to właśnie sprawy, które są obiektem jego badań. Była jednak pewna informacja, której James w żaden sposób nie mógł zdobyć ani nawet próbować jej wyszukać, a mianowicie szczegóły demobilizacji. Jako strateg wojskowości interesuje się bitwami i przygotowaniem do nich. To, co dzieje się później, nie jest przedmiotem jego zainteresowań. Dlaczego miałby zajmować się problemami demobilizacji?

Christian uśmiechnął się szeroko.

- Zakładam, że ta kartka dowodzi, iż tego nie zrobił?

- W rzeczy samej. - Jack uśmiechnął się czule do papierów trzymany w ręku. - Posłałem naszemu przyjacielowi w Whitehall listę całego personelu wojskowego, z którym James rozmawiał między upadkiem Tuluzy a Waterloo. Oto rezultat. Oświadczenia od wszystkich tych rozmówców, stwierdzające, że ich dyskusje z Jamesem nigdy nie dotyczyły demobilizacji plus oświadczenia personelu z Ministerstwa Obrony i Kwatery Głównej, który kierował demobilizacją, stwierdzające, że nigdy nie mieli żadnego kontaktu z Jamesem Altwoodem.

Deverell uśmiechnął się i podniósł kieliszek.

- Kiedy nasz przyjaciel działa, nie ma dla niego rzeczy niemożliwych.

Ich świętowanie trwało jeszcze kolejne pół godziny, po czym wszyscy przypomnieli sobie, że jest sam środek sezonu i że mają spotkania, na których muszą się stawić, chociaż uczynią to niechętnie. Alton wyszedł z roziskrzonymi oczyma, mówiąc, że później zobaczy się z Jackiem. Zamykając za nim drzwi, Jack uśmiechnął się od ucha do ucha. Alton nie był głupi, z ich wzmianek zrozumiał już dosyć, by wyrobić sobie pełniejszą i dokładniejszą opinię o Jacku.

Zadowolony z tego, co przyniósł dzień, i wyczekując nocy, ciekawskich pytań Clarice i jej dającej się przewidzieć reakcji

na ich wspólne sukcesy, Jack wspiął się po schodach, żeby przebrać się na wieczór.

* * *

- Moja droga, twój powrót jest tematem rozmów! - Stara lady Swanley rozpromieniła się na widok Clarice. - Ogromnie się cieszę, że Emily zdołała namówić ciebie i lorda Warnefleeta, byście pojawili się dziś wieczorem.

Clarice, pewna siebie i spokojna, usadowiła się na szezlongu obok lady Swanley. Przyjaciółka matki Clarice z lat dziecińczych, lady Swanley, była jedną z tych osób, które nigdy jej źle nie życzyły, miło było móc znowu obracać się w takim gronie, odprężyć się wśród ludzi, którymi nie musiała ani kierować, ani się ich wystrzegać.

Siedząc przy stole jej lordowskiej mości, zjedli obiad wraz z wybraną grupką gości, po czym panie zostawiły panów z ich porto. Damy, w wieku od sędziwej lady Swanley po jej siedemnastoletnią wnuczkę, zajęły miejsca na szezlongach i krzesłach w swobodnych grupkach i przystąpiły do swojego ulubionego zajęcia, czyli omawiania wszystkiego, co widziały i słyszały w ciągu dnia.

Odprężona Clarice swobodnie odpowiadała na pytania i uwagi na temat jej samej i życia na wsi, romansów jej braci - romansów, które, jak towarzystwo uświadomiło sobie dopiero teraz, rozgrywały się pod jego nosem - i bardziej ostrożne na pytania dotyczące zmian, które zapewne musiał za sobą pociągnąć jej powrót, zwłaszcza w kwestii statusu Moiry.

- Nikt bowiem nie wątpi, moja droga, że będzie miała ci za złe twój sukces i zrobi, co w jej mocy, by rzucać ci kłody pod nogi. - Lady Swanley pokiwała głową. - Zawsze była z niej kapryśna, wymagająca panna. Myślała, że poślubienie twojego ojca da jej status, którego pragnęła, i tak by się stało, gdyby zachowywała się odpowiednio.

- Chcesz powiedzieć, gdyby miała choć trochę rozumu -

prychnęła Henrietta Standish. Podchwyciła spojrzenie Clarice. - Wyobrazenie Moiry o tym, jak powinna się zachowywać markiza, to piskliwe domaganie się wszelkich honorów. - Henrietta chrząknęła. - Nigdy nie przyszło jej do głowy, że szacunek się zyskuje, a prawdziwy status jest komuś nadawany. Żadnego z nich nie otrzymuje się dlatego, że ktoś tupie nogą.

Każdego wieczoru Clarice stopniowo, krok po kroku, odzyskiwała swoją pozycję towarzyską z poparciem ciotek Jacka i lady Osbaldestone. I coraz więcej słyszała o postępach Moiry i o tym, jak bliska uznania za persona non grata była jej macocha. Chwilami niemal było jej żal Moiry albo przynajmniej martwiła się o nią. Ale potem powracała świadomość tego, czym Moira groziła Altonowi i Sarah, co zrobiła Rogerowi i jego Alice, i Clarice odsuwała łagodniejsze uczucia na bok jako nieuzasadnione.

Każdego wieczoru z Jackiem u boku pojawiała się na salach balowych i przyjęciach. Odzyskanie przez nią pozycji angażowało uwagę towarzystwa bardziej, niż na to liczyli. Większość bywalców pragnęła się dowiedzieć, dlaczego wróciła, i czujnie wypatrywała wszelkich wskazówek.

Romanse jej braci także były interesujące, ale nie tak uważnie obserwowane. Niewielu zdawało sobie sprawę, jak w gruncie rzeczy były poważne.

W porównaniu z tym pogłoski o Jamesie przybladły i prawie ucichły. W niektórych głowach wciąż tkwiło jakieś uspione ziarno, ale nikt nie czuł potrzeby pielęgnowania go, kiedy wokół było tak wiele ciekawszych tematów.

Później, gdy panowie wrócili do salonu lady Swanley, Clarice i Jack pokręcili się wśród gości i wyszli, by udać się na kolejne spotkanie w ich rozkładzie zajęć - na bal wydawany przez kuzynkę Clarice, Helen Albemarle.

- To dla mnie dosyć dziwne - Clarice oparła się na poduchach siedzenia powozu - że rodzina, z którą miałam niewielki kontakt przez te wszystkie lata, tak jak z Helen, wydaje się wielce chętna, by powitać mnie z powrotem. -

Zerkała na fasady domów przesuwające się za oknem. - Nie sądziłam, że tak łatwo zostanę przyjęta.

Rozmyślała na głos, stało się to jej nawykiem w chwilach, kiedy mógł słyszeć ją tylko Jack.

Była nieco zaskoczona, gdy jego dłoń mocniej zamknęła się na jej dłoni.

- Anthony mówił mi, że dalsza rodzina, zwłaszcza młodsze pokolenie, nie potępiła cię tak, jak zapewne się spodziewałaś.

Kiedy się odwróciła, by na niego spojrzeć, Jack się uśmiechnął, widząc jej zdumienie.

- Chyba nie sądziłaś, że wywołam poruszenie, nie wiedząc, z czym przyjdzie nam się zmierzyć?

Jeśli tak to ująć... Pochyliła głowę, przyznając, że gdy już poznała go tak jak zna go teraz, ta myśl rzeczywiście wydawała się jej niemądra. A jednak...

On już wtedy zadawał pytania, drażył Anthony'ego jeszcze przed ich wyjazdem. Myślał o niej, o tym, z czym przyjdzie jej się zmierzyć i jak ją chronić, już wtedy.

Patrząc przed siebie, zostawiła dłoń schowaną w jego dłoni, czuła jego silne palce otulające jej smukłą rękę, i czuła się... Nie była pewna, co to takiego, wiedziała tylko, że to coś nowego i cennego.

Nie miała czasu nad tym rozmyślać, przynajmniej nie w tej chwili. Powóz zakołysał się i zatrzymał przed kolejnymi schodami, przy jeszcze jednym domu w modnej dzielnicy. Wysiedli pod płócienną markizą i weszli na górę po wąskim czerwonym dywanie, rozwiniętym na powitanie gości jej kuzynki. Kiedy dotarli do sali balowej, Helen wyszła, by ich przywitać.

- Jestem taka podekscytowana, że mogłaś przyjechać, i że znowu jesteś z nami... to znaczy wśród towarzystwa. - Helen rozpromieniła się i ją objęła, a potem odwróciła się, by powitać Jacka. Clarice go przedstawiła.

Gdy mieli to już za sobą, Helen zaczęła bardzo szybko mówić. Nadal była tą samą gadatliwą, dobroduszną i zawsze

życzliwą damą, którą Clarice zapamiętała, łatwo było odnowić kontakty, jakby minęło zaledwie siedem tygodni, a nie siedem lat od ich ostatniego spotkania.

Przywołując córkę, by do nich dołączyła, Helen przedstawiła panienkę, która debiutowała w towarzystwie. Clarice poczuła się nieswojo, kiedy dziewczę bardzo grzecznie dygnęło. Szybko rzuciwszy okiem na Helen, zobaczyła, że ta uśmiecha się z matczyną dumą. Clarice udzieliła więc pannie towarzyskiego błogosławieństwa - błogosławieństwa ze strony najbardziej wpływowej damy w rodzinie.

Na to właśnie liczyły Helen i jej córka, obie się rozpromieniły. Rozstawszy się z nimi, Clarice wzięła Jacka pod ramię i razem poszli dalej.

Zerkając na Jacka, dostrzegła błysk rozbawienia w jego oczach, ale wątpiła, by jako mężczyzna trafnie zinterpretował to małe interludium. Helen szepnęła im wcześniej, że jest tu Moira, Clarice miała tylko nadzieję, że nie była świadkiem tej sceny.

Clarice zaakceptowała fakt, że aby właściwie pomóc nie tylko Jamesowi, ale i swoim braciom, musi odzyskać należną pozycję towarzyską. Z początku nie zdawała sobie jednak sprawy, że dokonując tego, na zawsze umniejszy niepewną i z trudem wywalczoną pozycję Moiry.

Przez własne działania Moira nigdy nie zdołałaby zyskać takiego szacunku jak Clarice. Jeśli zachowanie Helen mogło o czymś świadczyć, to Clarice w pełni odzyskała pozycję, nie tylko w świadomości osób z towarzystwa, ale i w kręgu rodziny. I to z pełnymi honorami należnymi córce markiza Meltona.

- Nie sądziłam, że to będzie takie łatwe. Ani takie szybkie.

Jack się uśmiechnął. Jego palce zacisnęły się na jej dłoni. Poprowadził ją przez tłum gości do miejsca, skąd majestatycznie skinęła do nich głową lady Davenport, siedząca na szezlongu pomiędzy dwiema starszymi damami.

Clarice rozpoznała je obie, w duchu przyszykowała się do bitwy. Jednak kiedy powitała lady Davenport i dygnęła przed swoimi ciotkami, siostrami ojca, które całkowicie popierały go

w kwestii jej wygnania, nie dała po sobie niczego poznać.

Constance, hrabina Camleigh, obejrzała ją d stóp do głów, zimne spojrzenie szarych oczu i wyniosła mina niczego nie zdradziły. Potem podniosła wzrok na twarz Clarice.

- Nie mogę powiedzieć, że wyrosłaś, bo zawsze byłaś wysoka, ale... - Jej lordowska mość z wysiłkiem wyciągnęła obie dłonie ku Clarice. – Witaj z powrotem, moja droga.

Zaskoczona Clarice ujęła drobne ręce ciotki nieco oszołomiona nachyliła się, by musnąć swym policzkiem policzek - jak do tej chwili sądziła - potępiającej ją krewnej. Constance była tego świadoma.

- Wówczas sądziłam, że Marcus ma rację - rzekła po przywitaniu się z Clarice. - Ale później, zwłaszcza po tym, co się stało z tą biedaczką, którą poślubił Emsworth, i im częściej widywaliśmy Moirę... Cóż, zaczęłam myśleć, że być może, w istocie, wiedziałaś lepiej.

- W istocie. - Bardziej krucha niż jej dominująca siostra, ale tak samo wyniosła Catherine, lady Bentwood, uroczyście skinęła głową. - A powiadają, że druga żona Emswortha ma się nawet gorzej. To byłoby straszne, gdyby poślubił ciebie.

Clarice była wdzięczna, że nie musi odpowiadać. Ona i Jack pozostali tam przez dziesięć minut, obie ciotki były niezmiernie zainteresowane poznaniem go i uzyskaniem tylu wiadomości, ile się tylko dało o Jamesie. Kiedy Jack dotarł do granicy tego, co pragnął ujawnić, Clarice wkroczyła i usprawiedliwiła ich odejście.

Clarice nie musiała się rozglądać, żeby wiedzieć, iż wszyscy zebrani rozumieją teraz, że w pełni przywrócono jej dawny status.

Zauważyła, że Jack stara się pohamować uśmiech.

- O co chodzi?

- Dlaczego mam wrażenie, że gdyby Emsworth poślubił ciebie, to on spadłby ze schodów, a nie ty?

Uśmiech, jakim mu odpowiedziała, wystarczył za cały komentarz.

Rozbawiona Clarice popatrzyła przed siebie - prosto w roziskrzone oczy Moiry. Na szczęście z bezpiecznej odległości.

Jej macocha stała, zaciskając pięści i niemal dygocząc z furii, pod przeciwległą ścianą, a jej córka, Mildred, tkwiła tuż obok niej, także morderczo wpatrując się w Clarice.

Clarice przyjęła ich gniew, po czym chłodno skinęła im głową. Później odwróciła wzrok i pozwoliła Jackowi poprowadzić się w tłum.

Rozdział 18

Pozostali u Helen ponad godzinę. Clarice jeszcze kilkakrotnie dostrzegła Moirę, ale za każdym razem macocha odwracała głowę. Clarice skupiła się więc na pozostałych gościach.

Co jakiś czas była proszona o radę. Niektórzy nawet zwracali się do niej o opinię na temat potencjalnych kandydatów na mężów i kandydatek na żony obecnych na balu. Ta ironia nie uszła uwagi Clarice ani Jacka, wymienili znaczące spojrzenia, ale zdołali zachować poważne miny. Wiedzieli, że nic nie mogłoby stanowić bardziej wyraźnej deklaracji, iż jej rodzina uważa ją de facto za swoją mentorkę, przedkładając jej status nad pozycję Moiry.

Później przebyli krótki dystans i zawinęli do swego ostatniego portu na trasie - do domu lady Carraway, w sam środek rautu. Szykowna, dobrze ustosunkowana matrona powitała ich, figlarnie stwierdzając, że wśród kłębiącego się tłumu Clarice zastanie wielu starych przyjaciół.

Ten tłum różnił się nieco od tych z poprzednich przyjęć, goście jej lordowskiej mości byli przeważnie w wieku Jacka i Clarice. Co oznaczało, że większość dam była zamężna, a wielu dzentelmenów żonaty. Jednak małżeńskie przysięgi zdawały się nieszczególnie ciążyć większej części gości, przynajmniej jeżeli chodziło o chwilową rozrywkę.

Clarice po kilku pobieżnych rozmowach i obserwacjach

ocenila atmosferę i sytuację, w jakiej się znalazła. Było tu wielu gości, których pamiętała z dawnych lat. Jednak przyglądając się, jak dama, która debiutowała za jej czasów, flirtuje z jakimś dżentelmenem, podczas gdy stojąca obok niego żona trzepocze rękami do znanego hulaki, Clarice nie czuła nic prócz znużenia i pragnienia, by wraz z Jackiem po prostu wrócić do hotelu Benedict's. Ale lady Osbaldestone i lady Davenport nalegały, by zaznaczyła swoją obecność nawet w tych kręgach, przychyliła się do ich prośby.

Jack poprowadził Clarice przez tłum, maskując prawdziwe odczucia niefrasobliwością. Clarice wspomniała wcześniej, że jej mentorki usilnie zalecały, by pojawiła się tu dziś wieczorem, ale podejrzewał, że nie wzięły poprawki na walca, którym rozkoszowali się trzy wieczory wcześniej. Od tamtej pory stosunek niektórych mężczyzn do Clarice zmienił się dość radykalnie. Świadczyła o tym choćby oferta Emswortha.

Chociaż Jack poważnie wątpił, czy inni popełniliby tak rażący błąd, dopilnował, by wieść o porażce Emswortha ze wszystkimi jej prześwietnymi szczegółami dyskretnie dotarła do klubów - w jego oczach zainteresowanie mężczyzn Clarice wzrosło do niebezpiecznego poziomu.

Kiedy posunął się do tego, by cisnąć parę faktów dotyczących Clarice na żer plotkarkom, nie wziął pod uwagę, że mają one synów i siostrzeńców, z których wielu nieustannie wypatrywało ponętnych ofiar. Jednak ani przez chwilę nie żałował tamtego walca, zaś co do reszty, po prostu będzie pilnował, by zawsze być u jej boku.

To mu się udawało, ale noc stawała się parna, w sali balowej robiło się coraz bardziej duszno. Mimo że Clarice trzymała się prosto, czuł, że powoli traciła siły, wcześniej była w centrum uwagi przez cały wieczór, i w dużej mierze nadal tak było.

- Za tymi oszklonymi drzwiami jest balkon - powiedział Jack. - Wyjdźmy na zewnątrz, na świeże powietrze.

Skinęła głową.

- Doskonały pomysł.

Spokojnie przeszli przez salę. W końcu dotarli do drzwi. Kiedy Jack otworzył jedną połowę, dostrzegł lokaja balansującego z tacą pełną kieliszków.

- Idź, Clarice, ja przyniosę nam coś na orzeźwienie.

Skinęła głową i wyszła. Jack pozwolił, by delikatne zasłony opadły, zasłaniając otwarte drzwi, i skierował się do lokaja.

Na balkonie otuliło ją chłodniejsze powietrze nocy, westchnęła z ulgą. Urodziła się i wychowała wśród śmietanki towarzyskiej, miała ogromne doświadczenie w przyjęciach takich jak to, jednak chociaż z łatwością potrafiła zachowywać pozory, niemal odruchowo, to nigdy jej to nie fascynowało ani nie przykuwało uwagi.

Wiedziała, że w życiu jest coś więcej niż bale i przyjęcia.

Mimo że znowu została przyjęta do towarzystwa, pomimo całkowitego odzyskania pozycji trudno było jej nawet udawać, że takie sprawy naprawdę nadal coś znaczą, przynajmniej dla niej. Mocno chwyciwszy się balustrady, spoglądała w aksamitną ciemność nocy i zastanawiała się, co się zmieniło. Nie towarzystwo, tego była pewna.

- Moja kochana Clarice.

Zamrugła, potrzebowała chwili, żeby umiejscowić ten szept. Powoli odwróciła się i przyjrzała przystojnemu mężczyźnie, który wyslizgnął się z sali balowej, by do niej dołączyć. W jego arystokratycznych rysach widać było wyraźne ślady hulaszczego życia i upływu lat.

- Dobry wieczór, Warwick. - Jej ton, zimny i beznamiętny, tak samo obojętny jak jej uczucia wobec niego, sprawił jej satysfakcję. - Co tutaj robisz?

Wytrzymał jej spojrzenie, potem śmiało pozwolił sobie na obejrzenie krągłości jej ciała okrytego karmazynową jedwabną morą. Clarice podziękowała sobie w duchu, że nie włożyła sukni ze śliwkowego jedwabiu.

- Zastanawiałem się, moja droga, czy zniósłszy siedem lat czyśćca, mogłabyś rozważyć korzyści...

Urwał, słysząc odgłos zbliżających się kroków. Odwrócili

się oboje, Clarice uśmiechnęła się, kiedy Jack wyszedł zza zasłony, niosąc dwa kieliszki szampana. Wzięła ten, który jej podał, i wskazała nim na Warwicka.

- Lordzie Warnefleet, proszę pozwolić, że przedstawię wielmożnego Jonathona Warwicka.

Powieki Jacka zadrgały, jednak jego urzekający, swobodny uśmiech pozostał niewzruszony. Clarice знаła go dostatecznie dobrze, by kompletnie nie ufać temu uśmiechowi.

Ale Warwick go nie znał. Uśmiechnął się w odpowiedzi jak uprzejmy wilk spodziewający się negocjacji przy podziale zwierzyny.

- Warnefleet. - Wyciągnął rękę.

Jack spojrział na Clarice.

- Czy możesz mi to przytrzymać?

Zaintrygowana, wzięła także i jego kieliszek.

Jack odwrócił się do Warwicka i trzasnął go pięścią w szczękę, aż ten zatoczył się do tyłu, po czym upadł na posadzkę. Oszołomiony, niczego nie rozumiejąc, popatrzył w górę na Jacka.

Wzruszając ramionami, młody lord poprawił surdut, wygładził rękawy, a następnie wziął swój kieliszek z dłoni Clarice.

- Dziękuję. - Uniósł szkło jak do toastu. - Miło mi poznać. - I upił łyk.

Całkowicie oszołomiony Warwick leżał rozciągnięty na posadzce.

- Za co to było?

Jack uśmiechnął się, tym razem szczerze.

- Za przeszłe występki. To i gorsze rzeczy przydarzyłyby ci się ostatnim razem, gdybym był w pobliżu. To i gorsze rzeczy przydarzą ci się w przyszłości, jeżeli będziesz na tyle nierozważny, by znowu w jakikolwiek sposób zbliżyć się do lady Clarice. - Jego uśmiech stał się bardziej wymowny. - Ponieważ teraz ja tutaj jestem. - Upijając kolejny łyk szampana, Jack przyjrzał się Warwickowi po czym cicho zapytał: - Czy

wyrażam się jasno?

W oczach Warwicka zagrało wojownicze usposobienie, ale po chwili wpatrywania się w twarz Jacka Warwick pobałdł, uleciała z niego cała agresja.

- W rzeczy samej. - Zaciskając wargi, rzucił Clarice przelotne spojrzenie, po czym niezdarnie wstał. Prostując się, na moment się zatrzymał, jakby czekając, aż świat przestanie wirować, a później nieznacznie skinął głową.

- Państwo wybaczą...

Ruszył w stronę drzwi. Zawahał się w marszu, widząc grupkę złożoną z trzech dam i dwóch dżentelmenów, którzy wyszli na zewnątrz, sądząc po ich minach, zobaczyli dosyć, żeby plotki nie milkły do końca tygodnia. Warwick poszedł dalej, mijając ich i w żaden sposób nie okazując, że kogokolwiek dostrzeża.

Jack odwrócił się do Clarice.

- Proszę o wybaczenie. Wydawało się, że to spóźnione, a zapewne nikt inny nie... – Wzruszył ramionami.

Poczuł ulgę, gdy uśmiechnęła się wyraźnie zadowolona

- Dziękuję. - Jej oczy powiedziały to nawet wyraźniej niż słowa. Kładąc mu dłoń na ramieniu, chłonęła piękno ogrodu.

Popijali szampana. Za nimi rozległy się szepty, a potem grupka przypadkowych świadków tego całego zajścia czmychnęła z powrotem na salę, by podzielić się najnowszymi wieściami z resztą towarzystwa.

Jack westchnął.

- Nie zamierzałem wywoływać skandalu.

- Mnie to nie przeszkadza. Właściwie to skoro moim celem jest odwrócenie uwagi towarzystwa od kłopotliwej sytuacji Jamesa... - podniosła wzrok na Jacka, lekko ściskając jego ramię - to powinnam podziękować ci za pomoc. Dziękuję za... za zadanie mu tego ciosu. Zawsze chciałam to zrobić.

- Twój sposób też by zadziałał. - Jack skierował ją na powrót do sali. - Ale nie chcesz stać się przewidywalna.

Śmiała się, kiedy wrócili na bal, pod ostrzał płomiennych

spojrzeń towarzystwa.

Grali w tę grę jeszcze przez jakiś czas — obeszlą salę dokoła i dopiero wtedy się oddalili.

Gdy znaleźli się z powrotem w hotelu Benedict's, we dwoje w jej apartamencie, Clarice poświęciła się wyrażaniu swoich podziękowań w bardziej namacalny i znacznie bardziej zmysłowy sposób.

A gdy zaspokojeni legli wśród pogniecionej pościeli, a Jack mocno zasnął, umysł Clarice powrócił do ostatnich wydarzeń, do zmian w jej życiu.

Na nowo stanął jej przed oczami incydent z Warwickiem. Nie miała wątpliwości, że jakąkolwiek niestosowną propozycję miał właśnie jej złożyć, to Jack, nawet nie wiedząc o zbliżającej się zniewadze, rozprawił się z Warwickiem tak, jak na to zasługiwał.

Dla niej. Nie było innego powodu, którym mógłby się kierować. Zachował się nie tylko jak jej obrońca, ale jak mściciel.

Nigdy nie miała kogoś takiego, kto występowałby w tej roli. Ani jej ojciec, ani bracia... Nigdy tego od nich nie oczekiwała, nie była nawet pewna, czy zaakceptowałyby takie wsparcie z ich strony.

Jack nie spytał, on po prostu postąpił jak jej rycerz, jakby miał do tego prawo.

Z pewnością nie miała żadnych obiekcji, żadnych trudności z zaakceptowaniem tej pomocy, z pozwoleniem, aby stał się jej rycerzem.

Oczywiście wszyscy będą mówić o tych zdarzeniach od rana, ale Clarice nie mogła zdobyć się na niepokój czy zamartwianie się tym faktem. Nie dbała o to, czy cały świat wie, że była chętna wpuścić go do swojego życia. Blisko.

Spojrzała na poduszkę, błędząc wzrokiem po jego twarzy, patrzyła, jak Jack śpi. Jej wargi wygięły się w uśmiechu.

Tak, był zaborczy i nigdy tego nie ukrywał. Dostrzegała to od samego początku, ale wtedy nie czuła się zagrożona. I nadal

tak było. W sercu, w kościach, w duszy czuła, że Jack nie stanowi dla niej zagrożenia i że nigdy nie będzie stanowił.

Dlaczego? Być może miało to coś wspólnego z więzią, która nasilała się między nimi dzień po dniu, noc po nocy. A być może dlatego nie czuła się bezbronna, gdyż dzięki tej więzi on także był bezbranny.

W taki sam sposób, w takim samym stopniu.

Zależność. Związanie.

Pozwoliła swoim palcom bawić się miękkimi końcówkami jego włosów, jednocześnie rozmyślając o tym związaniu i o tym, co może oznaczać.

Jej umysł nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Powędrował do kolejnej zmiany, kolejnej nieprzewidzianej reakcji.

Nikt, w tym i ona sama, nie mógł wiedzieć, że chociaż odzyskanie względów towarzystwa przekroczy jej oczekiwania, nie będzie tego pragnęła. Że wytworne życie i jego nieustanny wir nie będą miały już dla niej żadnego powabu. Dostatecznie długo przebywała z dala od tego wszystkiego, by powab zbladł, być może powinna podziękować za to ojcu? Nie za wygnanie, ale za zmuszenie do dokonania wyboru.

Życie, jak powiedziała Claire, to ciągle dokonywanie wyborów, a potem znoszenie ich skutków. Wybranie ścieżki, a później pójście nią, by zobaczyć, dokąd prowadzi, i cieszenie się po drodze przygodami.

Kiedy to wszystko się skończy, kiedy oczyszczą Jamesa z zarzutów, ocalą jej braci i doprowadzą każdego z nich do ołtarza, Clarice stanie przed kolejnym wyborem. Czy powrócić do wcześniejszej egzystencji wśród wyższych sfer, czy...

Próbowała się skupić, ale sen zamglili jej umysł i wciągnął w głąb, zanim zdołała zdecydować, czy rzeczywiście ma jeszcze jedną możliwość, jeszcze jedną nieoczekiwaną drogę, którą może wybrać... czy po prostu marzy.

* * *

- Biskup oczekuje, że jego sąd zbierze się jutro. Proponuję, żebyśmy dzisiaj się z nim spotkali. - Jack popatrzył ponad stołem, na którym rozłożył zebrane dowody, i napotkał wzrok Clarice.

Było po dziesiątej rano, Jack wrócił z porannej konferencji z kolegami w Klubie Niezdobytych.

- To - wskazał na porozkładane dokumenty - jest bardziej niż przekonujące i dowodzi, że James nigdy nie uczestniczył w tych trzech spotkaniach, że te spotkania nigdy nie miały miejsca. Kiedy to zostanie stwierdzone, zarzuty nie będą miały żadnych podstaw. Omawiałem to z innymi, wszyscy czujemy, że jeżeli istnieje szansa na uniknięcie pojawienia się sprawy nawet w sądzie biskupim, byłoby rozsądnie ją wykorzystać.

Clarice przytaknęła.

- W ten sposób żadne formalne zarzuty nie zostaną nigdzie zarejestrowane.

- Zgadza się. A więc, czy pójdziemy się spotkać z biskupem?

Skinęła głową.

- Chodźmy.

* * *

Przybywszy do pałacu, porozmawiali najpierw z dziekanem Samuelsem i diakonem Olsenem. Dziekan przekazał ich wiadomość, ich przemyślenia, bezpośrednio samemu biskupowi. Dziesięć minut później zostali wprowadzeni na prywatną audiencję.

- A więc cóż. - Biskup przeniósł wzrok z Jacka na Clarice. - Dziekan mówi, że macie nowiny?

Jego mina wyrażała jasno, że miał nadzieję, iż pomogą mu uniknąć tego, co dla niego wyglądało na polityczną matnię. Jack się uśmiechnął. Zręcznie wspierany przez Clarice, przedstawił informacje, omawiając każde z rzekomych spotkań, cytując świadków, których wskazał diakon Humphries, w każdym przypadku przedkładając podpisane i poświadczone wyparcie

się ich relacji i opowieści o tym, jak rzekomy kurier zapłacił im za kłamstwa.

- Opis mężczyzny, który spotykał się z diakonem Humphriesem, zapewne przekazując mu informacje, odpowiada opisowi mężczyzny, który zapłacił świadkom, by przysięgli, że widzieli Jamesa Altwooda spotykającego się z kurierem w tych tawernach. - Jack przerwał, po czym mówił dalej: - Ponadto mamy co najmniej po trzech świadków na każdą tawernę, którzy przysięgną, że żaden duchowny nigdy nie przekroczy! ich progu, przynajmniej nie w ciągu ostatnich dwóch lat. Co więcej, potwierdziliśmy informacje od różnych osób z wyższych sfer, umiejscawiające Jamesa na przyjęciach, które odbyły się w te same wieczory, co owe rzekome spotkania. - Upuszczając kartkę z oświadczeniami na mały stolik przed sobą, Jack oparł dłoń na stercie dokumentów. - Na koniec, co do przekazanych informacji, chociaż w rzeczy samej James mógł znać większość wspomnianych szczegółów i można by się tego spodziewać po uczonym zajmującym się wojskowością, to konkretne informacje, które jakoby zostały przekazane podczas jednego z trzech niedawnych spotkań, dotyczyły demobilizacji. Były to jednak informacje, których James Altwood nie posiadał.

Zwięźle opisał wyczerpujące poszukiwania, które przeprowadził Dalziel.

- Nie znajdujemy sposobu, w jaki James Altwood miałby zdobyć takie informacje.

Tu wkroczyła Clarice.

- Podsumowując, zgromadzone dowody rozstrzygająco przesadzają, iż James nie brał udziału w spotkaniach z żadnym kurierem, ale przebywał w tym czasie zupełnie gdzie indziej, i że nie mógł posiadać przynajmniej części informacji, które rzekomo miał przekazać wrogowi. Krótko mówiąc, milordzie, zarzuty wniesione przeciwko mojemu krewnemu wydają się całkowicie bezpodstawne. Co więcej, wyglądają na sfabrykowane przez tego rzekomego kuriera albo kogoś działającego za jego pośrednictwem, aby uwikłać władze, w tym

także Kościół, w nieuzasadniony proces.

Biskup zamrugął. Nie był rozczarowany. Przytaknął z surowym wyrazem twarzy.

- W rzeczy samej, lady Clarice. Rozumiem, co ma pani na myśli. - Sądząc po jego minie, był wyraźnie świadom pułapek związanych z nieuzasadnionymi procesami, nawet we własnym sądzie. Popatrzył na Jacka. - Lordzie Warnefleet, Kościół jest zobowiązany panu, pana przełożonym i innym osobom, które pomagały w tak szybkim zgromadzeniu tych dowodów. Należą się panu nasze podziękowania. Jak również lady Clarice. Może pani przekazać swojej rodzinie, droga pani, że nie będą podejmowane żadne dalsze kroki w tej sprawie. - Biskup zerknął na stos papierów przed Jackiem. - W świetle wszystkiego, co pan zaprezentował, nie widzę potrzeby kontynuowania oficjalnego przesłuchania. Zamierzam odrzucić zarzuty jako pozbawione podstaw. Poinformuję Whitehall o mojej decyzji.

Clarice rozpromieniła się.

- Dziękuję, milordzie.

Oficjalny ton, zachowywany aż do tej chwili, ulotnił się. Dziekan i diakon Olsen podeszli, żeby uściskać dłoń Jacka i głośno zachwycać się dowodami. Clarice wdała się w rozmowę z biskupem, który dość tęsknie spytał o jej ciotkę Camleigh, któremu to zapytaniu Clarice - nieco ku własnemu zaskoczeniu - mogła teraz sprostać.

Jakieś piętnaście minut później rozstali się w doskonałej zgodzie. Jack, Clarice i Olsen zostawili biskupa i dziekana, by wytłumaczyli wszystko Humphriesowi, wszyscy obecni zgodzili się, że takie rozwiązanie będzie najlepsze.

Olsen opuścił ich u szczytu głównych schodów, zadowolony odszedł chwiejnie do swojego gabinetu, niosąc stertę dowodów oczyszczających Jamesa z zarzutów.

Uśmiechając się, Jack odwrócił się do Clarice. Wzięła go pod ramię i zeszli na parter.

- Jedna sprawa zakończona powodzeniem. - Clarice przystanąła na stopniach prowadzących do pałacu i wystawiła

twarz do słońca. - Jak sądzę... - Spojrzała na Jacka. - Teraz, kiedy ocaliliśmy Jamesa i mamy tę sprawę z głowy, powinniśmy skupić się na przyszłości moich braci. – Patrzyła na niego taksująco, subtelnie wyzywając. – Lady Hamilton wydaje dzisiaj lunch al fresco. Lady Cowper i ciotka Camleigh, zupełnie niezależnie od siebie, wspomniały go jako wydarzenie, którego nie powinnam pominąć.

Jack uniósł brwi, ale nie odezwał się. Niezniechęcona, kontynuowała:

- Oczywiście, one obie chcą, żebym tam była, z tego samego powodu. - Uchwyciła wzrok Jacka. - Moira tam będzie, jak również Haverlingowie i Comberville'owie. Po balu u Helen zeszłego wieczoru podejrzewam, że nasze ciotki chcą dopilnować, by Moira pojęła zmianę swojej dotychczasowej pozycji.

Skrzywiła się i spuściła wzrok.

- To polityka, nieprawdaż? Sposób, w jaki damy walczą o pozycję i wpływ, zawiązują taką czy inną frakcję?

Zerknęła na niego.

- To jest jak polityka, ale bardziej bezlitosna. Jeżeli popełnisz błąd w kręgach towarzyskich, rzadko masz drugą szansę. W polityce więcej się wybacza.

Z tego, co widział, miała rację.

- Czy chciałabyś, żebym ci towarzyszył na tym lunchu?

Odźwierny uklonił się i otworzył bramę. Clarice wyszła na zewnątrz, zaczekała na Jacka i się uśmiechnęła.

- Jeżeli możesz poświęcić mi czas. Naprawdę nie jestem pewna, z czym mogę się tam zetknąć. Obecność kogoś, komu ufam, byłaby kojąca.

Jack ugryzł się w język, by nie powiedzieć, że zawsze będzie miał dla niej czas. Boudika nie miała w zwyczaju szukać ukojenia płynącego z obecności innego człowieka, a co dopiero o nie poprosić.

Unosząc wargi w uśmiechu, podniósł jej dłoń i pocałował.

- Dla ciebie stawiałbym czoło wszelkiemu

niebezpieczeństwu, nawet damom z towarzystwa.

Roześmiała się i przyjęła jego rycerską oferty, Jack zatrzymał dorożkę, wsiedli i wyruszyli ku następnej przygodzie.

* * *

- Moiry tu nie ma. - Clarice spojrzała w oczy Jacka z wyraźnym zdziwieniem.

Przypatrując się barwnie ubranej gromadzie tłoczącej się na trawniku od strony rzeki przy Hamilton House, Jack wzruszył ramionami.

- Być może po zeszłym wieczorze uznała, że jej obecność nie jest dłużej pożądana i że to już nie ma sensu. Wszystkie jej córki są zamężne, czyż nie?

- Tak, ale to nie koniec. Ona zdecydowanie dąży do zaaranżowania dobrej partii dla Carltona. Dzikie konie nie podołałyby, żeby ją powstrzymać przed uczestnictwem w przyjęciu.

Clarice dostrzegła w tłumie ciotkę Camleigh, uchwyciła jej spojrzenie i znacząco uniosła brwi. Ciotka podniosła ręce w geście, który jasno wyrażał, że także nie ma pojęcia, dlaczego Moiry tu nie ma. Clarice odwróciła się, żeby popatrzeć na zebranych.

- Sądzę, że prawda jest taka, iż po prostu jej nie ufam. Znaj swego wroga, i takie tam.

Kiedy Jack nie odpowiadał, podniosła wzrok i zobaczyła, że zamarł. Dziwnie zeszytniał. Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem ku wyniosłej matronie w otoczeniu dwóch młodych dam, sunącej w ich kierunku z niepowstrzymaną determinacją galeonu pod pełnymi żaglami. Spojrzenie damy utkwione było w Jacku.

Zatrzymując się przed nimi raptownie, z zadowoleniem się uśmiechnęła.

- Lord Warnefleet, nieprawdaż?

Clarice nie traciła czasu na namysły, po prostu zadziałała,

przeszła przed Jacka, zmuszając zaskoczoną damę, by spojrzała jej prosto w oczy. Clarice uśmiechnęła się blado.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy zostały sobie przedstawione.

Dama zamruwała, po czym przełknęła ślinę, cofnęła się i dygnęła. Clarice popatrzyła na jej podopieczne, one nie zwlekając dygnęły.

- Lady Quintin, lady Clarice. Lady Hamilton to moja ciotka.

- Ach, tak. Sądzę, że wspominała o pani. - Clarice spojrzała na dwie młode osóbkę. - A to są pani córki?

Lady Quintin była wyraźnie rozdarta - czy być pierwszą, która w imieniu swoich podopiecznych zajmie rozmową słynącego jako dobra partia lorda Warnefleeta, czy zamiast tego zyskać aprobatę damy tak znacząco skoligaconej jak Clarice Altwood, która właśnie stoi między nią a jej celem. Jej lordowska mość skłoniła się ku dyktatowi rozumu.

- W rzeczy samej, milady. Amelia i Melissa.

Z wprawą nabytą podczas niezliczonych godzin spędzonych na podobnym zajęciu, Clarice gawędziła z wszystkimi trzema, następnie zręcznie się ich pozbyła. Stojący za nią Jack nie musiał robić nic więcej, jak tylko się uklonić. Z dystansem.

- Dzięki niebiosom! - Kiedy trzy damy oddaliły się, ujął Clarice za łokieć i skierował ją w stronę domu. - Chodźmy... - Urwał, po czym zaklął pod nosem. - Święci, chrońcie mnie... Ich jest cała armia!

- Święci nie zdadzą ci się na wiele, nie na tym polu. - Clarice zręcznie uwolniła się z jego uchwytu i zamiast tego wzięła go pod ramię. - Trzymaj się blisko, a obiecuję, że zadbam, byś pozostał bezpieczny.

Wymowne spojrzenie, jakie jej posłał, sprawiło, że się uśmiechnęła.

Ukryła ten uśmiech, gdyż matki i ich podopieczne tylko czyhały.

- Nie ma sensu próbować tego unikać. Będziemy musieli walczyć, żeby się przedrzeć.

Tak zrobili, wytrwale przemierzając się w kierunku domu, ale każdy jard był zdobywany kosztem wymiany zdań z jakąś matroną i jej córką albo siostrzenicą, a czasem z obiema. Z początku Clarice zastanawiała się nad powściągliwością Jacka, je go wyraźnym pragnieniem zachowania takiego dystansu, jak to tylko możliwe, zamiast posłużenia się swobodnym wdziękiem. Ale potem przyjrzała mu się uważniej, spojrzęła w jego oczy i uświadomiła sobie, że nie ufał swojej cierpliwości, a nie swojemu giętkiemu językowi.

Z jakiegoś powodu matrony siłą zwracające jego uwagę na swoje podopieczne poruszyły w niej jakąś czułą strunę... A może to nie było dziwne. Wszystkie zdawały się wyobrażać sobie, że są w stanie nim kierować, manipulować, by zachowywał się tak, jak sobie tego życzyły. Dla mężczyzny takiego jak on, z doświadczeniem takim jak jego, podobne traktowanie - była to forma swego rodzaju pogardy - musiało irytować. Zwłaszcza że towarzyskie konwenanse zabraniały mu zareagować tak, jak bez wątpienia miałby ochotę.

Kiedyś ludzie starali się manipulować Clarice, przynajmniej ona była w stanie powiedzieć „nie”. Dla niego takie wyjście nie było dostępne, wyższe sfery nie zezwalały dżentelmenom na taką bezwzględność, nie na forum publicznym.

Ona, oczywiście, mogła być tak bezwzględna jak sobie życzyła, ale przez szacunek dla lady Hamilton i dla nazwiska Altwoodów stosowała się do przyjętych reguł i odpędzała drapieżne mamy jedną po drugiej uśmiechem, giętkim i pewnym językiem oraz całkowitą odmową puszczenia ramienia Jacka.

Jedna para -jakaś prawdziwa gorgona i jej śliczna, ale dziwnie nerwowa podopieczna - zapadły jej w pamięć na dłużej. Nie z powodu tego, co powiedziały, ale z powodu napięcia, które ścisnęło mięśnie Jacka, gdy przed nim owe damy stanęły.

Przedostanie się na taras zajęło ponad pół godziny, potem minęło kolejne piętnaście minut, nim mogli opaść na wyściełane siedzenia w niebiańsko cichej dorożce i wydać westchnienia ulgi.

Clarice spojrzała z ukosa na Jacka.

- To było upiorne. Czy tak to wyglądało, kiedy przedtem byłeś w mieście?

Odchylił głowę do tyłu i wsparł ją na poduszce.

- Tak. Mówiłem ci, że miałem tego dosyć, że to była jedna z przyczyn mojego wyjazdu. Nie zamierzałem wracać.

Clarice przypomniała sobie jego słowa.

- Ta panna Cowleyów? Spotkałeś ją wcześniej.

Jego twarz sposepniała.

- Przedtem to ona i jej ciotka były dla mnie tą ostatnią kroplą, która przepełniła czarę goryczy. - W kilku słowach opowiedział jej, jak starały się go usidlić. Chociaż nie powiedział tego, mogła dostrzec, jak niewiele brakowało.

- Okropność! A potem tak bezczelnie znowu do ciebie podchodzą? - Clarice zmrużyła oczy. - Szkoda, że nie wiedziałam.

Zaśmiał się.

- Chyba dobrze, że nie wiedziałaś. Towarzystwo i tak już wystarczająco zwraca na ciebie uwagę.

- Przykro mi. Pomaganie mi znowu cię wystawiło na pastwę swatek.

Jego wargi wygięły się w uśmiechu, sięgnął po jej dłoń i zamknął ją w swojej.

- Nieważne. Ocaliłaś mnie. A poza tym ty i niezamężne młode panienki nie poruszacie się w tych samych kręgach.

Clarice przytaknęła i zarzuciła temat, rozproszona kolejnym odkryciem, starając się pojąć kolejną nieprzewidzianą reakcję.

Była najzupełniej gotowa towarzysko unicestwić każdą damę, która usiłowałaby wywierać nacisk na Jacka. Rzeczywiście szczęśliwie się złożyło, że nie wiedziała wtedy o pannie Cowley.

W obliczu takiej determinacji wszystkie damy wycofywały się, głównie z powodu zmieszania, nie wiedziały, co myśleć o jej relacjach z Jackiem. W przeciwieństwie do bardziej wnikliwych mężczyzn i bardziej doświadczonych gospodyń

przyjęć większość matron postrzegała ją jako nienadającą się do małżeństwa, zbyt starą. Grały więc na zwłokę i starały się ponownie wciągnąć Jacka w rozmowę.

To jej własna reakcja na ich napastliwość tak ją zaskoczyła, wytrąciła z równowagi. On, jak mężczyźni jego sfery, jego pokroju, był obsesyjnie opiekuńczy, dlaczego więc nagle ona poczuła się tak samo?

Co sprawiło, że uczucie jeszcze dziwniejsze, graniczące z zaborczością, wkradło się w jej myśli? Pomyślała, że to uczucie także typowe dla niego, dla mężczyzn takich jak on. Ale była zbyt nastawiona na własne pragnienia, zbyt nawykła do kierowania się nimi, żeby nie być świadoma, iż go pragnie i chce go zdobyć, zatrzymać.

Wszystko to było bardzo niepokojące.

Zwłaszcza w połączeniu z perspektywą konieczności wybrania kolejnej drogi.

A co, jeśli na ścieżce, która otwierała się przed nią, nie było Jacka?

* * *

Zgodnie z sugestią Clarice, nadłożył drogi, jadąc przez park, z bezpiecznej kryjówki w dorożce przyjrzeni się powozom ustawionym wzdłuż alei, ale nie zobaczyli ani śladu Moiry.

- Coś jest stanowczo nie w porządku. - Clarice opadła na siedzenie, kiedy Jack wydał polecenie powrotu do hotelu Benedict's.

Jej przecucie okazało się trafne. Gdy tylko wkroczyli do hotelowego foyer, konsjerż pospieszanie wyszedł im naprzeciw w wiadomością.

- Milady. - Ukłonił się nisko przed Clarice. - Markiz nalegał, żeby to zostało pani doręczone, gdy tylko pani przyjdzie.

Clarice wzięła liścik.

Złamała pieczęć Altona, po czym odprawiła konsjerża skinieniem głowy. Rozłożywszy kartkę, przejrzała prędko treść

listu, a następnie wręczyła go Jackowi.

Wiadomość była krótka.

Dziekan Samuels jest w Melton House. Przyjechał, szukając Ciebie i Warnefleeta - pojawiły się dalsze fakty w sprawie Jamesa. Przyjedź, gdy tylko to przeczytasz.

A.

Jack zerknął na Clarice. Zmarszczyła brwi.

- Jakie dalsze fakty? Sprawa jest zamknięta, czyż nie?

- Najwyraźniej nie. - Jack złożył liścik i oddał go Clarice. -

Lepiej jedźmy i dowiedzmy się.

Dorożkarz był zadowolony, że znowu ma kurs, zaklinany, by się pospieszył, zaciął konie i pomknęli ulicami do Melton House.

Alton i dziekan czekali w bibliotece. Obaj wstali, gdy Clarice wkroczyła do środka.

- O co chodzi? - bez wstępów zażądała odpowiedzi, gestem wskazując im, by wrócili na swoje miejsca.

Kołysząc spódnicami, zasiadła w fotelu naprzeciwko dziekana. Jack przyniósł sobie krzesło z prostym oparciem i usiadł obok niej.

- To nie ma nic wspólnego ze sprawą przeciwko Jamesowi *per se* - dziekan uspokoił ich pospiesznie. - Drobną kwestia techniczna, małe opóźnienie, nic więcej.

Clarice usiadła wygodniej, wbijając spojrzenie w jego twarz.

- Co takiego?

Dziekan nie wyglądał na szczęśliwego.

- Biskup wezwał diakona Humphriesa i wyjaśnił mu wyniki waszych poszukiwań, w świetle tych dowodów zamierzając prosić Humphriesa o wycofanie zarzutów, co byłoby najrzeczniejszym sposobem poradzenia sobie z całą sprawą.

Clarice przytaknęła.

- I co?

- Humphries był... cóż, zmieszany. To nie tak, żeby

kwestionował wasze wyniki, raczej nie mógł pojąć, jak to możliwe. Upierał się, bardzo się upierał, że jego zarzuty są uzasadnione, że informacje, jakich osobiście dostarczy jego informator, same w sobie okażą się więcej niż przekonujące. Nalegał na to, by wezwać informatora jako świadka, jeżeli takie potwierdzenie jest konieczne. On, to znaczy Humphries, nadal był pełen zapału, żeby przedstawić dowody tego człowieka biskupowi. Humphries spierał się, że bez wysłuchania, co ma on do powiedzenia, wszelkie kroki w celu odrzucenia zarzutów będą przedwczesne. Jednym słowem, upierał się, żeby wyjść i sprowadzić tego człowieka do sądu.

Jack wychylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

- My, Whitehall, bylibyśmy bardzo chętni spotkaniu się z tym dżentelmenem. Czy Humphries ujawnił jego nazwisko?

- Nie. - Dziekan wydawał się coraz bardziej poruszony. - Ja pytałem, biskup pytał, ale Humphries utrzymywał, że dał słowo, iż nie wyjawia nazwiska kuriera bez jego zgody, ponieważ, oczywiście, jako były kurier nieprzyjaciela człowiek ten obciążałby sam siebie... Chociaż w murach sądu kościelnego to nie jest takie całkiem jasne. Jednakże... - Dziekan wziął głęboki wdech. - Zostałem wywołany z sali. Kiedy mnie nie było, Humphries naciskał i biskup udzielił mu pozwolenia na pomówienie najpierw z kurierem, zanim ujawni nazwisko tego mężczyzny i wezwie go jako świadka. - Dziekan napotkał spojrzenie Jacka. - Humphries wyszedł, żeby spotkać się z tym człowiekiem.

Jack wytrzymał spojrzenie dziekana.

- To wcale nie było rozsądne.

Dziekan załamał ręce.

- Ja też tak czułem. Przyszedłem zaraz po tym, jak o tym usłyszałem. Biskup nie był zadowolony z Humphriesa, ale chce, żeby ta sprawa została rozwiązana i zapomniana. My wszyscy widzimy, że to... Cóż, opóźnienie, jeśli nie coś gorszego.

- Rzeczywiście. - Clarice pochyliwszy się do przodu, uspokajającym gestem spłotła dłonie na niespokojnych dłoniach

dziekana. - Ale uczyniłeś, panie, wszystko, co mogłeś. Będziemy mieć nadzieję, że Humphries szybko wróci i dojdzie do tych samych wniosków, co my.

Pod spojrzeniem jej ciemnych oczu dziekan uspokoił się. Skinął głową.

- Ma pani rację. - Wstał, pozostali zrobili to samo. - Przyślę wiadomość, gdy tylko pojawi się Humphries.

Kiedy dziekan wyszedł z pokoju, Clarice popatrzyła na Jacka.

- Czy Dalziel wiedział, że dziś rano zamierzaliśmy rozmawiać z biskupem?

Jack przytaknął.

- Posłałem wiadomość. Możliwe, że Dalziel kazał komuś obserwować Humphriesa. On, to znaczy Dalziel, z pewnością oczekiwałby wyśledzenia tego kuriera przez Humphriesa, ale mógł się nie spodziewać, że Humphries wyrwie się z tym dzisiaj. - Jack przeszedł do biurka Altona i sięgnął po papier i pióro.

- Lepiej uprzedzę Dalziela, że Humphries poszedł spotkać się z tym mężczyzną.

Jack szybko nakreślił wiadomość i zapieczętował ją, a następnie wezwał swojego lokaja. Jack dał mu list i wskazówki, jak dostać się do biura Dalziela, ukrytego w czeluściach Whitehall.

Kiedy lokaj wyszedł, Alton spojrzał na Jacka.

- To naprawdę poważne, czyż nie? Obawiasz się o życie Humphriesa.

- Nie wiem, czy doszło już do tego etapu, ale w tej grze życie i śmierć to typowe nagrody.

Clarice drgnęła.

- Czy sądzisz, że Humphries o tym wie?

Jack spojrzał jej w oczy.

- Nie. Myślę, że jest niewinną ofiarą nieświadomie schwytaną w pajęczynę utkaną przez ostatniego zdrajcę Dalziela.

Clarice przytaknęła. Zobaczyła, jak zdziwiony Alton otwiera usta, żeby zadać więcej pytań, zanim zdążył, spytała pierwsza:

- Jakie postępy ty i dwaj pozostali poczyniliście w kwestii waszych oświadczeń?

Pytanie wyraźnie zadane zostało po to, by odwrócić uwagę Altona. On zaś zerknął na zegar nad kominkiem, potem wstał i zadzwonił na służbę.

- Napijmy się herbaty i zjedźmy ciastka, a pozostali mogą ci sami opowiedzieć.

Do pokoju wszedł Edwards, Alton kazał mu przynieść herbatę i posłać po Rogera i Nigela, którzy jakimś cudem obaj byli w domu. Clarice do strzegła jakiś animusz w sposobie chodzenia Edwardsa i wykryła niezwykłą swobodę także u Altona, ale postanowiła pozwolić im odpowiedzieć najpierw na pytania, które już zadała.

Roger wkroczył do pokoju i Clarice nie potrzebowała słów, żeby wiedzieć, jak układa się jego romans. Oczy mu błyszczały, jego krok był zamaszysty i lekki, a cała postawa świadczyła o radosnym wyczekiwaniu. Chwytał jej dłonie, pociągnął ją w górę i zatańczył z nią dokoła biurka.

- Alice się zgodziła. Jej rodzice się zgodzili. Wszystko jest cudowne! - Zatrzymawszy się, cmoknął ją w oba policzki, a potem wydał westchnienie zadowolenia. - Wszystko jest dobrze!

Clarice spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Cieszę się, słysząc to. Jednak...

- Co do mnie. - Nigel pojawił się w pokoju, chwycił ją w tali, podniósł i okręcił, śmiejąc się, choć trzepnęła go w ramię. - Emily uważa mnie za bóstwo. Jej rodzice podchodzą do tego odrobinę poważniej, ale wiem, że także sądzą, iż jestem godny uwagi. - Ścisnął dłonie Clarice i puścił ją, pozwalając zatopić się w fotelu. - A zatem zanoszę się na wielkie zapowiedzi.

- Herbata, milordzie, milady. - Edwards, wciąż promieniając, wsunął się z tacą do pokoju.

Clarice przełknęła treściwe pytanie: „A co z Moirą?” i zaczęła, aż Edwards porozstawia dzbanek, filiżanki i talerz z

ciastkami, na które jej bracia i Jack rzucili się niczym wygłodniałe wilki. Gdy tylko drzwi za Edwardsem się zamknęły, spojrzała na Altona.

- A co z tobą i Sarah?

Alton z trudem bronił się przed chłopcęcym uśmiechem.

- Nie miałem okazji dzisiaj z nią porozmawiać, była poza domem na jakimś lunchu, ale oczywiście pytałem, a ona się zgodziła. I... - Przerwał, żeby nabrać powietrza. - W południe odbyłem rozmowę z Connistonem. Zaakceptował moje oświadczenia. Muszę przyznać, że Claire całkiem ładnie przygotowała grunt. A zatem teraz wszystko jest ustalone.

Popatrzył na Clarice, miała świadomość, że pozostali bracia także wyczekująco spoglądają w jej stronę..

- To naprawdę szczęście, że ta sprawa z dziekanem sprowadziła cię tutaj. Chcieliśmy cię zapytać, jak szybko będziemy mogli wydać bal dla oficjalnego ogłoszenia naszych zaręczyn. Dwa dni? Trzy? Wiem, że to odbędzie się w pośpiechu, ale my wszyscy ci pomożemy, a także...

- Zaczekaj! - Clarice odstawiła filiżankę z herbatą, a potem popatrzyła po twarzach wszystkich braci. Na żadnej z nich nie pokazała się ani jedna chmurka. Nie mogła się nie zastanawiać...

- Co się stało z Moirą? - Spoglądała od jednej roześmianej twarzy do kolejnej. - Gdzie jest Moira?

Alton uśmiechnął się błogo.

- W tej chwili? W drodze do Hamleigh House.

- Co takiego? - Clarice osłupiała.

Nigel zarechotał.

- Wiesz, to było naprawdę coś. Wybuch Wezuwiusza przy śniadaniu, eksplozja fajerwerków... Szkoda, że cię to ominęło.

Roger uśmiechnął się od ucha do ucha, bez skruchy, ale ze zrozumieniem.

- Alton ją wypędził.

Clarice zaniemówiła. Nie potrafiła znaleźć słów, nie mogła zmusić języka do posłuszeństwa. W odpowiedzi Alton uśmiechnął się szeroko, tak wyraźnie zadowolony z siebie, że

nie miała ochoty pytać, ale musiała się dowiedzieć.

- Dlaczego? I jak?

Wcale nie była zaskoczona, kiedy wszyscy spoważnili. Wymienili spojrzenia, Clarice uniosła rękę.

- Po prostu mi powiedzcie. Żadnego owijania w bawełnę, bardzo proszę.

Zaczął Alton.

- Dziś rano wkroczyła do pokoju śniadaniowego wielce rozżalona. Chciała... nie, nalegała, żebym znowu cię wygnał.

- Wrzeszczała, jęczała i zgrzytała zębami - dopowiedział Nigel.

Alton przytaknął.

- O tym, jak ją traktują teraz, kiedy wróciłaś, i tak dalej.

- Wydaje się, że bal u Helen przebrał miarę - wtrącił Roger.

- Tyle to rozumiem - odparła Clarice. – Ale na pewno nie wygnałeś jej z powodu małej awantury.

- Nie była wcale taka mała.

- Cóż, możesz sobie wyobrazić, co o tobie mówiła - powiedział Nigel.

- W każdym razie to nie było wszystko. Kiedy odmówiłem jej prośbie, zagroziła nam, ale nie tylko nam. Groziła Sarah i innym, ale Sarah najbardziej... Straciłem panowanie nad sobą.

- On na nią ryknął. - Mina Nigela wyraźnie świadczyła o tym, że delektował się każdą minutą.

Clarice zamrugowała.

- Nie wiedziałem, że tak potrafi - wtrącił Roger.

- W każdym razie nie tak głośno.

Alton łypnął gniewnie na braci.

- Bez względu na wszystko, nie mogło tak dłużej być, jej nieustanne groźby, kierowanie wszystkim tak, żeby było z korzyścią dla jej ukochanego Carltona. - Jego głos stwardniał. - Naciskała na mnie za bardzo, a ja zareagowałem. Powiedziałem jej, że wzięwszy pod uwagę wszystko, co mówiła o naszych trzech przyszłych żonach, nie jest dłużej mile widziana w żadnej

z głównych rodzinnych posiadłości. Powiedziałem, że może jechać do Hamleigh... - Alton zerknął na Jacka. - To mały dwór, który rodzina posiada w Lancashire... I że zabieram domowe rachunki, a ona może żyć sobie ze swojego wdowiego dożywocia albo jechać i zostać u swoich córek i ich mężów, jeśli woli, ale nie ma prawa postawić więcej stopy w żadnym z domów rodziny ani pokazywać się w Londynie.

Clarice nie mogła w to uwierzyć.

- I ona się zgodziła?

Nigel uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- To było najlepsze. Myślałem, że dostanie na miejscu apopleksji, tam przy śniadaniu.

Alton spojrział na niego chmurnie.

- Oczywiście, że się nie zgodziła. Jeszcze bardziej wrzeszczała i wygrażała, dopóki nie poinformowałem jej, że rozumiemy, iż pragnie dobrze ożenić Carltona, ale że to zapewne raczej nie nastąpi, jeśli pozwolimy, by się rozniosło, że papa nie miał nic wspólnego z jego narodzinami.

Rozdział 19

Clarice nie była w stanie powstrzymać zdziwienia, które kazało rozdziawić jej usta. Wpatrywała się w Altona, aż w końcu zdołała na tyle zapanować nad oddechem, żeby powiedzieć:

- Wiedziałaś?

Alton zmarszczył czoło.

- Nie. To znaczy dowiedziałem się zeszłego wieczoru, kiedy wstąpiłem do Gribbleya i Synów, żeby sprawdzić kwoty do rozliczeń. Stary Gribbley usłyszał o moich planach, zaprosił mnie do swojego biura, żeby mi pogratulować i powspominać, jak papa zapatrywałby się na to małżeństwo. Kiedy tak mówił, wyrwało mu się o poglądach papy na pochodzenie Carltona.

- Papa wiedział? - Oczy Clarice rozszerzyły się jeszcze

bardziej.

- Najwyraźniej. Jak zrozumiałem, to było coś więcej niż tylko podejrzenie, ale według Gribbleya, skoro Carlton był czwarty w kolejce do tytułu, to papie nie zależało, żeby robić z tego sprawę... co było zupełnie w jego stylu. - Alton wzruszył ramionami. - Śmiem twierdzić, że gdyby nie zmarł tak nagle, wspomniaby mi o tym. W każdym razie ja nie wiedziałem, ale Gribbley sądził, że wiem.

Clarice zamrugła.

- Ale Moira wiedziała, że ty nie wiesz. Po śmierci papy czuła się całkowicie bezpieczna, zmuszając cię, byś tańczył, jak ci zagra.

- W rzeczy samej.

- Ale ty wiedziałaś. Skąd?

- Miałam wtedy siedem lat, a Moira i ja już miałyśmy ze sobą na pieńku. Spotykanie się z kochankiem we własnym domu przy nieprzyjaźnie nastawionej małej pasierbicy nie było zbyt mądre.

- Ale ty nigdy nie dałaś jej poznać, że wiesz - powiedział Nigel.

- Nie, ale gdyby dalej to ciągnęła, zrobiłabym to.

- Clarice spojrzała na Altona. - Zamierzałam ją właśnie z tym skonfrontować, gdyby nie ustąpiła w sprawie waszych małżeństw. - Uśmiechnęła się. - Ale teraz nie muszę, bo sami się o siebie zatroszczyliście.

Alton skrzywił usta z goryczą.

- I dobrze, że to zrobiłem. Conniston zapytał o Moirę, więc mu powiedziałem, co zrobiłem. Później, po udzieleniu mi swojego błogosławieństwa, powiedział, że nie zgodziłby się, gdyby Moira wciąż była w pobliżu. On uważa ją za zmiję. Pogratulował mi, że, jak to ujął, „dorosłem”.

Clarice przypatrywała mu się przez chwilę, a potem jej uśmiech stał się szerszy.

- Poniekąd to prawda, i muszę powiedzieć, że w pewnym sensie ulga.

Wszyscy trzej bracia wydali z siebie gniewne pomruki, ale ona tylko uśmiechnęła się do nich wszystkich.

- A teraz - odezwał się Alton - co z naszym balem zaręczynowym?

* * *

Resztę popołudnia spędzili na porządkowaniu spraw. Jack obserwował, jak Clarice z powodzeniem radzi sobie z sytuacją, mimo że nadal wydawała się nieco oszołomiona.

James był bezpieczny, oczyszczony z zarzutów, jego nazwisko pozostało bez skazy. Co prawda Humphries musiał jeszcze wycofać zarzuty, ale jak powiedział dziekan, to było tylko drobne opóźnienie, wkrótce wszystko będzie w porządku.

Co do Humphriesa, Jack żywił najgorsze obawy, chociaż nie odzywał się, żeby nie psuć humoru Clarice. Podczas gdy ona wydawała polecenia dotyczące listy gości i zaproszeń, lokaj posłany do Whitehall powrócił z odpowiedzią od Dalziela, Jack wyszedł do frontowego holu, żeby ją przeczytać.

Dalziel rzeczywiście wyznaczył sługę do obserwowania i śledzenia Humphriesa, dotarłszy do pałacu i uświadomiwszy sobie, jak wiele jest wyjść z tamtejszego parku, sługa posłał po posiłki. Niestety, zanim zdążyły przybyć i rozciągnąć odpowiednią sieć wokół pałacu, Humphries wyszedł tylną bramą i zniknął.

Co do Humphriesa, przyszłość nie zapowiadała się dobrze. Dalziel napisał, że będzie informował Jacka na bieżąco, i zażądał, by Jack uczynił to samo.

Wtykając liścik do kieszeni, Jack odwrócił się, żeby wrócić do biblioteki, i natknął się na Altona, który wyszedł za nim i teraz przyglądał mu się spokojnie. Wpatrywał się w jego twarz, po czym skinął głową, wskazując na list.

- Ten człowiek w Whitehall... Czy to ten, dla którego pracowałeś w czasie wojny?

Jack się zawahał, odruch ukrywania przeszłości był głęboko

zakorzeniony, ciągle żywy. Alton się zaczerwiął.

- Ja... my... sprawdziliśmy. Byłeś majorem w Gwardii, ale nikt w twoim pułku wcale cię nie pamięta. Jednak należysz do ludzi, których trudno zapomnieć.

Jack uśmiechnął się zupełnie szczerze.

- Właściwie to odkryjesz, że całkiem łatwo o mnie zapomnieć, kiedy sobie tego życzę.

Podszedł bliżej, zatrzymując się tuż przy Altonie, tak by nikt inny nie mógł niczego usłyszeć.

- To był mój szczególny talent, umieć wtopić się w otoczenie, sprawiać wrażenie, jakbym był jego częścią. I owszem, dżentelmen w Whitehall był moim zwierzchnikiem przez ponad dziesięć lat.

Alton skinął głową, a potem się uśmiechnął.

- My tylko chcieliśmy wiedzieć.

Jack swobodnie odpowiedział na jego uśmiech.

- Całkowicie zrozumiałe.

- Altonie? Gdzie ty jesteś, u licha?

Odwrócili się, kiedy Clarice pojawiła się w drzwiach biblioteki. Spojrzała chmurnie.

- Nie myśl, że uciekniesz.

- Właśnie zamierzałem wysłać wiadomość do Sarah..

Clarice przytaknęła.

- Zrób to. A skoro o tym mowa, wyślij też do Alice i Emily, i do ciotki Camleigh, i lepiej poproś także ciotkę Bentwood. Będziemy potrzebowali każdego, żeby wykonał swoją część pracy, by zorganizować wielki bal w pięć dni.

- To mogłby być zwyczajny bal - odpowiedział Alton. - Nie mielibyśmy nic przeciwko temu.

Clarice obrzuciła go miazdzącym spojrzeniem.

- Nie bądź osłem! Jesteś markizem Meltonem, twój bal zaręczynowy nie może być inny niż wielki! A teraz do roboty. - Odwróciła się w stronę pokoju. - Ty i pozostali możecie zacząć od zaproszeń.

Alton poszedł za nią. Jack także ruszył za nim, ale wolniej.

Przystanął tuż za progiem i patrzył, jak Clarice się krząta, wysyłając braci do pisania zaproszeń.

James został uratowany, zaręczyny jej braci były pewne i wkrótce miały zostać odpowiednio ogłoszone całemu wytwornemu światu. Wszystko, po co przyjechała do Londynu, zostało osiągnięte. Clarice oznajmiła, że bal odbędzie się najszybciej, jak to możliwe, Jack odebrał to jako chęć dokończenia i zamknięcia wszystkiego.

A później...

Patrząc na nią, nie mógł pozbyć się dręczącej niepewności, która zapuściła korzenie w jego umyśle. Czy Clarice powróci do Avening i do cichego wiejskiego życia? Czy wytworne towarzystwo i jej rodzina nie tylko na nowo ją przyjęli, ale ponownie pozyskali dla siebie?

Dostrzegła go.

- Chodź tutaj. Ty także nie uciekniesz.

Uśmiechnął się swobodnie, z wdziękiem.

Spędzili dwie godziny zajęci opanowywaniem chaosu. Tylko Clarice wydawała się wiedzieć, co należy dalej zrobić. Jej przyszłe bratowe przybyły i dołączyły do dyskusji, po której Clarice odesłała je do domów uzbrojone w listy z pytaniami do ich rodziców. Ciotki pojawiły się i udzieliły swego królewskiego błogosławieństwa, obiecując przysłanie listy wpływowych osób, które powinny znaleźć się w gronie gości.

Przez cały czas Clarice zajmowała Jacka i swoich braci wypisywaniem zaproszeń.

W końcu zerknęła na zegar i ogłosiła przerwę.

- Musimy się przebrać do obiadu.

Alton przeciągnął się i jęknął.

- Chyba zemdleję w moim klubie. Clarice spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- Nie, nie zemdlejesz. Pojedziesz do Sarah i będziesz jej towarzyszył na mieście.

Ofuknęła także dwóch pozostałych braci.

- A wy zrobicie to samo z Alice i Emily. Od tej chwili

jesteście zaręczonymi dżentelmenami i musicie odgrywać swoje role. Jeżeli chcecie, żeby bal zaręczynowy się udał, dziś wieczorem zaczniecie przygotowywać grunt.

Nigel prychnął.

- Trzej Altwoodowie ogłaszają swoje zaręczyny, wszyscy tego samego wieczoru, ze swoją niedawno przybyłą z wygnania siostrą jako gospodynią przyjęcia. Bal nie będzie udany, to szaleństwo. Każdy w Londynie zechce wziąć w nim udział. - Zobaczył surowe spojrzenie Clarice i podniósł ręce. - Dobrze, dobrze, zrobimy tak, jak mówisz, ale nie ma szans na nic innego jak tylko potworne zbiegowisko.

- A właściwie... - Alton wychylił się do przodu i utkwił spojrzenie w twarzy Clarice. - Skoro mowa o gospodyniach, teraz wrócisz, tak, Clary? Moiry nie ma, a Sarah z pewnością nie będzie miała nic przeciwko... Ona już postrzega cię jako starszą siostrę. Chętnie przyjmie twoją pomoc, i w istocie nikt nie jest lepiej przygotowany do radzenia sobie z tego rodzaju rzeczami. - Wskazał ręką na otaczające ich stopy zaproszeń. - Nie ma powodu, żebyś musiała wracać do Avening, nie teraz. James cię nie potrzebuje, ale my tak. Zostaniesz, prawda?

Jackowi ścisnęło się serce.

Zanim Clarice zdołała wypowiedzieć choć słowo, Roger i Nigel poderwali się, żeby dołączyć swoje błagania. Tym razem we trzech byli bardziej przekonujący, mieli czas na planowanie i doszlifowali argumenty. Odmalowali obraz życia Clarice takim, jak powinno ono wyglądać, jakie mogło teraz się stać, jeśli tego sobie życzy, życia, do którego się urodziła, z przywilejami i luksusami.

Jack zdołał nie zareagować, nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi, po prostu siedział z tyłu i słuchał. Przywołując swoje umiejętności, pozwolił sobie wtopić się w tło, aż cała czwórka zapomniła, że on tu jest.

Obserwował Clarice. Dotąd nie udało się jej wypowiedzieć ani słowa, zdawała się z rezygnacją pozwalać braciom na wysunięcie każdego argumentu, jaki zdołali przywołać, by

przekonać ją do powrotu na łono rodziny.

Zachowanie milczenia to był wysiłek, bitwa. Jack czuł, że ma serce w gardle, ale nadal czekał. To była jej decyzja, i tylko jej. Kiedy Nigelowi wreszcie zabrakło słów i zapadła pełna wyczekiwania cisza, Clarice powiedziała:

- Dziękuję, ale nie.

Jack odetchnął. Czuł się nieco... zamroczony. Clarice podniosła rękę, żeby uciszyć protesty braci.

- Nie. Nie sprzeczcąjcie się. Nagadaliście się już całkiem sporo, a ja muszę wrócić do hotelu i przyszykować się na wieczór.

Spokojna i pogodna, wstała i pocałowała ich na do widzenia.

- Spotkam się z wami wszystkimi dziś wieczorem.

Kryjąc uczucia, Jack pożegnał się z braćmi Clarice i zaprowadził ją do powozu Altona, który miał ich zawieźć do hotelu Benedict's. Kiedy powóz szarpnął, a potem potoczył się ulicami, Jack zaczął powtarzać sobie w myślach, że powiedziała „nie”. Niestety, to nie było zbyt przekonujące „nie”. W każdym razie nie przekonało jej braci, Jack zauważył znaczące spojrzenia, które wymienili.

Jego także nie przekonała.

Sytuacja zmieniała się dramatycznie i nieoczekiwanie. Clarice wróciła do swojej sfery, jej macocha została wygnana, bracia mieli się wkrótce ożenić. No i ten sukces w oczyszczeniu Jamesa z zarzutów. ...

Kiedy znajdzie czas, by się nad tym wszystkim zastanowić, czy nadal będzie pragnęła powrócić do Avening, cichego wiejskiego zaścianka, czy wybierze miasto i życie, jakie zawsze powinna wieść?

* * *

Jack nie miał zamiaru z niej rezygnować. Nie tak łatwo, nie bez walki. Opierając but o kratę przed kominkiem, Jack wpatrywał się w ogień. Clarice nadal przebierała się w balową

kreację.

Ponowne naciski jej braci, by dołączyła do rodziny, były niemiłym wstrząsem. Jack miał świadomość ponurego faktu, że ich propozycja stanowi dla jego wizji przyszłości znaczne zagrożenie. Dla wizji, którą pielęgnował przez ostatnie tygodnie - on, żyjący spokojnie w Avening z Clarice u swego boku.

W żadnym momencie nie wyobrażał sobie, że zdobycie jej będzie łatwe. Nie mógł przyjechać na białym koniu, zabić smoka i zażądać jej ręki jako nagrody. Mógł tylko dodawać jej sił, by sama zabiła smoka. Taką właśnie była kobietą. Pozostawało mu stać u jej boku, trzymając dłoń na jej dłoni i na jej mieczu, i pomagać.

Stanowienie o samej sobie to część tego, kim była, Jack nie mógł w żaden sposób jej tego odebrać. Nie, skoro jej pragnął.

Obserwując Clarice w jej naturalnym środowisku, pośród elity, podziwiał ją jeszcze bardziej. Zobaczył więcej jej mocnych stron, i chociaż to one dominowały w powszechnym odbiorze jej osoby, Jack dostrzegał także czułe punkty. I notował w pamięci. Nie po to, by je wykorzystał, lecz by ją wspierać i chronić.

W głębi serca był przekonany, że potrzebowała go równie mocno jak on jej. Ale jak sprawić, by I o zauważyła?

Jedynym sposobem było udzielanie jej wsparcia. Nie potrzebowała ani nie chciała być ochrania na w taki sam sposób jak inne kobiety, lecz pragnęła właśnie wsparcia.

Tak postępował od tygodni, i chociaż zdecydowanie doceniała jego pomoc, podejrzewał, że postrzegała ją jako należną, i rzeczywiście tak było. Jak zatem miał nią wstrząsnąć, otworzyć jej oczy, żeby go dostrzegła nie tylko jako mężczyznę, który umie z nią postępować?

Przypomniała mu się rada Deverella: zaskoczenie. Wówczas uznał ten pomysł za wart rozważenia, teraz niósł on w sobie obietnicę.

Jeżeli chciał ubiegać się o Clarice, musiało to wyglądać

niekonwencjonalnie. Inni już próbowali konwencjonalnego podejścia, nic dziwnego, że im się nie udało.

Żadnych klejnotów, to zbyt łatwe, zbyt przewidywalne, a poza tym ona już miała ich cały stos.

- A więc dobrze.

Odwrócił się, by zobaczyć obiekt swoich rozważań sunący w jego kierunku, odziany w uwodzicielską suknię ze lśniącej wiśniowej tkaniny, delikatnej jak pajęczyna, z jedwabnymi dodatkami.

- Podoba ci się?

Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się, najzupełniej szczerze.

- Wyglądasz... doskonale. Właściwie... całkiem rozkosznie.

- Lepiej chodźmy.

* * *

Jack dotarł na późne śniadanie w Klubie Niezdobytch, wciąż uśmiechając się do czułych wspomnień o nagiej królowej-wojownicze wijącej się w ekstazie na łożu nakrytym lśniącym wiśniowym jedwabiem.

Barwa jedwabiu w zestawieniu z jej skórą, rubin na tle bieli kości słoniowej, zupełnie jak płatki róży, podsunęła mu pomysł na prezent, którego by się nie spodziewała, ale, jak przypuszczał, który by doceniła.

Wspomniał o swoich życzeniach Gasthorpe'owi, a ten podjął się wysiania lokaja, by przetrząsnął miasto i okolice w poszukiwaniu tego, czego potrzebował Jack.

Akurat skończył jeść szynkę i kiełbaski, i miał zamiar delektować się wyśmienitą kawą Gasthorpe'a, kiedy po gwałtownym pukaniu do frontowych drzwi klubu rozległo się pytanie zadane czystym głosem, który tak dobrze znał, ale tonem, który obudził jego instynkt obrońcy. Podniósł się i wyszedł, nie czekając, aż Gasthorpe go wezwie.

Clarice wskazała na stojącego obok niej dziekana.

- Tutaj jesteś. Obawiam się, że przynosimy złe wieści.

Jack tylko raz rzucił okiem na poszarzałą twarz dziekana i zaprowadził oboje do saloniku.

- Może odrobinę brandy, Gasthorpe.
- W rzeczy samej, milordzie. Natychmiast.

Usiedli w fotelach.

- Co się stało? - spytał Jack, ich gość nagle wydawał się starszy i znacznie bardziej kruchy niż wcześniej.

- Humphries. - Dziekan spojrział w oczy Jacka. - Nie wrócił.

Gasthorpe pojawił się z brandy, herbatą i kawą. Jack podał dziekanowi brandy, następnie nalał sobie kawy, Clarice zadowolona się herbatą.

Dziekan upił łyk, zakaszał, znowu upił, potem odchrząknął.

- Chciałem wysłać wiadomość zeszłego wieczoru, kiedy Humphries nie pojawił się na obiedzie, ale biskup... Myślę, że miał nadzieję wbrew nadziei. Jest w okropnym stanie. Wypytywaliśmy wszystkich odźwiernych, ale oni nie wiedzieli Humphriesa, odkąd wyszedł z pałacu wczoraj po południu, wkrótce po rozmowie z biskupem.

Jack zerknął na Clarice.

- Mamy nadzieję, ale obawiam się, że powinniśmy się spodziewać najgorszego.

Dziekan przytaknął, zrezygnowany.

- Wyślę wiadomość do moich przyjaciół i zorganizuję poszukiwania. - Jack się zawahał, po czym spytał: - Czy biskup powiadomił Whitehall?

Dziekan zmarszczył czoło.

- Nie wiem... Nie wydaje mi się.
- Tam również wyślę wiadomość.

Kilka minut później, kiedy na pergaminowych policzkach dziekana pojawił się błydy rumieniec, Jack zaproponował, żeby mężczyzna wrócił do pałacu.

- Proszę powiedzieć biskupowi, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, ale jeżeli coś poważnego przytrafiło się Humphriesowi, to możliwe, że nigdy się tego nie dowiemy. A

jeśli jakimś trafem Humphries wróci, proszę natychmiast dać mi znać.

- Tak, oczywiście.

Wszyscy wstali z miejsc.

- Odwiozę dziekana z powrotem do pałacu moim powozem. Odwołałam wszystkie dzisiejsze spotkania. Spędzę cały dzień na przygotowaniach w Melton House - oznajmiła Clarice.

Jack skinął głową.

- Poślę tam wiadomość, i do pałacu, jeżeli czegoś się dowiemy. Jednak się nie spodziewam, że wkrótce o czymś usłyszymy.

Odprowadził dziekana i Clarice do powozu, po czym energicznie pomaszerował z powrotem do klubu.

- Gasthorpe?

- Tak, milordzie. Wszyscy czekają.

* * *

Powiadomił Dalziela, Christiana i Tristana, i poderwał z łóżka Deverella. Wszyscy zabrali się do pracy, uruchamiając siatkę na południe i na wschód od pałacu oraz wzdłuż Tamizy, szukając jakichkolwiek śladów Humphriesa.

Klub Niezdobytch stał się ich bazą, Dalziel przysłał wiadomość, że takie rozkazał swoim ludziom zgłaszać się tam z raportami.

Po lunchu Jack przebrał się w strój kupca i ruszył wzdłuż rzeki. Znalazł grupkę ludzi obsługujących barki, którzy nie mieli zajęcia, i posłał ich do przeszukiwania bagien w Deptford aż po Greenwich Reach na wschodzie - tradycyjnego miejsca, gdzie wypływały ciała wrzucone do rzeki w pobliżu miasta. Potem wrócił do klubu po raporty i żeby skoordynować wspólne wysiłki.

Dzień miał się ku końcowi, a oni niczego się nie dowiedzieli. Czy kiedykolwiek zdołają się dowiedzieć, co się stało z

Humphriesem?

Jack cieszył się, że Clarice, bezpieczna na łonie rodziny, ma wiele zajęć, więc i mało czasu, by się zastanawiać, czy mogli coś zrobić inaczej i odwieść nieszczęsnie zdeterminowanego człowieka od wytyczonej drogi. Jack wiedział, że nie. Że kiedy ludzie tacy jak Humphries zostają schwytani w sieć intryg i zdrady, są zbyt słabi, by się wyrwać. W tym przypadku pajak - ostatni zdrajca - pożre Humphriesa nawet jeśli, jak przypuszczał Jack, nie dokona tego czynu osobiście.

Kiedy popołudnie przechodziło w wieczór, a nadal nie było żadnych wieści, Jack zostawił kierowanie akcją w kompetentnych rękach Gasthorpe'a i udał się do hotelu Benedict's. Nie zastawszy tam Clarice, pojechał do Melton House.

Wszedł do salonu i zobaczył ją na szezlongu w otoczeniu przyszłych bratowych, ciotek i malej armii pomocnic. Wyglądała jak generał dyrygujący oddziałami.

Nie musiała pytać, czy czegoś się dowiedział. Zerknęła na zegar, po czym odwróciła się do swych pomocnic.

- Wielkie nieba! Straciłyśmy poczucie czasu!

To spostrzeżenie wywołało lawinę okrzyków i poleceń, by sprowadzono powozy. Kobięce zgromadzenie się rozpieczęło. Wychodząc, damy uśmiechały się do Jacka nieśmiało, mijając go w holu. Clarice zamykała pochód. Podniosła dłoń i lekko dotknęła jego policzka, nim poszła dalej. Pocieszony tą przelotną pieszczotą, zrozumieniem i współczuciem, Jack poszedł za nią w głąb holu. Skinął głową jej ciotkom, a one ucałowały Clarice i odwróciły się do wyjścia.

- Zobaczmy się później - powiedziała lady Bentwood.

Jack nie pragnął niczego bardziej niż spokojnego wieczoru sam na sam z Boudiką.

Kiedy drzwi zamknęły się za ostatnią damą, Clarice, wdychając, popatrzyła mu prosto w oczy.

- Czy musimy wychodzić dziś wieczorem? - jęknął.

- Obawiam się, że tak. To *bal masque* u lady Holland.

Lady Holland była jedną z najbardziej znaczących dam z towarzystwa.

Clarice wzięła go za rękę i zaprowadziła do salonu, a tam wpadła wprost w jego ramiona, Jack pchnął drzwi, zamykając je za sobą.

- Musimy iść. To doroczny bal, jedno z tych wydarzeń sezonu, na których po prostu trzeba być.

Zrobił kwaśną minę.

- I to jest bal maskowy?

Podniosła dłonie i objęła jego twarz.

- Musimy pójść, ale nie musimy długo zostawać.

- Skąd ja mam wziąć odpowiedni strój?

- Poprosiłam Manninga, konsjerża, żeby jakiś zdobył.

- A więc dobrze. Skoro musimy, to musimy. - To, że Clarice powiedziała „my”, nieco go ułagodziło.

Pocałowała go, delikatnie, z obietnicą tego, co miało nadejść.

Wskazał głową drzwi.

- Tu jest zamek, ale nie ma klucza.

Wyraz jej twarzy złagodniał. Roześmiała się i wysunęła z jego ramion.

- W takim razie stanowczo pora wychodzić. Wracajmy do Benedict's. Tam możemy zjeść obiad.

Tak zrobili, a później Clarice przebrała się na wieczór i pojechali do Klubu Niezdobytych. Jack przywdziewał strój wieczorowy, podczas gdy Gasthorpe relacjonował wyniki poszukiwań - wyłącznie negatywne.

Jack skinieniem głowy odesłał Gasthorpe'a. Narzucając na ramiona maskaradowe przebranie, które Manning dla niego przygotował, zawiązał tasiemki na piersi, zrobił przed lustrem straszliwą minę, po czym wzięł czarną maskę i poszedł zabrać Clarice z saloniku.

W drodze do Holland House opowiedział jej o braku powodzenia w poszukiwaniach.

Odwzajemniając uścisk jego dłoni, pochyliła się lekko do

jego ramienia.

- Zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

Ich powóz dołączył do szeregu pojazdów przed bramą ogrodów w Holland House. Założywszy maski, wysiedli i przeszli wysypaną żwirem ścieżką pod starymi drzewami do oranżerii, w której stali Hollandowie, oczekując na swoich gości. Słynny bal maskowy jej lordowskiej mości zawsze odbywał się pod gołym niebem.

Taras, na który otwierała się oranżeria, był oświetlony dziesiątkami lamp, kiedy Jack i Clarice, po serdecznym powitaniu przez lady Holland i jej znacznie spokojniejszego małżonka, wkroczyli na kamienną posadzkę, w szerokim pomieszczeniu ciągnącym się wzdłuż domu było już tłoczno, jaskrawe barwy sukien, błyszczące klejnoty na szyjach dam, ciemne stroje panów mieszały się ze sobą w szalonej feerii barw.

Wrażenie zgromadzenia fantastycznych ptaków potęgowały maski, niektóre ozdobione długimi piórami, inne ze złotymi motywami lub wysadzone szlachetnymi kamieniami, często przypominały ptasie dzioby.

O tej porze maski były obowiązkowe, tak jak czarne domina panów. W dobrze oświetlonej sali byłoby stosunkowo łatwo przeniknąć tajemnicę takich skąpych przebrań, ale w ogrodach Holland House ani migotliwe lampy na tarasie, ani księżyc, zsyłający łagodny poblask, ani małe latarnie rozstawione w ogrodach, nie dawały dość światła.

Przybywało coraz więcej gości, już obecni przesuwali się w dół po schodach tarasu i rozpierzchali po ścieżkach i trawnikach, niczym fala, w oczekiwaniu przepływali przez brukowany dziedziniec - zaimprovizowane miejsce do tańca.

- To naprawdę magiczny widok - przyznał Jack.

Muzycy, ukryci w zasłoniętej listowiem grocie, przytknęli smyczki do strun i pierwsze poruszające takty walca uniosły się nad głowami zebranych. Clarice i Jack zaczęli wirować na parkiecie.

Niektórzy goście, głównie z młodszego pokolenia, korzystali z anonimowości, by się zabawić bardziej ryzykownie niż zwykle, jednak dla większości to spotkanie było po prostu spokojnym i przyjemnym sposobem spędzenia wiosennego wieczoru.

Po północy maski miały być zdjęte, ale na razie trwała atmosfera subtelnej tajemnicy.

- To Alton. - Clarice nachyliła się do Jacka, wskazując na stojącą niedaleko nich parę. - Pozostałych dwóch jeszcze nie widziałam.

- Są tutaj.

- Widziałeś kogoś? Jak ich rozpoznałeś?

Uśmiechnął się.

- Oni widzieli ciebie. Rozpoznałem ich reakcję na twój widok.

Upewniła się, że nie żartuje. No tak, była wyższa od większości kobiet, więc stosunkowo łatwa do rozpoznania, wypatrzwszy ją w tłumie, Roger i Nigel skierowali się w przeciwną stronę.

Muzycy znowu zamierzali grać, a Clarice i Jack - ruszyć w tan, gdy nagle stanęła przed nimi jakaś młoda roześmiana para. Dama figlarnie pogroziła im palcem.

- Jej lordowska mość mówi, że tańczycie razem o wiele za często. Musicie zmienić partnerów.

- Rzeczywiście. - Jej towarzysz, wysoki i przystojny brunet, uśmiechnął się promiennie. - Polecono wam zmienić partnerów. - Ukłonił się przesadnie zamaszycie przed Clarice. - Milady?

Clarice posłała Jackowi rozbawione spojrzenie, po czym podała rękę dżentelmenowi.

- Skoro pan nalega, milordzie.

Jack zdusił ukłucie zazdrości i irracjonalny niepokój. Spojrzał na śliczną jasnowłosą damę. Uśmiechnął się.

- Madam, czy zaszczyca mnie pani tym tańcem?

Zaśmiała się pogodnie, z nutą triumfu, po czym podała mu

rękę i pozwoliła poprowadzić się na parkiet.

Nie było niczego niezwykłego w tym spotkaniu, to samo przydarzało się innym parom wokół. Jednak Jack nie spuszczał z Clarice oka. Pilnowanie jej powinno być łatwe, jednak kiedy taniec się zakończył, a Jack rozstał się ze swoją towarzyszką, - która wdzięcznie dygnęła, a potem zniknęła w tłumie, bez wątplenia szukając kolej ofiary - skupił wzrok na damie, którą wziął za Clarice.

Kobieta się jednak odwróciła i spostrzegł, że to z całą pewnością nie Clarice. Po karku przebiegł mu dreszcz.

Kiedy widział ją po raz ostatni i był pewien, że to ona, Clarice i jej partner wirowali po drugiej stronie parkietu. Przypominając swojemu zaniepokojonemu instynktowi, że przebywają w prywatnych ogrodach w Holland House otoczonych kamiennymi murami, i że szanse na to, iż znajdzie się tu ktoś niewłaściwy, są na pewno niewielkie, Jack zaczął gorączkowe poszukiwania.

Starał się nie roztrząsać faktu, że każdy, kto miał jakiegokolwiek powiązania z towarzystwem, wiedział, iż Clarice będzie tu dziś wieczorem.

I że wszyscy będą zamaskowani i przebrani, czyli nie do rozpoznania - bez względu na to, jak Jack wyteęzałby pamięć, nigdy nie zidentyfikuje ani dżentelmena, który zniknął z Clarice, ani damy, która odwróciła jego uwagę.

Był bliski paniki.

* * *

- Puszczaj mnie, ty prostaku! - Clarice walczyła zajadłe, starając się wyrwać z brutalnych dłoni, które chwyciły ją i powlokły przez krzaki na ciemny skwer.

Jej partner - łobuz - okręcał ją w tańcu, by niespodziewanie zatrzymać się w odległym miejscu, z dala od reszty tańczących, tam, gdzie brukowany dziedziniec przylegał do gęstych zarośli. Puścił ją, uklonił się, uśmiechnął nieprzyjemnie i dosyć złowieszczo poradził:

- Proszę rozkoszować się resztą wieczoru, lady Clarice.

Zamrugła, a jego już nie było, czarne domino zafalowało w tłumie. Zrobiła krok, by pójść za nim, jak najdalej od tego odludnego miejsca, kiedy z krzaków wysunęły się dwie pary dłoni i pochwyciły ją.

- Stójże spokojnie, kobieto! Hej, Fred, gdzie knebel?

Clarice starała się wyrwać, ale mężczyzna za nią, olbrzymi brutal, mocniej zacisnął ręce na jej ramionach, aż pomyślała, że chyba zemdleje. Raptownie uświadamiając sobie, jak realne jest zagrożenie, z trudem nabrała nieco powietrza i otworzyła usta, żeby krzyknąć...

Na jej usta spadło olbrzymie łapsko, a maska pofrunęła gdzieś w bok.

- No, no... nie chcesz tego, panienko. Nie trzeba nikogo zawiadamiać, że tu jesteśmy.

Podniósł ją i zaczął sunąć naprzód, powłócząc nogami.

Clarice zamknęła oczy, starała się oddychać - typ tak cuchnął, że zrobiło jej się słabo - i ugryzła go w rękę.

Mocno.

Omali się nie zadławiła, ale poskutkowało. Zawył, wyrwał dłoń. Clarice nabrała powietrza i wrzasnęła, wzywając pomocy.

Inny mężczyzna, mroczna postać, uderzył ją w twarz. Niemal od niechcenia, ale od tego ciosu zahuczało jej w głowie.

- Przestań!

Ten, który nadal ją trzymał, klął. Drugi stanął przed nią i spojrzął spod brudnej czapki, mówiąc:

- I tak nie ma sensu piszczeć. Jaśniepaństwo robią taki rejdach, że nikt cię nie usłyszy.

Gdy tylko otworzyła usta, mężczyzna wetknął w nie zwiniętą chustkę. Clarice zakrztusiła się, zacharczała i usiłowała wypluć knebel.

Właśnie w tej chwili Jack przedarł się przez ścianę zarośli.

Clarice podwoiła wysiłki. Kątem oka zobaczyła, jak Jack chwytającego drugiego mężczyznę i kładzie go jednym ciosem. Potem odwrócił się, by stawić czoło trzymającemu ją opryszkowi,

który od razu zaczął używać Clarice jak tarczy.

Przez pełną napięcia chwilę obaj tańczyli dziwaczny taniec.

Mężczyzna powalony przez Jacka jęknął, podniósł się na rękach i kolanach.

- No dalej, Fred! Musimy się stąd wynosić!

Zbierając siły, mężczyzna trzymający Clarice nagle cisnął nią w Jacka, który pochwycił ją i natychmiast mocno przytulił. Jego ramiona otoczyły ją troskliwie, poczuła, jak jego mięśnie napinają się w odruchu rzucenia się w pogoń za uciekającymi napastnikami, którzy prędko zniknęli w ciemności skrywającej pozostałą część ogrodów.

Przywierając do Jacka jak szalona, wiedziała, że jest bezpieczna.

- Nic ci nie jest?

Nie całkiem pewna, czy może polegać na własnym głosie, Clarice zaprzeczyła ruchem głowy.

W świetle księżycy zobaczyła, jak surowe rysy jego twarzy zmieniają się. Bardzo wyraźnie widziała normańskiego lorda, którym tak naprawdę był, zaprawionego w bojach wojownika na krótką chwilę odartego z maski.

To, co zobaczyła w tamtej chwili w jego twarzy, sprawiło, że jej serce zatańczyło.

Jego oczy wydawały się zaglądać w jej duszę. A potem pojawiło się w nich coś jeszcze - dzika zaborczość, niepohamowane pragnienie. Jego ramiona zacisnęły się wokół niej. Pochylił głowę i pocałował ją.

Jak gdyby posiadał ją na własność. Całkowicie. Bezgranicznie.

Została porwana przez falę i nawet nie próbowała z tym walczyć. Owinęła ramiona wokół jego szyi i odpowiedziała pocałunkiem ukazującym każdą drobinę namiętności w jej żarliwie namiętnej duszy.

Czas stanął w miejscu.

Na długą chwilę zjednoczyli się w swojej pływalnej krainie w ciemnościach nocy.

Clarice była jak przyklejona do niego, stopiona z nim, nie widziała potrzeby, by się poruszać.

Coś przykuło jego uwagę. Spojrzał na jej ramię i zmarszczył brew.

- Masz rozerwaną suknię.

Uwalniając jedną dłoń, uniósł rozerwany jedwab ze stanika jej sukni, wygładzając delikatny materiał na jej piersi ku szwowi na ramieniu, od którego został oderwany.

I właśnie w tej chwili usłyszeli pierwszy chichot.

Oboje obrócili się, żeby spojrzeć.

Wianuszek gości, starszych i młodszych, cisnął się wokół luki w zaroślach nieopodal. Dwaj mężczyźni trzymali latarnie, podnosząc je wysoko.

- Ach... - odezwał się jeden. - My, ach, zdawało nam się, że słyszeliśmy krzyk i... ach, przyszliśmy zobaczyć.

Nic dziwnego, że te słowa zostały przyjęte falą chichotów. Niektórzy ze starszych gości szeptali, zakrywając usta dłońmi.

Clarice zamknęła oczy i pohamowała jęk. Nie było trudno wyobrazić sobie, co ich zdaniem zobaczyli. Jack wyglądał na nieco potarganego. Jej spódnice były okropnie pogniecione, stanik sukni rozdarty, i faktycznie wcześniej krzyczała. Bez wątplenia goście przybyli akurat w samą porę, żeby zobaczyć ten zapamiętane namiętne pocałunek, a teraz sądzili, że rozumieją, co zaszło.

Jack nie wiedział, co powiedzieć. Ani ona.

Zanim zdolali podjąć jakąkolwiek próbę wyjaśnienia sytuacji, Alton przepchnął się przez tłum. Podeszedł prosto do nich.

- Co się dzieje, u diabła?

- Dwaj mężczyźni zaatakowali Clarice - odpowiedział cicho Jack.

- Co takiego? Mój Boże! Czy wszystko w porządku?

- Tak. Jack znalazł mnie w porę. Lecz...

- W którą stronę poszli? - Alton przeszukiwał wzrokiem ciemność za nimi.

Jack wskazał kierunek.

- Ale są już daleko. Nie mogłem zostawić Clarice, żeby biec za nimi.

- Oczywiście.

- Altonie...

- Na niebiosa! Co się dzieje? - Pojawiła się zaaferowana lady Camleigh, obrzucając surowym spojrzeniem tłum, który zaczynał się przeredzać. Zerknęła na Jacka i Clarice. Jej oczy rozszerzyły się. - Co...?

Alton wyjaśnił, zanim Jack zdążył to zrobić.

W ciągu minuty lady Cowper, lady Davenport i w końcu sama lady Holland dołączyły do nich, razem z Rogerem i Nigelem oraz ich narzeczonymi, a także z Sarah.

Jack wiedział, ile wysiłku kosztowało Clarice, wciąż wspartą na jego ramieniu, by ustać z wysoko uniesioną głową i wyprostowanymi plecami.

- Proszę o ciszę! - nie krzyknęła, ale jej ton skutecznie przedarł się przez gwar.

Wszyscy umilkli. Wszyscy patrzyli na nią.

Nie starała się odsunąć od Jacka, ale, zaplatając dłonie na wysokości talii, zadarta podbródek i spokojnie oświadczyła:

- Powinniście o czymś wiedzieć.

Jack czuł, jak Clarice drży od szoku i wzburzenia, lecz nic z tego nie pokazało się w jej chłodnej postawie ani w stanowczym spojrzeniu.

- Zanim się pojawiliście, zgromadził się tłum. Przybyli, cokolwiek późno, w reakcji na mój krzyk. Ale po tym, jak Jack mnie ocalił, a mężczyźni, którzy mnie zaatakowali, ulotnili się, pocałowałam go, a on pocałował mnie. Później pomógł mi wygładzić rozdartą suknię. - Wskazała dłonią ramię, gdzie widniało rozdarcie na staniku. - To, niestety, zobaczyli gapie. - Przerwała i rozejrzała się po zebranych. - Myślę, że możecie sobie wyobrazić, co we własnym mniemaniu zobaczyliście.

- Do licha! - Nigel wypowiedział na głos myśli wszystkich.

Clarice skinęła głową.

- Właśnie. Jednak... Obawiam się, że naprawdę nie czuję się na siłach, żeby krążyć wśród gości przez następną godzinę, a tym bardziej żeby uciszać nieuchronne plotki.

Podszedł do niej Alton z troską malującą się na twarzy.

- Nie czujesz się dobrze.

Clarice podniosła rękę, przerywając mu.

- Czuję się odrobinę roztrzęsiona, to wszystko. Jack zabierze mnie z powrotem do hotelu. Do jutra rana wydobreję. Ale... - wzięła płytki wdech i znowu rozejrzała się po zebranych - chciałam, żebyście wszyscy zdawali sobie sprawę... co nadejdzie.

Damy, zarówno młodsze, jak i starsze, podeszły bliżej, zapewniając Clarice, że może zostawić tę sprawę w ich rękach, że one dopilnują, by nie dawano wiary żadnej bzdurze wynikającej z pomyłki. Wszyscy towarzyszyli im w drodze do domu, wyraźnie okazując swoje poparcie.

Osobą, która najbardziej zdumiała Jacka, była lady Holland, ich szacowna gospodyni. Miała reputację osoby, która bywa znakomitą przyjaciółką i straszliwym wrogiem. Aż do chwili, kiedy przyprawiono powóz, stała przy nich, lecz Jack nie był pewien, kim się okaże.

Ale wtedy poklepała dłoń Clarice.

- Nie martw się, moja droga. Sądzę, że nie doceniasz swojej i naszej pozycji, jeżeli myślisz, że nie zdołamy tego powstrzymać albo zdławić w zarodku. Dla każdego, kto rozmawiał z wami, jest oczywiste, że incydent przebiegł dokładnie tak, jak to opisałaś. W takich okolicznościach, reszta... - lady Holland machnięciem ręki zamknęła temat ich zbyt wiele zdradzającego uścisku - to po prostu coś, czego można się spodziewać. - Jej lordowska mość zwróciła swoje nieco wylupiaсте oczy na Jacka i uśmiechnęła się. - W rzeczy samej, džentelmen taki jak lord Warnefleet ogromnie by nas rozczarował, gdyby nie zareagował tak, jak to uczynił.

Jack jęknął w duchu. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował,

było zaszufładowanie go przez towarzystwo jako romantycznego bohatera.

Wreszcie znaleźli się w powozie, toczącym się zwawo z powrotem do hotelu Benedict's. Nie odzywali się po drodze, Clarice mocno trzymała go za rękę, opierając głowę na jego ramieniu, i wpatrywała się w noc.

Jack, na nowo przeżywając to zdarzenie, wyobrażał sobie, co zobaczył tłum. Trudność z uspokajającymi zapewnieniami lady Holland i innych polegała na tym, że one nie widziały tego nazbyt wiele zdradzającego uścisku. Tego pocałunku, w który włożył zbyt wiele serca - w nieuchronnej reakcji na sytuację, która tak mocno nim wstrząsnęła.

W tamtej chwili ich pocałunek był zbyt szalony, by ktokolwiek, kto na to patrzył, mógł tego nie pojąć.

Nie dostrzec, że byli kochankami.

Może i nie uprawiali miłości w ogrodach Holland House, jak niewątpliwie pomyśleli goście, ale ten jeden fakt był teraz oczywisty.

I stał się tajemnicą poliszynela.

Rozdział 20

Droga powrotna do hotelu Benedict's przebiegła bez przygód, Clarice, otulona peleryną, przeszła niemal niezauważona.

Kiedy znaleźli się w jej apartamencie, zamknęła drzwi, rzuciła pelerynę na krzesło, po czym podeszła do jednego z wielkich foteli przy kominku. Zapadła w niego bardzo zmęczona, nadal cała się trzęsąc. Płonął niewielki ogień, Clarice pochyliła się i wyciągnęła dłonie w stronę źródła ciepła.

- Myślę, że to Moira za tym stała.
- Moira? - Jack przystanął tuż przy drzwiach. - A nie człowiek zdrajcy?
- Nie, chyba że człowiek zdrajcy może pozyskać do

pomocy przyjaciół córek Moiry. - Zaplotła palce i zapatrzyła się w płomienie. - Właśnie sobie przypomniałam, gdzie widziałam wcześniej tego mężczyznę i tę kobietę. Kilka dni temu szli razem z Hildą i Mildred po Bond Street.

Parę chwil później Jack pojawił się obok niej.

- Proszę.

Podniosła wzrok, podawał jej kieliszek brandy. Przyjęła go, usiadła wygodniej i upiła łyk. Palący płyn gładko przeszedł jej przez gardło, a następnie rozlał się, ogrzewając lodowatą otchłań, którą stał się jej żołądek.

Jack stał przez chwilę, popijając i spoglądając w ogień. Potem usiadł w drugim fotelu. Opierając ręce na kolanach, ogrzewał w dłoniach kieliszek, a później podniósł głowę i napotkał wzrok Clarice.

- Musimy porozmawiać.

Krew w jej żyłach zastygła.

- O czym?

- O sytuacji, która teraz zaistniała.

„Jakiej sytuacji?”

Jack nie zamierzał pozwolić jej na unikanie tego tematu, to jedno było jasne.

- Co tak właściwie masz na myśli?

Zawahał się, rozumiała, że szukał słów, najlepszej drogi, którą mógłby podążać.

- Pomimo miłych złudzeń naszych przyjaciół, bez względu na to, co goście faktycznie widzieli czy nie widzieli, i tak zobaczyli dosyć. Żadne zaprzeczenia nie wymażą prawdy, którą dostrzegli.

Przerwał, a następnie wziął głęboki wdech. Clarice żałowała, że nie może uciąć tej dyskusji, zlekceważyć jego słów, po prostu odwrócić wzroku. Nie była w stanie.

- W towarzystwie wciąż istnieją... zaakceptowane sposoby postępowania. Mogliśmy nie cenić ich zbyt, lecz one istnieją. Jeżeli chcemy pozostać akceptowaną częścią tego towarzystwa, środowiska, w którym oboje się urodziliśmy, to musimy

przestrzegać zasad, stosować się do zwyczajów.

Ogarnął ją jeszcze bardziej przenikliwy chłód. Podniosła rękę, powstrzymując Jacka.

On wyciągnął swoją, chwycił jej dłoń i przytrzymał.

- Nie, wysłuchaj mnie. Odzyskałaś należną pozycję. Teraz całe to eleganckie towarzystwo na nowo jest twoim światem. Jest tyle rzeczy, które możesz zrobić, by dalej pomagać braciom, zbudować podwaliny dla kolejnego pokolenia rodziny... Chwalebny cel, i ja go rozumiem. - W jego głosie pojawił się ostrzejszy ton. - Ale musisz utrzymać pozycję, którą odzyskałaś. Musisz nie tylko przetrwać, ale zdusić skandal, który nieuchronnie wyniknie ze sceny w ogrodzie.

Przerwał, Clarice ciągle nie mogła oderwać od niego oczu.

- Wiem, że nie tego pragniesz, ale... Jeżeli to jest zgodne z twymi oczekiwaniami, to proszę o twoją rękę. Jeśli się pobierzemy, nie będzie żadnego skandalu i osiągniesz wszystko, co zamierzasz.

Jego dłoń delikatnie zacisnęła się wokół jej dłoni.

- Wybór należy do ciebie. Ale wybrać musisz. Teraz. Dzisiaj.

Starła się pozbierać myśli.

„Wiem, że nie tego pragniesz”.

Mylił się, tak bardzo się mylił. Poślubienie go było jej pragnieniem - jeśli nawet nic innego, to przynajmniej to jedno było dla niej jasne - ale nie w taki sposób. Nigdy w taki sposób.

To był senny koszmar ozywający na jawie - nie tylko dla niej, ale i dla niego.

- Nie.

Spoglądając mu w oczy, uświadomiła sobie, jak stali się sobie bliscy, i że nie może ot tak, po prostu zakomunikować mu swojej decyzji. Trzeba było wysiłku, żeby odstąpić przyłbicę, pozwolić mu zrozumieć, co czuła i dlaczego. Przełknęła ślinę i odzyskała głos.

- Siedem lat temu wyraziłam się jasno. Odmówiłam przyzwolenia na to, by towarzystwo dyktowało mi, jak mam

żyć, właśnie jeśli chodzi o małżeństwo. Wówczas była to słuszna decyzja... i jest jeszcze bardziej słuszna teraz. Oboje omal nie padliśmy ofiarami innych ludzi, wykorzystujących te same zasady, żeby nad nami zapanować, zmusić do małżeństwa. Ty wiesz i ja wiem, jak oboje się czuliśmy, i jakie nadal mamy odczucia wobec ślubu w takich okolicznościach, w zasadzie pod presją. A teraz pokłonić się tym samym nakazom, zrobić to sobie samemu... Nie. Nie poświęcę ciebie ani siebie samej dla ich fałszywych bogów, dla ich arogancji.

- Ale...

- Nie, posłuchaj. - Zdobyła się na słaby uśmiech. - Powiedziałam moim braciom, że nie chcę wracać na łono rodziny, nie w rozumieniu wytwornego życia. Nie sądzę, żeby mi uwierzyli, albo może raczej wyobrażają sobie, że mogą mnie przekonać do swoich racji. Nie jestem także pewna, czy przekonałam ciebie. Wiesz, że rzadko zmieniam zdanie, a w tej kwestii nigdy tego nie zrobię. Kiedy zakończy się wielki zaręczynowy bal moich braci, z całą stanowczością zamierzam wrócić na probostwo w Avening. Towarzystwo tego nie zrozumie, ale nie ma takiej potrzeby. Tego pragnę, tam chcę być, to jest wszystko, co się liczy.

Przez kilka uderzeń serca Jack nie odzywał się, a potem jego palce przesunęły się po jej dłoni.

- Odwracasz się plecami do tego, za co inne damy byłyby gotowe zabić.

- Być może. Ale w przeciwieństwie do nich, ja znam prawdziwą wartość tego, co odrzucam, i co wybieram w zamian. Ciebie. Innego rodzaju życie - dające więcej spełnienia.

- Chwilami bardzo trudno jest mi cię zrozumieć. Uśmiechnęła się, ale efekt był słaby.

- Nieważne.

Nie rozumiał, że kochała go całym sercem, ale sama dopiero niedawno sobie to uświadomiła, i nie wiedziała też, co on czuje do niej. Nie miała pojęcia, czy cokolwiek z tego wyniknie, mogła mieć tylko nadzieję. Oboje byli skomplikowanymi

ludźmi, kierującymi się złożonymi pobudkami, pewność co do tego, czym kierowało się drugie, nigdy nie będzie łatwą sprawą. Chyba że powie się to wprost.

Po raz pierwszy w życiu nie miała dość śmiałości, żeby po prostu powiedzieć, ubrać w słowa to, co czuje.

Być może kiedyś, ale nie dzisiaj.

Dzisiaj uczucia były zbyt surowe, zbyt skłębione, świadomość zbyt świeża.

Nie spodziewała się, że tak mocno się zakocha.

Łagodnie uwolniwszy ręce, Jack wstał. Zabrał oba puste kieliszki i odstawił je na półkę nad kominkiem, po czym spojrzał na Clarice.

- Skoro jesteś pewna...

- Jestem. - Wyciągnęła ręce. Chwycił je i pomógł jej wstać.

Ujęła jedną z jego dłoni i poprowadziła go do łóżka.

* * *

Pomimo swobody Jacka i Clarice, mimo ich zażyłości, w chłodnym cieniu nocy, w miękkich falach pościeli dominował jakiś inny element. Tak jakby wraz z odrzuceniem jego wymuszonych oświadczeń przekroczyli granice uporządkowanego życia i byli teraz wolni, wolni od wszelkich ograniczeń.

Otuliły ich nocne cienie, w słodkim mroku w ramionach Jacka Clarice odkryła wreszcie coś, czego nigdy nie spodziewała się odkryć - pełnię tego, czym naprawdę miała być. Wszystko, czym być mogła.

Jej serce poszybowało w górę i nie dbała już dłużej o to, czy później pęknie. Być z nim w taki sposób to wystarczająca nagroda. To, i świadomość, że go kochała.

Jack obudził się przed świtem. Za ścianą pokoju świat otulała najgłębsza noc, cicha i nieruchoma, w środku dominowały spokój, łagodne cienie i kojące ciepło.

Clarice leżała obok niego, pogrążona w mocnym śnie, z

jedną drobną dłonią na jego piersi.

Odmówiła poślubienia go.

Logicznie rzecz biorąc, powinien się czuć odrzucony, zawiedziony. Zamiast tego czuł się tak, jakby jakaś zdradziecka, niespodziewana, niemająca precedensu przeszkoda, którą los uknuł i ustawił na ich drodze, została z powodzeniem ominięta i pokonana. Jakby w jakiś sposób zatriumfowali.

Odmówiła mu, ale nie mógł niczego zarzucić jej rozumowaniu. Nie chciał prosić o jej rękę w taki sposób, ale czuł się do tego zmuszony. Nawet teraz, w takich samych okolicznościach znowu by tak postąpił, ta propozycja musiała zostać złożona.

A ona musiała odmówić.

W pewien sposób jego oświadczyńcy i jej odmowa uwolniły ich. Rozciąły sieć towarzyskich nakazów, która groziła im uwięzieniem. Ale co więcej, ta chwila zdjęła mu ciężar z serca i rozproszyła w jego umyśle wszystkie zalegające chmury.

Droga naprzód była jasna, a powody, by nią podążać, nigdy nie były bardziej wyraźne.

Nadeszła pora, by działać. By chwytać okazję. Cały instynkt wojownika, który posiadał, upewniał go, że tak jest.

Zerknął na Clarice, pozwolił spojrzeniu błądzić po jej pięknych rysach, odprężonych we śnie, a następnie ostrożnie, nie budząc jej, wstał z łóżka.

Odszukał spodnie i koszulę, wymknął się do bawialni i zamknął drzwi. Ubrał się pośpiesznie, a później pociągnął za szarfę dzwonka. Kiedy zaspany lokaj zapukał do drzwi, Jack posłał go na dół, by przyniósł pudło, które zostało u konsjerża.

* * *

- Boudiko, Boudiko, otwórz oczy.

Clarice obudziła się, słysząc szept i czując bajeczne pocałunki spadające na jej skórę.

Lawina jedwabistej miękkości, niemal nieuchwytnych

pieszczot.

Jeszcze zanim otworzyła oczy, poczuła zapach, w przebłysku pamięci przeniosła się z powrotem do Avening, do pawilonu, do nocy namiętności, którymi się tam cieszyli, wolni od świata, wolni od wszelkich trosk.

Otworzyła oczy i zobaczyła Jacka pochylającego się nad nią i sypiącego płatki jabłoni na jej nagie piersi. Odwróciła się do niego, położyła na plecach i rozejrzała wokół.

Odkryła, że leży w morzu płatków jabłoni.

Jego wargi wygięły się w uśmiechu.

- Oto, jaką cię widzę, jaką chcę cię widzieć. Moja królowa-wojowniczką naga na łożu z płatków jabłoni.

Nakrycie było zsunięte aż do jej stóp. Różowo-białe płatki były wszędzie, na niej, pod nią, przywarły do jej skóry. Lecz kiedy jej dotykał, pieścił, rzeźbił jej ciało, i kiedy obudził w niej żar, z płatków uniósł się wywołujący wspomnienia zapach. Zamknawszy oczy, Clarice mogła niemal uwierzyć, że są z powrotem w Avening.

Westchnęła, kiedy dłonie Jacka po niej wędrowały.

Potem otworzyła oczy, rozchyliła wargi - a on przechylił głowę i pocałował ją. Wypełnił jej usta w długiej, stanowczej, pewnej siebie inwazji.

Pozwoliła mu robić, co chciał.

I czuła w głębi serca, jak nadzieja wzbiera i rozkwita, zobaczyła, jak otwiera się przed nią nowy i świeży krajobraz, pełen możliwości i obietnic.

I miłości.

To była kraina, którą mogliby posiadać, gdyby tego zechcieli, gdyby się odważyli.

Przywarli do siebie, gdy ekstaza eksplodowała, pochwyciła ich, roztrzaskała na kawałki, a potem ukształtowała na nowo.

Połączyła ich w coś, czym wcześniej nie byli. Clarice zabrakło słów, by to przyznać, ale wiedziała to sercem.

Fala zmysłowej radości ustępowała, ulatywała jak westchnienie i opuściła ich, zaspokojonych i bezwładnych.

Pośrodku morza kwiatów jabłoni.

Zamkniętych w kokonie miłości.

Dryfowała, ale tak naprawdę nie zasnęła ponownie, zbyt uszczęśliwiona, zbyt pełna energii, zbyt czujna.

Jak płatki jabłoni mogły znaczyć tak wiele?

Jak prosty akt zjednoczenia mógł być tak znaczący?

Znała odpowiedzi. Tu nie chodziło o fizyczne ani o zmysłowe, ani nawet o emocjonalne więzi, lecz o to, co z nich powstało i czego były potwierdzeniem.

Wspólne przedsięwzięcia, wspólne cele, wspólne osiągnięcia, wspólne sukcesy, wspólne radości. Wszystko to razem, wszystko, co składało się na wspólne życie.

I wiedziała, że do tego właśnie została stworzona, na to czekała przez te wszystkie długie lata.

Leżąc na plecach, lekko przeczesywała mu włosy palcami, a on opierał głowę na jej piersiach.

- Jak ty mnie nazwałeś?

- Boudika.

Nie miała pojęcia, co mu na to odpowiedzieć.

Zdając sobie sprawę, że dokonał czegoś, co udało się nielicznym, Jack podniósł głowę, żeby popatrzeć na oniemiałą Clarice.

To, co zobaczyła w jego oczach - łagodny blask - tylko bardziej ją oszołomiło i jeszcze skuteczniej odebrało mowę.

Wiedziała, kim był, wiedziała to od zawsze. To, że okaże się tak otwarty i pozwoli jej to zobaczyć - że nazwie ją Boudiką, swoją królową-wojowniczką - po prostu zaparło jej dech.

Chwycił jej dłoń i przytknął wargi do jej palców. Ten dotyk był dla niej jak kotwica, pomógł jej znaleźć stały ląd.

- Boudika była... pomalowana na niebiesko.

Wciąż się uśmiechając, pokręcił głową.

- Niebieski nie jest dla ciebie, raczej róż i biel. Jeżeli potrzebujesz czegokolwiek, żeby zakryć swoją nagość - spojrzal w dół i przyjrzał się jej piersiom - to mogą to być tylko kwiaty jabłoni.

Na jego twarzy pojawił się i wyraz samozadowolenia.

Nie mogła nic na to poradzić - roześmiała się.

Dostrzegła w odpowiedzi śmiech w jego oczach i uświadomiła sobie, że to właściwa odpowiedź, że między nimi niczego więcej nie potrzeba.

- Już świta. Muszę iść.

Spojrzała w jego oczy.

- Zostań.

- Nie, jeszcze nie. Nie, dopóki to się nie skończy. Westchnęła i pozwoliła mu odejść. Jej wojownik i władca powrócił. Strzeżenie reputacji damy było jego powinnością, tak to postrzegał.

Leżąc wśród kwiatów jabłoni, czując, jak jedwabście ocierają się o jej skórę, patrzyła, jak Jack się ubiera.

- Później przyjadę do klubu. Domyślam się, że spotkasz się z kolegami.

Skinął głową. Pocałował ją zapamiętale i wymknął się z pokoju, a jej wciąż jeszcze kręciło się w głowie.

Pojawiła się w klubie o jedenastej i powitały ją tam posępne twarze.

- Ludzie pracujący przy barkach, których nająłem, znaleźli ciało Humphriesa wyrzucone na brzeg po porannym przyplywie.

- Jack zerknął na Christiana i Deverella, a potem odwrócił się do Clarice. - My... ty i ja... powinniśmy oznajmić nowinę biskupowi.

Clarice przytaknęła.

- Tymczasem my - Christian odezwał się tonem szorstkim i twardym - spotkamy się z naszymi kontaktami i powiemy Tristanowi, żeby zrobił to samo. Ktoś mógł widzieć Humphriesa nad brzegiem rzeki albo na jakimś moście. Teraz, kiedy wiemy, na czym się skupić, może uda się nam pobudzić czyjąś pamięć.

Rozeszli się do swoich zadań, uroczyści i poważni. Jack pomógł Clarice wsiąść do powozu Altona i z turkotem pojechali do Lambeth. Ale kiedy wpuszczono ich do pałacu, musieli

bezczylnie czekać przez ponad godzinę, gdyż biskup, dziekan i diakon Olsen byli na nabożeństwie w katedrze.

W końcu dziekan powrócił, gdy usłyszał, co się stało. Prędko zaaranżował prywatną audiencję u biskupa.

Jego lordowska mość był wstrząśnięty. Jack zdał sobie sprawę, że pomimo tego, jak wiele powiedziano o tym, że Humphries został wciągnięty w niebezpieczną grę, biskup aż do tej chwili nie uświadamiał sobie śmiertelnej natury tej gry.

- Ja... Och, na niebiosa! - Biskup wpatrywał się w Jacka poblady jak płótno. - Jak...? Czy pan wie?

- Wygląda na to, że został uderzony w głowę, najpewniej ogłuszony, a potem wrzucony do wody.

Biskup zerknął na Clarice. Chociaż blada, zносиła to lepiej niż on.

- Tak, cóż, oczywiście, zrobimy wszystko, co konieczne. Gdyby mógł pan polecić, by ciało przywieziono tutaj...

Rozległo się pukanie do drzwi. Do sali zajrzał Olsen.

- Przepraszam, że przeszkadzam, milordzie, ale nadeszła wiadomość dla lorda Warnefleeta.

Jack, biorąc list z rąk Olsena, rzucił okiem na pieczęć, po czym ją złamał i odczytał zawartość pisma.

- To od Christiana Allardyce-Dearne'a.

Biskup zamrugał.

- To także jeden z was?

Jack nie odpowiedział.

- Dwa dni temu widziano Humphriesa - kontynuował - idącego brzegiem rzeki w pobliżu mostu Tower. Był w towarzystwie innego mężczyzny, wysokiego, przyzwoicie ubranego, o bladej okrągłej twarzy. - Jack podniósł wzrok.

Clarice napotkała jego spojrzenie.

- Ten sam mężczyzna, kurier-informator, na którego ślad trafiamy przez cały czas, od Avening aż tutaj.

Jack przytaknął.

- Ale... dlaczego zabił biednego Humphriesa? - Biskup wyglądał na zdezorientowanego.

- Zapewne dlatego, że Humphries znał tego mężczyznę zbyt dobrze i mógłby go zidentyfikować. - Jack westchnął. - Podejrzewam, że w naszym śledztwie zabrnęliśmy w ślepią uliczkę. Chyba że Humphries pozostawił jakieś informacje w swoim pokoju?

Spojrzał na Olsena i na dziekana, obaj pokręcili głowami.

- Kiedy nie wrócił - odpowiedział dziekan - szukaliśmy wszędzie, mając nadzieję znaleźć nazwę jakiegoś miejsca spotkania, jakiś adres albo sposób skontaktowania się z tą osobą, ale w papierach Humphriesa nie było niczego.

Jack się skrzywił.

- Standardowa procedura. Nigdy niczego nie zapisywać.

Minęła chwila, nim przyswoili sobie fakt, że nie tylko Humphries nie żyje, ale że jego morderca niemal na pewno umknie sprawiedliwości.

- A co z zarzutami przeciwko Jamesowi? - spytała Clarice.

Biskup machnął ręką.

- Proszę je uważać za niebyłe. Niezmiernie się cieszę, że zabroniłem Jamesowi opuszczać Avening. Wystarczy, że straciliśmy jednego dobrego człowieka w tej... tej uknutej przez kogoś szaradzie. Gdybym stracił także Jamesa, byłbym zdruzgotany. Oczywiście napiszę do niego, ale czy pani, spotkawszy się z nim, mogłaby go zapewnić o moim nieustającym poparciu, i że czekamy, by się z nim zobaczyć w stolicy.

- Naturalnie, milordzie. - Clarice dygnęła.

Jack się zaś uklonił.

- Proszę nam wybaczyć, milordzie, sądzę, że powinienem niezwłocznie zanieść tę wiadomość do Whitehall.

Powtarzając podziękowania, biskup pozwolił im odejść.

Olsen i dziekan wyszli za nimi. Jack zapewnił ich, że ciało Humphriesa zostanie wkrótce przewiezione do pałacu. Kiedy przechodzili przez hol do wyjścia, pojawił się Teddy, krótko pomówił z Clarice, a potem został na schodach z Olsenem i dziekanem.

Pożegnawszy się ze wszystkimi trzema, Jack dołączył do Clarice w powozie. Stangret zaciął konie i powóz gładko potoczył się po pałacowym podjeździe.

Do Whitehall było niedaleko.

Clarice oczywiście nie miała zamiaru czekać, podczas gdy Jack będzie się naradzał z Dalzielem. Jack był przekonany, że chciała jeszcze raz rzucić okiem na jego tajemniczego zwierchnika, i nie widział powodu, by jej tego odmawiać, to mogło pobudzić jej pamięć w kwestii tożsamości Dalziela.

Wprowadził ją w zakamarki gmachu, do poczekalni przy biurze Dalziela, podał swoje nazwisko skromnemu sekretarzowi, dla którego nic ono nie znaczyło, a kiedy sekretarz udał się do swojego przełożonego, Jack zastanowił się, dlaczego Dalziel nieustannie zmienia najbliższych współpracowników.

Sekretarz powrócił niemal od razu.

- Przyjmie pana teraz, ale pani musi tutaj zostać.

Prawie zadygotał, gdy Clarice zmrużyła oczy, spoglądając na niego lodowato. Zanim zdołała rozerwać biedaczynę na strzępy, Jack ścisnął jej dłoń.

- To bezcelowe. Zaczekaj, nie będę tam długo.

Zostawił ją mruczącą pod nosem o wydumanych zwyczajach potomków arystokratycznych rodów.

Sekretarz wprowadził Jacka do swego przełożonego, po czym oddalił się, cicho zamykając drzwi.

Dalziel podniósł się zza biurka, wyciągnął rękę i Jack ją uściśnął - grzeczność, której nie wymieniali wcześniej, ale Jack nie był już dłużej jednym z podkomendnych Dalziela. Teraz spotykali się na mniej lub bardziej równej stopie, jako dżentelmeni porządkujący ostatnie niezakończone, powojenne sprawy.

Spojrzenie Dalziela omiotło twarz Jacka. Teraz, wskazawszy mu ręką krzesło przed biurkiem, ciężko opadł na swoje miejsce.

- Jak rozumiem, nie przynosisz dobrych wieści?

Jack potrząsnął głową.

- Ciało Humphriesa wypłynęło dziś rano na bagnach w

Deptford.

Dalziel zaklął, dosadnie i soczyście. Popatrzył na sufit.

- Czy wiemy cokolwiek o mężczyźnie, który za to odpowiada?

Jack zrelacjonował, czego się dowiedzieli.

- A zatem za każdym razem to ten sam człowiek. Żadnego śladu kogoś jeszcze?

- Zupełnie nic. Wiadomo, kto jest prawdziwym zdrajcą?

Dalziel przez długą chwilę patrzył Jackowi w oczy, nim odpowiedział:

- Nie, kto to jest, ale jeśli chodzi o to, kim jest... To staje się jaśniejsze. Niestety, to morderstwo nie doprowadzi nas do tego człowieka, jest na to za sprytny. Kimkolwiek okaże się ten cudzoziemiec, z pewnością nie jest mózgiem kierującym wszystkim z ukrycia. Jednak sama natura tej szarady ujawniła, że nasz zdrajca wie, jak funkcjonuje rząd, dobrze zna system prawny i wyższe sfery. Popułnił tylko jeden błąd, wybierając jako cel Jamesa Altwooda, który wiedział o tobie. O tym zdrajca nie miał pojęcia. Gdyby nie to potknięcie, nie byłibyśmy tacy przekonani o niewinności Altwooda. - Dalziel zadrżał. - Nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby zarzuty trafiły na oficjalną rozprawę. Porażka byłaby spektakularna i skutecznie przekreśliłaby wszelkie nadzieje na postawienie prawdziwego zdrajcy przed sądem. Wszelkie późniejsze wzmianki o zdradzie byłyby z miejsca odrzucane. - Dalziel przerwał, a później dodał: - Jako sposób na zapewnienie sobie bezpieczeństwa ta szarada była błyskotliwa. Ktokolwiek to jest, dokładnie wiedział, co robi. Oczywiście, nie spodziewał się porażki. - Wyraz twarzy Dalziela subtelnie się zmienił. - W nagrodę za nasze wysiłki dowiedzieliśmy się, że zdrajca rzeczywiście istnieje. Aż do teraz był raczej cieniem, przypuszczeniem. Wszystko, co miałem, to podejrzenia i przeczucia. Ale teraz ty, Dearne, Deverell, Trentham i ja, wszyscy wiemy, że to coś więcej niż miraż. Żaden cień nie zorganizowałby tego wszystkiego.

Jack skinął głową.

- To prawda. A zatem chociaż nie wygraliśmy w tej potyczce, zyskaliśmy wiedzę.

Dalziel się uśmiechnął.

- Trafnie ujęte. - Przerwał, wyraźnie zastanawiając się nad czymś. - Jeszcze jedna rzecz na koniec. Czy ktokolwiek dobrze się przyjrzał temu cudzoziemcowi?

- Anthony Sissingbourne widział jego twarz tylko przez moment, ale z bliska. I lady Clarice Altwood, ona zobaczyła go z większej odległości, lecz widziała, jak chodzi, porusza się. Z nich dwojga Clarice zapewne prędzej rozpoznałaby tego mężczyznę niż Anthony.

Dalziel przytaknął.

- Może okazać się, że warto poświęcić czas na sprawdzenie cudzoziemców, o których wiadomo, że pasują do opisu. Tych w ambasadach, konsulatach, różnych placówkach dyplomatycznych, tego rodzaju miejscach. Jeżeli znajdziemy jakichś potencjalnych kandydatów, możemy potrzebować lady Clarice.

Dalziel spojrział Jackowi w oczy z obojętną miną.

- Gdybyś nadal był pod moim dowództwem, rozkazałbym ci trzymać ją blisko przy sobie i dobrze strzec. Jednak z tego, co słyszę, tak właśnie będziesz postępować, z rozkazem czy bez niego.

Z niewzruszonym wyrazem twarzy Jack ledwie skinął głową.

- Mówi, że zamierza wrócić do Gloucestershire. Bez względu na to pozostanę z nią.

- Dobrze.

Dalziel wstał. Jack zrobił to samo. Napotkał wzrok Dalziela i pozwolił sobie na lekkie zmarszczenie brwi.

- Wolałbym wyobrazić sobie, że już się więcej nie spotkamy.

Na wargach Dalziela pojawił się ledwie widoczny ironiczny uśmiech.

- Niestety, nasze instynkty niezależnie od siebie podpowiadają nam, że to mało prawdopodobne. Co oznacza, że nie jest to prawdziwe pożegnanie. - Odprowadził Jacka do drzwi.
- Opiekuj się nią.

- Tak zrobię. - A z dłonią na klamce dodał:

- Nawiasem mówiąc, ona jeszcze cię nie rozpoznała.

Dalziel wzruszył ramionami i wrócił na miejsce za biurkiem.

- Przy odrobinie szczęścia, zanim to zrobi, nie będzie to już miało znaczenia.

Podniósłszy pióro, skupił uwagę na liście. Zaintrygowany Jack wyszedł i wrócił tam, gdzie czekała Clarice, przechadzając się tam i z powrotem przed bardzo zdenerwowanym sekretarzem.

* * *

W powozie Jack opowiedział Clarice o wszystkim, czego dowiedział się od Dalziela, ona ledwie coś mruknęła.

Wrócili do hotelu Benedict's, żeby się zastanowić. Na stole w bawialni znaleźli wiadomość od Altona wraz z dwoma biletami na ten wieczór na Royal Gala w Vauxhall.

- Myślałam, że bilety na takie wydarzenia są do uzyskania tylko z królewskiego polecenia. - Jack przyglądał się kartonikom o złożonych brzegach.

Clarice prychnęła.

- Są, ale Alton potrafi być równie czarujący jak niektóre inne znane mi osoby, kiedy czegoś zapagnie.

Przeczytała list.

- Pisz, że biskup poinformował go, iż zarzuty przeciwko Jamesowi zostały całkowicie oddalone i że on, Roger i Nigel pomyśleli, by wykorzystać galę na świętowanie ich uwolnienia się od Moiry, zbliżających się zaręczyn i oczyszczenia Jamesa. I oczywiście Alton prosi nas, byśmy wzięli w tym udział.

Wręczając liścik Jackowi, Clarice uśmiechnęła się sama do siebie. Było jasne jak słońce, że jej bracia pomyśleli o wykorzystaniu gali - szczytów wytwornej rozrywki - by

zademonstrować jej korzyści z powrotu na łono rodziny i do dawnego życia.

Nie uda im się to - pomyślała - ale jeżeli pozwolę im wyteżać się ze wszystkich sił, jeżeli wezmę w tym udział i będę się dobrze bawić, a potem powiem im, że wracam do Avening i do swego spokojnego wiejskiego życia, to zdadzą sobie sprawę, jak daremne są ich naciski i że moja decyzja rzeczywiście jest ostateczna i nieodwołalna.

A Jack także to zobaczy i zrozumie.

Uśmiechając się szerzej, odwróciła się do niego. Stał obok stołu, wciąż wpatrując się w bilety, które trzymał w ręku.

- Oczywiście, będziemy musieli pójść.

Jack spojrział na nią i skinął głową, z wdziękiem się uśmiechając.

* * *

Dziewięć godzin później Jack nadal uśmiechał się z wdziękiem, ale tylko po to, by ukryć prawdziwe uczucia, narastającą chęć zrzucenia z twarzy maski, porwania Clarice i ucieczki.

Daleko od tych, którzy chcieli, żeby tutaj pozostała i była częścią ich rodziny, nie tylko tej starej, ale także tej, która właśnie się tworzy.

Nie było trudno zauważyć, że to ją kusi.

Łoża, którą zamówił Alton, znajdowała się w najlepszym miejscu, przodem do rotundy, blisko głównego parkietu. Siedząc nieruchomo w rogu, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, Jack patrzył, jak Clarice wiruje w ramionach Nigela, tańcząc polkę.

Połykiwały klejnoty dam, jedwabie i aksamity falowały w świetle rzucanym przez kołyszące się latarnie. Perfumy, aromaty wina i wybornych potraw mieszały się, drażniąc zmysły, muzyka i gwar zlewały się w ogarniający wszystko materiał utkany z dźwięków.

Obecni postanowili dobrze się bawić, ich gospodarz był

znany jako Księżę Przyjemności, a oni szli w jego ślady. Ponieważ tylko najznamienitsze rodziny w kraju mogły uzyskać bilety, wysoki poziom był więc zapewniony. Dzięki temu przyjęcie w dużej mierze przebiegało w swobodnej atmosferze, mniej zważano na pozycję, a wszystko to składało się na poczucie wolności i okazję, by zejść z piedestału i po prostu się bawić.

Nawet dla nieprzychylnie nastawionego Jacka ta sceneria jawiła się jako zgoła bajeczna.

Alton przemknął obok w tańcu z Sarah. Jack zdusił w sobie chęć, by spojrzeć nań wilkiem. Wszyscy dobrze się bawili oprócz niego, i trudno było myśleć, że to nie wina Altona. Zwłaszcza że usunął wszelkie przeszkody, by przekonać Clarice do wcielenia się w rolę „żeńskiej głowy” rodu Altwoodów.

Jack był zmuszony stać u boku Clarice i wysłuchiwać, jak jej przyszłe bratowe zapewniają, iż bardzo doceniłyby jej pomoc w urządzaniu swoich domostw i w umacnianiu pozycji towarzyskiej. Musiał się uśmiechać i kiwać głową, kiedy jedna dama po drugiej wyniośle zabiegały o przychylność Clarice.

Co prawda ledwie się uśmiechała i unikała udzielania jakichkolwiek wiążących odpowiedzi, lecz nie powiedziała „nie”.

Jack wolałby, żeby powiedziała „nie”, choć wiedział, iż taka jawna i obcesowa odmowa byłaby tu nie do przyjęcia.

Ale też wcale nie miał ochoty zachowywać się w sposób, który byłby w tym miejscu do przyjęcia.

Z każdą upływającą minutą czuł się tylko coraz bardziej zdeterminowany.

Bardziej udręczony.

Kiedy Clarice przemyśli ten wieczór i wszystko, co się z nim wiąże, oraz wszystkie argumenty, które przedstawiały jej niezliczone osoby, a nade wszystko namowy rodziny, zmieni zdanie i postanowi powrócić do takiego życia?

Do tego się urodziła i została wychowana.

Gdyby tak zrobiła... odbyłoby się to bez niego. Wiedział już

od jakiegoś czasu, że jedyne miejsce, które mógł nazywać domem, jedyne miejsce, w którym odczuwał spokój, to Avening. A jednak... czy kiedykolwiek zazna prawdziwego spokoju, prawdziwego szczęścia bez niej?

Z każdym upływającym dniem rodzina coraz bardziej ją doceniała. Ale nie doceniała jej, nie знаła tak jak on. Nie rozumieli Boudiki, nie mogli traktować jej i wszystkiego, czym była, tak jak czynił to on.

Nie potrzebowali jej ani nie pragnęli tak bardzo jak on.

Przyglądał się jej jak zwykle, kiedy w połowie obrotu raptownie się zatrzymała i odsunęła od Nigela. Nie patrzyła na brata, lecz na skraj parkietu, wydawało się, że Nigel pyta ją, co się stało.

Podążając za jej wzrokiem, Jack przypatrywał się tancerzom - aż dostrzegł mężczyznę o bardzo bladej, okrągłej twarzy. Nie czekał na więcej, przeskoczył ponad sięgającą do pasa barierką łoży i runął w tłum.

Rozległy się piski i okrzyki. Nie dbał o to, czyją falbanę rozerwał i kogo popchnął, Clarice opuściła Nigela i ruszyła za mężczyzną, który zamordował Humphriasa.

A tymczasem mężczyzna zobaczył Clarice, przez chwilę wpatrywał się w nią, a później zaczął przeciskać się przez tłum, najwyraźniej uciekając. Dzięki swojemu wzrostowi Clarice nadał mogła go obserwować, i ciągle szła za nim.

Jack zaklął i podwoił wysiłki, by do niej dotrzeć, nie zważając na to, jakie sieje spustoszenie. Ale muzyka przestała grać i tancerze schodzili z zatłoczonego parkietu, powstrzymując go co krok.

Clarice, śledząc mężczyznę, który zepchnął Anthony'ego z drogi kilka tygodni wcześniej, zdawała sobie sprawę, że ją zauważył, ale wykorzystując tłum na swoją korzyść, miała nadzieję, że zabójca pomyśli, iż zgubiła go w tłoku. Chciała wiedzieć, dokąd szedł i z kim się spotka. Musiał się z kimś spotkać, skoro ktoś taki jak on trafił na tak szczególne przyjęcie.

Stopniowo się do niego przybliżała. Okrążał rotundę,

zapewne szukając jakiejś konkretnej łoży.

I nagle się zatrzymał. Zwrócony plecami do ogrodów, na skraju zgromadzenia, rozglądał się, jakby sprawdzając sytuację po raz ostatni, zanim podejdzie do upatrzonej osoby, z którą miał się spotkać.

Clarice skryła się za grupkę gości, w duchu dziękując losowi, że nie nosiła we włosach piór, jak wiele innych dam. Grupka przed nią ruszyła z miejsca, zostawiając ją, spoglądającą przez pustą przestrzeń długości dziesięciu jardów wprost na mordercę. Jego małe oczy szeroko się otworzyły. Potem, ze stłumionym przekleństwem, które usłyszała, odwrócił się i szybko ruszył znajdującą się za nim ścieżką.

Clarice uniosła skraj spódnicy i pospieszyła jego śladem.

Była to główna alejka, dobrze oświetlona latarniami zawieszonymi wśród drzew. Przechadzały się nią pary i grupki, co wystarczyło, by czuć się bezpiecznie, ale i nie móc się schować.

Mężczyzna pędził, prawie biegł, starając się jednak nie zwracać na siebie niczyjej uwagi i co jakiś czas spoglądając do tyłu. Myśl o tym, by wrzasnąć „złodziej!” i wskazać na niego, przemknęła przez głowę Clarice akurat w chwili, gdy mężczyzna skręcił w boczną ścieżkę.

Odległość między nimi zwiększyła się. Clarice prawie biegła.

Trafiła na mniejszą i nieoświetloną dróżkę.

Rozdział 21

Clarice przystanęła. Przebyła mniej niż dziesięć kroków, a już stała w głębokim mroku. Gwar tłumu wokół rotundy nagle wydał się odległy, zamaskowany przez gęste zarośla.

A ona nie widziała już swojej zwierzyny.

- Do licha! - Postąpiła jeszcze chwilę, dumając, po czym zrobiła rozsądną rzecz: obróciła się na pięcie i ruszyła z

powrotem w bezpiecznym kierunku.

- Do licha, do licha, do... - Wstrzymała oddech, kiedy dotąd ścigany mężczyzna wyskoczył ku niej z zarośli.

Zanim zdołała wydać okrzyk, zakrył jej usta wielką dłonią, a potem zaczął wlec ścieżką w głąb ogrodów. Jak najdalej od oświetlonej alejki z przechadzającymi się spacerowiczami, i od kogokolwiek, kto mógłby dostrzec jej srebrzystą suknię.

Walczyła jak szalona. To było coś o wiele gorszego niż poprzedniej nocy, ten mężczyzna już kiedyś zabił i z zimną krwią zabiłby ponownie.

Kopała i szarpała, aż udało jej się go spowolnić, lecz to było wszystko, co mogła zrobić. Ten mężczyzna był nie tylko silniejszy od wczorajszego napastnika, był także bardziej zdeterminowany, bardziej skoncentrowany na swoim celu, bardziej doświadczony. Jego dłoń tak mocno przywarła do jej warg, że Clarice nie była w stanie poruszyć szczęką na tyle, by go ugryźć.

W odruchu desperacji wykorzystała własny ciężar, bezwładnie uwiesiła się na mężczyźnie, a potem kopała i mocowała się z nim, raz jeszcze zmuszając go do zatrzymania się. Jednak znajdowali się zbyt daleko od pozostałych alejek.

Ciężka ręka zacieśniła uchwyt, zgniatając jej płuca. Później dłoń na jej ustach przesunęła się, mężczyzna zatkał jej nos, jednocześnie mocno naciskając na usta. Clarice przestała walczyć, całkowicie znieruchomiła. Zanim zdążyła pomyśleć, co zrobić, jak udawać, że zemdląca, jej uszy wypełnił ryk.

Pole widzenia zaczęło się zmniejszać, zawężając się do kręgu światła pośrodku...

W tej świetlnej aureoli pojawił się Jack.

Clarice myślała, że umiera, że to ostatni obraz, który zobaczy i zabierze ze sobą do grobu...

Napastnik zaklął. Uwolnił usta Clarice i sięgnął ręką do kieszeni.

Wzięła potężny wdech. Z trzepotem powiek powracając do życia, uświadomiła sobie, że Jack naprawdę tu jest, że pędzi

ścieżką w ich kierunku, że jej wojownik i władca przybywa na ratunek. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że morderca wyciągnął z kieszeni nóż i że trzyma go nisko w głębokim cieniu, gdzie Jack go nie zobaczy.

Odkręciła się tak, by zmusić mężczyznę do podniesienia dłoni z nożem.

On jednak nie poruszył się, nie oderwał wzroku od Jacka, a ten szybko się zbliżał.

Clarice przypomniała sobie, że potrafi mówić.

- On ma nóż!

Zdawali się jej nie słyszeć.

Zdesperowana oderwała stopy od ziemi i rzuciła się na bok, usiłując pociągnąć za sobą mężczyznę, by stracił równowagę. Udało się lepiej, niż przypuszczała. Wierzgającą w powietrzu stopą trafiła go w kolano. Stęknąwszy, upadł, rozluźniając przy tym stalowy uchwyt wokół talii Clarice. Jack złapał ją, podciągnął na równe nogi i pchnął za siebie. Zatoczyła się, z trudem chwytając powietrze.

Mężczyzna poderwał się niczym sprężyna, celując w Jacka. Nóż zaśnieł złowieszczo, sunąc w kierunku jego gardła, lecz Jack chwycił mężczyznę za nadgarstek, obrócił się tak, że jego ramię i plecy oparły się o pierś napastnika i zablokowały go, i jednocześnie zawalczył, by przejąć nóż albo zmusić mężczyznę do jego wypuszczenia.

Napastnik posłał drugą pięść nisko w bok Jacka, ten stęknął, wolną dłonią złapał rękę mężczyzny i przytrzymał ją z dala od siebie, skupiając uwagę na ręce z nożem. Włożył wszystkie siły w wyrwanie się z uchwytu napastnika, jednocześnie trzymając go w pułapce.

Clarice, nadal oszołomiona, patrzyła, jak się mocują. To nie była czysta walka, żaden z nich nie miał oporów przed użyciem wszelkich sposobów, by wygrać. Stękali i zataczali się. Jack nieubłaganie odginał nadgarstek mężczyzny, coraz mocniej... Nagle puścił drugą rękę napastnika i uderzył łokciem do tyłu, w jego pierś. Mężczyzna zacharczał i niemal runął na Jacka. Jack

się zatoczył. Mógł być równie silny, ale tamten był cięższy.

Z ogromnym wysiłkiem mężczyzna wyrwał się, odpychając Jacka. Zatoczył się, ale prędko odzyskał równowagę. Stali twarzą w twarz, jak dwaj zapaśnicy dążący do zwarcia, dzieliło ich kilka kroków.

Zanim Jack zdążył się poruszyć, mężczyzna raptownie uskoczył do tyłu.

Jego spojrzenie padło na Clarice. Podniósł rękę.

Jack nie zdążył dotrzeć do niego w porę. Rzucił się więc na Clarice. Pochwycił ją, całym ciężarem powalił na ziemię, i naprawdę nie dbał o to, że czuje ostre użądlenie, po którym pojawił się ból, kiedy nóż utkwiał w jego barku.

Napastnik zaklął soczyście z wyraźnym europejskim akcentem.

I ruszył w ich stronę.

Zmuszając zmysły do koncentracji, Jack zebrał siły, by odepchnąć się akurat we właściwym momencie, trzeba było czegoś więcej niż noża w barku, by go powstrzymać.

Kroki mężczyzny raptownie ucichły. Nadal był zbyt daleko, żeby Jack mógł wykonać jakikolwiek sensowny ruch.

Dobiegły ich okrzyki, a po nich odgłos kroków ludzi nadbiegających od strony głównej alejki. Mężczyzna znowu zaklął, tym razem łagodniej, po czym odwrócił się i uciekł. Jack jęknął i także zaklął.

- Niech to diabli! Zwiewa. - Jack zaczął wstawać, ale Clarice przytrzymała go mocniej.

- Masz nóż w plecach.

Ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć „wiem”, w jej głosie zabrzmiała jakaś dziwna nuta, niezwykła głębia. Przypomniawszy sobie, że nie nawykła do bójek, noży i śmierci, ale on wcale nie był bliski śmierci.

- Już dobrze. Nie jestem aż tak ciężko ranny.

- Ale...

Odepchnął się na tyle, żeby usiąść, uwalniając się z jej objęć, kiedy nadbiegli Nigel i Alton. Jack ruchem głowy wskazał im

kierunek.

- Za nim. Ja sobie poradzę.

Clarice przykucnęła obok niego. A Alton i Nigel pognali naprzód. Byli młodzi i szybcy, istniała szansa, że mogą schwytać zbiega.

Inni goście zbierali się u wylotu ścieżki.

Widok krwi sączącej się spod ostrza sprawił, że Clarice aż się zatoczyła z powodu emocji.

- Co mogę zrobić?

Delikatnie oparła dłoń na barku wyraźnie cierpiącego Jacka.

- Czy możesz wyciągnąć nóż?

Zamrugnęła. Była wdzięczna, że ścieżka jest taka nieoświetlona, Jack nie widział, że krew odpłynęła jej z twarzy.

- Tkwi w mięśni.

- Jak mam go...?

- Po prostu go chwyć i powoli wyciągaj. Ja postaram się rozluźnić, żeby łatwiej wyszedł.

Nabrała głęboko powietrza, wstrzymała oddech, zamknęła dłoń na rękojeści, nóż powoli się wysuwał... Kiedy skończyła, usiadła obok Jacka.

Podał jej swoją chusteczkę.

- Użyj tego, żeby uciskać ranę.

Tak zrobiła. W chwili, gdy przycisnęła płócienny zwitek, rozległ się wystrzał.

Oboje spojrzeli w głąb parku w stronę, skąd dobiegł odgłos.

- To nie twoi bracia.

Popatrzyła na jego posępną twarz.

- Jak możesz być tego pewien?

Zaczął się podnosić. Pomogła mu wstać, jedną ręką wciąż uciskając ranę.

- Chodźmy i dowiedzmy się.

Teraz i inni goście zaryzykowali podejście bliżej. Kilku dzentelmenów, widząc ranę Jacka, zaferowało swoje chusteczki, by pomóc zatamować krwawienie. Clarice przyjęła je, a potem małą procesją ruszyli przed siebie.

Dotarli niemal do środka ogrodu, nim znaleźli się w miejscu, gdzie padł strzał - na małej polance otoczonej krzewami.

Z ulgą dostrzegli Altona i Nigela. Stali milczący i oszołomieni, i wpatrywali się w krąg ludzi zebranych wokół mężczyzny o okrągłej twarzy.

Leżącego na plecach, z rękoma rozłożonymi na boki, zapatrzonego niewidzącym wzrokiem w nocne niebo. Z wielkiego otworu w jego piersi powoli sączyła się krew. Obok niego na trawie leżał pistolet.

Nie było wątpliwości, że ten człowiek nie żyje.

Jack westchnął, przystanąwszy obok Altona.

- Nie rozumiem. - Marszcząc brwi, Alton odwrócił się do Jacka. - Biegliśmy, potem usłyszeliśmy strzał. Ale kto go zastrzelił?

Jack spojrział w dół na bladą, okrągłą twarz.

- Jego pan, nasz zdrajca.

* * *

Wykorzystując Altona i Nigela jako pomocników, Jack zebrał tyle informacji, ile się dało.

Nigel znalazł młodą damę, która widziała mężczyznę opuszczającego polankę zaraz po tym, jak rozległ się wystrzał. Przekonał jej rodziców, że powinna porozmawiać z Jackiem, i zaprowadził wszystkich do miejsca, gdzie Jack siedział na ławce przy głównej alejce, z Clarice u boku, ciągle przyciskającą zwitek chusteczek do jego rany.

Kilka pytań potwierdziło, że młoda dama rzeczywiście widziała mordercę. Niestety, była w początkowym stadium, a może nawet w środku ataku hysterii. Jack nie wiedział, jak ma z nią postępować.

- Już dobrze - szepnęła Clarice. - Ten dżentelmen został ranny, gdy usiłował schwytać tamtego mężczyznę. Ty nie jesteś ranna, tylko wystraszona, ale poczujesz się znacznie lepiej, kiedy opowiesz nam wszystko, co widziałaś. Gdzie stałaś, kiedy

to się wydarzyło?

Dziewczyna opowiedziała, że wraz z kilkoma osobami spacerowała wśród trawników tuż za małą polanką. Rzeczowe pytania Clarice, wyraźnie oczekującej logicznych odpowiedzi, uspokoiły dziewczynę, odpowiadała z coraz większą swobodą. Kiedy rozległ się wystrzał, zobaczyła dżentelmena, który spokojnie i bez pośpiechu odszedł z miejsca zbrodni.

Niestety, poza opisaniem go jako wysokiego, w dobrze skrojonym wieczorowym stroju i z modnie ułożonymi ciemnymi włosami, nie potrafiła go zidentyfikować. Nie widziała jego twarzy.

- Wcale się nie rozglądał. Z początku pomyślałam, że mógł nie słyszeć wystrzału. Właściwie to się zastanawiałam, czy to, co słyszałam, to był strzał, skoro on był taki spokojny.

Jack zdobył się na uśmiech i podziękował dziewczynie, jej rodzicom i asyście. Alton popatrzył na Jacka.

- Powinniśmy go szukać?

- Kogo? - Jack powoli wstał, wspierany przez Clarice. - Ktokolwiek to był, jest nie do odróżnienia od większości obecnych tu mężczyzn.

- Jeśli w ogóle nadal jest obecny - powiedziała Clarice.

- Na pewno. Wyjście, zrobienie czegokolwiek, żeby ściągnąć na siebie uwagę, to nie w jego stylu. Zwłaszcza że teraz wie, iż nasza ostatnia szansa na zidentyfikowanie go właśnie została uśmiercona.

* * *

Jack nalegał, więc Clarice zabrała go do Klubu Niezdobytch.

- Gasthorpe wie, jak skontaktować się z Pringle'em, a on zna się lepiej na ranach od noża niż jakikolwiek inny lekarz w Londynie.

Zrobiła to, o co prosił, i trzymała mocno na wodzy kłębiące się emocje. Na razie.

Przynajmniej do chwili, kiedy doktor oznajmi, że Jack jest na tyle zdrow, by im sprostać.

W klubie uszanowała tutejsze zasady i zgodziła się poczekać w saloniku.

Gasthorpe odprowadził Jacka, widząc sprawność działań niewzruszonego majordomusa, Clarice wysnuła przypuszczenie, że przywykł do radzenia sobie z lordami, którym przytrafiają się rany od noża i temu podobne rzeczy. Zaczęła się przechadzać po saloniku. Przyjechał doktor Pringle, dżentelmen o ostrych rysach twarzy, uklonił się jej i zapewnił, że Jack jest silny jak tur. Obiecał także wstąpić do niej, zanim wyjdzie, i poinformować, co sądzi o ranie Jacka.

Ułagodzona, usiadła, kiedy pojawił się lokaj z tacą, przynosząc herbatę, była szczerze wdzięczna.

Tymczasem na piętrze Pringle badał ranę Jacka.

- Idealnie czysta. - Otworzył torbę i poszukał bandaża. - Jedyna korzyść z zadawania z się profesjonalnymi zabójcami.

Nawyki do czarnego humoru Pringle'a, Jack ledwie coś odburknął. Chwycił krawędź stołu, o który się opierał, i zacisnął wargi, a Pringle ponownie przemył ranę, posmarował ją jakąś maścią, a następnie nałożył gazę i bandaż - przez ramię i pierś.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Dalziel. Miał na sobie strój wieczorowy.

Skinął głową Pringle'owi, po czym przyjrzał się rannemu.

- Kluby lotem błyskawicy obiegła opowieść o dżentelmenie ratującym piękną damę w ciemnej alejce podczas przyjęcia w Vauxhall, a później o zastrzeleniu złoczyńcy. Rozumiem, że mowa o twoich wyczynach?

- Tak, co do pierwszego, ale nie wiem, kto go zastrzelił. - Zwięźle zrelacjonował wydarzenia z ostatnich paru godzin. - A zatem jeśli chodzi o wygląd, tym zdrajcą mógłbyś być ty, moge być ja. Inny szczegół, który możesz dodać do jego teczki, to fakt, że jego status pozwala mu zdobyć bilety na Royal Gala. Przy bramie wpuszczano tylko gości z biletami.

Dalziel przytaknął.

- Zapisane. A co do naszego zmarłego przyjaciela... - Jego głos stał się twardy. - Mogę potwierdzić, że był Polakiem, znanym ze skrywanej lojalności wobec Napoleona. Curtiss i Admiralicja obserwowali go od lat, ale nigdy nie okazywał żadnego zainteresowania tajemnicami wojskowymi ani nie podróżował. Przebywał w Londynie od tysiąc osiemset ósmego roku. Niestety, dowiedziałem się tego wszystkiego dopiero dziś wieczorem.

Jack zamrugął.

- A więc gdyby żył, jutro rano byś się z nim rozmówił.

Dalziel skinął głową.

- Na to mógłbyś bezpiecznie postawić swoją posiadłość.

- A zatem musiał umrzeć dziś w nocy.

- W rzeczy samej. Myślę, że to dlatego został wezwany na przyjęcie.

- W miejsce, w którym, jak sądził, będzie bezpieczny.

Po chwili milczenia Dalziel mruknął:

- Obawiam się, że tak jak wielu innych, nie docenił swojego pana.

W głosie Dalziela zabrzmiało coś, co sprawiło, że Jacka przebiegł dreszcz. Nawet Pringle zamrugął.

Dalziel popatrzył na Jacka, uśmiechnął się i skierował do drzwi.

- Na twoim miejscu, Warnefleet, bezzwłocznie udałbym się na wieś. Po tym ostatnim akcie bohaterstwa będziesz na samym szczycie listy u młodych dam. - Już u drzwi Dalziel obejrzał się, cynicznie uśmiechnął i zasalutował.

Clarice słyszała, że ktoś przyjechał, a potem wychodził, ale to nie był Jack. Nie zdołała wykrzesać w sobie dosyć zainteresowania, żeby wyrzeć.

Dopiła herbatę i zaczęła właśnie bębnić palcami o poręcz fotela, kiedy usłyszała kroki dwóch osób na schodach. Chwilę później drzwi otworzyły się i wszedł Pringle, a za nim Jack.

- Tylko głębokie rozcięcie. Nic, co by się wkrótce nie zagoiło, o ile pacjent na własne życzenie nie pogorszy swojego

stanu.

Te ostatnie słowa zostały wypowiedziane z figlarnym spojrzeniem skierowanym na Jacka. Przyjął to z kamienną twarzą.

Clarice podziękowała doktorowi. Jack uściśnął mu rękę i Pringle wyszedł.

- A teraz - Clarice poprawiła na ramionach pelerynę i podniosła torebkę - pora wracać do Benedickt's.

Ku jej zaskoczeniu Jack tylko zmarszczył brwi, nie zrobił nawet jednego kroku w stronę drzwi.

- Całkiem sporo ludzi widziało nas dzisiaj razem. Znowu. Po zeszłej nocy i dzisiejszej być może będzie lepiej, jeśli zostaną tutaj. Gasthorpe jest doskonałym pielęgniarzem.

Wzięła głęboki wdech i jakoś udało się jej zachować spokój, utrzymać w ryzach wzbierające emocje.

- Mój drogi lordzie, zrozum, proszę, że za żadne skarby świata nie spuszczę cię z oka. Nie dziś w nocy, i nie w dającej się przewidzieć przyszłości. Co więcej, bez względu na umiejętności Gasthorpe'a, podważam to, że jest w stanie pielęgnować cię lepiej niż ja. A skoro masz trudności z zaśnięciem, jestem najzupełniej pewna, że zdołam znaleźć coś, by odwrócić twoją uwagę od bolącego barku, i zmęczyć cię na tyle, żebyś zasnął.

Jej głos przybierał na sile.

- Czy teraz jesteś gotowy do wyjścia?

Jack przypatrzył się jej i uświadomił sobie, że odczuwa jakieś subtelne napięcie. Że jest poważnie, głęboko poruszona.

- Tak. Oczywiście. Jeżeli jesteś pewna...

- Oczywiście, że jestem pewna.

Ona mogła być pewna, ale on nie był, nie wiedział, co tak ogromnie ją poruszyło. To mogła być zwyczajna, czy nawet bardziej złożona reakcja na wydarzenia ostatnich dwóch wieczorów. Mogła tłumić wszystko w sobie, jak zawsze starając się uchodzić za uosobieniem siły.

Narzucił płaszcz na ramiona, pożegnał Gasthorpe'a, po czym

wziął Clarice pod rękę, wyszli na dwór i wsiedli do powozu.

- Boli tylko, kiedy naciskam albo podnoszę rękę nad głowę - wyjaśnił, gdyż Clarice bacznie mu się przyglądała.

Rana naprawdę nie była poważna. Jednak kiedy jechali do hotelu, zastanawiał się, co go jeszcze tej nocy czeka.

Gdy skręcili w Picadilly, przypomniał sobie o wizycie Dalziela i wspomniął o niej. Wszystko dokładnie zrelacjonował.

Nagle twarz Clarice wypogodziła się.

- Royce.

Jack zmarszczył brwi.

- Jaki Royce?

- Nie wiem. Nie jestem pewna, czy w ogóle kiedyś to wiedziałam. Ale to jest imię Dalziela. Royce.

Jack się zastanowił. Po chwili pokręcił głową.

- Wyśledzenie członka arystokracji na podstawie samego imienia to po prostu za trudne.

Ale zanotował sobie w pamięci, żeby powiedzieć innym. Któregoś dnia dowiedzą się prawdy, całej prawdy o Dalzielu. Jednak teraz Jack musiał sobie poradzić bardziej na bieżąco z inną, równie trudną osobą.

* * *

Zanim Clarice udało się zapędzić go do swojej bawialni - bezpośrednio, bez okrężnej drogi przez drugie schody - Jack podjął decyzję, jak sobie z nią poradzić.

Bezpośrednio, równie bezpośrednio jak ona. W chwili, gdy zobaczył ich ostatniego napastnika z nożem wycelowanym prosto w jej serce, doznał objawienia wystarczająco gwałtownego, by można je uznać za strzałę Kupidyna.

W porównaniu z tym cios nożem był ledwie muśnięciem.

Życie jest zbyt krótkie, żeby nie sięgać po miłość, nie chwycić jej. Jeżeli Clarice zmieniła zdanie i postanowiła pozostać w Londynie... to po prostu będzie musiała zmienić je raz jeszcze.

W powozie Jack przypomniał sobie jej radę udzieloną Altonowi. Ludzie udzielający takich rad zazwyczaj opierają się na własnych przemyśleniach.

A więc niech tak będzie. Myślał, że pokazanie, jak bardzo ją kocha, wystarczy, ale... może nie. A skoro nie, to... Niestety, czym innym było pokazać, a zupełnie czym innym powiedzieć. Wypowiedzieć te słowa na głos. Dokonanie tego mogło zaliczać się do najtrudniejszych zadań, jakim Jack stawiał czoło.

Ale nie miał wyboru.

Albo to robi, albo zaryzykuje jej utratę, a ta druga możliwość nie wchodziła w grę.

Zamknął drzwi i podszedł do kominka, podczas gdy ona zdejmowała pelerynę.

W powozie Jack myślał nad tym, by pozwolić jej mówić pierwszej, pozwolić uwolnić to, co tak wyraźnie w niej wrzało, ale później przypomniał sobie, jak Clarice potrafi tonąć w słowach, bardzo możliwe, że by go zbiła z tropu. Najlepiej będzie chwycić byka za rogi i przemówić.

- Zanim pozwolimy, by rozproszyło nas coś innego, chcę ci coś powiedzieć.

Jack dostrzegł pewną czujność w jej oczach. Nabrał powietrza i odezwał się prędko:

- Prawda jest taka, że... Kocham cię do szaleństwa i poruszę niebo i ziemię, i wszystko, co jest między nimi, żebyś była moja.

Zamrugła, niewątpliwie przypominając sobie słowa, które brzmiały niemal dokładnie jak jej własne. Ale teraz, kiedy Jack zrobił pierwszy krok, reszta przyszła mu znacznie łatwiej.

- Wiem, że twoja rodzina, Alton, Roger, Nigel i cała reszta, potrzebują cię, że ta potrzeba jest na swój sposób szczerą, ale ja potrzebuję cię bardziej. - Odrzucił wszelkie maski, które nosił, wszelkie zasłony, które wykorzystywał przez lata, by się za nimi ukrywać, a w czym stał się wyjątkowo biegły. - Mam wiejski dom, który zbyt długo stał pusty, ogród różany z ławeczką, w którym od dziesięcioleci brakuje damy, by dbała o

kwiaty i bawiła się ze... swoimi dziećmi. Wiem, że troszczysz się o braci, o dalszą rodzinę. Rozumiem, co oni dla ciebie znaczą, być może nawet tym lepiej, że sam jestem jedynakiem. Właściwie to dlatego, że rozumiem, niczego w życiu bardziej nie pragnę, niż mieć własną rodzinę, z tobą. Gromadkę dzieci, dziewczynki takie jak ty, piękne i dumne, które będą mną dyrygować. I paru chłopców, być może bardziej takich jak ja, żeby dawali tobie i dziewczętom zajęcie przy organizowaniu im życia.

Zobaczył, jak jej oczy powoli wypełniają się łzami, ale nie ośmielił się zamilknąć.

- Zapewne powinienem trzymać się zwyczajowej procedury, ale ona nie za bardzo odnosi się do nas. Pragnę cię w każdy sposób, jaki można sobie wyobrazić, ale przede wszystkim jako moją żonę. Nie chcę jakiejś potulnej i łagodnej panny. Chcę ciebie, tej ciebie, której inni nie rozumieją i której się obawiają, tej ciebie, którą widziałem tak wyraźnie przez ostatnie tygodnie. Którą doceniam i której pragnę, i potrzebuję. Chcę cię u mojego boku na dobre i złe, w zdrowiu i chorobie. - Zdobył się na słaby uśmiech. - Już stawiliśmy czoło ciemnej stronie swoich charakterów, i przetrwaliśmy to, i doświadczyliśmy także choroby. Więc chcę ciebie.

Wyciągnął ręce i ujął jej dłonie, przysunął się bliżej, spoglądając jej w oczy pełne łez.

- Wiesz, jaki jestem. Nie należę do łagodnych mężczyzn. Przez stulecia Warnefleetowie zawsze byli wojownikami. Dlatego nie potrzebuję żadnej łagodnej damy, ja potrzebuję królowej-wojowniczkę. Jesteś jedyną kobietą, o której poślubieniu w ogóle kiedykolwiek pomyślałem. - Nabrał powietrza. - Jednak żeby była między nami jasność, chociaż jestem bogaty i wysoko urodzony, nie chcę wieść wystawnego życia w mieście. Mam wiejskie posiadłości rozrzucone po całym kraju i lubię się nimi zajmować. Dbać o nie i o ludzi, których żywią. Czuję, że to jest dla mnie właściwe miejsce. Być może to nieco staroświeckie, ale skoro się do tego nadaję... I pod tym

względem moja żona musi być damą z doświadczeniem, na której mogę polegać. Czy myślisz, że to by mogło wystarczyć? Moje serce, moja miłość i to?

Clarice była tak przepełniona radością, że ledwie mogła mówić. To nie oświadczyły Jacka tak ją poruszyły, ale sposób, w jaki to zrobił, jak położył swoje serce wojownika u jej stóp.

Kiedy przełknęła ślinę i nie dała mu odpowiedzi natychmiast, bo ściśnięte gardło nie pozwalało jej mówić, jego twarz stężała.

- Wyjdiesz za mnie, Boudiko?

Próbowała uśmiechnąć się przez łzy, ale rezultat musiał być marny, gdyż wyraz twarzy Jacka zmienił się na bliski paniki.

- Jeśli naprawdę tego pragniesz, mogę zarządzać posiadłościami z miasta, moglibyśmy tu mieszkać przez większą część roku. – Zacerpnął powietrza. - Jeżeli tego pragniesz, zrobię nawet i to, wszystko...

Wysunęła dłonie z jego dłoni i pomachała nimi, żeby mu przerwać.

- Nie, nie, nie! - Słowa zabrzmiały jak szloch.

Jego twarz poszarzała.

- Nie co?

Zdołała nabrać dosyć powietrza.

- Nie psuj tego. - Popatrzyła mu głęboko w oczy. - To były najbardziej idealne oświadczyły, jakie kiedykolwiek miałam nadzieję usłyszeć. Kocham cię, ty ośle. Kocham cię od dawna.

Uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła do niej rękę, pozwoliła mu wziąć się w ramiona. Sięgnęła ręką w górę i pogładziła jego policzek.

- Miałam nadzieję, naprawdę miałam nadzieję, że poprosisz mnie o rękę. Nigdy nie chciałam poślubić nikogo innego. Zamierzałam powrócić z tobą do Avening, a potem zrobić wszystko, co tylko trzeba, żeby wyciągnąć z ciebie oświadczyły. - Przechyliła głowę. - A gdyby mi się nie powiodło, byłam gotowa zostać twoją kochanką tak długo, dopóki byś mnie chciał. Wolałabym raczej zostać twoją

kochanką niż żoną innego mężczyzny.

Jack pochylił się, żeby ją pocałować. Clarice oparła dłoń na jego piersi i odepchnęła go.

- Nie, zaczekaj. Pozwól mi dokończyć. Powiedziałam, że zamierzałam zaczekać i wrócić z tobą do Avening. Ale ostatniej nocy, a jeszcze bardziej dziś wieczorem, kiedy ten mężczyzna rzucił nożem i pomyślałam, że mogę umrzeć, a potem ty mnie popchnąłeś i pomyślałam, że to ty możesz umrzeć... Zamierzałam pomówić z tobą dzisiaj, teraz. Zamierzałam powiedzieć ci, jak bardzo cię kocham, że to nie ma znaczenia, jeśli nie chcesz mnie poślubić, ale musiałam ci powiedzieć, byłam ci to winna... - Poczowała, że łzy znów napływają jej do oczu. - Ponieważ życie jest zbyt krótkie, żeby odwracać się od miłości.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem pochylił się i scałował łzy, które spływały spod rzęs.

- Nie odwrócimy się od miłości, my się w niej pograżymy.
- Jego słowa wślizgnęły się do jej umysłu, do serca, jego ramiona otaczały ją i trzymały pewnie, blisko. Bezpiecznie. - Wrócimy do domu, do Avening, i zapełnimy dwór dziećmi, i zestarzejemy się, dbając o nie i kierując naszymi posiadłościami.

- A co z Percym? Jest uroczy, ale...

- Rozerwiesz go na kawałeczki. - Jack uśmiechnął się do jej włosów. - Możesz pomóc mi wybrać, którą z innych moich posiadłości mu przekazać. Sądzę, że dobrze sobie poradzi, kiedy już nabierze wprawy i będzie miał na czym stanąć.

Skinęła głową.

- Coś, co należy do niego.

- Wiesz, że oddałbym wszystko, co posiadam na tym świecie, jeżeli tylko w zamian ty byłabyś moja?

- Zabierz mnie z powrotem do Avening.

Uśmiechnął się.

- Z przyjemnością.

Ta noc, a przynajmniej to, co z niej zostało, należała do nich. Do nich, żeby dzielić się prywatnym świętem, i więcej, żeby

pójść dalej, stawiając pierwsze radosne kroki na drodze do wspólnej przyszłości, by się śmiać, bawić, cieszyć sobą, dzielić.

W łagodnym mroku sypialni, w ciepłe splecionej pościeli, kochali się i przyjmowali z radością wszystko, co z tego wynikało, kielkowało i rozkwitało. Każdą pieśczętą, każdy pocałunek i westchnienie, każdy jęk, każde poddanie się.

Otoczył ich krajobraz, który był znajomy, a jednak subtelnie zmieniony, bardziej określony, bardziej wyraźny, bezpieczniejszy. Krajobraz pewnych uczuć. Razem, trzymając się za ręce, rozkoszowali się zmianą, witali ją z radością i zgłębiali, jedno u boku drugiego, wpisywali swój nowy krajobraz do swoich serc, do swojego życia, i czynili go częścią nich samych.

Teraz i na zawsze należał do nich.

* * *

Bal zaręczynowy Altwoodów, wydany w Melton House trzy wieczory później, stał się najświetniejszym wydarzeniem towarzyskim sezonu. Nigdy wcześniej w annałach wyższych sfer czworo potomków arystokratycznego rodu nie ogłosiło swoich zaręczyn jednego wieczoru, w tym samym miejscu, o tej samej porze.

Towarzystwo było oniemiałe.

Clarice włożyła śliwkową jedwabną suknię. Chciała, żeby zapamiętano ten wieczór, jedyny bal, jaki kiedykolwiek wydała w murach domu swoich przodków, bal dla uczczenia jej własnych zaręczyn oraz zaręczyn jej braci.

Chciała, żeby towarzystwo zapamiętało ją jako „skandalizującą lady Clarice” w śmiałej śliwkowej sukni.

I udało jej się to.

Ogłoszenie zaręczyn odbyło się z całą należną oprawą podczas obiadu na sześćdziesiąt osób w którym uczestniczyła większość najbardziej wpływowych osób, a potem Clarice i jej braci, i wraz z przyszłymi małżonkami powitali armię

elegantów, którzy jak jeden mąż odpowiedzieli na j zaproszenie do świętowania wspólnie z nimi.

Tłum w jaskrawych aksamitach i jedwabiach czarnych strojach wieczorowych i białych krawatach, cisnął się w sali balowej, wylewał na taras a nawet zapełnił schody - wszyscy mieli chęć zobaczyć najbardziej emocjonujący moment, kiedy to właśnie zaręczone pary wejdą na parkiet, żeby poprowadzić gości do pierwszego walca.

Kiedy muzycy przytknęli smyczki do strun i rozległy się dźwięki wzywające tancerzy, tłum uciszył się i wstrzymał oddech niczym jeden żywy organizm.

Dumny i szczęśliwy Alton sprowadził Sarah po szerokich schodach, za nimi szli Roger i Alice oraz Nigel i Emily. Clarice i Jack zamykali pochód, ale kiedy Alton dotarł do końca olbrzymich schodów, przeszedł na bok i zatrzymał się, z Sarah wspartą na jego ramieniu. Roger zrobił to samo, przesuając się na drugą stronę schodów z Alice, a Nigel i Emily poszli w ich ślady.

Pozostawiając Jacka i Clarice pośrodku sceny.

Oczekiwanie, trzymające tłum w napięciu, nagle jeszcze bardziej przybrało na sile. Dało się słyszeć kilka okrzyków, fala szeptów przebiegła przez długą salę, ale prędko ucichła. Wszystkie oczy były utkwione w parach u podnóża schodów.

Clarice, wsparta na ramieniu Jacka, zeszła z ostatniego stopnia. Zaskoczona, spojrzała na Altona.

Uśmiechnął się.

- Ty zawsze powinnaś być pierwsza. Ty zawsze prowadziłaś nas w sprawach takich jak ta. Bez ciebie, Bóg jeden wie, czy tego wieczoru bylibyśmy tutaj, tak jak teraz. - Pełnym wdzięku gestem pokazał jej, żeby szła dalej. - Za tobą, droga siostrze.

Clarice spojrzała w jego oczy, a potem popatrzyła na Sarah. Uśmiechając się tajemniczo, Sarah przytaknęła.

- Ty i Jack przodem.

Muzyka stawała się coraz głośniejsza, Clarice majestatycznie

skinęła głową bratu, po czym obróciła się wprost w objęcia Jacka.

Poczuła, jak jego ramiona zamykają się wokół niej, spojrzała w jego oczy i zobaczyła w nich blask miłości.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i pozwoliła mu porwać się do tańca, ku przyszłości.

Tłum wydał zbiorowe westchnienie.

Jej bracia i ich narzeczone poszli w ich ślady, cztery pary raz okrążyły salę. Potem dołączyli do nich inni, w ciągu minuty połowa gości ruszyła do tańca, wszyscy chętni, by stać się częścią tej wyjątkowej chwili.

- Kiedy możemy jechać do Avening? – spytała Clarice.

- Czy jutro to za szybko?

Uśmiechnęła się.

- Każę podstawić powóz na dziesiątą. Po drodze możemy wstąpić do klubu.

Jack uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Ludzie pomyślały, że nie doceniłaś towarzystwa w całej jego krasie.

- Doceniam je, owszem, ale wiem, czego chcę. Avening, twoich dzieci i ciebie.

Mądry mężczyzna wie, kiedy nie otwierać ust. Uśmiezek Jacka zamienił się w prawdziwy uśmiech, przygarnął ją bliżej, okręcił w tańcu i zaczął planować, jak najlepiej dać swojej królowej-wojownicze właśnie to, czego chciała.

* * *

Wrócili do Avening, by James mógł udzielić im ślubu w wiejskim kościele, w którym wszyscy Warnefleetowie od pokoleń składali swoje ślubowania, żadne z nich nie brało pod uwagę innej możliwości.

Pamiętając o obrażeniach Jacka, Clarice nalegała, żeby poświęcili trzy dni na przebycie drogi z Londynu, zatrzymując się na długie, relaksujące posiłki i kończąc dzień późnym

popołudniem w wygodnej oberży.

Podróżowali jako forpoczta małej armii. Trzej bracia Clarice, ich narzeczone i wielu innych członków rodziny, a także ciotki Jacka i inni krewni, wraz z doborowym oddziałem przyjaciół, wśród nich z lady Osbaldestone, mieli podążyć za nimi za kilka dni.

Jack i Clarice zamierzali wziąć ślub najszybciej jak to możliwe, żadne z nich nie chciało marnować ani chwili życia więcej. Gdy zwrócili się do biskupa, ten ochoczo udzielił im specjalnego pozwolenia i błogosławieństwa. Pozostali członkowie Klubu Niezdobytych także zostali wezwani, wszyscy wkrótce mieli się pojawić. Dalziel został zaproszony, ale, jak można się było spodziewać, przysłał swoje przeprosiny.

Jack zaproponował, żeby ostatni odcinek drogi przejechali konno. Clarice, zadowolona z możliwości uwolnienia się z ciasnego powozu, dołączyła do niego w długich galopach przerywanych spokojnym kłusowaniem przez wiejską okolicę, wciąż przepojoną wiosenną świeżością, po drózkach wijących się przez pola, w blasku słońca i w poczuciu przynależenia do siebie nawzajem.

Na koniec pogalopowali drogą z Tetbury i zatrzymali konie na szczycie wzniesienia, tak jak Jack zrobił to zaledwie kilka tygodni wcześniej. Z Clarice u boku popatrzył w dół na dolinę Avening, na sady otaczające jego dom, na obłoki kwiatów jabłoni, wciąż utrzymujące się na drzewach.

Takie same, a jednak inne. Zmieniły się uczucia, jakie wywołał w nim ten widok i zapach.

Clarice, uśmiechając się lekko, ogarniała wzrokiem swoje królestwo.

Poczuł, jak serce przepelnia mu radość. To był jego prawdziwy powrót do domu, gdyż teraz, z nią, jeden dom był kompletny.

Sięgnął po jej dłoń, podniósł do warg i musnął, składając delikatny pocałunek.

Pojechali dalej. Jedno obok drugiego dotarli ze wzgórza do

wioski, do dworu.

Boudika, Avening i kwiaty jabłoni.

Nareszcie był w domu.

Koniec